

KONTYNUACJA
BESTSELLERA
spark



*Vanitas vanitatum
et omnia vanitas*

flame

MONIKA RUTKA

[r u m o t k a]

be!
YA!

Monika Rutka

Flame

Dla każdego, komu zasłonięto oczy w świecie dorosłych.

Chwyć mnie za rękę.

Będę Twoimi oczami.



OSTRZEŻENIE!

Flame porusza wiele wrażliwych tematów, w tym przemoc, znęcanie się nad dziećmi oraz uzależnienie od alkoholu. Bądź tego świadomy, zanim sięgniesz po książkę. Dbaj o siebie i swoje zdrowie psychiczne!

Prolog

— Czy to nie ty ostatnio mówiłeś, że zapijanie smutków nie jest wyjściem? — Do moich uszu dociera ten kurewsko irytujący głos.

Nie patrzę przez ramię. To bez sensu. Wiem, że tam stoi i stał będzie też za dziesięć czy trzydzieści minut. Jest natrętny i wścibski. Nie wiem, po kim to odziedziczył, ale niech spada. Nie chcę go tutaj.

Poruszam trzymaną w ręku szklanką, aby wymieszać znajdujący się w niej alkohol, po czym przechylam ją i zeruję. Ciecz parzy moje gardło. Lubię to uczucie, szczególnie gdy jestem wkurwiony. Jak na przykład teraz.

— To samo — mówi, a ja kątem oka widzę, że siada obok mnie.

Wyłapuję, że na ręce ma sygnety, w których odbija się światło słabych jarzeniówek. Wygląda jak pierdolony dzieciak z bogatego osiedla. Na pewno jest tego świadomy, ale nigdy się nie przyzna. On w ogóle cały jest zakłamany. Dokładnie tak jak ja.

Przywołuję ręką chłopaka, który może być w moim wieku. Proszę o następną kolejkę. Nagle na blacie pojawia się wyprasowany, zielony banknot.

— Spierdalaj. Nic od ciebie nie chcę. A w szczególności forsy — rzucam ostro.

Między nami zapada cisza.

Evan — przynajmniej tak mówi mi plakietka na koszulce barmana — wypełnia sprawnie kolejną szklankę whisky i przesuwą w moją stronę. Nie wiem, która to już, ale w sumie głównie mnie to obchodzi. To bez znaczenia. Nic nie ma znaczenia. Zwłaszcza teraz.

— Jesteś tego pewien? — odzywa się znowu dupek obok, a ja mam ochotę chwycić pieprzoną butelkę i rozbić mu ją na głowie.

Ile można, do chuja, gadać? Nie widzi, że go tu nie chcę?

— Ostatnio w moim życiu nie ma słusznych decyzji, więc co za różnica — burczę tylko, mając nadzieję, że w końcu się przymknie i pozwoli mi w spokoju się napić.

Oczywiście nie byłby sobą, gdyby tego, kurwa, nie skomentował.

— Wiesz, że to samo powiedziała mi chwilę przed wyjazdem do Crosby, gdy tu siedzieliśmy?

Spinam się na wspomnienie o niej.

„Logiczne, że nie wiem. Skąd miałbym to wiedzieć, skoro mnie tu nie było?” — myślę sobie, ale ostatecznie zachowuję milczenie. Jeszcze pomyśli, że mnie to interesuje.

Zeruję kolejną szklankę, a wszystko wokół mnie zaczyna powoli wirować.

Miała rację. Wtedy człowiek naprawdę nie myśli...

Kiedyś powiedziałas mi, że gdy spojrzę w Twoje oczy, zobaczę w nich siebie. Nie rozumiałem tego. Nie wiedziałem, że mówiąc to, miałaś na myśli jedność, jaką się staliśmy. Byliśmy tacy sami. Rozumieliśmy się bez słów. Czytaliśmy sobie w myślach. Wewnętrznie czuliśmy, gdy coś jest nie tak. Nadal to czuję. Moja klatka piersiowa ściska się ze strachu. Nie mogę jednak nic zrobić. Nie — po tym wszystkim...

Jestem pewien, że kiedyś — może nie teraz, może za kilka miesięcy czy lat — zrozumiesz, dlaczego to zrobiłem. Nie chciałem tego zrobić.

Musiałem to zrobić. Wybacz mi.

Twój C.

Rozdział 1

CHASE

Przejeżdżam językiem po zębach, ze znudzeniem obserwując, jak Logan robi kolejną kreskę. Obracam w palcach zwinięty banknot, a gdy spotykam wzrok królowej Elżbiety, odrzucam zwitek na stół. Gdybym wiedział, że Turnerowi pójdzie tak opornie — sam bym się tym zajął.

— Możesz się pospieszyć?

— Możesz się zamknąć?

Wzdycham rozdrażniony.

Słyszę, jak mój telefon znowu brzęczy. To już chyba dwunasty raz w przeciągu ostatniej godziny, co strasznie mnie wkurwia. Nie wiem, dlaczego nie wyrzuciłem jeszcze tego gówna przez okno. Już dawno powinienem to zrobić. Miałbym przynajmniej święty spokój.

Wychylam głowę za kanapę i wysuwam rękę w stronę szafki, na której leży urządzenie. Rzuciłem je tam jakieś trzy dni temu.

Od: Jon

Znowu wymiotowała.

Mimo że nie odpowiedziałem jeszcze na żadną z kilkudziesięciu wiadomości, Jonathan się nie poddaje. Ciągłe wypisuje mi o tym, jak ona się czuje, i że Josephine odchodzi od zmysłów. Naprawdę nie wiem, czego ode mnie oczekują po tym wszystkim.

— Dobra, nie męcz się już z tym — rzucam, kiedy Logan zaczyna dopiero formować drugą kreskę. Opieram się dłońmi o oparcie i wstaję na nogi. Turner patrzy na mnie z niezrozumieniem. — Jadę do domu.

Trochę mijam się z prawdą, ale co tam... Biorę z kanapy bluzę i ją zakładam, a z szafki zgarniam klucze i telefon. Znowu wibruje. Tym razem dzwoni Josephine. Blokuję ekran i wciskam urządzenie do tylnej kieszeni spodni.

— Co? Jesteś pewny? Jechać z tobą? — pyta Logan, podnosząc się z kolan.

Widzę, że ma cienie pod oczami. Jest zmęczony, ale oczywiście się nie przyzna, bo jak zwykle robi za pierdoloną matkę Teresę. Czasem mnie to wkurza, ale jednocześnie wiem, że drugiego takiego przyjaciela już nigdy i nigdzie nie znajdę.

— Taa, poradzę sobie. Kiedyś przecież będę musiał tam wrócić, nie? — Uśmiecham się krzywo, a Turner nawet na moment nie spuszcza ze mnie spojrzenia. Przygląda mi się uważnie, ale w końcu kiwa głową.

— No dobra. — Wzdycha i przeczesuje ręką włosy.

Nie mówiąc nic więcej, ruszam w stronę drzwi, a kiedy już mam wyjść, słyszę jeszcze jego głos:

— Wiesz, moim zdaniem mieli jakiś powód, że ci o tym nie powiedzieli. Jestem pewien, że też już o tym myślałeś.

„Oczywiście, że myślałem. Staralem się tego nie robić, ale, no kurwa, myślałem”.

Nie odpowiadam. Wychodzę z pokoju i ruszam w stronę schodów. Słyszę grający w salonie telewizor, ale mam nadzieję, że nikogo tam nie ma. Naprawdę nie mam ochoty gadać z mamą Logana ani jego ojcem, a w szczególności z Charlotte. Jest w porządku, ale wczoraj już bardzo irytowała. Za dużo gadała i wszystko chciała wiedzieć. No i ciągle przeproszała mnie za Matta, jakby to była jej wina, że jest kutasem. Nie wyjdzie na tym dobrze. Mam nadzieję, że szybko go sobie odpuści, bo O’kelly nie zasługuje na to wszystko, co ona dla niego robi.

W korytarzu zakładam szybko buty i wychodzę na zewnątrz. Pada deszcz, więc naciągam kaptur. Kiedy udaje mi się dostać do samochodu, klnę pod nosem, bo mój telefon znów wibruje. Mam serdecznie dość Josephine, Caroline i Jonathana. Wiem, że pewnie się martwią, ale obecnie mam to totalnie gdzieś. Chciałbym się tym przejmować, tyle że nie potrafię. Nie umiem tego wyjaśnić. Po prostu mam wyjebane.

Wysuwam aparat z kieszeni i marszczę brwi.

— Co? — burczę do słuchawki, gdy przykładam go do ucha.

— Telefon sobie w dupę wsadziłeś czy jak? — pyta ostro Dominic. — Czemu znowu nie było cię na treningu?

Jest zły, ale to też mam gdzieś.

— Byłem zajęty.

— Za cztery dni masz walkę, a ty byłeś, kurwa, zajęty?! — Z każdym słowem mówi coraz wyższym tonem, a ja mam ochotę parsknąć, bo na końcu brzmi jak pierdolona baba.

— No tak.

— Jesteś chory na umyśle — mamrocze już trochę spokojniejszy.

Nie mogę powstrzymać się przed przewróceniem oczami. Lubię Doma, ale czasem jest irytujący. Jak na przykład teraz.

— Kiedy mogę się ciebie spodziewać? — Słyszę znajomy dźwięk odpalanej zapalniczki.

— Jutro. — Uruchamiam samochód z telefonem przy uchu. — Może — dodaję po chwili.

— Chase, do chu...

Nie chcąc już słuchać jego głupiego gadania, rozłączam się i rzucam urządzenie na siedzenie obok. Sprawnie wyjeżdżam z podjazdu Turnerów, a chwilę później włączam się do ruchu.

Mam gdzieś przygotowania do walki, Dominica i w ogóle wszystko. To bez znaczenia. Będzie, co będzie, i tyle.

Zaciskam dłoń na kierownicy, kiedy mijam kolejne ulice Crosby. Do mojej głowy znowu napływają myśli, przed którymi tak uporczywie się wzbraniałem. Nie jestem idiotą i wiem, że narkotyki nie są wyjściem, ale musiałem się wyzerować, bo za chuja nie rozumiałem tego, co widziałem i słyszałem.

Trzy dni wcześniej

— Już, kurwa, po tobie! — krzyczy mi do ucha Logan.

Parskam śmiechem. Co za idiota.

Wciskam przycisk na padzie i mocno zaciskam usta. Wyteżam wzrok, sprawnie manewrując jednym z graczy. Piłka należy do mnie, więc w końcu mogę się wykazać. Na razie wygrywam. Nie lubię jakoś bardzo FIF-y, w przeciwieństwie do Turnera, ale fajnie czasem z nim pograć. To dobra odskocznia od tych codziennych treningów przed walką.

— Cześć. — Słyszę za plecami tak dobrze znany mi już głos, na którego dźwięk serce bije mi w zajebiście szybkim tempie.

— No, kurwa, nie! — wydziera się Logan i wstaje. — Widziałaś, Lizzy? Było tak blisko! — Pokazuje palcem na ekran, bo wygrałem.

Przewracam oczami na to, jaką królową dramatu jest Turner, i odkładam pada na stolik. Prostuję kolana, a mój wzrok pada na nią. Stoi tam. Ubrana w moją czarną bluzę i spodnie w tym samym kolorze, z potarganymi włosami wygląda, jakby spała czy coś, bo ma rozmazany makijaż. Nie wiem czemu, ale w takim beznadziejnym wydaniu podoba mi się najbardziej. To o wiele lepsze od tej sukienki, którą miała ostatnio na sobie, chociaż w niej też wyglądała naprawdę dobrze.

— Cześć — mówię w końcu i dopiero teraz widzę jej oceaniczne spojrzenie. — Jak było?

Płakała. Ona zawsze ma takie oczy, gdy płacze albo jest smutna.

— W porządku. Jestem tylko trochę zmęczona. Nie sądziłam, że siedzenie za kółkiem może być aż tak wyczerpujące.

Logan parska śmiechem. Dziewczyna wysuwa w odpowiedzi środkowy palec. Nie spuszczam z niej wzroku nawet na sekundę.

— Przyszedł do ciebie jakiś list. Zostawiłem go na komodzie — rzucam w końcu, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Muszę przyjrzeć się Lizzy, bo naprawdę nic nie rozumiem. Najchętniej zadałbym dziesiątki pytań, ale nie chcę wprawiać jej w zakłopotanie przy Turnerze.

— Och, okej. Dzięki — mówi, udając niewzruszoną. Parker jest kurewsko słabą aktorką. — Pójdę się ogarnąć i wykapać. Grajcie sobie, nie będę przeszkadzać. — Poprawia torbę na ramieniu i znika za

ścianą.

— Ładna bluza! — krzyczy do niej Logan.

Nie odpowiada. Słyszę, jak chwilę później zatrząskuje drzwiami do swojego pokoju.

— Coś jest nie tak — mamroczę bardziej do siebie.

— Co? O czym ty mówisz? — Turner marszczy brwi.

Do moich uszu dociera pukanie, dlatego ruszam w tamtym kierunku.

— Zaraz wracam.

Z głową pełną myśli idę na korytarz. Chwytam za klamkę i otwieram drzwi, za którymi stoi mężczyzna, mniej więcej mojego wzrostu. Ma ciemną karnację i zaczesane do tyłu włosy. Potrzebuję chwili, żeby zorientować się, że widziałem go już wcześniej w klubie, w którym byliśmy tydzień temu. Paliliśmy razem papierosa i chwilę gadaliśmy. Dowiedziałem się wtedy, że jest właścicielem „The Chain” i że przyjechał tutaj do swojej żony, której dawno nie widział. Ogólnie — dziwny typ, ale to nieważne. Bardziej interesuje mnie, co do chuja tutaj robi.

— Chase!

Gość przede mną milczy, a na jego ustach maluje się dziwny uśmiech, gdy rozbrzmiewa głos Parker.

— Chase! — powtarza głośniejszym głosem, a chwilę później słyszę, jak wychodzi z pokoju. — Chase! — krzyczy wręcz, zbiegając ze schodów.

Patrzę, jak zatrzymuje się w pół kroku na ostatnim ze stopni, gdy jej wzrok pada na faceta w drzwiach. Jej policzki są mokre od łez.

Bicie mojego serca przyspiesza.

— A więc to on tak zmasakrował mojego znajomego. Nieźle — mówi nagle ten typ i zaciąga się papierosem.

Z twarzy blondynki odpływają wszystkie kolory. Wygląda, jakby lada moment miała runąć na ziemię. To sprawia, że czuję jeszcze większy niepokój. Odwracam głowę tak, że teraz patrzę na nieznanego, i orientuję się, że on też mnie obserwuje.

— Jestem Omar. Przyjechałem do Claire, choć tutaj podobno chętniej przedstawia się jako Elizabeth. — Śmieje mi się prosto w twarz, a ja dębieję.

— Kim ty, do chuja, jesteś?

Kim jest Claire? I co on robi w naszym domu?

Facet rzuca papierosa na beton i przygniata go butem. Jest rozbawiony, a ja nie wiem czym. Wygląda jak jakiś psychol, no i kurwa, to nie jest normalne, że przychodzi tutaj i mówi takie rzeczy. Jakby... No kurwa mać!

— Zabawne, że Terrence wybrał właśnie ten dom. — Parska, rozglądając się po korytarzu.

Co do...

— Powiedz mi, Claire, jak to jest, że każda z kobiet w domu Parkerów ma słabość do Warrenów? — Uśmiecha się krzywo, a jego wzrok znów pada na mnie. Mierzy moją osobę od stóp do głów i prycha pod nosem. — Przecież nie ma w nich nic wyjątkowego.

Kim do chuja jest Warren i skąd on zna nazwisko Lizzy?! Jaka Claire?!

— Myślałem, że jesteś tak samo głupia jak ojciec. Cóż, myliłem się. Jesteś jednak jak twoja matka. Zabawne, jak historia zatacza koło. Teraz to ty oddałaś się młodemu Warrenowi, dokładnie tak, jak Margaret osiemnaście lat temu Dominicowi. Ciekawe tylko, kto tym razem skończy z kulką w głowie, a kto na sznurku — mówi rozbawiony.

Zamieram.

Mój ojciec miał na imię Dominic. Dominic, ale Clarke, nie Warren. To musi być jakaś pomyłka.

Patrzę na Parker, która rozwija jakiś papier i na niego patrzy. Wygląda, jakby co najmniej zobaczyła ducha, kiedy jej wzrok pada znów na mnie.

Nagle do moich uszu dociera śmiech Jo.

— Tak, oczywiście, że tak, ale... — Ciotka zatrzymuje się w pół zdania, kiedy przekracza próg domu. Chwilę później za jej plecami dostrzegam Jonathana.

— O! Rodzinka w komplecie! Jak miło! — kpi ten cały Omar. — Co słyhać u twoich sióstr,

Josephine?

— Wyjdź stąd albo zadzwonię po policję — grozi Jonathan, wyjmując z kieszeni telefon.

Nie mówię nic. Po prostu stoję skołowany na środku korytarza i obserwuję twarze przede mną.

Facet śmieje się w głos.

— W porządku. Zgłosimy od razu, że pod tym adresem przebywa kobieta, której dane w dowodzie osobistym nie zgadzają się z tymi w rejestrze uczniów.

Staję bokiem, aby spojrzeć na Elizabeth. Jest dokładnie tam, gdzie była wcześniej. Nawet z tej odległości dostrzegam, jak bardzo nijakie są jej oczy. Jakby w jednej chwili wyparowało z nich życie.

— Odpowiadając na twoje pytanie, Warren... albo Shaw, jeśli wolisz...

W tamtym momencie poczułem, jakby ktoś odciął mi dopływ tlenu i pozostawił na pewną śmierć.

— ...jestem mężem Claire.

Patrzę tępo na stojącego przede mną faceta, który uśmiecha się zwyczajnie.

— Matko, żałujcie, że nie widzicie swoich min! — mówi mężczyzna.

Chcę coś zrobić, walnąć mu w twarz, cokolwiek, ale nie mogę. Jestem w szoku. Mam wrażenie, jakbym był za pieprzoną mgłą. Nie rozumiem nic z tego, co ten typ powiedział, za to Parker wręcz przeciwnie. Ona doskonale wie, co się dzieje... Oni wszyscy to wiedzą, bo chociaż są zaskoczeni, widzę jednocześnie, że spodziewali się tego. Przez to czuję się jeszcze bardziej zdezorientowany.

— To prawda? — Tylko tyle potrafię z siebie wydusić.

Dziewczyna nie mówi nic. Patrzy na mnie tymi swoimi wielkimi szarymi oczami, nie wypowiadając absolutnie żadnego słowa. Wygląda, jakby w środku nie było już nikogo, jakby życie z niej uleciało. Jakby zniknęła osoba, którą znałem. Nie poznaję jej. W jednej sekundzie stała się zupełnie obcym człowiekiem.

Przenoszę spojrzenie na Josephine. Po jej policzkach płyną łzy. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale równie szybko je zamyka.

— Oczywiście, że to prawda, na miłość boską. — Omar przewraca oczami, wyraźnie zirytowany.

Znowu patrzę na Parker. Gdy po dobrej minucie ciszy nie doczekuję się odpowiedzi, ruszam w stronę stojącego w drzwiach faceta.

— Chase, zaczekaj, porozmawiajmy. — Ciotka chwytą mnie za ramię, jednak szybko ją odtrącam. Jej ręce parzą.

Popycham Omara, przez co ten lekko się chwieje. Wychodzę na zewnątrz.

Ona milczy. Nie mówi nic. Nie zatrzymuje mnie. Po prostu stoi i patrzy, jak odchodzę.

Obecnie

Wciskam mocniej pedał gazu. Krople deszczu coraz szybciej spadają na przednią szybę, dlatego uruchamiam wycieraczki. Jest chwilę po czwartej. Ludzie chodzą po mieście albo dopiero wracają z pracy. Życie toczy się dalej, jakby to wszystko, co się dzieje w moim życiu, nie miało większego znaczenia.

Dziesięć minut później parkuję przy budynku z czarnej cegły. Nie wiem, ile czasu wgapiam się w bliżej nieokreślony punkt przed sobą, ale kiedy już się ogarniam, naciągam kaptur i wychodzę na zewnątrz. Ze spuszczoną głową idę wzdłuż ściany, po czym wchodzę do środka lokalu.

W korytarzu panują egipskie ciemności. Potrzebuję chwili, żeby oczy się do nich przyzwyczaiły. Słyszę muzykę, dlatego ruszam w kierunku, z którego dochodzi. Spuszczam wzrok na oszkloną podłogę. Pamiętam, jak tydzień temu szedłem tędy z Parker. Przyspieszam kroku.

Z rękami wciśniętymi w kieszenie bluzy docieram do głównego pomieszczenia klubu. Za ladą stoi jakiś facet, a kilka stolików jest już zajętych. Rozglądam się leniwie, przejeżdżam językiem po zębach i podchodzę do baru.

— Co dla ciebie? — pyta barman, kiedy tylko siadam.

— Zostałem właściciela?

— Niestety nie. Minęliście się. Pan Omar wyszedł jakieś pięć minut temu.

— W porządku. W takim razie niech będzie whisky z lodem.

Facet od razu odwraca się na pięcie i zaczyna realizować moje zamówienie. W tym czasie

postanawiam raz jeszcze przyjrzeć się wszystkiemu. Gdy byłem tutaj wcześniej, klub był wypełniony po brzegi. Teraz mam okazję zobaczyć praktycznie pusty. Gołym okiem widać, że włożono w niego niemałe pieniądze. Kim, do kurwy, jest ten facet, skoro stać go na takie inwestycje?

Barman przesuwając po blacie szklankę z alkoholem, patrzy na coś — albo kogoś — za moimi plecami, po czym wraca do pracy. Ja w tym czasie wypijam trzy duże łyki i opieram się łokciami o ladę. Kurwa, nawet to szkło wygląda zajebiście drogo.

— Jak bardzo źle jest? — odzywa się nagle jakiś typ. Kątem oka widzę, że siada obok mnie. — To, co zawsze.

Nie odpowiadam. Wpatruję się w whisky, nie myśląc o niczym.

— Jesteś tutaj w środku dnia, przyjechałeś samochodem, a zamawiasz alkohol. Mam dwie teorie. — Nieznajomy nie daje za wygraną. — Problem tkwi w kobiecie.

Marszczę brwi. Patrzę w prawo, żeby przyjrzeć się rozmówcy. Jest może trochę starszy ode mnie, ale niedużo. Na oko ma nie więcej niż dwadzieścia pięć lat.

— To tylko jedna teoria — zauważam.

Facet uśmiecha się głupio, wypija duszkiem całą zawartość szklanki, którą właśnie podsunął mu barman, a kiedy nasze spojrzenia się krzyżują, wzdycha.

— Najpewniej zraniłeś jakąś albo jakaś zraniła ciebie — precyzuje.

— Skąd ta pewność, że chodzi o kobietę?

— Bo kobiety to same problemy.

Między nami nastaje chwila ciszy.

— Powiedzmy, że zataiła przede mną istotne fakty o sobie. — Biorę łyk whisky.

Nie mam jebanego pojęcia, dlaczego w ogóle rozpocząłem rozmowę z jakimś przypadkowym typem w barze. To pojebane i zupełnie niepodobne do mnie.

— Życie to jedna wielka gra. Jak szachy. Pytanie brzmi, czy znasz jej zasady i swoje miejsce na planszy. Ludzie nieustannie oszukują i stwarzają pozory. To jak zaraza, której nie idzie wytępić. — Wzrusza ramionami, po czym zeruje szklankę.

Nawet nie wiem, w którym momencie zamówił następną kolejkę.

— Co zatem radzisz w takiej sytuacji?

— To proste. Nie daj się ograć. Musisz przewidzieć kolejne ruchy gracza. Poznać jego taktykę. Jeśli jest on krętaczem, z pewnością ma swoje sposoby. Zwykle się powielają. Wystarczy je wyłapać. Kiedy już je rozpracujesz, nie daj tego po sobie poznać. Twórz iluzję i graj dalej. Nie dąż do ostatniego słowa. Dąż do tego, aby przeciwnik się poddał.

Obserwuję bruneta, myśląc nad jego słowami. Łapię spojrzenie barmana, który cały czas przysłuchiwał się naszej rozmowie. Przykładam w końcu szklankę do ust i zeruję ją.

— Ciekawe spojrzenie na sprawę. Gorzej, gdy w grę wchodzi uczucia.

— Dlatego warto się ich wystrzegać. — Jego odpowiedź przychodzi niemal automatycznie.

Uśmiecham się pod nosem.

— Musiała cię naprawdę skrzywdzić. — Wyjmuję z kieszeni portfel i zostawiam na blacie dwadzieścia funtów. — Reszty nie trzeba. Dzięki za rady...

— Herman. — Facet wysuwa w moim kierunku dłoń, którą ściskam.

— Chase.

Żegnając się z barmanem skinieniem głowy, po czym opuszczam lokal. Na dworze jest już szaro i nadal zajebiście leje. Naciągam na głowę kaptur, aby wrócić do samochodu. Nie jestem pijany, choć zdecydowanie szumi mi w głowie. Nie mam jednak ochoty wracać na piechotę.

Odpalam silnik i sprawnie włączam się do niedużego ruchu na drodze. Ręce mam zaciśnięte na kierownicy, a wzrok wytężony. Im dłużej nie jestem na dragach, tym więcej myśli pojawia się w mojej głowie. Staram się jakoś to wszystko ułożyć, ale za chuja nie potrafię. To popieprzone. Ani Josephine, ani Theresa nie wspominały o tym, że poza nimi mam jeszcze jakąś rodzinę. Parker też nigdy nie powiedziała mi o żadnym Omarze. Kurwa, ona w ogóle niewiele o sobie mówiła. Tak naprawdę wiem tylko, że jej ulubiony kolor to zielony, że jej mama nie żyje i że na drugie ma...

Moja noga automatycznie wciska hamulec, a ja zataczam się do przodu od siły i prędkości, z jaką

samochód się zatrzymuje.

„Kiedyś, gdy byłem dzieckiem, mój ojciec powiedział mi, że jeśli poczuję zagrożenie, a ktoś spyta o to, kim jestem, mam przedstawić się swoim drugim imieniem, czyli Claire”. Kurwa. „Za kilka lat prawdopodobnie uratuje mi to życie. Kiedyś na pewno ci o tym opowiem”. Właśnie te słowa powiedziała mi na plaży, gdy zapytałem ją o coś, o czym nie wie nikt inny. Właśnie tym się ze mną podzieliła.

„Przyjechałem do Claire, choć tutaj podobno chętniej przedstawia się jako Elizabeth”. To jedno zdanie odbija się niczym echo w moich uszach.

Elizabeth. Claire. Elizabeth Claire. To jej drugie imię. Imię, którego używa, gdy...

Mam wrażenie, jakby wszystkie kolory odpłynęły z mojej twarzy. Ręce nagle stają się wiotkie i nijakie. Oddycham ciężiej.

Ona mi o tym powiedziała, bo wiedziała, że to nastąpi. Wiedziała, że przyjdzie moment, w którym dowiem się prawdy. To dlatego po prostu stała. To dlatego nie zareagowała. Bo się, kurwa, bała...

Słyszę za sobą klaksony, które pobudzają mnie do życia. Nie myśląc więcej, wciskam pedał gazu i ruszam przed siebie. Straciłem trzy dni na ćpanie i przez to przegapiłem coś tak ważnego. Parker bała się Omara. Bała się, a ja ją zostawiłem. Jestem głupi. Tak, kurewsko głupi.

Nie mam pojęcia, jak ani kiedy docieram pod dom. Gdy gaszę silnik, od razu wysiadam z samochodu i idę do środka z nadzieją, że u niej wszystko w porządku.

Spierdoliłem. Tak bardzo, kurwa, zjechałem.

„Czy uważasz, że jeśli postępujemy źle, ale jednocześnie dzięki temu chronimy kogoś, na kim nam zależy, zasługujemy na potępienie?” — zapytała mnie w ten pierdolony wtorek.

Ona nie mówiła wiele, gdy rozmawialiśmy nocami, ale gdy już to robiła, wiedziałem, że jest to ważne. Cholera, wszystko, co opuszcza jej usta, jest dla mnie ważne, ale wtedy był naprawdę słaby dzień. Odebrałem ją zapłakaną ze szpitala, a ona powiedziała mi właśnie te słowa. Niewiele z tego wszystkiego rozumiem, ale mam przeczucie, że mnie potrzebowała, a ja zachowałem się jak dzieciak i wyszedłem, zostawiając ją z tym człowiekiem.

Coś jej zrobił? Dlaczego za niego wyszła? To wszystko jest zajebiście zagmatwane.

Otwieram drzwi. Nie myślę nawet o zdejmowaniu butów. Wchodzę po prostu do kuchni, gdzie siedzi Josephine, a naprzeciwko niej Jonathan. Rozmawiają o czymś, a gdy orientują się, że stoję w wejściu, z ust ciotki wydobywa się coś na kształt szlochu.

— Boże Święty! — mówi Jo i zakrywa usta dłonią. Widzę, że płacze. Podchodzi do mnie, a już chwilę później jestem w jej ramionach. Nie odwzajemniam uścisku, ale chyba jej to nie przeszkadza. — Gdzieś ty się podziewał?! — pyta rozżalona.

— Musiałem pomyśleć.

— Tak trudno było dać jakikolwiek znak życia?! — Surowy ton Jonathana sprawia, że unoszę brwi w zaskoczeniu.

— Tak trudno było nie kłamać? — Odbijam piłeczkę, a jego mina rzednie. — Wiedzieliście? — wypalam. Moje pytanie wywołuje ich konsternację, dlatego precyzuję: — Wiedzieliście, że ona ma męża?

Czekam na cokolwiek, co sprawi, że nie poczuję się w tym wszystkim tak bardzo samotny i oszukany, ale to nie nadchodzi. Oni po prostu stoją, blednąc na moich oczach.

Wiedzieli o wszystkim i nic mi nie powiedzieli.

Zostałem sam.

— Chase, my...

— Po prostu się, kurwa, zamknij — mamrocę pod nosem do Jona i przecieram twarz dłońmi.

Oszukali mnie. Wszyscy. Jonathan, Josephine, Parker i może nawet Caroline. Mam jednak nadzieję, że chociaż ona była ze mną szczerą.

Ściskam palcami nasadę nosa, próbując złożyć jakoś myśli. Poddaję się. Nie mam teraz ani czasu, ani ochoty na użeranie się z nimi, dlatego robię obrót na pięcie i ruszam w stronę wyjścia. Kiedy jestem już przy framudze, coś sobie przypominam.

— Kim jest Dominic Warren? — pytam i patrzę na nich przez ramię. — Albo dobra, kurwa,

nieważne. Lepiej nie mówcie, bo w tej kwestii jeszcze też mnie okłamięcie, a mam już po dziurki w nosie tych wszystkich gównianych tajemnic — rzucam na odchodne i mijając co drugi stopień, wchodzę na górę.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że tym jednym zdaniem wywołałem burzę.

Gdy zatrzymuję się przed jej pokojem, czuję, jakby serce miało wyskoczyć mi z piersi. Jest za tymi pieprzonymi drzwiami, zaraz ją zobaczę i nie wiem, czego powinienem się spodziewać. Z wiadomości od tych na dole wiem, że nie jadła, nie piła i tylko było słycać, jak wymiotowała. Przeraza mnie myśl, co tam zastanę. Jestem jednak świadomy tego, że właśnie tutaj powinienem teraz być.

Chwytam za klamkę i biorę głęboki oddech, po czym wchodzę do pomieszczenia, które znam już na pamięć. Z lewej łóżko i szafa, z prawej komoda, drzwi po skosie, biurko, lampa, stoliki nocne, dywan i... *Zamarłem. Ona.*

— Cześć — mówię, zanim jestem w stanie się powstrzymać.

Siedzi tam. Skulona na parapecie patrzy w okno. Ma na sobie dokładnie tę samą bluzę, co w sobotę. Spodni też nie zmieniła. Widzę, jak spina się na dźwięk mojego głosu. Mija dłuższa chwila, zanim obraca powoli głowę i przysięgam, że gdy w końcu widzę jej twarz, mam ochotę sam sobie strzelić w mordę.

Wygląda źle. Tak bardzo źle.

— Podobno nie jesz i nie wychodzisz z pokoju — odzywam się, choć, kurwa, nie to chciałem powiedzieć. Czuję gulę w gardle, gdy na nią patrzę. — Musisz jeść — dodaję pewniejszym głosem i zaciskam szczękę.

Nie odpowiada.

Jestem pewien, że po tej kilkudniowej głodówce straci kilka kilogramów. Już wcześniej była szczupła, więc tym bardziej nie wygląda to dobrze. Pod oczami ma szare kręgi. Jest blada i bez wyrazu. Kompletnie nie przypomina pyskatej dziewczyny, którą była jeszcze tydzień temu.

Milczy, dlatego podchodzę do niej. Widzę, jak jej oczy z każdym moim krokiem powiększają się bardziej i bardziej. Wygląda na zupełnie zbitą z tropu i kurwa, sam nie wiem, co tak naprawdę robię. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej odnoszę wrażenie, że nie wszystko jest takie, jakie się wydaje. Że słowa, które powiedziała, nie są przypadkowe. Że ona naprawdę nazywa się Elizabeth. Że za tym kryje się coś więcej.

Może wyjdę na idiotę. Może znowu się sparzę. Może będę żałował, ale to nieważne. Jestem takim naiwnym skurwysynem, który w momencie, gdy mu na kimś zależy — zrobi dla tej osoby wszystko, a nawet więcej. Jestem tego świadomy. To moja największa słabość.

Wyciągam do Parker rękę, kiedy ta ciągle na mnie patrzy. Nie wiem, co czuję, ale wiem, co muszę zrobić.

— Chodź — mówię tylko.

Dzikim wzrokiem bada moją twarz. W końcu przyjmuje moją dłoń i pomagam jej wstać. Jest słaba. Ledwie stoi na nogach, przez co nie umiem racjonalnie myśleć, bo ten widok rozbija mnie zupełnie.

Oplatam jej rękę wokół swojego ramienia. Idę w stronę łazienki, cały czas czując na sobie jej spojrzenie. Nienawidzę tego, że tak bardzo na mnie działa. Że gdy na mnie patrzy, czuję się bezradny i bezsilny. Nie umiem tego wyjaśnić. Wystarczy, że nasze oczy choćby przypadkowo się spotkają, a ja już nie mam broni ani tarczy, żeby się ochronić. Po prostu stoję przed nią i pozwalam, aby zrobiła ze mną to, na co tylko ma ochotę. Nigdy w życiu tak się nie czułem. Nikt nigdy nie sprawił, by mój umysł zaczął tak wariować.

Im bardziej starałem się trzymać od Ciebie z daleka, tym mocniej mnie do Ciebie ciągnęło.

W łazience wymacuję ręką włącznik światła i wchodzę do środka. W mojej głowie roi się od pytań, ale wiem, że muszę się powstrzymać. Nie chcę jej męczyć, gdy jest w takim stanie.

Parker staje naprzeciwko mnie. Widzę, jak przełyka ślinę, chociaż jej oczy teraz nie wyrażają już nic. Często takie są. Mam na myśli: nijakie, zmęczone i bez wyrazu. To chujowe. Nie umiem sobie nawet wyobrazić, co przeszła w życiu, i teraz żałuję, że nigdy nie próbowałem dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

— Doprowadzimy cię do porządku, dobrze?

Przez twarz dziewczyny przechodzi szok, który szybko maskuje. Ona zawsze tak robi. Zawsze ukrywa uczucia, ale ja je wyłapuję. To takie proste. Parker jest beznadziejnym kłamcą w tych sprawach.

— Mogę? — Spuszczam wzrok na bluzę, którą ma na sobie, po czym wracam do oczu.

Gdy uzyskuję pozwolenie w postaci kiwnięcia, chwytam dół materiału i sprawnie przeciągam go przez głowę. Unosi ręce, żeby mi pomóc. Szybko znów opadają bezwiednie, jakby nie była w stanie utrzymać ich dłużej w powietrzu. Kurwa.

Szare tęczówki niezmiennie mnie obserwują. Teraz widzę w nich niezrozumienie. Nie wie, co się dzieje. Jestem pewien, że się tego nie spodziewała. Ja sam się tego nie spodziewałem. Nie planowałem tego, jadąc tutaj, ale oto jestem z nią, w naszej łazience. Zawsze robię przy niej rzeczy, których nie miałem w zamiarze. Zawsze coś odwałam i dopiero po chwili orientuję się, że to zrobiłem. To popieprzone.

Nie wiem, jak daleko mogę się posunąć. Mam nadzieję, że nie czuje się niekomfortowo z moim dotykiem, ale jednocześnie boję się zapytać. Przeraza mnie odpowiedź, która może opuścić jej usta. Kiedy tutaj jechałem, wszystko wydawało się proste, a teraz — nie wiem już nic. Zawsze tak jest. Za każdym jebanym razem, kiedy ona jest obok mnie.

Nie odrywając wzroku od jej pustego spojrzenia, nachylam się w jej stronę, palcami sięgając do rozpięcia stanika. Wargi Parker są spierzchnięte i wysuszone. Ona chyba naprawdę od czasu mojego wyjścia nie miała nic w ustach. Są wręcz sine. Co, do chuja, wydarzyło się, gdy wyszedłem? Dlaczego nic nie mówi? Mam tak wiele pytań.

Gdy biustonosz łąduje na podłodze, zniżam się do poziomu jej bioder. Najdelikatniej, jak tylko potrafię, rozpinam spodnie i zsuwam je aż do kostek. Nie rusza się. Jakby nie żyła. Jakby to, co się dzieje, nie miało znaczenia.

— Do góry — instruuję cicho.

Dziewczyna wykonuje moje polecenie automatycznie. Przeraza mnie to, jak niewzruszona jest. Nie poznaję jej kompletnie. To nie jest Parker, którą znałem.

Podnoszę się z kolan, żeby znów spotkać jej spojrzenie. Niby na mnie patrzy, ale mam wrażenie, że myślami jest w innym świecie. Jej wargi są lekko rozchylone, a oczy duże i puste. Tak kurewsko puste i szare. Nienawidzę, kiedy takie są.

Podchodzę do deszczownicy i odkręcam wodę. Przez chwilę trzymam pod nią rękę, żeby ustawić odpowiednią temperaturę. W tym czasie patrzę przez ramię na dziewczynę i widzę, że się nie rusza. Stoi ze wzrokiem utkwionym w lustrze. Mam wrażenie, że równie dobrze mógłby teraz ktoś wejść, a ona by nie drgnęła. Po prostu by stała i patrzyła, przeraźliwie nieżywa za życia. To mnie rozpiędała wewnątrz, bo nie wiem, co zrobić, żeby jej pomóc.

Zbliżyłem się do niej. Dopiero teraz, w odbiciu, widzę wyraźnie jej ciało. Ma wystające żebra i kościste biodra. W ogóle jej skóra wydaje się o wiele bledsza.

Nasze spojrzenia w końcu spotykają się w lustrze. Przełykam ślinę. Mam wrażenie, że zaczyna do niej docierać to, co się dzieje. Mimo to milczy.

... i wtedy to zobaczyłem.

Nagle na moich oczach tęczówki Parker zmieniają kolor na niebieski. Tak po prostu. Jakby wcisnęła jakiś magiczny przycisk uruchamiający uczucia.

Strach, smutek i złość. Właśnie te emocje widzę w huraganie, jaki w przeciągu sekundy rozpełtał się w jej żalonym spojrzeniu. Nadal nic nie mówi. Nie musi. Ta cisza mnie ogłusza. Wrzeszczy w moje uszy, paraliżując mnie. Lizzy wygląda jak małe dziecko, kiedy tak na mnie patrzy. Jakby zgubiła się i szukała rodziców w tłumie. Chcę pokazać jej, że tu jestem, że może czuć się bezpieczna. Ale ona wydaje się nie widzieć ręki, którą do niej macham w morzu ludzi. Jestem jednym z setek innych, a ona jest za mała, żeby mnie dostrzec.

— Chodź. — Tylko tyle potrafię z siebie wydusić. Nienawidzę tego, jaki przy niej jestem. Teraz, kiedy widzę ją w takim stanie, jest jeszcze gorzej. Czuję, że spadam w pierdoloną przepaść i nie mogę się niczego złapać. Nie chcę tego. Ktoś musi ją uratować. Ktoś musi jej pomóc, żeby i ona nie spadła.

Nie wiedziałem wtedy, że spadnę na dno po to, żeby złapać Ciebie. Że połamiesz mnie, ale

przynajmniej będziesz bezpieczna. Że uratuję Cię tak, jak Ty mnie niejednokrotnie.

Jej nogi wleką się ociężale, gdy idzie w stronę kabiny. Nie jadła trzy dni. Trzy pierdolone dni nie miała nic w ustach. Jak bardzo źle jest? Przez jakie gówno przeszła ta dziewczyna? „Kiedyś chciałam ze sobą skończyć” — powiedziała jednej nocy. Chciała coś sobie zrobić, a ja nie dociekałam. Powiniennem był dociekać. Było coś jeszcze. Pamiętam, jak mówiła, że poza sytuacją z jej byłym chłopakiem była sprawa, która zaważyła na jej wyjeździe do Crosby. Czy to właśnie o Omara wtedy chodziło?

Parker zatrzymuje się przy kabinie, tępo wgapiając się w lejącą się z deszczownicy wodę. Jest zgarbiona, jakby na plecach miała coś ciężkiego. Za jej pozwoleniem pozbywam się ostatniej części bielizny, jaką ma na sobie. Jest naga, ale tylko dosłownie. Tak naprawdę ma na sobie warstwy pancerza, zasłania się i oddziela murem.

Pomagam dziewczynie wejść do środka. Teraz znowu jej oczy są szare. Znowu zamknęła się w swoim świecie, do którego nie mam dostępu. Podwijam rękawy. Biorę gąbkę i płyn, kiedy ona stoi i patrzy przed siebie. Jest zniszczona. Tak kurewsko zniszczona przez życie.

Nie skupiam się już na jej oczach, ale na tym, żeby dokładnie wymyć jej ciało. Nie rusza się, kiedy to robię. Nie robi nic, kiedy przejeżdżam gąbką między udami, w okolicach piersi czy kolan. Dopiero gdy nasze twarze są na takiej samej wysokości, widzę, jak przetyka ślinę. Bez słowa dotykam jej ramion i obracam ją tyłem do siebie. Włosy ma już mokre, dlatego je też myję. Woda pryska mi po ubraniach, ale mam to gdzieś. Przejeżdżam po jej plecach, masuję palcami głowę... Robię te wszystkie rzeczy i nie spotykam się z żadną reakcją.

Kiedy stwierdzam, że zrobiłem już wszystko, zakręcam wodę. Na jej ciele od razu tworzy się gęsia skórka. Jest jej zimno, dlatego biorę pierwszy lepszy ręcznik i ją nim owijam. Niczym małe dziecko chwytam ją w pasie i znowu ustawiam na dywanie, obok kabiny. Teraz patrzy prosto na mnie. Obserwuje mnie swoim dzikim spojrzeniem. Mam wrażenie, jakby za chwilę miała się zerwać i uciec najdalej, jak się da. Jest przestraszona, a ja nie wiem dlaczego. Biorę w palce mokre kosmyki, które opadają na jej czoło, i zakładam je za ucho.

— Zaraz przyjdę — mówię tylko.

Nie oczekuję odpowiedzi, dlatego idę do jej pokoju. Wyszukuję w szafie parę szarych dresów i luźną koszulkę. Staram się zrobić to dość szybko, bo teraz pewnie marznie w łazience.

Kiedy wracam, ona nadal tam stoi. Wydaje się zamyślona i dopiero w momencie ponownego zamknięcia drzwi wraca na ziemię. Odtąd jej wzrok towarzyszy mi już cały czas. Począwszy od suszenia ciała, przez suszenie włosów, aż do chwili, kiedy pomagam jej wcisnąć ręce w bluzkę. Wyjmuję z szuflady szczotkę i gumkę. Parker przesuwają się na wprost lustra, a ja stoję za jej plecami. Najdelikatniej, jak tylko potrafię, wyczesuję blond włosy, a później biorę się do zaplatania warkocza. Lubię ją w takim wydaniu i jest to w sumie jedyna fryzura, jaką umiem robić, bo nauczyła mnie tego Caroline, kiedy byłem jeszcze gówniarzem.

W mojej głowie panuje pierdolony chaos. Staram się odrzucić to wszystko w kąt i skupić się na niej. Na jej spojrzeniu, ciele, twarzy i włosach. Serce bije mi szybciej, kiedy moje palce dotykają niechcący jej szyi, a ona cicho wzdycha. To pokurwione, bo tak naprawdę nie zrobiła nic wielkiego, ale dobrze wiedzieć, że gdzieś tam jeszcze jest. Że nadal żyje i reaguje na to, co dzieje się wokół niej.

— Chodź — mówię znowu, kiedy odkładam szczotkę na zlew.

Otwieram drzwi do jej sypialni. Czuję zapach truskawkowego szamponu w momencie, gdy mnie mijają.

Wchodzę za nią do pokoju i podchodzę do łóżka. Odsuwam kołdrę, pod którą Parker sprawnie się wślizguje. Opiera się plecami o wezłowie i zaczyna bawić palcami. Całkowicie poświęca im swoją uwagę. Stresuje się. Zawsze tak robi, kiedy jest nerwowa.

— Pójdę po coś do jedzenia i to zjesz, jasne? — pytam, chociaż brzmi to raczej jak stwierdzenie.

Dziewczyna unosi na mnie swoje niebieskie oczy, a ja zaciskam szczękę. Pojebane, ale gdy tak na nią patrzę, jedyne, co mi przychodzi do głowy, to przytulenie jej. Chciałbym to zrobić, jednak jednocześnie coś mnie powstrzymuje.

Nie spodziewając się jakiegokolwiek reakcji, ruszam w stronę drzwi.

— Shaw — odzywa się nagle, a ja zastygam w pół kroku na jej zachrypnięty, cichy głos. Przez

chwile stoję w bezruchu, aż w końcu decyduję się na nią spojrzeć.

„Kiedyś, gdy byłem dzieckiem, mój ojciec powiedział mi, że jeśli poczuję zagrożenie, a ktoś spyta o to, kim jestem, mam przedstawić się swoim drugim imieniem, czyli, Claire...”, „Za kilka lat prawdopodobnie uratuje mi to życie. Kiedyś na pewno ci o tym opowiem...”, „Kiedyś chciałam ze sobą skończyć...” Wszystkie te słowa niezmiennie bombardują moją głowę.

— Wiem — mówię tylko, podświadomie wiedząc, co chciała powiedzieć. Wychodzę z pokoju.

Oczywiście, że wiem. Wiem, że chciała wyznać prawdę już wcześniej, ale przez te trzy dni na haju byłem za bardzo wycięty z życia, żeby cokolwiek zrozumieć. Byłem wkurwiony, bo nic nie pojmowałem. To dlatego nie pomyślałem o powodach jej milczenia.

Schodzę na parter, do kuchni, gdzie siedzi Josephine. Ignoruję jej obecność, bo nie mam ochoty na jakąkolwiek rozmowę. Podchodzę do lodówki i wyjmuję z niej wszystkie produkty. Czuję na sobie wzrok ciotki. Obserwuje każdy mój ruch, zaczynając od krojenia pomidora, a kończąc na parzeniu herbaty.

— Co? — pytam oschle, kiedy zalewam kubek wrzątkiem. Wkurwia mnie to, że się gapi i nic nie mówi. Równie dobrze mogłaby się zająć sobą.

— Możemy porozmawiać?

— A mamy o czym? — Wsympuję dwie łyżeczki cukru do jakiegoś ziołowego gówna, które wygrzebałem z szafki.

Josephine wzdycha na moje słowa. Słyszę, że wstaje i gdzieś idzie.

— Myślę, że trochę się tego nazbierało. — Jej głos nagle się zmienia, dlatego unoszę głowę.

Jest blada. Kurewsko blada.

— Dobrze. — Mieszam sztućcem w kubku i w międzyczasie badam jej reakcję. — Od czego zaczniemy? Od Dominica Warrena? Omara? Czy może tego gówna o jakichś siostrach?

Jo patrzy na mnie zamglonym wzrokiem.

— Chodzi o to, że...

Nagle do moich uszu dociera donośny huk z góry. Ze zmarszczonymi brwiami patrzę na równie skonsternowaną ciotkę. Odstawiam szybko kubek na blat, przez co jakaś część herbaty rozlewa się, parząc mi ręce. Klnę pod nosem i biegnę szybko w stronę schodów. Przeskakuję po dwa stopnie, a za plecami słyszę, że Josephine idzie za mną. Wchodzę do pokoju, w którym jest pusto. Na podłodze leży tylko potłuczona lampa nocna. Drzwi do łazienki są szeroko otwarte. Ruszam w tamtym kierunku.

— Kurwa, Lizzy. — Podbiegam do toalety, nad którą klęczy. Nie myśląc wiele, przejeżdżam otwartą dłońią po jej czole, żeby zebrać kosmyki, które wysunęły się z warkocza i opadają na twarz. Dziewczyna dusi się, kurczowo trzymając muszlę. Kładę rękę na jej plecach i lekko masuję kark. Nie wiem, co innego mógłbym dla niej zrobić. — Lepiej?

Parker unosi głowę i patrzy tępo przed siebie. Zwymiotowała żółcią. Ze związanym w supeł żołądkiem obserwuję, jak palcami przeciera łyzy, które z tego wszystkiego nagromadziły się w jej oczach. Kiedy w końcu na mnie zerka, mruży oczy i uśmiecha się dziwnie. Zamieram. Znam to spojrzenie.

Patrzac na Ciebie tamtej nocy, zrozumiałem, jak bardzo źle jest.

Przemykam oczy, żeby pozbierać jakoś myśli. Prawie się przewracam, kiedy nagle para chudych rąk owija się wokół mojej szyi. Lizzy wtula się we mnie mocno, a ja dębieję, gdy czuję jej dotyk. Z każdą sekundą coraz bardziej zacieśnia uścisk. Gdy dociera do mnie, co się dzieje, przyciskam ją do swojej klatki. Do moich nozdrzy dochodzi zapach whisky.

Kiedy ją wypila? Przecież nie było mnie mniej niż dziesięć minut. Jakim cudem zdążyła się tak szybko upić?

— Przyniesiesz do mojego pokoju herbatę i jedzenie? Jeśli nie zje, będzie tak wymiotowała bez końca — proszę ciotkę, pomijając fakt, że Lizzy jest wstawiona. Jo nie musi tego wiedzieć.

Ciotka stoi w drzwiach, nie kryjąc szoku. Dość długo trawi moje słowa, ale w końcu znika za ścianą.

— Pójdziemy do łóżka, okej? — pytam, a dziewczyna kiwa głową.

Nie wiem, jak mi się to udaje, ale podnoszę się z kolan z Lizzy na swojej szyi. Chwytam ją pod udami i lekko podrzucam, żeby lepiej mi się ją niosło. Kiedy jestem w swojej sypialni, podchodzę do

łóżka i siadam na nim. Dziewczyna wtula się we mnie mocniej. Przez dłuższą chwilę trwamy w tej pozycji, milcząc do momentu, aż Josephine wraca z herbatą i kanapkami, które zrobiłem.

Parker sama w końcu schodzi z moich kolan i wsuwa się pod kołdrę. Spuszcza głowę i patrzy na swoje palce, którymi się bawi.

— Pójdę posprzątać szkło, żeby nikt się nie pokaleczył — mówi ciotka niepodobnym do normalnego głosem.

— Proszę. — Ustawiam talerz na udach blondynki.

Dziewczyna przygląda mu się dłuższą chwilę.

Przełykam ślinę. Organizm Parker jest wycieńczony, ale musi coś zjeść, żeby nie było jeszcze gorzej niż wcześniej. Już teraz jest tragicznie, a jeśli kolejny dzień będzie się głodzić, sprawy skomplikują się jeszcze bardziej.

Podaję Elizie kubek z parującą herbatą, żeby rozgrzać jej żołądek. Przyjmuje go o wiele chętniej, właściwie bez problemu. Mam ochotę odetchnąć z ulgą, kiedy słyszę ciche siorbanie. Dzięki temu w końcu widać lekkie rumieńce na jej policzkach, a ona wreszcie decyduje się coś zjeść. Mało, bo mało, ale ważne, że w ogóle.

— Już nie mogę — stwierdza po kilku gryzach.

— Okej. — Zabieram od niej talerz i odstawiam go na szafkę. — Dopij jeszcze to, co zostało.

Moja głowa paruje od natłoku myśli. Pytań mam coraz więcej, ale nie chcę w tej chwili obciążać nimi Lizzy. Jest w totalnej rozsypce. Była w niej przez trzy ostatnie dni, podczas gdy ja, kurwa, siedziałem naćpany u Logana.

Przez chwilę obserwuję dziewczynę, która co chwilę zaciska szczękę. Zastanawia się nad czymś intensywnie i już mam o to zapytać, kiedy nagle zabiera głos.

— Wszystko zaczęło się zeszłego lata. Poszłam do biura mojego ojca. Rzadko tam bywałam, ale co jakiś czas wpadałam, tak po prostu — prawie szepcze.

W moim gardle formuje się gębla. „Czy ona upiła się po to, aby mi powiedzieć?” — zastanawiam się.

— Nigdy nie pukałam. Tamtym razem było tak samo. Po prostu weszłam, a... a tam siedział on.

— Jaki on? — Marszczę brwi.

Lizzy unosi na mnie puste spojrzenie.

— Frank Rumeli — mówi cicho, jakby było to wielką tajemnicą.

Sposób, w jaki wypowiada imię i nazwisko tego mężczyzny, sprawia, że mój żołądek znów zaciska się w supeł. Nawet go nie znam, ale już wiem, że nie będzie to pozytywna postać w tej historii.

— Kim jest ten człowiek?

Wzrok Elizy błądzi po pokoju. Mam wrażenie, że jej myśli są równie pomieszane co moje i że nie wie, jak w ogóle złożyć zdanie.

— On... Mój ojciec był zadłużony na duże pieniądze u niewłaściwych ludzi — wyjaśnia. Bierze głęboki oddech i kontynuuje: — Nie miałam pojęcia. To właśnie z jednym z nich naszłam go tamtego dnia w biurze. — Waży każde słowo. Widzę to. — Właśnie wtedy poznałam Franka. Pamiętam dokładnie. Nie podobał mi się od samego początku, dlatego kiedy zapytał o moje imię, przedstawiłam się jako Claire. Tata zawsze...

— Kazał używać ci tego imienia, kiedy poczujesz zagrożenie — kończę za nią, na co kiwa tylko lekko głową.

— Tak. Nie myliłam się, bo chwilę później Frank wyskoczył z propozycją. — Jej głos drży coraz bardziej, a ja czuję, jak moje serce mocniej obija się o żebra. — Zaproponował cofnięcie długu w zamian za przysługę. — Przymyka na moment oczy. Wiem, co za chwilę powie.

— Musiałaś poślubić Omara... Ale dlaczego? Co on ma z tym wszystkim wspólnego?

— Omar jest jego bratankiem, który nielegalnie przebywał w Ameryce. — To ma sens. — Wykryto u niego nowotwór i konieczna była, a raczej nadal jest, kraniotomia. Nikt, a szczególnie najlepszy specjalista w kraju, za żadne pieniądze nie zgodził się na przeprowadzenie tak ryzykownego zabiegu bez odpowiednich dokumentów. Wielu lekarzy zrezygnowało ze strachu. Bali się, że jeśli coś pójdzie nie tak, skończą z kulką w głowie. Omar jest jedyną rodziną Franka. To taka jego słabość.

— I twój ojciec się na to zgodził? — Nie potrafię nie unieść brwi.

— Nie, oczywiście, że nie. Od razu odrzucił jego propozycję.

— Więc jak do tego doszło, że za niego wyszłaś?

Może i zadaję za dużo pytań, ale kurwa, naprawdę staram się to zrozumieć.

— Niedługo po tym spotkaniu mój ojciec miał zawał. — Wspominała o tym. Pamiętam, jak prosiła, aby nie mówić mu o sytuacji z Blaze'em, bo Terence jest w złym stanie. — Podupadł na zdrowiu, więc i firma na tym ucierpiała. Miał problem ze spłacaniem wszystkiego, w tym długów u Franka Rumelego. Zaczęli dopominać się o pieniądze, których nie mieliśmy, dlatego to załatwiłam. — Wzrusza ramionami, a jej wzrok znów pada na palce. — Odnalazłam go i zgodziłam się na wszystko. Mój ojciec o niczym nie wiedział. Powiedziałam mu o tym, kiedy podpisałam umowę.

Ona zrobiła to dla swojego taty. Chciała pomóc ojcu, który miał długi. Poświęciła tak wiele, bo on był, kurwa, chory. Wyszła za Omara dla niego. Ja pierdołę.

— Załamiał się, to chyba jasne, ale nie było już odwrotu — mówi spokojnie i to tak bardzo mnie zadziwia. — Jedyne, co mógł zrobić, to pomyśleć o mojej przyszłości. Właśnie dlatego zmienił w papierach moje imię na Claire. On po prostu... kiedy już dojdzie do... rozwodu... Po prostu nie chciał, żebym była kojarzona jakkolwiek z tamtym światem. Omar i Frank i tak znali mnie jako Claire, bo właśnie tak im się przedstawiłam. To ułatwiło sprawę.

— Więc dlaczego tutaj posługujesz się swoim prawdziwym imieniem? Jakby... masz w papierach Claire, tak?

Zaczynam się trochę gubić.

— Ojciec jest prawnikiem. Ma znajomości nawet tutaj, więc nie było problemu z zatuszowaniem tego, że zmieniłam swoje imię. Chciał, aby na wszelki wypadek... żeby mnie nie znalazł. Cóż, nie udało się, bo wytropił mnie już tydzień później. — Śmieje się gorzko, kiedy próbuję ułożyć sobie to wszystko w głowie. — Dokładnie to samo zrobił w Ameryce, aby nikt nie zadawał pytań. Normalnie autentyczność takiego małżeństwa jest sprawdzana, ale on to jakoś załatwił. Nawet nie wnikałam. Chciałam po prostu uciec jak najdalej — mówi obojętnie.

Patrzę na nią i nie potrafię, kurwa, nic powiedzieć. Jest tutaj, bo uciekała przed życiem, które ją zniszczyło. Uciekała przed pierdolonym Omarem. Przez cały ten czas robiła dobrą minę do złej gry. Chciała chronić swojego ojca, ale tym samym wykańczała siebie.

— Próbowałam ci powiedzieć... — Jej głos drży, kiedy znów się odzywa. — Ale za każdym razem brakowało mi odwagi. Najpierw bałam się, że nie zrozumiesz. Później przerażała mnie myśl, że jeśli dowiesz się o tym przed walką, prawda cię przygniecie. Nie chciałam, żebyś był rozproszony, ale Omar mnie wyprzedził.

Mam wrażenie, jakby powietrze w pomieszczeniu znowu zgęstniało. Kurwa. Ta dziewczyna wzięła za dużo na swoje barki. Nawet nie umiem sobie wyobrazić, co musi czuć. Jest młoda, powinna cieszyć się życiem, a tymczasem ucieka przed swoim pierdolonym mężem.

Nienawidzę kłamstw. Brzydzę się nimi, ale jak mam się na nią złościć za to, że chciała dobrze? Jestem pewien, że sam na jej miejscu zrobiłbym to samo, gdyby chodziło o Josephine. Ja pierdołę, prawda jest taka, że zrobiłbym to bez wahania.

— Jest tylko coś, czego w tym wszystkim nie rozumiem — wyznaje, a ja marszczę brwi.

— To znaczy?

Parker unosi na mnie swoje niebieskie oczy.

— Oni cię znają, Chase. Znają Josephine — mówi cicho. — Mam straszny bałagan w głowie i nie potrafię pozbierać wszystkich faktów w całość. Wszystko mi się miesza, ale ja dostałam list...

— Jaki list?

Co ja mam z tym wszystkim wspólnego? Nie znam żadnego Omara, Franka ani nikogo takiego. Nigdy nie miałem styczności z tymi ludźmi.

Parker odsuwa kołdrę. Pomagam jej wstać. Gestem pokazuje, żebym poszedł za nią. Garbi się, a jej kroki są ociężałe. To jasne, że minie trochę czasu, zanim wróci do siebie. Jest wycieńczona i słaba po tym wszystkim, co działo się w ostatnim czasie.

Wchodzimy do jej pokoju. Dziewczyna zapala światło. Ogólnie jest tutaj czysto, ale strasznie

wali alkoholem. Widzę pustą butelkę przy łóżku, pewnie to właśnie ją opróżniła, kiedy byłem na dole.

Podchodzimy do komody, w której blondynka zaczyna grzebać. Kiedy ma już to, czego szukała, odwraca się do mnie, a jej ręce drżą. Nie bardzo rozumiem dlaczego i zaczyna mnie to trochę niepokoić.

— Dostałam go w sobotę. — Widzę, jak przełyka ślinę w stresie.

Odbieram od niej zwitek i rozwijam papier. Co jest, do chuja?

— Skąd masz to zdjęcie?

Znam je. Theresa ma takie w albumie. Pamiętam, że kiedyś zapytałem ją, kto to jest. Powiedziała, że ja i dzieci przyjaciół moich rodziców. Nie pytałem o nic więcej, bo niby po co?

— Odwróć.

Rzucam jej szybkie spojrzenie, a później spuszczam wzrok i robię, co każe.

„Pierwsze święta Aideny, Chase’a i Elizabeth. Pierwsze święta Aideny, Chase’a i Elizabeth. Pierwsze święta Aideny, Chase’a i Elizabeth. Pierwsze święta...”

— Na fotografii jestem ja, jesteś ty i... Aiden, mój przyjaciel — wyjaśnia, kiedy tępo patrzę na zdjęcie.

— Co ty tam robisz? — To jedyne, o co potrafię zapytać po długim milczeniu. Nic z tego nie rozumiem.

— Chase, on nazwał cię Warrenem. To nazwisko Aideny, a ty jesteś na fotografii — mówi, ignorując moje słowa. Sama jest wyraźnie skołowana.

Mam wrażenie, jakby ktoś strzelił mi w mordę.

Jakim, do chuja, Warrenem? Jestem Chase Shaw. Wcześniej nazywałem się Chase Clarke. Nie mam żadnego powiązania z Warrenami — kimkolwiek oni, kurwa, są. Jo nigdy mi nie wspominała o żadnym Warrenie. Powiedziałyby mi, gdyby wiedziała, że znam Elizę, prawda? Na pewno nie wiedziała. To niemożliwe. To nie ma sensu. Powiedziałyby mi, prawda? Zrobiłyby to. Jestem pewien.

— Nie, to niemożliwe. — Kręcę głową. Nie ma opcji, żeby miał z tym wszystkim coś wspólnego.

— Na tej fotografii naprawdę jestem ja. Chase, Omar zna Josephine.

Znów na nią patrzę. Wygląda na równie zagubioną. Nic nie rozumie. Ja też nie, bo to nie ma jebanego sensu.

— Myślę, że oboje wiemy, kto zna odpowiedzi na nasze pytania — mówi po chwili ciszy, a jej wzrok pada na drzwi.

Bez chwili namysłu ruszam przed siebie i zostawiam Elizę. Słyszę, że idzie za mną. W ręce cały czas trzymam to pieprzone zdjęcie. To niemożliwe, żebyśmy mieli cokolwiek ze sobą wspólnego. Przecież Jo by mi o tym powiedziała, gdyby wiedziała. Czemu miałyby ukrywać coś takiego? To nielogiczne.

Wchodzę do kuchni. Jon pisze coś na swoim laptopie, a Josephine przeciera naczynia. Patrzy na mnie z niezrozumieniem. Czuję za sobą obecność Parker. Kładę fotografię na wyspie, między mną a ciotką, i przysuwam ją bliżej niej. Jo przygląda jej się przez chwilę. Nagle trzymany przez nią kubek roztrzaskuje się na podłodze, a ja znam już prawdę. Nie musi nic mówić.

— Cholera — klnie przestraszony Jon na huk, jaki wywołało tłukące się szkło. — Co jest?

Ciotka patrzy tępo na zdjęcie. Jest w szoku, a kiedy już podnosi na mnie wzrok, mam wrażenie, jakby zaraz miała zemdleć.

— Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć? — pytam ostro, gdy ona milczy. Oczywiście, że to robi, no bo, kurwa, co innego miałyby robić. — Zapytam jeszcze raz: kim jest Dominic Warren? I o jakich siostrach mówił Omar?

Przysięgam, że nie wyjdę stąd, dopóki nie dowiem się prawdy.

Warga Josephine drży. Wygląda, jakby za chwilę miała się rozpłakać. W jej oczach widzę tak wiele, że nie jestem w stanie powiedzieć, która emocja w nich dominuje.

— To twój ojciec — szepcze.

Przełykam mocno ślinę.

— Kim więc jest Dominic Clarke?

Ciotka opiera się rękami o blat i spuszcza na niego wzrok, jakby starała się zebrać wszystkie

myśli w całość. Zaciska mocniej powieki i wzdycha ciężko.

— Nikt taki nie istnieje.

Zastygam w bezruchu.

— Jak to, kurwa, nie istnieje? — Akcentuję drugie słowo od końca. — Jak to, kurwa, nie istnieje?!

— Unoszę się i widzę, że Jo się wzdryga. — Dominic Clarke to mój ojciec, który został przygnieciony przez samochód. Od dzieciaka jeździłem na jego grób i zostawiałem jemu i matce kwiaty. Ty też tam, kurwa, byłaś, więc nie wpieraj mi, że ktoś taki nie istnieje! — Moja klatka unosi się szybko.

Nagle czuję na sobie dotyk Parker. Jej chude palce lekko przejeżdżają po moich plecach.

— Kochanie, ja...

— Wyjaśnij mi to! — Uderzam dłonią o blat.

Czuję, jak szczeka mi drży od siły, z jaką ją zaciskam. Nic z tego nie rozumiem. Jo nie mogła mnie okłamać w takiej kwestii. Mój ojciec zginął czternastego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku. Został przygnieciony przez samochód, bo był mechanikiem. Nazywał się Dominic Clarke, a nie Dominic Warren. To na jego grób jeździłem przez te wszystkie lata.

Po policzkach ciotki zaczynają spływać łzy. Nie mam nastroju na pocieszenie jej. Ma mi to wyjaśnić, bo nic nie rozumiem. Widzę, że Jonathan próbuje ją uspokoić — nie mnie. Jakby też doskonale o wszystkim wiedział. Jakby nie był zaskoczony moją reakcją i tym, że o to pytam. Ja pierdołę.

— Clarke to nazwisko twojej matki, a mojej siostry. Warren to nazwisko twojego ojca. Nigdy nie było żadnego wypadku w pracy. Nikt z naszej rodziny nigdy nie zginął w sposób, o jakim ci mówiłam. Wymyśliłam to — szłocha, kiedy ja próbuję przetrwać wszystkie informacje.

— Więc co się z nim stało?

— Powiesił się.

Czuję, jak ręka Parker zastyga na moich plecach. Zamykam na moment oczy i oddycham głęboko.

— Powiedz jeszcze, że moja matka nie zmarła na raka, to będzie śmiesznie. — Prycham pod nosem.

Ciotka patrzy na mnie z bólem w oczach. Jest, kurwa, tak widoczny, jak nigdy. Nigdy wcześniej nie widziałem jej w takim stanie. Trzęsie się z nerwów, a Jon próbuje uspokoić ją tak, jak Lizzy mnie. Ale ja nie zwracam na to uwagi. Nie potrafię, bo jestem skupiony na stojącej przede mną Jo. Kobiecie, która mnie wychowała. Tej, która śpiewała mi przed snem, której przyklejałem plastry, kiedy jej były ją skrzywdził... Kobiecie, która dała mi wszystko, co teraz mam.

— Chase, twoja mama... Lorraine nie umarła.

Po tamtym wieczorze burza rozpełtała się na dobre. Nie wiedziałem, że po niej przyjdzie jeszcze huragan, a później nadciągnie coś, na co żadne z nas nie będzie gotowe... Nie byliśmy gotowi. Byliśmy pieprzonymi, zagubionymi dzieciakami w świecie dorosłych, którzy chcą nas chronić — okłamywali nas przez lata. Nie zdawali sobie sprawy, że kiedy odkryjemy prawdę, ona nas zniszczy...

Rozdział 2

ELIZABETH

Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, jak umrę. Nigdy nie szukałam odpowiedzi na to pytanie, bo wiedziałam, że i tak go nie znajdę. Śmierć jest czymś, co przychodzi nagle. Nie da się być na nią przygotowanym. Nawet gdy jesteśmy świadomi nieuleczalnej choroby.

Może i wbijamy sobie do głowy, że lada moment kogoś bliskiego zabraknie. Może i wmawiamy sobie, że jakoś to zniesiemy. Ale prawda jest taka, że gdy ten ktoś umiera, uświadamiamy sobie, że nie byliśmy gotowi, choć przecież wiedzieliśmy, że to nadejdzie. Śmierć, szczególnie bliskiej nam osoby, nie jest egzaminem, na który musimy się przygotować. Tu nie ma regulek do wyuczenia, definicji czy właściwej odpowiedzi. Ona po prostu jest. Przychodzi i zbiera żniwo, pozostawiając pustkę. Nicość, która wyżera nas powoli, boleśnie od środka.

Pamiętam jeden z tych dni, w którym leżałam na dachu u boku Aideny. Wcześniej przeczytałam wiele teorii na temat tego, co jest po śmierci. Rozbieżność zdań tak bardzo mnie zafascynowała, że myślenie o tym skradło sporą część mojego czasu. Sama zaczęłam snuć własne domysły, a że byłam wtedy osobą wierzącą, najbardziej prawdopodobny wydawał mi się podział dusz na te, które trafiają do piekła, i te, które idą do nieba. Rzecz w tym, że moje wyobrażenie tych miejsc różniło się od stereotypowych.

Dla mnie piekło nie było spowite ogniem, jak ukazywały to widziane przeze mnie obrazy. W moim odczuciu należało raczej do ciemnych dziur, w których dusza dygotała z zimna, płonąć jednocześnie. Wiem, że dla wielu nie ma to sensu, ale właśnie tak to widzę. Przed oczami mam dwie sprzeczności. To trochę jak gorączka, w której drżymy i pocimy się w tym samym czasie. Staramy się złapać dech, na płucach czujemy ciężar, a wszystko wokół wydaje się zniekształcone. Czujemy wszystko i nic. Nasze myśli mieszają się ze sobą. Palimy się i zamazujemy. Umieramy bez końca.

Niebo natomiast wcale nie kojarzyło mi się z chmurkami, bielą i czystością. Dla mnie nie miało to sensu, choć w rzeczywistości ma go zapewne bardzo wiele. Osobiście widzę je raczej jako łąkę. Jest na niej mnóstwo maków, a ja leżę w ich objęciach. Obok mnie znajdują się ludzie, których kocham. Uśmiechają się. Są szczęśliwi, więc i ja taka jestem. Wokół panuje spokój i harmonia. Nirwana[1].

Otwieram ociężałe powieki, powoli przyzwyczajam się do panującej wokół jasności. Mrugam kilkakrotnie. Gdy wzrok nabiera ostrości, patrzę w biały sufit nade mną. Przez chwilę leżę w bezruchu, starając się pojąć, gdzie się znajduję i jaki mamy dzień. Dopiero kilka, a może nawet kilkanaście minut później w mojej głowie pojawiają się obrazy poprzedniego wieczoru.

Był tutaj. Dlaczego wrócił? Jak bardzo jest mną zawiedziony? Jak bardzo żałośnie musiałam wyglądać, skoro się mną zajął, o nic nie pytając? Nie chciałam, cholera, nadal nie chcę jego litości. Myśl o tym, że to właśnie ona pchnęła go do opieki nade mną, budzi we mnie zażenowanie własną osobą. Wewnętrznie krzyczałam, aby mnie nie dotykał. Nie chciałam czuć jego dłoni na swoim ciele. Nie chciałam, bo wiedziałam, że zaraz ich tam nie będzie i pozostawią tylko chłód na mojej skórze, podczas gdy tak bardzo łaknęłam więcej.

Przekręcam głowę w prawo, wzdychając cicho. Nie ma go. Podejrzewałam, że tak będzie. Czulałam, że po milczeniu, które nastąpiło wraz z wyznaniem Josephine i trwało aż do momentu naszego zaśnięcia — on zniknie. Nie potrafię sobie wyobrazić, co musi czuć. Jak bardzo musi cierpieć z myślą, że przez te wszystkie lata żył w zakłamaniu. Każdego roku opłakiwał swoich rodziców, aby po latach dowiedzieć się, że jego matka wcale nie umarła. Nie rozumiem tego. Dlaczego go opuściła?

Ostatnie trzy dni spędzone w swoim własnym towarzystwie na parapecie poświęciłam na analizę wszystkiego, co się wydarzyło. Nadal wiele rzeczy nie ma dla mnie sensu, ale mimo to próbuję jakoś to pojąć. Omar zna Josephine i powiedział, że Chase tak naprawdę nazywa się Warren. Aiden również ma takie nazwisko. Wyjaśniałoby to wiele innych spraw z przeszłości. Mam na przykład na myśli kłamstwo

mojego ojca, który przez lata wmawiał mi, że Natalie to jego matka.

Wierzyłam w to, choć Aiden zawsze zwracał się do niej po imieniu. Prawdę odkryłam, gdy chłopak złamał rękę. To była głupota, ale wtedy właśnie macocha przyznała przed lekarzem, że jest jego ciotką. Nie wiem, dlaczego to zrobiła. Gdy poruszyłam ten temat z ojcem — zbył mnie, zostawił bez jakiegokolwiek wyjaśnienia. Jeśli więc Aiden nie był synem Natalie, a Josephine nie była matką Chase'a, mogłoby to oznaczać, że są braćmi. To brzmi niewiarygodnie. W momencie gdy pierwszy raz przeszło mi to przez myśl, miałam ochotę się zaśmiać, ale im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym większego sensu nabierała moja teoria. Wtedy sobie uświadomiłam, że jeśli to jest prawda — bracia zostali rozdzieleni. Pytanie brzmi: dlaczego?

Gdy wracałyśmy z Chawton, Josephine wyznała mi prawdę o ojcu Chase'a. Był zadłużony i się powiesił. Do wczoraj śmierć jego matki przez postrzał wydawała mi się logiczna, ale gdy dowiedziałam się, że nie umarła, zgłupiałam zupełnie.

Nic już nie rozumiem. To dla mnie za wiele.

Wiem, że jest jakaś rzecz, którą pomijam. Staram się przypomnieć sobie słowa, które opuściły usta Omara, ale nie potrafię. Byłam w zbyt dużym szoku, aby zapamiętać to wszystko. Nie spodziewałam się go w domu Shawów, to chyba jasne. Zaskoczył mnie. No i do tego ten list. Zdjęcie, na którym byliśmy ja, Aiden i Chase. Zналиśmy się, ale nie mieliśmy o tym pojęcia. Przynajmniej ja i Chase nie mieliśmy. Co do Warrena mam coraz więcej mieszanych uczuć.

Mam wrażenie, jakby wszystko, co obecnie dzieje się wokół mnie, było tylko złym snem, z którego zaraz się obudzę. W jeden dzień moje życie wywróciło się do góry nogami, choć to nie ja byłam tutaj najbardziej pokrzywdzona. To Chase'owi oberwało się najmocniej. To jego skrzywdziłam kłamstwem, dokładnie tak jak Josephine i reszta. Chciałabym mu jakoś pomóc, uśmierzyć ból i zakleić każdą ranę, ale nie wiem, od czego miałabym zacząć.

Z przemyśleń wrywa mnie dźwięk otwieranych drzwi. Przekręcam delikatnie głowę. Moje serce zaczyna mocniej bić, kiedy widzę w nich jego. Stoi tam. Ubrany w czarną koszulkę, bluzę i obcisłe spodnie. Z mokrymi włosami i torbą na ramieniu. W rękę trzyma jakąś reklamówkę.

— Cześć — mówi tylko, pozbywając się sprawnie plecaka.

Kładzie na pościeli papierową siatkę i zajmuje miejsce obok mnie. Jego wzrok skupiony jest na zawartości opakowania. Obserwuję go uważnie. Wygląda tak... normalnie. Jak wczoraj. Tak, wtedy też tak wyglądał, ale teraz jego głowa pełna jest nowych informacji. Mimo to wydaje się dobrze trzymać. Nie rozumiem tego.

— Masz.

Siadam, kiedy Chase wyjmuje z torby burgera i frytki. Kładzie je na moich kolanach.

— Zjedz to i idź się ubierz. Weź też dodatkowe ubrania na jeden dzień.

Patrzę na chłopaka z niezrozumieniem, jednak on nie zauważa mojego spojrzenia. Po prostu zajada się fast foodem i grzebie w swoim telefonie.

— Dokąd jedziemy?

Chase w końcu unosi na mnie wzrok, a rażąca zieleń jego oczu sprawia, że przełykam ślinę. Nie wiem, co się dzieje. Nie lubię nie wiedzieć.

— Najpierw zjedz.

Otwieram opakowanie z kanapką i biorę dużego gryza. Chcę odpowiedzi. Tylko po to to robię.

— Więc? — pytam z pełnymi ustami, nie potrafiąc pohamować ciekawości.

— Na wycieczkę — rzuca w końcu, ponownie skupiając uwagę na ekranie. — A teraz jedz.

— To znaczy? — dociekam.

Jego spokój mnie przeraża. Jest zbyt cichy. Wołałabym, żeby rzucał przedmiotami, krzyczał, cokolwiek. On jednak sprawia wrażenie nieprzejętego faktem, że jego mama żyje. Zachowuje się tak, jakby wczorajsza rozmowa nie miała miejsca. Ale ona się odbyła. Pamiętam każdy jej szczegół. Dlaczego on tak się zachowuje?

Shaw wyciera ręce w materiał spodni. W trzy minuty pochłonął całą zawartość pudełka, podczas gdy ja wzięłam zaledwie jeden kęs. Chłopak wstaje na nogi z obojętnością wymalowaną na twarzy. Rozgląda się po pomieszczeniu, a jego wzrok pada na szafę.

— Bangor — oznajmia nagle tak, jakby było to najbardziej oczywistą rzeczą na świecie.

Podchodzi do torby, z której wyjmuje spodenki treningowe, i rzuca je gdzieś w kąt. Następnie otwiera szafę, a już chwilę później na podłodze łądują spodnie, bluza i bokserki. Z fast foodem na kolanach bacznie obserwuję jego poczynania. Robi wszystko szybko i naturalnie. Na jego twarzy nie maluje się złość ani smutek. Jest to raczej neutralny wyraz, bardzo przyjemny dla oka. Gdybym nie wiedziała, co wydarzyło się wczorajszego wieczoru, pomyślałabym, że wszystko z nim w porządku.

— Co jest w Bangor?

Czy musi tak to wszystko przeciągać? Czy nie może powiedzieć wprost, o co chodzi?

Brunet znów na mnie patrzy, a jego wzrok pada na moje kolana. Przewraca oczami tak, jak ma to w zwyczaju. Przysięgam, że zaraz zwariuję.

— Skończysz to w samochodzie. — Ignoruje moje pytanie.

To bez sensu. Odsuwam kołdrę i aż się wzdrygam. Bardzo powoli zsuwam się z łóżka. Moje ciało jest obolałe od pozycji, w jakiej spędziłam ostatnie dni na parapecie. Leniwym krokiem ruszam w stronę łazienki. Nie rozumiem jego zachowania, ale mam nadzieję, że niebawem coś rozjaśni mój umysł.

Kiedy docieram do swojej sypialni, krzywię się na zapach alkoholu. Uchylam okno, po czym podchodzę do szafy. Wyjmuję ubrania na dwa dni oraz piżamę, bo jeśli dobrze zrozumiałam — nie wrócimy dziś na noc. Nie mam pojęcia, czy Josephine wie cokolwiek na ten temat. Jeśli nie, czy powinnam ją o tym poinformować? Mimo wszystko będzie się pewnie martwiła. Ech, chrzanić to.

Rozglądam się po pomieszczeniu, a mój wzrok pada na telefon. Nie ruszyłam go przez ostatnie dni, choć wibrował nieustannie. Nie miałam siły na cokolwiek, a przede wszystkim — na jakiegokolwiek rozmowy. Na ekranie wyświetlają mi się cztery najnowsze powiadomienia.

Od: Zoe

Dlaczego nie ma was w szkole? Logan mówi, że nie czujesz się najlepiej, ale Chase'a też nie ma. Odezwij się.

Od: zimnysuk

odbierz ten cholerny telefon!

Od: Caroline

Jutro wieczorem będę w Crosby.

Ignoruję wiadomości od Aideny oraz Caroline. Nie mam ochoty z nikim pisać, dlatego informuję tylko Zoe, że u mnie wszystko w porządku. Stukam również szybką informację do Josephine.

Do: Josephine

jedziemy za miasto. wrócimy jutro

Odrzucam telefon na pościel. Zakładam parę džinsów, białą koszulkę oraz sweterek, a pozostałe ubrania wkładam do torby. Głowa mi paruje. Staram się złożyć to wszystko w jakąkolwiek całość, ale nie potrafię. Zastanawiam się, jak się czuje Josephine. Wiem, że zależy jej na siostrzeńcu, i nie umiem sobie wyobrazić, jakim bólem musiało być dla niej wyznanie prawdy.

Kiedy już jestem spakowana, idę do łazienki. Myję dokładnie zęby, co zajmuje mi więcej czasu niż zwykle. Maluję rzęsy maskarą. Gdy widzę się w lustrze, mam ochotę się rozpłakać. Nie wiem, w którym momencie zrobiłam się tak emocjonalna, ale nie podoba mi się to. Mam tylko nadzieję, że Chase tego nie widzi. Nie chcę, aby dostrzegał moje słabości. Nie chcę jego litości, bo to takie głupie. Jest dobrym człowiekiem, za dobrym. I właśnie dlatego wrócił.

Wciskam do kosmetyczki kilka niezbędnych, po czym wracam do pokoju i dorzucam ją do torby. Ładowarka, portfel... Niecałe pięć minut później jestem gotowa. Dyszę ciężko, jakbym była po maratonie, chociaż nie zrobiłam nic nadzwyczajnego.

Pukanie do drzwi sprawia, że prostuję się niczym struna. Chase bez pozwolenia wchodzi do mojego pokoju. W rękę trzyma torbę oraz papierową reklamówkę z jedzeniem. Rozgląda się po pomieszczeniu, po czym zatrzymuje wzrok na mnie.

— Gotowa? — pyta beznamiętnie.

Nienawidzę tego tonu. Staram się zignorować ścisk w dole brzucha, przez który znów mam ochotę zwrócić wszystko, co zjadłam, ale nie potrafię. Kiwam jedynie głową, biorę swoje rzeczy, a z łóżka zgarniam telefon. Widzę na wyświetlaczu kolejne powiadomienia, dlatego nie chcąc się więcej

stresować, wyłączam urządzenie całkowicie i wciskam je do kieszeni.

Z chłopakiem u boku idę na parter. Dom jest pusty, a ja dopiero teraz dostrzegam, że za chwilę wybije druga. To oznacza, że wszyscy są jeszcze w pracy, a ja przespałam pół dnia. Matko.

Wciskam sprawnie swoje ukochane znoszone vansy, niezmiennie czując na sobie wzrok bruneta. Kiedy jestem już gotowa do wyjścia, opuszczamy budynek, zamykamy go, a następnie pakujemy bagaże do chevroleta.

— Czy ty kiedykolwiek nauczysz się zapinać pasy? — burczy pod nosem, odpalając samochód.

Tak bardzo nie lubię, gdy zwraca się do mnie w ten sposób. Wiem, że zasłużyłam na chłodne traktowanie. Cholera, dziwię się, że w ogóle jeszcze ze mną rozmawia. Chciałabym umieć wyłączyć uczucia, ale nie wiem jak. Względem niego wydaje się to niemożliwe, dlatego jedyne, co mogę zrobić, to udawać, że ich nie mam.

— Jedziemy do jedynej osoby, która zawsze chciała prawdy — mówi nagle.

Nie odpowiadam. Przenoszę wzrok na ulicę. Do kogo jedziemy? Kim jest ta osoba? Czy ją znam? Myślę o Caroline, ale przecież ona jest w Manchesterze.

— Wymiotowałaś jeszcze? — pyta po dziesięciu minutach ciszy, zagłuszonej muzyką z radia.

— Nie — odpowiadam automatycznie.

Cieszy mnie to, bo naprawdę bardzo się męczyłam. Nie miałam już czego zwracać, więc pozostała tylko żółć. Okropne uczucie.

— To dobrze.

Nagle jego dłoń łąduje na moim udzie, a moje ciało spina się na ten dotyk. Czuję, jak ciepło rozlewa się po moim wnętrzu, paraliżując mnie. Kiedy kciuk chłopaka zaczyna kreślić małe kółka na materiale dżinsów, mam wrażenie, jakbym z każdą chwilą słabła coraz bardziej. Dlaczego to robi? Dlaczego tak bardzo miesza mi w głowie?

Patrzę na bruneta, który nawet na chwilę nie spuścił wzroku z drogi. Każdy jego ruch jest naturalny. Nie wydaje się zestresowany ani nieświadomy swoich czynów. Nie rozumiem go. Jest chodzącą sprzecznością.

— Opowiedz mi coś o sobie. — Rzuca mi krótkie spojrzenie.

Dłoń znika z mojego uda, aby zmienić bieg. Obserwuję, jak chłopak wychyla się ze swojego siedzenia. Po chwili na moich kolanach łąduje torebka z jedzeniem, którego nie skończyłam, a palce Chase'a wracają na pierwotne miejsce nad moim kolaniem.

Wyjmuję burgera i frytki, nie myśląc nawet o jakiegokolwiek dyskusji. Im dłużej z nim jestem, tym większy głód czuję. Wcześniej nie zwracałam na to uwagi, bo stres pożerał mnie od środka, ale teraz jest obok. A kiedy jest obok, nie boję się. Nie umiem tego wyjaśnić. Nie potrafię nie czuć się bezpieczna czy spokojna, gdy on jest w pobliżu. Nawet w takich okolicznościach.

— A od czego mam zacząć? — pytam, po czym wgrzynam się w kanapkę.

Kącik jego ust się unosi.

— Najlepiej od początku — mówi, gdy wjeżdżamy na autostradę.

Poprawiam się na fotelu i oblizuję usta. Nie bardzo rozumiem, do czego prowadzi ta rozmowa, ale niech będzie. Mam nadzieję, że Chase nie podejrzewa, że skłamię, choć nie zdziwiłabym się, jeśli takowa myśl przeszłaby mu przez głowę.

— Urodziłam się ósmego listopada w Santa Monica. Mój ojciec nazywa się Terrence, a mama Margaret. — Gdy wypowiadam imię kobiety, czuję coś dziwnego. Nie wiem, co mam myśleć o tym wszystkim, szczególnie teraz. — Zmarła, gdy miałam niecałe cztery miesiące. Kilka lat później mój ojciec ponownie się ożenił. Z Natalie. Od tamtej pory ona i Aiden mieszkają z nami, choć nie pamiętam, kiedy to dokładnie było.

— Aiden to jej syn?

— Siostrzeniec — poprawiam. Kiedy nic nie mówi, kontynuuję: — W zasadzie nie mam wiele do powiedzenia. Moje życie było raczej proste. Chodziłam do szkoły, uczyłam się, a później związałam się z moim pierwszym i jedynym chłopakiem, Nate'em. — Czuję, jak dłoń chłopaka zaciska się na moim udzie, gdy wypowiadam jego imię. — Było w porządku i...

— Uderzył cię — przypomina.

— Tak. Ale tylko jeden raz.

Chase prycha pod nosem.

— Jesteś głupia, Parker. Serio, bronisz go po czymś takim? — Unosi brwi, posyłając mi pełne politowania spojrzenie.

— Ja go nie... No dobrze, może masz rację. Jestem głupia.

— Nie w tym rzecz. Po prostu dla mnie typ, który podnosi rękę na kobietę, robi jej jakieś pojebane zdjęcia, a później je rozsyła, jest zwykłym śmieciem. Dziwi mnie, że ty tak normalnie się o nim wypowiadasz. Gdybym go kiedyś spotkał, źle by się to skończyło. — Jego głos jest chłodny. Nie potrafię nie zareagować uśmiechem, bo to naprawdę fajne, że ma takie zdanie. — Jesteś za dobra, Elizabeth — mówi cicho, a bicie mojego serca przyspiesza, kiedy wypowiada moje pełne imię.

On rzadko go używa. Cholera, prawda jest taka, że powiedział tak do mnie tylko raz. Nawet nie wiem, dlaczego o tym myślę. Przecież to nic takiego, prawda?

— Nie jestem dobra. Zrobiłam wiele złych rzeczy. Okłamałam wiele osób, zataiłam... Dobry człowiek nie kłamie. — Wkładam do ust frytkę.

— Czasem po prostu nie mamy wyjścia.

Nie odpowiadam. Czy właśnie takie zdanie ma na ten temat? Czy uważa, że nie miałam wyjścia i dlatego to zrobiłam? Chciałabym wejść na moment do jego głowy i zrozumieć, co skrywa ten chłopięcy umysł. Myślę, że nieźle bym się zdziwiła.

— Czy Omar kiedykolwiek dotknął cię bez twojej zgody? — pyta nagle, a ja zamieram z ręką w powietrzu. — Okej — mówi po chwili ciszy, która zapanowała między nami.

On wie. Oczywiście, że wie, a ja nie muszę na to odpowiadać. Chase Shaw jest inteligentny. Potrafi dodać dwa do dwóch i połączyć fakty czy wyciągnąć wniosek z milczenia. Zauważyłam to już dawno temu. Od początku wyróżniał się na tle swoich znajomych. *Milczący obserwator, usilnie chroniący wszystkie kobiety na tym świecie.* Chase Shaw jest za dobry na ten świat.

Patrzę na budynek z czerwonej cegły. Ma spadzisty czarny dach i okiennice. W ogrodzie do życia budzą się rośliny, a mury domu obrasta bujny zielony bluszcz. Przywodzi mi na myśl chatę hobbita, choć gdybym zapytała o to kogokolwiek, nikt zapewne nawet by o tym nie pomyślał. Jestem kiepska w porównaniach, w każdym razie — posiadłość prezentuje się bajkowo.

Obracam głowę w kierunku stojącego obok mnie Chase'a. Zamyślony przygląda się widokom przed nami. W rękę trzyma torby. Chwilę wcześniej pokłóciliśmy się o to, czy mogę wziąć swoją sama. On uparł się i tak oto skończyłam z niczym.

Podróż do miejscowości o nazwie Bangor zajęła nam prawie dwie godziny. Poza rozmową o mnie nie mówiliśmy wiele, bo zasnęłam. Często tak mam, gdy gdzieś jadę. Nie potrafię nad tym zapanować.

— Co to za miejsce? — pytam, bo naprawdę nie rozumiem, co tu robimy.

— Chodź. — Ignoruje moje słowa i rusza przed siebie.

Zachowanie Shawa z lekka przeraża. Jego spokój mnie dobija. Jest przesadnie normalny, a to niemożliwe, aby ktokolwiek reagował w ten sposób. W dodatku zabrał mnie prawie osiemdziesiąt mil od Crosby. Dlaczego wyjechaliśmy prawie osiemdziesiąt mil od Crosby?

Rozglądam się dookoła. Mimo że mamy dopiero początek marca, tu jest już zielono. W przyszłości zdecydowanie mogłabym zamieszkać w takim miejscu jak to. Podoba mi się.

Shaw przekłada bagaże do jednej ręki, a drugą sięga do dzwonka, który automatycznie rozbrzmiewa wewnątrz budynku. Posyła mi ostatnie spojrzenie. Słyszę szmery po drugiej stronie, następnie dźwięk przekręcanego klucza, a już chwilę później w drzwiach staje...

— Cześć, Gerard — mówi brunet.

Dębieję.

To Gerard. Mężczyzna, który pomógł mi z walizkami na lotnisku. Ten sam, którego widziałam na nagraniach z monitoringu pod domem Shawów. To on podrzucał mi listy. Co my tu robimy? Dlaczego tutaj jesteśmy? Kim on jest?

— Spodziewałem się was. — Uśmiecha się, mierząc od góry do dołu Chase'a, a następnie mnie. „No ja ciebie tak nie do końca” — myślę.

Nasze spojrzenia spotykają się. Oczy Gerarda są niebieskie. Jest siwy i zgarbiony. Dostrzegam mnóstwo zmarszczek na jego twarzy. Ma na sobie brązowe spodnie i tego samego koloru sweter. Wygląda normalnie, niegroźnie, dokładnie tak, jak go zapamiętałam z naszego spotkania, gdy wylądowałam w Liverpoolu. Kim zatem jest Gerard i dlaczego się nas spodziewał?

Przełykam gulę, starając się zapanować nad bałaganem, jaki w przeciągu sekundy zrobił się w mojej głowie. Dostarczyciel listów zna Chase'a. Jesteśmy w miejscu, gdzie znajduje się jedyna osoba, która zawsze chciała prawdy. Czy to on jest tą osobą? Czy to on chciał, abyśmy odkryli wszystkie karty? Mam wiele pytań, ale żadne z nich nie opuszcza moich ust, bo jestem w zbyt wielkim szoku.

To jest Gerard. On zna Shawa. To on. Matko.

— Chase! Słoneczko! — Zza pleców mężczyzny dociera do mnie słodki kobiecy głos, a już chwilę później moim oczom ukazuje się kobieta, trochę niższa ode mnie. Jest równie zgarbiona co Gerard, jej włosy są siwe, spięte w idealny kok, a makijaż staranny i delikatny. Wygląda na przemiłą starszą panią, z którą chętnie wdałabym się w pogawędkę na przystanku autobusowym. Czy to...

— Cześć, babciu. — Na ustach chłopaka maluje się lekki uśmiech. Brunet zamyka staruszkę w objęciach, trwają tak kilka bądź kilkanaście sekund. Nie wiem, nie jestem pewna, bo drugi raz w przeciągu chwili zdębiałam.

Jesteśmy w Bangor. U babci Chase'a. To Theresa, kobieta, o której mówiła mi kiedyś Josephine. To jest jej mama.

— Jak miło, że przywiozłeś w końcu Elizabeth. — Zielonooka patrzy na mnie z ciepłym uśmiechem. — Skóra zdjęta z Margaret...

Spinam się na te słowa.

— Dzień dobry.

Gdy się odzywam, kobieta zamyka mnie w szczelnym uścisku.

— Wejdźcie do środka dzieci, bo zimno — mówi, cofając się w głąb budynku.

Patrzę na Chase'a, który przepuszcza mnie w drzwiach. Robię kilka kroków w przód i stoję przy ścianie obok wejścia do jakiegoś pomieszczenia. Hol jest utrzymany w brązach i czerwieni. Są tu dębowe meble, wieszak na ubrania i fotel.

Brunet zdejmuje buty bez jakiegokolwiek nachylenia się, dlatego również to robię, tyle że normalnie. Odkładam obuwie w kąt i idę za chłopakiem, który czeka na mnie w przejściu do — jak się chwilę później okazuje — salonu. Urządzony jest w starym stylu. Przeważają tu barwy brudnej zieleni. Nie sądziłam, że taki kolor może dać przytulność wnętrzu. Cóż, myliłam się.

Razem z Chase'em siadamy na kanapie w kwieciste wzory. Chłopak rozgląda się po pomieszczeniu, a jego wzrok zatrzymuje się na mnie. Z obojętnością wymalowaną na twarzy kładzie rękę na oparciu za moją głowę.

— Co słyhać, Chase? — zagaduje Gerard.

Słyszę dźwięk objajających się o siebie kubków i gwizd czajnika.

— Poza tym, że dowiedziałem się o sfałszowanej śmierci matki? To ogólnie zajebicie, a u ciebie?

Siedzący naprzeciwko nas mężczyzna wzdycha ciężko. Nie komentuje tych słów. Niedługo potem do salonu wchodzi Theresa. Stawia tacę na stole i podaje nam kubki z parującym naparem.

— Tak na dobrą sprawę nie zapytałam, co chcecie, ale skoro już zrobiłam herbatę, to nie marudźcie i wypijcie — rzuca kobieta, zajmując miejsce na jednym z foteli. Okej, chyba wiem, po kim Chase ma taki charakter. — Josephine dzwoniła, że już wiecie, więc jak przypuszczam, właśnie po to tutaj jesteście? — pyta, patrząc to na mnie, to na chłopaka.

Cóż, chętnie bym odpowiedziała, ale nie mam zielonego pojęcia, bo Shaw nic mi nie powiedział.

— No, a po co innego? — Brunet przewraca arogancko oczami, a Theresa zaraz po nim.

O matko, ale to dziwne.

Zapada cisza. Obserwuję, jak kobieta wysypuje do kubka trzy łyżeczki cukru i leniwie miesza. Gerard natomiast patrzy na mnie z zaciekawieniem. Co jakiś czas zerka również na bruneta. Widzę

uśmiech błakający się na jego ustach. Myśli o czymś intensywnie, po czym bierze swoją herbatę.

— Widzisz to? — Mężczyzna patrzy na Theresę. Wskazuje głową w naszą stronę. Wzrok kobiety ponownie pada na naszą dwójkę. — Mam wrażenie, jakbyśmy cofnęli się w czasie. — Śmieje się cicho.

— Tak, o tym samym pomyślałam — mówi, zakrywając usta naczyniem.

Czuję się niewidzialna, gdy tak ze sobą rozmawiają. To dość niezręczne, bo nie wiem, o co im chodzi.

— Po prostu bardzo przypominacie pewną parę przyjaciół, która zwykła tak siadać — wyjaśnia, jakby czytała mi w myślach.

— Margaret Smith i Dominic Warren nigdy nie przejmowali się tym, co mówili inni o ich zachowaniu. Byli jak stare dobre małżeństwo — dodaje Gerard.

— Właśnie dlatego twoja mama nie żyje, Elizo.

Chłopak obok mnie obrusza się na słowa babci. Ja również to robię. Nagle kanapa nie jest już tak wygodna jak wcześniej.

— Chcemy prawdy. — Głos Chase'a znów jest chłodny i beznamiętny.

— I prawdę dostaniecie. — Kobieta wzrusza ramionami, po czym wstaje. Podchodzi do komody, w której czegoś szuka. — Dobrze wiesz, Chase, że zawsze jej chciałam. Jesteś inteligentnym chłopcem. Czulałam, że po wszystkim przyjedziesz właśnie tutaj — mówi, a chwilę później wraca na swoje miejsce z albumem.

Mam wrażenie, że wszystko, co się teraz dzieje, jest tylko złym snem, z którego lada moment się wybudzimy. Nie mam pojęcia, jakim cudem oboje zachowujemy spokój, gdy wszystko wokół płonie.

Theresa wyjmuje fotografię, którą kładzie na stole przodem do nas. Zdjęcie jest dokładnie takie samo jak to, które otrzymałam kilka tygodni temu. Margaret ma na sobie śliczną czerwoną sukienkę, a jej włosy są upięte w idealny kok.

— Manus manum lavat — mówi cicho kobieta, jednak wyłapuję to i unoszę głowę. — Ręka rękę myje. Właśnie te słowa znalazły się w pierwszym liście. Prawda, Elizo? — pyta, unosząc brew.

— Jakim liście? — wtrąca Shaw.

Serce bije mi niemiarkowo. To ona je wysyłała. Ona zapisała te słowa.

— Josephine i Terrence kazali mi milczeć i nie mówić ci prawdy... ale o Elizabeth nie wspominali. — Uśmiecha się, a w jej oczach dostrzegam dziwne iskierki.

Patrzę na Chase'a. Nie jest zły ani zawiedziony. Raczej obojętny. Nienawidzę tego, bo nie mam pojęcia, co chodzi mu po głowie, a tak bardzo chcę to wiedzieć.

— W każdym razie... — Theresa uderza dłońmi o uda, ściągając naszą uwagę. — ...Margaret i Dominic poznali się jako dzieci. Nie znam szczegółów tej relacji, ale wiem, że zawsze byli ze sobą blisko. Warren i moja córka, a twoja matka, poznali się, gdy ta była jeszcze nastolatką. Lorraine zakochała się w nim do szaleństwa. Osobiście nigdy go nie lubiłam. Twój ojciec pewnie przewraca się teraz w grobie przez to, co mówię, ale w moich oczach był i zawsze będzie kanalią. — Jej szczęka napina się, gdy na nas patrzy.

Mój wzrok pada na Gerarda, który w milczeniu przygląda się naszej dwójce.

— W którymś momencie dowiedziałam się o ciąży Lorraine. Byłam wściekła, ale zażądałam ślubu. To nie były czasy, kiedy samotne matki były czymś normalnym. Dominic zgodził się ją poślubić i nie powiem, przez kilka lat radził sobie całkiem nieźle. Lorraine była szczęśliwa, wszystko się układało. Problem w tym, że twój ojciec od zawsze był zachłannym i samolubnym człowiekiem. To właśnie te cechy go zgubiły. Pazerność i miłość do Margaret.

Mam wrażenie, że wszystkie kolory odpłynęły z mojej twarzy. Znowu nic nie rozumiem.

— Dominic zbankrutował. — Powtarza dokładnie te same słowa, które usłyszałam od Josephine, gdy wracaliśmy z Chawton. — Był jednak zbyt dumny, aby się do tego przyznać. Był też zazdrosny o Terrence'a, twojego ojca, który już wtedy całkiem nieźle radził sobie jako prawnik — mówi z pewnego rodzaju obrzydzeniem. — Warren nie chciał wyjść na nieudacznika, dlatego poszedł do kasyna, gdzie zaczął grać.

Patrzę na Chase'a, który z uwagą pochłania słowa babci. Jest niewzruszony, choć wydaje mi się, że w jego wnętrzu panuje istny harmider.

— Stracił wszystko, co miał, i właśnie wtedy trafił na mężczyznę o imieniu Frank. Myślę, że wiesz, o kim mówię, Elizo. — Kobieta patrzy na mnie, a ja zamieram. Czuję na sobie wzrok Shawa, ale nie potrafię go odwzajemnić, bo czuję się niczym zamrożona na wspomnienie o Rumelim. — Dominic Warren zawarł pakt z diabłem. Zaczął pracować dla tego mężczyzny. I wtedy po raz kolejny dała o sobie znać jego zachłanność. Frank mu zaufał, a on to wykorzystał. Ktoś jednak zorientował się, że Dominic nie jest szczerzy. Ten człowiek chciał donieść na twojego ojca, a on... on go zabił. Byle tylko nie zostać zdemaskowanym.

O mój Boże...

— Frank zareagował natychmiast i bardzo szybko odnalazł winowajcę. Czternastego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku...

„To dzień śmierci mojej mamy” — myślę sobie.

— ...Lorraine zabrała z domu dzieci, po czym poszła do jedynej osoby, która potrafiła wpłynąć na Dominica.

— Do mojej mamy.

Theresa posyła mi smutny uśmiech. Mam wrażenie, że coś we mnie umarło. Nie wiem, czy chcę słyszeć zakończenie tej historii.

— Tamtego dnia Margaret poszła do Dominica, aby z nim porozmawiać. Nie znam szczegółów, ale prawdopodobnie ci ludzie naszli ich w domu. Dominic dopuścił się morderstwa na bliskiej Frankowi osobie, dlatego ten postanowił zadać mu taki sam cios. Oko za oko, ząb za ząb. — Jej głos drży, gdy o tym mówi. Już chyba wiem, co nadciąga. — Oni myśleli... Oni pomylili Margaret z Lorraine.

W pomieszczeniu zapada cisza. Patrzę tępo przed siebie, nie potrafiąc wydusić słowa. Margaret nie zginęła w wypadku samochodowym. Nie potrafił jej pijany kierowca.

„Ciekawe tylko, kto tym razem skończy z kulą w głowie, a kto na sznurku” — przypominają mi się słowa Omara.

Artykuł. W kolejnym liście od Theresy był artykuł. Mówił o morderstwie. O kobiecie, która zamordowała kochankę swojego męża. Teraz sobie przypominam. Tą kochanką była moja mama...

— Co w takim razie z moimi rodzicami? — pyta Chase, wrywając mnie z osłupienia. Jego głos jest odległy od tego, który słyszałam przed chwilą.

Theresa rozgląda się nerwowo po pomieszczeniu. Drżą jej dłonie. Przewraca kolejną stronę albumu, zawieszając wzrok na czymś poza naszym zasięgiem. Wysuwa kolejną kartkę i kładzie ją obok zdjęcia Margaret.

Artykuł.

Shaw wychyla się, aby go przeczytać. Ja się nie ruszam. Nie muszę go czytać. Wiem, co tam jest napisane.

— Dominic nie zniósł śmierci Margaret i powiesił się chwilę później. Ludzie Franka szybko zorientowali się, że zabili nie tę kobietę. Gdy Lorraine wróciła do domu, na miejscu znalazła dwa trupy. Frank zatuszował wszystkie ślady i sprawił, że o morderstwo oskarżono moją córkę. Kamery zarejestrowały, jak idzie na miejsce zbrodni. Znalazły się też jakieś sfalszowane dowody. Śmierć Margaret nie była dla niego wystarczająca.

— Więc gdzie ona teraz jest? Moja... Lorraine?

— Ona oszalała, synku.

Mam wrażenie, jakby ktoś odciął mi dopływ powietrza. Nie potrafię racjonalnie myśleć. Ona oszalała. Moja mama zginęła przez przypadek. Nie, nie, nie. To niemożliwe.

— To było w trakcie procesu. Twój ojciec, Terrence, mimo załamania po śmierci Margaret zajął się jej sprawą. Nie chciał, aby trafiła do więzienia za coś, czego nie zrobiła. Niestety, nie zdążył udowodnić, że jest niewinna, ponieważ moja córka dostała na głowę. Nie zniosła psychicznie wszystkiego, co się wydarzyło — mówi niespokojnie. — Zanim to jednak nastąpiło, o coś nas poprosiła. — Robi pauzę, uważnie obserwując reakcję Chase'a. — Poprosiła, aby rozdzielić ciebie i twojego brata Aiden'a i przekazać was pod opiekę jej siostrów, Natalie i Josephine.

Siostry. Natalie i Josephine to siostry. Chase i Aiden to bracia. Bracia. Siostry. O Boże.

— Aiden był już dużym dzieckiem. Mniej więcej rozumiał, co się dzieje, ale ty nie. Nie miałeś

nawet dwóch lat, dlatego Lorraine nakazała wywieźć cię najdalej, jak tylko się da, i nigdy nie mówić o tym, co wydarzyło się w dziewięćdziesiątym ósmym. Chciała dla ciebie jak najlepiej. Liczyła, że sprawy w końcu się rozwiążą, a ty wrócisz do niej, do domu, ale tak się nie stało. Trafiła do zakładu, a Frank Rumeli zwrócił się do osoby, która przykuła jego uwagę. Do Terrence'a Parkera.

Aiden przez cały ten czas wiedział...

— Frank zażądał spłaty długów, które miał u niego Dominic. Nadal nie mam pojęcia, jaka to suma, bo Parker milczy w tej sprawie, ale chyba musiała być duża, skoro Elizabeth spłaca ją do dzisiaj. — Jej wzrok pada na mnie.

Mój ojciec nigdy nie był zadłużony. Nie on. On spłacał długi ojca Chase'a. Mężczyzny, przez którego zmarła moja matka.

— Twój ojciec zniszczył dwie kobiety, które kochał do szaleństwa, i unieszczęśliwił niewinną Lizzy — mówi Theresa, a między nami zapada cisza.

Moja mama zginęła, bo została pomyłona. Pomyłona z matką Chase'a i Aiden. Mama Chase'a i Aiden została w to morderstwo wplątana i nie wytrzymała tego psychicznie. Josephine i Natalie zaopiekowały się chłopcami, a mój ojciec wziął na swoje barki długi Dominica Warrena. Myśląc, że chronię mojego zadłużonego tatę, wysłałam za Omara, ale prawda jest taka, że to nie ojca ratowałam. Z jakiegoś powodu wziął na siebie cały bałagan, jaki pozostawił po sobie Dominic Warren w momencie zawiśnięcia na sznurze. To dla mnie za wiele.

Patrzę na Chase'a, który wgapia się w swoją babcię. Wygląda niczym posąg, gdy to robi. Żadnej emocji, żadnego poruszenia czy oznaki życia. Jakby go tam nie było.

— To, co napisano w tym artykule, jest nieprawdą. — Odzywa się nagle Gerard. — Prasa rozpisywała o rzekomym romansie Margaret i Dominica, ale nic takiego nie miało miejsca. Zdjęcie, to ostatnie, które otrzymałaś, jest z Bożego Narodzenia. Spędziliście je wszyscy razem. Ty, Chase, Aiden i wasi rodzice.

Znałam Cię. Znałam Cię od zawsze, nie mając o tym zielonego pojęcia. To dlatego zawsze Nas tak do siebie ciągnęło, to dlatego nie potrafiliśmy trzymać się od siebie z daleka, to dlatego czuliśmy rzeczy, których nie potrafiliśmy zrozumieć. Wielokrotnie w mojej głowie porównywałam Cię do Aiden. Porównywałam Cię do niego, bo byłeś jego odbiciem, a ja tego nie zauważyłam. Byłeś odbiciem swojego starszego brata, a ja to przegapiłam...

Nagle siedzący obok mnie Chase wstaje i wychodzi z salonu. Zdezorientowana zerkam na Gerarda oraz Theresę. Widząc jednoznaczne kiwnięcie kobiety, idę za chłopakiem. Ten zakłada buty, więc i ja to robię. Muszę się naprawdę spieszyć, bo kompletnie nie zwraca na mnie uwagi. Gdy mam już na nogach vansy, wybiegam za nim i w ciszy dorównuję mu kroku.

Chłodny wiatr owiewa moje ciało, dlatego krzyżuję ręce pod piersiami. Rozglądam się po okolicy. Robi się ciemno. Ludzie wracają właśnie z pracy albo idą na miasto. Inni natomiast siedzą już w kawiarniach bądź pubach. Jest dopiero środa, ale zauważyłam, że właśnie tak wygląda życie w Wielkiej Brytanii.

Idę przed siebie. Moje nogi synchronizują się z nogami Chase'a, który niezmiennie kroczy wzdłuż chodnika ze spuszczoną głową. Intensywnie o czymś myśli, ale jego twarz pozostaje bez wyrazu. To naprawdę przerażające. Nie umiem sobie wyobrazić, jak źle musi z nim być w tym momencie.

Niespodziewanie skręca w jakąś uliczkę. Zatrzymuję się na chwilę i przełykam formującą się w gardle gulę. Podświadomie czułam, że właśnie tutaj zmierzamy.

Przechodzę między dziesiątkami podobnych do siebie płyt. Gdzieś tam widzę światełka czy kwiaty. Wokół panuje cisza. Nie słychać nawet samochodów, które jeżdżą przecież nie tak daleko. Jest tak, jakby cmentarz był oddzielony od reszty świata.

Patrzę na nagrobek, przy którym zatrzymał się Chase.

Dominic Clarke

ur. 12.07.1970 — zm. 14.02.1998 r.

Lorraine Clarke

ur. 01.09.1971 — zm. 26.05.1998 r.

— Ten drugi bawi najbardziej — prychna Shaw. — Ciekawe, czy ktoś tu w ogóle leży.

Chłopak wsuwa rękę do kieszeni i wyciąga paczkę papierosów. Częstuje mnie jednym. Nie wiem, czy tak można. Cholera, na pewno nie. Przecież to cmentarz.

Chase odpala moją fajkę, a następnie swoją. Między nami panuje cisza. Kolejna tego dnia. Każde z nas ponownie zamyka się w swoim własnym świecie.

— Jak mogłem być aż tak ślepy, żeby nie zauważyć tych niezgodności? Przecież Dominic nazywa się tu tak samo jak babka, Lorraine ma panięskie nazwisko... Fakt, biorąc ślub, Warren mógł przyjąć nazwisko Lorraine, ale dlaczego miałyby tak postąpić? To nie były czasy, kiedy tak się robiło — mamrocze do siebie.

Nie odpowiadam.

Próbuję złożyć w całość to, co chwilę temu usłyszałam od Theresy, ale nie potrafię. Mam wrażenie, jakby to wszystko nie działało się naprawdę. Myślę, że to nadal do mnie nie dotarło. Przeraża mnie spokój, z jakim przyjąłam te wszystkie informacje. Tak chyba nie powinno być. To nie jest normalne i ja to wiem. Tyle że Chase zareagował podobnie. On też milczy. On nawet nie pokazuje, że go to obchodzi.

— Niezły skurwysyn z tego Dominica — odzywa się ponownie, gdy wypalamy po drugim papierosie. — Ale jest coś, co nas łączy. — Brunet gasi butem niedopałek i patrzy na mnie. — Obaj jesteśmy równie samolubni.

Marszczę brwi.

— To znaczy?

Chase oblizuje leniwie wargi, lustrując mnie spojrzeniem. Wygląda tak, jakby chciał wyczytać wszystko z moich oczu. Rzecz w tym, że nie czuję i nie myślę, bo nie wiem co. Nie wiem, jak to ogarnąć, na czym się skupić, dlatego wolę to odepchnąć. Nie chcę wchodzić głębiej w ciemność, która zaczęła mnie pochłaniać. Chcę nacieszyć się światelkami, które nadal widzę. Które trzyma mnie jeszcze na powierzchni.

Shaw odwraca się na pięcie, ignorując moje pytanie. Idzie wolno w stronę wyjścia z cmentarza. Ostatni raz zerkam na nagrobek, po czym ruszam za nim. Kiedy znów wychodzimy na ulicę, brunet rozgląda się dookoła i przymyka na moment oczy.

— Chodź — mówi, niespodziewanie skręcając w przeciwnym kierunku.

Nie pytając o nic, dorównuję mu kroku. Znów wciska rękę do kieszeni, rozglądając się po okolicy. Robię to samo. Droga, którą idziemy, jest kamienna. Ogólnie całe miasto wygląda na bardzo stare i klimatyczne. Mijane przez nas latarnie błyszczą już w świetle mroku.

W pewnym momencie Chase zatrzymuje się przed jakimś lokalem. Patrzy na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy, po czym daje trzy duże kroki w przód i otwiera stare, obdarte z lakieru drzwi. Gestem pokazuje, abym weszła do środka. Robię to bez zastanowienia, bo na zewnątrz jest już naprawdę zimno.

Do moich uszu niemal od razu dociera zagłuszona przez ściany muzyka, a w nozdrza uderza zapach alkoholu. Nie bardzo rozumiem, co tutaj robimy. Idę więc za Shawem. Przechodzimy przez oświetlony słabymi jarzeniówkami korytarz. Mijamy kolejne drzwi, a gdy wchodzimy do ogromnego pomieszczenia, odruchowo zatrzymuję się w miejscu.

— Co tu robimy?

Chłopak spogląda na mnie z uśmiechem.

— Zapominamy. Na chwilę. — Wyciąga w moją stronę dłoń.

Mój wzrok pada na tańczących na parkiecie ludzi. Lokal, w którym się znajdujemy, utrzymany jest w starym stylu. Całokształt sprawia, że czuję się tak, jakbyśmy cofnęli się do lat dwudziestych ubiegłego wieku.

Zerkam ponownie na Chase'a, którego dłoń niezmiennie wysunięta jest w moją stronę. Przyjmuję ją. Gdy nasze palce pierwszy raz od tyłu dni naprawdę się ze sobą stykają, po moim ciele rozplywa się przyjemne ciepło. Znów to czuję. Znów jego dotyk działa kojąco na moją duszę i nie potrafię skupić się na niczym innym.

Z głośników zaczyna właśnie rozbrzmiewać piosenka Amy Macdonald *This Is The Life*. Brunet ciągnie mnie za sobą. Gdy znajdujemy się bliżej parkietu, sprawnie odwraca mnie twarzą do siebie i

przysuwa blisko. Chłopak zaczyna poruszać naszymi ciałami w rytm melodii. Zasysam powietrze, gdy przyciska mnie do siebie. Kącik jego ust znów się unosi. Również nie potrafię pohamować uśmiechu. Niespodziewanie okręca mnie wokół własnej osi. Piszczę, kiedy po raz kolejny ląduję w jego objęciach.

Zawsze uważałam, że niebo jest dla mnie łąką pełną maków. Miejscem harmonii i spokoju. Nirwaną... Tamtej nocy tańczyliśmy do utraty tchu. Tamtej nocy, patrząc w Twoje oczy, coś sobie uświadomiłam. Zrozumiałam, że jeśli miałabym wtedy umrzeć, moim niebem byłyby Twoje ramiona. To w nich czułam nirwanę. To one uwalniały mnie od trosk. To one dawały mi zapomnienie. To Ty byłeś moim niebem, Chase.

— Nie sądziłam, że tak dobrze tańczysz — komplementuję go.

Nie miałam pojęcia, że tamtej nocy odegrałeś rolę swojego życia, uśmiechając się... dla mnie. Wewnętrznie leżałeś już na dnie, podczas gdy ja jeszcze spadałam. Czekales, by mnie chwycić. By mnie uratować. Uratowałeś. Zawsze to robiłeś.

— Jest jeszcze wiele rzeczy, których o mnie nie wiesz, Parker — mówi w moje usta.

W salwie śmiechu kołyszemy naszymi ciałami w najróżniejsze strony, nie myśląc. Czując się tak, jak powinniśmy w tym wieku. Zapominając. Na chwilę.

Powinniśmy pamiętać. Powinniśmy rozglądać się dookoła.

Zło czaiło się wszędzie, a my zapomnieliśmy.

— Kurwa mać! — cedzi przez zęby Shaw, gdy na coś wpada.

— Zamknij się, bo wszystkich obudzisz! — szepczę wściekła.

— Uderzyłem się w mały palec, więc lepiej zamilcz, bezduszna kobieto, zanim cię zaknebluję!

Przewracam oczami.

— Też mi dramat! — śmieję się, zdejmując buty. — Trzeba było tyle nie pić.

— Trzeba było tyle nie pić — przedrzeźnia mnie.

Odkładam obuwie na bok, po czym znajduję włącznik światła. Gdy w korytarzu robi się jasno, patrzę na bruneta. Z trudem powstrzymuję parsknięcie, widząc go w takim stanie. Jego włosy są potargane, oczy przekrwione, a spodnie na kolanach rozdarte. W drodze powrotnej potknął się o własne nogi i upadł. Całe szczęście, że był na tyle świadomy, aby zaasekurować się rękami.

— Okej, to gdzie mam spać? — pytam, patrząc na niego wyczekująco.

— A co ja jestem? Nie wiem, babka pewnie przygotowała ci pokój na górze.

Wzdycham rozdrażniona. Chłopak zatacza się do tyłu.

— Dobra. Nieważne. Chodź. — Oplatam palcami jego nadgarstek i ciągnę go w stronę schodów. Jest totalnie zalany, więc najlepiej będzie, jeśli położę go spać, a później znajdę dla siebie miejsce.

— Drugie drzwi po prawej — mówi, gasząc światło.

— Przysięgam, że jeśli znowu się potkniesz i spadniesz, to osobiście zejdziesz na dół, żeby cię dobić.

— Wtedy pociągnę cię za sobą.

— Wtedy upewnię się, że przy upadku połamię ci zębra.

— Jaki bulwers — nabija się.

Postanawiam nie komentować jego słów. Wyjmuję z kieszeni telefon i włączam latarkę. Wchodzę do drugiego pomieszczenia po prawej. Jak się okazuje, jest to sypialnia. Niewielka. Wypełniona dębowymi meblami, utrzymana w kolorach bieli oraz brudnej zieleni. W kącie dostrzegam nasze torby.

— Idę się wykapać. Pójdiesz po mnie — bełkocze chłopak.

Obserwuję jego poczynania do momentu, aż z bokserkami w dłoni znika za drzwiami.

Gdy zostaję sama, opadam na łóżko i wgapiam się w sufit. Dzisiejszy wieczór spędziłam naprawdę dobrze. Dużo się śmiałam i nie myślałam wiele. Potrzebowałam takiej odskoczni po wszystkim, co wydarzyło się w ostatnim czasie. Chase również. Podczas gdy ja wypijałam trzy drinki, on opróżniał kieliszek za kieliszkiem. Sądzę, że przygniotła go prawda, jednak nie chce tego okazać.

— Ten dom jest kurewsko nawiedzony — mówi Chase dziesięć minut później, wróciwszy do pokoju.

— To znaczy? — Podnoszę się na łokciach zaintrygowana jego słowami.

— Spadające przedmioty, dziwne odgłosy i to wrażenie, że ktoś cię obserwu... — Przerzywa w pół zdania i unosi brew. — Chyba się nie boisz, Parker?

— Niby czego? — Ignoruję nieprzyjemny ścisk w dole brzucha, zakładając na twarz maskę obojętności. — Idę się ogarnąć.

Wyjmuję z torby piżamę, cały czas czując na sobie spojrzenie Chase'a. Czy ten budynek naprawdę jest nawiedzony? Nie, to niemożliwe. Jestem pewna, że ten idiota mnie wkręca. Żywi się moim strachem. Dokładnie jak wtedy, gdy laził za mną z tą zdechłą myszą.

Na korytarzu uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, gdzie jest łazienka, dlatego potrzebuję chwili, aby ją znaleźć. Biorę szybki prysznic, pozbywam się resztek makijażu, myję zęby, a kiedy stwierdzam, że jest w porządku, wracam do pokoju. Shaw leży już pod kołdrą i stuka coś w swoim telefonie. Ja w tym czasie składam ubrania.

— Parker.

Słyszę za plecami jego głos, dlatego zerkam przez ramię.

— Tak?

Brunet blokuje ekran i patrzy na mnie z dziwnym wyrazem twarzy. Usta ma zaciśnięte, a wzrok niezmiennie przekrwiony. Mam wrażenie, że w tym momencie walczy z samym sobą, aby coś powiedzieć.

— Czy możesz... Zostaniesz przy mnie, dopóki nie zasnę?

Zastygam w bezruchu. Patrzę na niego w szoku. Serce bije mi niemiarkowo, a ręce zaczynają się pocić. To chyba jasne, że się tego nie spodziewałam.

— Ja... — Chrząkam, bo głos mam dziwnie zawyżony. — Jasne.

Odkładam ubrania do torby, po czym podchodzę do łóżka i wchodzę pod nagrzaną już kołdrę. Obok mojej głowy włączona jest lampka nocna, dająca niewielką poświatę na twarz leżącego obok chłopaka. Shaw obserwuje mnie intensywnie. Ja jego również. Między nami panuje cisza, jednak nie należy do tych niezręcznych. Jak zawsze zresztą.

— Kto by pomyślał, że to wszystko jest takie popieprzone, nie? — mówi nagle.

— Fakt. — Okręcam się na bok. — Jak się z tym czujesz?

— Nie wiem.

— To tak jak ja.

Brunet leży na plecach i wgapia się w sufit. Dopiero teraz zauważam, jak bardzo jest podobny do Aiden. Ten sam kształt nosa, kolor oczu, rysy twarzy...

— Nawet pieprzyk za uchem masz tam gdzie on — szepczę, uświadomiwszy to sobie.

— Co? — Przenosi na mnie wzrok.

— Pieprzyk. Aiden ma go dokładnie w tym samym miejscu — wyjaśniam.

Nie odpowiada. Patrzy na mnie, jednak wiem, że myślami jest daleko stąd. Dowiedział się, że ma brata, mamę i ciocię. Przez lata żył w przekonaniu, że Josephine i Theresa są jego jedyną rodziną. Jest zawiedzony, zły? Nie potrafię go rozgryźć.

— Shaw.

— No?

Przełykam ślinę.

— Czy tutaj naprawdę są duchy? — pytam niepewnie.

Przez chwilę brunet wydaje się nie rozumieć, o co mi chodzi. Kiedy sobie jednak przypomina naszą wcześniejszą wymianę zdań, na jego ustach maluje się głupi uśmiech.

— Tak, Parker. Dlatego lepiej nie wystawiaj nóg za kołdrę, bo jeszcze ktoś cię za nie pociągnie. — Nachyla się nade mną, po czym gasi lampkę.

— Palant.

[1] Nirwana — wolność od cierpienia, stan zapomnienia.

Rozdział 3

ELIZABETH

Ktoś mi kiedyś powiedział, że najlepszą receptą na spokojne, szczęśliwe życie jest zapomnienie. Wyparcie z siebie zła, smutku i wszelkich negatywnych myśli, które zaprzatają umysł. Pamiętam, że gdy usłyszałam te słowa po raz pierwszy — prychnęłam, a następnie wybuchnęłam najszczerzym śmiechem. Zwróciłam wtedy na siebie uwagę wszystkich ludzi w podmiejskim barze, którzy tego dnia również postanowili nie myśleć. W moim odczuciu to, co opuściło wtedy usta Aidena, było po prostu zabawne.

Wyobraźcie sobie, że w wieku osiemnastu lat wychodzicie za mąż za mężczyznę, którego właściwie nie znacie. Musicie pozwolić mu na dotyk, pocałunki, słodkie słówka, wewnątrznie powoli umierając. Wyobraźcie sobie, że człowiek, którego darzyliście niegdyś głębokim uczuciem, rozsyła wasze nagie zdjęcia, o których istnieniu nie mieliście nawet pojęcia. Wyobraźcie sobie, że spotyka was tak wiele gówna, a wy macie wyjechać za ocean do obcych ludzi i oddzielić przeszłość grubą kreską. Na chwilę. Brzmi jak coś niemożliwego do wykonania, prawda?

Osobiście uważałam, że nie będę w stanie nie myśleć o życiu w Ameryce, gdy trafię na pokład samolotu. Nie potrafiłam wyobrazić sobie, jakie to uczucie oddychać lekko i nie przejmować się jutrem. Abstrakcją stało się dla mnie czucie spokoju w momencie, gdy ktoś mnie dotykał. Zagubiłam się w swoim własnym umyśle, więc to chyba logiczne, że wyparcie z siebie wszystkiego graniczyło z cudem. Cóż, przynajmniej takie zdanie na ten temat miałam na początku.

Prawda jest taka, że wraz z zapięciem pasów i pierwszymi odgłosami silnika moje myśli zostały zupełnie zagłuszone. Nie czułam, nie rozpamiętywałam. Zapomniałam. Tak po prostu. Jakby to wszystko nie miało większego znaczenia. Jakbym znów była Elizabeth Claire Parker — dziewczyną z błahymi problemami i poturbowanym sercem. Bo właśnie tak czułam się w tamtej chwili. Właśnie tą dziewczyną stałam się, gdy wylądowałam w Zjednoczonym Królestwie i przytuliłam się do Jonathana. Byłam dawną sobą. Przez chwilę, ponieważ w momencie otrzymania pierwszej wiadomości od Omara wszystko wróciło.

Bałam się nawrotu niebezpiecznych myśli i tego, co ze sobą niosły. Nienawidziłam siebie za to, jak wiele potworności ogarniało mój umysł w takich chwilach. Przerazało mnie, że znów utonę w mroku.

Jakim więc cudem utrzymałam się na powierzchni?

Przekręcam głowę w prawo i uśmiecham się delikatnie. Leżący obok chłopak pochrapuje cicho, podczas gdy kilka czarnych kosmyków opada na jego czoło. Jedna z dłoni bruneta przerzucona jest przez mój brzuch, dokładnie tak jak noga. Został. Nie odszedł. Człowiek, który pomógł mi się wynurzyć, gdy wyspa zatonała. Człowiek, dzięki któremu nadal oddycham. Uratował mnie. Chase Shaw jest moim wybawieniem.

Nie potrafiąc się powstrzymać, zaczesuję palcami pasma. Chłopak odpowiada cichym mruknięciem i mocniejszym uściskiem. Mam ochotę zaśmiać się, bo jego dotyk łaskocze moją skórę, ale w tym samym momencie przeszywający ból atakuje moją głowę. Przyzymkam powieki i zaciskam usta. Przykładam chłodną dłoń do czoła, chwilę trwając w bezruchu.

Gdy ból ustępuje, wyswobadzam się z objęć Shawa, który na szczęście ani drgnie. Wzdycham ciężko, kiedy bosa stopy stykają się z chłodnym drewnem. Wstaję na nogi i leniwym krokiem podchodzę do torby z ubraniami. Zrzucam z siebie piżamę i zastępuję ją bluzą oraz obcisłymi spodniami. W międzyczasie upewniam się, że brunet nadal śpi.

W pełni ubrana na palcach opuszczam pomieszczenie. Rozglądam się po opustoszałym korytarzu. Do moich uszu docierają ciche odgłosy objających się o siebie talerzy. Nie wiem, która jest godzina, ale myślałam, że wszyscy jeszcze śpią. Moja głowa co chwilę o sobie przypomina. Muszę czym prędzej napić się wody i wziąć jakąś tabletkę. Oby Theresa miała coś w zanadrzu.

Kiedy docieram na parter, wzdycham ciężko. Obracam głowę, a mój wzrok pada na krzątającą

się po kuchni kobietę, która stoi właśnie tyłem do mnie i miesza coś na patelni. Nie widzę nigdzie Gerarda, więc przypuszczam, że jeszcze śpi. Ignoruję ciężar oraz ból głowy towarzyszący każdemu mojemu krokowi i wchodzę do pomieszczenia.

— Dzień dobry — mówię z lekką chrypą. Okryte skarpetami stopy ślizgają się na płytkach i przez chwilę odnoszę wrażenie, że wystarczy chwila nieuwagi, abym runęła na ziemię.

Staruszka podskakuje w miejscu wyraźnie zaskoczona. Patrzy przez ramię, a kiedy nasze spojrzenia się spotykają, posyła delikatny uśmiech, który odwzajemniam. Zapach parzonej kawy i jajeczniczy dociera do moich nozdrzy, a żołądek niemal od razu daje o sobie znać.

— Dzień dobry, córeczko — odpowiada uprzejmie, wracając do poprzedniego zajęcia. Przełykam nerwowo ślinę na określenie, którego użyła. Nie słyszałam tego... chyba nigdy. Nie z ust kobiety. Nawet Natalie tak do mnie nie mówiła. — Usiądź sobie, kochanie. W dzbanku masz wodę z cytryną. Wczoraj chyba nieźle zaszaleliście, co? Kwiaty, które zasadziłam przed domem, są zdeptane — śmieje się.

— O Boże, przepraszam. — Zakrywam usta dłonią.

— Bez przesady. — Macha ręką. — To tylko kwiaty. Proszę.

— Dziękuję. — Udując obojętność, siadam przy wyspie i wlewam do podanej przez kobietę szklanki wodę z cytryną.

— Wypałaś się chociaż? Chase cholernie chrapie. Wiem, bo kiedyś musiałam z nim spać. Tragedia — mówi rozbawiona.

Skąd ona...

— Do przeżycia — odpowiadam tylko z uśmiechem, niezmiennie patrząc na Theresę, która baczenie mi się przygląda.

— Jak on się w ogóle czuje?

Szklanka zawisa w powietrzu, kiedy przełykam powoli resztę tego, co mam w ustach. Mimo że dopiero co nawilżyłam gardło, znów czuję dziwną suchość. Odstawiam naczynie na blat. Kobieta wyłącza kuchenkę i zajmuje miejsce naprzeciwko mnie.

— Nie wiem — odpowiadam, na co Theresa marszczy brwi. Wiercę się na krześle, które nagle stało się dziwnie niewygodne. — W sensie... nie umiem tego określić.

— To znaczy?

Biorę głęboki oddech, starając się jakkolwiek poskładać myśli. Prawda jest taka, że Chase jest sobą, ale to nie on. Pamiętam dzień, kiedy dowiedział się, że sprawcą szramy na moim policzku jest Blaze. Był wściekły i na mnie krzyczał. Oszukałam go i niesamowicie tym zraniłam.

Teraz jest inaczej. Milczy. Jest przeraźliwie spokojny i opanowany. Poza tym, że podniósł głos na Josephine, Shaw wydaje się zupełnie nie przejmować chaosem, który zapanował w jego życiu. Przeraża mnie to, co może się obecnie dziać w jego głowie.

— To znaczy, że zachowuje się jak... — Lustruję wzrokiem pomieszczenie, próbując znaleźć odpowiednie słowo — Jak on.

Theresa zaciska szczękę, myśląc nad czymś intensywnie.

— A ty?

Cóż... Ja zachowuję się dokładnie tak samo jak Chase. Miałam swoją tajemnicę, fakt. Ale w tym momencie jest ona niczym w porównaniu z rewelacjami na temat śmierci mojej matki czy faktem, że zostałam mężatką, by spłacić długi Shawa i Warrena, a nie Terrence'a. Powinnam chyba krzyżeć, prawda? Zostałam przecież oszukana przez ojca, Natalie, a nawet cholernego Aiden. Każde z nich zataiło przede mną tak ważne rzeczy, a ja milczę.

— Nie wiem — mówię w końcu. — Naprawdę, nie mam pojęcia.

— Niejednokrotnie walczyłam z twoim ojcem i Josephine o prawdę. Kiedy dowiedziałam się o twoim ślubie z Omarem, myślałam, że wyjdę z siebie i rozszarpie Terrence'a. Skazał cię na cierpienie, którego przysporzył wam Dominic.

— Tata nie miał pojęcia, że to zrobiłam — prostuję.

Ojciec faktycznie nie zdawał sobie sprawy z tego, co robię. Gdy dochodził do siebie po zawale, ja zabawiłam się w ratowanie świata. Skontaktowałam się z Rumelim i zgodziłam na wszystkie warunki.

Chciałam ratować rodzinę, a jak się okazuje, to nie o Parkerów chodziło.

— Wiem, ale powinien ci powiedzieć. Szczególnie po tym, jak postanowiłaś mu pomóc. Do cholery, dziewczyno, poświęciłaś się dla sprawy, która nawet go nie dotyczyła.

Uśmiecham się słabo, bo nie wiem, co innego mogłabym zrobić.

— Przeraza mnie moment, w którym to wszystko do was dotrze — dodaje Theresa.

Mnie też. Wewnętrznie trzęsę się ze strachu, bo nie mam pojęcia, czego się spodziewać. Wiem, że jakoś sobie poradzę, ale boję się o Chase'a. Jest za spokojny. Wydaje się wręcz nie mieć w sobie uczuć. We wtorek, gdy wrócił do domu, też tak było. Wtedy również wydawał się obojętny mimo tego, że chwilę później się mną zajął. Cholera, on zrobił ze mną wszystko, co było trzeba, i nie wydawał się zniesmaczony czy niechętny, ale może to zamaskował. Shaw jest za dobry na ten świat i boję się, że w którymś momencie pęknie i nie będzie już co zbierać.

— Mogę zadać pani pytanie? — Zmieniam temat.

— Śmiało.

Upijam kolejny łyk wody, aby nawilżyć usta.

— Kim jest Gerard?

Spotkanie tego człowieka tutaj sprawiło, że w mojej głowie zaczęły tworzyć się różnorakie teorie. Myślę, że nie przeżywam wszystkiego, co się dzieje, bo niewiele jeszcze rozumiem. Niemniej Gerard bardzo mnie ciekawi.

— To mój przyjaciel z Ameryki — wyjaśnia bez zawahania. — Doglądał Lorraine przez te wszystkie lata.

— Więc dlaczego tutaj jest? — Wewnętrznie mam ochotę uderzyć się w twarz za swoją wścibskość. Mimo wszystko mam nadzieję, że Theresa mnie rozumie.

— Twój ojciec poprosił, aby ktoś miał na ciebie oko podczas podróży do Wielkiej Brytanii. Gerard sam zaoferował swoją pomoc. — Wraz z ostatnimi słowami na jej ustach maluje się uśmiech.

Nie potrafię tego nie skomentować.

— Taki przyjaciel to skarb. W tych czasach ciężko o kogoś, kto byłby tak wierny i pomocny.

— Jeśli się kogoś kocha, zrobi się dla tej osoby wszystko, a nawet więcej, Elizo — mówi, gdy znów biorę łyk wody.

Ma rację. W miłości nie ma rzeczy niemożliwych. To ona nas napędza. To właśnie ona sprawiła, że wyszłam za Omara. Moje uczucia wobec taty były tak silne, że decyzja wydawała się wręcz oczywista. W położeniu, w jakim byłam kilka miesięcy wcześniej, wolałam wziąć ten ciężar na barki. Wtedy nie myślałam o sobie, bo szczęście ukochanego ojca było dla mnie priorytetem.

Przekręcam kubek w dłoni, gdy między nami znów zapada cisza. Nagle w głowie pojawia się kolejna myśl:

— Czy Caroline zna Gerarda?

Theresa marszczy brwi na to pytanie. Zastanawiałam się nad tym już wcześniej. W momencie, gdy na jaw wyszło tak wiele tajemnic, mój poziom zaufania spadł do minimum. Chodzi mi o to, że wyjawiałam Caroline prawdę o sobie, pokazałam wszelkie listy, a ona pomagała mi w ustaleniu, kto je podrzuca. Mówiła, że nie zna osoby z nagrania. Wiem, że jestem w tym momencie okropna, ale nie potrafię nie mieć wątpliwości co do jej szczerości. To chyba zrozumiałe.

— Nie. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek się widzieli. Gerard był tutaj zaledwie trzy razy. Poza tym ona u mnie nie bywa. A Chase poznał go dopiero kilka tygodni temu, gdy przyjechał w walentynki, żeby zapalić rodzicom znicze.

Zamieram.

Czternasty lutego. Ja i Shaw opłakiwaliśmy wtedy utratę bliskich, zupełnie nieświadomi tego, że oboje to robimy. To właśnie tego dnia pojechaliliśmy na koncert Arctic Monkeys, a później kapaliśmy się w morzu. Pamiętam, jak zadzwonił. Siedziałam z Josephine w kuchni, gdy nagle zapytał, czy mu ufam. Dokładnie pamiętam ten moment, bo był tak cholernie dziwny. Chase wtedy jechał samochodem. Jechał nim, bo wracał z grobu swoich rodziców, podczas gdy ja chwilę wcześniej siedziałam w pokoju ze szkatułką, wspominając Margaret i... Boże, jakie to popieprzone.

— Przepraszam, że tak wypytuję, ale próbuję ułożyć sobie to wszystko w głowie — mówię po

chwili ciszy, gdy pierwszy szok mija, a ja uświadamiam sobie, że Caroline prawdopodobnie była wobec mnie okej.

— Prześtań, córeczko. Jeśli masz jeszcze jakieś pytania, nie wahaj się. — Posyła w moją stronę pokrzepiający uśmiech, więc skupiam się maksymalnie. Mam okazję, z której żał byłoby nie skorzystać.

Wiercę się na krześle. W mojej głowie pojawia się kolejna myśl i cholera, jestem naprawdę ciekawa odpowiedzi, jednak bardzo mnie ona przeraża. Niemniej postanawiam zapytać.

— Czy Aiden przez cały czas o wszystkim wiedział? — Czuję dziwny ścisk w klatce, gdy o tym mówię.

— Tak. Regularnie odwiedza Lorraine.

Nie odpowiadam. Podświadomie wiedziałam, że tak jest, ale jakaś naiwna część mnie miała jeszcze nadzieję.

Trzaśnięcie dochodzące z piętra sprawia, że jednym haustem opróżniam całą szklankę. Nie mogę uwierzyć, że człowiek, któremu ufałam bezgranicznie, przez lata kłamał mi prosto w twarz.

— Oho, jest i nasza śpiąca królewna. — Theresa wstaje na nogi, klaszcząc przy tym w dłoń.

Patrząc przez ramię, mój wzrok pada na idącego w naszą stronę Chase'a. Chłopak przewraca oczami na słowa babci i przeciąga się leniwie.

— A babci to tak na łeb nie siadło? — pyta, otwierając lodówkę. — Jak babcia nie ma kasy na ogrzewanie, to ja babci dorzucę trochę zaskórniaków. Zimno tu jak cholera — zrzędzi.

— No, jak będziesz mi za każdym razem wyżerał wszystko, co mam, to faktycznie nie będę miała za co go opłacić. — Prycha pod nosem i podchodzi do kuchenki. — W domu cię nie karmią, dziecko? Zawsze przed jego wizytą i po niej muszę zrobić duże zakupy, bo ten glonojad zeżre wszystko, co wygląda na jadalne. Kiedy był gówniarzem, to nawet karmę dla chomików wcinał — mówi rozbawiona.

Nie potrafię pohamować śmiechu na jej wyznanie. Już wcześniej zauważyłam, że Chase był bardzo specyficznym dzieckiem. Jak nie poznał się z Loganem przez osikanie go w łazience, to w szkole robił za drzewo. A teraz jeszcze dowiaduję się, że jadał nietypowe rzeczy. Cóż, zdecydowanie jest inny niż wszyscy.

— Bo myślałam, że to chrupki — burczy pod nosem. — Jadłaś coś? — rzuca, a nasze spojrzenia pierwszy raz tego dnia się spotykają. W jego oczach panuje spokój. Próbuje rozszyfrować, o czym myśli i jak się czuje, ale nie potrafię.

— Nie, ale zaraz będzie — odpowiada za mnie Theresa, po czym wyjmując z szafki nad zlewem trzy talerze. — Wyjmij, synu, kubki i zrób każdemu herbatę. Przydaj się na coś w końcu.

— Dla Gerarda też? — Chłopak porusza jednoznacznie brwiami, na co kobieta przewraca oczami. — Fajny się wydaje — dodaje z głupekowatym uśmiechem.

— Zamilcz, bezbożniku — ucisza go Theresa, odwracając się do mnie plecami.

— No co? Wzięłaby się babcia w końcu ustawiła w życiu. Korzyści z tego też byłyby niemałe. Każdy zadowolony i zaspokojony. — Wzrusza ramionami, po czym zamyka lodówkę i podchodzi do szafki, z której wyjmując trzy kubki.

— Głupie to i niewyżyte. — Theresa kręci z politowaniem głową. — Jak ty z nim wytrzymujesz, Lizzy? Przecież to ani mądre, ani ogarnięte. Po jednym dniu mam go dość na następne dziesięć lat.

— Widocznie wiem, jak ją zadowolić.

Dębieję. Usłyszawszy te słowa, staruszka unosi na mnie wzrok z szeroko otwartymi oczami.

Nie, nie, nie.

— Cóż... — Chrząka, wracając do nakładania jajeczniczy na talerze. Czuję, jak moje policzki różowieją. To zabrzmiało tak bardzo dwuznacznie. Jestem pewna, że i kobieta pomyślała o tym samym co ja, podobnie jak Chase, który najpewniej tylko jedno miał na myśli. — Gdybyś jeszcze miał czym. — Na jej ustach maluje się złośliwy uśmiezek.

— A skąd babcia może wiedzieć takie rzeczy? — Chłopak napełnia czajnik wodą i ustawia go na kuchence.

Czy my naprawdę rozmawiamy z jego babcią na takie tematy? Boże, jakby... co?

— Widziałam cię na golasa, i to nie raz. Eliza to samo, gdy była dzieckiem. Nie wyglądała na zainteresowaną tym, co masz do zaoferowania — mówi prosto.

Krztuszę się śliną.

— Aha? — Brwi bruneta unoszą się wysoko, gdy opiera się biodrem o blat. — Wyjaśnij to, Parker. — Chase, z powagą wymalowaną na twarzy, obraca głowę w moją stronę.

— No ale co chcesz wiedzieć? Babcia powiedziała wszystko, co mam na myśli.

Shaw mierzy mnie spojrzeniem od góry do dołu, mrużąc oczy.

— Okej.

— Okej — powtarzam dokładnie tym samym tonem, nawet na sekundę nie spuszczając z niego wzroku.

Między nami zapada cisza, podczas której walczymy na spojrzenia. Trwa to do momentu, aż przerywa nam parsknięcie.

— Jesteście jak oni — śmieje się cicho Theresa, odkładając patelnię do zlewu. — Albo nawet gorsi — dodaje po chwili.

Wymuszam uśmiech na wzmiankę o Dominicu i Margaret. Podoba mi się tutaj. Babcia Chase'a sprawia, że nie myślimy o tym wszystkim, co dzieje się dookoła. Nie chcę wyjeżdżać, bo boję się, że gdy wrócimy do domu, będzie po prostu źle. Tutaj Shaw wydaje się beztroski i szczęśliwy. Widać, że nie rozmyśla i żyje tym, co tu i teraz. Wiem jednak, że gdy wsiądziemy do samochodu, to wszystko zniknie. Myśli znów zaatakują nasze umysły, a prawda powoli zacznie do nas docierać. Nie chcę tego.

Zaciskam dłonie na kierownicy, mrużąc lekko oczy. Ze skupieniem wpatruję się w drogę przede mną. Wzdycham ciężko.

— Wszystko w porządku? — pyta siedzący obok chłopak.

Zerkam na niego i gromię go wzrokiem.

— W jak najlepszym. — Uśmiecham się sztucznie.

— To dobrze. — Brunet odwzajemnia gest, a dłoń, którą położył na moim udzie, zaczyna leniwie sunąć w górę.

— Przysięgam, że jeśli zaraz nie przestaniesz, wjadę do rowu tak, że tylko ty na tym ucierpisz — cedzę przez zęby.

— Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, Parker — rzuca niewinnie.

Po kilkunastominutowej sprzeczce o to, kto z nas będzie prowadził do Crosby, Chase ugiął się przed moimi prośbami. Chciałam trochę pojeździć, no a tak poza tym mam dość spania za każdym razem, gdy gdzieś jadę. Wiem, że za kółkiem nie zasnę. Nie sądziłam jednak, że podróż z Shawem może być aż tak uciążliwa. Ciągle mi dokucza albo rozprasza, bo „nudzi mu się i nie ma gdzie podziać rąk”. Gdybym przypuszczała, na co będę skazana, do głowy by mi nie przyszło, aby zajmować miejsce kierowcy. Oczywiście zaproponowałam mu zamianę, kiedy zaczął przeginać, ale stwierdził, że jako pasażer siedzi się całkiem przyjemnie.

Z domu Theresy wyjechaliśmy chwilę po drugiej, ponieważ nie wypuściła nas bez obiadu. Spędziliśmy wesoło czas i w ogóle nie poruszaliśmy tematów, które były tak bardzo drażliwe dla naszej dwójki. Prawda jest taka, że nawet o nich nie myślałam. Byłam zajęta grą w karty. Potrzebowałam tego chociaż na moment. Najchętniej zostałabym tam nieco dłużej.

Skręcam w prawo, a gdy moim oczom ukazuje się znak z nazwą Crosby, ręka znika z mojego uda. Chase zaczyna wiercić się na siedzeniu i skupia uwagę na telefonie.

Muszę przyznać, że bardzo polubiłam wersję Shawa, którą miałam okazję poznać w Bangor. Nie widziałam go nigdy tak beztroskiego. Gołym okiem było widać, że jego relacje z babcią są bardzo zażyłe. Gdy na nich patrzyłam, w mojej głowie pojawiła się myśl: dlaczego to nie ona zajęła się Chase'em, gdy Lorraine trafiła do zakładu? Josephine mówiła, że przejęła nad nim opiekę jako osiemnastolatka. Gdzie w tym czasie była Theresa? Jeśli dobrze zrozumiałam, od zawsze mieszkała w Ameryce. Potem osiedliła się w Wielkiej Brytanii, daleko od każdej z córek. Nie rozumiem tego. Mam tak wiele pytań, tak wiele myśli, a najgorsze w tym wszystkim jest chyba to, że nie potrafię znaleźć żadnej sensownej odpowiedzi.

Ostatnie pięć minut drogi spędzamy w ciszy. Gdy wjeżdżam na posesję Shawów, żołądek wiąże mi się w supeł. Nie było nas zaledwie jeden dzień, ale odnoszę wrażenie, jakbym nie widziała tego domu

ponad miesiąc. Dziwnie jest wrócić w miejsce, które nie tak dawno było moim drugim domem, a z którego teraz najchętniej bym uciekła.

Gaszę silnik. Wpatruję się w przednią szybę, po czym patrzę na bruneta. Chłopak stuka coś w telefonie, a gdy wyczuwa mój wzrok, zerka na mnie i zaciska szczękę. Chciałabym wiedzieć, co chodzi mu po głowie. Nie umiem sobie wyobrazić, co musi czuć w tym momencie. Choć może działa to na tej samej zasadzie, co u mnie, i sam jeszcze niewiele rozumie? Mam cichą nadzieję, że tak jest i że nie tłumi w sobie tych wszystkich negatywnych emocji. Nie chciałabym tego.

Nie mówiąc słowa, wychodzimy na zewnątrz. Wyjmujemy nasze torby. Tym razem Chase nie jest w nastroju na jakiegokolwiek sprzeczki dotyczące tego, kto z nas je poniesie. Milczy jak grób, a jego twarz nie wyraża absolutnie nic. Jakby znów go nie było.

W ciszy idziemy do domu. Na podjeździe stoi samochód Caroline, co w pewnym sensie mnie cieszy. Nie mam pojęcia, jak rozmawiać teraz z Josephine czy Jonathanem. Oboje okłamywali nas przez cały ten czas i to jest tak dziwne. Boję się, że gdy wszystko ucichnie, podświadomość nigdy nie zamilknie i zawsze będzie już szeptać: „A co, jeśli i tym razem cię oszukują?”, więc nie będę w stanie już nigdy im uwierzyć. To samo Chase. Nie dość, że oszukali go ludzie, których tak bardzo kocha — zrobiłam to też ja. Brunet zaufał mi w wielu kwestiach, wyznał swoje tajemnice, a ja przez cały czas bezczelnie łągałam mu prosto w twarz.

Wchodzimy do środka. Rozmowy dochodzące z salonu od razu milkną. Wzdycham ciężko, posyłając ostatnie spojrzenie chłopakowi. Ten jednak kompletnie nie zwraca na mnie uwagi. Po prostu zdejmuje buty i rusza w kierunku schodów. Widzę, że zerka na to, co dzieje się w pomieszczeniu obok. Marszczę brwi, kiedy cofa się, tępo patrząc przed siebie.

— O kurwa — parska.

Nie myśląc wiele, podchodzę do niego.

Zamieram.

Wydaje mi się, że wszystkie kolory odpłynęły mi z twarzy, gdy chłopak kontynuuje:

— Spotkanie rodzinne, urocz. Brakuje tu tylko Lo... A, no tak, ona nie da rady. Na śmierć zapomniałem. — Śmieje się, pstrykając palcami.

Chase daje cztery kroki w przód, wchodzi w głąb pomieszczenia i wciska dłoń w kieszenie. Przętykam nerwowo ślinę, gdy jego tekst zostaje skwitowany głuchą ciszą. Czując dziwny ciężar w sercu, ruszam przed siebie i staję obok chłopaka. Mam wrażenie, jakby ktoś nagle odciął mi dopływ powietrza.

Przed nami, na kanapie i fotelach, siedzą Josephine, Jonathan, Caroline... Natalie, Aiden i mój ojciec. Wzrok każdego z nich spoczywa na nas.

„Czy jesteśmy w ukrytej kamerze?” — myślę.

Patrzę na Terrence'a. Ojciec zaciska co jakiś czas szczękę. Gołym okiem widać, jak bardzo jest zestresowany. Ma na sobie garnitur w kratę, jego włosy zaczesane są do tyłu, a na czole formują się pojedyncze zmarszczki. Nie potrafię dłużej znieść jego wzroku, dlatego przenoszę uwagę na Natalie, która jak zawsze wygląda nienagannie. Ma na sobie obcisłe spodnie oraz koszulę w kwiaty. Dopiero teraz dostrzegam podobieństwo między nią a Josephine. Prawda jest taka, że różnią się jedynie budową, bo moja macocha jest niższa i ma bardziej kształtną sylwetkę. Nie mam pojęcia, jakim cudem nie przyrównałam ich wcześniej do siebie. Oczy i włosy mają identyczne. Dokładnie tak samo jest w przypadku rysów twarzy. Gdy tak siedzą obok siebie, nie da się nie zauważyć podobieństwa. Jest rażące. Natalie i Josephine są siostrami, a ja to przeoczyłam. Matko.

Nieco dalej siedzi siwowłosy chłopak o oczach w kolorze nefrytu. Człowiek, któremu powierzyłam każdą tajemnicę i troskę. Z którym dzieliłam zarówno dobre, jak i złe chwile. Moja bratnia dusza, przyjaciel. Pokochałam Aidena już jako małą dziewczynka. Był ze mną od zawsze. Wspierał mnie... i w jednej chwili stracił całe zaufanie, jakim go obdarzyłam.

— Kiedy tak na was patrzę, to sam mam ochotę wcisnąć się w kaftan i dołączyć do Lorraine — rzuca Shaw, patrząc na cyrk, który odgrywa się przed nami.

Inaczej nazwać tego nie można. To nie jest normalne.

Pozostawiam jego słowa bez komentarza. Jestem w zbyt dużym szoku. Mam wrażenie, jakby

ktoś uciął mi język. Oni tu są. Przyjechali do Crosby, a teraz po prostu siedzą na kanapie i piją pieprzoną kawę.

Patrzę na Josephine, która siedzi na fotelu. Jej wzrok skierowany jest na mnie. Pod oczami ma ciemne kręgi. Wygląda na niezwykle wyczerpaną. Szkoda mi jej, bo wiem, że chciała dobrze. Jednocześnie jestem na nią wściekła za to, jak wiele zataiła przed swoim siostrzeńcem.

Jak to jest, że dorośli zawsze wiedzą, co jest dla nas lepsze, i nie dają nam prawa do własnego osądu czy wyboru?

Gdy do moich uszu docierają jakieś ciche szmery, obracam głowę w prawo, na Aiden. Chłopak wstał właśnie ze swojego miejsca. To zadziwiające, jak bardzo on i Chase są do siebie podobni. Siwowłosa okrąża stolik i podchodzi do nas. Moja klatka zaczyna unosić się szybciej. Odnoszę wrażenie, że każdy w pomieszczeniu słyszy mój ciężki oddech.

Aiden zatrzymuje się dokładnie naprzeciwko nas. Patrzy to na mnie, to na Shawa z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Widzę, że się stresuje. W sumie podziwiam go za to, że jako pierwszy wykonał jakikolwiek ruch, bo reszta niezmiennie siedzi i milczy.

— Ty pewnie jesteś Aiden — mówi Chase.

Jego głos jest niski, kompletnie nie przypomina normalnego, co od razu przykuwa moją uwagę. Spoglądam na profil bruneta i orientuję się, że oczy mu pociemniały. Jest zły, a zaciśnięte pięści jedynie utwierdzają mnie w tym przekonaniu.

— Tak — odpowiada chłopak, prostując się niczym struna.

— Dobrze wiedzieć.

Shaw przejeżdża językiem po zębach, zerka na mnie, a jego twarz zmienia się diametralnie, gdy nagle bierze mocny zamach i uderza Warrena w szczękę. Z moich ust wydobywa się cichy okrzyk. Aiden zatacza się do tyłu. Nim jest w stanie jakkolwiek zareagować, Chase podchodzi do niego i go popycha. Chwyta za poły koszuli i podnosi go niczym zabawkę, przyciskając do ściany. Z przerażeniem patrzę na tatę oraz Jonathana. Obaj wstali, jednak czekają na rozwój wydarzeń.

— Wiedziałeś? — cedzi przez zęby brunet. Twarze jego i Warrena dzielą centymetry. Ten drugi wydaje się kompletnie nieprzejęty sytuacją, jakby właśnie tego się spodziewał.

— Tak.

Shaw mocniej przyciska jego ciało do ściany.

— Wiedziałeś. — Śmieje się nisko, jednak nie jest to przyjemny dźwięk. — Wiedziałeś o wszystkim i pozwoliłeś jej wyjść za tego gnoja? Jesteś, kurwa, skończonym śmieciem, słyszysz?

Chase połuźnia uścisk, daje krok w tył, bierze kolejny zamach i znów uderza Aiden w szczękę. Jednak tym razem nie jest to jedno uderzenie. Zakrywam usta dłonią. Nie potrafię ruszyć się z miejsca. Widzę krew, ale nie do końca wiem, skąd jest. Dopiero po chwili przede mną pojawiają się tata oraz Jonathan. Rozdzielają braci, choć tak naprawdę po prostu odsuwają Shawa, bo Warren nawet się nie bronił. Nie widzę twarzy bruneta, ale po szybko unoszących się i opadających ramionach mogę stwierdzić, że jego wściekłość osiągnęła najwyższy poziom. Pierwszy raz widzę, aby był tak bardzo rozemocjonowany jak teraz. Nawet gość w klubie nie doprowadził go do takiego stanu co Aiden.

Widzę, jak Josephine i Natalie dobiegają do Warrena i wyprowadzają go z pomieszczenia. Ja stoję niczym wbity w ziemię. Obserwuję, jak ojciec i Jon próbują przytrzymać Chase'a.

— Do kurwy nędzy, uspokój się! — mówi donośnym głosem mój opiekun, potrząsając jego ciałem.

— Nie masz prawa się odzywać — mamrocze chłopak.

Kątem oka widzę, że ojciec na mnie patrzy. Czuję na sobie jego intensywne spojrzenie, ale nie potrafię ani nie chcę go odwzajemnić. Nagle rusza w moją stronę. Moje nogi odzyskują sprawność. Nie myśląc wiele, wymijam towarzystwo. W kuchni dostrzegam Josephine i Natalie, które opatrują Aiden. Wzrok tej drugiej pada na mnie. Mam wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale nie pozwalam jej na to. Skręcam w prawo i wybiegam z domu. Nie chcę tu być.

Pędem ruszam przed siebie. Moje nogi poruszają się niezwykle szybko, kiedy skręcam w lewo, a następnie w prawo, w dół ulicy. Łzy napływają mi do oczu, a chłodne powietrze owiewa twarz, drażniąc ją niemiłosiernie. Niewiele widzę, kiedy przebiegam przez jezdnię, ale nie potrafię myśleć trzeźwo. Chcę

po prostu zniknąć.

Biegnę tak jeszcze chwilę, a kiedy docieram w dobrze znane mi miejsce, zatrzymuję się na moment, aby złapać oddech. Opieram dłonie na kolanach. Moje płuca płoną od wysiłku. Jedną ręką ocieram łzy, które spłynęły po policzkach. Dysząc ciężko, rozglądam się po okolicy. Słyszę szum Morza Celtyckiego. Patrzę za siebie, aby mieć pewność, że nikt za mną nie idzie.

Wyłapuję wzrokiem niewielki budynek z kolorowym szyldem. Rozglądam się po ulicy, po czym przebiegam przez nią. Wchodzę do lokalu, a przyjemny zapach whisky od razu atakuje moje nozdrza. Jest jeszcze wcześniej, więc praktycznie nikogo tutaj nie ma, co mnie cieszy. Podchodzę do baru, za którym stoi facet w średnim wieku. Wyciera właśnie kufel.

— W czym mogę pomóc? — pyta uprzejmie, odkładając naczynie na blat.

Zajmuję jedno z wolnych krzeseł i wdycham ciężko. Blondyn uśmiecha się lekko w moją stronę, jednak nie potrafię tego odwzajemnić. Nie mam siły ani ochoty na bycie miłą. Nie dziś. Nie teraz.

— Poproszę szkocką — mówię, przecierając twarz dłońmi. — Najlepiej całą butelkę — dodaje po chwili namysłu, gdy mężczyzna bez wahania wypełnia szklankę.

— Mogę prosić dowód tożsamości?

Jestem pewna, że w tym momencie wyglądam co najmniej tragicznie.

Przewracam oczami. Wyjmuję telefon, w którego etui trzymam kartę i dokumenty. Po urodzinach Matta i Minnie, kiedy musiałam wracać na piechotę do domu, bo nie miałam przy sobie portfela, stwierdziłam, że nie pozwolę sobie więcej na coś takiego.

— Proszę. — Podaję blondynowi plastik, który sprawdza. Wydaje mi się, że powinien zapytać o dowód, zanim nalał mi alkohol, ale nie będę się nad tym zastanawiać. Gdy butelka wypełniona szkocką łąduje obok szklanki, płacę odpowiednią sumę.

Zeruję pierwszą kolejkę, chwilę później nalewam następną. Czuję na sobie wzrok barmana, który udaje, że czyści szkło. Cóż, nie umie patrzeć ukradkiem. Jego spojrzenie parzy wręcz moją skórę. To irytujące. Przyszłam odetchnąć, a nie użerać się z jakimś natręciuchem.

— Mogę? — pytam, unosząc butelkę.

— Jest twoja. — Wzrusza ramionami.

Nie mówiąc nic, wstaję. Nogi mam jak z waty. Oplatam palcami szyjkę szkockiej, po czym ruszam w stronę wyjścia. Jest po piątej, ulice są niemalże puste. Nie ma w sumie co się dziwić, bo nade mną wiszą granatowe chmury. Pewnie lada moment zaczną padać, ale nie dbam o to. Idę chodnikiem w kierunku miejsca, które tak bardzo lubię.

Przechodzę przez betonowy parking — ten sam, na którym kilka tygodni wcześniej miało miejsce moje pierwsze spotkanie z Blaze'em. Mijam barierki, a gdy trampki wbijają się w piasek, chodzenie staje się trudniejsze. Mimo to sprawnie przemierzam następne metry, po czym opadam pośladek na ziemię. Krzyżuję nogi i garbię się, mocniej zaciskając palce na butelce. Mój wzrok zatrzymuje się na falującym morzu, którego siła parcia na brzeg z każdą sekundą wydaje się natężyć. Czuję na nosie pierwsze krople deszczu. Otwieram szkocką. Alkohol pali moje gardło, rozgrzewa wnętrze i ucisza chaos, który zapanował w głowie.

Są tutaj. Aiden, tata i Natalie przyjechali do Crosby. Przyjechali, bo to wszystko jest pieprzoną prawdą. Chcą się wytłumaczyć. Wiem, że Warren pisał do mnie niejednokrotnie, ale nie odpowiadałam na jego wiadomości. Możliwe, że dał w nich znać o swoim przyjeździe, a ja to najnormalniej w świecie zignorowałam. Rzecz w tym, że nie mam ochoty na słuchanie wyjaśnień. To bez sensu. Na to nie ma usprawiedliwienia. Spieprzył jako przyjaciel i brat, ukrywając te informacje. Nie rozumiem, dlaczego nie pisał słowem. Zastanawiam się już nawet, czy wiedział też o tym, że Theresa wysłała mi te listy. Nie zdziwiłabym się, gdyby tak było. Myśl, że łągał nawet w tej kwestii, sprawia, że mam ochotę zwymiotować. Wiem, że też jestem zakłamaną, ale Aiden Warren wszedł na zupełnie inny poziom. Dokładnie tak, jak Terrence, Natalie i Josephine. Jonathana tu nie zaliczam, ponieważ poznał Jo wiele lat później. Przynajmniej tak mi powiedziano. Teraz to już niczego nie jestem pewna.

Wraz z następnym łykiem tego cholernie drogiego gówna do mojej głowy powoli napływają kolejne informacje, których jeszcze nie zdążyłam przyswoić.

Aiden jest bratem Chase'a. Natalie to siostra Josephine. Moja matka nie zginęła w wypadku

samochodowym, ale została przypadkowo zamordowana. Ojciec Chase'a kochał moją matkę i nie mogąc znieść jej śmierci — powiesił się. Matka Chase'a popadła w obłąd i obecnie jest zamknięta w szpitalu dla psychicznie chorych. Terrence natomiast wziął na siebie długi Warrenów, a ja, myśląc, że pomagam tacie, wyszłam za Omara. Nawet po tym wszystkim nikt nie wyznał mi prawdy. Na moim palcu znalazł się pierścionek zaręczynowy, a następnie obrączka. Każdy etap przeszłam z myślą, że ratuję swoją rodzinę, a tutaj nigdy nie chodziło o Parkerów. Trafiłam do Shawów i byłam pewna, że są jedynie zaufanymi ludźmi ojca, a w rzeczywistości moja macocha jest siostrą Josephine. W tym wszystkim nigdy nie było przypadków. Jakby każdy szczegół był dokładnie zaplanowany. Czy mój ojciec spodziewał się, że tutaj poznam prawdę? Czy był na to gotowy? Głowa mi paruje. Gdy zamykam oczy i opadam plecami na piasek, widzę tylko piękną czarnowłosą kobietę, która uśmiecha się do mnie promiennie. Tę samą, która prawdopodobnie nadal by żyła, gdyby nie Dominic Warren — ojciec chłopców, których pokochałam bezwarunkowo, nie wiedząc nawet, że znałam ich od zawsze.

Na moją twarz spadają kolejne krople deszczu. Jest to bardziej mżawka. Łaskocze moją skórę. Przyjemne uczucie, ale zdecydowanie nie może się równać z dotykiem dłoni, które tak bardzo mieszają mi w głowie. Dużo myślę o tym, jak czuje się Chase. Od momentu, gdy dowiedział się o moim małżeństwie, jeszcze trudniej mi go rozgryźć. W jednej chwili jest zupełnie obojętny na świat, a chwilę później rzuca typowymi dla niego dwuznacznymi tekstami. Przez takie zachowanie można pomyśleć, że kompletnie go to nie ruszyło.

Nigdy nie zapomnę jego wzroku, gdy wczoraj wszedł do mojego pokoju. Wyglądał normalnie, jak Chase. Nie widziałam w nim smutku, żalu ani złości. Był sobą. Tym samym chłopakiem, którego w sobotę rano budziłam tylko po to, aby się z nim pożegnać. Który dał mi swoją bluzę, mimo że nawet o nią nie poprosiłam. Zabrał mnie w miejsce, w którym wyzerowaliśmy myśli. Dużo żartował, aby chwilę później zamienić się w chłodnego i bezuczuciowego dupka. Zmienia maski w kilka sekund i już nie nadążam. Coraz częściej myślę o tym, że Chase usilnie tłumi emocje i z czasem przestanie sobie z nimi radzić.

— A więc tak wygląda człowiek, kiedy jest na dnie. — Niski, zachrypnięty śmiech dociera do moich uszu.

Przeżrana podnoszę się do siadu i patrzę przez ramię, skąd dochodzi tak dobrze znany mi głos. Zaciskam szczękę, a bicie mojego serca przyspiesza.

— Śledzisz mnie? — cedzę przez zęby. Normalnie pewnie bym tak nie zareagowała, ale sporo już wypiłam, więc w sumie wszystko mi jedno.

— Groźnie — parska mężczyzna, a ja tylko przewracam oczami i skupiam się na morzu.

Może jeśli go zignoruję, to sobie pójdzie? Jestem głupia, wiem, ale lubię czasem pożyć złudną nadzieją.

Po raz kolejny przykładam butelkę do ust i biorę trzy duże łyki. Wzdrygam się lekko na pieczenie, które odczuwam w gardle. Kątem oka widzę, że Omar siada obok mnie. Wysuwam w jego kierunku dłoń, a ten bez zastanowienia przyjmuje alkohol, którym go częstuję. Jak bardzo źle musi być, skoro jego obecność i to, co może wynikać z naszego spotkania, zupełnie mnie nie obchodzą?

Nagle wszystko wokół zaczyna wirować. Cholera.

— Odpowiadając na twoje pytanie... — Szatyn wzdycha lekko, gdy oddaje mi butelkę. — Trochę tak — mówi, a moje brwi unoszą się wysoko.

— Aha. Przynajmniej jesteś, kurwa, szczery. — Prycham pod nosem na absurd całej sytuacji.

— Przynajmniej ktoś — śmieje się, po czym szturcha mnie w ramię, więc znów na niego zerkam.

— Co? — Biorę kolejny łyk whisky.

Mżawka przybiera na sile, podobnie jak wiatr.

— Gdyby nie okoliczności, stworzylibyśmy fajną parę. Nie sądzisz? — Na jego twarzy maluje się chłopięcy uśmiech. Coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam w wydaniu Omara.

— No, chyba nie bardzo — rzucam nerwowo.

Na myśl o tym, że miałabym stworzyć z tym człowiekiem cokolwiek poza pieprzonym układem, chce mi się rzygać. Dlaczego w ogóle z nim siedzę? Dlaczego nie przeraża mnie jego obecność? Jest ze mną aż tak źle? Aż tak się nawaliłam?

— Wiesz, że nie tknę cię bez twojej zgody, prawda?

W mojej głowie pojawiają się przeblęski tych wszystkich momentów, kiedy dłonie Omara sunęły po moim ciele. Tak bardzo tego nienawidziłam. Tak bardzo brzydziłam się nim i sobą. On mnie pożądał, a ja doskonale zdawałam sobie z tego sprawę. Łaknął mojego ciała, którego dotykał, gdy tylko nadarzyła się okazja. Jednocześnie twierdził, że nie zaciągnie mnie siłą do łóżka, bo nie jest gwałcicielem. Staralam się w to wierzyć, ale to chyba oczywiste, że niepewność towarzyszyła mi zawsze, kiedy on był w pobliżu. Może i znał granice, ale nadal naruszał moją strefę komfortu. Zawsze miał jakieś wytłumaczenie. Wielokrotnie prosiłam, aby mnie nie dotykał. Nie chciałam tego. Bałam się go niemiłosiernie. Nadal się boję, gdy jestem trzeźwa. Molestował mnie. Niejednokrotnie. Właśnie dlatego nie potrafię spojrzeć na niego przychylnie i bez strachu. Właśnie dlatego upijałam się każdego dnia. To on był powodem moich nocnych krzyków, kiedy spocona budziłam się przez koszmary. To jego dłonie czułam tysiące kilometrów od domu. Nienawidzę go, ale jednocześnie czuję coś zbliżonego do wdzięczności. Bo choć jest skurwysynem, choć zrobił mi tyle gównianych rzeczy — nigdy nie odmówił pomocy. A to wszystko dlatego, że mnie kocha.

Wiem to, bo wyznał mi miłość w chwili, gdy wypił za dużo i przekroczył granicę. Wykrzyczał mi to prosto w twarz. Do dziś pamiętam jego minę, kiedy uświadomił sobie, co opuściło jego usta. Do dziś pamiętam, jak rozbawiona wtedy byłam. Jak rozbawienie zamieniło się w histerię w chwili, gdy dotarło do mnie, że powiedział prawdę.

Omar darzy głębokim uczuciem kobietę, która nienawidzi go całym sercem. Niejednokrotnie mówił, że zrobiłby dla mnie wszystko. Sam przyznał, że przyjechał tutaj dla mnie, aby mi pomóc. Przecież to on odsłonił wszystkie karty. Powiedział, jak było naprawdę, i uświadomił w wielu sprawach. Zrobił to, bo mnie kocha. Jestem tego świadoma i to mnie przeraża, bo to uczucie wiąże się z niebezpieczną obsesją na moim punkcie. Omar jest człowiekiem, któremu czasem odbija. Wtedy nie jest sobą i potrafi zrobić straszne rzeczy. W końcu nazywa się Rumeli. Jest bratankiem człowieka, który — jak się okazuje — zamordował moją matkę. Wysłałam za kogoś, kto jest odpowiedzialny za tak wiele zła. Za kogoś, kto mnie kocha i kogo szczerze nienawidzę. To jest tak popierdolone, że muszę się napić.

— Nie wiem. — odpowiadam po chwili ciszy i ponownie przechylam butelkę. — Nikomu już nie ufam.

„Nikomu?” — dopytują głosy w mojej głowie. Czuję dziwny ścisk w dole brzucha.

— To rozumiałe — mówi, zginając nogi i opierając łokcie o kolana. — Ale alkohol nie jest wyjściem.

— Zdajesz sobie sprawę, że jesteś jednym z powodów, przez które go piję, prawda?

Patrzy na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

— Wiem — niemal szepcze.

Nagle mężczyzna podnosi się, otrzepuje spodnie i wyciąga rękę.

— Chodź — rzuca. Marszczę brwi, więc wyjaśnia: — Odprowadzę cię do domu. Nie pójdziesz w takim stanie sama. Robi się ciemno. — Wzdycha ciężko.

Obserwuję go, oblizując wargi. Zastanawiam się nad odpowiedzią. Widzę, że jego wzrok pada na moment na moje usta, jednak szybko wraca na wysokość oczu.

Nie wiem, czy to przez alkohol buzujący w moich żyłach, czy może strach przed tym, że w drodze powrotnej mogę na przykład spotkać Blaze'a, ale przyjmuję dłoń Omara. Mężczyzna pomaga mi się podnieść, odbiera z rąk butelkę, po czym rusza w stronę wyjścia z plaży. Idę za nim. Gdy przechodzimy przez parking i wychodzimy na ulicę, lampy błyszczą już w półmroku.

— Do kiedy tu zostajesz? — pytam. Trochę bełkoczę. Droga pode mną wydaje się nierówna. Znowu przegięłam.

— Jeszcze kilka dni.

— A znasz już datę operacji?

Omar śmieje się na to pytanie.

— A co? Nie możesz się doczekać mojej śmierci? — parska, a ja mu wtóruję.

— Wiesz, że nikomu tego nie życzę. Nawet tobie.

— Wiem — stwierdza bez zawahania, gdy nasze spojrzenia znów się spotykają. — Jesteś za

dobra, Claire. Albo Elizabeth, jeśli wolisz.

Nie odpowiadam. Prawda jest taka, że nie wiem, co mogłabym powiedzieć. Cała ta sytuacja jest tak cholernie nedorzeczna, że najchętniej wybuchnąłabym śmiechem i zaczęła płakać jednocześnie, bo to jest jakiś obłęd.

Skracamy w lewo, na Channel Road. Zatrzymujemy się dokładnie naprzeciwko posiadłości Shawów. Całe szczęście, że z plaży do domu nie jest daleko i nie byłam skazana na dłuższy spacer z nim. Było względnie normalnie, ale to niczego nie zmienia.

— A tak naprawdę to dlaczego mnie śledzisz?

Omar wysuwa z kieszeni paczkę z papierosami. Wyciąga jednego, zapala go i zaciąga się mocno, mierzając się ze mną wzrokiem.

— Jesteś mi za bardzo potrzebna, żeby skończyć w worku — mówi tylko, po czym wymija mnie i rusza przed siebie. — Do zobaczenia, Claire.

Przez chwilę stoję w bezruchu, próbując przekalkulować jego słowa. Gdy orientuję się, że w tym stanie nic nie wymyślę, patrzę w lewo, na oświetlony budynek za ogromną bramą. Przebiegam przez jezdnię i dopiero teraz orientuję się, że nie mam swojej butelki i nawet nie wiem, gdzie ona jest. Mogłabym przysiąc, że Omar jej nie miał, gdy odchodził. Czyżbym zostawiła ją na plaży?

Przechodzę przez podjazd, wewnątrz nie czując nic. Alkohol wyprał mnie ze wszystkiego, co gdzieś tam jeszcze się tliło. Myślę, że teraz jestem gotowa, aby zmierzyć się z ojcem. Wchodzę do środka, odrobinę za mocno zamykam za sobą drzwi. Niespiesznie pozbywam się obuwia, a gdy jestem w trakcie zdejmowania drugiego buta, w korytarzu pojawia się Jo.

— O Boże, Lizzy! — szlocha kobieta. Podbiega do mnie i zamyka w szczelnym uścisku. — Gdzieś ty była? Od kilku godzin wszyscy cię szukają! Nic ci nie jest? — pyta rozemocjonowana. Lustruje moją twarz, gdy stoję z rękami zwisającymi po obu stronach bioder. Nie odpowiadam.

Naprawdę nie było mnie kilka godzin? Matko.

— Tak. Właśnie weszła do domu. Możecie wracać — mówi Natalie, wchodząc do pomieszczenia. — Tak, nic jej nie jest, uspokój się — dodaje po chwili i rozłącza się. Jej wzrok pada na mnie. Obie milczymy.

— Jesteś cała zmarznięta. Chodź. — Jo oplata mnie ramieniem i prowadzi do kuchni.

Nie wrywam się. Przez wypity alkohol nie jestem w stanie racjonalnie myśleć, dlatego idę z nią. Kobieta prosi, abym usiadła przy kuchennej wyspie. Niedługo potem czuję na plecach coś ciepłego. Potrzebuję chwili, żeby zrozumieć, że to koc.

— Lizzy. — Josephine pstryka mi palcem przed twarzą. Wzdrygam się. — Mówię do ciebie. Słyszysz?

— Kochanie, wszystko w porządku? Dziwnie wyglądasz — wtrąca Natalie.

Przyglądam się im, nie potrafiąc powiedzieć słowa. Wszystko mi się miesza.

— Zaparz jej herbatę, Nat — mówi blondynka. Na policzkach czuję jej ciepłe dłonie. — Słońce, czy coś się stało? — pyta miękko.

Słyszę, że drzwi frontowe się otwierają. Obie kobiety obserwują mnie ze smutkiem na twarzach. Nie wiem, o co chodzi. Nie potrafię też czuć się z tym źle, choć bardzo bym chciała. Albo nie. W sumie sama już nie wiem.

— Jezu, Lizzy. — Do moich uszu dociera głos Caroline, a po chwili mam ją przed oczami. Nawet nie wiem, w którym momencie jestem już w jej ramionach.

Paznokcie blondynki boleśnie wbijają się w moje plecy. Jestem pewna, że nawet tego nie kontroluje. Kątem oka widzę Chase'a, który właśnie wchodzi do pomieszczenia. Ma na sobie skórzaną kurtkę. Jego włosy są w nieładzie, a oczy błędzą po mojej twarzy.

— Gdzie byłaś? Boże, Lizzy, tak bardzo się martwiłam — mówi zdyszana Car.

Nie odpowiadam. Nawet na nią nie patrzę, bo moja uwaga skupiona jest tylko na nim. Na tęczęwkach, które tak bardzo uwielbiam. Które w przeciągu sekundy potrafią dać mi ukojenie, niczym za machnięciem czarodziejską różdżką. Które przywracają mi czucie w nogach i przyspieszają bicie serca.

Widzę, jak szczęka chłopaka zaciska się, gdy w milczeniu mi się przygląda. Bez chwili namysłu

zeskakuję z krzesła, podchodzę do niego i wtulam się w jego ciało najmocniej, jak tylko potrafię. Chowam twarz w zagłębieniu jego szyi. Czuję silne ramiona wokół swojej talii. Chase opiera brodę na mojej głowie, a jego ciepłe dłonie delikatnie gładzą plecy.

— Przyszła kilka minut temu. Zrobiliśmy jej herbatę, bo nie wygląda najlepiej — wyjaśnia Josephine.

— Dzięki. Zajmę się nią... Lizzy? — Brunet odsuwa się ode mnie, więc jestem zmuszona otworzyć oczy, aby na niego spojrzeć. — Wszystko w porządku? — pyta, marszcząc brwi. Kładzie mi dłoń na czole. — Nie masz przypadkiem gorączki?

— Pokaż. — Wtrąca Natalie. — Boże, faktycznie. Zabierz ją na górę. Zrobię napar z ziół, a ty zajmij się okładem.

Poprawiam koc i z brunetem u boku idę na piętro. Nogi mam ociężałe, ręce tak samo. Byłam pewna, że to alkohol jest powodem mojego fatalnego samopoczucia. Nie sądziłam, że może chodzić o cholerną gorączkę.

— Chodź. Weźmiesz prysznic, a później położysz się spać — mówi Shaw, gdy jesteśmy już w jego sypialni.

— Ale...

— Nie dyskutuj ze mną, Parker. — Jego chłodny ton sprawia, że tracę ochotę na jakąkolwiek rozmowę.

Wchodzimy do łazienki. Obserwuję bruneta, który grzebie coś przy kabinie.

— Ustawiłem ci odpowiednią temperaturę. Nie zmieniaj jej. Rozbierz się, a ja pójdę po piżamę.

Śledzę go wzrokiem do chwili, gdy znika za drzwiami mojego pokoju. Przez kilka, może kilkanaście sekund stoję na środku pomieszczenia, dziwnie otępiała. W końcu pozbywam się ubrań i wchodzę pod deszczownicę. Bola mnie wszystkie mięśnie. Wszystko wokół jest zniekształcone. Woda jest ciepła, ale drzę z zimna. Mam nadzieję, że jutro będzie lepiej.

Przemywając ciało, widzę przez szkło, że Chase wraca. Nie patrząc na mnie, siada na sedesie i stuka coś w swoim telefonie. Kiedy stwierdzam, że jestem czysta, wyłączam strumień.

— Już?

Kiwam w odpowiedzi głową. Nie mam siły czuć się źle czy niezręcznie z tym, że znów widzi mnie w całej okazałości. Wychodzę spod prysznica, przyjmuję od niego ręcznik i wycieram się. Shaw pomaga mi założyć spodnie w kratę oraz bluzkę z długim rękawem. Wracam do jego pokoju i od razu wchodzę pod koldrę.

— Pójdę zrobić okłady — rzuca tylko.

Wciskam głowę w poduszkę, wzrok wlepiając w sufit. Wiruje nade mną, dlatego muszę przymknąć na moment powieki i wziąć kilka głębokich oddechów. Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułam się tak okropnie.

Z zamyślenia wrywa mnie ciche pukanie.

— Mogę? — pyta Josephine.

Podnoszę się na łokciach.

— Tak, wejdź.

Kobieta wchodzi do pokoju z termometrem i parującym kubkiem w dłoni. Na jej ustach maluje się delikatny, typowy dla niej uśmiech. Podchodzi do łóżka i siada obok mnie.

— Sprawdźmy, ile masz na liczniku — śmieje się, co i mnie się udziela. Blondynka przykładła mi urządzenie do czoła. Gdy rozbłyska na zielono, zaczyna pikać. — Trzydzieści dziewięć. Nie jest dobrze. Wypij to. — Gładzi ręką moje włosy. Przyjmuję naczynie, dmucham i upijam łyk. Przez cały czas czuję na sobie jej wzrok. — Przestraszyłaś nas, gdy tak nagle wybiegłaś.

Zagryzam wewnątrz policzka.

— Przepraszam. Nie chciałam nikogo martwić.

Naprawdę nie miałam na celu robić takiego zamieszania. To, co działo się w tym domu kilka godzin temu, z lekka mnie przytłoczyło. Potrzebowałam przestrzeni. Ostatnie dni nie należały do normalnych. Wszystko się pomieszało. Nasze życie przewróciło się do góry nogami.

— Mam nadzieję, że jakoś wybrniemy z tych ciężkich chwil — mówi cicho.

— Ja też.

Uśmiecham się szczerze, kiedy Josephine ściska moją dłoń. Do pokoju wraca Chase. Blondynka prostuje się niczym struna.

— Ja... ja tylko przyniosłam zioła — wyjaśnia pospiesznie. Jej głos drży, a mowa ciała zdradza, jak bardzo się stresuje. — Ma trzydzieści dziewięć stopni gorączki. Przygotuję odpowiednie tabletki, rozpiszę ci i...

— Mam już wszystko — wtrąca oschle.

— Och. W porządku. W takim razie... ja... ja już pójdę.

Kobieta rusza do wyjścia. Posyłam Chase'owi wymowne spojrzenie, jednak przewraca tylko oczami.

— Jo. — Zatrzymuję ją.

Zerka na mnie przez ramię.

— Dziękuję.

Kącik jej ust drga nieznacznie.

— Gdybyście czegoś potrzebowali, będę na dole — mówiąc te słowa, nawet na sekundę nie spuszcza wzroku z siostrzeńca.

Gdy zostajemy sami, Shaw podchodzi do łóżka i stawia przy nim miskę oraz jakąś siatkę. W ciszy wyjmuję z niej najróżniejsze tabletki. Mam wrażenie, że w tym momencie myślami jest w zupełnie innym świecie.

Obserwuję, jak moczy w misce jakiś materiał. Z zaciśniętymi wargami wykręca z niego wodę, a kiedy widzę jego twarz w pełnej okazałości, nie potrafię pohamować uśmiechu.

— Co cię tak bawi, Parker? — mamrocze, przykładając mi ręcznik do czoła.

Wzdrygam się na uczucie zimna.

— Po prostu śmiesznie wyglądasz, gdy się skupiasz. Trochę jak naburmuszony kurczak. Robi ci się wtedy taka zmarszczka. O tu. — Dotykam palcem wgłębienia między jego brwiami.

— Naburmuszony kurczak? Tobie już naprawdę siadło na łeb od tej gorączki, dziewczyno.

Nasuвам kołdrę na nos.

— Co ty wyprawiasz? — pyta, udając wkurzonego. Nie bardzo mu to wychodzi.

— Poczytaj mi coś — wypalam bez zastanowienia.

— Co? Co niby miałbym ci przeczytać?

— Nie wiem, cokolwiek. Masz przecież dużo książek. Na pewno coś znajdziesz. — Zerkam na ustawiony w kącie regał, po brzegi wypełniony najróżniejszymi pozycjami.

— Mam ci przeczytać bajkę na dobranoc? — rzuca kpiąco. — Kładź się spać, Parker.

Przełykam ślinę, czując dziwny ścisk w brzuchu.

Podpieram się na łokciu, aby upić łyk herbaty. Biorę tabletkę, którą Shaw dla mnie przygotował, uważając przy tym, aby okład nie spadł z czoła. Jest to trochę trudne, ale udaje się. Czując na sobie wzrok bruneta, ponownie wciskam głowę w poduszkę. Wzdycham cicho i zamykam oczy. Słyszę szmery w pokoju, a to oznacza, że gdzieś poszedł.

Nie rozumiem zachowania ani tonu Chase'a. Wiem, że przechodzi ciężki czas i że jestem jedną z osób, które się do tego przyczyniły, ale myślałam, że między nami jest w miarę okej.

Nagle do moich uszu dociera jego cichy głos:

— Nie jesteś stąd — powiedział lis. — Czego tu szukasz?

— Szukam ludzi — odrzekł Mały Książę. — Co to znaczy „oswoić”?

— Ludzie — powiedział lis — mają strzelby i strzelają. To bardzo przykre. Hodują także kury. Tylko tym się przejmują. Czy szukasz kur?

— Nie — odparł Mały Książę. — Szukam przyjaciół. Co to znaczy „oswoić”?

— To coś, co popada już nieco w zapomnienie — powiedział lis. — Oznacza: „stwarzać więzy”.

— Stwarzać więzy?

— Oczywiście — powiedział lis. — Tymczasem jesteś dla mnie jakimś chłopcem podobnym do stu tysięcy innych chłopców. I nie jesteś mi potrzebny. Także i ja nie jestem tobie potrzebny. Jestem dla ciebie tylko jakimś lisem podobnym do stu tysięcy innych lisów. Ale jeśli mnie oswoisz, będziemy

potrzebowali siebie nawzajem. Staniesz się dla mnie kimś jedynym na świecie^[2].

^[2] Wszystkie cytaty z *Małego Księcia* A. de Saint-Exupéry'ego w przekładzie Barbary Przybyłowskiej.

Rozdział 4

CHASE

Przekręcam się na lewy bok, wzrokiem lustrując twarz leżącej obok mnie dziewczyny. Jej blond włosy rozrzucone są dookoła głowy, usta ma lekko rozchylone, a nogi wplątane w moje. Widzę, że co jakiś czas marszczy brwi i uśmiecha się na zmianę. Przejeżdżam dłonią po jej policzku, zbierając kosmyki, które zaczęły wpadać do buzi. Reaguje na mój dotyk. Obserwuję, jak otwiera leniwie oczy, mruga kilka razy, po czym ziewa przeciągle.

— Cześć — mówi cicho. Kąciki jej ust się unoszą.

Lubię na nią patrzeć. Szczególnie rano, kiedy nie ma makijażu. Ma wtedy ciemne kręgi pod oczami, jakby nie spała kilka dni, ale właśnie to jest fajne, bo dodaje jej uroku. Dokładnie tak jak zaczerwienienia na nosie. Codziennie zakrywa je tymi wszystkimi gównami, nie rozumiem tego. Na moje to ona w ogóle nie musi się malować. Nie potrzebuje tego.

— Cześć — odpowiadam po chwili ciszy, kiedy tak obserwujemy siebie nawzajem. — Wyspałaś się?

— W miarę, a ty? — Jej dłoń łąduje na moim policzku. Niekontrolowanie zamykam powieki, kiedy zaczyna błdzić palcami po skórze.

— Mhm.

Blondynka śmieje się pod nosem. Ręka znika. Nie jestem nawet w stanie zareagować, gdy kładzie ją na klatce i mnie popycha, przez co opadam na plecy. Otwieram oczy. Wzdycham, kiedy na mnie siada. Kurwa.

Kładę dłonie na jej pośladkach i je ściskam. Nie do końca ogarniam, co się dzieje, ale podoba mi się to. Lizzy pochyla się i mocno przywiera wargami do moich.

— Widzę, że humor dzisiaj dopisuje. — Unoszę brew, patrząc, jak dziewczyna uśmiecha się do mnie promiennie. — Lepiej się czujesz?

— Lepiej — mówi kilkanaście centymetrów od mojej twarzy. Przenoszę spojrzenie na jej różowe usta i przetykam cicho ślinę.

Nie ukrywam, zaskakuje mnie ta nagła zmiana, szczególnie po tym, w jakim stanie wróciła wczoraj. W ogólnym zamieszaniu nie widziałem, kiedy wyszła z domu. Dopiero gdy ta cała Natalie zaczęła wołać jej imię, dotarło do mnie, co się dzieje. Razem z Caroline pojechaliśmy jej szukać, a po nas zrobili to też Terrence, Jon i Aiden. Parker nie bywała ostatnio sobą i kurwa, szczerze...? Odchodziłem od zmysłów. Pierwszy raz czułem taki pieprzony strach z mieszanką czegoś, czego nawet nie umiem nazwać.

Nie pytałem, gdzie była, chociaż zajebicie mnie to ciekawi. Poza tym znowu czułem od niej alkohol. Kurwa, nie mogę tej dziewczynie niczego zabronić. Sam też sobie czasem wypiję. Rzecz w tym, że to nie pierwszy raz, kiedy Parker sięga po butelkę, gdy coś jest nie tak.

— A masz ku temu jakiś powód? — Naprawdę zastanawiam się, skąd w niej nagle tyle entuzjazmu.

— A czy muszę go mieć? — Odbija piłeczkę.

Zaciskam szczękę, gdy porusza się na moich biodrach. Ja pierdołę.

— Przysięgam, że jeśli jeszcze raz tak zrobisz, to nie rękę za siebie — mówię z powagą.

— Tak, znaczy jak?

Dziewczyna opiera ręce po obu stronach mojej głowy. Przez chwilę walczymy ze sobą na spojrzenia. Gdy uśmiech na jej ustach powiększa się, chwytam ją za łokcie i sprawnie przerzucam, tak że teraz jest pode mną.

— Igrasz z ogniem, Parker.

— Lubię to robić.

— Możesz się sparzyć.

— Więc sparzymy się razem, bo pociągnę cię za sobą — rzuca zawadiacko.

Najzabawniejsze w tym wszystkim było chyba to, że gdy świat wokół nas płonął, my ogrzewaliśmy się jego ciepłem. Tak długo, jak mieliśmy siebie, reszta nie miała większego znaczenia.

Zbliżam twarz do leżącej pode mną blondynki, łącząc nasze wargi w pocałunku. Z początku jest on delikatny i subtelny, jednak z każdym kolejnym muśnięciem zwiększam nacisk i tempo. Lizzy wplątuje palce w moje włosy i ciągnie za nie. Zjeżdżam na jej szyję. Słyszę, jak coraz ciężiej oddycha. Gdy odrywam się, żeby na nią spojrzeć, zastygam w bezruchu. Dziewczyna ma na ustach lekki uśmiech, ale to bez znaczenia, bo teraz jej oczy są przeraźliwie zimne. Wcześniej takie nie były.

— Wszystko w porządku?

— Tak, jasne, dlaczego miałyby nie być? — Wzrusza ramionami, a ja na te słowa zaciskam szczękę.

Kłamie. Ona naprawdę to robi.

W oczekiwaniu patrzę jeszcze chwilę w szare tęczówki Parker. Liczę na to, że jednak się wycofa. Doskonale zdaję sobie sprawę, że w tym momencie nie jest ze mną szczerą, dlatego czuję zawód, kiedy wybiera milczenie.

Wstaję i podchodzę do szafy, żeby się ubrać.

— Chase...

Nie odpowiadam. W ciszy zakładam koszulkę i spodnie. Nie wiem, co miałbym jej powiedzieć. Jestem tutaj, próbuję jakoś złożyć to wszystko do kupy, a ona łączy prosto w oczy. Nie mówi, co czuje, dusi całe to gównno w sobie i to mnie tak zajebiście wkurwia, że najchętniej bym w coś wałnął. Najlepiej, żeby zaczynało się na literę „a”, a kończyło na „iden”.

Zdejmuję z wieszaka bluzę, którą narzucam na ramiona. Zerkam na siedzącą w pościeli dziewczynę. Patrzy na mnie tymi swoimi wielkimi oczami, a ja już wiem, że przegrałem. Wzdycham ciężko. Podchodzę do łóżka i siadam na materacu. Chwytam palcami podbródek Lizzy i unoszę go, żeby na mnie spojrzała.

— Co się dzieje? — pytam wprost.

Przełykam cicho ślinę. Jej wzrok od zawsze był pusty. Od zawsze brakowało w nim isierki życia, ale teraz jest inaczej. Teraz ta nicość pochłonęła ją zupełnie.

— Nic. — Znowu kłamie, uśmiechając się sztucznie.

— Nie ruszę się stąd, jeśli mi nie odpowiesz. Ty też — odpowiadam z powagą, jeden z kosmyków jej włosów chowając za ucho. Przymyka powieki na mój dotyk.

— Przyjemnie — mamrocze pod nosem.

— Nie zmieniaj tematu, Parker.

Naprawdę wkurwia mnie to, że ta dziewczyna jest tak zamknięta w sobie. Wkurwia, bo chciałbym jej pomóc. Chciałbym ją rozszyfrować, ale nie potrafię. Jest dla mnie zagadką już od samego początku. Niewiele o sobie mówi, a i uczucia rzadko okazuje. Prawda jest taka, że widziałem u niej tylko złość, kiedy ją irytowałem swoim zachowaniem, i smutek, gdy odebrałem ją ze szpitala. Swoją drogą, nadal nie wiem, czym on był spowodowany. Gdzieś między tym wszystkim były też jakieś chwile szczęścia, ale niewiele.

Przeraża mnie to, co dzieje się w jej głowie. Przyjechała tutaj, uciekła i przez cały czas była w tym wszystkim sama. Bo chociaż miała wsparcie rodziny czy tego skurwiela Aideny, to i tak tylko ona doświadczyła tego całego szajsu. To ona musiała kłamać i żyć ze świadomością, że ma męża, a jej tożsamość w Crosby jest tuszowana. Kurwa.

Blondynka bierze głęboki oddech i znowu na mnie patrzy. Niespiesznie oblizuje wargi. Gra na zwłokę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Jeszcze nie otworzyła ust, a ja i tak już wiem, że powie rzeczy, które chcę usłyszeć, a nie te, które są zgodne z jej myślami.

— Po prostu jestem trochę zmęczona — mówi wymijająco. — Nie spodziewałam się, że ojciec tu przyjedzie.

Okej, to i tak całkiem dużo jak na nią.

— Ale wiesz, że nie jesteś w tym sama, prawda? Zdajesz sobie sprawę, że możesz na mnie liczyć?

— Wiem.

Dziewczyna uśmiecha się lekko, po czym odsuwa od siebie kołdrę i zbliża się do mnie. Z zainteresowaniem przyglądam się jej poczynaniom. Wdrapuje się na moje kolana, dłonie umieszczając na szyi. Obserwuję z fascynacją, jak delikatna zieleń wpływa na jej oczy. Bicie mojego serca przyspiesza.

Parker nachyla się i zatrzymuje tuż przy wargach. Muska je delikatnie, ciągle patrząc wprost na mnie. Powietrze w pomieszczeniu wydaje się gęstnieć. Słyszę jej ciężki oddech. Gdy przymyka powieki, chwytam tył jej głowy i mocno do siebie przyciskam. Parker popycha mnie znów na materac, palce wplątując we włosy. Z jej ust ulatuje zduszony jęk, co w sekundę mnie nakręca. Ja pierdołę, ta dziewczyna działa na mnie jak nikt inny. Przeraza mnie to, bo nigdy się tak nie czułem.

Lizzy odrywa się ode mnie, a jej ciepłe wargi lądują na mojej szyi. Dyszę, kiedy przygryza moją skórę i mocno ją zasysa. Jej biodra z całych sił przywierają do mojego krocza, doprowadzając mnie do szaleństwa.

Gdy usta Parker tracą ze mną kontakt, otwieram oczy i spotykam się z bladozielonym spojrzeniem.

— Szkoła.

— Co? — rzucam zdezorientowany.

Dziewczyna sprawnie ze mnie schodzi i rusza w stronę łazienki. Patrząc tępo na drzwi, za którymi właśnie zniknęła. W kilka sekund nakręciła mnie zupełnie, po czym wyszła sobie tak, jakby nic się nie stało? To są chyba jakieś jaja.

Przecieram twarz dłońmi, próbując się ogarnąć. Wzdycham ciężko. Podnoszę się do siadu i zamglonym wzrokiem lustruję pokój. Mam wrażenie, jakbym był w innym świecie czy coś. Tak jest zawsze, gdy ona zachowuje się w ten sposób. To lepsze niż dragi, a one naprawdę zajebicie mocno na mnie działają.

Na miękkich nogach podchodzę do drzwi i pukam w nie kilka razy. Opieram się łokciem o framugę w oczekiwaniu. Stoję tak dłuższą chwilę, aż znowu widzę jej twarz. Moje brwi od razu unoszą się wymownie.

— Co to było?

Lizzy obraca głowę i uśmiecha się niewinnie.

— Ale co?

— Ty tak poważnie?

— Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. — Zaplata ręce pod piersiami. — Zdajesz sobie sprawę, że jeśli zaraz nie wyjdziemy, to spóźnimy się na zajęcia?

— A to my naprawdę idziemy dzisiaj do szkoły?

— A nie?

Jestem pewien, że gdyby ktoś przyglądał się nam z boku, miałby niezły ubaw.

— No, myślałem, że zrobimy sobie jeszcze dzień wolnego — rzucam lekko.

— Nie ma mowy. Nie zamierzam później tego wszystkiego nadrabiać. Poza tym dobrze nam to robi. Mam na myśli powrót do normalności.

Przewracam oczami.

— Mówiąc: „zrobimy sobie jeszcze dzień wolnego”, myślałem, że powiesz: „Chase, jesteś taki wspaniałomyślny!”. Ja bym wtedy powiedział, że nie, a ty, że tak, więc zabrałbym cię za miasto i byśmy...

— Idziemy do szkoły — przerywa mi tonem nieznoszącym sprzeciwu.

— Serio, Parker? — Upewniam się, ale gdy wyraz jej twarzy nie zmienia się, poddaję się. — Ja pierdołę, ale z ciebie nudziara.

Blondynka klnie siarczyście i zamyka mi drzwi przed nosem. Przez chwilę patrzę na nie, a kiedy stwierdzam, że nie zmieni już zdania, biorę leżącą w kącie torbę. Słyszę, że dziewczyna krząta się po łazience. Zgarniam więc z szafki telefon i portfel, a gdy mam wszystko, czego potrzebuję, wychodzę z pokoju.

Na dole przechodzę przez korytarz, nie patrząc nawet w stronę kuchni. Słyszę głos Josephine, więc tym bardziej nie mam ochoty okazywać zainteresowania. Tak w ogóle to nie powinna być teraz w

pracy?

Podchodzę do szafki i nie nachylając się, wsuwam buty.

— Cześć — mówi nagle ciotka.

Wciskam palec w tył trampka, ignoruję ją. Ponownie sprawdzam telefon. Za dwadzieścia ósma. Zdążymy.

— Chase, czy możemy...

— Nie mamy o czym — odpowiadam krótko, odwracając się twarzą do niej.

Wygląda koszmarnie. Jej włosy są ściągnięte w ciasny kucyk, a pod oczami ma ciemne kręgi. Mam wrażenie, że nie spała całą noc. Nawet nie wysilała się wielce z ubraniami. Założyła dresy i koszulkę. To chyba pierwszy raz — poza dniem, kiedy zbierałem ją nawaloną z podłogi w salonie — gdy widzę ją w tak beznadziejnym wydaniu. Zawsze starała się być raczej ogarnięta.

Wiem, że jej przykro, ale na serio mam to gdzieś. Okłamywała mnie latami. To chujowe, po prostu. Myślałem, że sobie ufamy. Jakby... no kurwa — moja matka żyje, a do tego mam brata. Wypadaloby wiedzieć takie rzeczy.

— Myślę, że jednak mamy — mówi cicho. Jest ostrożna. Boi się najpewniej, że wybuchnę. Nie chcę, żeby nasza relacja tak wyglądała, ale jednocześnie nie potrafię być wobec niej miły. — Kiedy planowałeś mi powiedzieć o twojej walce z Blaze'em? — pyta i od razu dodaje: — Byłam ostatnio w sklepie, tam się dowiedziałam. Wiedzieli o tym wszyscy poza mną. Dlaczego? — W jej głosie słyszę cień urazy.

„Bo przesłaś w życiu gówno i nie chciałem, żebyś miała kolejny powód do zmartwień. To chyba, kurwa, logiczne” — myślę sobie, ale ostatecznie wstrzymuję się z powiedzeniem tych słów na głos.

— A ty? Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć, że ja i ten skurwiol wyszliśmy z jednej dziury? Nigdy? No, ja też mniej więcej wtedy.

— To twój brat.

— Taa — pryham, ignorując ścisk w dole brzucha. — Ja tak nie uważam. Zdecydowanie wdał się w starego. On też był chujem. To przez niego Margaret nie żyje, a Lorraine jest wariatką. Nie pozwolę, żeby Lizzy skończyła tak samo — rzucam ostro.

Ku mojemu zaskoczeniu Josephine uśmiecha się i zaplata ręce pod piersiami.

— Spodziewałam się takiej odpowiedzi.

Wraz z tymi słowami do moich uszu dociera dźwięk zamykanych na piętrze drzwi. Przenoszę wzrok na schody i obserwuję, jak Parker z nich zbiega. Ubrana w obcisłe spodnie i bluzę, bez grama makijażu, wygląda co najmniej dwa lata młodziej.

— Jak się czujesz, Lizzy? Temperatura spadła?

Parker poprawia torbę na ramieniu. Widzę, że oblizuje nerwowo wargi, kiedy patrzy na Jo, ale ostatecznie posyła jej wymuszony uśmiech.

— Tak, w porządku. Dziękuję za wczoraj — odpowiada uprzejmie, jak to ma w zwyczaju.

Ona zawsze jest taka miła. Dla wszystkich poza mną. Dla mnie rzadko taka bywała. Przynajmniej na początku.

— Musimy się zbierać, żeby nie spóźnić się do szkoły. Będę czekał w samochodzie — rzucam tylko, po czym wychodzę na zewnątrz.

Nie mam ochoty na dalszą rozmowę. W tym momencie jestem za bardzo zły i mógłbym powiedzieć rzeczy, których później bym żałował. To bez sensu. Potrzebuję czasu, a później... później zobaczymy.

Odpalam silnik w oczekiwaniu na Parker. Dołącza do mnie dwie minuty później.

— Pasy — mamrocze, gdy opuszczamy posesję.

Zapina je bez słowa sprzeciwu. Jest milcząca, dokładnie tak jak ja, ale to w porządku. Myślę, że każde z nas tego potrzebuje. W sumie dobrze, że jedziemy do szkoły. Dzięki temu oderwiemy się od tego całego gówna, chociaż wiem, że czeka nas jeszcze konfrontacja z Mattem. Współczuję mu. Mam w sobie duże pokłady gniewu, które chciałbym dziś na kimś wyładować. Jeśli wejdzie mi w drogę, będzie miał przejebane. Myślę, że jest tego świadomy.

— Wiedziałeś, że szczury wędrownie żyją około dwóch lat? — odzywa się nagle Lizzy.

Zerkam na nią skonsternowany. Nie patrzy na mnie. Jej wzrok skupiony jest na telefonie.

— Nie, a co?

Zatrzymuję się na czerwonym świetle. Dziewczyna wgapia się jeszcze chwilę w ekran, po czym marszczy brwi.

— Nic. Po prostu zastanawiam się, co tu jeszcze robisz. — Wzrusza ramionami, a kiedy nasze spojrzenia spotkają się, dostrzegam błakający się na jej ustach uśmieszek.

— Uważasz, że jestem szcurem? — pytam, z trudem hamując śmiech. — Od samego rana sobie grabisz, Parker. Przysięgam, że któregoś dnia położę ci takiego szczura na twarzy, a wtedy...

— Wtedy cię zamorduję. Na miejscu. A ciało zaleję betonem, żeby psy nie wyczuły twojego zapachu — przerywa mi śmiertelnie poważna.

— Dużo wiesz o morderstwach — zauważam.

— Wiem też, jak pozbyć się krwi z ubrania. Robię to co miesiąc, więc uważaj.

Zerkam na nią. Unoszę kąciki, dokładnie tak jak ona. Niedługo potem oboje parskamy śmiechem.

W lepszych humorach niż kilka minut wcześniej wjeżdżamy na teren szkoły. Parkuję samochód między autami Logana i Aarona, a kiedy gaszę silnik, od razu wychodzę na zewnątrz. Parker nie jest już tak roześmiana. Znacznie spoważniała, a to dlatego, że obok forda Turnera stoi Monica. Podchodzimy do grupy znajomych. Są tu wszyscy poza Mattem i Charlotte.

— Cześć — mówi z uśmiechem Lizzy.

Każdy odpowiada jej tym samym, a ja tylko kiwam głową.

— Boże, w końcu wróciliście. Zaczynało już powiewać nudą — śmieje się Zoe, obejmując blondynkę ramieniem.

Wyjmuję z kieszeni papierosa i odpalam jednego. Obserwuję twarze, zatrzymując się dłużej na O'kelly, która przygląda mi się uważnie. Wygląda, jakby chciała coś powiedzieć, ale ostatecznie milczy.

— Działo się coś ciekawego? — pyta Parker, wyraźnie unikając spojrzenia bliźniaczki.

— Nic, poza tym, że Higgins zrobił test. On naprawdę się na mnie uwziął. Cały czas nade mną stał i patrzył, jak piszę — odzywa się Jake.

Dalszej rozmowy już nie słucham. Skupiam się na blondynce, która śmieje się nieszczerze albo uśmiecha wymuszenie. Jackson robi dokładnie to samo. Atmosfera jest zajeżdżona napięciem. Myślę, że każdy to czuje, ale nikt nie ma odwagi, żeby poruszyć temat piątkowego ogniska.

Tę niezręczną sytuację przerywa dzwonek.

— Ten skurwiel już jest? — rzucam do Logana, kiedy zostajemy sami.

— Nie. W tym tygodniu nikt go nie widział. Monica też nic o nim nie wspomina.

Marszczę brwi.

— Boi się?

— Możliwe. — Wzrusza ramionami. — A jak sprawy w domu?

— Szczerze? Nie mam ochoty o tym gadać. To wszystko jest bardziej popieprzone, niż myśleliśmy.

Logan nie pyta już o nic więcej. Właśnie za to go lubię.

Dzień w szkole mija dość spokojnie. Przez nieobecność mamy sporo zaległości, ale nie dbam o to. To moje ostatnie miesiące w tym syfie, więc nie mam zamiaru zaprzętać sobie głowy bezsensownymi notatkami.

— Chase? — słyszę za plecami, kiedy wychodzę z szatni po zajęciach sportowych.

— No, co tam? — Odwracam się do O'kelly.

Dziewczyna patrzy na mnie wielkimi oczami. Wydaje się niepewna, dokładnie tak, jak rano na parkingu. Widzę, że przełyka nerwowo ślinę i błądzi wzrokiem, ale ostatecznie mierzy się z moim. Mam wrażenie, że jest zawstydzona, choć mogę się mylić.

— Słuchaj, ja... ja chciałabym cię przeprosić.

— Co?

— Za to ognisko. Nie miałam pojęcia. Gdybym wiedziała...

— No chyba sobie żartujesz — przerywam jej ostro.

Otwiera szerzej oczy na te słowa. Teraz wygląda na jeszcze bardziej zagubioną. Podchodzę do

niej, a ta zadziera głowę.

— Przysięgam, że jeśli jeszcze raz przeprosisz mnie za to, co odwalił Matt, skopię ci dupę. I nie będę zwracał uwagi na to, że jesteś kobietą.

Monica spogląda na mnie w szoku. Wyraźnie się tego nie spodziewała, ale jak mógłbym winić ją za coś, czego nie zrobiła? Jej brat jest dorosły, sam zdecydował, ona nie powinna czuć się za niego odpowiedzialna.

— Gdzie go w ogóle wzięło, co? — pytam, rozglądając się po korytarzu.

— Pojechał do naszego domku w górach. Powiedział, że musi pomyśleć.

— Gdyby miał jeszcze czym — mamrocę pod nosem, a kiedy nasze spojrzenia się krzyżują, widzę łzy w jej oczach. — Chodź tu. — Przyciągam ją do siebie i zamykam w uścisku.

Nie wyobrażam sobie, co musi teraz czuć. Od historii z Allison byliśmy nierozłączni. Wszystko robiliśmy razem. Wiadomość o tym, że jej brat i przyjaciel w jednym zrobił takie gówno, musiała być dla niej wstrząsająca. Ja sam nieźle się zawiodłem. Nigdy bym nie podejrzewał, że z Matta może być taki skurwiel.

Po skończonych zajęciach odwożę Parker do centrum. Postanowiła wyjść z Caroline, co mnie cieszy, bo w końcu trochę odetchnie. Nie wspominała nic o ognisku ani O'kellym, dlatego nie poruszałem tego tematu, bo i po co.

Droga na trening mija w miarę szybko. Przez większość czasu zastanawiam się, czy ojciec Lizzy, Aiden i ta cała Natalie też dziś do nas przyjadą. Caroline powiedziała, że wynajęli sobie pokoje w jakimś hotelu. Dobrze zrobili. Nie zdzierzyłbym obecności tego chuja pod naszym dachem. Jak na niego patrzę, to ręka aż świerzbi, żeby mu przywalić.

Witam się w recepcji z Flynnem, który daje mi klucze do szafki. On też mnie irytuje. Widziałem, jak ostatnio patrzył na Parker, i aż mnie skręciło. W tamtym momencie miałem ochotę wydłubać mu oczy. Tak samo Maxowi. W ogóle tutaj każdy jest nią zachwycony. Nienawidzę tego.

— Postradałeś zmysły?! — wydziera się Dominic, kiedy wchodzę na salę treningową.

— Możliwe. — Uśmiecham się głupio.

— Walka jest jutro, a ty masz to totalnie gdzieś. Gdzie cię znowu wczoraj wzięło? — pyta wściekły, zatrzymując się metr ode mnie. — Zależy ci w ogóle na tym? Bo to już, kurwa, nie jest zabawne, stary.

— Wiesz, że tak — odpowiadam tylko i wchodzę na matę, gdzie zaczynam rozgrzewkę.

— No, jakoś tego nie widać. Możesz mi w końcu powiedzieć, co się dzieje, bracie?

Dominic jest w porządku. Wiele razy mi pomógł i wiem, że mogę mu zaufać.

— Problemy rodzinne. — Wzruszam ramionami, rozciągając się.

Mięśnie jego twarzy wyraźnie się rozluźniają.

— Coś z Caroline?

— Nie, po prostu wyszło trochę gówna z przeszłości. Nie chce mi się o tym gadać.

Naprawdę nie jestem w nastroju na tłumaczenie komukolwiek, że mój stary był chujem, matka oszalała, a brat to skończony skurwiel, który myśli tylko o sobie. Pewnie sam fakt, że mam rodzeństwo, rozjebałby już Doma na łopatki.

— No dobrze — wzdycha ciężko. — Mam nadzieję, że to nie będzie miało wpływu na jutrzejszą walkę.

Kiedy rozgrzewka dobiega końca, biorę rękawice, które Dominic pomaga mi założyć. Wchodzimy razem na ring i zaczynamy nasz trening.

Wydaje mi się, że jeszcze do mnie nie dotarło to, że walka jest za dwadzieścia cztery godziny. Nie do końca wiem, czego powinienem się spodziewać. Mimo wszystko jestem kurewsko nakręcony. Chcę dokopać Blaze'owi. Zasłużył sobie na to po wszystkim, co zrobił. Zawsze, gdy na niego patrzę, mam przed oczami Caroline. To, jak piła, ćpała i generalnie straciła kontakt z rzeczywistością. Właśnie to wspomnienie i obraz pociętej twarzy Parker motywują mnie do działania. Kurwa, nigdy sobie nie wybaczę, że mnie tam nie było.

— Dobra, jeszcze raz to samo — mówi Dom po godzinie treningu.

Nie czuję zmęczenia. Właściwie mam w sobie jeszcze więcej energii niż na początku. Uderzam

w tarczę.

W mojej głowie pojawia się Josephine. Zastanawiam się, jakim cudem nigdy nie ogarnąłem, że kłamała. Kurwa, jeździła ze mną do Bangor i płakała nad grobem rodziców. To pojebane, bo doskonale wiedziała, że tam ich nie ma. Była, i może nadal jest, świetną aktorką. Dokładnie tak, jak Jon. Tylko Theresa próbowała otworzyć mi oczy. Pokazywała zdjęcia, ale ja nigdy nie zadawałem pytań. Nie obchodziło mnie, kim są dzieciaki z fotografii, bo byłem szczeniakiem. Moich zdjęć z Aidenem widziałem kilka. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że to może być mój brat, no i że siedzącą obok nas dziewczyną jest Parker.

Pamiętam, jak któregoś dnia babcia powiedziała mi, że nie wszystko jest takie, jak się wydaje. Było to w dzień rocznicy śmierci ojca. Myślałem, że może był chujem albo matka coś odjechała, ale na tym się kończyło. Nie spodziewałem się czegoś... takiego. Josephine ma dwie siostry, a ja wiedziałem tylko o jednej. To kolejna popieprzona rzecz, bo przez te wszystkie lata nie wspominała o jej istnieniu. Jakim cudem każdej nocy kładła się normalnie spać? Jakim cudem potrafiła patrzeć mi w oczy bez wyrzutów sumienia?

— Niżej łokcie! — słyszę nagle za plecami.

Zastygam z ręką uniesioną ku górze. Patrzę na skonsternowanego Dominica, po czym odwracam się na pięcie i zaciskam szczękę.

— To zamknięty trening.

Facet przed nami śmieje się nisko, uwagę skupiając na mnie.

— Musimy pogadać. — Omar ignoruje słowa Doma.

Przez chwilę przyglądam się w milczeniu Rumelemu, a kiedy daje mi jasno do zrozumienia, że nie zamierza stąd odejść, przewracam oczami.

— Daj mi chwilę — rzucam do Dominica. Zdejmuję rękawice, zeskakuję z ringu, po czym idę w ustronne miejsce. Wiem, że on jest za mną. Używa chujowych perfum. On cały jest chujowy. — Czego chcesz? — pytam ze znużeniem, kiedy upewniam się, że nikt nie podsłuchuje.

Zastanawiam się, skąd wiedział, gdzie jestem. Śledził mnie czy jak?

— Matka cię nie nauczyła szacunku wobec starszych? — Wciska dłonie w kieszenie spodni.

Unoszę brwi na jego słowa. Żałosne.

— Nie będę się powtarzał — mówię obojętnie, czekając na odpowiedź.

Facet uśmiecha się idiotycznie, a jego wzrok pada na ring.

— Przyszedłem porozmawiać o Cla...

— Ma na imię Elizabeth — wtrącam.

— W takim razie przyszedłem porozmawiać o mojej żonie — poprawia się, a ja przewracam oczami.

Myśli, że ma przewagę, bo jest jej mężem. Ale dla mnie to już bez znaczenia. Ta dziewczyna nigdy nie chciała za niego wyjść i nie darzy go uczuciem. Boi się go. Widziałem typa dwa razy w życiu i chociaż się nie znamy, nienawidzę go jak mało kogo. Na samą myśl o tym, co zrobiła jego rodzina i co on robił Elizie, mam ochotę rozwalić mu łeb o ścianę i uderzać tak długo, aż umrze. Zasłużył na wszystko, co najgorsze.

— Przyjście tutaj nie było nawet ostatnią rzeczą na liście tych, które chciałbym zrobić przed śmiercią. Nie mam pieprzonej ochoty z tobą rozmawiać, ale po tym, w jakim stanie zobaczyłem wczoraj Claire, wiem, że muszę.

Dębieję.

Nim jestem w stanie przemyśleć to, co powiedział, popycham go na ścianę i zaciskam dłoń na jego szyi. Moja klatka unosi się szybko. Wystarczyły dwa zdania, żeby wyprowadził mnie z równowagi, a jest tu nie dłużej niż dwie minuty.

— Co jej zrobiłeś? — cedzę przez zęby.

Parker zniknęła na kilka godzin. Dziwnie się zachowywała, gdy wróciła. Kurwa mać. W mojej głowie pojawiają się najczarniejsze scenariusze.

Omar jest zupełnie nieprzejęty. Z jego ust wydobywa się głośnie prychnięcie. Wydaje się zadowolony z mojej reakcji.

— Zależy ci na niej. — Uśmiecha się głupio.

— Pytam ostatni raz: co jej zrobiłeś?

— Nic, kurwa. Oczywiście, że nic. — Odpycha mnie, a ja daję jeszcze dwa kroki w tył. —

Przyszedłem ci powiedzieć... poprosić, żebyś ją ogarnął.

Patrzę na niego skonsternowany.

— Co? O czym ty mówisz?

Rumeli odchrząkuje i prostuje się niczym struna.

— Wczoraj znalazłem ją pijaną na plaży. Problem z alkoholem miała już w Ameryce, a tutaj nie jest lepiej. Myślałem, że to przejściowe, ale widzę, że znowu ucieka w to gówno, kiedy sobie nie radzi — wyjaśnia.

— Dlaczego mi o tym mówisz? — Tylko tyle jestem w stanie powiedzieć.

Zszokował mnie tym. To chyba, kurwa, oczywiste.

Omar przygląda mi się z dziwnym wyrazem twarzy.

— Myślę, że obaj kochamy ją równie mocno, ale prawda jest taka, że tylko ty możesz jej pomóc.

Nienawidzę cię za to.

Facet mnie wymija. Nie potrafię się ruszyć. Po prostu stoję i gapię się tępo w ścianę przede mną.

Słyszę, jak drzwi prowadzące na korytarz zatrząskują się, a w pomieszczeniu zapada głucha cisza.

— Stary, wszystko w porządku? Co to był za typ? — pyta Dominic, wyrwyjając mnie z tego dziwnego stanu.

Patrzę na niego przez ramię. Nie odpowiadam. Nie wiem, co miałbym powiedzieć, dlatego ruszam z powrotem na ring. Muszę się wyżyć.

„Myślę, że kochamy ją równie mocno” — te słowa odbijają mi się w głowie niczym echo przez następne godziny.

On kocha moją Parker...

— No, i później poszliśmy do sklepu ze słodyczami — mówi Lizzy, uśmiechając się do mnie szeroko.

Zmieniam bieg, kiedy skręcam w prawo.

Około szóstej dziewczyny przyszły do mnie na trening. Przez cały czas myślałem o słowach Omara, przez co nie mogłem się skupić na uderzeniach. Dominic kilkakrotnie zjechał na mnie, ale ostatecznie udało mi się ogarnąć i w miarę równomiernie celować w worek. A kiedy Parker weszła do pomieszczenia, od razu o wszystkim zapomniałem, i to było dobre.

— Czyli jesteś zadowolona?

— Bardzo.

Patrzę w lusterko, aby się upewnić, że Caroline jedzie za mną. Ustaliliśmy, że skoczmy coś zjeść.

Trzy minuty później parkuję przed niewielką knajpką na obrzeżach miasta. Zawsze przyjeżdżałem do niej z Car, kiedy Jo albo Jon czymś nas wkurzyli. Siedzieliśmy wtedy tutaj godzinami i gadaliśmy o pierdołach, żeby ich poirytować nieodpowiadaniem na telefony. Za każdym razem kończyło się to szlabanem, ale w sumie mieliśmy wyjebane, bo i tak nigdy tych zakazów nie przestrzegaliśmy.

Wychodzimy z samochodu, po czym zamykam go pilotem. Skupiam się na idących przede mną dziewczynach. Fajnie, że znalazły wspólny język. Nie ukrywam, ulżyło mi, kiedy ogarnąłem, że Caroline nie znała prawdy o moich rodzicach. Miałem co do tego wątpliwości. Wkurwiłbym się, gdyby wyszło, że i ona kłamała. Ufałem jej najbardziej, i to byłoby po prostu słabe.

Zajmujemy miejsca przy oknie. Kelnerka przynosi karty, dlatego każde z nas skupia się właśnie na nich.

— Zdecydowałyście się? — pytam po chwili ciszy.

Niemal równocześnie przytakują. Składamy zamówienia.

Caroline postanawia opowiedzieć nam o chłopaku, którego niedawno poznała. Widzę, że za

wszelką cenę stara się odciągnąć nas od tego całego gówna, i jestem jej za to naprawdę wdzięczny.

— A co z Adamem? Myślałam, że to coś poważnego — zagaduje Parker, zajadając się swoimi frytkami.

— Sama nie wiem. Dobrze się bawimy, mamy wspólne zainteresowania, dużo piszemy, ale... No, nie wiem.

— Czego nie wiesz? Albo chcesz z nim być, albo nie. Nie ma w tym nic skomplikowanego. — Wzruszam ramionami.

Car przewraca oczami.

— Faceci — burczy. — Nigdy nie zrozumiecie naszego myślenia.

— Więc mnie oświeć.

Opadam na krzesło i unoszę brwi. Naprawdę nie rozumiem dziewczyn. One wszystkie takie są. Mam na myśli: niezdecydowane. Ciągłe doszukują się drugiego dna, nadmiernie rozmyślają, o małą rzecz potrafią zrobić wielki szum. Wiem to, bo mieszkam z nimi od zawsze. Kurewsko dziwna płeć.

Ze znużeniem patrzę, jak blondynka wpycha do ust duży kawałek pizzy i popija go sokiem. Uśmiecha się debilnie, przez co część napoju wypływa jej z ust. Parskam na ten widok. Widać, że to Shaw.

— Chodzi o to... — zaczyna Car, kiedy w końcu przełyka wszystko — ...że dla was wszystko jest zero-jedynkowe, czarne albo białe. Interpretujecie wszystko tak, jak chcecie. Nigdy nie zastanawiacie się nad tym, czy coś miało inne znaczenie. Nigdy w nic się nie zagłębiacie. Jesteście... nijacy.

— Nijacy?

— Aha. I do tego nie mówicie wprost, o co wam chodzi.

— My nie mówimy wprost, o co nam chodzi? — akcentuję pierwsze słowo.

— Głuchy jesteś czy jak? Lizzy, powiedz, że mam rację. — Dziewczyna krzyżuje ręce pod piersiami, patrząc wyczekująco na siedzącą obok mnie Parker.

Również na nią zerkam. Gdy nasze spojrzenia spotykają się, uśmiecha się głupio.

— Caroline ma rację — przyznaje po dłuższej ciszy.

— Nie wierzę — mamrocę pod nosem i wciskam się mocniej w krzesło. — Ja zawsze mówię, co myślę. To wy jesteście popieprzone. Czytacie te swoje horoskopy i inne gówna, a do kibla chodzicie stadami. Nigdy nie mówicie: „Zjebałeś, bo...”, tylko najpierw się obrażacie, później krzyczycie i dopiero na końcu wyjaśniacie, co zrobiliśmy nie tak. To wy nie mówicie wprost, o co wam chodzi, a nie my.

— Zdajesz sobie sprawę, Chase, że jednym zdaniem jestem w stanie obalić wszystko, co powiedziałeś, prawda? — Brew Car unosi się, jeden z kącików ust też.

— To znaczy? — pyta zaciekawiona Lizzy.

Siedząca naprzeciwko mnie blondynka uśmiecha się leniwie, po czym całą swoją uwagę przenosi na Parker. Marszczę brwi, bo nie mam pojęcia, co ma na myśli.

— Jeśli powiem to na głos, mój brat najpewniej pogrzebie mnie żywcem.

O czym ona...

— Caroline — rzucam ostrzegawczo, gdy tylko uświadamiam sobie, co chodzi jej po głowie.

— Co? O czym nie wiem? — Zdezorientowana Eliza patrzy to na mnie, to na nią.

Moja klatka piersiowa unosi się ciężiej niż kilka sekund wcześniej. Zaciskam zęby. Nie. Nie robi tego. Oczywiście, że nie. Chce mnie tylko wkurzyć.

— Nic, co by ciebie dotyczyło, Parker — rzucam tylko.

— No nie wiem, czy nie doty...

Patrzę na telefon.

— Zbieramy się — przerywam jej w połowie zdania i wstaję.

— Co? Dlaczego? — pyta wyraźnie skołowana Lizzy.

— Dostałem wiadomość i muszę... To ważne. Odstawię cię do domu, Parker. — Gubię się trochę w swoich słowach.

Ja pierdolę, jestem chujowym kłamcą.

— Jeśli to takie ważne, mogę ją odwieźć.

— Nie — wtrącam szybko.

Caroline patrzy na mnie spod przymrużonych rzęs. Trwa to do momentu, aż na jej ustach maluje się złośliwy uśmiešek. Ona wie. Oczywiście, że wie.

— Skoro tak... — Śmieje się pod nosem, a ja mam ochotę odetchnąć z ulgą.

— Możecie już iść. Ja zapłacę.

Dziewczyny podnoszą się ze swoich miejsc, biorą torebki i kurtki, a kiedy Caroline mnie wymija, szepcze:

— Przecież wiesz, że bym jej nie powiedziała.

— Nie ufam ci w tej kwestii.

Blondynka parska tylko w odpowiedzi, po czym dołącza do Parker. Ja podchodzę do baru. Czekam, aż kobieta po drugiej stronie wystawi mi rachunek, za wszelką cenę próbując się uspokoić.

Gdy Caroline zaczęła ten temat, nie sądziłem, że to wszystko zajdzie aż tak daleko. Jakby... kurwa, okej, może ma rację z tym, że nie zawsze mówimy wprost. Może nie do końca jestem szczery z tą cholerną dziewczyną, przy której ostatnio ciągle się budzę, ale potrzebuję czasu, żeby jakoś ułożyć w głowie to, co faktycznie chciałbym jej powiedzieć.

— To twoja pani? — odzywa się nagle gość, który siedzi na stołku i pije piwo. Rzucam mu skonsternowane spojrzenie. — Ta w dżinsowej kurtce — mówi, a ja patrzę przez ramię na Caroline i Lizzy. Obie palą właśnie papierosy i żywo o czymś dyskutują.

— Nie — odpowiadam zwięźle. Widzę, że facet lustruje Parker, dlatego dodaję: — Ale to, że nie jest moją panią, nie znaczy, że nie jest moja. Odpierdol się.

Typ, który na moje oko jest grubo po trzydziestce, unosi brew i uśmiecha się głupio. Ściskam mocniej trzymany w rękę portfel. No bezczelny jest. Przysięgam, nienawidzę takich skurwieli. To właśnie oni sprawiają, że młode dziewczyny boją się wychodzić gdziekolwiek same. Najchętniej rozwaliłbym takiemu łeb, bo to, co robią, jest zjebicie obrzydliwe. Nie wiem... czy musiałby na własnej skórze przekonać się, jak to jest być zgwałconym albo molestowanym, żeby cokolwiek zrozumieć? No, kurwa mać.

— Wyluzuj. Tylko spytałem — rechocze.

Wypuszczam z płuc powietrze, żeby się uspokoić.

Niewysoka brunetka wystawia w końcu rachunek. Nie patrząc już więcej na tego oblecha, wychodzę na zewnątrz, po czym ruszam w stronę samochodu. Caroline i Eliza cały czas dyskutują o — jak się okazuje — butach.

— Widzimy się w domu — mówi na odchodne siostra i wsiada do swojego samochodu.

Robimy to samo.

— Zapnij pasy, Parker. Czy to naprawdę takie trudne?

Dziewczyna przewraca oczami, ale szybko wykonuje polecenie.

— Tak — odpowiada głupio i wciska mi palec w brzuch.

— To nie jest śmieszne. Kiedyś twoje zapomnienie może mieć fatalne skutki.

— Już ma — stwierdza lekko, przenosząc wzrok na widoki za oknem.

Zaciskam mocniej dłonie na kierownicy i przełykam ślinę. Mam wrażenie, że te słowa mają drugie dno.

Drogę do domu spędzamy w ciszy. Muzyka nie gra, a my nie rozmawiamy. Każde z nas jest zamknięte we własnej głowie. Wracamy do miejsca, którego oboje tak bardzo nie znosimy. Jestem pewien, że cała rodzinka znów siedzi na kanapie i dyskutuje o tym, jak wygrzebać się z gówna, w które świadomie weszli.

— Co jest tak ważne, że musieliśmy tak szybko się zbierać? — pyta nagle dziewczyna, wrywając mnie z zamyślenia.

— Co?

— No, mówiłeś, że dostałeś wiadomość i że to ważne.

Och, kurwa.

— Muszę wysłać coś Loganowi — wymyślam na poczekaniu.

— Co? — docieka.

— Nie twój interes, Parker.

Nie odpowiada.

Kilka minut później parkuję auto za range roverem Jona. W milczeniu wychodzimy na zewnątrz. Widzę, że światła w salonie się świecą, więc jest spore prawdopodobieństwo, że moje przypuszczenia okażą się słuszne. Mam ochotę przetransportować się niezauważalnie do pokoju, bo naprawdę nie jestem w humorze na jakiegokolwiek dyskusję, szczególnie po tym, czego dowiedziałem się od Omara.

Patrzę na idącą przede mną dziewczynę. „Wczoraj znalazłem ją pijaną na plaży. Problem z alkoholem miała już w Ameryce”. Jakim cudem ten typ o tym wiedział, a jej rodzina nie? Chyba że byli świadomi problemu, ale go zignorowali. Jeśli tak jest, to mam kolejny powód, żeby przyjechać Aidenowi.

Gdy wchodzimy do środka, widzę jeszcze przez szybę frontowych drzwi, że na posesję wjeżdża Caroline. Całe szczęście, bo może się przydać. Parker w ciszy zdejmuje buty, ja robię dokładnie to samo. Obserwuję, jak przygląda się swojemu odbiciu w lustrze i wzdycha cicho. Niespodziewanie rusza przed siebie i wchodzi do salonu. Wraz z przekroczeniem przez nią progu następuje cisza, dlatego szybko dołączam. Mam ochotę się zaśmiać, bo oni wszyscy naprawdę tam siedzą. Mam déjà vu.

— Cześć. Myślę, że musimy pogadać — mówi nagle Lizzy, patrząc po twarzach zebranych osób.

Marszczę brwi.

Okej, tego się nie spodziewałem.

Ojciec Elizy i Aiden jak na komendę wstają z kanapy. Wygląda to kurewsko śmiesznie. Najchętniej bym parsknął, ale ostatecznie uśmiecham się tylko głupio i wciskam dłoń w kieszenie spodni.

— Kochanie, my...

— Zamknij się. — Lizzy przerywa Terrence'owi, po czym podchodzi do niego.

Jej klatka piersiowa unosi się ciężko. Jest zupełnym przeciwieństwem Elizabeth, którą widziałem wczoraj... którą widziałem przed chwilą. Jakby zamiast niej weszła nagle zupełnie inna osoba.

Blondynka zatrzymuje się przed ojcem i zadziera podbródek, aby na niego spojrzeć. Jej szczęka zaciska się, gdy mierzy go wzrokiem. Wzdrygam się, kiedy bierze zamach i uderza Parkera w twarz. Słyszę, jak Josephine i Natalie zasysają głośno powietrze. Otwieram szeroko usta, bo kurwa, jestem w szoku.

Mężczyzna nie reaguje na to. Obraca twarz i znów patrzy na córkę, która teraz daje krok w bok. Dziewczyna wymierza kolejny policzek, ale tym razem Aidenowi. Teraz się nie hamuję — śmieję się cicho. Jestem chujem, wiem, ale nie potrafię tego powstrzymać. Podoba mi się taki przebieg wydarzeń.

Parker okrąża stół i staje przed telewizorem. Patrzy kolejno na wszystkie twarze, zaplatając ręce pod piersiami. Mam ochotę przynieść popcorn, bo czuję, że to będzie dobre.

— Wiesz, tato, po tobie akurat mogłam się tego spodziewać, więc nawet nie jestem zdziwiona. W końcu to nie pierwszy raz, kiedy mnie okłamałeś. Ale ty, Natalie, naprawdę mnie zdziwiłaś. Jakby... cholera, też niejednokrotnie mnie oszukałaś, jednak myślałam, że nauczyłaś się na błędach — mówi beznamiętnie. — No ale i tak to ty stanąłeś na piedestale, dupku. — Patrzy na Aidena, który wrócił na swoje miejsce. Jego twarz jest zaczerwieniona od uderzenia. — Przez cały czas wmawiałeś mi, że nie masz pojęcia, skąd pochodzą listy, gdy tymczasem wiedziałeś o wszystkim. Wmawiałeś mi, że moja matka zginęła w wypadku, i chodziłeś ze mną na jej grób, wiedząc, że została zamordowana. W dupie mam to, że zawinił tutaj twój ojciec. Nie jesteś odpowiedzialny za jego czyny. Właśnie dlatego nie potrafię pojąć, czemu to zrobiłeś i pozwoliłeś... wszyscy pozwoliliście mi wyjść za Omara ze świadomością, że te długie nie są nawet twoje, tato. Brzydzę się wami, a szczególnie tym, że zatailiście przede mną kolejny zawał. — Jej głos cichnie z ostatnim zdaniem.

Jaki, do chuja, zawał?

Patrzę na ojca Lizzy, który dębieje. Jego twarz robi się blada, a oczy z każdą sekundą wydają się coraz większe.

— Omar mi powiedział. — Dziewczyna unosi rękę, uciszając Aidena, który właśnie chciał coś powiedzieć. — Wiem o tym od dwóch tygodni i cierpliwie czekałam, aż mi o tym powiecie. — Kątem oka widzę, że obok mnie staje Caroline. — Naprawdę nie wiem, co sobie myśleliście, zatajając przed nami to wszystko, ale źle postąpiliście. Już nigdy wam nie zaufam. Żadnemu z was, bo jesteście tak

cholernie zakłamanymi. Jestem pewna, że przyjdzie moment, w którym wrócimy na przyzwoite tory, ale nigdy wam tego nie wybaczę. Zapamiętajcie to sobie.

Wzrok dziewczyny pada na mnie. Parker wychodzi z pomieszczenia i wspina się na piętro. Słyszę, jak zatrzaskuje drzwi pokoju. Nikt nie odzywa się słowem, a i ja nie zamierzam. Rzucam ostatnie spojrzenie Caroline, po czym idę na górę. Nawet nie myślę o pukaniu. Gdy wchodzę do środka, od razu uderza we mnie chłodny wiatr. Okno prowadzące na dach jest otwarte, dlatego wychodzę przez nie i wspinam się na szczyt, gdzie, tak jak myślałam, siedzi Lizzy. Między jej wargami tli się już papieros. Zajmuję miejsce obok.

— Niezła szopka, co nie? — śmieje się bez humoru, patrząc przed siebie.

Podaje mi szluga. Przyjmuję go od razu i zaciągam się mocno.

— Więc to wszystko jest grą?

Oddaję jej fajkę, kiedy patrzy na mnie kątem oka i uśmiecha się lekko.

— A czy kiedyś nią nie było? — pyta. — Prawda jest taka, że od zawsze byliśmy jej częścią. Zupełnie nieświadomie daliśmy się w nią wciągnąć. Mam wrażenie, jakby zasłonięto mi oczy i kazano iść, z głupią nadzieją, że kiedyś dotrę do celu. Ale jak niby mam do niego dotrzeć, skoro nic nie widzę?

Nasze spojrzenia się spotykają. Patrę w jej ciemne oczy, od których odbija się światło księżyca. Chwytam zmarzniętą dłoń Parker i ściskam ją mocno.

— W takim razie zaprowadzę cię do niego. To ja będę twoimi oczami.

Rozdział 5

ELIZABETH

Strach w moim życiu przybiera najróżniejsze maski. Nęka mnie nieustannie, jednak walczę z nim od zawsze. Jako dziecko zasypiałam z włączoną lampką, bojąc się potworów, które miały się kryć pod moim łóżkiem. W okresie burzowym chodziłam do ojca, ponieważ przerażały mnie grzmoty i błyskawice. Gdy widziałam mysz, z piskiem uciekałam od niej jak najdalej. Natomiast gdy wkroczyłam w wiek nastoletni, pojawiło się uczucie, którego wcześniej nie znałam. Obawa przed odrzuceniem.

Wraz z pojawieniem się w moim życiu rodziny Rumelich strach wszedł na poziom, jakiego wcześniej nie znałam. Moje pierwsze spotkanie z Frankiem, z perspektywy osoby trzeciej, musiało wyglądać całkiem zabawnie. Pamiętam, że tamtego dnia, gdy przeszkodziłam ojcu w rozmowie, nie potrafiłam ugryźć się w język. Nigdy nie należałam do osób, które wiedzą, kiedy zamknąć usta. Tym razem nie było inaczej.

Mimo stojącego nieopodal Terrence'a facet nie szczędził sobie niewygodnych dla mnie komentarzy odnośnie do mojego ciała i twarzy. Zostałam potraktowana przedmiotowo, dlatego skwitowałam jego wypowiedź wywodem na temat poszanowania kobiet. Choć podświadomość podpowiadała mi, że nie jest to ktoś, z kim warto zadzierać, nie wiedziałam jeszcze wtedy, z kim mam do czynienia.

Od tamtego dnia strach towarzyszył mi nieustannie. Nigdy wcześniej nie czułam go tak intensywnie, a po założeniu obrączki straciłam nad nim zupełną kontrolę.

Dopiero przyjazd do Crosby pomógł mi nad nim zapanować. Mój spokój nie trwał długo, ale mimo wszystko miałam okazję zachłysnąć się wolnością od trosk i nabrać sił.

Strach jest niczym mój stary, dobry przyjaciel. Uczucie to znam tak dobrze, jak żadne inne. Wiem, jak to jest, gdy nie można złapać oddechu, ręce trzęsą się, a ty czujesz się niczym za mgłą. Rzecz w tym, że dziś czuję go inaczej. Niepokój o siebie, ojca, Aideny czy Natalie jest niczym w porównaniu z tym, co towarzyszy mi od momentu otwarcia oczu.

Wciskam papierosa do ust i zaciągam się nim mocno. Słońce chyli się ku zachodowi, a chłodny wiatr owiewa moje ciało i włosy, gdy z kolanami przy brodzie siedzę na dachu.

Dziś jest sobota. Dwunasty marca przyszedł zdecydowanie zbyt prędko. Chce mi się wymiotować, gdy przypominam sobie o tym, co wydarzy się za kilka godzin. Przez większość czasu próbowałam zepchnąć myśl o walce na bok, ale teraz już nie potrafię. Na samo wyobrażenie stojących na ringu Shawa i Roberta jest mi po prostu słabo.

Najchętniej wzięłabym wino albo whisky i opróżniła butelkę na raz, a później poszła spać. Moje gardło piecze, a ręce trzęsą się na myśl o palącym wnętrzu trunku. To zawsze pomaga, no i dzięki temu nie jest mi źle. W tej chwili nie czuję już nic poza strachem przed tym, w jakim stanie będzie Chase. Smutek, radość czy złość odchodzą w niepamięć. Pustka powoli pożera mnie od środka i doskonale wiem, jak to się skończy.

Gaszę niedopałek o dachówkę i wrzucam go do dziury, gdzie znajduje się wiele innych. Wzdycham ciężko, po czym zsuwam się powoli. Nie wiem, która jest godzina, ale zdecydowanie jest to czas, aby się zbierać.

Przekładam nogę przez parapet i prawie się przewracam, kiedy na łóżku dostrzegam Aideny. Chłopak patrzy na mnie dziwnie, z rękami wyprostowanymi za plecami. Jego twarz nic nie wyraża. Jest raczej obojętny.

— Czego chcesz? — pytam, nie siląc się na uprzejmości.

Nie spoglądając na niego, podchodzę do szafy i wyjmuję dżinsową kurtkę. Mam już na sobie czarne obcisłe spodnie oraz szarą bluzę i myślę, że tak będzie w porządku. Nie zamierzam się stroić. Najnormalniej w świecie nie mam teraz do tego głowy. Chcę tylko, żeby Shaw wyszedł z tego w jak

najlepszym stanie. Jego wygrana nie ma dla mnie większego znaczenia.

— Chcę pogadać — mówi i wstaje, podczas gdy ja wciskam ręce w kieszenie.

— Nie mamy już o czym. — Nawet nie myślę nad odpowiedzią.

Taka prawda. Aiden spieprzył po całości. Ufałam mu, a on nie pisał słowem o zawale ojca, nie wspominając o sprawie z moją matką i jego rodzicami. Był dla mnie ważny i doskonale o tym wiedział. Postawił jednak na kłamstwo w naszej relacji, co dla mnie jest po prostu niepojęte. Naprawdę nie rozumiem powodów jego milczenia, bo ich nie miał. Żadne z nich nie miało.

— Możesz przestać zachowywać się jak suka? — rzuca, a moje brwi unoszą się wysoko.

— No chyba sobie żartujesz!

Aiden zaciska powieki i przejeżdża nerwowo po włosach. Gdy mówi i zachowuje się w ten sposób, widzę w nim Chase'a z początków naszej relacji. Z lekka przerażające.

— Po prostu wiem, że spierdoliłem, okej? Ale chociaż mnie wysłuchaj.

Wzdycham ciężko i przewracam oczami. Zamykam szafę, po czym opieram się o nią. Ręce krzyżuję pod piersiami.

— Masz minutę.

Aiden wypuszcza z ust drżący oddech i przechodzi się po pokoju. Mój wzrok podąża za nim. Zamyka okno, którym weszłam, siada na parapecie, wstaje, znów siada, po czym skupia uwagę na mnie. Naprawdę nie mam ochoty z nim rozmawiać, ale jeśli dzięki temu da mi spokój, to w porządku. Niepokoi mnie trochę fakt, że czuję taką obojętność wobec bliskich, ale nie potrafię inaczej. Strasznie się na nich zawiodłam i wiem, że wyparcie emocji w tej sytuacji jest najlepszym wyjściem, aby nie zwariować.

— Kurwa — cedzi przez zęby, wyraźnie próbując złożyć myśli. — Wiem, że powinienem ci powiedzieć już wiele lat temu. Jestem świadomy tego, jak bardzo spieprzyłem sprawę. Prawdopodobnie rozwalilem właśnie naszą przyjaźń i wszystko, co zbudowaliśmy. Rzecz w tym, że nie miałem odwagi. Twoja mama nie żyje przez mojego ojca. Jak miałem ci o tym powiedzieć, co? Wyrzuty sumienia zżerały mnie od środka, bo to przez naszą rodzinę straciłaś najważniejszą osobę w swoim życiu — mówi, ciężko oddychając.

Między nami zapada cisza, podczas której patrzymy sobie w oczy. Przełykam ślinę, starając się przyswoić wszystko, co opuściło jego usta.

— Skończyłeś? — pytam z nadzieją, że brzmię na niezainteresowaną.

Aiden zaciska szczękę na moje słowa. Jest zły. Wiem, że nie spodziewał się takiej reakcji. Liczył, że jakkolwiek odniosę się do tego wszystkiego. Rzecz w tym, że jestem kłębkiem nerwów. Nie myślę trzeźwo i wszystko mi się miesza.

— Możesz wyjść. — Moja ręka unosi się w kierunku drzwi, dając do zrozumienia, że nie chcę go tutaj. Na szczęście nie muszę z nim walczyć, bo po chwili wychodzi bez słowa.

Przymykam oczy i napieram mocniej na drzwi szafy. W głowie mam istny harmider, ale jednocześnie czuję pustkę. Kompletnie nie panuję nad tym wszystkim, a nienawidzę nie mieć kontroli. Jej brak sprawia, że jestem słaba i łatwo mnie zniszczyć. Mam wrażenie, że z dnia na dzień jest coraz gorzej.

Gdy upewniam się, że Aiden nie ma już na piętze, podchodzę do łóżka i wyciągam spod niego butelkę. Jest jeszcze zamknięta. Kupiłam ją dziś rano. Siadam na podłodze, plecami do drzwi. Gdy zapach whisky dociera do nozdrzy, ręce drżą intensywniej, a gardło piecze bardziej niż wcześniej. Oplatom palcami szyjkę, przechylam szkło i upijam trzy duże łyki. Opadam głową na materac za mną. Od razu lepiej.

Po kilku minutach bezsensownego gapienia się w sufit patrzę na zegarek, po czym przechylam flaszkę jeszcze raz. Lada moment powinna przyjść Caroline, dlatego zabezpieczam alkohol i wsuwam go w pierwotne miejsce.

„Cóż, może jednak potwory faktycznie kryją się pod łózkami, tyle że w nieco innej postaci” — myślę.

Idę do łazienki, gdzie szybko szcnotkuję zęby. Muszę pozbyć się intensywnego zapachu whisky. W szufladzie są chyba jeszcze gumy, więc mam nadzieję, że Car nic nie poczuje.

Zastanawiam się, czy Jonathan i Josephine pojawią się na walce. Z tego, co wiem, kobieta miała

nie wiedzieć o planach Shawa, ale może ktoś jej w końcu powiedział. Gdybym z nią rozmawiała, zapewne bym wiedziała. Brakuje mi kontaktu, który miałyśmy. Jednocześnie nie mogę pozbyć się myśli, że była dla mnie miła przez wzgląd na łączącą nas przeszłość. Że to wyrzuty sumienia wpływały na każde miłe słowo czy zrozumienie z jej strony.

Kiedy oddech mam już odświeżony, wracam do pokoju i wyszukuję w komodzie gumy. Wciskam jedną do ust, a mój wzrok odruchowo pada na karton z pamiątkami po Margaret. Przetykam ślinę. Nie, to zdecydowanie nie jest dzień ani moment na wspomnienia.

Gdy zamykam szufladę, w pomieszczeniu rozlega się pukanie. Biorę leżący na łóżku telefon.

— Cześć — mówi uśmiechnięta od ucha do ucha Caroline, unosząc wzrok znad ekranu. —

Idziemy?

Kiwam głową.

Dziewczyna rusza wzdłuż korytarza. Na dole nie słyszę rozmów, co mnie cieszy, bo to oznacza, że nikogo nie ma. Uniknę jakiegokolwiek niezręcznej sytuacji. Może i przesadziłam, uderzając wczoraj ojca w twarz. Cholera, wiem, że przesadziłam. Nie planowałam tego. Kocham go, to jasne, ale są pewne granice, a on je przekroczył. Aiden również.

Tak jak podejrzewałam, dom jest pusty. W ciszy wkładamy buty, po czym idziemy do samochodu blondynki. Czuję gulę rosnącą w gardle, gdy wsiadam do środka. Nie jestem gotowa. Nie chcę na to patrzeć, ale jednocześnie chcę tam być. Muszę tam być.

— Chase miał rację. Co ty masz z tymi pasami? — rzuca rozbawiona, cofając na ulicę.

— Faktycznie, zapomniałam.

Blondynka rusza przed siebie. W tle gra jakaś piosenka, jednak nie jestem w stanie się na niej skupić. Moje myśli są już z nim.

— Jak się w ogóle czujesz, Lizzy? — pyta, wciskając hamulec, gdy na sygnalizatorze pojawia się czerwone światło.

Odrywam wzrok od idącej chodnikiem grupki, która śmieje się do rozpuku. Ile bym dała, aby znów czuć się podobnie. Mam wrażenie, jakby te wszystkie imprezy, które przeżyłam u boku Aiden, bójki, ucieczki z domu i chwile wolności były czymś nierealnym. Nie wspomnieniem, ale raczej zwykłym snem, z którego się obudziłam.

— W porządku. — Wymuszam lekki uśmiech, zerkając na nią kątem oka.

— Wiesz, że zawsze możesz ze mną pogadać, prawda?

— Wiem, dziękuję.

Kolejne minuty spędzamy w milczeniu. Nie chcę być niemila, ale to naprawdę nie mój dzień na rozmowy. Alkohol sprawia, że czuję mniejszy stres związany z tym, co się dzieje, jednak nadal się we mnie tli. Nie potrafię się go wyzbyć. Pierwszy raz w życiu czuję taki strach i nie podoba mi się to. Pierwszy raz w życiu nie potrafię go określić ani opisać. Nie mam pojęcia, czego się spodziewać, w jakim stanie skończy Shaw, kto wygra, no i jak będzie później. Zdaję sobie sprawę, że Chase'owi zależy na tej walce, ale czy po wszystkim, co wydarzyło się w ostatnim czasie, podoła? Czy to nie będzie dla niego za wiele?

Dumając tak w ciszy, coś sobie uświadamiam.

— Car... — Mój głos drży, gdy patrzę na ulicę.

— Co jest? — pyta wyraźnie przejęta.

Czuję dłoń na swoim udzie, dlatego obracam głowę w prawo, aby na nią spojrzeć.

— Czy ty... Czy widziałaś Blaze'a od...

Dziewczyna zaciska szczękę na moje słowa i wraca wzrokiem na drogę. Jej ręka znów ląduje na kierownicy.

— Nie.

Tak bardzo pochłonęły nas problemy w domu, że w całym tym zamieszaniu nie pomyśleliśmy o Caroline. Pierwszy raz od śmierci bliźniaków ma spotkać się z mężczyzną, który tak bardzo ją skrzywdził. Oczywiście nie musi tam iść, ale wiem, że robi to dla Chase'a. Shaw natomiast jest tam dla niej. Cholera.

Tym razem to ja kładę dłoń na kolanie dziewczyny.

— Będę obok — zapewniam, czując, jak gula w gardle rośnie.

— Dziękuję. — Blondynka uśmiecha się słabo i skręca.

Mam wyrzuty sumienia. Caroline powinna otrzymać od nas wsparcie. Przeszła przez piekło i nie umiem sobie wyobrazić, jak trudne musi być dla niej to, co robi. Po latach stanie w jednym pomieszczeniu z chłopakiem, którego kiedyś kochała do szaleństwa i który wykorzystał ją w najbardziej obrzydliwy sposób.

— Jesteśmy.

Patrzę na zatłoczony parking oraz budynek przed nami. Ludzie stoją przy autach, rozmawiają, śmieją się, inni wchodzą już do środka. Mam wrażenie, jakby ktoś nagle odciął mi dopływ powietrza.

Jesteśmy. Boże.

Zamykam na moment oczy, a gdy w brzuchu narasta to dziwne uczucie, wybiegam z samochodu i zatrzymuję się przy najbliższych krzakach. Zwracam wszystko, co miałam dziś w ustach, czyli kanapkę i whisky. Do oczu napływają mi łzy, a policzki zaczynają piec. Kaszlę, kiedy nie mam już czym wymiotować.

W pewnym momencie czuję ciepłą dłoń na plecach. Niedługo potem moje włosy zostają odgarnięte z twarzy i przytrzymane nad głową. Nienawidzę być w takim stanie. Ale wstyd.

— Spokojnie — mówi Caroline, przejeżdżając ręką wzdłuż mojego karku. — Lepiej?

— T-tak. — Przecieram usta. — Masz wodę?

— Coś się znajdzie.

Obserwuję, jak dziewczyna wraca do samochodu, a chwilę później idzie z butelką w rękę. Dziękuję jej, po czym odkręcam plastik i jednym haustem wypijam połowę zawartości. Chcę jak najszybciej pozbyć się nieprzyjemnego posmaku i idącego za nim zapachu. Nienawidzę wymiotować, chyba jak każdy.

— Dobra, możemy iść.

— Jest lepiej?

— Tak, tak. Jest okej.

Caroline lustruje mnie jeszcze raz wzrokiem i prosi, abym zatrzymała butelkę. Nie do końca wiem, co to za miejsce, ale jechałyśmy tu dość długo. W tej części Crosby jeszcze nie byłam i nawet nie spodziewałam się, że to miasto może być aż tak duże.

W ciszy wchodzimy do środka. Pierwszym, co we mnie uderza, jest hałas. Wewnątrz budynku panuje istny chaos. Ludzie krzyczą do siebie, przepychają się, a ja na moment tracę orientację, bo nie potrafię ogarnąć, co się dzieje. Dopiero ręka blondynki sprawia, że wracam na ziemię i ruszam za nią w kierunku drzwi, przed którymi stoi dwóch ochroniarzy. Ci mięśniacy są wszędzie. To sprawia, że stresuję się jeszcze bardziej niż wcześniej.

— Jak wielka jest ta impreza?

— Ogromna. Myślę, że największa w hrabstwie. Pojawia się tu wszystkie szychy — mówi, gdy wchodzimy do wąskiego korytarza.

Matko. Nie miałam pojęcia. Byłam pewna, że to jakaś mała walka, która przyciągnie niewielką widownię... Chyba zaraz znowu zwymiotuję.

Nie pytając o nic więcej, przyspieszam kroku. Z każdą sekundą stres coraz bardziej we mnie buzuje. Nie jestem gotowa. Mam nadzieję, że chociaż on jest. Czy może jeszcze zrezygnować?

Zatrzymujemy się przy szarych drzwiach z naklejonym na nich numerem „13”. Fantastycznie. Nienawidzę tej liczby.

Caroline posyła mi ostatnie spojrzenie. Naciska klamkę i wchodzi do środka. Przetykam ślinę. Mój brzuch po raz kolejny robi fikołka. Idę za nią.

W garderobie panuje wrzawa. Ludzie krzążą się po pomieszczeniu i głośno rozmawiają. Muszę stanąć na chwilę w miejscu, żeby ogarnąć, co się dzieje.

Patrzę w prawo. Na kanapie siedzą Zoe, Charlotte, Jake i Monica. Dziewczyny dyskutują o czymś żywo. Jackson uśmiecha się promiennie, gdy tylko mnie zauważy, jednak nie potrafię tego odwzajemnić. Unoszę tylko lekko kąciki i przenoszę wzrok na lewo, gdzie stoi dwóch facetów. Jednego z nich widziałam chyba kiedyś na siłowni, ale nie mam pojęcia, kim jest.

Wreszcie spoglądam w stronę, którą najchętniej omijałabym szerokim łukiem. Już od początku wiedziałam, że to on stoi naprzeciwko wejścia. Wokół niego zebrało się mnóstwo ludzi i każdy coś mówi albo robi. Dominic i Logan coś wyjaśniają, podczas gdy Aaron i inny facet ogarniają bałagan. Zaciskam wargi, z całych sił starając się opanować drżenie szczęki.

Gdy Turner odsuwa się od Chase'a, chłopak unosi głowę, jakby doskonale wiedział, że już jestem, a nawet gdzie stoję. Nasze spojrzenia spotykają się, a ja wstrzymuję oddech, gdy dostrzegam jego oczy. Rażąca zieleń jest widoczna nawet z takiej odległości.

Shaw wykrzywia usta w zawadiackim uśmiechu. Prycham pod nosem. Nie wierzę, że w takiej chwili zachowuje się... w ten sposób.

— Idiota — mamroczę.

— Słyszałem! — mówi głośno, ściągając na nas uwagę wielu osób. Ignoruję to. Jestem skupiona tylko na nim, kiedy podchodzę bliżej.

— Cześć — rzucam do Logana i Aarona. Ten pierwszy puszcza do mnie oko.

Kiedy spojrzenia moje i Chase'a krzyżują się, dociera do mnie, że przez cały ten czas na mnie patrzył. Nie potrafię pohamować lekkiego uśmiechu. W tych potarganych włosach wygląda co najmniej trzy lata młodziej.

— Jak się czujesz?

Jestem nieco spokojniejsza, widząc go w takiej formie. Możliwe, że wewnątrz dygocze ze strachu, jednak nie daje tego po sobie poznać. Nie wydaje się zestresowany ani niepewny. Ma raczej minę w stylu „wiem, że to wygram”, co naprawdę mnie cieszy. Bałam się, że po tym wszystkim opadnie z sił. Tymczasem wydaje się pewny zwycięstwa.

— W porządku, a ty? — Zaczesa mi kosmyk włosów za ucho. Czuję dziwny, ale przyjemny ścisk w dole brzucha, gdy tak mnie obserwuje.

— Też. Jak nastawienie?

— Bombowe — śmieje się pod nosem.

Łobuzerskie iskierki tlą się w jego oczach. Naprawdę nie wierzę, że nawet w takim momencie potrafi żartować. Osobiście trzęsłabym się ze strachu. On jednak wydaje się zupełnie rozluźniony, co — okej — jest lepsze dla oka, ale jednocześnie przez to czuję się dziwnie niespokojna. Nie potrafię tego wyjaśnić.

— Czas się przygotować, Shaw. Amory zostaw na później. — Słyszę za plecami niski męski głos, dlatego zerkam przez ramię. Postawny mężczyzna stoi za mną i uśmiecha się głupio.

Chcę się przesunąć, jednak zostaję zatrzymana przez Chase'a. Jego ręce delikatnie trzymają mnie za przedramiona. Unoszę brew.

— Co? — pytam rozbawiona, bo przygląda mi się z dziwnym wyrazem twarzy.

— Nic — mówi cicho, przenosząc uwagę na moje usta.

Przełykam ślinę, a mój oddech staje się cięższy. Czuję na sobie palące spojrzenia innych, ale nie potrafię się odsunąć. Jakby nogi mi zamarły, uniemożliwiając jakikolwiek ruch.

Nagle Shaw pochyla się. Ciepłe powietrze owiewa okolice ucha. Muszę chwycić go za ramiona, żeby nie odlecieć, gdy po moim ciele przechodzą miliony dreszczy. O Boże.

— Po wszystkim porozmawiamy o twoim problemie — szepcze powoli.

Zamieram.

Chłopak odsuwa się ode mnie, zostawiwszy na moim policzku całusa. Gdy nasze spojrzenia znów się spotykają, widzę, jak bardzo poważny jest w tym momencie.

Marszczę brwi skonsternowana.

— Przyjdź tutaj później. Wrócimy razem, dobrze?

Przez chwilę patrzę na niego, nie potrafiąc wykrztusić słowa. Ostatecznie kiwam jedynie głową. Szczerze? Nie mam pojęcia, co miałabym mu odpowiedzieć, bo zupełnie mnie tym zaskoczył. O jakim problemie mówił? Zrobiłam coś nie tak?

Odsuwam się od niego o krok, kiedy nagle ktoś łapie mnie za rękę. Zerkam na Zoe, która posyła w moją stronę pokrępiący uśmiech.

— Musimy się zbierać — rzuca, a brzuch znów daje o sobie znać.

Odnajduję wzrokiem Chase'a. Uwaga chłopaka skupiona jest na mnie. Czuję się nieswojo pod jego baczny spojrzeniem. Nie mam pojęcia, co miał na myśli. Nie wiem, czego się spodziewać.

— Idź — mówi bezgłośnie.

Po raz ostatni lustruję go, po czym się cofam. Ruszam w stronę wyjścia, a za mną reszta znajomych. W pomieszczeniu zostają tylko Dominic, Logan i ten mięśniak. Gdy przechodzę przez drzwi, ostatni raz zerkam przez ramię. Shaw puszcza do mnie oko i uśmiecha się krzywo.

— Jak wiele mnie ominęło? — śmieje się Zoe.

Trzymając się pod ramię, idziemy za Monicą i Aaronem.

Zerkam na nią, nie będąc w stanie powiedzieć już słowa. Sama nie wiem, co między nami jest, ale nie w tym rzecz. Lada moment zobaczę Chase'a na ringu i to mnie przeraża. Właśnie ta świadomość odbiera mi mowę. Nie jestem gotowa na ten widok.

W głównym holu nie już ma nikogo, ale za wielkimi metalowymi drzwiami, które są otwarte na oścież, ludzie przeciskają się i przekrzykują nawzajem. Uścisk Jackson zacieśnia się, gdy to dostrzegam.

— Musimy dostać się na przód — mówi głośno.

Kątem oka widzę Caroline, która rozmawia z O'Kelly. Nawet z tej odległości dostrzegam, jak bardzo jest zestresowana.

Nim się orientuję, zostaję pociągnięta w stronę ogromnego, wysokiego na co najmniej trzy piętra pomieszczenia. Na jego środku znajduje się ogromny ring zabezpieczony linami. Jest oświetlony jasnymi światłami. Wokół panuje półmrok. Co jakiś czas oślepiają mnie niebieskie ledy poruszające się nad naszymi głowami.

Z Zoe oraz Monicą, która nagle chwyta mnie za rękę, przepychamy się, by być jak najbliżej. Przepraszam w międzyczasie mijanych ludzi, bo Jackson nieuprzejmie klepie ich w ramię bądź po prostu popycha. Dziewczyna ma gdzieś to, że depta im po palcach. Nie zwraca chyba nawet uwagi na fakt, że niektórzy mężczyźni przeklinają w jej kierunku. Jest zdeterminowana, aby osiągnąć swój cel i znaleźć się na przodzie.

— No w końcu — mamrocze, kiedy po kilku minutach stajemy metr od podestu.

Wszyscy milkną i rozglądają się dookoła. Ja również to robię.

Staję na palcach, lustrując wzrokiem pomieszczenie. Jest wypełnione po brzegi. Ludzie obstawiają walki, niektórzy nagrywają wydarzenie, a inni rozmawiają bądź śmieją się z czegoś. Niecałe dziesięć metrów od nas dostrzegam ogromne filary. Tam również zebrało się sporo osób, z tą różnicą, że tamto miejsce jest podświetlone czerwonymi ledami i zostało odseparowane barierkami.

— Tam są wszyscy ważni ludzie — mówi do mojego ucha Aaron, jakby doskonale wiedział, że będę chciała o to zapytać.

Przenoszę wzrok na umieszczone ponad naszymi głowami pasy, gdzie wyświetlane są najróżniejsze napisy. W każdym z kątów stoją ogromne telewizory. Wydaje mi się, że będzie na nich wyświetlana walka, bo wokół ringu kręci się kilku kamerzystów. Boże, ja naprawdę nie miałam pojęcia, że to wydarzenie będzie tak duże.

Niekontrolowanie zaczynam bawić się palcami, gdy znów patrzę na ring. Widzę, jak jakiś mężczyzna przechodzi między linami i staje na podeście. Mój oddech robi się cięższy, bo wiem, że lada moment wszystko się zacznie.

— Która walka jest Chase'a?! — krzyczę do Caroline.

Wygląda, jakby zaraz miała zwymiotować.

— Trzecia — odpowiada. Mimo hałasu jestem w stanie wyłapać, jak bardzo trzęsie się jej głos.

Chwytam dłoń blondynki i mocno ją ściskam. Jesteśmy w tym razem. Chcę, aby wiedziała, że może na mnie liczyć. Nie umiem sobie wyobrazić, co czuje. Mam wrażenie, że nadal nie dociera do mnie to, co za chwilę się wydarzy. Lada moment jej brat będzie walczył z facetem, który tak bardzo ją skrzywdził. Może któryś z nich zrezygnuje i do niczego nie dojdzie?

Patrzę w lewo. Jakieś cztery metry od nas stoją Natalie, Josephine, Jonathan, ojciec i Aiden. Są tutaj wszyscy. Przyszli zobaczyć i wspierać Chase'a. Wiem, że właśnie po to tutaj są. Wiem, że mimo kłamstw, z którymi ciężko nam się pogodzić, bardzo go kochają.

Gdy mężczyzna prowadzący imprezę recytuje krótkie, rzeczowe powitanie, wyłączam się

całkowicie. Po słowach wstępu z głośników zaczynają rozbrzmiewać nazwiska walczących. Wśród nich pojawiają się dwa, które tak dobrze już znam. Nogi mi miękną, a dłonie drżą jeszcze bardziej. W momencie wyczytania Shawa Caroline wbija paznokcie w moją skórę. Wiem, że nie kontroluje tego, co robi. Kompletnie nie dziwi mnie jej reakcja, bo jestem równie przerażona.

Nim się orientujemy, dochodzi do pierwszej walki. Dwóch rosnących mężczyzn podobnego wzrostu staje naprzeciwko siebie. Szczerze — nie mam pojęcia, jakim wynikiem kończy się to starcie. Drugiego również nie pamiętam, bo moje myśli są cały czas z nim. Serce łomocze mi coraz mocniej. Oddycha mi się coraz ciężiej. Dawno nie czułam się tak źle, jak teraz.

— Chase Shaw i Blaze Roberts! — Tylko tyle wyłapuję ze słów ubranego w białą koszulę mężczyzny, który z mikrofonem w dłoni przechodzi wzdłuż lin.

Z całych sił ściskam rękę Caroline. Dziewczyna robi to samo z moją. Obie trzęsiemy się niemiłosiernie, co jakiś czas zerkając na siebie. Wiem, że i ona myśli o tym, co przeszło mi przez głowę chwilę wcześniej. Wiem, że i ona najchętniej weszłaby na ring i nie dopuściła do walki, aby na nią nie patrzeć.

Nagle jaskrawe światła przenoszą się w róg pomieszczenia, skąd wychodzi Blaze. Chłopak ma spuszczoną głowę. Kiedy staje na macie, gołym okiem widać to, jak bardzo spięty jest w tym momencie.

Chwilę po nim z drugiej strony wychodzi Chase. Jego postawa jest dokładnie taka sama jak Roberta. Obaj oddychają ciężko, co jakiś czas podskakując w miejscu. Nie widzę twarzy Shawa. Jest odwrócony do mnie plecami i słucha wyraźnie zdenerwowanego Dominica. Nawet Logan wydaje się błąd. On też się stresuje. Każdy to robi, bo każdemu na nim zależy.

W pewnym momencie Shaw się odwraca. Włosy chłopaka są zaczesane do tyłu, dzięki czemu jestem w stanie dobrze mu się przyjrzeć. Teraz wygląda na niezwykle spokojnego i rozluźnionego, jakby w jednej chwili uleciały z niego wszystkie negatywne emocje. W pewnym sensie pociesza mnie to, ale zdecydowanie nie sprawia, że czuję się lepiej. Nadal chce mi się wymiotować z tego całego stresu.

Nagle brunet rusza przed siebie. Zatrzymuje się na środku maty. Jego głowa uniesiona jest wysoko. Jakieś trzy stopy od niego staje Blaze. Dopiero teraz dostrzegam, jak bardzo różnią się budową. Shaw jest wysoki, a jego mięśnie są delikatnie zarysowane — widoczne, jednak nie przesadnie. Roberts jest od niego niższy o pół głowy i zdecydowanie mocniej zbudowany.

Przez sekundy, a może godziny nerwowo obserwuję niemą walkę, którą toczą na spojrzenia. Obaj wydają się równie zdeterminowani. Ustawiają się naprzeciwko siebie w pozycji wyjściowej. Gdy w pomieszczeniu rozbrzmiewa dźwięk oznaczający początek walki, w moim gardle tworzy się gula.

Przełykam ślinę, ciężko oddychając. Słyszę wrzeszczącą przy moim uchu Caroline i resztę znajomych. Wszyscy rzucają w stronę Shawa jakieś pokrzące słowa. Ja nie potrafię wydać z siebie najmniejszego dźwięku. Po prostu obserwuję, jak Chase sprawnie oddaje ciosy, osłaniając się przed tymi wymierzonymi przez Blaze'a. Widzę, że Robertsowi ciężko idzie odbijanie uderzeń bruneta. W pewnym momencie dostaje w brzuch i zgina się, aby po chwili ruszyć do przodu i wydać Chase'owi mocny cios. Zakrywam ręką usta, gdy opuszcza je cichy okrzyk. Shaw chwieje się lekko, jednak szybko łapie równowagę. Nim się orientuję, pierwsza runda dobiega końca.

— Będzie dobrze — mówi rozemocjonowana Monica.

Pierwszy raz widzę ją w takim stanie. Bardzo przeżywa to, co się dzieje. Każdy z nas kibicuje Chase'owi. Każdy chce, aby wyszedł z tego w przyzwoitym stanie. Nic więcej.

Kolejna część zaczyna się dokładnie tym samym dźwiękiem co poprzednia. Shaw nie czeka na ruch Roberta, tylko od razu go atakuje. W odwecie otrzymuje kilka ciosów, jednak sprawnie się broni. Nawet z tej odległości widzę pot spływający mu po czole. Jest skupiony i wyraźnie myśli nad każdym uderzeniem. Nie wymierza ich na oślep. Nie targają nim emocje tak jak nami. Gdyby to mnie przyszło walczyć na oczach tak wielu ludzi — zemdłabym.

Z tego, co udało mi się wywnioskować ze słów Aarona — Chase wygrywa. Nie mam pojęcia, na jakiej zasadzie to działa, ale wierzę mu na słowo. Muszę. Nie mam innego wyjścia, skoro i tak nie rozumiem zasad.

Runda druga dobiega końca, a ja nawet na sekundę nie spuszczam wzroku ze Shawa. Teraz jego klatka unosi się ciężko. Chłopak opiera się o liny i pije wodę z butelki, którą Logan przykłada mu do ust.

Ze zmarszczonymi brwiami patrzy na krzyczącego do niego Dominica. Ten jest niezwykle przejęty.

Gdy prowadzący informuje o nadciągającej trzeciej rundzie, brunet znów staje na środku ringu.

— Jest w naprawdę dobrej formie — mówi Aaron, który stoi za mną.

Nie odpowiadam. Niezmiennie nie potrafię wypowiedzieć słowa. Przypuszczam, że będzie tak do momentu, aż Shaw nie zejdzie z podestu. Dopiero gdy będę pewna, że wszystko jest w porządku, wrócę na ziemię. W tej chwili czuję się jak za mgłą. Nie do końca wiem, co się dzieje, ale chcę, żeby to już się skończyło.

Roberts zbliża się do Chase'a. Obaj są wyprostowani niczym struny, gdy patrzą na siebie tępo. Już z daleka widać, jak bardzo wrogo są do siebie nastawieni. Przenoszę wzrok na lewo, gdzie nadal stoją Josephine i reszta. Widzę, że kobieta obgryza paznokcie, tak jak Natalie. Ojciec i Jonathan żywo o czymś dyskutują, ale...

— Czy oni rozmawiają? — słyszę nagle krzyk Zoe i od razu zerkam na ring.

Blaze faktycznie mówi coś do Shawa. Chłopak dębieje. Oczy Chase'a otwierają się szerzej w reakcji na słowa, które opuściły usta Roberts'a. Mój oddech przyspiesza, bo nie wiem, co się dzieje. Brunet rozgląda się, zatrzymuje wzrok na czymś poza moim zasięgiem. Wygląda to tak, jakby już wcześniej wiedział, w którym kierunku ma patrzeć. Unoszę się na palcach, tak jak reszta znajomych. Chcę zobaczyć, co skradło jego uwagę, jednak nie dostrzegam nic szczególnego. Przed oczami mam tylko morze przekrzykujących się ludzi.

Gdy znów spoglądam na Shawa, jego szczeka jest zaciśnięta, a mięśnie napięte. Chłopak oddycha jeszcze ciężiej. Wydaje się wściekły i zagubiony jednocześnie. Coś jest nie tak.

Nagle Blaze wymierza mu cios, przed którym Chase się nie broni. Chłopak zatacza się w tył. Z trudem utrzymuje równowagę. Odbija się od liny i rusza w stronę Roberts'a. Oddaje mu tym samym. Przeciwnik nie nadaża. Głowa Roberts'a przechyla się mocno w tył. Z jego nosa zaczyna się sączyć krew. Blaze podchodzi do Shawa, który nerwowo rozgląda się po ringu. Sprawia wrażenie rozproszonego, przez co otrzymuje kolejny cios, a następnie dwa mocniejsze. Do moich oczu napływają łzy. Chase niespodziewanie opada z sił. Nie rozumiem dlaczego. Nie kontroluję tego, co się ze mną dzieje. Nie panuję nad krzykiem, gdy głowa Shawa odbija się kilkakrotnie od rękawicy Roberts'a.

Moje ciało zaczyna się trząść z nerwów. Wzrok całkowicie skupiony jest na ringu i zagubionym na nim chłopaku. Zamykam oczy, gdy brunet otrzymuje kolejne uderzenia, a na jego twarzy pojawia się krew. Nie chcę na to patrzeć.

Niespodziewanie ktoś oplata mnie ramionami. Słyszę donośne wrzaski ludzi dookoła, ale nie mam odwagi spojrzeć. Nie chcę tego robić, bo boję się tego, co zobaczę. Coś jest nie tak, a ja nie wiem dlaczego. Wybucham płaczem, gdy do moich uszu dociera wrzask Aarona. Nie, nie, nie. To nie dzieje się naprawdę.

Przyciskam dłonie do uszu, niezmiennie zamknięta w czyimś uścisku. Nie chcę wiedzieć, co się dzieje. Chcę, aby to się skończyło. Niech to się już skończy, proszę...

Ręce oplatające moje ciało zacieśniają się jeszcze mocniej. Czuję, jak serce naprzeciwko mnie bije w szalonym tempie. Nie mam pojęcia, jak długo znajduję się w tej pozycji. Mam wrażenie, jakby czas stanął w miejscu, ale walka toczy się dalej. Choć może już się skończyła. Nie wiem, nic nie słyszę.

Nagle tracę kontakt z osobą, która cały czas mnie tuliła. Odsuwam dłonie od uszu i otwieram oczy, a pierwszym, co widzę, jest twarz przerażonego Aidena. Nawet w tym świetle dostrzegam, że jest przeraźliwie blady. Jego klatka piersiowa unosi się i opada w szybkim tempie. Łzy płyną mi po policzkach, a gdy chłopak wskazuje głową na ring — zamieram.

W tym momencie czuję się tak, jakby ktoś włożył mi worek na głowę i mocno zacisnął na szyi. Jakby strzelił mi w jedną nogę, a później następną, aby upewnić się, że nie pójdę dalej.

Leży tam. Ledwie żywy podnosi się z maty i z pomocą innych wstaje na nogi. Nic nie rozumiem. Patrzę na Caroline.

— Co się dzieje?! — krzyczę, z trudem panując nad oddechem.

Dziewczyna zamyka mnie w szczelnym uścisku. Szlochając jeszcze bardziej niż wcześniej, próbuję wydobyć z niej cokolwiek, ale nie jestem w stanie. Dopiero gdy widzę twarz Aarona, dociera do mnie, co się wydarzyło. Nie musi nic mówić, bo stojące w oczach chłopaka łzy wyrażają wszystko.

Shaw przegrał walkę.

Obracam głowę w prawo. Mam wrażenie, jakby wszystko pode mną lada moment miało się zawalić. Zerkam na stojącego na ringu Blaze'a, który z zaciśniętą szczęką patrzy tępo przed siebie. Sędzia unosi jego rękę, ogłaszając zwycięzcę. To niemożliwe.

Stoję niczym wbita w ziemię, nie potrafiąc oderwać wzroku od podestu. Patrzę, ale nie widzę nic. Nie rozumiem. Nie słyszę. Wszystko mi się miesza.

— Lizzy!

Wzdrygam się, kiedy przed moimi oczami pojawia się zapłakana Monica.

Tracę kontakt z Caroline. Moje usta otwierają się szeroko, a oczy obserwują wszystko, ale tak naprawdę nic konkretnego. Nie wiem, co się dzieje.

— Lizzy! — mówi znowu ktoś, jednak nie jestem w stanie stwierdzić, kim jest ta osoba.

Nie myślę trzeźwo, kiedy strzepuję czyjąś dłoń. Odwracam się na pięcie, ruszając w tłum. Toruję sobie drogę, intuicyjnie idąc się w jednym kierunku. Gdzie on jest? Dlaczego nic nie słyszę? Czemu jest tu tak duszno? Mój oddech staje się cięższy. To znów się dzieje. Dłonie zaczynają mi się trząść, gdy uparcie idę przed siebie. Nic nie rozumiem. Dlaczego wszyscy są tak duzi? Dlaczego nic nie widzę? Gdzie ja jestem? Wszystko wokół mnie wiruje.

Ostatkiem sił wychodzę na wąski korytarz. Przechodzę do następnego, którym wcześniej szłam z Caroline. Przymykam powieki i zginam się wół. Opieram dłonie na kolanach. Zaciągam się mocno powietrzem, gdy do oczu znów napływają łzy. Mam atak paniki. Wiem, bo przechodziłam przez to niejednokrotnie, ale ten raz jest jeszcze gorszy niż w klubie.

Unoszę głowę, kiedy do moich uszu dociera jakiś trzask. Patrzę w lewo i mrugam, żeby poprawić widoczność. Na końcu holu dostrzegam trzech mężczyzn w garniturach. Ten w środku różni się od dwóch, którzy stoją po obu jego stronach. Muszę odczekać chwilę, aby wzrok nabrał ostrości. Wstrzymuję oddech, kiedy go rozpoznaję. Kiedy rozpoznaję łańcuchy wytatuowane na jego dłoni. Nie, nie, nie.

Facet przemierza wolno korytarz. Patrzy na mnie z kpiącym uśmiechem.

Jak za mgłą zobaczyłam twarz diabła.

— Dzień dobry, Claire.

Mija mnie. Nie mówi nic więcej. Słyszę jego cichy śmiech, gdy walczę z oddechem. Nawet nie wiem, w którym momencie opadam kolanami na ziemię. Podpieram się dłońmi na chłodnej podłodze. Łzy kroplami spadają na płytki. Pieką mnie policzki, dokładnie tak jak płuca. Patrzę w prawo, na mój największy koszmar. Obserwuje mnie. Chyba nawet puszcza do mnie oko w chwili, gdy wchodzi do jakiegoś pomieszczenia.

Chcę wstać i pójść za nim, ale nie mam siły. Duszności się nasilają. Oddycham coraz głośniejszy i szybciej. Trwa to do chwili, aż ktoś pojawia się obok i chwytam mnie za ramiona. Czuję ręce pod kolanami i na plecach. Wszystko dzieje się szybko, a w pomieszczeniu robi się przeraźliwie głośno. Chcę krzyknąć, aby nie słyszeć. Bolą mnie uszy. Wszystko mnie boli. Niech ktoś to wyłączy.

— Dajcie wody.

Tata?

Czuję coś miękkiego pod sobą. Nie wiem, ile czasu mija, zanim obraz staje się na tyle wyraźny, abym rozpoznała twarz przerażonego Chase'a. Z jego nosa leje się krew. Z łuku brwiowego też. Mówi coś do mnie, ale nic nie słyszę.

— Lizzy, do chuja, oddychaj! — Gdy dociera do mnie w końcu głos chłopaka, wzdrygam się.

Dopiero teraz orientuję się, że faktycznie tego nie robiłam. Nie mam pojęcia, jak długo to trwało, ale kiedy schodzę na ziemię, kładę dłoń na klatce i wychylam się w przód, aby uśmierzyć ból.

— Otwórzcie wszystkie okna — mówi stanowczo ojciec, kiedy siada obok mnie. — Zabierzcie stąd Chase'a i...

— Nigdzie nie idę — przerywa ten ostro. — Lizzy, spójrz na mnie.

Unoszę wzrok i odnajduję parę nefrytowych tęczówek. Chłopak przygląda mi się z dziwnym wyrazem twarzy. Chyba zaciska szczękę, nie wiem, niewiele widzę przez łzy w oczach. Gdy mrugam kilka razy, na moich policzkach lądują dłonie Shawa. Drżą. Tak bardzo się trzęsą.

— Oddychaj ze mną, dobrze? — Pyta tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Skupiam się na nim. Na tym, jak wdycha powietrze przez nos, a wydycha ustami. Robię dokładnie to samo. Naśladuję każdy ruch. Koncentruję się na jego twarzy tak mocno, że nawet nie wiem, w którym momencie ból ustaje, oddech się normuje, a atak paniki mija.

— Lepiej?

— Tak — chrypię. — Ja przepraszam, ja...

— Hej. Nie masz za co przepraszać, jasne? — Jego miękki głos sprawia, że czuję nieopisany spokój. — Chodź.

Obserwuję, jak otwiera ramiona. Cały czas klęczy przede mną. Przez chwilę patrzymy na siebie w ciszy, a kiedy moje kolana stykają się z chłodną nawierzchnią, chłopak przyciąga mnie i mocno tuli. Bez chwili namysłu oplatom rękami jego klatkę. Chowam twarz w zagłębieniu między ramieniem a szyją, zupełnie się uspokajając.

Jak to jest, że przy nim wszystko jest takie proste? Jak to jest, że w jednej sekundzie potrafi mnie uspokoić, rozśmieszyć czy rozzłościć?

Nie mam pojęcia, jak długo trwamy w swoich objęciach, ale gdy już się odsuwam, przełykam nerwowo ślinę. Twarz Chase'a wygląda tragicznie. Gdzieniegdzie formują się już siniaki. Tamte, które widziałam, gdy opatrywałam go w łazience na Channel Road, były niczym. Mam wrażenie, że każdy centymetr jego ciała lada moment będzie fioletowy.

— Jak się czujesz?

— Wiesz, bywało lepiej, Parker — rzuca sarkastycznie.

— Naprawdę? Nawet w takiej sytuacji sobie żartujesz? — pytam oskarżycielsko.

— A co? Mam płakać? — Unosi brwi rozbawiony.

W odpowiedzi kręcę tylko głową. Dopiero teraz zaczynają docierać do mnie wszystkie bodźce. Dopiero teraz słyszę znów głośne rozmowy, widzę przemierzających się ludzi i czuję ból w kolanach. Rozglądam się dookoła. Każdy zajął się sobą. Nikt nie zwraca na nas uwagi albo udają, aby dać nam chociaż namiastkę prywatności.

Spuszczam wzrok na ręce Chase'a. Przed oczami znów mam te okropne obrazy kolejnych ciosów.

Co tak naprawdę wydarzyło się na ringu?

— Chyba powinniśmy doprowadzić cię do porządku — mówię, lustrując go.

— Chyba tak. — Przeciera ramieniem płynącą z nosa krew.

Wstaję na nogi, a on razem ze mną. Orientuję się, że na mojej koszulce również jest kilka czerwonych plam. Kiedy spotykam spojrzenie ojca, od razu do nas podchodzi. Wygląda to tak, jakby cały czas czekał w gotowości.

— Jak się czujesz, córeczko?

— Jest okej, dziękuję. Myślę, że musimy ogarnąć trochę Chase'a. Niech wszyscy stąd wyjdą — instruuję.

Terrence i Shaw patrzą na mnie z konsternacją.

— No, ogarnę go. — Wzruszam ramionami.

Przez twarz taty przelatuje coś, czego nie potrafię nazwać. Strach z mieszanką zawodu? Strach z mieszanką złości? Zdziwienia? Nie wiem, ale to było dziwne.

— W porządku... to my... w takim razie zostawimy was samych.

— Wracajcie do domu. Poradzimy sobie — mówię.

Ojciec wyraźnie się waha, ale ostatecznie kiwa głową. Wszyscy wychodzą z pomieszczenia.

— Chodź. — Wymijam chłopaka i ruszam w kierunku jedynych drzwi poza wyjściowymi. Nie wiem, co się za nimi znajduje, ale obstawiam łazienkę. Nie mylę się.

Robię półobrót, odnajdując wzrokiem bruneta. Przez chwilę zastanawiam się, co powinnam zrobić, od czego zacząć. Ostatecznie proszę, aby usiadł na sedesie. W tym czasie wracam do garderoby w poszukiwaniu apteczki. Z czerwonym pudełeczkiem oraz torbą z ubraniami wracam do toalety.

— Oboje wiemy, że zrobiłeś to specjalnie — mamroczę, gdy do niego podchodzę.

— To znaczy?

Przykładam nasączoną gazę do brwi, aby odkazić powstałe rozcięcia. Shaw syczy, a ja uśmiecham się pobłaźliwie.

— No, doprowadziłeś się do tego stanu, żebym się tobą zajęła — rzucam żartobliwie.

— Kurwa, Parker, przejrzałaś mnie.

— To było takie oczywiste. — Przewracam teatralnie oczami.

Chase śmieje się pod nosem, podczas gdy ja w pełni skupiam się na oczyszczaniu ran. W tej chwili nie chcę poruszać tematu rozmowy jego i Blaze'a. Nie chcę zamęczać go pytaniami, bo najpewniej jest bardzo zmęczony. Rozumiem to. Nie ukrywam, z trudem gryzę się w język, ale wiem, że tak jest lepiej.

— Na pewno dobrze się czujesz? — pyta nagle.

Zastygam z uniesioną w powietrzu ręką.

— Serio? Jesteś ledwie żywy, z każdej strony leje się z ciebie krew, a ty pytasz, czy to ja dobrze się czuję? — Nie dowierzam.

Shaw patrzy na mnie z powagą. Nie odpowiada. Mam wrażenie, że bardzo chciałby coś powiedzieć, ale ostatecznie wybiera milczenie.

— Jesteś dziwny.

— A ty ślepa i głupia.

Prycham tylko i całkowicie skupiam się na kolejnym rozcięciu.

Pięć minut później skóra chłopaka jest oczyszczona, a rany zabezpieczone plastrami. Czuję na sobie jego wzrok, kiedy wyszukuję w torbie ubrania, ręcznik oraz płyn. Czujnym okiem śledzi każdy mój ruch, ale nic nie mówi. Ja również milczę, choć w moim odczuciu w powietrzu wisi wiele słów.

Przygotowane rzeczy odkładam na półkę przy zlewie. Odwracam się na pięcie, twarzą do niego. Zastanawiam się, co powinnam teraz zrobić. Wyjść? Zaczekać? Pomóc? Przygryzam wewnątrz policzka, myśląc. Chase rozgląda się, ostatecznie odnajdując moje spojrzenie.

— To jak? Rozbierzesz mnie? — rzuca zawadiacko, a ja dębiję. Otwieram szerzej oczy. Gapię się na niego tępo, a mój brzuch zaciska się w supeł.

— C-co?

Shaw obserwuje mnie chwilę w ciszy, po czym parska śmiechem.

— A ta tylko o jednym. — Przewraca oczami. — Chodzi o to, że mam opuchnięte ręce i miło by było, gdybyś pomogła mi zdjąć spodenki — wyjaśnia.

— Och, okej. — W sekundę wracam na ziemię.

Podchodzę bliżej.

— Parker, czy ty się właśnie zawstydziałaś? — nabija się ze mnie, mrużąc oczy.

— Co? Ja? Nie, oczywiście, że nie! — Prycham, kiedy znów stajemy naprzeciwko siebie.

— Chyba jednak tak.

— Jeszcze jedno słowo, Shaw, a przysięgam, że za chwilę będziesz miał więcej siniaków.

Brunet śmieje się w odpowiedzi, ale nie mówi już nic więcej. Jego wzrok pali moją skórę, gdy drżącymi dłońmi chwytam sznureczek od spodenek i sprawnie go rozwiązuję. Oddycham ciężko. Stresuję się, choć chyba nie powinnam, prawda? Przecież niejednokrotnie widziałam go nago, on mnie również. Dlaczego więc jestem tak bardzo zdenerwowana? Matko.

Unoszę wzrok na parę nefrytowych tęczówek. Obserwuję mnie intensywnie, kiedy wciskam dłonie pod materiał i powoli zsuwam go po rozgrzanej skórze.

W końcu bokserki wraz ze spodenkami lądują na podłodze. Chase wychodzi z nich, dlatego odwracam się na pięcie. Podchodzę do prysznicza i odkręcam wodę. Upewniam się, że temperatura jest w porządku, po czym zerkam na Shawa, który staje obok.

— Możesz wejść — mówię nie swoim głosem.

Brunet robi to od razu. Zamyka się w kabinie, podczas gdy ja patrzę tępo przed siebie. Przez chwilę myślę, co ze sobą zrobić. Rozglądam się nerwowo po pomieszczeniu, a gdy mój wzrok pada na apteczkę, postanawiam posprzątać. Wrzucam gazę do pudełka, a zaraz po niej również wodę utlenioną i plastry. Nawet nie wiem, w którym momencie zamykam się na świat zewnętrzny. W mojej głowie pojawia się wspomnienie tatuażu z łańcuchem. Oczu, które również widywałam w swoich koszmarach.

Dlaczego on tu jest? Po co przyjechał? A co najważniejsze — dokąd prowadzą drzwi, za którymi zniknął?

Gdy Frank Rumeli pojawia się w twoim życiu, nie wróży to nic dobrego. Już w dniu, kiedy go poznałam, miałam dziwne przeczucie. Początkowo myślałam, że jest tylko facetem, u którego ojciec się zadłużył. Do głowy by mi nie przyszło, że to on stoi za śmiercią mojej matki. Że to on mi ją zabrał.

— Gdybyś mogła zrobić jedną rzecz bez ponoszenia konsekwencji, co by to było?

Wyrwana z zamyślenia patrzę na Chase'a, który stoi za moimi plecami. Z owiniętym wokół bioder ręcznikiem patrzy na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Jego włosy są wilgotne, gdzieś po ciele spływają pojedyncze kropelki, a skóra błyszczy od wilgoci.

Ściskam mocniej trzymane w ręku ubrania i myślę chwilę nad zadaniem pytaniem.

— A mogę wybrać coś, czego fizycznie nie da się zrobić?

— Jasne.

— No to podpaliłabym sobie mózg — mówię bez zawahania.

Chłopak marszczy brwi. Lekki uśmiech wkrada się na jego usta.

— Dlaczego? — pyta tak cicho, jakby bał się, że słowa, które wypowiem, usłyszy ktoś inny. Jakby miały one być największą w świecie tajemnicą.

Zbliża się do mnie i garbi. Nasze twarze dzielą teraz centymetry. Mierzę się z przenikliwym spojrzeniem nefrytowych tęczówek, nie po raz pierwszy tracąc przez nie czujność.

— Wyobraź sobie, że możesz zamienić wszystkie wspomnienia w popiół. Czy to nie byłoby dobre?

Między nami zapada chwila ciszy. Spoglądamy na siebie, słychać tylko nasze miarowe oddechy.

— Chciałabyś zapomnieć?

— Właśnie po to przyjechałam do Crosby, Chase.

Shaw spuszcza wzrok na moje usta, a gdy wraca do oczu, widzę, że wyraźnie się nad czymś zastanawia. Ta rażąca zieleń, która teraz mnie lustruje, sprawia, że tęsknię. Tęsknię za jego dotykiem i głosem, choć przecież stoi przede mną. Nie umiem nazwać uczuć, które przychodzą wraz z nim. Nie potrafię nazwać tego, co dzieje się w moim sercu, kiedy jest obok. *To mnie przerażało.*

Nagle chłopak prostuje się, chwyta tył mojego karku i przyciąga do siebie, zamykając w uścisku. Z głową przy jego klatce słyszę miarowe bicie serca Chase'a. W jednej chwili w moim wnętrzu zapanowuje spokój. Nie myślę o niczym, wszystkie troski znikają, jest tylko on. Czasami mam wrażenie, że nie istnieje naprawdę. Że jest tylko pięknym snem, z którego zaraz się wybudzę.

Wybudziłam się. Nie chciałam tego robić.

Otwieram oczy, kiedy czuję, że samochód zwalnia. Patrzę w lewo, na wciśnięte w ziemię lampy solarne. Każdej nocy oświetlają idealnie wypielony ogród. Dziś nie jest inaczej.

— Chase — szepczę, spuszcżając wzrok na uda, gdzie leży chłopak. Ma zamknięte oczy. Na jego ustach maluje się uśmiech, kiedy przejeżdżam palcami po wilgotnych jeszcze włosach.

— Mmm — mruczy z uznaniem, a ja śmieję się pod nosem.

Patrzę na Caroline, która wychyla się z fotela kierowcy. Ona również jest lekko rozbawiona i to mnie cieszy, bo w końcu się uspokoiła. Zanim ruszyliśmy, musiałam upewnić się cztery razy, że da radę prowadzić. Uparła się, więc w końcu odpuściłam. Widziałam, jak bardzo przeżywała to, co się działo.

Dziewczyna wbiła sobie do głowy, że to przez nią Chase skończył w takim stanie. Shaw próbował jej wyjaśnić, że miał wiele powodów, aby to zrobić, no i nikt go nie zmuszał. Stanął na ringu, bo chciał. Caroline na te słowa rozpląkała się jeszcze bardziej. Rzuciła się w jego ramiona i nie chciała puścić. Nie potrafię sobie wyobrazić, co musiała czuć, patrząc na to wszystko.

Po raz kolejny atakują mnie wyrzuty sumienia, bo nie potrafiłam wystarczająco jej wspierać. Nie powinna być sama. Obiecałam jej, że będę, i znów zawiodłam. Ostatnimi czasy właśnie to wychodzi mi najlepiej.

— Jesteśmy — mówię cicho.

Chłopak ziewa przeciągle, po czym otwiera oczy. Nasze spojrzenia spotykają się w ciemności.

Uśmiech, który malował się na jego ustach, poszerza się jeszcze bardziej. Dostrzegam dwa dołeczki w policzkach. Wygląda naprawdę uroczo, mimo że na twarzy ma opatrunki. Zastanawiam się, jak bardzo go boli. Jestem pewna, że i tak mi nie powie. Dokładnie tak samo było, gdy pobił się z Blaze'em. Wtedy było ich trzech, a on sam. Poturbowali go. Widziałam na własne oczy siniaki na klatce. Była cała fioletowa, a jednak nie pisnął ani słowa. Śmiał się tylko, uważając to zajście za niezwykle zabawne.

Chase podnosi się, zatrzymując wzrok na Caroline. Jego włosy są w nieładzie, a policzki ma intensywnie zaczerwienione.

— Jak się czujesz? — pyta chłopak zachrypniętym głosem, patrząc na dziewczynę przed nami.

Blondynka prychna pod nosem i unosi brwi.

— Jesteś popieprzony. Po wszystkim, co się wydarzyło, pytasz, jak ja się czuję? — Akcentuje trzecie słowo od końca.

— Mówiłam, że styki ci się poprzepalały — mamrocze.

Chłopak milczy w oczekiwaniu na odpowiedź. Kładzie dłoń na moim udzie. Przejeżdża po nim, a następnie ściska. Przełykam ślinę, bo nagle zrobiło mi się dziwnie ciepło. Zawsze tak się dzieje. Moje ciało reaguje na jego dotyk wyjątkowo intensywnie. Zdecydowanie inaczej niż na jakikolwiek inny.

— Więc? — ponagla.

— To ty powinieneś odpowiedzieć na to pytanie, nie ja — burczy pod nosem Caroline, po czym odpina pas.

Chase wychodzi za nią, więc ja również to robię.

— Nie dramatyzuj, kobieto — marudzi brunet, podchodząc do otwartego bagażnika.

Wyrywa z rąk dziewczyny torbę i przewraca oczami. Czy one go czasem nie bolą i nie są opuchnięte?

Zamykam drzwi, przyglądając się temu wszystkiemu. Przysięgam, że Chase nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. Świat zdecydowanie nie zasłużył na takiego człowieka. On jest za dobry dla wszystkich i to cholernie boli, bo przeszedł w życiu przez gówno, a jednak nadal zachował w sobie tak ogromne pokłady troski i życzliwości.

Blondynka walczy z brunetem na spojrzenia. Jej usta są zaciśnięte, a brwi ściągnięte. Shaw nie pozostaje dłużny i patrzy na nią dokładnie tak samo. Wygląda to naprawdę zabawnie. Nie mogę powstrzymać parsknięcia, kiedy palec chłopaka wciska się w jej brzuch, przez co dziewczyna przegrywa.

— Zdecydowanie jesteś tym niedorozwiniętym plemnikiem — mówi rozbawiona, zamykając bagażnik.

— Wypraszam sobie. Z plemnikami jest jak z naleśnikami. To te pierwsze wychodzą chujowe — stwierdza, wyraźnie dumny z tego, co właśnie powiedział.

Patrzę na Caroline. Przymyka oczy, a kąciki jej ust unoszą się wysoko, choć za wszelką cenę stara się to powstrzymać.

— No, debil — mamrocze, po czym rusza w stronę domu.

— To wiele wyjaśnia — rzucam sarkastycznie, kiedy idziemy za nią.

Nagle czuję ciepło na prawej dłoni. Obracam głowę, a mój wzrok zatrzymuje się na idącym obok chłopaku, który uśmiecha się lekko. Jego palce delikatnie wślizgują się między moje. Wstrzymuję oddech, gdy to robi. Mam wrażenie, jakby nogi lada moment miały odmówić mi posłuszeństwa. To chore, ale nic nie mogę poradzić na to, że tak na mnie działa. Cholera.

Trzymając się za ręce, wchodzimy do środka. Pozbywamy się butów, a torba z ubraniami ląduje na podłodze. Patrzę w lustro. Odnajduję w odbiciu wzrok Chase'a. Widzę, że i on się nam przygląda, choć jego twarz nie wyraża nic konkretnego. Chyba się nad czymś zastanawia.

Zerkam w lewo, kiedy słyszę jakieś szmery. Caroline zniknęła już w kuchni. Teraz w przejściu między pomieszczeniami stoi oparta o framugę Josephine. Jej wzrok pada na nasze złączone ręce. Uśmiecha się pod nosem.

— Pewnie jesteście głodni. — Bardziej stwierdza niż pyta.

Wyłapuję niepewność w jej głosie. Widzę, jak przełyka ślinę. Trochę mi przykro, że tak bardzo się stresuje, gdy z nami rozmawia.

Patrzę na stojącego za mną Shawa.

— Tak — mówi nagle, zaskakując tym nie tylko swoją ciotkę, ale też mnie.

Chłopak idzie do kuchni. Gdy wchodzimy do środka, w pomieszczeniu nastaje głucha cisza. Rozmowy milkną, a pięć głów odwraca się w naszą stronę. Są tu wszyscy: tata, Natalie, Aiden, Jonathan i Caroline. Matko.

— Usiądźcie — odzywa się kobieta za nami.

Jo wskazuje na dwa wolne krzesła. To miłe, że mimo wszystko pomyśleli o nas. Nie wiedzieli przecież, czy zgodzimy się dołączyć.

Zajmujemy przygotowane dla nas miejsca. Patrzę na siedzącego obok mnie tatę, który uśmiecha się słabo. W pomieszczeniu znów rozbrzmiewają rozmowy.

— Jak się czujesz, kochanie?

Wraz z tym pytaniem na moim udzie ląduje dłoń Chase'a. Brunet przejeżdża po nim, jakby tym małym gestem chciał mnie zapewnić, że jest obok. To naprawdę dobre uczucie — świadomość, że nie jestem sama.

— W porządku. Jest okej. A ty... dobrze się czujesz?

Bez względu na to, jak bardzo byłabym na niego zła, nie potrafię nie martwić się jego zdrowiem. Jest moim ojcem. Jedyną osobą na tym świecie, którą mogę nazwać swoją biologiczną rodziną.

— Jest okej.

Spuszczam wzrok na rękę, która niezmiennie znajduje się na moim udzie.

— Zjedz coś — mówi nagle brunet, dlatego zerkam na niego. Patrzy na mnie intensywnie z uniesionymi wysoko brwiami. Gestykuje głową w stronę stołu, na którym stoją najróżniejsze potrawy.

— Ty też — rzucam wymownie, a ten przewraca oczami.

Sięgam po sałatkę. Próbuje zignorować wzrok osób siedzących przy stole. Jest to dość trudne, bo wszyscy obserwują dosłownie każdy mój ruch.

— Chcesz? — pytam Shawa, gdy mój talerz jest już wypełniony kurczakiem i warzywami.

Chłopak kiwa głową, więc nakładam mu większą porcję.

To takie dziwnie, kiedy siedzimy tutaj wszyscy razem. Z nikim nie przeprowadziłam jeszcze rozmowy o tym, co się wydarzyło. Nie do końca wiem, jak powinnam się zachować w tej sytuacji.

— Jak się czujesz, Chase?

Patrzę na Jonathana, który upija łyk herbaty. Wygląda na niepewnego. Każdy tutaj taki jest.

— Jakbym dopiero co napierdalał się z Robertsem — mamrocze pod nosem, opadając na krzesło.

Wiercę się nerwowo na krześle i chrząkam. Cała uwaga skupiona jest teraz na naszej dwójce.

— Co on ci powiedział przed trzecią rundą? — odzywa się ponownie mężczyzna, a ja zastygam z widelcem przy ustach. Dłoń Chase'a robi dokładnie to samo na moim udzie.

— Nic — odpowiada bez chwili zawahania.

— Przecież widziałem, że...

— Nie twój jebany interes — cedzi przez zęby Shaw.

W kuchni zapada cisza. Słyszę tylko ciężki oddech chłopaka siedzącego obok. Nagle brunet wstaje, omal nie przewracając krzesła. Patrzy na mnie, po czym wychodzi z pomieszczenia. Przepraszam cicho siedzących przy stole i idę za nim. Słyszę ciężkie i szybkie kroki, gdy Shaw wspina się na piętro. Mijam co drugi stopień, aby go dogonić. Drzwi jego pokoju zatrząskują się tuż przed moim nosem. Wzdrygam się. Chyba nie był świadomy, że jestem za nim. Wchodzę do środka. Zasysam głośno powietrze, kiedy tuż przy mojej głowie rozbija się o ścianę jakieś szkło.

Bicie serca momentalnie zmienia rytm. Z szeroko otwartymi oczami patrzę na stojącego nieopodal Chase'a. Jego klatka unosi się szybko. Jest wściekły. Tak mi się wydaje. Sama nie wiem. Niewiele widzę z powodu ciemności.

Drżącymi dłońmi zapalam światło.

— Kurwa, Parker — klnie, gdy orientuje się, że to ja.

Od razu podchodzi do mnie. Jest wyraźnie zaniepokojony. Wygląda, jakby przebiegł właśnie maraton.

— Nic ci nie jest?

Jego wzrok błądzi po mojej twarzy. Mam wrażenie, że chce z niej wyczytać wszystko, co chodzi

mi teraz po głowie. Rzecz w tym, że jestem lekko wstrząśnięta i nie do końca wiem, co myśleć. Przestraszyłam się, bo mógł trafić we mnie. To chyba jasne. Nie mam mu tego za złe, ale nie spodziewałam się czegoś takiego.

— J-jest okej — odpowiadam po chwili ciszy.

Brunet przymyka powieki i odwraca się do mnie plecami. Słyszę wiązanek przekleństw. Ze zgrozą obserwuję, jak podchodzi do szafy i z całych sił kopie w nią. Jest wściekły. Wplątuje palce we włosy i ciągnie je z całych sił. Wygląda to przerażająco.

— Kurwa — mamrocze pod nosem, krążąc po pokoju. Zatrzymuje się na środku i skupia uwagę na mnie. Znów mi się przygląda, dlatego wchodzę głębiej i zamykam za sobą drzwi. Nawet na sekundę nie spuszcza wzroku z mojej twarzy.

Nie do końca wiem, co mogłabym powiedzieć albo zrobić. Chase jest wkurzony, a ja nie rozumiem, co jest tego powodem. Co usłyszał wtedy na ringu? Dlaczego nagle opadł z sił? Czy miało to wpływ na jego przegraną? Cholera, na pewno miało, ale czemu? Co robił tam Frank? Mam tak wiele pytań. Chciałabym znać odpowiedzi na wszystkie, ale myślę, że wystarczyłaby jedna, aby zrozumieć większość tego szaleństwa.

— Co on ci powiedział? — Zadaję cicho dokładnie to samo pytanie, które kilka minut wcześniej wypłynęło z ust Jonathana.

Mam wrażenie, że biorę udział w jakiejś niebezpiecznej grze, w której chwila nieuwagi może być powodem przegranaj. To trochę jak domek z kart. Wystarczy jeden fałszywy ruch, aby wszystko runęło.

— Nic.

Jego wzrok jest wręcz dziki, gdy na mnie patrzy. Nawet na ringu wydawał się o wiele spokojniejszy niż teraz.

— Kłamiesz.

Nagle chłopak parska śmiechem.

— Dobrze. Ty robiłaś to przez cały czas, ale jakoś ci tego nie wypominam.

Sposób, w jaki wypowiada te słowa, sprawia, że mój brzuch zaciska się w supeł. Przełykam gulę, która utworzyła się w gardle, i zadzieram podbródek.

— Skoro nic ci nie powiedział, to dlaczego nagle opadłeś z sił? — Krzyżuję ręce pod piersiami, ignorując docinki z jego strony.

Zauważyłam, że za każdym razem, gdy zadaję niewygodne pytania, Chase zakłada maskę chama i atakuje. To taktyka, której ja też kiedyś używałam. On jeszcze nie wie, że go przejrzałam.

— Bo się zmęczyłam — odpowiada głupio.

Nie patrzy na mnie, zdradzając się.

— Powiedział ci coś. Patrzyłeś gdzieś, a później wszystko się zmieniło. Co tam zobaczyłeś? — pytam głośniej i ostrzej.

— Nic.

Zrezygnowana przymykam powieki. Biorę głęboki oddech, aby zebrać szalejące myśli.

— Czy nie możesz po prostu normalnie ze mną porozm...

— No ale co mam ci powiedzieć, co? Co, do chuja, chciałabyś usłyszeć? — wcina mi się w zdanie.

Teraz już się nie hamuje. Teraz krzyczy. Jest wściekły. Jeszcze bardziej niż na początku. Zaciska mocno szczękę. Nasze spojrzenia w końcu spotykają się, a ja zamieram, gdy dostrzegam, jak czarne są jego oczy.

— Prawdę — mówię twardo.

— Prawdę! — prychna wielce rozbawiony moimi słowami.

Nie rozumiem, dlaczego jest tak zły i skąd w nim tyle gniewu. Właśnie dlatego pytam. Chcę to zrozumieć. To chyba normalne. Każdy by tak zrobił.

Chłopak zamyka oczy i spuszcza głowę. Opiera się rękami o krzesło. Wyraźnie się nad czymś zastanawia. Gdy znów na mnie patrzy, wydaje się nieco spokojniejszy. Odpycha się i prostuje niczym struna. Rusza przed siebie, nawet na sekundę nie tracąc ze mną kontaktu wzrokowego. Intuicyjnie cofam się, kiedy dzieli nas niewielka odległość. Moje plecy zderzają się z chłodnym drewnem. Przełykam

nerwowo ślinę, gdy dłonie Chase'a opierają się o drzwi po obu stronach mojej głowy. Shaw zniża się tak, że teraz nasze oczy są na tym samym poziomie.

— Chcesz prawdy?

Kiwam głową. Jego szczęka znów się zaciska.

— Przeżyłem, bo mi na tobie kurewsko zależy, dziewczyno — mówi prosto w moje usta.

Zamieram.

— C-co?

Nagle w tęczęwkach chłopaka rozpętuje się istny huragan. Coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam.

— Nie udawaj głupiej, Parker. Nie udawaj, że nie wiesz. Że nie widzisz. Nie planowałem tego.

— Nie planowałeś czego?

Chłopak lustruje moją twarz, jakby chciał coś z niej wyczytać, jakby chciał się w czymś upewnić. Sprawia wrażenie spanikowanego. Nie zewnętrznie. Wewnętrznie. To właśnie oczy go zdradzają.

— Przysięgam, że nigdy nie wybaczę sobie tego, jak wiele gówna spotkało cię przez moją rodzinę — szepcze po dłuższej chwili milczenia.

Dlaczego wydaje mi się, że nie to chciał powiedzieć?

— To nie twoja wina. Nie masz powodu, żeby tak się czuć. Nie wiedziałeś...

— Jak mam tego nie czuć? — odpowiada, kiedy tak na siebie patrzymy. — Jak mam nie czuć się tak kurewsko źle, kiedy jedyna osoba, którą... kiedy cierpisz w milczeniu? Widzę, co się dzieje. Ty nigdy nie narzekasz. Zawsze starasz się uśmiechać, ale ja wiem, że w środku, kurwa, umierasz. To mnie tak zajebiście wkurwia, bo chciałbym ci pomóc, ale nie wiem jak. — Unosi się coraz bardziej z każdym kolejnym słowem. — Myślisz, że nie widzę tego, jak wymuszasz wszystko, co robisz? Tego, że nawet na walkę przysłałaś wstawiona, bo sobie nie radzisz? Stałaś się cieniem samej siebie i usilnie próbujesz pokazać, że jest w porządku. Ale ja tego nie chcę, rozumiesz?

Stoję w milczeniu, nie potrafiąc odwrócić wzroku od spojrzenia jego dzikich oczu. Moje serce bije jak oszalałe.

— Kiedy do ciebie dotrze, że nie chcę, żebyś udawała? Wolę widzieć, jak płaczesz, krzyczysz. Wolę, żebyś pokazała to, co czujesz, ale tak naprawdę — mówi ciszej. — Kiedy w końcu pojmiesz, że przy mnie możesz być słaba?

Nie odpowiadam. W moich oczach zbierają się łzy, które z trudem powstrzymuję. Nagle brakuje mi powietrza, nie słyszę nic poza biciem serca przede mną.

Chłopak przyciska mnie mocno do siebie. Stoję jak wryta, próbując przyswoić wszystko, co właśnie usłyszałam. Nie wiem, ile czasu mija. Sekundy, minuty... nie mam pojęcia, ale gdy się otrząsam, oplatom go rękami w pasie i wtulam się tak, jak jeszcze nigdy wcześniej. Chowam twarz w zagłębieniu jego szyi i wybucham płaczem. Niczym małe dziecko wrzeszczę w jego koszulkę, trzęsąc się niemiłosiernie.

Maski opadły. Teraz stoję przed nim naga. Zupełnie naga w ubraniu, bo oto zdejmuję z siebie kolejne warstwy pancerza emocjonalnego. Oto burzę mury, które budowałam latami. Dla niego.

Żaluję.

Rozdział 6

ELIZABETH

Uzależnienie jest czymś, czego jako szesnastolatka nie potrafiłam zrozumieć. Piłam alkohol, paliłam papierosy, sięgałam po marihuanę i nie pojmowałam, jakim cudem ludzie mogą nie umieć przestać. Przecież to takie proste, prawda? Po prostu odkładasz butelkę, wyrzucasz pudełko albo nie kupujesz narkotyku. Nic trudnego. Wystarczy, że powiesz sobie „nie”. To takie oczywiste...

Mój problem z uzależnieniem zaczął się w chwili poznania rodziny Rumelich. Odkrycie sekretów ojca sprawiło, że powoli zaczęłam tracić kontrolę. Nie rozumiałam tego, jak bardzo pomieszało mi się w życiu. Terrence Parker zadłużył się na tak duże pieniądze, że nie był w stanie ich spłacić. Zaproponowano mi małżeństwo w zamian za spokój, a niedługo po tym mój były chłopak Nate udostępnił te cholerne zdjęcia. W międzyczasie tata przeszedł pierwszy zawał. Załamalam się. Myślę, że wiele osób poczułoby bezradność w takim położeniu.

Prawda jest taka, że nigdy nie próbowałam walczyć ze swoim problemem, bo najnormalniej w świecie go nie widziałam. Dla mnie butelka była czymś, co pomagało mi zapomnieć. Dlaczego więc miałam uważać ją za coś złego, skoro tylko dzięki niej czułam się dobrze?

To nie tak, że próbuję w tym momencie znaleźć winnego stanu, w jakim utknęłam. Nie zarzucam ojcu czy Aidenowi, że gdyby mi pomogli, nie skończyłabym na dnie — w żadnym razie. Wiem jednak, że jeśli zareagowaliby... gdyby wyrwali mi butelkę z ręki, byłoby inaczej. Może nauczyłabym się walczyć z tym, co mnie przytłacza.

„Może gdybym od początku miała przy sobie Chase’a Shawa, cała ta historia potoczyłaby się zupełnie inaczej...” — myślę sobie.

Przechodzę przez łazienkę, a gdy chwytam za klamkę, przymykam oczy i biorę głęboki wdech. Moje nogi i ręce się trzęsą. Czuję gulę w gardle. Jest mi przeraźliwie gorąco i zimno jednocześnie. Tak bardzo mi wstyd.

— Hej — słyszę za plecami cichy głos chłopaka. Jego dłonie lądują na moich ramionach. — Jesteśmy w tym razem, pamiętasz?

Nie potrafię pohamować delikatnego uśmiechu wywołanego tymi słowami. Myślę, że właśnie tego potrzebowałam.

Otwieram drzwi. W pomieszczeniu panują egipskie ciemności, intuicyjnie odnajduję włącznik. Pokój rozbłyskuje rażącym światłem.

Z wciąż trzymającym mnie mocno brunetem wchodzę do środka. Mam wrażenie, jakby nie było mnie tutaj co najmniej kilka miesięcy, choć tak naprawdę wyszłam z tego pokoju kilka godzin temu. Myślę, że to powód, przez który się tutaj znalazłam, sprawia, że tak się czuję. Najchętniej wybiegłabym stąd czym prędzej i już nigdy nie wracała. Jest mi po prostu głupio. Wiem, że Chase nie będzie mnie oceniał, ale nie potrafię inaczej. To nigdy nie powinno mieć miejsca.

— Gdzie? — pyta, przechylając lekko głowę, tak że nasze oczy się spotykają.

Zaciskam usta w wąską linię. Wypuszczam nosem powietrze. Wskazuję głową łóżko, nie potrafiąc zrobić już nic więcej. Moje nogi jakby zrosły się z dywanem, na którym stoję. Nie jestem w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Zewnętrznie jestem zmartwiała, choć w środku płonę z zawstydzienia.

Chase rusza we wskazanym przeze mnie kierunku, po czym nachyla się i wsuwa rękę pod materac. Obserwuję każdy jego ruch. Nasze spojrzenia krzyżują się w momencie, gdy nagle zastyga. Z szybko bijącym sercem obserwuję, jak wyjmuje napoczętą butelkę whisky.

— Masz gdzieś jeszcze? Tylko nie ściemniaj — ostrzega, stając naprzeciwko mnie.

Od razu kręcę głową. Z nerwów zaczynam bawić się materiałem swojej bluzy.

Shaw podchodzi do mnie, chwyta moją rękę i pociąga za sobą. Ma bardzo ciepłą dłoń. To

przyjemne, gdy szorstkim kciukiem zaczyna tworzyć małe kółeczka na zewnętrznej stronie mojej. Mam ochotę zamknąć oczy i cieszyć się tą chwilą. Niby to nic takiego, ale dotyk tego chłopaka zawsze działa na mnie kojąco.

Wracamy do łazienki i zatrzymujemy się przy umywalce. Chase odkręca trzymaną butelkę i wysuwa ją w moją stronę. Zapach whisky dociera do moich nozdrzy. Zasyłam powietrze. Nagle w moim gardle robi się przeraźliwie sucho. Matko.

Przez kilka, może nawet kilkanaście sekund przyglądam się alkoholowi. Mam wrażenie, jakbym znów była trzynastolatką, a przede mną stał ojciec, który zwykł upewniać się, czy na pewno zjem cały obiad.

— Poradzisz sobie — mówi Chase pokrępiąco.

Jestem żaloszna, naprawdę. Nie wierzę, że tak prosta rzecz zajmuje mi tyle czasu.

Odbieram z jego dłoni butelkę i nie myśląc więcej, przechylam ją tak, aby cała zawartość wypłynęła do zlewu. Obserwuję, jak z każdą sekundą w szkle jest coraz mniej rudawej cieczy. Z kolejnymi kroplami ginącymi w odpływie moje mięśnie rozluźniają się coraz bardziej. Nie wiem, jak to opisać. W każdym razie jest to dobre uczucie.

Kiedy jestem pewna, że butelka została opróżniona, odstawiam ją na blat i wzdycham. Unoszę wzrok na odbicie w lustrze. Wyglądam okropnie. Moje włosy są potargane, makijaż rozmazany, a pod oczami mam wory, których tak bardzo nienawidzę. Tragedia.

— Jestem z ciebie cholernie dumny, wiesz? — odzywa się nagle brunet.

Zamieram. Jest ze mnie dumny. Te słowa niczym echo odbijają się w mojej głowie. Chyba zaraz się rozplączę. Nikt nigdy nie powiedział do mnie czegoś takiego. Nie w tym sensie.

Chase jest ze mnie dumny, bo wylałam alkohol. To takie proste, ale tak bardzo budujące. Myślę, że nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Teraz chcę, aby był ze mnie jeszcze bardziej dumny. Teraz, po wszystkim, co usłyszałam dzisiejszego wieczoru, chcę zawalczyć ze swoim problemem dla niego.

Odwracam się, pośladkami dotykając drewna. Przez chwilę patrzę w jego piękne, zielone oczy, po czym wtulam się w chłopaka najmocniej, jak tylko potrafię. Lubię to robić. Uwielbiam to miejsce jak żadne inne, bo tylko tutaj czuję się jak w domu. Tylko tutaj jestem *jeszcze* bezpieczna.

— Jesteś pewnie zmęczony, co? — pytam, gdy się od siebie odsuwamy. Odruchowo spuszczam wzrok na jego ręce. — Bardzo boją?

— Nie. I nie. — Prostuje palce, jakby chciał mi tym pokazać, że wszystko jest w porządku.

Cóż, nie jest. Widzę, jak bardzo drżą.

Chwytam jego dłonie w swoje i przejeżdżam palcami po fakturze skóry.

— Zdajesz sobie sprawę, że ci nie wierzę, prawda?

Między nami zapada cisza. Chase patrzy na mnie, a na jego ustach maluje się cwaniacki uśmieszek.

— Chodź — mówi nagle.

— Ale...

— I nie zadawaj pytań.

Marszczę brwi, ale idę za nim. Patrzy na mnie przez ramię i mierzy spojrzeniem od góry do dołu, po czym zgarnia z łóżka telefon i kluczyki. Wychodząc z pokoju, omijamy ostrożnie odłamki szkła leżące przy drzwiach. Schodzimy na parter. Słyszę rozmowy dochodzące z kuchni. Kiedy mijamy przejście do pomieszczenia, widzę kilka twarzy zwróconych w naszym kierunku. Nie jestem w stanie stwierdzić, kto patrzył, ponieważ trwało to zaledwie chwilę. Chase zakłada swoje trampki, więc ja robię to samo. Chłodny marmowy wiatr uderza w moje ciało, na co się wzdrygam. Mam na sobie bluzę i dżinsową kurtkę, ale i tak jest mi zimno. Z tego, co wiem, dziś miało być nie więcej niż piętnaście stopni, a że jest już późno — temperatura znacznie spadła.

Światła chevroleta odbijają się od murów budynku, gdy chłopak otwiera samochód pilotem i wsiada za kółko. Zajmuję miejsce pasażera.

— Jesteś pewien, że możesz kierować w takim stanie? — pytam niepewnie.

Jest poturbowany. Ma rozcięty łuk brwiowy i wargę. Na dodatek te ręce! Z pewnością go boją, ale oczywiście się do tego nie przyzna. Jestem pewna, że i z brzuchem nie jest ciekawie. Tam też dostał

wiele razy.

— Czy ty musisz tyle gadać, dziewczyno? No i czy kiedykolwiek nauczysz się zapinać pasy? Kurwa, Parker, to nie jest zabawne — mówi naprawdę wkurzony.

— Dramatyzujesz, Shaw — powtarzam jego słowa, gdy przekładam pas przez klatkę piersiową. Zastanawiam się, dlaczego jest na to tak bardzo uczulony.

— W jakiej kwestii? — pyta, nie kryjąc zdziwienia. — Wyobraź sobie, że jedzie właśnie jakiś pijany kierowca, uderza w nas, a ty wylatujesz przez szybę. Wyobraź sobie, że z jakiegoś powodu tracę panowanie nad kierownicą, więc kończymy na tamtym drzewie. A ty co? Ty nie zostajesz w środku, bo nie masz zapiętych pasów. Prawdopodobnie kończysz kurewsko poturbowana albo nawet nieżywa. Tego chcesz? — Rzuca mi gniewne spojrzenie, gdy przemierzamy ulice Crosby. — Właśnie. Więc zakoduj sobie w końcu, że jest to pierwsza rzecz, którą robisz, kiedy wsiadasz do auta. Któregoś dnia może nie być mnie obok, żeby ci o tym przypomnieć.

— W porządku, przepraszam — mamroczę, kierując wzrok za szybę.

Zagryzam wewnątrz policzka. Nienawidzę, gdy ktoś podnosi na mnie głos, bo wtedy chce mi się płakać. Kiedy jestem wkurzona, nie robi mi to większej różnicy, ale w chwili takiej jak ta czuję się po prostu źle. Nie lubię tego w sobie. To po prostu głupie i tyle. Przecież nie powiedział nic złego, prawda?

Chase wzdycha ciężko i zwiększa prędkość. Nagle jego dłoń łąduje na moim udzie, a ja zastygam. Czuję ciepło rozlewające się po ciele na ten niespodziewany dotyk. Przymykam oczy i opieram się o zagłówek. Za wszelką cenę próbuję pozbyć się niechcianych łez.

— Nie masz za co — odzywa się po chwili, dlatego obracam głowę w jego stronę i otwieram oczy. — Po prostu nigdy o tym nie zapominaj, dobrze? — Uśmiecha się lekko.

— Nie zapomnę — odpowiadam tym samym. Poprawiam się na siedzeniu. — Dokąd zatem jedziemy?

— Jak to dokąd? — Marszczy brwi, jakbym właśnie powiedziała coś bardzo zabawnego. Samochód zwalnia, a chwilę później silnik gaśnie.

— Przecież mówiłem ci, że chcę twoje serce w słoiku, prawda? — śmieje się cicho.

Z rozchylonymi ustami wysiadam z auta i rozglądam się dookoła. Wokół jest ciemno. Niecały metr ode mnie zaczyna się plaża. Nieduża. Zdecydowanie mniejsza od tej, która znajduje się niedaleko domu Shawów.

Patrzę przez ramię na Chase'a, który otwiera właśnie bagażnik. Podchodzę do niego. W niewielkiej, oświetlonej żarówką przestrzeni znajdują się koc, jakieś ubrania i torba. Shaw bierze wszystkie te rzeczy, po czym zamyka auto i rusza w kierunku plaży. Próbuję zrozumieć to, co się dzieje, ale wszystko dociera do mnie w zwolnionym tempie, dlatego po prostu idę za nim.

Piach pod butami sprawia, że chodzenie jest o wiele trudniejsze. Zatrzymuję się, gdy chłopak zaczyna rozkładać szary materiał. Wygrzebuje z torby bluzę i podaje mi ją, abym założyła. Jest zupełnie beztrocki, kiedy siada na kocu, wyjmując z kieszeni paczkę papierosów i odpala jednego.

Patrzy na mnie z dołu.

— Chcesz?

Po dłuższej chwili milczenia sięgam po fajkę i zajmuję miejsce obok bruneta. Obserwuję, jak odpala zapalniczkę i dzieli się ze mną ogniem. Skupia wzrok na Morzu Celyckim, dlatego mam idealny widok na jego profil. Ma mocno zarysowaną szczękę, a kości policzkowe uwydatniają się jeszcze bardziej, gdy się zaciąga. Nikt mi nie powie, że facet z papierosem nie jest atrakcyjniejszy. No, po prostu nie.

— Zrób zdjęcie. Będzie na dłużej. — Parska śmiechem, nawet na sekundę nie obdarzając mnie spojrzeniem.

— Narcystyczny gnojek.

— Z dużym kutasem.

Moje brwi unoszą się wysoko.

— Kto ci nagadał takich bzdur? — Udaję zaskoczoną.

Kręci rozbawiony głową i zerka na mnie wymownie. Wzrok chłopaka przenosi się na moje usta, gdy łąduje między nimi fajka. Kolejna dawka nikotyny wypełnia moje płuca. Pozbywam się dymu,

kierując go wprost na twarz bruneta. Uśmiecha się głupio.

— Czy ty chcesz uprawiać seks na plaży? — rzuca wyraźnie zaintrygowany.

— Co?

Chase przejeżdża językiem po zębach. Podnosi się ze swojego miejsca tak, że teraz klęczy. Z zainteresowaniem przyglądam się jego poczynaniom, gdy siada na mnie okrakiem, pośladki opierając o buty. Zadzieram głowę, aby na niego spojrzeć. Obserwuję, jak mocno się zaciąga.

Nagle chwyta tył mojej głowy i przysuwa bliżej siebie. Teraz nasze twarze dzielą centymetry. Shaw łapie moje spojrzenie na kilka sekund, po czym znów przenosi je na usta. Jego dłoń łąduje na mojej twarzy, a palec delikatnie pociąga dolną wargę, rozchylając je. Oddycham ciężiej, gdy nosem przejeżdża mi po policzku. Brunet wypuszcza dym prosto w moje usta, a ja niekontrolowanie zasysam go. Mam wrażenie, że serce lada moment wyskoczy mi z piersi.

— Kiedy dmuchasz komuś w twarz, oznacza to, że masz na kogoś ochotę — mówi cicho, nie odsuwając się nawet o milimetr. Przełykam ślinę.

„Jakim cudem tak trudno oddycha się na powietrzu?” — zastanawiam się.

Nim jestem w stanie pomyśleć, co robię, kładę dłonie na policzkach chłopaka i mocno wpijam się w jego usta. Powoli opadam plecami na koc. Nasze papierosy leżą już gdzieś na piasku. Kątem oka widzę, jak opiera łokcie po obu stronach mojej głowy. Nasze wargi poruszają się delikatnie, inaczej niż zwykle, co bardzo mi się podoba. Ten pocałunek jest o wiele intymniejszy, bardziej czuły w porównaniu z poprzednimi. Nie ma w nim zachłanności.

Odrywamy się od siebie, gdy zaczyna nam brakować tchu. Chłopak posyła mi ostatni uśmiech, po czym przekręca się i łąduje na plecach obok mnie. Nasze ramiona się stykają. Patrzę w prawo, na oświetloną przez księżyc twarz bruneta. Wydaje się wyczuwać moje spojrzenie, bo niedługo potem i on na mnie zerka. Trwamy tak przez chwilę w milczeniu, uspokajając się.

— Jaki jest twój ulubiony film romantyczny?

Kącik ust Shawa unosi się, a brwi marszczą.

— Co? — Wyraźnie hamuje śmiech.

— Zapytałam: jaki jest twój ulubiony film romantyczny? Chcę to wiedzieć.

Widzę konsternację na jego twarzy.

— Nie wiem... może... *Dla ciebie wszystko*? — odpowiada, uważnie mi się przyglądając. — A twój?

— Czy to ten film, w którym dwoje kochanków spotyka się po latach z powodu testamentu jakiegoś tam gościa i okazuje się, że ich uczucie nigdy nie wygasło? — dopytuję, bo jestem prawie pewna, że oglądałam ten film z Aidenem.

Zużyliśmy wtedy dwie paczki chusteczek, bo nie takiego zakończenia się spodziewaliśmy.

— Mhm.

— Nie wiedziałam, że taki z ciebie romantyk.

— Po prostu fajnie się tam napierdalali.

— Oczywiście — rzucam z sarkazmem, na co ten przewraca oczami.

— A twój?

Daję sobie chwilę na zastanowienie.

— Hm... może *Titanic*? Tak myślę. — Prawda jest taka, że nigdy się nad tym nie zastanawiałam, bo nigdy nikogo to nie interesowało.

— Nie sądzisz, że to trochę... no... oklepane?

— Bo?

— Bo każdy to lubi. — Wzrusza ramionami.

— A ty lubisz?

— Nie.

— Więc nie każdy. Poza tym nie znasz się i tyle.

Między nami znów zapada cisza. Oboje przenosimy wzrok na bezchmurne niebo nad nami.

Lubię patrzeć w gwiazdy. To mnie uspokaja. Jakimś sposobem sprawia, że na moment odrywam się od świata, zapominam o problemach i nie czuję nic, ale w pozytywnym tego słowa znaczeniu.

— Wiesz, że kosmos ma zapach?

— Co? — Mrużę oczy, wciąż patrząc przed siebie.

— Podobno pachnie jak rozgrzany metal albo grill. Kiedyś o tym czytałem — wyjaśnia.

— Ja za to słyszałam, że w kosmosie nie ma żadnego dźwięku. Dziwne, prawda? Mam na myśli pustkę i nicość. Tę głuchą ciszę. — Zaplatam ręce pod piersiami.

— No, to pojebane. Nie wyobrażam sobie życia w ciszy, w ogóle w kosmosie. Początkowo może byłoby fajnie. Jako dzieciak nawet marzyłem o tym, żeby być astronautą, ale teraz sobie tego nie wyobrażam. Nie dałbym rady.

— Dlaczego tak uważasz?

Zerkam na niego kątem oka. Jego wzrok błądzi między gwiazdami.

— Bo chociaż tutaj możemy być tak samo samotni jak u góry, na ziemi jesteśmy w stanie zagłuszyć myśli.

Nasze spojrzenia spotykają się.

— Nie każdy chce je zagłuszać.

— A dlaczego ty to robisz?

Przełykam ślinę. Spodziewałam się, że rozmowa w którymś momencie zejdzie na te tory.

— Czasami myśli potrafią być tak przerażające, że człowiek zaczyna bać się samego siebie, dlatego szuka ucieczki — mówię cicho.

— Boisz się siebie?

W mojej głowie pojawia się wspomnienie dnia, w którym stanęłam nad przepaścią. Dnia, w którym upiłam się do nieprzytomności. Każdej godziny, w której tak bardzo chciałam umrzeć.

— Czasami.

Chase odwraca się do mnie. Niedługo potem ja również to robię. Patrzymy na siebie w milczeniu, skanując swoje twarze tak, jakbyśmy widzieli się ostatni raz. Jakby jutro miało nie nadejść.

— Obiecuj, że już nigdy nie uciekniesz.

— To nie jest takie pro...

— Obiecuj, że już nigdy nie uciekniesz beze mnie — precyzuje.

Uśmiecham się słabo.

— Obiecuj, że zawsze mnie dogonisz — szepczę.

Shaw unosi leniwie kąciki ust, po czym zbliża się do mnie i zostawia na ustach delikatny, niemal niewyczuwalny pocałunek.

— Obiecuję.

Chłopak obserwuje mnie jeszcze przez moment, po czym podnosi się do siadu, dlatego robię to samo. Krzyżuję nogi na kocu, wzrok przenosząc na morze. Dzisiejszej nocy jest o wiele spokojniejsze niż wcześniej, gdy nad nim bywałam. Lubię na nie patrzeć. Jego szum i odbijający się od tafli księżyc sprawiają, że zapominam o wszystkim. Jest tylko tu i teraz. Wszystko inne znika.

Szelest obok sprawia, że wracam spojrzeniem na bruneta. Marszczę czoło, a gdy wyjmuję z torby burgera i frytki, otwieram szerzej oczy.

— No, nie wierzę — parskam.

— Ostatnio zamówiłaś ten zestaw, więc nie wiedziałem, co innego miałbym... No i gdy jechaliśmy do Bangor, też to jadłaś... więc wziąłem to — mówi, a ja dostrzegam zmieszanie na jego twarzy.

— Kiedy ty to kupiłeś? — pytam zaskoczona.

Kanapka jest jeszcze ciepła.

— Caroline ogarnęła wszystko, kiedy... byliśmy na górze — wyjaśnia, drapiąc się po plecach.

On jest naprawdę niepewny i zestresowany. To takie dziwne. Przecież ten sam człowiek otwarcie powiedział własnej babci, że uprawialiśmy seks, a teraz jest onieśmielony, bo zrobił dla mnie coś miłego. Mam wrażenie, że nie lubi mówić o swoich dobrych uczynkach. Do tej pory nie odpowiedział na pytanie, czy to dla mnie zorganizował wyjazd na koncert. Nie odpowiedział, bo to zrobił, ale nie chciał, abym wiedziała, że to on za tym stał.

— To... dziękuję — odpowiadam, na co się uśmiecha.

— Miało też być drogie wino... — Sięga ponownie do torby i wyjmuje z niej sok oraz dwa plastikowe kubeczki. — Ale ostatecznie postawiłem na coś lżejszego.

„Plan na dziś jest taki. Z racji tego, że mamy pieprzone walentynki, zrobię to w sposób niezwykle romantyczny. Najpierw pojedziemy na plażę i poczęstuję cię drogim winem...”

Fakt, że nie wspomniał słowem o moim problemie i zamienił to w żart, sprawia, że bicie mojego serca znów przyspiesza.

— Czyli rozumiem, że później czeka nas oglądanie gwiazd na polanie, a po drodze usłyszę Beethovena? — śmieję się.

— Mhm, a później cię pocałuję — mówi z buzią pełną frytek.

— Barbecue? Poważnie? — Unoszę wzrok znad pudełka i marszczę nos. — Okropieństwo. Tylko śmietanowy — Próbuję i krzywię się, bo ten sos jest naprawdę paskudny.

— Śmietanowy jest tak kurewsko typowy. Nie znasz się.

— Powiedział ten, który pomylił szampon z rozjaśniaczem. — Przypominam mu dzień, w którym jego włosy stały się rude.

— Zrobiłem to specjalnie.

Zamieram.

— Co?

— No, z tym szamponem. — Wzrusza ramionami. Obserwuję, jak oblizuje palce, po czym odkręca sok i wypełnia nim szklanki. — Zrobiłem to specjalnie, żebyś później pofarbowała mi te cholerne włosy.

— Ale po co?

— Bo chciałem cię pocałować — mówi, jakby to było tak bardzo oczywiste.

Moje usta z burgerem w środku otwierają się na tę rewelację.

— I dlatego bawiłeś się rozjaśniaczem? — upewniam się, aby potwierdzić jego debilizm.

Wcześniej nie zastanawiałam się, dlaczego po jednym myciu włosy Chase’a były tak bardzo rude, ale teraz ma to sens i jednocześnie nie ma go w ogóle.

— Nooo — odpowiada przeciągle i uśmiecha się głupio.

— Ty naprawdę jesteś popieprzony. Nie mogłeś po prostu... no nie wiem... podejść i mnie pocałować? Wiesz, jak każdy normalny, cywilizowany człowiek — tłumaczę mu, odnosząc wrażenie, że przede mną siedzi właśnie dziesięciolatek. Choć mentalnie pewnie nim jest.

— Boże, Parker. Takich dziewczyn jak ty nie wrywa się jak wszystkich innych. — Przewraca oczami.

Przypominają mi się słowa Matta z dnia, kiedy byliśmy u Logana: „Shaw powiedział, że takich dziewczyn jak ty nie podrywa się niewyszukanymi tekstami”. Nie rozumiałam tego, dlatego w drodze do domu próbowałam wydusić z niego odpowiedź, ale oczywiście skończyło się kłótnią.

— Takich jak ja, czyli jakich? — Zadaję dokładnie to samo pytanie, które wypłynęło z moich ust tamtego wieczoru.

— Po prostu wyjątkowych.

Zastygam z kanapką w ręku.

Wyjątkowych. W jego oczach jestem... wyjątkowa?

— To znaczy? Wyjątkowo głupich? — Przysięgłam, że dawno nie czułam się tak bardzo zagubiona i zestresowana jak w tym momencie.

— To znaczy: wyjątkowych, Parker. — Przez jego twarz po raz drugi tego wieczoru przelatuje coś na kształt paniki. Odnoszę wrażenie, że wcale nie chciał powiedzieć tego na głos. Że może nawet boi się mojej reakcji na to wyznanie.

Patrzę na niego w milczeniu. Na moje usta wkrada się uśmiech, którego nie potrafię powstrzymać. On naprawdę uważa, że jestem wyjątkowa. On naprawdę tak myśli.

Przenoszę wzrok na wodę, nie do końca wiedząc, gdzie powinnam podziąć oczy ani czy coś powiedzieć. Zaskoczył mnie tym wyznaniem. Dzisiejszego dnia z ust Chase’a padło wiele słów. Niejednokrotnie mnie zadziwił. Niejednokrotnie sprawił, że poczułam się właśnie taka... wyjątkowa.

— To co? Robimy powtórkę z walentynek? — pyta nagle Shaw, dlatego na niego zerkam.

W mojej głowie pojawia się wspomnienie nocy, którą spędziliśmy na plaży. Brunet zapytał mnie wtedy, czy chciałabym zrobić coś szalonego, po czym wrzucił mnie do morza. Na samą myśl o kolejnym nurkowaniu robi mi się niedobrze.

— Znowu chcesz się skompromitować? — rzucam zaczepnie.

Chłopak unosi brwi, wyraźnie powstrzymując śmiech.

— Ja? Skompromitować? To ty wyglądałaś tak, jakbyś miała zacząć ryczeć.

— Pewnie dlatego, że mało do tego brakowało.

Przez twarz Chase'a przelatuje coś na kształt konsternacji.

— Dlaczego mnie wtedy nie powstrzymałaś? Gdybym wiedział wcześniej, że masz lęk przed głębokością, nie zrobiłbym ci tego.

— A kiedy miałam ci powiedzieć? Gdy mnie podtapiałaś? — Parskam, bo z perspektywy czasu to jest całkiem zabawne.

— Jesteś popieprzona, Parker.

— Ja? — Nie kryję zdziwienia.

— Tak, ty. Gdybyś wykrzyczała to, zanim cię wrzuciłem, nie wykorzystywałbym twoich lęków przeciwko tobie — wyjaśnia chyba trochę zirytowany.

Przewracam oczami.

— Dramatyzujesz.

Nie odpowiada. Przenosi wzrok na wodę, więc ja też to robię. Nie myślę o niczym szczególnym. Przymykam oczy i uśmiecham się do siebie, gdy chłodne powietrze owiewa moją twarz.

— Chodź. — Głos Shawa szybko sprowadza mnie na ziemię.

Zerkam na chłopaka, który stoi nade mną z wysuniętą dłonią.

— Wracamy już? — pytam, przyjmując ją.

Chase spogląda na mnie, wplątuje swoje palce między moje, po czym ciągnie w stronę wody. Zastygam w bezruchu

— Zaufaj mi.

Przez kilka, może kilkanaście sekund patrzymy na siebie w milczeniu. W końcu rozluźniam mięśnie, co Shaw chyba zauważa, bo znów rusza przed siebie. Dorównuję mu kroku.

Zatrzymujemy się w miejscu, gdzie piasek jest jeszcze w miarę suchy.

— Czego boisz się najbardziej, kiedy jesteś w wodzie?

Unoszę głowę i spotykam nefrytowe oczy bruneta.

— Braku dna pod stopami. Wtedy czuję się niepewnie, bo nie umiem pływać. Nie mam kontroli i boję się, że utonę.

— Czy ten strach ma gdzieś swoje źródło?

— Czy to jakaś terapia? — rzucam rozbawiona.

— Parker... — Chłopak patrzy na mnie wymownie, dając do zrozumienia, że nie zamierza odpuścić.

Wzdycham ciężko i przenoszę uwagę na morze przed nami. Buty mam już przemoczone, ale jakoś nie dbam o to. Mam tylko nadzieję, że nie skończę znowu z gorączką.

— Och, po prostu gdy miałam dwanaście lat, poszłam sama nad ocean. Stałam przy brzegu, upuściłam coś i zabrała to woda. To była dla mnie ważna rzecz, dlatego chciałam ją odzyskać. W którymś momencie fala pchnęła mnie głębiej, straciłam grunt pod nogami i spanikowałam. Nie mam pojęcia, jakim cudem wróciłam na plażę. Miałam chyba szczęście. — Wzruszam ramionami.

Mówienie o tym teraz jest łatwe, ale nigdy nie zapomnę, jak przerażona byłam tamtego dnia i przez następne tygodnie. Przez kolejne lata unikałam wody jak ognia. Dopiero niedawno przełamalam pierwsze lody i się do niej zbliżyłam. Wiedziałam po prostu, że nie mogę uciekać całe życie. Że kiedyś będę musiała się z tym zmierzyć.

— Masz traumę, a mówisz o tym jak o pogodzie.

— Bo to nic wielkiego. Każdy się czegoś boi.

Shaw patrzy na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Myśli o czymś intensywnie. Widzę to. Chłopak ściska mocniej moją rękę, robi krok do przodu, więc ja również. Tym razem woda napływa mi

na wysokość kostek. Przymykam powieki i oddycham głęboko.

„Tak długo, jak długo czuję dno, jestem bezpieczna” — powtarzam w myślach niczym mantrę.
— Strach jest czymś, co mieszka w twojej głowie. Tylko od ciebie zależy, czy się z niej wyniesie.
— Nie znoszę tego, że ma nade mną kontrolę i mnie ogranicza.

— Więc pokaż mu, kto tu rządzi — mówi pogrzbicie. — Chodźmy już, bo znowu się przeziębisz.

*Gdy Nasz świat się walił, siedzieliśmy na plaży i robiliśmy sobie pieprzony piknik w środku nocy.
Tacy właśnie byliśmy.*

Pozbywam się bluzy i kurtki, a następnie rzucam je na krzesło nieopodal. Jest chwilę po północy. Zrobiło się naprawdę zimno, więc stwierdziliśmy, że czas wracać. Gdy tylko przekroczyliśmy próg pokoju, sprzątnęliśmy bałagan i ogarnęliśmy się do spania.

Muszę przyznać, że spędziłam naprawdę dobry czas. Nie spodziewałam się, że po tak burzliwym dniu usłyszę tak wiele z ust Chase’a. Zaskoczył mnie niejednokrotnie. W życiu bym nie pomyślała, że po walce będzie miał jeszcze siłę, aby przygotować coś takiego. Że pojedziemy na plażę i spędzę najlepsze chwile w swoim życiu. Nie pamiętam już, kiedy czułam się tak normalnie i beztrudno.

Słyszac dźwięk otwieranych drzwi, obracam głowę w stronę łazienki. Otwieram szerzej oczy.

— O Boże. — Zakrywam usta dłonią, nie potrafiąc ukryć szoku spowodowanego jego wyglądem.

Nie myśląc wiele, podchodzę do bruneta i kładę ręce na jego ramionach, aby lepiej mu się przyjrzeć. Klatka piersiowa Shawa jest praktycznie fioletowa, podobnie jak niektóre punkty na twarzy. Mnóstwo siniaków, które już z daleka wyglądały przerażająco, ale z bliska są jeszcze gorsze. Niczym zamrożona patrzę na tors chłopaka. Próbuję znaleźć jakiegokolwiek słowa, ale mam wrażenie, że ktoś odciął mi język.

— Parker, tylko nie dramatyzuj — rzuca ostrzegawczo, dlatego zadzieram głowę, aby spotkać jego rozbawione spojrzenie.

Wygląda tragicznie, ale i tak sobie z tego żartuje. Przełykam ślinę, z całych sił starając się pozbyć niechcianych łez. Zastanawiam się: jaki próg bólu posiada ten człowiek? Dostało mu się naprawdę mocno, a on i tak nie narzeka. Nie wiedząc, co powiedzieć, lustruję jego twarz. Wszystkie rozcięcia i siniaki. Zrobił to dla Caroline. Dla dziewczyny, którą kocha jak własną siostrę. Którą kocha w pełni bezwarunkowo. Serce zaciska mi się na myśl, że ten chłopak byłby w stanie poświęcić życie dla bliskich i nie zastanawiałby się nad tym nawet sekundy. Taki właśnie jest Chase.

Wędruję wzrokiem w dół, w pewnym momencie coś sobie uświadamiając.

— Skąd to masz? — pytam cicho.

Muszę zająć czymś głowę, aby rzeczywiście nie zacząć dramatyzować.

Unoszę drżącą dłoń i chwytam srebrny krzyżyk, który wisi na szyi chłopaka. Widziałam go już wcześniej. Nie nosił go zawsze, ale dość często. Pamiętam, że najbardziej rzucił mi się w oczy w chwili, kiedy zobaczyłam go przed urodzinami Matta i Minnie. Chase miał rozpiętą koszulę, więc nietrudno było go zauważyć.

— Pamiętka po rodzicach — wypowiada słowa, których się spodziewałam.

„Czy to w ogóle możliwe?” — myślę sobie.

Nie zastanawiając się więcej nad swoją teorią, wymijam bruneta i wchodzę do łazienki. Przechodzę przez pomieszczenie, po czym otwieram drzwi od swojego pokoju. Ręką wymacuję włącznik światła i rozglądam się po wnętrzu. Ruszam w stronę komody. Pospiesznie wyciągam i otwieram pudełko, a później następne — to jedno, tak dobrze mi znane. Słyszę kroki za swoimi plecami. Odwracam się twarzą do Shawa, nawet na sekundę nie odrywając oczu od srebra.

— Są identyczne — mówię.

Unoszę wzrok znad łańcuszka. Widzę konsternację na twarzy Chase’a. Daje trzy kroki w przód i staje dokładnie naprzeciwko mnie. Przygląda się zawartości pudełka, a jego jabłko Adama porusza się, gdy przełyka ślinę.

— Należał do mojej mamy — wyjaśniam, gdy w szoku przygląda się biżuterii.

— Mój należał do ojca.

Czuję suchość w gardle, gdy dociera do mnie sens jego słów.

Milczymy. Każde z nas wydaje się tonąć we własnych myślach i trwa to do momentu, w którym Shaw sięga dłońmi do karku, po czym zdejmuje łańcuszek. Mam wrażenie, że w tej chwili dokładnie to samo chodzi nam po głowie.

Chłopak nachyla się tak, że teraz jego twarz jest za moim ramieniem. Czuję jego gorący oddech na swojej skórze i chłodne palce, gdy przekłada biżuterię, walcząc z zapięciem. Zimna blaszka opada na moją klatkę. Widzę nikły uśmiech na ustach Shawa, gdy znów na mnie patrzy.

Wyjmuję z pudełka srebro, które tak długo leżało w ciemnej komodzie. Proszę bruneta gestem, aby odwrócił się do mnie tyłem, po czym przekładam łańcuszek przez jego szyję.

Któregoś dnia Twój dziadek powiedział mi, że cierpienie jest niczym krzyż dźwigany przez Jezusa. Każdy z nas otrzymuje swój własny w dniu narodzin i przemierza z nim życie. Rzecz w tym, że nie są one takie same. W zależności od człowieka, jego psychiki i siły krzyże te różnią się ciężarem. Bóg nigdy nie daje brzemienia większego od tego, jakie faktycznie jesteśmy w stanie udźwignąć... Przynajmniej tak mówił dziadek.

— Wiem, że mówiłaś, że nie jesteś wierząca, ale...

— W pamiętniku mojej mamy przeczytałam kiedyś, że każdy z nas w dniu narodzin otrzymuje swój własny krzyż — przerywam mu, patrząc na srebro spoczywające na jego nagiej klatce. — W jej oczach krzyż był symbolem cierpienia. To trochę tak, jakbyśmy właśnie dali sobie nawzajem swoje cierpienie, prawda? — Przenoszę wzrok na jego twarz, aby spotkać się z zielenią przenikliwych tęczówek. Uśmiecham się słabo.

...jakbyśmy podtrzymywali siebie nawzajem w drodze krzyżowej zwanej życiem.

Rozdział 7

ELIZABETH

Noce z Tobą zawsze były czymś, czego wewnątrznie wyczekiwałam. Uwielbiałam Nasze rozmowy po północy. Wtedy żadne z Nas nie miało siły udawać czy zakładać maski. Wtedy byliśmy szczerzy jak nigdy — wiedząc jednocześnie, że wszystko to zniknie, gdy na horyzoncie pojawią się pierwsze strugi światła. Gdy nadejdzie nowy dzień...

Otwieram oczy, z trudem hamując śmiech, gdy chłodne, szorstkie palce zaczynają błaznić w okolicach szyi. Zawsze byłam wrażliwa na dotyk, ale to miejsce, podobnie jak stopy, jest wyjątkowo wyczułone.

— Hej. — Do moich uszu dociera niski, zachrypnięty głos.

Daję sobie chwilę, aby wzrok przyzwyczaił się do panującej jasności, a gdy odnajduję parę zielonych tęczęwek, uśmiecham się lekko.

— Hej — mówię cicho.

Dłoń leżącego naprzeciwko mnie chłopaka przenosi się na mój policzek. Przesuwa się po rozgrzanej skórze, po czym chowa za uchem zbłąkane kosmyki włosów. Oddycham ciężiej, gdy to robi.

— Wyspałaś się?

— Mhm. — Tylko tyle jestem w stanie z siebie wydobyć. Mój mózg jeszcze nie przyswaja wszystkiego.

Nagle brunet siada na mnie okrakiem, przez co teraz leżę na plecach. Opiera się na łokciach. Nasze twarze dzielą zaledwie centymetry. Spuszczam wzrok na zwisający z jego szyi krzyżyk, który założyłam mu zeszłej nocy. Nie zdjął go, więc i ja tego nie zrobiłam.

— Jaki plan na dziś? — zagaduje, unosząc brew.

„Skąd w nim tyle entuzjazmu?” — zastanawiam się.

— Jakież sugestie? — Zaplatam ręce pod piersiami, gdy tak patrzę na niego z dołu.

Nienawidzę tego uczucia opadających powiek, mimo że jestem wyspana.

— Logan proponuje wyjście — mówi niepewnie, uważnie badając moją reakcję. — Nas wszystkich — dodaje po chwili.

— W porządku — odpowiadam bez namysłu, przywołując na twarz trochę wymuszony uśmiech.

— Jesteś pewna? Jeśli nie masz ochoty, możemy po prostu...

— Tak, Chase. Jestem pewna.

Wiem, że nadszedł czas, aby zejść na ziemię. Dzisiejszej nocy, zanim zasnęłam, podjęłam kilka ważnych decyzji. Myślę, że to moment, w którym powinnam uporządkować sprawy. Minął tydzień. Ojciec, Natalie i Aiden są tu kilka dni, a nadal nie wyjaśniliśmy wielu kwestii. Chyba wolę mieć za sobą to, co nieuniknione. Jestem pewna, że gdy dam im, czego chcą, będę miała spokój. Wrócą do Santa Monica, aby znów skupić się na swoich sprawach.

„Ty też będziesz musiała tam kiedyś wrócić” — krzyczą głosy w mojej głowie, jednak sprawnie je uciszam. Nie chcę o tym teraz rozmyślać. To zdecydowanie nie na moje nerwy.

W każdym razie stwierdzam, że poza rozwiązaniem spraw rodzinnych warto porozmawiać o ostatnich wydarzeniach ze znajomymi. Nie wiem, co planuje Omar, dlatego wolę powiedzieć im, zanim mnie wyprzedzi. Boję się ich reakcji, ale wiem, że zasługują na prawdę. Szczególnie Jake, którego okłamałam w żywe oczy. Tak, jego muszę przeprosić w pierwszej kolejności.

— W porządku. W takim razie pójdziemy — mamrocze pod nosem i zbliża się do mnie, delikatnie muskając usta.

— Tak bardzo lubisz mój poranny oddech? — śmieję się, gdy co jakiś czas jego wargi lądują na moich.

— Mam to gdzieś. — Czuję, jak uśmiecha się przez pocałunek.

Kładę dłonie na ramionach chłopaka i odsuwam go od swojej twarzy, aby dobrze go widzieć.

— Chcesz w ten sposób powiedzieć, że śmierdzi mi z ust?

— Nie. — Przewraca oczami, tym razem zniżając się do poziomu mojej szyi. — Po prostu mam to gdzieś — mówi między muśnięciami.

Przymykam powieki, czując miękkie wargi na skórze. Usta Shawa wędrują w dół, pozostawiając po sobie gdzieniegdzie liźnięcia. Wzdrygam się, gdy dodaje do tego zęby. Wzdycham ciężko na to doznanie.

Nawet po tym wszystkim szukam usprawiedliwienia Twoich decyzji.

Palce Chase'a suną przez materiał koszulki. Muskają każdy centymetr brzucha oraz piersi, a gdy docierają do tasiemki spodenek, kreślą bliżej nieokreślone wzory. Z każdą chwilą moja klatka unosi się coraz szybciej. Odruchowo zaciskam uda, co nie uchodzi jego uwadze.

Brunet wraca na wysokość mojej twarzy, zahacza wzrokiem o usta, oblizując swoje. Przełykam znacząco ślinę, gdy to robi. W jednej chwili powietrze w pomieszczeniu zgęstniało zupełnie. Moje ciało wręcz łaknie jego dotyku.

— Przysięgąm, że patrzenie na ciebie w tym stanie jest lepsze od czegokolwiek innego — mówi gardłowym głosem.

Zaciskam dłonie na pościeli. Odchylam głowę do tyłu i zamykam oczy, gdy w najwrażliwszych miejscach czuję jego palce. Nie potrafię powstrzymać cichego jęknięcia na uczucie rozpierania. Chase wciska kolano między moje uda, aby je rozłączyć. Porusza ręką synchronicznie, leniwie mnie torturując. W przyływie nieopisanych emocji chwytam tył jego karku i łączę nasze usta w pocałunku. Zachłannym, pożądliwym. Ta słodka przyjemność nie trwa długo, bo Shaw odrywa się ode mnie, wargami muska i przygryza szyję.

— O Boże — dyszę prosto do jego ucha, gdy zwiększa tempo.

Zjeżdża coraz niżej, tworząc mokrą ścieżkę. Ręką przesuwając materiał koszulki ponad piersi, aby mieć do nich lepszy dostęp. Niespodziewanie wysuwa ze mnie palec i nim jestem w stanie pojąć, co się dzieje — zdejmuję spodenki. Jego język porusza się powoli. Wypycham biodra, prosząc o więcej. Wolną dłoń wplątuję w jego włosy, delikatnie je ciągnę. Mruży cicho, zwiększając tempo.

— Proszę... — Nie myślę racjonalnie, gdy z moich ust ulatują kolejne przypadkowe słowa. Wije się pod nim, czując, jak z każdą chwilą moje podbrzusze pulsuje coraz bardziej.

Brunet umieszcza dłonie na moich udach i rozchyła je maksymalnie, przez co wszystko odbieram o wiele mocniej i intensywniej. Nie potrafię powstrzymać miękkich jęków na to doznanie. Wszystko mi się miesza. Jestem istnym bałaganem leżącym w pościeli. Chcę błagać o to, aby zakończył te tortury, ale jednocześnie prosić o więcej.

Moje nogi zaczynają drżeć. Zaciskam mocniej dłoń na włosach chłopaka, dając mu tym znak, że jestem blisko. Odchylam głowę, plecy wyginając w łuk. Nagle Shaw wsuwa we mnie dwa palce. Zakrywam ręką usta, zduszając przekleństwa. Chcę wyjść mu naprzeciw swoimi biodrami, ale ten z całych sił przyciska je do materaca. To wystarczy. Całe napięcie, które budowało się w podbrzuszu przez ostatnie minuty — kumuluje się, a ja tracę pełną kontrolę.

Nie mam pojęcia, jak długo jestem odcięta od rzeczywistości, ale gdy wracam na ziemię, chłopak znów jest nade mną i oblizuje usta.

— Wiesz, wystarczy Chase, ale Bogiem...

— Już? Dopieściłeś swoje ego? — przerywam mu, oddychając jeszcze ciężko. — To teraz wstawaj ze mnie. Idę się ogarnąć — rzucam i lekko go popycham. Nie wiem, jak się czuje po wczoraj, dlatego wolę być ostrożna.

— Nie jesteś zabawna — marudzi, ale posłusznie robi to, o co go proszę.

— Nigdy nie powiedziałam, że taka jestem. — Odsuwam od siebie koldrę.

Chłodne powietrze atakuje moje ciało, aż się wzdrygam. Niespiesznie zdejmuję nogi z materaca, a gdy stykają się z lodowatą podłogą, zaciskam zęby. Prostując plecy, czuję klepnięcie w pośladek. Ten dźwięk roznosi się po pomieszczeniu, a ja podskakuję w miejscu. Z wysoko uniesionymi brwiami patrzę przez ramię na bruneta.

— No co? Fajny jest. — Wzrusza ramionami i opada plecami na pościel, wolną ręką sięgając po

telefon.

— Wiem — mówię z fałszywą pewnością siebie.

— Uczysz się, Parker — śmieje się pod nosem, sunąc oczami po całej długości mojego ciała.

Lubię to i nienawidzę tego jednocześnie. Może gdybym była bardziej kształtna — okej. Poza tym nie mam makijażu, a włosy są w zupełnym nieładzie. W skrócie — jest niekorzystnie i tyle.

Postanawiam nie odpowiadać nic więcej. Idę do łazienki. Przechodzę przez pomieszczenie, a gdy znajduję się już w swojej sypialni, moim pierwszym celem jest szafa, z której wyjmuję ubrania na dzisiaj.

Po dłuższym zastanowieniu decyduję się na szarą bluzę i spodnie z dziurami. Omiatam wzrokiem pokój, a moje oczy zatrzymują się na telefonie, który wczorajszego wieczoru zostawiłam na łóżku. Ze sprzętem w dłoni wracam do łazienki i kładę ubrania na toalecie. Przez chwilę przyglądam się swojemu odbiciu. Wyglądam fatalnie. W ostatnim czasie z pewnością straciłam kilka kilogramów, a uwydatnione kości policzkowe oraz zębra, które jestem w stanie policzyć po uniesieniu koszulki, jedynie mnie w tym przekonaniu utwierdzają.

Włączam telefon, decydując się tymczasem umyć zęby. Gdy ekran rozbłyska jaskrawym światłem, ze szczoteczką w buzi wychylam się i chwytam urządzenie, aby przyjrzeć się napływającym powiadomieniom. Zastygam, kiedy przed oczami miga mi jedno, konkretne. Muszę mrugnąć kilka razy, aby upewnić się, że dobrze widziałam, ale chmurka szybko znika i na jej miejscu pojawia się inna.

Odblokowuję pospiesznie telefon, po czym wciskam zieloną ikonę. Przesuwam palcem między najróżniejszymi wiadomościami, zatrzymując się na tej, której istnienia nie byłam pewna.

Przełykam ślinę. Cholera.

Od: Nate

Cześć

Wchodzę w konwersację, chcąc upewnić się, że jest to tylko jeden SMS. Jak się okazuje, napisał tylko tyle. Po co to zrobił? Ostatni raz kontaktowaliśmy się ze sobą ponad pół roku temu. Widywaliśmy się w szkole, zamienialiśmy zawsze kilka zdań, a po sytuacji ze zdjęciami przestaliśmy po prostu rozmawiać i tyle. Dlaczego więc się odezwał? Czego ode mnie chce?

Nate i ja spotykaliśmy się przez ponad rok. Zdradził mnie z Bonnie, a później z jej pomocą rozesłał moje nagie zdjęcia, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Zerwaliśmy kontakt, to logiczne.

Wypluвам z ust nadmiar pasty, która się spieniła, i ponownie wciskam szczoteczkę do buzi. Obserwuję swoje odbicie, starając się jakkolwiek poskładać myśli. Nie wiem, czy powinnam mu odpisywać. Nie wiem, czy to rozsądne. Zrobił mi świństwo i po prostu nie mam ochoty, by z nim rozmawiać. Chociaż może lepiej byłoby w końcu zamknąć ten rozdział? Muszę to przemyśleć.

Wychodzę z naszej konwersacji, po czym przesuwam dziesiątki innych wiadomości i zatrzymuję się na kolejnej, która przykuła moją uwagę.

Od: O

Możemy się spotkać?

Dlaczego nagle każdy się do mnie odzywa? Ale w sumie to dobrze, że Omar do mnie napisał. Muszę z nim porozmawiać. Myślę, że jest w stanie odpowiedzieć mi na kilka pytań dotyczących wczorajszego wieczoru. Wiadomość wysłał mi dziś w nocy, więc może chodzi właśnie o walkę?

Do: O

tak, kiedy ci pasuje?

W pewnym momencie drzwi prowadzące do pokoju Chase'a otwierają się. Automatycznie blokuję ekran i odkładam telefon na umywalkę, wzrok zatapiając w odbiciu. Ze szczoteczką w ustach uśmiecham się w stronę bruneta. Odpowiada tym samym.

— Myślałem, że już wolne — mówi, ale i tak wchodzi do środka.

Kręcę głową, nie chcąc opluć nic dookoła.

Obserwuję, jak Shaw podchodzi powoli do mnie i staje za plecami. Nasze spojrzenia spotykają się w lustrze. Chłopak opiera podbródek na moim ramieniu, a jego palce przenoszą się na mój brzuch, zatapiając pod materiałem białej koszulki. Nie potrafię powstrzymać cichego westchnienia. Nie wiem, czy kiedykolwiek przestanę reagować na niego w ten sposób. Nie wiem, czy potrafiłabym przestać.

Brunet błądzi nosem po moim policzku, jednak nie trwa to długo, ponieważ nachyliłam się nad

zlewem, aby pozbyć się pasty. W tym momencie jego dłonie przenoszą się na moje biodra, a ja zastygam w bezruchu, gdy czuję wybrzuszenie na swoich pośladkach. Matko.

Sprawnie płuczę usta, wymacując ręką ręcznik. Przecieram twarz i prostuję się, znów zerkając w odbicie. Wyraźnie zadowolony z siebie Shaw niezmiennie stoi za mną.

— W takim wydaniu lubię cię najbardziej — stwierdza prosto, a ja nie potrafię pohamować uśmiechu na te słowa.

Poranki u Twojego boku zawsze były czymś, do czego chętnie wracam pamięcią. Uwielbiałam te proste rzeczy i słowa. Nadal czuję dotyk Twoich dłoni na mojej rozgrzanej skórze. Nadal...

— Chase.

— Hm?

Przyglądam się, jak chłopak chwytą moje włosy i zaczyna je zaplatać w warkocz. Przetykam nerwowo ślinę, gdy skupiony na tym, co robi, marszczy brwi, zaciskając wargi. W mojej głowie pojawia się wspomnienie poprzedniego wieczoru, jego wybuchu i wszystkich słów, które padły.

— Co powiedział ci Blaze? — pytam tak cicho, że przez chwilę zastanawiam się, czy to usłyszał, ale gdy jego ręce zastygają, odpowiedź przychodzi sama.

Chase podnosi wzrok na nasze odbicie. Teraz jego twarz nic już nie wyraża. Oczy ma puste i nijakie, a usta rozchylone. Wygląda, jakby nie do końca zrozumiał to, co właśnie opuściło moje usta.

— Wczoraj. Na...

— N-nie każ mi tego powtarzać, proszę — mówi dziwnym głosem.

Zamieram.

Tępo wgapiam się w chłopaka przede mną, nie potrafiąc powiedzieć słowa więcej. Boli mnie brzuch. W gardle tworzy się gęstwa, bo w oczach Shawa dostrzegam... łzy. Muszę zamrunąć kilka razy. Zszokowana patrzę, jak odgania je i zawstydzony spuszcza wzrok, wracając do zaplatania warkocza.

Z osłupienia wrywa mnie dzwoniący telefon. Marszczę brwi, gdy dostrzegam imię na wyświetlaczu. Odbieram bez wahania.

— Halo?

Stoję w bezruchu przed białymi drzwiami. Nie mam pojęcia, jak długo przyglądam się im, ale jestem pewna, że numer „52” wryje się w moją pamięć już na zawsze. Czy to zbieg okoliczności, że właśnie te dwie liczby widziałam stojące obok siebie na zupełnie innych drzwiach, w innych okolicznościach, ale z tą samą osobą po drugiej stronie?

Ostatni raz zerkam na Chase'a. Jest skonsternowany i zaniepokojony, co mnie nie dziwi. Też bym była na jego miejscu. Też zadawałabym pytania, ale w tym momencie nie jestem w stanie udzielić na nie odpowiedzi. Czuję klucze w klatce, moje ręce drżą, brak mi słów, którymi mogłabym wyjaśnić mój stan.

Zamykam na chwilę oczy, biorę głęboki oddech, po czym wchodzę do środka, Shawa zostawiając na szpitalnym korytarzu.

Biel. Dużo bieli. Rażącej i sprawiającej, że człowiekowi chce się wymiotować. Irytujące pikanie, dziwny zapach, sterylność. To słowo jako pierwsze przychodzi mi do głowy, kiedy staję na środku pomieszczenia, naprzeciwko łóżka, w którym leży on.

Wychudzony, z zapadniętymi policzkami i bez włosów. Nie widzieliśmy się zaledwie dwa tygodnie. Jakim cudem on... tak...

Zaciskam szczękę, aby powstrzymać niechciane łzy. Zajmuję wolne krzesło, na którym zawieszam torebkę. Na stoliku stoi wazon wypełniony tulipanami. Uśmiecham się mimowolnie.

— Jesteś ostatnią osobą, której bym się tutaj spodziewał.

Pospiesznie przenoszę spojrzenie na łóżko, w stronę tak dobrze mi znanego głosu.

— Uszanowanko, Elizo. — Kąciki ust mężczyzny unoszą się leniwie.

— Cześć, Mark. — Odruchowo chwytam dłoń, do której przyczepione są najróżniejsze rurki, i ściskam ją. Boli mnie gardło. Sekundy dzielą mnie od wybuchnięcia płaczem. — Jak się czujesz?

Telefon, który otrzymałam od Michaela — prowadzącego terapię dla uzależnionych — sprawił,

że moje serce zatrzymało się na ułamek sekundy. Wiedziałam, że choroba Marka jest w zaawansowanym stadium. Zdawałam sobie sprawę, że w każdej chwili mogę otrzymać telefon o jego... Ale mimo to nie byłam gotowa. Nadal nie jestem. Właśnie dlatego przyjechałam. Pożegnaliśmy się, to prawda, jednak poczułam potrzebę, aby zobaczyć go jeszcze raz.

— Dawno nie czułem się tak dobrze — kłamię rozbawiony.

Ściskam mocniej jego rękę.

— Słyszałam, że jesteś ulubieńcem pielęgniarek na oddziale.

— To po prostu bardzo urocze panie. Nie rozumiem, dlaczego ludzie nie doceniają ich pracy. Są przemiłe, no i przynoszą mi budyń. Nie powinny tego robić, a jednak każdego dnia go dostaję.

— Lubisz budyń?

— Uwielbiam! — mówi z ekscytacją, niczym małe dziecko. — Kto ci powiedział, że tu jestem?

Podasz mi tamtego pilota?

Sięgam po wspomniany przedmiot. Mark wciska jakiś klawisz. Obserwuję, jak połowa łóżka powoli unosi się, dzięki czemu mężczyzna może siedzieć.

— Stronię od nowoczesnych technologii, ale to im wyszło.

— Fakt, przydatna rzecz. — Poprawiam poduszkę, która nieco się osunęła. — Dzwonił do mnie Michael. Dowiedział się wczoraj, więc zadzwonił, aby mnie poinformować.

— Dlaczego akurat ciebie? — Marszczy brwi, nie kryjąc zdziwienia.

Wracam na swoje miejsce i przygryzam wewnątrz policzka.

— Ja... Ja poprosiłam go o to. Chciałam wiedzieć...

— Rozumiem. — Tym razem to on ściska moją dłoń. — Cieszę się, że jesteś, naprawdę, wiele to dla mnie znaczy.

Łzy napływają mi do oczu. Mrugam szybko.

— Mam coś dla ciebie. — Chrząkam i sięgam do torebki, z której wyjmuję to, co wcześniej tam spakowałam. — Proszę. Pomyślałam, że możesz się tu trochę nudzić.

Patrzę niepewnie na mężczyznę, badając jego reakcję. Widzę, jak jego mimika z każdą sekundą zmienia się, dlatego nie jestem w stanie stwierdzić, co konkretnie chodzi mu teraz po głowie. Ma wielkie oczy i lekko rozchylone usta. Kiedy nasze spojrzenia spotykają się po kilkudziesięciu sekundach, uśmiecham się przez łzy.

— Strona sto trzecia.

Mark otwiera zaznaczoną przeze mnie część książki. Bierze z szafki okulary i zaczyna czytać:

Był to już ósmy dzień od czasu uszkodzenia mojego samolotu na pustyni i słuchałem opowiadania o sprzedawcy, dopijając ostatnią kroplę moich zapasów wody.

— No tak — powiedziałem Małemu Księżciu — twoje wspomnienia są bardzo ładne, ale ja jeszcze nie naprawiłem samolotu, a nie mam już nic do picia. Ja także byłbym szczęśliwy, gdybym mógł się wolniutko przejść do fontanny.

— Mój przyjaciel lis powiedział...

— Mój drogi chłopcze, to już nieważne, co ci powiedział lis.

— Dlaczego?

— Bo przyjdzie umrzeć z pragnienia.

Nie rozumiał mojego toku rozumowania. Odpowiedział:

— Nawet jeśli ma się umrzeć, dobrze, że się miało przyjaciela. Bardzo się cieszę, że miałem przyjaciela lisa.

On...

Przerywa, podnosząc na mnie wzrok. Ma czerwony nos i policzki. Jego oczy są zaszkłone. Ja również niewiele widzę przez łzy.

Gdy ostatnim razem Chase czytał mi fragmenty *Małego Księcia*, gdzieś między słowami pomyślałam o Marku. Spotkaliśmy się przypadkiem. Już w pierwszej sekundzie skradł moje serce. To było coś, co wydarzyło się nagle. Po prostu wszedł, przywitał się, a ja już poczułam między nami pewną więź. Nie potrafię wyjaśnić swoich uczuć względem niego, ale są silne. Pojawił się w moim życiu niespodziewanie, na moment. Trzymając w ręku zapaloną świeczkę, rozniecił płomień mojej, zgaszonej.

Sprawił, że odzyskałam nadzieję na lepsze jutro.

— Mały Książę ma rację — mówi nagle. — Dobrze umrzeć ze świadomością, że miało się przyjaciela. Nigdy w życiu nie miałem tak wspaniałego przyjaciela. — Ścisną mocniej moją dłoń.

Tyle wystarczy, aby wybuchnąć płaczem. Wstaję ze swojego miejsca i wtulam się mocno w ciało mężczyzny. Czuję jego ciepłe dłonie na plecach. Pociera je delikatnie. Łapię z trudem kolejne dawki powietrza, nie potrafiąc zapanować nad oddechem. Jestem pewna, że zamoczyłam mu piżamę. Nie dbam jednak o to. Myślę, że on również.

— Nie masz pojęcia, jak wdzięczna jestem za to, że pojawiłeś się w moim życiu. — Pociągam nosem.

— Wiesz, Elizo... — mówi, gdy się od siebie odrywamy. — Moje dzieci bardzo wierzą w to, że jest nadzieja. Że jakimś cudem wstanę któregoś dnia i powiem, że pokonałem raka, ale... ale czuję, że nie zostało mi wiele czasu. Że to już nie są tygodnie, raczej dni.

Przecieram rękawem mokre policzki.

— Czy będę w twoich oczach złym człowiekiem, jeśli powiem, że cieszę się z nadchodzącej śmierci? Że nie mogę się jej doczekać, bo gdy nastąpi, spotkam moją słodką Barb?

Przypominam sobie dzień, w którym się poznaliśmy. Pamiętam, z jaką miłością Mark opowiadał o swojej zmarłej żonie. Była dla niego aniołem, światełkiem w tunelu. Kochał ją do szaleństwa i właśnie to uczucie doprowadziło do jego załamania.

Zamykam dłonie mężczyzny w swoich. Przez chwilę przyglądam im się, myśląc nad tym, jak dobrać słowa. Odpowiedź na jego pytanie znałam już w momencie, gdy je zadał.

— Nie można oceniać źle człowieka, który kocha — stwierdzam. — Miłość do Barbary uskrzydliła cię, ale i te skrzydła podcięła. Bez niej nic nie było takie samo. Wiem, że odnalazłeś ją w swoich dzieciach. Wiem, że im, tak jak tobie, jest bardzo ciężko, ale wiem też, że przyjdzie taki dzień, w którym spotkacie się wszyscy razem. Nie teraz, nie jutro ani za dziesięć lat. Ale kiedyś. Tymczasem odszukaj ją i bądź szczęśliwy.

Mark patrzy prosto w moje oczy. Błękit jego tęczówek jest tak samo rażący jak wtedy, gdy go poznałam. Choć ciało mężczyzny jest słabe i zmieniło się — one pozostały takie same. I właśnie to mnie w pewnym sensie uspokaja.

Nagle ktoś puka do drzwi, po czym do pomieszczenia wchodzi wysoki szatyn.

— O, dzień dobry — mówi z uśmiechem, gdy mnie dostrzeżę. — Nie wiedziałem, że masz gościa. — Zwraca się do Marka.

— To taka miła niespodzianka. — Poprawia się i zdejmuje okulary. — Elizo, poznaj mojego syna, Harry'ego. Harry, poznaj Elizabeth.

Łapię spojrzenie mężczyzny, który okrąża łóżko. Wysuwa w moim kierunku dłoń, dlatego ściskam ją bez wahania.

— Bardzo miło mi cię poznać. Tata wiele o tobie mówił.

— Doprawdy? — Unoszę brew, zerkając na Marka.

Ten wzrusza ramionami.

— Jesteś kobietą, o której żal nie wspomnieć, moja droga.

— Teraz już rozumiem, dlaczego te pielęgniarki tak cię uwielbiają — śmieję się.

— A wcześniej nie rozumiałaś? — pyta, udając zaskoczenie.

Kręcę rozbawiona głową.

— W takim razie będę się zbierać. Spędź trochę czasu z synem. — Zgarniam z krzesła torbę.

— Już? Możesz jeszcze zostać. Miejsca starczy dla nas wszystkich.

Harry bardzo przypomina ojca. Podobne rysy twarzy, te same oczy. Jestem pewna, że w przeszłości Mark był równie przystojny co on.

— To bardzo miłe, dziękuję. Ale siedzę tu już trochę, a na zewnątrz ktoś na mnie czeka.

— Rozumiem.

Skupiam uwagę na Marku, który przygląda nam się uważnie. Na jego ustach maluje się dziwny uśmiech. Wzrokiem skacze między naszą dwójką, jakby w głowie tworzył właśnie jakiś plan.

— W takim razie zostawię was, żebyście mogli się pożegnać — mówi Harry, po czym wychodzi

z pomieszczenia.

Gdy zostajemy sami, niemal od razu zamykam Marka w uścisku.

— Nie masz pojęcia, jak bardzo cieszy mnie twoje przyjście, Elizo — szepcze.

— Nie masz pojęcia, jak bardzo cieszy mnie to, że mam tak wspaniałego przyjaciela. — Mocniej przyciskam go do siebie, z trudem powstrzymując kolejne łzy.

— To nie jest pożegnanie. Jeszcze się zobaczymy, wiesz to, prawda? — pyta, gdy się prostuję.

Odruchowo chwytam palcami krzyżyk, który podarował mi wczoraj Chase. Ten sam, który nosił przez ostatnie lata, podczas gdy jego druga część znajdowała się przy mnie.

— Wiem. — Uśmiecham się słabo.

Na miękkich nogach ruszam w stronę wyjścia.

— Elizo...

Zerkam przez ramię.

Mężczyzna trzyma w ręku książkę, którą wysuwa w moją stronę.

— To nie jest pożegnanie. Jeszcze się zobaczymy.

Mark patrzy na mnie szklanymi oczami.

— W takim razie... uszanowanko, przyjaciółko.

— Uszanowanko, przyjacielu.

Nie odwracając się już więcej, wychodzę z sali. Wraz z zamknięciem drzwi po moich policzkach zaczynają spływać łzy. Jedna po drugiej. Coraz szybciej i szybciej. Chwytam je rękawem bluzy. Biorę głęboki oddech, gdy nagle przed oczami pojawia mi się chusteczka.

— Proszę. — Zerkam na jej właściciela, który uśmiecha się smutno.

— Dziękuję. — Przyjmuję ją i odwracam się na moment, aby wydmuchać nos.

— Mój ojciec bardzo cię polubił — mówi Harry, kiedy nasze spojrzenia znów się spotykają. — Wniosłaś wiele światła w jego życie, choć zapewne nie jesteś tego nawet świadoma. Powiedział, że pojawiłaś się nagle i na chwilę, aby otworzyć mu oczy. Nie mam pojęcia, co dokładnie zrobiłaś, ale wiem, że to dzięki tobie zadzwonił do mnie po dziesięciu latach.

Kątem oka dostrzegam Chase'a, który przygląda się nam z daleka.

— Nie zrobiłam nic, tak na dobrą sprawę. Myślę, że to nasze podobieństwo i wzajemne zrozumienie, może też świadomość, że nie jesteśmy w tym wszystkim sami, tak na niego zadziałała. Niemniej cieszę się, że macie znów kontakt. Mark bardzo was kocha.

— Wiem. Jakkolwiek było, jeszcze raz ci dziękuję. — Nagle mężczyzna przyciąga mnie do siebie i zamyka w uścisku. Stoję chwilę w szoku, jednak ostatecznie go odwzajemniam.

— Jeśli będziecie potrzebowali pomocy albo... — Przerывam, nie potrafiąc powiedzieć tego na głos. — Zadzwon, proszę. W książce zostawiłam swój numer telefonu.

— Dobrze.

— Do widzenia, Harry.

— Do zobaczenia, Elizo.

Posyłam szatynowi ostatni uśmiech, po czym wymijam go i podchodzę do Chase'a. Chłopak stoi oparty o ścianę, ze spuszczoną głową, i stuka coś w telefonie. Widzę, że jego szczeka zaciska się co jakiś czas. Gdy dzieli nas zaledwie kilka kroków, podnosi wzrok i uśmiecha się krzywo.

— Idziemy?

— Tak, jasne, chodźmy. — Poprawiam torebkę na ramieniu i ruszam za nim.

Nie rozmawiamy. Po prostu pokonujemy kolejne metry szpitalnych korytarzy, a gdy wychodzimy z budynku, kierujemy się w stronę samochodu. W ciszy opuszczamy parking.

— Pasy — mamrocze.

Zapinam je szybko, karcąc się w myślach za to, że znów zapomniałam. Opadam głową na oparcie i wdycham ciężko.

— To twój znajomy?

— Kto?

— No ten... ten typ, z którym się tuliłaś. — Chrząka.

— Harry? — Marszczę brwi. — Nie. To syn Marka.

— Tego faceta spod szpitala? Kim on w ogóle jest? — Zerka na mnie przelotnie.

— Tak. Ja i Mark poznaliśmy się na terapii dla uzależnionych. Jestem tam wolontariuszką. Bardzo się polubiliśmy. Tamtego dnia, gdy mnie odbierałeś, powiedział mi, że ma raka — wyjaśniam.

— Więc dlatego płakałaś — mówi bardziej do siebie niż do mnie.

— Po prostu zrobiło mi się przykro. Wiele przeszedł, aby odzyskać rodzinę, a w momencie, kiedy mu się udało, dowiedział się, że jest nieuleczalnie chory. Jest dobrym człowiekiem i...

— Nie sądzisz, że to trochę naiwne? — Przerywa mi. — Ile razy go widziałaś? Cztery, może pięć. Skąd możesz wiedzieć, że jest albo był dobrym człowiekiem? Nie było cię przy nim. Nie znasz go.

Przełykam ślinę, czując dziwny skurcz w dole brzucha.

— Do czego zmierzasz?

Jestem zaskoczona jego reakcją. Nie spodziewałam się, że usłyszę od niego takie słowa. Nie wiem, jak to opisać. To po prostu takie... jak nie on.

Shaw zmienia bieg, gdy skręca. Wjeżdżamy właśnie na autostradę w kierunku Crosby.

— Do niczego konkretnego. Uważam po prostu, że kiedyś twoja naiwność cię zgubi. Nie możesz wierzyć, że każdy na tym świecie jest dobry. To zgubne. Ludzie tacy jak ty są przekonani, że potwory kryją się tylko pod łózkami, a później cierpią, bo odkrywają, że nigdy ich tam nie było. Że przez cały czas patrzyły im one prosto w oczy — mówi wyraźnie spięty.

— Nie każdy taki jest.

— Ale też nie każdy pokazuje swoją prawdziwą twarz, Lizzy. Nie bądź głupia ani dziecinna.

Zastygam w bezruchu. Okej, wiele razy słyszałam od niego takie słowa, ale teraz, gdy rozmawiamy w ten sposób — zabolaly.

Nie odpowiadam. Czuję gulę w gardle, więc wiem, że najlepiej będzie zamilknąć. Rozumiem, o co mu chodzi, ale przecież nie można wrzucać wszystkich do jednego worka, nie wiedząc, z kim ma się do czynienia. Bez względu na to, jakim człowiekiem był Mark — w moich oczach już na zawsze pozostanie uśmiechniętym, uroczym staruszkim i przyjacielem. Nie zmienię zdania tylko dlatego, że Chase bezpodstawnie go ocenił. To nie w porządku.

— Teraz będziesz obrażona, bo powiedziałem coś, co ci się nie podoba? — pyta oschle.

— O co ci chodzi? — W jednej sekundzie robi mi się przeraźliwie gorąco.

— No, już się odwracasz i obrażasz. Kurwa, nie powiedziałem nic złego, a ty odstawiasz sceny.

— Jakie sceny? Przecież nic nie zrobiłam! — Unoszę się.

— Zrobiłaś. Cały czas robisz, i to jest twój jebany problem. Masz klapki na oczach. We wszystkich widzisz dobro, a później wyjesz.

— W tobie jakoś też je zobaczyłam i z tego powodu nie wyłam.

— Jeszcze — mamrocze pod nosem.

Oddycham ciężko.

— Możesz mi wyjaśnić, co cię ugryzło? — Obracam się, by lepiej go widzieć.

— Nic. Powiedziałem już wszystko, co chciałem. Nie wiesz nic o życiu i myślisz, że każdy jest dobry. Cóż, prawda jest taka, że nie. Niespodzianka!

— Ja nie wiem nic o życiu? Uważasz, że nie zdaję sobie sprawy, jak wiele zła czyha na tym świecie? To nie twoje nagie zdjęcia zobaczyły tysiące osób. To nie ty musiałaś znosić niechciany dotyk i pocałunki. Nie masz jebanego pojęcia, przez jakie gówno przeszłam, więc nie waż się mnie oceniać, Shaw — cedzę przez zęby. — To, że wierzę w dobro, nie jest naiwnością, ale odwagą, której ty nie masz. Zraniono cię tak wiele razy, że każdego uważasz za zagrożenie. Z góry zakładasz, że i tak zostaniesz sam.

— Bo prawda jest taka, że prędzej czy później, mimo zapewnień, zostaję sam. Nie ma co się przyzwyczajać.

Gula w moim gardle narasta. Nie mówię nic więcej. Nie jestem w stanie. Chase powiedział już wszystko. Przynajmniej teraz wiem, na czym stoję.

Czuję, jak mój telefon wibruje, dlatego wyjmuję go z torebki.

Od: O

Spotkajmy się za godzinę w parku.

Odchylam głowę i blokuję ekran.

— Gdy wrócimy do Crosby, wysadź mnie pod domem.

— Co? Przecież mieliśmy się spotkać z Loganem i resztą. Już powiedziałem, że będziemy. — W jego głosie słyszę zaskoczenie.

— Nie mam ochoty. Jedź sam.

Między nami nastaje chwila ciszy.

— Jak chcesz — rzuca obojętnie.

Gaszę butem niedopałek trzeciego papierosa i wzdycham ciężko. Omiatam wzrokiem park, w którym dzieci bawią się w piaskownicy, rodzice rozmawiają na ławkach, spacerowicze przechadzają się z pieskami, a ci bardziej aktywni — biegają. Gdzieś w tym wszystkim jestem też ja. Zła i smutna. Emocje po wymianie zdań z Chase'em nadal nie zmalowały. Cieszę się, że nie naciskał na to, abym jechała z nim do Logana. Myślę, że oboje musimy ochłonąć. Poza tym i tak bym nie mogła się tam pojawić z prostego powodu...

— Bez kochasia?

Unoszę wzrok znad palców, którymi bawiłam się dłuższą chwilę.

Stojący przede mną mężczyzna uśmiecha się głupkowato. Ma na sobie marynarkę i białą koszulę, ręce wciska w kieszenie garniturowych spodni. Wygląda bardzo elegancko, ale to bez znaczenia, bo pod tym wszystkim kryje się potwór. Powód moich łez i strachu.

— Czego chcesz? — pytam wprost.

— Rozmowy.

— No to mów. — Przewracam oczami.

Omar wyjmuje z kieszeni paczkę papierosów i siada na ławce obok mnie. Jest wyraźnie zadowolony z siebie, a ja nie wiem dlaczego. Po naszej rozmowie nad morzem myślałam, że wyjedzie i to wszystko się skończy, ale jak się okazuje — cały czas robi jakieś gówna za moimi plecami. Nie potwierdził jeszcze tego, jednak wiem, że maczał palce we wczorajszej walce.

— Warren nieźle wczoraj oberwał — mamrocze z fajką między ustami.

Obserwuję, jak ją zapala.

— Oberwał, bo został do tego zmuszony — cedzę przez zęby. — I nazywa się Shaw, a nie Warren.

Nie do końca wiem, czy jestem zła, czy smutna. Niemniej zabrzmiało ostro, i w sumie dobrze. Niech wie, że nie toleruję jego zachowań.

— Nonsens — prycha pod nosem, zaciągając się. — To była jego dobrowolna decyzja. Miał wybór. Wybrał ciebie. — Kładzie rękę na oparciu, za moimi plecami, i zakłada nogę na nogę.

— Co to znaczy: wybrał mnie? — pytam, nie kryjąc konsternacji.

Zapada chwila ciszy. Omar patrzy na mnie, wyraźnie się nad czymś zastanawiając. W pewnym momencie jego brwi unoszą się, jakby właśnie coś sobie uświadomił.

— Nie powiedział ci. — Kiwa głową.

— Nie powiedział mi czego? Co ja mam z tym wspólnego?

Omar wierci się na ławce. Teraz jego nogi ułożone są w rozkroku. Garbi się, łokcie opierając na kolanach. Nie zerka na mnie. Skupia się na czymś, czego jeszcze nie potrafię zidentyfikować. Wygląda na wyciszonego, jakby wpadł w jakiś melancholijny nastrój. Nie wiem dokładnie, jak to określić, bo pierwszy raz widzę tego człowieka w takim stanie.

— Zabrał mi wszystko, więc dlaczego miałbym nie zrobić mu tego samego? — pyta cicho, zupełnie szokując mnie tym wyznaniem.

— Nie rozumiem.

Rumeli zaciąga się znów papierosem. Unosi kąciki, gdy nasze spojrzenia się spotykają. Próbuje wyczytać cokolwiek z jego oczu, ale jak zwykle nie potrafię. Ten człowiek jest dla mnie chodzącą zagadką. Wiem, że ma w sobie jakieś pokłady dobra, jednak mimo wszystko to zło ma nad nim kontrolę. Ono dominuje i sędzę, że mężczyzna akceptuje ten stan rzeczy.

— Myślę, że po części znasz odpowiedź. — Śmieje się bez humoru, prostuje i znów opada plecami na ławkę. — Zabrał mi ciebie. Sądziłem, że może jakimś cudem uda mi się rozbudzić w tobie chociaż namiastkę tego, co do ciebie czuję, ale teraz wiem, że nie mam szans. Poza tym mam jeszcze milion innych powodów, żeby go nienawidzić. Jednym z nich jest na przykład mój ojciec.

To dla mnie za wiele na dziś. Mój mózg już nie wyrabia.

— A co on ma z tym wspólnego? — dopytuję.

Omar nigdy wcześniej nie wspominał o swoim ojcu, więc nie bardzo rozumiem, co to ma do rzeczy. Z tego co wiem, nie ży... On nie żyje.

— Zamordował go Dominic Warren — mówi na głos to, czego się obawiałam. — Zabił go, bo nie chciał wpaść. Był sukinsynem, złodziejem i krętaczem. Musiał za to zapłacić.

Czuję, jak moje serce zaczyna bić mocniej niż dotychczas.

— No właśnie! To jego ojciec zawinił, a nie on! Dlaczego więc ma płacić za coś, z czym nie ma nic wspólnego?

— A czy gdyby chodziło o Terrence'a, nie chciałabyś się zemścić? — Odbija piłeczkę.

— Oczywiście, że tak, ale tylko na mordercy, a nie niewinnych ludziach! — mówię zdecydowanie zbyt głośno, jednak nie potrafię nad tym zapanować. To popieprzone, w jaki sposób myśli Omar. Chase, Aiden czy Lorraine nigdy nie byli zamieszani w sprawy Dominica Warrena, a to oni ucierpieli najbardziej. Dominic wybrał drogę tchórzostwa. Porzucił swoją rodzinę, popełniając samobójstwo. Pozostawił ich samych.

— Nie zrozumiesz. — Omar kręci zrezygnowany głową i znów zaciąga się papierosem.

Niech już idzie na tę operację, bo zupełnie siadło mu na łeb.

— Ale czego tu nie rozumieć? Chase jest niewinny. Dokładnie tak jak reszta. To tak, jakby ktoś mścił się na tobie za grzechy Franka — wyjaśniam, bo to tak bardzo logiczne, ale on nie zdaje sobie z tego sprawy.

Mężczyzna rzuca niedopałek na drózkę, przy której siedzimy, i przydeptuje go butem. Teraz jego brwi są ściągnięte, a twarz wykrzywiona w zniechęconym przeze mnie uśmiechu.

— W moim świecie właśnie tak to działa.

Nachyla się w moją stronę. Nasze twarze dzielą centymetry. Dostrzegam, że jego oczy lądują na moich wargach. Czuję, jak robi mi się goręcej, bo boję się, że myśli o pocałowaniu mnie. Nie chcę tego.

— Thomas Hardy — szepcze prosto w moje usta.

— C-co? — Marszczę brwi, bo nie przypominam sobie nikogo o takim imieniu i nazwisku.

Omar poprawia się na swoim miejscu, a jego ręka znów ląduje na oparciu ławki. Szczyrzy się do mnie głupio. Jest zadowolony z siebie. Chcę wiedzieć dlaczego.

— Rok bodajże... dwa tysiące drugi? Teraz nie jestem pewien. — Kręci głową, jakby miał zamiar opowiedzieć niezły dowcip. — Dwudziestojednoletnia Josephine Clarke poznała faceta. Całkiem przyzwoitego, na pierwszy rzut oka. Szkoda tylko, że w rzeczywistości był ćpunem i nie lubił dzieci. O, tak. On zdecydowanie ich nie znosił — mówi od niechcenia. — Frank kiedyś mi opowiadał, że Tom przykuł młodego łańcuchem do kaloryfera, bo zaczął się stawiać. Gdybyś tylko widziała ten żaloszny obrazek... — śmieje się pod nosem.

Mam wrażenie, jakby ktoś właśnie odciął mnie od rzeczywistości. Patrzę tępo na mężczyznę.

On mówi o Josephine i Chasie. Rumeli nasłał człowieka, o którym mówił mi Shaw. Tego, który go bił. Pamiętam dokładnie, jak siedzieliśmy w samochodzie i rozmawialiśmy na ten temat. Wyznał mi wtedy coś, o czym już dawno wiedziałam. Otworzył się przede mną, choć Josephine powiedziała, że Chase twierdzi, iż tego nie pamięta. Oczywiście, że pamiętał. Pamięta cały czas. Ale nigdy nie wspominał o żadnych łańcuchach...

— Dlaczego...

— Franklin Woods. — Z jego ust pada kolejne nazwisko. — Sprawnie zajechał drogę, ale niestety młody Warren i ten cały Jon wyszli z tego w jednym kawałku. Głupi ma zawsze szczęście... Szkoda w tym wszystkim Franklina. Przy drugiej próbie był tak naćpany, że skończył na wózku — mówi bez większego przejęcia.

O mój Boże.

— K-kiedy to było?

— Stosunkowo niedawno. Zanim pojawiłaś się w Crosby — rzuca zamyślony.

W mojej głowie pojawia się wspomnienie drugiego dnia w Crosby. Pojechałam wtedy z Caroline i Chase'em do mechanika po jego samochód. Jonathan dał mu duży plik banknotów, zanim wyszliśmy, i powiedział coś w stylu, że to było z jego winy, więc ma je zabrać. Jakiś czas później Jon czytał artykuł o chłopaku, którego wypadek przypominał ten wspomniany. Czy to wszystko jest ze sobą powiązane? Czy to dlatego Chase ma bzika na punkcie zapinania pasów? Przecież wczoraj nawet nakrzyczał na mnie i zrobił gadkę o bezpieczeństwie...

— Allison. Słodka, niewinna Allison Griffin.

„To ta dziewczyna, która była w domu Shawów przede mną” — przypominam sobie.

— Ona była dobra. O tak, zdecydowanie. Nieźle namieszała w życiu Chase'a, prawda? Nie wiem, czy znasz tę część życia swojego chłoptasia, ale to też ciekawy epizod. Szkoda tylko, że nie zakończyło się tak, jak chcieliśmy, a plan był naprawdę przemyślany. Twój ojciec zawsze musi dorzucić swoje pięć groszy. Zawsze musi wszystkich ratować. Pieprzony bohater — śmieje się.

Zamieram. To Rumeli stoją za pojawieniem się Allison w Crosby — nie Matt. Omar i Frank. Ale przecież O'Kelly mówił, że... Kurwa, o co w tym wszystkim chodzi?

— Dlaczego tak bardzo go krzywdzicie? — pytam, nie potrafiąc zapanować nad drżeniem ciała.

— Już ci mówiłem.

Nie daję za wygraną.

— To bez sensu. Mścicie się tylko na nim, a przecież jest jeszcze Aiden, prawda? Dlaczego jego nie spotkała żadna kara?

Wiem, że to głupie, że tak mówię, bo nie powinnam życzyć Aidenowi źle, ale chcę pokazać Omarowi, że mu nie wierzę. Moim zdaniem mija się z prawdą. Po prostu to czuję.

Mężczyzna patrzy na mnie i uśmiecha się nieznacznie na te słowa.

— Porozmawiajmy o celu naszego spotkania — wypala nagle.

— A to nie był cel?

— Nie. — Jego otwarte dłonie lądują na udach, gdy wstaje. — Chciałem się pożegnać — mówi, wysuwając w moją stronę rękę, której nie przyjmuję.

Podnoszę się o własnych siłach.

— Wracasz? Kiedy? — pytam, rozglądając się dookoła.

Nie potrafię na niego patrzeć. Brzydę się nim.

— Jutro mam lot do Nowego Jorku. Niedługo zaczynamy przygotowania do operacji. Kto wie... może niebawem zostaniesz wdową — żartuje sobie.

Wiem, że to okropne, ale po wszystkim, czego dziś się dowiedziałam, nie byłoby mi nawet przykro.

— Zabawne — rzucam bez humoru. — A co z „The Chain”?

— Mam tu swoich ludzi.

Spuszczam wzrok na swoje buty i zaplatam ręce pod piersiami. Mam szansę zapytać go jeszcze o kilka rzeczy, dlatego muszę szybko przekalkulować to, co mi powiedział. Wiem, że to okrutne z mojej strony, bo jest ciężko chory i w ogóle, ale w tym momencie to ostatnia rzecz, o jakiej myślę.

— Miałaś coś wspólnego z tym, co przydarzyło się Caroline Shaw? — pytam po chwili zastanowienia.

Omar wciska dłonie w kieszenie garniturowych spodni i formuje usta w delikatnym uśmiechu.

— Nie wierzę... D-dlaczego? Przecież ona nawet nie jest powiązana z Warrenami.

To wszystko nie ma dla mnie sensu, naprawdę nic z tego nie rozumiem. Po co Omar miałby mścić się na Caroline? A co ważniejsze — dlaczego Blaze na to przystał? Skrzywdził ją. Sprawił, że zamknęła się w sobie, zaczęła pić i się pogubiła.

Omar daje krok i nachyla się w moją stronę. Teraz nasze twarze znów dzielą centymetry, gdy patrzy prosto w moje oczy. Czuję złość i żal. Mam ochotę go uderzyć, ale jednocześnie nie potrafię się poruszyć. Jestem jak zamrożona. Jak zwykle w jego obecności. Nienawidzę tego, bo wiem, że w tym momencie bywam najsłabsza, a on doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Jest świadom tego, jak bardzo

mnie przeraża, gdy jest zbyt blisko.

— Do widzenia, Claire — mówi cicho, po czym delikatnie, niemal niewyczuwalnie muska moje usta. — To na wypadek, gdybym już cię nie zobaczył. — Odwraca się na pięcie i odchodzi, podczas gdy ja stoję niczym wmurowana.

Po prostu dałam mu odejść — z cichą nadzieją, że już nigdy nie będę musiała patrzeć na jego twarz.

Nie jestem w stanie dokładnie powiedzieć, ile czasu mija do chwili, gdy w końcu dochodzę do siebie. Mam wrażenie, jakby był to zaledwie moment, ale gdy znów rozglądam się po parku, Omara już nie ma, podobnie jak dzieci bawiących się nieopodal. Tak jakby czas w mojej głowie się zatrzymał, kiedy życie wokół toczyło się dalej. Postanawiam wrócić do domu.

Zatrzymuję się przy przejściu dla pieszych, cierpliwie czekam na zielone światło. Mój wzrok lustruje okolicę, którą już kojarzę, i zatrzymuje się w jednym, konkretnym punkcie. Czuję, jak moja ręka zaczyna drżeć, a w ustach robi się sucho. Cholera.

Gdy samochody zatrzymują się, odrywam wzrok od budynku i pospiesznie przechodzę przez jezdnię.

Nawet nie wiem, w którym momencie nad moją głową znalazł się szyld z nazwą tego pieprzonego sklepu monopolowego.

— Dzień dobry — mówię, gdy w pomieszczeniu rozbrzmiewa dźwięk informujący o tym, że ktoś wszedł do środka.

Rozglądam się po niewielkiej, słabo oświetlonej przestrzeni. Patrzę na stojącego za ladą starszego mężczyznę. Uśmiecha się do mnie lekko.

— Dzień dobry, w czym mogę pomóc? — odpowiada uprzejmie, poprawiając okulary na nosie.

Bicie mojego serca przyspiesza. „Jestem z ciebie dumny” — słowa Chase’a odbijają się w mojej głowie niczym echo. Nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny, a już łamię obietnicę. Już nie mogę wytrzymać. Może powinnam...

— Poproszę whisky, najlepiej tamtą. — Wskazuję palcem na najmniejszą butelkę, z najniższą ceną.

Nie chcę przesadzać. To tylko jeden raz. Wypiję odrobinę i będzie w porządku. Jestem zestresowana, dlatego muszę po prostu sobie pomóc. Nic mi nie będzie.

— Mogę prosić dowód tożsamości? — Mężczyzna z całych sił stara się utrzymać przyjazny wyraz twarzy.

— Oczywiście. — Wyjmuję zza obudowy telefonu dokument potwierdzający wiek oraz kartę, którą zapłacę rachunek. Facet przygląda się chwilę plastikowi, po czym oddaje go i odwraca się w stronę półki, aby podać produkt.

Wychodzę z monopolowego, w rękę trzymając butelkę najtańszej whisky. Wciskam szkło do głębokiej kieszeni, jednak wystaje. Do domu mam jakieś pięć minut drogi. Mam nadzieję, że uda mi się przemyścić alkohol do pokoju, zanim ktokolwiek zauważy. Wypiłabym gdzieś tutaj, ale boję się spotkać kogoś znajomego. To byłoby niezręczne.

Ku mojej uldze droga na Channel Road mija bardzo szybko. Na podjeździe nie dostrzegam samochodu Jonathana, Caroline ani Chase’a, co bardzo mnie cieszy.

Pospiesznie, ale nadal najciszej, jak tylko potrafię, wchodzę do domu. Sprawnie pozbywam się butów i na palcach ruszam w stronę schodów, upewniwszy się, że w kuchni nikogo nie ma. Mijając co drugi stopień, wspinam się na piętro, coraz mocniej ściskam szyjkę butelki. Po raz ostatni rozglądam się po korytarzu, a gdy widzę, że jest pusto, oddycham z ulgą i zamykam się w swoim pokoju.

Siadam na dywanie tak, aby być plecami do drzwi. Muszę odetchnąć i przetrwać to, co dziś usłyszałam, bo chyba nie wszystko do końca rozumiem, a whisky zdecydowanie mi w tym pomoże. Zawsze pomaga. Dzięki niej nie czuję się tak bardzo beznadziejnie. Później pomyślę, jak wytłumaczę się z tego Chase’owi. Wiem, że zauważy, ale nie mogę się powstrzymać, bo moje gardło i język wręcz parzą. Muszę się napić, aby nie zwariować.

Drżącymi dłońmi odkręcam butelkę. Przymykam powieki, kiedy zapach alkoholu dociera do moich nozdrzy. Nie jest powalający, ale myślę, że mimo wszystko będzie w porządku. Piłam już większe

gówna. Tego jestem pewna.

„Zawiedzie się na tobie” — krzyczą głosy w mojej głowie, kiedy tak patrzę na rudawą ciecz w moich dłoniach. „Znienawidzi cię. Wypij. Będzie się tobą brzydził. Poczujesz się lepiej, przecież wiesz” — słyszę na zmianę. Moja wewnętrzna walka trwa, ale mózg już coś sobie zakodował.

Przegrałam.

Przykładam butelkę do ust, przechylając ją. Czuję jak trunek drażni moje gardło, gdy przełykam. Cudownie...

Wraz z pierwszymi łykami przyjemne ciepło rozlewa się po całym ciele. Odchylam głowę, aby oprzeć ją o materac. Od razu lepiej. W moim sercu i umyśle powoli zapanowuje spokój, którego potrzebowałam. Tak jest zawsze. Właśnie dlatego kocham alkohol. Nic poza nim i Chase'em nie daje mi tego, czego łaknę — wyciszenia i poczucia, że wszystko będzie w porządku.

W mojej głowie pojawiają się pierwsze wspomnienia dzisiejszego dnia. Teraz mogę na spokojnie przemyśleć wszystko, co się wydarzyło, bo głowa już tak bardzo nie paruje, dłonie mniej się trzęsą, a gardło przestało palić...

Dominic Warren zamordował ojca Omara. To ojciec Omara chciał go wydać, gdy nakrył męczycznę. Omar i Frank w odwecie mszczą się na wszystkich osobach związanych z Dominikiem. Zniszczyli doszczętnie Lorraine Warren, matkę Chase'a. Przez nich kobieta wylądowała w szpitalu psychiatrycznym, bo niesłusznie została oskarżona o morderstwo mojej matki.

Biorę trzy duże łyki.

Frank Rumeli zażądał od mojego ojca spłaty długów Dominica Warrena, a on się na to zgodził. Frank niszczył życie Josephine, podstawiając jej Thomasa, który znęcał się nad małych Chase'em. Zmanipulował Blaze'a, aby ten zgwałcił Caroline, pozostawiając po sobie coś więcej niż tylko rozstrojoną psychikę. W życiu Shawów pojawiła się też Allison, która uwodziła Chase'a, aby następnie oskarżyć go o molestowanie. Ale przecież Matt powiedział, że to on zmanipulował tę dziewczynę...

Pięć kolejnych łyków.

Franklin Woods spowodował wypadek, w którym Jonathan i Chase mieli zginąć. Omar zjawił się w tym domu i wyjawiał prawdę o Claire i o tym, że jest moim mężem. Za wszelką cenę chciał zniszczyć Shawa, ale nie udało mu się. Postanowił więc uderzyć mocniej. Nakazał Blaze'owi, aby zmusił Chase'a do przegranej. Nadal nie wiem, jakie słowa zostały wtedy powiedziane, ale w tym momencie nie jest to tak ważne.

Cztery łyki.

Omar i Frank rozpieprzają życie Chase'a. Nie rozumiem dlaczego. Z jakiegoś powodu chcą go dobić. Dla zabawy? Dlaczego nie robią tego samego z Aidenem? Dlaczego Warren przez cały ten czas miał spokój? Współpracuje z nimi? Robi coś dla nich?

Nagle drzwi prowadzące na korytarz otwierają się. Spinam się, mocniej zaciskając szyjkę butelki. Nie mówię słowa. Po prostu siedzę, wgapiając się w ścianę przede mną. Nie potrafię logicznie tego wyjaśnić, ale jakimś cudem wiem, kto znajduje się za moimi plecami. Przymykam powieki, bicie mojego serca znów przyspiesza. Przełykam ślinę. Cisza dudni mi w uszach, a w głowie szumi od wypitego alkoholu.

— Przepraszam — szepczę, nie chcąc otwierać oczu.

Jestem popieprzona, bo doskonale wiedziałam, że zawiodę Chase'a swoim zachowaniem i będę czuła się z tym źle. Ale byłam jak w transie, idąc po ten alkohol i wracając do domu. Musiałam się napić. Potrzebowałam tego. Musiałam sobie ulżyć, bo jest mi tak bardzo przykro.

— Dlaczego to zrobiłaś? — pyta jeszcze ciszej niż ja. Jego głos łamie się na końcu.

Nie chcę, aby był smutny. Doznał w życiu zbyt wielu krzywd.

Mam wrażenie, jakby ktoś właśnie zacisnął dłonie na moim gardle, utrudniając mowę.

Nie odpowiadam. Między nami zapada cisza. Głucha i męcząca. Otwieram powieki, a pierwsze, co widzę, to ściana. Jest ciemno, więc wszystko wokół przybiera barwy szarości. Mam nadzieję, że nie widzi, jak bardzo chce mi się płakać. Był ze mnie tak dumny, a ja tak bardzo to spieprzyłam.

Słyszę westchnienie, a chwilę później dostrzegam klatkę piersiową chłopaka. Nagle chwytą mój podbródek i unosi go lekko, dlatego po raz kolejny zamykam oczy, ale teraz po moim policzku zaczynają

już spływać łzy. Nie potrafię tego powstrzymać. Nie potrafię przestać. Chcę przestać. Nie chcę na niego patrzeć. Tak bardzo mi źle.

— Hej — mówi miękko.

Ma taki piękny głos...

Shaw otwiera dłoń, a chwilę później dodaje następną, zamykając moją twarz w objęciu. Czuję, jak chwyta kciukami każdą kropelkę. Moje ciało zaczyna się trząść, a usta opuszcza szloch. Nie wiem, jak to zagłuszyć. Nie umiem tego zatrzymać. Ten człowiek jest tak dobry. Tak bardzo zniszczony, ale nadal tak dobry dla świata.

— Hej — powtarza. Klęka przede mną, rozwiera nogi i mocno mnie do siebie przytula.

To koniec. Wybucham płaczem. Wyję wręcz, czując ból w klatce. Ból o wiele gorszy od fizycznego. Moje serce pęka na miliony małych kawałeczków. Wbijam paznokcie w plecy chłopaka. Gdy wciskam twarz w zagłębienie jego szyi, wszelkie hamulce emocjonalne puszczają.

Wtedy oczami wyobraźni zobaczyłam małego chłopca o pięknych zielonych oczach. Siedział przerażony na brudnej podłodze, przywiązany łańcuchem do kaloryfera. Płakał. Tak bardzo się bał...

— Przez jakie piekło musiałeś przejść... Dlaczego oni ci to zrobili... Dlaczego oni ci to zrobili... — mówię to jedno zdanie niczym mantrę.

— Lizzy... Lizzy, co się dzieje?

Uścisk wokół mojego ciała zacieśnia się bardziej. Płaczę mocniej, szlocham głośniejsze, czuję intensywniej.

— Tak bardzo cię przepraszam... Dlaczego oni ci to zrobili... — płaczę się we własnych myślach i słowach.

Zniszczyli go. Zniszczyli małego, niewinnego chłopca...

— Nic mi nie jest. Wszystko w porządku. Jestem tutaj, słyszysz?

Jest tutaj. Jest bezpieczny. Nikt go nie krzywdzi. Jest tu ze mną.

Dusząc się łzami, chwytam go za ramiona i delikatnie od siebie odsuwam. Pozwala na to bez większego oporu. Górą nade mną, dlatego muszę zadrzeć głowę, aby na niego spojrzeć. Jego brwi są zmarszczone i tak naprawdę tylko tyle udaje mi się dostrzec przez panujące wokół ciemności. Mimo to przykładam dłoń do jego twarzy. Pociągając nosem, badam fakturę skóry. Nie wiem, dlaczego to robię. Może chcę się upewnić, że mówi prawdę? Nie mam pojęcia.

— D-dlaczego oni ci to zrobili... — Znów mówię na głos te pięć słów, które chciałabym zrozumieć. — Dlaczego tak bardzo cię skrzywdzili? D-dlaczego?

— Ale kto, Lizzy? — pyta miękko.

Dość pokracznie wyswobadzam się spomiędzy jego nóg. Shaw cofa się na kolanach, uważnie obserwując każdy mój ruch. Wszystko wokół wiruje, ale staram się to zignorować. Wspinam się na uda bruneta. Oplatam rękami jego szyję. Chcę mieć go jak najbliżej. Chcę być pewna, że nigdzie nie pójdzie i po prostu będzie. Chcę wiedzieć, że jest bezpieczny.

Chase od razu reaguje na moje ruchy. Dłonie chłopaka lądują na moich plecach. Czuję jego gorący oddech na swojej szyi. Trwamy przez chwilę w milczeniu, gdy staram się uspokoić oddech. Patrzę tępo w ciemną ścianę przede mną.

I wtedy to się dzieje.

Jak za pstryknięciem palcami — ogarnęła mnie pustka.

— Widziałam się z Omarem.

Cisza. Głucha i ciężka, nie pierwsza dzisiejszego wieczoru. Przemykam oczy. Muszę się ogarnąć, chociaż nie wiem, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie, skoro i tak już zawiodłam Chase'a.

— Po co? — Niezmiennie gładzi moje plecy. Jest delikatny i subtelny. On zawsze wie, co zrobić i jak się zachować. Jest dla mnie zbyt dobry. Chase Shaw jest zbyt dobry dla tego świata.

— Chciał się pożegnać. Wraca do Stanów. Czeką go operacja. Nie wiadomo, czy przeżyje.

— I dlatego płaczesz?

Cisza po raz kolejny atakuje pomieszczenie. Zaciskam powieki, starając się zebrać w całość myśli. Powiem mu. Oczywiście, że to zrobię, ale nie wiem jak. Nie wiem, czy powinnam przypominać mu rzeczy, o których najprawdopodobniej wolałyby zapomnieć. Ale on chce wiedzieć. Co innego mogę

zrobić, aby zadośćuczynić za swoje zachowanie? Wiem, że Chase nie patrzy na to w ten sposób, i wiem, że mój punkt widzenia nie jest dobry, że jest wręcz okrutny. Jednak staram się chyba poczuć lepiej po tym, jak znów wypięłam. Nie chciałam. Naprawdę nie miałam tego w planach. Jestem żałosna i...

— Dominic Warren zamordował ojca Omara — wyznaję z trudem.

Mam wrażenie, jakby ktoś właśnie podpalił moje wnętrze. Shaw milczy.

— To Frank i Omar są odpowiedzialni za pojawienie się w życiu twoim i Josephine Thomasa. To oni stoją za gwałtem Caroline. Wypadek twój i Jonathana też był ich sprawką. To oni sprowadzili tu Allison, nie Matt... Wiem też o łańcuchach — szepczę i dopiero na to ostatnie zdanie otrzymuję reakcję.

Chase wciska palce w moją skórę.

Moje słowa pozostały bez odpowiedzi. Tamtego dnia po raz pierwszy zasnęliśmy w milczeniu. Czulałam dotyk Twoich dłoni, gdy dociskałeś mnie mocniej do siebie. Myślałeś, że już śpię, ale ja czuwałam całą noc. Chciałam się odwrócić, powiedzieć, że jestem, ale nie potrafiłam. Było mi źle. Tak bardzo źle na myśl o małym, zapłakanym chłopcu. Nie zasłużył na całe zło, które go spotkało, dlatego dobrze zrobił, myśląc w końcu o sobie. Jestem z Niego... z Ciebie dumna, Chase. Jest mi źle. Tak bardzo źle, ale to nieważne...

Rozdział 8

ELIZABETH

Unoszę wzrok znad książki, całą uwagę skupiając na nauczycielu. Czuję się fatalnie, bo kompletnie nie potrafię się tu odnaleźć. Mam wrażenie, jakby nie było to już miejsce dla mnie. Jakby ktoś posadził mnie tu za karę. Przez te kilka dni moje życie odwróciło się do góry nogami. Teraz nic nie jest takie samo. Chciałabym zniknąć i się rozpuścić. Nie myśleć albo zapomnieć. Cokolwiek, byleby było mi lepiej.

— W takim razie do zobaczenia na następnych zajęciach — mówi profesor Edan, gdy w sali rozbrzmiewa dzwonek na przerwę.

Wszyscy uczniowie wstają ze swoich miejsc i zbierają rzeczy, aby jak najprędzej wyjść z sali.

— Elizabeth, czy mógłbym prosić cię na moment?

Ze zmarszczonymi brwiami patrzę w kierunku matematyka, a później mierzę się spojrzeniami ze stojącym obok Jakiem. Odpowiadam jedynie kiwnięciem i wciskam do torby książkę oraz długopis.

Fletcher wychodzi z sali, puściwszy do mnie oko, a gdy pomieszczenie pustoszeje zupełnie, podchodzę do nauczyciela. Czuję się dość dziwnie, bo akurat ten profesor przeraża mnie najbardziej. Z tego, co wiem, moja nieobecność w szkole została usprawiedliwiona, ale może mimo wszystko przyczepi się o to? W końcu opuściłam trochę jego zajęć, no i z jakiegoś powodu mnie nie lubi.

Zatrzymuję się w odległości jakichś dwóch metrów od biurka, przy którym siedzi.

— Dopiero co do nas dołączyłaś, a już opuściłaś sporo zajęć — mamrocze pod nosem, notując coś w swoim zeszycie. Zawsze nosi go ze sobą, ale nikt nie wie, co tam zapisuje. — Nadrobiłaś wszystko? — pyta, nagle unosząc wzrok znad papieru. Jego oczy odnajdują moje, cierpliwie i ze stoickim spokojem czeka na odpowiedź.

Cholera.

— Jeszcze nie — mówię zgodnie z prawdą. Wolę nie kłamać, bo jeszcze mnie na tym złapie i narobię sobie biedy.

— W porządku. W takim razie poproś któregoś z kolegów o materiały, a ja zweryfikuję to w przyszłym tygodniu, żebyś miała trochę czasu na ich przyswojenie — wyjaśnia, wracając spojrzeniem na notes. — To wszystko, możesz już iść.

Patrzę na niego jeszcze chwilę, po czym odwracam się na pięcie i ruszam w kierunku otwartych na oścież drzwi.

Całe szczęście, że o nic nie dopytywał. Bałam się tego, choć nie jakoś bardzo, bo mimo wszystko mam większe problemy na głowie niż głupia algebra.

Wychodzę na korytarz i od razu wpadam na Jake'a.

— O, żyjesz! — rzuca rozbawiony.

Przewracam oczami.

— Dzisiaj na lunch będzie coś chujowego, jestem pewien — marudzi, gdy ruszamy w głąb korytarza.

Nie odpowiadam.

Rozglądam się dookoła, czując się dziwnie obco. Uczniowie żyją swoim życiem, śmieją się w grupach, zerkają na mnie, uśmiechają się, mierzą od góry do dołu, ignorują, po prostu są. Ja za to mam wrażenie, jakby mnie tu nie było. Nie wiem, jak to opisać, ale jest to zdecydowanie coś, czego wcześniej nie doznałam.

Gdy docieramy do stołówki, idę za Fletcherem w stronę miejsca, w którym wydawane są posiłki. Dziś nie mam ochoty na jakiegokolwiek jedzenie, jednak postanawiam mu potowarzyszyć. Mam wrażenie, że jeśli zjem cokolwiek, od razu to zwrócę.

Powodem jest stres związany z wczorajszym dniem. Zbyt wiele się wydarzyło, a i dzisiaj

spokojnie nie było, choć wokół panowała cisza. Rzecz w tym, że mój umysł i serce szalały — cholera, nadal szaleją i nie wiem, co z tym zrobić. Chase milczy. Nie powiedział do mnie nic, odkąd otworzył oczy, i nie mam pojęcia, co powinnam myśleć czy czuć.

Jake bierze porcję jogurtu i sałatki. Wyjaśniam mu, że nie jestem głodna, czego na szczęście nie komentuje. Ruszamy w kierunku stolika zajmowanego przez grupę naszych znajomych. W pierwszej kolejności wyłapuję twarze Zoe, Minnie, Logana, i Chase'a, a dopiero później po włosach rozpoznaję Charlotte i Aarona, bo siedzą do nas tyłem. Zajmuję miejsce obok tego ostatniego, naprzeciwko Shawa, który stuka coś w swoim telefonie. Chłopak unosi na mnie wzrok, po czym znów skupia uwagę na ekranie.

Zastanawiam się, gdzie jest Matt...

— Cześć, Lizzy.

Patrzę na Logana, który uśmiecha się do mnie lekko.

— Cześć — odpowiadam uprzejmie, z całych sił starając się zignorować nieprzyjemny ścisk w dole brzucha na myśl o Shawie.

— Jak się czujesz? Nie wyglądasz najlepiej.

Łapię wzrok Jackson. Dziewczyna wygląda na równie zaniepokojoną co Turner.

— W porządku. Jest okej. — Wymuszam uśmiech.

Po raz kolejny zerkam na Chase'a.

Jego palce sprawnie poruszają się po ekranie. Brwi ma zmarszczone, a usta zaciśnięte. Zastanawiam się, o czym myśli. Jestem pewna, że zraniłam go wczoraj, przypominając to wszystko i upijając się. Zawiodłam go. Tak bardzo go zawiodłam...

— Na samą myśl o egzaminach chce mi się płakać. Czuję się kompletnie niegotowa — jęczy Monica.

— Jeszcze dwa miesiące. Przestań psuć atmosferę — mówi Aaron i wciska do ust kolejną porcję jogurtu.

— Ogólnie wydaje mi się, że powinniśmy wyrwać się gdzieś w ten weekend. — Do rozmowy wtrąca się Zoe, zupełnie ignorując narzekania znajomych. — Wiecie, odsapnąć. Myślę, że warto naładować baterie. Co nie, Ameryka? — Uśmiecha się do mnie lekko.

Zoe jest zdecydowanie jedną z najukochańszych osób, jakie znam. Nie naciska, nie dopytuje, tylko po prostu jest. Wiem, że przyjdzie taki moment, w którym będę musiała z nimi porozmawiać. Nie wiem jeszcze, jak wiele im powiem, ale naprawdę nie chciałabym, aby ktoś mnie uprzedził. Jeśli to się stanie — stracę ich zaufanie, a tego nie chcę.

— Tak, myślę, że to dobry pomysł. — Kiwam głową, co jakiś czas zerkając na Chase'a.

Chłopak cały czas mnie ignoruje i stuka coś w komórce.

— W takim razie można zacząć już o czymś myśleć, żeby dobrze to zorganizować — stwierdza Minnie.

Resztę przerwy na lunch spędzamy na rozmowie o wyjeździe. Padają najróżniejsze propozycje, jednak nie decydujemy się na nic konkretnego. Chase niezmiennie siedzi z nosem w telefonie i nie zwraca uwagi na to, co mówimy. Trochę mnie to boli, ale nie zamierzam nic z tym robić. Nawet nie wiem, co miałabym mu powiedzieć.

Zajęcia mijają dość szybko. Nie spotykam już znajomych, co mnie cieszy, bo nie mam dziś ochoty na śmiechy ani żarty. Wiem, że ostatnio nasz kontakt się rozluźnił, ale im dłużej przebywam wśród ludzi, tym gorzej się czuję. Z całych sił staram się skupić na słowach nauczycieli, robić notatki, jednak to i tak nie wychodzi. Moje myśli są z małym Chase'em, ojcem, Aidenem, Margaret... Im dłużej siedzę we własnej głowie, tym więcej wspomnień się pojawia.

Chciałabym cofnąć się w czasie. Chciałabym, aby było jak kiedyś.

Wychodząc z sali po lekcji biznesu, poprawiam torbę na ramieniu. Idę przez korytarz. Większość uczniów kończy już zajęcia, dlatego przed drzwiami zebrał się spory tłum. Nigdy nie zrozumieć, dlaczego wszyscy tak się pchają. Nie lepiej chwilę zaczekać?

Gdy w końcu udaje mi się wydostać na zewnątrz, wygrzebuje z torby paczkę papierosów. Błądzą wzrokiem po dziedzińcu. Widzę kilka znajomych z zajęć twarzy. Każdy śmieje się albo o czymś

rozmawia. Ja natomiast odpalam fajkę i w ciszy ruszam w stronę parkingu. Dostrzegam stojącego przy samochodzie Chase'a, Logana i Aarona, jednak postanawiam ich zignorować.

Na stołówce słyszałam, że chłopcy mają dziś trening. Shaw, mimo swojego stanu po walce, postanawia się na nim pojawić. Nie odezwałam się słowem w tej kwestii, bo niby po co. To bez sensu i tyle. I tak nie rozmawiamy.

Ze spuszczoną głową przemierzam plac i wchodzę na chodnik przy głównej drodze. Wyszukuję słuchawki i wciskam je do uszu, postanawiając zamknąć się na chwilę w świecie przynoszącym ukojenie mojej duszy. Muzyka przenosi mnie na moment w miejsce, gdzie nie ma cierpienia. Wtedy jest po prostu dobrze, a problemy znikają. Na chwilę.

Droga do domu zajmuje mi jakieś dwadzieścia minut. W tym czasie niewiele myślę. Zamiast tego skupiam się na melodiach, słowach i mijanych ludziach. Jak to jest, że gdy czujesz się źle, nagle odnosisz wrażenie, że wszyscy wokół są wręcz irytująco szczęśliwi?

Kiedy skręcam na Channel Road, mój telefon zaczyna wibrować, więc wyjmuję go z kieszeni.

Od: Chase

Dotarłeś bezpiecznie do domu?

Wstrzymuję oddech. Mój wzrok kilkakrotnie śledzi te cztery proste słowa wystukane na klawiaturze, a nogi wydają się wrastać w ziemię. Mam wrażenie, jakby ktoś nagle rozlał coś gorącego na mojej klatce. Nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich dni.

Do: Chase

tak

Nie chcę, aby się martwił. Nie zasłużył na dodatkową dawkę stresu.

Gdy wchodzę do domu, drzwi są otwarte, a to oznacza, że Josephine bądź Jonathan wrócili już z pracy. Caroline pojechała późnym wieczorem do Manchesteru. Przeprosiłam ją w jednej z wiadomości, bo nie pożegnałyśmy się przed jej wyjazdem. Generalnie niewiele rozmawiałyśmy o tym wszystkim, ale myślę, że to wytłumaczalne, skoro wokół było takie zamieszanie.

Pozbywam się obuwia, które wciskam nogą pod szafkę. Słyszę cichą krzątalinę. Uznaję, że głupio byłoby po raz kolejny zignorować istnienie domowników. Kiedy mijam próg kuchni, wszystkie dźwięki od razu ustają, a ja zatrzymuję się w pół kroku z lekko uchylonymi ustami.

Dobra, jednak mogłam odpuścić sobie przywitanie.

— Cześć — mówi Natalie. Ma w ręku kubek z jakimś parującym napojem. Opiera się pośladkami o blat przy oknie. Widzę niepewność na jej twarzy, gdy tak na siebie patrzymy, jednak nie trwa to długo, bo zaraz przenoszę uwagę na Josephine.

— Cześć, Lizzy — rzuca w moją stronę, jakby bała się, że lada moment wybuchnę krzykiem czy coś. Przeciera właśnie dłonie ręcznikiem. Chyba ładowała zmywarkę. Nie wiem, tak mi się wydaje.

— Cześć — odpowiadam, czując niezręczność na najwyższym poziomie.

To pierwszy raz, kiedy jesteśmy same. Dotąd zawsze ktoś nam towarzyszył i nie rozmawiałyśmy jeszcze ani razu od czasu, gdy dowiedziałam się o tym wszystkim. Przez chwilę odnoszę wrażenie, jakby to nigdy się nie wydarzyło. Jakby był to tylko zły sen, z którego lada moment się wybudzę. Cóż, nie budzę się, ale warto marzyć.

— Masz ochotę na herbatę? — pyta Jo.

W pomieszczeniu zapada cisza. Mój wzrok błądzi między kobietami. Nie mogę przestać myśleć o tym, jak bardzo są do siebie podobne. Są niczym bliźniczki. Nadal nie rozumiem, jakim cudem nie zauważyłam tego wcześniej.

— Chętnie. — Wzruszam ramionami, starając się brzmieć pewniej, niż czuję się w rzeczywistości.

Skoro obiecałam sobie, że porozmawiam w końcu z każdym, to to zrobię i tyle. Chcę wysłuchać, co mają do powiedzenia, a poza tym nie umiem się długo gniewać. Emocje zeszłego tygodnia znacznie opadły.

Josephine nie kryje zaskoczenia moją zgodą i od razu nastawia wodę, po czym wyjmuje dwa kubki. Dla siebie przygotowuje wzorzysty, a dla mnie ten ze SpongeBobem, w którym piję najczęściej. Postanawiam zająć miejsce przy wyspie. Rzucam torbę nieopodal nóg. Opieram się łokciami o blat. Nie

bardzo wiem, gdzie powinnam patrzeć ani czy coś powiedzieć. Milczymy i myślę, że każda z nas zastanawia się, jak rozpocząć rozmowę.

— W szkole wszystko w porządku? — Tak jak podejrzewałam, jako pierwsza zabiera głos Josephine. Natalie należy raczej do cichych osób. Znam ją... jak się okazuje, od zawsze, więc już to wiem.

— Tak, jest okej. Muszę tylko nadrobić trochę zaległości. — Zakładam włosy za ucho i unoszę kąciki ust. Muszę odchrząknąć, bo mój głos strasznie drży, a nie chcę, aby słyszały, że się stresuję.

Josephine w ciszy przygotowuje nasze napoje. Nie patrzę już więcej na kobiety, skupiam się na palcach, którymi się bawię. Natalie nie ruszyła się z miejsca. Ciekawa jestem, co powie po tym wszystkim. Cokolwiek by to było, łączy nas wiele wspomnień. Była dla mnie matką, zastąpiła Margaret, a mimo to kłamała, tak jak Aiden i ojciec. Każde z nich zataiło przede mną prawdę, no i nie wspomnieli o zawale Terrence'a. Mogłam go stracić i nikt nie pisał słowem. Nie rozumiem, po co to wszystko.

Gdy Jo stawia mi parujący kubek przed nosem, kątem oka widzę, że siada obok, podczas gdy jej siostra zajmuje miejsce naprzeciwko. Zagryzam wewnątrz policzka i unoszę wzrok, patrząc w prawo. Spotykam się z parą niebieskich tęczówek, w które uwielbiałam zerkać. Zawsze uspokajała mnie ich barwa. Od Josephine ciepło bije z daleka. Jest dobrym człowiekiem, wiem to. Zdaję sobie sprawę, przez jakie piekło przeszła. Na jej barkach spoczęła opieka nad dzieckiem, które nawet nie było jej. Musiała dorosnąć w wieku osiemnastu lat, a życie ciągle rzucało jej kłody pod nogi. Stała się ofiarą Thomasa Hardy'ego, pociągając za sobą małego, niewinnego Chase'a. Miał przecież tylko sześć lat...

— Nigdy nie myślałam, że to wszystko tak się potoczy — mówię cicho, przywołując na twarz delikatny uśmiech. Przenoszę spojrzenie z Jo na Natalie, która przygląda mi się uważnie. Ma idealny makijaż. Ona zawsze wygląda idealnie, bez względu na okoliczności.

„Makijaż jest jak maska. Nakładamy go, aby ukryć nasze niedoskonałości. Spójrz, Lizzy. Mam wory pod oczami i zaczerwieniony nos. Bardzo tego nie lubię, dlatego zakrywam je korektorem i podkładem” — powiedziała, gdy byłam jeszcze dziecakiem. „A czy pod makijażem można ukryć smutek, jeśli ktoś go nie lubi?” — zapytałam wtedy. „Można pod nim ukryć znacznie więcej”.

Bardzo długo analizowałam jej słowa, choć miałam wtedy jakieś czternaście lat. Nie rozumiałam tego... do czasu. Teraz, gdy tak na nią patrzę, wiem, że te słowa idealnie wpasowują się w obecną sytuację. Wiem, że choć wygląda tak perfekcyjnie, wewnątrz cierpi. Natalie nieczęsto pokazywała swoje słabości. Zawsze uśmiechała się i była miła dla wszystkich. Nadal taka jest. Nadal siedzi cicho i niewiele mówi. Chce wszystkich uszczęśliwić, jakby miała tym samym odkupić grzechy, których nigdy nie popełniła.

— Ja też — wzdycha Josephine, patrząc w jakiś nieokreślony punkt. — To nie tak miało być — mówi ze smutkiem w głosie.

— A jak? Zamierzaliście kiedykolwiek nam powiedzieć? — pytam ze stoickim spokojem.

Nie chcę już krzyczeć, bić po twarzach ani dramatyzować. Chcę się tylko dowiedzieć, aby jakoś ułożyć to w głowie.

Blondynka patrzy na mnie, a ja widzę, jak z trudem przelityka ślinę. W jej oczach dostrzegam pewnego rodzaju zagubienie. Wiem, że chciałyby mi odpowiedzieć, ale nie robi tego, bo odpowiedź nie byłaby dla mnie satysfakcjonująca. To jasne.

— Dlaczego? — dociekam, nie potrafiąc ukryć zawodu spowodowanego ciszą.

Naprawdę nie potrafię pojąć, czemu nie chcieli nam o tym powiedzieć. Dlaczego chcieli zamieść pod dywan tak ważną część naszego życia. Myślę, że nikt nie chciałby żyć w kłamstwie — tak, jak my robiliśmy to przez osiemnaście lat.

— Stwierdziliśmy, że tylko tak was ochronimy. Zbyt wiele informacji mogłoby wywołać nieodwracalne szkody. Chcieliśmy wam powiedzieć, ale w swoim czasie. — Niespodziewanie do rozmowy postanawia wtrącić się Natalie.

— O jakich szkodach mówimy?

— Rumeli mógłby znaleźć mnie i Chase'a, gdybyśmy zjawili się w Stanach — wyjaśnia Josephine. — Wiem też, że gdyby Chase dowiedział się o wszystkim, dociekałby i chciałby zobaczyć, poznać, wiedzieć więcej. Nie zostawiłby tego.

Patrzę na nie tępo.

— Ale on przez cały ten czas wiedział, gdzie jesteście.

Natalie zastyga z kubkiem w dłoni.

— O czym ty mówisz, Lizzy?

Są wyraźnie zbite z tropu. Nie spodziewały się tego, to chyba jasne, bo i ja byłam w szoku.

— W dzień rocznicy śmierci Margaret... i jak się okazuje, Dominica, opowiedziałaś mi historię o pewnym mężczyźnie — zwracam się do Jo, która momentalnie blednie.

— Co on ma z tym wspólnego? — Jej głos kompletnie nie przypomina normalnego.

Przełykam formującą się w gardle gulę. Serce znów mocniej obija się o klatkę, a dłonie zaczynają się trząść.

— Thomas Hardy... — zaczynam niepewnie, badając reakcję blondynki. — Ten sam człowiek, który był twoim partnerem i tak traktował Chase'a... On... To jeden z ludzi Franka. To Rumeli nasłał go na was.

Josephine milczy. Patrzy na mnie pustym spojrzeniem, nie wypowiadając słowa.

— Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, ale Frank był w waszym życiu od zawsze, choć nie mieliście o tym pojęcia. Skrzywdził ciebie i Chase'a, wykorzystując do tego innych. Pociągnął też za sobą...

— Kogo? — przerywa mi głosem wypranym z emocji.

Obserwuję ją niepewnie.

— Lizzy. — Natalie delikatnie mnie ponagla.

Jak wiele jeszcze nie wiem? Co tak naprawdę kryje się za tym wszystkim? Dlaczego Rumelemu tak bardzo zależy na Shawie?

— On... przyczynił się do wypadku Chase'a i Jonathana. Jest też zamieszany w sprawę Blaze'a i Allison — mówię cicho.

Odruchowo chwytam dłoń kobiety. Nie rusza się. Nie odzywa. Po prostu patrzy. Tępo i bez wyrazu. Jakby w jednej chwili uleciało z niej całe życie.

— Nigdy nie musieliście uciekać ani się ukrywać, bo Frank cały czas wiedział, gdzie jesteście. Nie mam pojęcia, jak wiele zła jeszcze wyrządził, ale jedno jest pewne: był zawsze. Krył się za plecami innych. Wydawał polecenia, które miały na celu... no właśnie. Co tak właściwie miały na celu? — Zerkam to na Natalie, to na Josephine. — Dlaczego tak bardzo zależy mi na tym, abyście cierpieli? W sobotniej przegranej Chase'a też mieszały palce.

— A czy wiesz, co powiedział Blaze na tym ringu? — pyta macocha.

— Nie mam pojęcia. Chase milczy. — Trochę mijam się z prawdą, bo przecież wiem, że miało to jakiś związek ze mną, ale czy to teraz ważne?

— Nienawidzę go — mówi nagle Jo, zwracając naszą uwagę. Nie ruszyła się. Cały czas patrzy w jeden punkt, ale teraz w jej oczach zbierają się łzy, a dolna warga drży. — Przysięgam, że gdy już umrę, choćbym miała zejść w najmroczniejsze zakamarki piekieł, nie odpuszczę, dopóki nie znajdę tego gnoja. Mam nadzieję, że za zło, które wyrządził własnym dzieciom, smaży się w gorącej smole — cedzi przez zęby, gdy kolejne krople spływają po jej policzkach.

— Za zło, które wyrządził wam wszystkim — poprawiam, po czym wstaję i przytulam się do kobiety.

Początkowo chyba nie rozumie, co się dzieje, ale gdy w końcu dociera to do niej, wtula się we mnie mocno. Trzęsie się, gdy płacze w moich ramionach. Przejeżdżam ręką po jej plecach i włosach. Nie umiem sobie wyobrazić, co musi czuć w tym momencie. Przez wszystkie te lata robiła, co mogła, aby uchronić siostrzeńca przed zmorami przeszłości, a on przez cały czas miał je przed oczami. I to dosłownie. Kryły się one w ludziach. Przywdziewały maski, krzywdząc niemiłosiernie jego i bliskie mu osoby.

Mój telefon zaczyna wibrować, dlatego wyjmuję go i odbieram.

— Cześć, Zoe — mówię do dziewczyny, której imię wyświetliło się na ekranie.

Wolną ręką wciąż gładzę plecy Josephine.

— Cześć, Lizzy. Wiesz, pomyślałam sobie, że może chciałabyś się spotkać, pogadać... no wiesz.

— Słyszę niepewność w jej głosie, gdy to mówi.

Spuszczam wzrok na kobietę w moich objęciach, a następnie na Natalie, która uważnie mi się przygląda. Mam w głowie istny harmider i chyba potrzebuję porozmawiać z kimś bezstronnym.

— Dobry pomysł. — Wymuszam radosny ton. — Może przyjdiesz do mnie? Co ty na to? Jestem już w domu.

— Jasne, w takim razie będę za niecałą godzinkę — rzuca i kończy połączenie.

W momencie gdy wsuwam telefon do kieszeni, Josephine odsuwa się.

— Przepraszam — mamrocze, ocierając łzy.

— Nie masz za co. Przecież to właśnie łzy przypominają nam o tym, że jeszcze żyjemy — mówię słowa, które usłyszałam, gdy na jej oczach przeżyłam małe załamanie. Było to kilka tygodni temu, a mam wrażenie, jakby minęły lata.

Blondynka uśmiecha się do mnie słabo.

— Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie? — Kątem oka zerkam na Natalie. Cały czas przygląda się nam w milczeniu.

Jo kiwa głową.

— Czy... czy pozwalając mi się tu ukryć, nie myśleliście o tym, że prawda i tak wyjdzie na jaw? To jest coś, co zastanawia mnie najbardziej.

— Oczywiście, że braliśmy to pod uwagę — mówi Natalie. — Początkowo chcieliśmy wysłać cię w inne miejsce, ale zależało nam na tym, abyś była bezpieczna. Mieliśmy w planach wam powiedzieć z czasem. Z pewnością nie w takich okolicznościach.

— Rozumiem. — Kiwam głową i się wycofuję. — Idę do siebie, mam dużo do nadrobienia. Gdyby przyszła Zoe, pokierujcie ją do mojego pokoju.

Mam wrażenie, że Josephine chce coś jeszcze powiedzieć, jednak nie pozwalam jej na to. Muszę pomyśleć, odetchnąć i poskładać wszystko w całość. Nadal niewiele z tego rozumiem. Wiem, że to nie wszystko, i to przeraża mnie najbardziej.

Rzucam torbę w kąt, gdy przekraczam drzwi sypialni. Podchodzę do okna. Nie wiem dlaczego, ale mam taki zwyczaj, aby przez nie wyjrzeć, tak po prostu, choć każdego dnia widok jest dokładnie taki sam.

Przez chwilę stoję przed szybą i patrzę tępo przed siebie. Zaplatam ręce pod piersiami. Muszę się uspokoić i ogarnąć ogólny chaos w głowie. Wiele się wydarzyło. Wiele się dzieje i znów tracę kontrolę. Właściwie straciłam ją już dawno temu, ale mam wrażenie, jakby z dnia na dzień było coraz gorzej. Nie podoba mi się to. Nie chcę tego.

Przymykam oczy, uspokajając oddech. Wracam wspomnieniami do Chase'a. Ignorował mnie cały dzień, w drodze do szkoły nie odezwał się ani słowem, naszą jedyną konwersacją były te dwie wiadomości w południe. Nie powinnam przypominać mu sytuacji z łańcuchem. Z pewnością jest to dla niego niezwykle bolesne i traumatyczne wspomnienie. Jestem taką idiotką.

Zrezygnowana odwracam się na pięcie, a mój wzrok jakby instynktownie nakierowuje się na jeden konkretny punkt. Zastygam w miejscu. Cholera.

Stoi tam. Niezakręcona, z mniej niż połową zawartości. Nie wylał jej. Nadal tam jest. Z tych wszystkich emocji zupełnie o niej zapomniałam. Przełykam ślinę, czując, jak w ustach znowu robi mi się przeraźliwie sucho. Moje ręce zaczynają się trząść. Nie, nie, nie.

Na miękkich nogach podchodzę do łóżka. Przyglądam się etykietce, choć tak naprawdę w ogóle jej nie czytam. Po prostu wgapiam się w nalepkę. Przykładam szyjkę do ust, przez co zapach alkoholu uderza w moje nozdrza. Zamykam powieki.

„Mogę się napić i nie myśleć albo być trzeźwa i się zamartwiać” — myślę sobie. „I tak już go zawiodłam. I tak ze mną nie rozmawia i...”

Przechylam butelkę. Czuję na języku ten znajomy smak. Pierwszy łyk, drugi, trzeci. Już teraz mi lepiej. Alkohol pali mój przełyk, serce bije mocniej, usta pragną więcej... Gdy nagle dostrzegam jego.

Małego niewinnego chłopca o pięknych, zielonych oczach.

Dławię się. Moje oczy otwierają się szeroko, a spomiędzy warg wylatuje rudawa ciecz. Omiatam dzikim spojrzeniem pokój, czując gorąc oblewający całe ciało. Kaszlę, aby zapanować nad oddechem.

Nie myśląc ani sekundy nad tym, co robię, z whisky w ręku ruszam do łazienki. Nawet nie zapalam światła. Podchodzę po omacku do zlewu i wylewam całą zawartość. Krztusząc się, potrząsam szkłem. W międzyczasie przecieram łzy, które napłynęły mi do oczu. Upewniwszy się, że pozbyłam się każdej kropli, odstawiam butelkę i opieram się rękami po obu stronach zlewu.

— Co jest... — mamroczę pod nosem, dysząc. Rozchyłam powieki, a mój wzrok pada na nią. Stoi nieopodal. Widzę zaledwie jej cień, bo w pomieszczeniu jest ciemno. Jedynym źródłem światła jest to naturalne, które wpada przez okno w moim pokoju. Przenoszę spojrzenie na swoje odbicie. Zaciskam szczękę, gdy łzy wściekłości spływają po policzkach.

Znowu to robiłam. Po raz kolejny przegrałam, ale jednocześnie... Przysięgam, że pierwszy raz doświadczyłam czegoś takiego. Pierwszy raz poczułam coś tak intensywnego. Pierwszy raz poczułam, jakby jakaś siła zmusiła mnie do odsunięcia flaszki. Jakby jakieś silne ręce chwyciły mnie za gardło, aby mnie powstrzymać.

Przyglądam się jeszcze chwilę butelce, po czym wyrzucam ją do kosza. Szczotkuję zęby, a twarz przemywam zimną wodą. Na drżących nogach podchodzę do miejsca, w którym zostawiłam torbę, i siadam na łóżku. Nie mam zielonego pojęcia, o co chodzi. Muszę zająć czymś głowę, bo zaraz oszaleję.

Wyjmuję książki niezbędne do nauki, a spod łóżka wyciągam laptop. Przygotowuję sobie miejsce, aby nadrobić wszelkie zaległości, jednak tak szybko, jak zaczynam, tak szybko też kończę. Leżę na materacu i wgapiam się w sufit.

Dlaczego go zobaczyłam? Miałam przestać? Mózg dawał mi znak, abym tego więcej nie robiła, bo znów go zawiodę? Cholera, nie mam pojęcia, ale to było tak bardzo dziwne i realistyczne, że zmroziło mi krew w żyłach. Nawet nie wiem, w którym momencie znalazłam się przy zlewie i opróżniłam butelkę. Byłam jak w transie.

Kolejny raz w ciągu tych kilku chwil biorę głęboki oddech i znów podnoszę się do siadu. Krzyżuję nogi, po czym rozkładam notatki. Studiuję każdą stronę, ćwiczę działania, przypominam sobie frazy. Trwa to do momentu, aż ktoś puka do drzwi.

— Mogę? — pyta Zoe, wchodząc do środka. — Hej.

— Hej, siadaj. — Zgarniam z łóżka wszystkie kartki, zdejmuję okulary i uśmiecham się lekko. — Napijesz się czegoś?

— Może herbaty? Jakiegokolwiek.

— Okej, zaczekaj tu. Zaraz przyjdę.

Zrywam się ze swojego miejsca i schodzę na parter. W kuchni na szczęście nikogo już nie ma. Przygotowuję dwa napary z przypadkowych saszetek. Rzadko patrzę na ich nazwy, tym razem nie jest inaczej.

— Mam wrażenie, jakbyśmy wieki nie rozmawiały — mówi różowowłosa, gdy daję jej parujący kubek w geometryczne wzory.

— Uwierz, ja to samo. — Składam pozostałe notatki w jedno miejsce, po czym siadam naprzeciwko niej.

Krzyżuję nogi tak jak ona i oplatom dłońmi naczynie.

— O kurwa — krzywi się, kiedy bierze łyk. — Co to za gówno?

Marszczę brwi. Przysuwam kubek do nosa.

— O matko... to pachnie jak rzygowiny. Nie wiem, co to, bo wzięłam pierwszą lepszą — wyjaśniam. — Poczekaj, pójde zrobić in...

— Dajmy sobie może już spokój — śmieje się dziewczyna, odstawiając herbatę na szafkę nocną. — Lepiej mów, co się dzieje.

— To znaczy?

— W zeszłym tygodniu praktycznie cię nie widziałam, nie odpisywałaś na wiadomości, w piątek mnie unikałaś, no i dzisiaj to samo. Chodzi o akcję z ogniska? Widzę, że Logan o czymś wie, ale nie chce mi powiedzieć. Do tego prosił, żebym zaproponowała ten wyjazd. Wiesz, że nie odpuszczę, Ameryka. — Zoe zaplata ręce pod piersiami i znacząco unosi brew.

— Wiem, dlatego cieszę się, że zaproponowałaś spotkanie. Ostatnio dużo się dzieje i chyba potrzebuję porozmawiać z kimś bezstronnym. Z przyjacielem — ostatnie zdanie wypowiadam nieco

ciszej.

Na ustach Jackson maluje się uśmiech, jakiego wcześniej u niej nie widziałam.

— Zamieniam się w słuch.

Wiercę się na pościeli, która nagle zrobiła się strasznie niewygodna. Przełykam mocno ślinę, a wzrok spuszczam na palce.

— Wszystko zaczęło się kilka miesięcy temu, gdy...

Następne kilkadziesiąt minut spędzam na wygłaszaniu monologu. Opowiadam Jackson o powodzie mojego przyjazdu, fałszywym dowodzie, którego zdjęcie otrzymał Jake, i sytuacji na ringu. Pomijam to, czego dowiedziałam się o Caroline czy łańcuchach. Myślę, że obie te sprawy są zbyt intymne, aby puścić je dalej. Widzę, jak z każdą sekundą oczy Zoe otwierają się coraz szerzej. W pewnym momencie otwiera też usta, ale nie mówi ani słowa. Słucha uważnie. Wygląda tak, jakby nie dowierzała, że coś takiego mogło wydarzyć się naprawdę.

— Więc chcesz mi powiedzieć, że ty i Chase...

— Tak. Zналиśmy się od zawsze i nie mieliśmy o tym pojęcia.

Brwi Jackson unoszą się wysoko.

— Matko, ja... ja myślałam, że tu chodzi o Matta. Do głowy by mi nie przyszło, że... ja pierdołę.
— Rozgląda się po pomieszczeniu, wyraźnie próbując zrozumieć cokolwiek. — Czeka, czeka. Skoro wszystko jest ze sobą tak powiązane i mówisz, że ci ludzie cały czas byli w życiu Chase'a, to... co, jeśli ten atak Blaze'a też był częścią planu?

— Co?

— No, powiedziałaś, że Roberts ma z nimi jakieś układy, nie? Więc co, jeśli kazali też ciebie zranić?

Cholera. Nie zastanawiałam się nad tym wcześniej.

— Nie, to bez sensu. Przecież Blaze miał motyw, żeby mnie zaatakować. Poza tym dlaczego mieliby to robić?

— A dlaczego zmusili Chase'a do przegranej? No właśnie. Nie wiemy, więc może warto zacząć od tego? W ogóle... małżeństwo. Kurwa, nie masz nawet dwudziestki i jesteś mężatką. Jakby... okej, takie sytuacje się zdarzają, ale gdy dwie osoby się kochają, a ty... Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, jak musisz się teraz czuć. — Dziewczyna chwytą moją dłoń i ją ściska.

— Szczerze? Nawet ja nie wiem, jak się czuję — przyznaję. — Przepraszam, że nie powiedziałam ci wcześniej. Ja po prostu...

— Lizzy — przerywa mi z uśmiechem. — Przecież nie znamy się nie wiadomo jak długo, abyś spowiadała mi się z całego swojego życia. To normalne, że masz swoje sprawy czy tajemnice. Każdy z nas je ma, choć twoja odbiega od tych typowych, jakie mają nastolatki. W każdym razie nie masz za co przepraszać, to po pierwsze. Po drugie, dziękuję, że mi zaufałaś i o tym powiedziałaś. Obiecuję, że zostanie to między nami tak długo, jak tylko zechcesz.

— Dziękuję.

Następne dwie godziny spędzamy na rozmowie o Chasie, potem o Loganie. Relacja jego i Zoe nabiera tempa, co mnie cieszy. Nasze spotkanie kończy się na temacie Matta, który nadal nie zjawił się w szkole. Jackson wychodzi, dopiero gdy jej mama prosi, aby dziewczyna wróciła do domu.

Chwilę temu wybiła siódma, a ja znów siedzę na łóżku i przeglądam notatki. Na dworze jest już ciemno, dlatego musiałam zapalić lampki i założyć okulary. Mój wzrok przestał wyrabiać, a literki zaczęły się zlewać.

Zerkam na leżący obok telefon, gdy zaczyna brzęczeć. Marszczę brwi. Niewiele myśląc, biorę go do ręki, przesuwam strzałkę i przykładam aparat do ucha.

— Halo? — mówię niepewnie, nie do końca wiedząc, czy to właśnie ten głos usłyszę w słuchawce.

Wiem, że to jego numer, ale bardzo rzadko do siebie dzwonic, więc to dość dziwna sytuacja.

Słyszę dźwięk obijającego się o siebie szkła i przytłumionej muzyki.

— Cześć. — Po drugiej stronie odzywa się Chase.

A więc to on.

— Cześć. Wszystko w porządku? — pytam, nie bardzo wiedząc, co innego mogłabym powiedzieć.

— Co? Tak, tak — mamrocze, jednak mam wrażenie, że robi to bardziej do siebie. — Po prostu chciałem usłyszeć twój głos — bełkocze.

— Jesteś na treningu? — zgaduję, doskonale zdając sobie sprawę, że nie. Postanawiam jednak udawać, że nie słyszę tego, jak mówi.

— Neeee — rzuca przeciągle, a ja już widzę oczami wyobraźni, jak krzywi się po swojemu. — Pojechałem z Loganem na piwo.

— Jedno?

— Dwa, trzy, cztery... Może sześć — wylicza.

Nawet przez słuchawkę jestem w stanie wyczuć, że mówiąc to, uśmiecha się w ten specyficzny sposób.

— A z jakiej to okazji? — pytam lekko, choć wewnątrz ściska mnie z nerwów.

Pijany Chase to po prostu rzadkość i trochę się stresuję. Wiem, że nie powinnam, bo nie jestem lepsza, a on kilka razy wracał już w tym stanie. Mimo wszystko nie umiem tego powstrzymać. Czuję, że jego stan ma swoje powody, a jednym z nich jest to, co powiedziałam wczoraj.

— To chyba nazywa się „męski wypad” czy jakoś tak — wyjaśnia z przekąsem, co brzmi całkiem zabawnie. Nie potrafię pohamować uśmiechu na wyobrażenie jego twarzy w tym momencie. — Co u ciebie? Dawno nie rozmawialiśmy.

Wiem, że normalnie by do mnie nie zadzwonił, ale jakoś mi lepiej, gdy znów słyszę jego głos. Co prawda bełkocze, jednak dobre i to. Brzmi beztrosko i zdecydowanie dopisuje mu humor. Miła odmiana.

— W porządku. Właśnie nadrabiam zaległości do szkoły. Trochę się tego nazbierało.

— Moja ambitna dziewczyna — mamrocze pod nosem, jednak udaje mi się to uchwycić.

Mój brzuch wiąże się w supeł, a serce zaczyna wręcz łomotać o klatkę. Przez chwilę patrzę przed siebie, zastanawiając się, czy faktycznie to powiedział.

— Nie nudzisz się tam sama? — rzuca nagle.

— Nie — odpowiadam bez chwili namysłu.

— Nie?

— Nie — powtarzam z uśmiechem. — Tak właściwie to bawię się świetn...

— Ale możesz bawić się jeszcze lepiej.

Niekontrolowanie przygryzam wnętrze policzka, z trudem hamując parsknięcie. Musi być naprawdę pijany.

— Wiem.

Między nami zapada cisza. Słyszę ciężki oddech Chase'a, muzykę i jakieś rozmowy. Nie wiem dlaczego, ale przyjemne ciepło rozlewa się po moim wnętrzu. Cholera, zadzwonił do mnie zupełnie zalany. Do mnie. Nie wiem, co o tym myśleć. Może to głupie, ale dobrze się z tym czuję. Nie potrafię tego wyjaśnić.

— To kiedy wracasz do domu?

— Myślałem, że już nigdy nie zapytasz — śmieje się cicho. — Logan, zbieramy się. — Jego głos jest już mniej słyszalny, bo zapewne odsunął aparat od ucha.

— Wracamy?

— Tak, mam plany. Moja...

Nagle połączenie zostaje przerwane. Podsuwam ekran przed twarz, marszcząc brwi. Uśmiecham się. Pijany Chase to mimo wszystko zabawny Chase.

— W takim razie czekam — mówię do siebie i rzucaam aparat na pościel.

Zbieram wszystkie rzeczy, które pozostały na łóżku. Robię to dość niezgrabnie, ale nie dbam o to. Na myśl o tym, że mogę spędzić miły wieczór z Shawem, mam motylki w brzuchu. Nie obchodzi mnie, że może jutro znów z jakiegoś powodu nie będziemy ze sobą rozmawiać. Tęsknię już za nim, choć przecież widziałam go w szkole.

Kiedy pokój jest w miarę ogarnięty, wyjmuję piżamę, po czym idę do łazienki, aby szybko się

odświeżyć. Nie zajmuje mi to dużo czasu. Sprawnie myję włosy i całe ciało, a gdy wychodzę spod prysznic, pozbywam się resztek makijażu. Jeszcze raz szczotkuję zęby. Nie czuję się pijana, ale wolę mieć pewność, że Shaw nic nie wyczuje, chociaż w takim stanie raczej nie powinien.

Mój brzuch zaczyna delikatnie burczeć i dopiero teraz orientuję się, że nic dziś nie zjadłam. Z tego wszystkiego zupełnie nie myślałam o głodzie. Nieważne. Jutro to nadrobię, wytrzymam do rana. Naprawdę nie chcę schodzić na dół i rozmawiać z Josephine. Natalie pewnie już nie ma, ale za to Jonathan wrócił. Słyszałam jego głos, gdy się uczyłam.

Po uczesaniu włosów sprzątam jeszcze pomieszczenie. Biorę telefon i idę do sypialni Chase'a. Spędzam tu tyle czasu, że u siebie czuję się obco. Prawda jest taka, że nie pamiętam już, kiedy ostatnio spałam w swoim łóżku.

Postanawiam odpisać na wiadomości od Jake'a i Zoe. W mojej głowie niekontrolowanie pojawia się wspomnienie SMS-a od Nate'a. Jeszcze nie przemyślałam, co z tym zrobię. Nie wiem, czy chcę do tego wracać. Dla mnie temat jest zamknięty.

Ręka z komórką opada na materac, kiedy skrzynka jest już pusta. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, podnoszę się do siadu. Omiatam wzrokiem pomieszczenie, szukając czegoś ciekawego, czym mogłabym zająć myśli. Nie chcę znowu zaprzętać sobie głowy sprawami rodzinnymi. Chcę odetchnąć.

Przekręcam głowę w prawo i wychylam się ze swojego miejsca, aby zapalić żarówkę na szafce nocnej. Pociągam lekko za zwisający włącznik, a mój wzrok wyłapuje coś dziwnego.

Marszczę brwi i odsuwam lampkę na bok, omal nie dławiąc się powietrzem.

Chwilę zajmuje mi przyswojenie tego, co widzę. W końcu chwytam w palce woreczek strunowy i unoszę go, aby przyjrzeć się zawartości. Kurwa mać.

Brałam kilka razy. Nie na tyle, żeby być jakimś wybitnym znawcą, ale cholera, to na pewno jest pieprzona kokaina. Chase bierze? Cóż, to jedyne logiczne wytłumaczenie, skoro woreczek leży w jego pokoju i pod jego lampką.

— Chcesz trochę? — Patrzę na stojącego w drzwiach Shawa, który uśmiecha się do mnie głupio. Nie słyszałam, jak wszedł na piętro.

— Ja... — Z woreczkiem w ręku wgapiam się w niego tępo.

Chase wchodzi do pomieszczenia i zamyka za sobą drzwi. Zrzuca z ramienia torbę, po czym podchodzi do mnie wyraźnie zadowolony z siebie. Nie wygląda na tak pijanego, jak brzmiał.

Chłopak opiera się kolanem na materacu i nachyla. Nasze oczy spotykają się. Usta dzielą zaledwie centymetry. Zjeżdża wzrokiem na moje wargi. Słyszę, jak przełyka ślinę.

— To nie moje.

— Nie musisz mi się tłumaczyć.

— Nie muszę — niemal szepcze. — Ale chcę, żebyś wiedziała.

Milczymy. Patrzymy na siebie, nie wypowiadając słowa. Shaw oddycha równie ciężko co ja. Jego zielone tęczówki wwiercają się w moje. Nagle chłopak chwytą tył mojego karku i łączy nasze usta w pocałunku. Zachłannym, pożądliwym. Oddaję go. Na języku czuję smak piwa oraz papierosów. Na oślepie odrzucam gdzieś woreczek z kokainą. Zmuszam chłopaka do tego, aby się położył. Siadam na nim okrakiem, zdejmując koszulkę. Jego źrenice powiększają się.

— Ja pierdo... — zduszam te słowa swoimi wargami.

Chase ciągnie mnie za włosy, gdy przenoszę się na szyję. Całuję każdy centymetr. Kawalek po kawalku. Chwytam dół jego T-shirta i pomagam mu się go pozbyć. Moim oczom ukazuje się posiniaczona klatka. Zamieram. Nim jest w stanie powiedzieć cokolwiek, nachylam się i pozostawiam tam delikatne pocałunki. Paznokciem tworzę wzory w okolicach sutka, na co oddech Shawa przyspiesza.

Zsuwam się z łóżka, gdy ustami docieram do skórzanego paska. Brunet podnosi się na łokciach, aby na mnie spojrzeć. Nie potrafię rozszyfrować, o czym myśli, ale mogę przysiąc, że nigdy nie widziałam, aby jego tęczówki były tak ciemne.

Nagle wszystko wydaje się spowalniać. Rozpinam klamrę, nie odrywając od niego wzroku. Widzę, jak jego klatka unosi się ciężko i opada. Unosi biodra, gdy zdejmuję mu spodnie. Przez cały czas obserwuje każdy mój ruch.

— Zdajesz sobie sprawę, że nadal jestem zły, prawda?

Zastygam na te słowa. Otwieram szeroko oczy.

Shaw siada na materacu i patrzy na mnie z góry. Opiera łokcie o kolana. Wzrok bruneta pada na moje piersi, a gdy wraca do oczu, jeden z kącików jego ust się unosi.

— Wiesz, co w tym wszystkim jest najgorsze? — Nachyla się w moją stronę, po czym zsuwa na podłogę, a ja odruchowo się wycofuję.

Chłopak napiera na mnie, przez co opadam plecami na drewno. Przez cały ten czas nie tracimy kontaktu wzrokowego. Brunet zbliża swoją twarz do mojej. Czuję chłód łańcuszka na klatce, gdy nasze wargi się stykają.

— Najgorsze w tym wszystkim jest to, że to nie twoja wina. Jesteś po prostu kurewsko dobra i nie zdajesz sobie nawet sprawy albo nie dopuszczasz do świadomości tego, w jaki sposób na ciebie patrzył. Ale ja to widziałem. Widziałem, bo patrzę na ciebie dokładnie w ten sam sposób co on. To mnie tak zajebiście wkurwiło, że najchętniej rozpierdoliłbym mu łeb o szpitalną podłogę, przysięgam — mówi, zupełnie zbijając mnie z tropu.

O czym on...

— Jesteś moja, Parker. Rozumiesz?

Patrzę na niego, w milczeniu przyswajając wszystkie słowa. Moja klatka unosi się niemiarowo, a serce bije niczym młot.

Nie myśląc wiele, chwytam go za kark i zamykam jego usta pocałunkiem. Wygłodniałym. Pełnym ognia i złości, z mieszanką czegoś jeszcze. Czegoś, czego nie potrafię nazwać, ale jest wręcz namacalne, gdy Shaw napiera na mnie wargami.

Chłopak rozchyła kolanem moje nogi. Nie mogę powstrzymać cichego jęknięcia, gdy przywiera do mnie swoim ciałem. Jedyłą barierą, która nas dzieli, jest bielizna. Z każdą sekundą siła tarcia jest coraz większa, a ruchy bardziej desperackie. Wsuwam dłonie między bokserki a rozgrzaną skórę. Z pomocą Chase'a pozbywam się ich, niedługo potem zdejmuję również moje figi.

— Boże... — Odchylam głowę, gdy brunet porusza się nade mną.

Ciężar ciała opiera na rękach, które spoczywają po obu stronach mojej głowy. Z wyraźną satysfakcją obserwuje, jak z trudem chwytam kolejne dawki powietrza. Rozchylam wargi i przysmykam powieki. Nogami oplatom biodra Shawa, chcąc mieć go jak najbliżej siebie.

Uwielbiałam każdą Naszą chwilę. Tylko Twoje dłonie wywoływały przyjemne dreszcze na moim ciele. Tylko Twój pożądlivy wzrok sprawiał, że odpływałam, tracąc kontakt z rzeczywistością. Sprawiałeś, że wariowałam we własnej głowie. Byłam skłonna splonąć w piekle, abys choć na moment ofiarował mi namiastkę nieba. Nie dbałam o to, co ze mną będzie. Teraz tym bardziej tego nie robię, bo piekło już przygotowało dla mnie miejsce.

Uśmiecham się do siebie, wzrokiem błędząc po suficie. Zagryzam wewnątrz policzka, bardziej naciągając na ciało kołdrę. Słyszę, że woda w łazience przestała już lecieć. Wydaje mi się, że alkohol wyparował już z jego organizmu. Rano zapewne obudzi się z kacem i nie będzie miał siły iść do szkoły. Zastanawiam się, czy jutro będziemy rozmawiać...

Nagle do moich uszu dociera dźwięk nadesłanej wiadomości. Bez namysłu obracam głowę w prawo i podnoszę się na łokciach. Odnajduję wzrokiem leżący na poduszce telefon Chase'a. Widzę, jak ekran rozbłyskuje po raz drugi, z kolejnym powiadomieniem.

Od: Shannon

Trzeba przyznać, że paluszki nadal masz sprawne. Nic się nie zmieniło.

Od: Shannon

Dziękuję za dzisiaj. Z przyjemnością to powtórzę. x

Moje serce zatrzymało się. Przysięgam, że coś we mnie umarło.

Mam wrażenie, jakby ktoś odciął mi dopływ powietrza. Słyszę dźwięk przekręcanego klucza, dlatego przykrywam się kołdrą po sam czubek nosa. Z całych sił zaciskam powieki, starając się unormować oddech.

— Śpisz? — szepcze.

Słyszę, jak krząta się po pokoju, a chwilę później zajmuje miejsce obok. Gasi światła, przysuwa się bliżej, a jedna z jego dłoni łąduje na moim policzku, zaczesując włosy za ucho.

Tamtej nocy dobrowolnie wyswobodziłam się z Twoich objęć. Nie było mnie, gdy się obudziłeś, pamiętasz? Była to jedna z gorszych nocy w moim życiu. Nie zmrużyłam oka, bo przecież w Twoich ramionach spało mi się najlepiej. Teraz też nie mogę zasnąć.

Rozdział 9

ELIZABETH

Krzyk. Według definicji słownikowych jest to „bardzo donośne mówienie lub głośnie wołanie; wydawanie nieartykułowanego dźwięku przez człowieka pod wpływem bólu czy strachu”. Zgodzę się z tym. W swoim życiu niejednokrotnie słyszałam wrzaski Aideny, kiedy się o coś uderzył. Ojciec kłął niczym szewc, gdy sprawy nie szły po jego myśli. Nate też czasami unosił się podczas kłótni. Nigdy tego nie lubiłam. Mimo że z reguły jestem osobą wybuchową i zawsze wiem, co odpowiedzieć, w momencie gdy ktoś podnosi na mnie głos — zostaję bez broni. Wtedy czuję się jak małe dziecko, a do moich oczu napływają łzy.

Przez większość czasu szłam przez życie ze świadomością, że istnieje tylko ten jeden, dobrze znany mi już krzyk — słyszalny dla uszu. Uważałam, że tylko dźwięk czymś uzasadniony można nazwać krzykiem.

W przekonaniu tym trwałam do ósmego listopada dwa tysiące czternastego roku. Tę datę zapamiętam do końca swoich dni. Poza ukończeniem siedemnastu lat odkryłam wtedy coś, co zdecydowanie odmieniło mnie wewnątrz. To właśnie wtedy bez zapowiedzi wróciłam z lotniska, choć miałam w ramach prezentu wybrać się z tatą do Nowego Jorku. To właśnie wtedy nakryłam mojego ówczesnego chłopaka w łóżku z Bonnie — dziewczyną, która w podstawówce skopiowała mój cholerny piórnik, a zaraz po nim całe życie.

Pamiętam dokładnie moment, kiedy stanęłam w drzwiach jego pokoju, a ona siedziała na nim okrakiem. Dotykała ust, które przecież należały do mnie. Zdębiałam. Kolejny raz w towarzystwie Nate’a nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Miałam wrażenie, jakby wszystko było za mgłą. Nagle powietrze zgęstniało, ręce zaczęły drżeć, a ja to poczułam.

Niemy krzyk.

To właśnie wtedy go poznałam. To właśnie w tamtej chwili zrozumiałam, jak to jest wrzeszczeć — milcząc. Chciałam płakać, chciałam podnieść głos, aby wyrazić swoją frustrację. Byłam wściekła. Tak bardzo zła i zraniona. Miałam ochotę chwycić Bonnie za włosy i przeciągnąć wzdłuż zatłoczonej ulicy. Ale nie zrobiłam tego. Nie ruszyłam się z miejsca, bo moje stopy jakby zrosły się z ziemią. W gardle uformowała się gęstwa, a ja darłam się wewnątrz — zewnątrz pozostając niewzruszoną, gdy Nate mówił, że nic już do mnie nie czuje.

Gdy usłyszałam wszystko, co powinnam, odwróciłam się na pięcie i wyszłam. Tak po prostu. Zamknęłam drzwi, wsiadłam w samochód i wróciłam do domu. Wspięłam się na dach i wypaliłam paczkę papierosów. Nie płakałam. Nie potrafiłam, choć chciałam. To właśnie tamtej nocy obiecałam sobie, że nigdy więcej nie uronię chociażby jednej łzy z powodu uczucia do mężczyzny.

Mam ochotę prychnąć pod nosem na to postanowienie, bo oto siedzę na parapecie w swoim pokoju, wgapiając się tępo w drzewo, które kołysze się na wietrze. Moje powieki boleśnie wręcz opadają, a oczy pieką od wylanych przez noc łez. Zakrywam twarz ręką, kiedy pierwsze promienie przedostają się między budynkami. Wszystko mnie boli — głowa, dłonie, przyciągnięte do klatki kolana... Cholera, nawet po tych trzech dniach, które niedawno tu spędziłam, nie było tak źle, jak jest teraz.

„Bo to nie kości cię bołą, ale dusza” — szepczą głosy, które tak dobrze już znam.

Wydaje mi się, że tej nocy wypłakałam już wszystko, co się dało. Pierwszy raz w życiu nie potrafiłam pohamować emocji w choćby najmniejszym stopniu. Jest mi tak bardzo źle. Tak bardzo przykro...

Ścisk w dole brzucha, suchość w ustach, drżenie całego ciała i uczucie umierania — powolnego spadania w ciemną dziurę, która nie ma końca. Właśnie tak wygląda u mnie coś, co czuję od jakiegoś czasu, patrząc na jakąkolwiek kobietę w jego towarzystwie. Nienawidzę być świadkiem tego, jak którakolwiek z nich dotyka jego ramion, przytula go bądź uśmiecha się w ten sposób. Na moje

nieszczęście jest ich ogrom. One uwielbiają jego czarne niczym węgiel włosy, zielone hipnotyzujące oczy, umięśnione ciało i wygięte w łuk wargi, które sprawiają, że nogi niekontrolowanie miękną. Adorują, kochają wręcz sposób, w jaki się wypowiada i dba o pleć piękną. Jest dżentelmenem — tak, bez dwóch zdań. Jego ciotka wychowała go na niesamowitego mężczyznę. Bywa aroganckim dupkiem, ale one zawsze mu wybaczą.

W moich wspomnieniach pojawia się dzień, kiedy na szkolnej stołówce Matt O'Kelly wspomniał, że Shannon nie jest już z Williamem. Próbowałam zignorować dziwne uczucie, które pojawiło się, gdy to usłyszałam, i chęć zwymiotowania, gdy Shaw dał do zrozumienia, że rozmyśla nad powrotem do niej. Rzuciłam wtedy w Matta jabłkiem, bo za długo drażył temat. Po wszystkim nie potrafiłam pojąć, skąd u mnie taka agresja na wspomnienie o rudej.

Jeszcze bardziej zaskoczyłam samą siebie tego samego wieczoru, kiedy znalazłam go zakrwawionego w łazience. Rzuciłam tekstem w stylu: „Skoro nie chcesz mi wyjaśnić, co się stało, to idź powiedzieć o tym Shannon”. To było tak bardzo niepodobne do mnie. Pół nocy zastanawiałam się nad tym, co powiedziałam. To właśnie wtedy po raz pierwszy poczułam coś, czego tak naprawdę nigdy wcześniej nie znałam.

Zazdrość.

Będąc z Nate'em, nie wiedziałam, jak to jest martwić się o takie rzeczy. Ufałam mu, więc najnormalniej w świecie nie potrafiłam być zazdrosna. Wiele dziewczyn niejednokrotnie podchodziło do niego, przytulało się, rozmawiało, śmiało i dla mnie było to w porządku, bo wiedziałam, że on mnie nie zdradzi.

Cóż, bardziej mylić się nie mogłam.

W przypadku Chase'a jest inaczej. Nie wiem, czy jest to spowodowane traumą, która mimo wszystko siedzi gdzieś głęboko we mnie, czy może strachem przed samotnością, ale emocje, jakie odczuwam, są dla mnie nowe. Przeraza mnie to, bo nie mam pojęcia, jak sobie z nimi poradzić. Ten człowiek zawładnął moim życiem na każdej płaszczyźnie, a teraz płaczę przez niego, czuję ból w klatce, a moje serce jest połamane na miliony maleńkich kawałeczków.

Za pierwszym razem zabolalo cholernie, ale wiedziałam, że nie zrobiłam nic złego. Staralam się z całych sił zadowolic Nate'a, byc jego wymarzoną dziewczyną. Ubierałam się w to, co chciał, zachowywałam się tak, jak sobie tego życzył, i byłam dla niego zawsze, kiedy mnie potrzebował. Oddałam się mu całkowicie, więc po wszystkim nie potrafiłam nawet myśleć, że popełniłam jakiś bład.

Teraz jest zupełnie inaczej. Moje ciało nie przyciąga spojrzenia. Wystające żebra i wszystkie inne kości oraz piersi, których praktycznie już nie widać, zdecydowanie odpychają. W dodatku więcej palę, no i piję. Ostatnimi czasy nie należę do osób stabilnych emocjonalnie. Ciągle płaczę albo odcinam się od rzeczywistości. Kto więc chciałby kogoś takiego u swojego boku?

Mam ochotę krzyczeć z bezsilności pierwszy raz w swoim nędznym życiu, ale nie potrafię. Nie nawrzeszczę na Chase'a, nie zrobię też sceny, bo po wszystkim, co ze mną przeszedł, nie mogę się dziwić, że miał dość. W pełni zasłużyłam sobie na to. On i tak długo wytrzymał, więc dziękuję mu chociażby za to.

Mimo to boli. Bardzo. Rozrywa wręcz wewnątrz.

Obracam głowę w prawo, co wywołuje mimowolne syknięcie, bo moja szyja zdecydowanie nie była gotowa na ten ruch. Odnajduję wzrokiem zegar, a gdy orientuję się, że za trzy minuty wybije szósta trzydzieści, stwierdzam, że to najwyższy czas, aby ogarnąć twarz na nadchodzące zajęcia.

Jest wcześniej, więc jeśli przygotuję się stosunkowo szybko, nie wpadnę na Chase'a. Na razie nie mam ochoty z nim rozmawiać. Nie chcę osądzać go pochopnie, choć tak naprawdę już to zrobiłam, spędzając noc na parapecie. Rzecz w tym, że nie mam pojęcia, co o tym myśleć. Wiem, że mogłabym po prostu podejść i zapytać. To proste i szybkie wyjście, oczywiście, że tak. Ale boję się.

Ułożyłam w głowie kilka scenariuszy całej historii, jednak ostateczna odpowiedź przeraza jak cholera. A co, jeśli zapytam i skłamię? Co, jeśli powie rzeczy, które chcę usłyszeć, więc nawet się nie zorientuję? Ta wizja przeraza tak bardzo, że mam ochotę zwymiotować.

Powoli spuszczałam nogi z parapetu. Przez chwilę siedzę w bezruchu z zamkniętymi oczami i oddycham ciężko, jakbym co najmniej przebiegła właśnie maraton. Jestem wykończona. Zdecydowanie

nie czuję się na siłach, aby iść dziś do szkoły, jednak opuściłam zbyt wiele zajęć, aby znów się nie pojawić. Najchętniej zostałabym tu, gdzie jestem, i nie ruszyła się przez następne kilka dni z nadzieją, że ból minie.

Gdy bosa stopy stykają się z chłodną powierzchnią drewna, nieprzyjemny dreszcz przechodzi wzdłuż kręgosłupa. Krzywię się. Leniwym krokiem ruszam w stronę łazienki z dziwnym uczuciem ciężaru na plecach. Mam wrażenie, jakbym dźwigała kilkudziesięciokilogramowy plecak wypchany kamieniami, ale wiem, że tak naprawdę jest to spowodowane niewygodną pozycją, w jakiej spędziłam noc.

W łazience wyciągam włącznik światła i podchodzę do lustra. Nie patrząc nawet w odbicie, chwytam szczoteczkę i wyciskam pastę. Skupiam wzrok na wszystkim poza tym, co przede mną. Nie chcę patrzeć, jak okropnie wyglądam. Mam nadzieję, że makijaż da radę wszystko zakryć. Zawsze, gdy płaczę, moje oczy puchną, a nos jest czerwony. Okropieństwo.

Odświeżanie, razem z myciem twarzy, zajmuje mi nie więcej niż cztery minuty. Wyszukuję w szufladzie kosmetyki, po dziesięciu głębokich oddechach decyduję się spojrzeć w lustro. Omal nie dławie się śliną, gdy dostrzegam dziewczynę w odbiciu. Matko.

Nakładam na twarz sporą warstwę korektora i pudru, a na powieki cienia i tuszu. Mimo to ciemne kręgi pod moimi oczami nadal są widoczne, co strasznie mnie irytuje. Nie chcę, aby ktokolwiek widział, że płakałam. To żalosne, już i tak pokazałam zbyt wiele siebie. Szczególnie Chase'owi.

Nie powinnam przy nim płakać. Powinnam się wzbraniać przed niebezpiecznym uczuciem. Powinnam uciec, gdy zrozumiałam, że zazdrozczę każdej dziewczynie, która go dotyka. To nigdy nie powinno mieć miejsca. Nie powinno. Kurwa mać.

Drżącymi dłońmi ogarniam pomieszczenie i wracam do sypialni. Promienie słoneczne wpadają do pokoju, a słońce na niebie z każdą chwilą jest coraz wyżej. Podchodzę do szafy, z której wydaję dzinsy i szarą bluzę z kieszeniami. Z reguły właśnie tak się ubieram, więc tym razem nie robię inaczej. Ma być normalnie, luźno, jakby nic się nie wydarzyło. Dam radę. Ostatnim razem też dałam. Nie mogę przecież sprawić, że kolejny mężczyzna w moim życiu mnie zniszczy, prawda? Zrobili to już ojciec, Aiden, Nate, Frank i Omar. Chase'owi na to nie pozwolę.

Gdy ubrana do szkoły sprawdzam zawartość swojej torby, kątem oka dostrzegam, że jest już chwilę po siódmej. Shaw najpewniej jeszcze nie wstał albo właśnie to robi.

Poprawiam pasek na ramieniu, rozglądam się ostatni raz po pokoju, a gdy upewniam się, że mam ze sobą wszystko, opuszczam pomieszczenie. Na szczęście kuchnia jest jeszcze pusta, więc nie muszę tłumaczyć się Josephine czy Jonathanowi, dlaczego wychodzę tak prędko. Nie mam na to ochoty. Muszę pobyć sama, aby uporządkować w głowie niektóre sprawy.

Wciskam na nogi swoje ukochane znoszone vansy, na ramiona zarzucam dzinsową kurtkę, a gdy słyszę, że drzwi na górze otwierają się — biegiem ruszam w stronę wyjścia. Chłodne marcowe powietrze uderza w moją twarz. Naciągam kaptur na głowę, wydaję słuchawki i znikam za pierwszym zakrętem.

Ulice Crosby o tej godzinie są jeszcze niemalże puste. Gdzieś dostrzegam biegaczy, osoby wyprowadzające swoich pupili i oczywiście samochody, które przemierzają drogi. Poza tym nie ma nikogo innego. To przyjemne. Lubię, gdy tak jest. Wtedy czuję się jakoś bezpieczniej, co w sumie dla niektórych może być nienormalne, bo przecież to właśnie cisza zwykle przeraża człowieka najbardziej. Ja jednak bardzo ją lubię. Chciałabym, aby zagościła w moim wnętrzu. Aby zawładnęła mną zupełnie. Nie chcę już złościć się ani smucić. Męczy mnie ciąg niepowodzeń i negatywnych emocji, które przychodzą każdego kolejnego dnia. Tęsknię za czasem, kiedy uśmiechałam się bez powodu i czułam się beztrudnie. Kiedy wszystko było tak proste i normalne.

Droga do szkoły zajmuje mi więcej czasu niż zwykle. Wypalam pięć papierosów, w kółko słuchając piosenki, która kojarzy mi się z jednym wydarzeniem — ogniskiem u Matta.

Było to dzień po tym, jak Blaze zaatakował mnie na plaży. Chase już od początku dociekał — chciał wiedzieć, jak to się stało. Mój oddech przyspiesza na myśl o jego dłoniach, które w chwili, gdy rozbrzmiała ta piosenka, chwyciły połę mojej kurtki i przyciągnęły mnie do siebie tak blisko, że w tamtej chwili dzieliły nas zaledwie centymetry. Patrzył na mnie intensywnie, pożerając od wewnątrz tą hipnotyzującą zielenią. Zawróciła mi głowie już na początku, choć sprawnie się tego wypierałam.

Przymykam leniwie oczy, kiedy wraz ze wspomnieniem czuję dotyk szorstkich palców na swojej skórze. Wtuliłam się wtedy w rękę chłopaka, odpływając. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam czegoś tak intensywnego. Nikt nigdy nie powiedział mi, że zrobiłam z nim cokolwiek, nie robiąc tak naprawdę nic. Bo właśnie to powiedział tamtej nocy. To właśnie wtedy po raz pierwszy zarzucił mi, że przejęłam kontrolę nad nim i jego życiem, choć w tamtej chwili nasza relacja była co najmniej popaprana.

Gdy przed oczami mam ten jeden moment, czuję ścisk w dole brzucha. Spieprzyłam. Tak bardzo zepsułam wszystko, co zbudowaliśmy. Najpierw zataiłam sprawę swojego imienia, nie wspomniałam o ślubie, potem doszedł do tego mój problem z alkoholem i te wszystkie inne rzeczy związane z naszą przeszłością. Nie zniósł tego. Zbyt wiele spadło na jego barki i odpuścił. Rozumiem to. Zranił mnie niesamowicie, ale nie mogę go winić. Może nawet lepiej, że tak się stało? Nigdy nie obiecaliśmy sobie niczego. Zadeklarowaliśmy swoje uczucie, ale co z tego? To tylko słowa, prawda? Dla mnie znaczyły wiele, ale jak widać, było to jednostronne. Z każdą chwilą jestem coraz bardziej pewna tego, że było i nadal jest mu mnie żal. Zostałam sama, więc postanowił w jakikolwiek sposób dać mi poczucie bezpieczeństwa i kochania.

Nie myliłam się.

Mimo wszystko to dobry człowiek. Chciał dla mnie jak najlepiej, ale nieświadomie zranił jeszcze bardziej. Nie mogę pozwolić sobie na łyzy. Nie chcę, aby myślał, że zrobił coś nie tak, gdy działał tyle dobrego. Chase Shaw zasługuje na szczęście i oboje wiemy, że nie zazna go u mojego boku.

Z papierosem między wargami rozglądam się po pustym parkingu, na który właśnie weszłam. Wyjmuję z kieszeni telefon, w którym po raz kolejny leci dokładnie ta sama piosenka. Mój wzrok pada na chmurkę informującą o dwóch nieodebranych połączeniach i niedawno nadesłanych wiadomościach. Nie czułam wibracji w kieszeni, byłam chyba zbyt zajęta własnymi myślami. Czasem tak mam. Czasem za dużo myślę.

Od: Chase

Gdzie jesteś?

Od: Chase

Coś się stało?

Od: Chase

Jesteś bezpieczna?

Od: Chase:

Kurwa, Lizzy, to nie jest zabawne.

Przełykam ślinę. Cholera.

Do: Chase

tak. wszystko w porządku. musiałam wcześniej stawić się w szkole.

Gdy wciskam strzałkę, automatycznie blokuję telefon. Nie chcę już patrzeć na wyświetlacz. Wolę nie wiedzieć, co odpisze. Zamierzam unikać go cały dzień, bo tak bardzo przeraża mnie spotkanie z nim twarzą w twarz.

Martwi się. On zawsze to robi. Zawsze troszczy się o wszystkich, tylko nie o siebie. Utwierdza mnie to w przekonaniu, jak dobre serce ma ten człowiek.

Przechodzę przez parking. Ludzie zaczęli już zjeżdżać się do szkoły. Jest chwilę po wpół do ósmej, myślę, że to dobry czas, aby przypomnieć sobie co nieco z chemii. Przez nieobecności nauczyciele będą sprawdzać moją wiedzę, dlatego muszę być przygotowana.

Na szczęście do momentu rozpoczęcia zajęć nie spotkałam nikogo znajomego. Wiem, że to okropne, ale nie mam ochoty rozmawiać z kimkolwiek. Jest za wcześnie i nadal czuję się po prostu dziwnie po nieprzespanej nocy. Może gdy zostanę wezwana do tablicy, to się rozbudzę? Za godzinę mam zajęcia sportowe, więc wtedy z pewnością to się stanie.

— Otwórzcie podręczniki na stronie osiemdziesiątej trzeciej — mówi profesor, gdy pojawia się w sali.

Te zajęcia mijają nam na czytaniu. Nie zostaję wywołana do odpowiedzi ani zapytana o powód nieobecności, tak jak zdarzyło się u innych nauczycieli. To mnie cieszy, ale i sprawia, że jeszcze bardziej chce mi się spać.

— Gotowa na wycisk, Ameryka? — Gdy opuszczam salę, do moich uszu dociera dobrze znany mi głos. Od razu odnajduję wzrokiem wesołe spojrzenie Zoe. Dziewczyna dorównuje mi kroku i przerzuca chudą rękę przez moje ramię. — Wyglądasz, jakbyś całą noc nie spała — mamrocze pod nosem, a na jej ustach maluje się złowieszczy uśmiešek. — To jest... interesujące. — Porusza zabawnie brwiami, wywołując u mnie śmiech.

„Gdybyś tylko wiedziała...” — myślę sobie.

— Tak też się czuję — mówię zgodnie z prawdą.

— Przysięgam, że nie mam dziś siły na zajęcia sportowe. Chyba powiem, że jestem niedysponowana.

— A jesteś?

— Nie, ale nie chce mi się ćwiczyć. — Wzrusza ramionami, po czym odrywa się ode mnie.

Najwierniejszą fanką aktywności fizycznych nie jestem, ale też nie należę do dziewczyn, które ciągle od nich uciekają. Znajduję się gdzieś pośrodku. Staram się zachowywać balans, bo wiadomo — przesadzić też nie można.

— Ja tam chętnie się rozruszam — rzucam, rozglądając się po korytarzu. Gdy mój wzrok pada na jedną osobę, w głowie pojawia się pewna myśl. — Mogę zadać ci pytanie? — Poprawiam torbę na ramieniu.

— No. Co jest? — Zoe z uprzejmym uśmiechem unosi wzrok znad telefonu.

Zagryzam wewnątrz policzka, zastanawiając się, czy dobrze postępuję. Co, jeśli powie Loganowi, a ten Chase'owi? Cholera.

— Ale obiecaj, że zostanie to między nami. Jeśli dowie się o tym ktokolwiek i dojdzie to do Shawa, będzie... źle.

— Dobra, teraz mnie przeraziłaś, ale zamieniam się w słuch.

Po raz ostatni rozglądam się dookoła, chwytam kościstą dłoń dziewczyny i ciągnę ją w miejsce, gdzie jest najmniejsze prawdopodobieństwo, by ktoś nas usłyszał. Gdy zatrzymujemy się w kącie, nieopodal automatu z kawą, ściskam mocniej rękę Zoe. Na samą myśl o osobie, której temat chcę poruszyć, robi mi się niedobrze.

— Potrzebuję informacji. Muszę wiedzieć, gdzie znaję Blaze'a.

— Że co?!

Przestraszona przykładam dłoń do jej ust.

— Boże, Zoe, cicho — cedzę wściekłą.

Przez chwilę mierzę się spojrzeniami ze zszokowaną dziewczyną, niemo upewniając się, że już więcej nie wybuchnie. Gdy kiwa głową, odsuwam się od niej i wzdycham ciężko. Przeczesałam ręką włosy.

— Po co ci to? — pyta ostro, ale cicho. Zaciska zęby, a jej oczy płoną wręcz z wściekłości.

Normalnie może i bym się przestraszyła, ale teraz jest mi wszystko jedno.

— Muszę z nim pogadać. Muszę wiedzieć, co go łączy z Frankiem i Omarem — wyjaśniam. — Właśnie dlatego potrzebuję twojej pomocy, ale nikt, absolutnie nikt nie może się o tym dowiedzieć, rozumiesz?

Widzę, jak Jackson przełyka ślinę. Jest zdenerwowana i oszołomiona jednocześnie.

— W porządku — odzywa się po dłuższej chwili ciszy, nerwowo rozglądając na boki. — Ale idę tam z tobą.

Cholera.

— Okej. — Wiem, że inaczej bym jej nie przekonała, więc nawet nie próbuję.

— Okej — powtarza po mnie i ze świstem wypuszcza z ust powietrze.

W tym samym momencie w korytarzu rozlega się dzwonek na kolejne zajęcia. W ciszy ruszamy do szatni, pochłonięte własnymi myślami.

— „Mówisz, że kochasz deszcz, a rozkładasz parasolkę, gdy zaczyna padać. Mówisz, że kochasz słońce, a chowasz się w cieniu, gdy zaczyna świecić. Mówisz, że kochasz wiatr, a zamykasz okno, gdy

zaczyna wiać. Właśnie dlatego boję się, kiedy mówisz, że mnie kochasz”. — Głos profesora Higginsa zniża się, aby zaakcentować czytany fragment książki.

W klasie zapada cisza. Obserwuję, jak nauczyciel przemierza salę z egzemplarzem *Romea i Julii* Szekspira w ręku. Mężczyzna rozgląda się po sali, dumając nad czymś.

— Joshua, jak skomentujesz ten fragment? — mówi nagle donośnie, dlatego zerkam przez ramię na siedzącego w ostatniej ławce Cartera. Nie miałam okazji poznać go osobiście, bo w szkole bywa raczej rzadko, ale zauważyłam już, że należy raczej do tych cichych i wycofanych z życia klasy. Zwykle, gdy mijam go w korytarzu, w uszach ma słuchawki i z nikim nie rozmawia, jakby przebywał we własnym świecie.

Joshua wzdyga się i prostuje na krześle. Ma długie włosy, ale wiem, że w tym momencie słucha muzyki. Zorientowałam się już na drugich zajęciach z literatury.

— Ale jaki? — pyta zdezorientowany, rozglądając się po klasie.

Widzę, jak oczy wszystkich przesuwają się z Cartera na profesora Higginsa. Każdy niecierpliwie czeka na reakcję tego drugiego. Muszę przyznać, że i ja jestem ciekawa, co powie nauczyciel. To nie pierwszy raz, kiedy Joshua został przyłapany właśnie u niego na zajęciach.

— Boże, czy ty to widzisz — mamrocze pod nosem Higgins, wyraźnie zrezygnowany. Brwi mężczyzny unoszą się wysoko i w tym samym momencie w klasie rozbrzmiewa dzwonek. — Wróćmy do tego w piątek. Carter, zapraszam do mnie. Mamy do pomówienia.

W drodze do wyjścia poprawiam torbę na ramieniu. Z kieszeni wydaję telefon. Oficjalnie zakończyłam kolejny dzień w szkole i muszę przyznać, że minął całkiem nieźle. Niewiele myślałam, skupiłam się na tym, co ważne — czyli na nauce — więc jestem odprężona. Wypiłam co prawda cztery kawy na rozbudzenie, ale to może przemilczmy.

Od: Chase

Jak długo zamierzasz mnie jeszcze ignorować?

Przełykam nerwowo ślinę, czytając niedawno nadesłaną wiadomość. Dziś nie pojawiłam się na stołówce. Mój żołądek wywracał się do góry nogami na wyobrażenie spotkania z Shawem. Sprawnie też unikałam go na korytarzu. Widziałam bruneta kilka razy, ale on mnie niekoniecznie. Po zajęciach sportowych czekał nawet, aż wyjdę z szatni, dlatego przemknęłam drugim wyjściem. To dziecinne, wiem, ale musiałam odetchnąć. Szczerze, nawet nie wiem, czy w ogóle chcę jeszcze poruszać temat tej całej Shannon. To jego życie, prawda? Nigdy nie obiecaliśmy sobie niczego, więc nie powinnam mieć powodów do złości.

Blokuję ekran, nie myśląc nawet o odpisywaniu. Jak zawsze na koniec dnia przy drzwiach jest tłum ludzi, dlatego mija kilka minut, zanim udaje mi się wyjść na zewnątrz. Wtedy wydaję z kieszeni paczkę ukochanych papierosów i odpalam jednego w drodze na parking. Na szczęście gdy przez niego przechodzę, Chase’a nie ma jeszcze przy samochodzie. Dziś nie ma żadnego treningu, dlatego powinniśmy wracać do domu równocześnie. Całe szczęście, że ogarnęłam już kiedyś drogę, dzięki której nie będzie możliwości, abyśmy na siebie wpadli.

Tym razem spacer postanawiam odbyć bez dudniacej w uszach muzyki. Pogoda w Crosby nie jest za ciekawa, bo chmury spowiły jakieś dziewięćdziesiąt procent nieba. Wygląda na to, że zanoszą się na deszcz, mam nadzieję, że przed nim zdążę.

W którymś momencie moje myśli niekontrolowanie zwracają się w kierunku, którego obrać zdecydowanie nie chciałam. Przypominam sobie swoje ostatnie spotkanie z Omarem i przysięgam, że robię, co mogę, ale nie potrafię powstrzymać ścisku w dole brzucha, gdy przed oczami pojawia mi się jego twarz.

Pożegnał się. Jest już najprawdopodobniej na drugim końcu świata i przygotowuje się do operacji. Czy przeżyje? To jedno pytanie świdruje mój umysł. Najgorsze jest chyba to, że te okropne głosy w mojej głowie wyrażają nadzieję, że usuwanie guza się nie powiedzie. Kiedyś czytałam o tym, co mają mu zrobić. Kraniotomia polega na usunięciu fragmentu czaszki, aby dostać się do mózgowia. Już to samo w sobie brzmi przerażająco. Szkoda mi go, bo przecież jest człowiekiem, ale jednocześnie nie potrafię się cieszyć, że jest dla niego nadzieja. Zrobił tak wiele złego, skrzywdził tak wiele osób...

Nadal nie dociera do mnie to, że ktoś taki jak on jest moim mężem. Zawsze uważałam, że przed

ołtarzem stanę w białej sukni u boku osoby, którą pokocham całym sercem. Jestem romantyczką. Wychowałam się na powieściach Jane Austen, więc to chyba oczywiste.

Pamiętam, że jako dziecko wyobrażałam sobie, jak składam przysięgę z Darcym u boku. W moim wyobrażeniu był on wysoki i niewyobrażalnie przystojny. Powalał uśmiechem, ale wzrok mojego Darcy'ego skierowany był tylko i wyłącznie na mnie. Uwielbiałam zamykać się w swojej własnej głowie. Uwielbiałam żyć fantazją.

Teraz, gdy o tym myślę, chce mi się śmiać, bo zamiast za Darcy'ego, wyszłam raczej za Wickhama albo pana Collinsa. Choć myślę, że do Omara zdecydowanie bardziej pasuje opis tego pierwszego — jest przebiegły, kłamliwy i zachłanny.

— Lizzy?

Przestraszona nagłym wyrwaniem ze świata wyobraźni odnajduję wzrokiem Logana.

— A ty nie wracasz z Chase'em? — pyta, nachylając się do opuszczonej szyby samochodu, którym właśnie jedzie.

Koła fordą zatrzymują się w momencie, kiedy i ja to robię.

— Tak wyszło — mówię niechętnie, wymuszając uśmiech.

Nie wiem, czy Logan wie cokolwiek o tym, że dziś nie rozmawialiśmy, ale nie mam ochoty spowiadać mu się ze swojego życia.

— No to wsiadaj. Podwiozę cię — rzuca, zupełnie ignorując mój ton.

Upuszczam niedopałek fajki na ziemię i przydeptuję go butem.

— Nie, nie trzeba, ja...

— Zaraz zaczniesz padać. Nie zdążysz. Wsiadaj i nie marudź — mówi wesoło, jak to ma w zwyczaju.

Przejeżdżam językiem po zębach, zastanawiając się nad odpowiedzią. Gdy pierwsze krople deszczu lądują na mojej twarzy, staje się ona oczywista. Zajmuję miejsce pasażera, torbę kładę sobie na kolanach.

Turner zasuwa szybę i w ciszy rusza przed siebie, aby dłużej nie tamować ruchu. To chyba drugi raz, kiedy jesteśmy zupełnie sami. Zawsze widywaliśmy się raczej w towarzystwie znajomych, więc nie mieliśmy nigdy okazji dłużej porozmawiać.

— Zapnij pasy.

„Kolejny” — myślę sobie, ale posłusznie przekładam zabezpieczenie przez klatkę.

— Co słychać? Wszystko w porządku? — pyta, zerkając na mnie kątem oka.

— Tak, jakoś leci. Trochę zaległości się narobiło, ale daję radę.

— Déjà vu.

— Co? — Marszczę brwi skonsternowana.

— Wtedy, gdy przyszedłem do Chase'a i piliśmy herbatę w salonie... wtedy też nadrabiałaś zaległości.

— Faktycznie, tak było.

Między nami zapada chwila dość niezręcznej ciszy. Spuszczam wzrok na palce, którymi zaczynam się bawić. Zastanawiam się, czy Logan wie o Shannon. W końcu on i Shaw przyjaźnią się, prawda? Na pewno rozmawiają, choć tak szczerze — to nie wiem, jak to wygląda u chłopców.

— Mogę mieć do ciebie jedną prośbę? — odzywa się nagle. Jego głos jest inny, wydaje się zamyślony.

— Jasne. — Wzruszam ramionami.

Widzę, jak niepewny jest w tym momencie. Co chwilę na mnie zerka, jakby zastanawiał się, czy to, co chodzi mu po głowie i lada moment opuści usta, będzie słuszne. Ostatecznie skupia się na drodze, po czym wzdycha ciężko.

— Słuchaj, generalnie nie mieszam się w nie swoje sprawy. Nie znam cię, nie mam pojęcia, jak z twojej perspektywy wygląda to, co się między wami dzieje, ale znam Chase'a.

Jestem w szoku. Marszczę brwi, powoli przyswajając jego słowa.

— Do czego zmierzasz?

Turner znów na mnie patrzy, manewrując kierownicą.

— Niektóre rzeczy widać gołym okiem, Lizzy. Nie od dzisiaj. W zasadzie to prawie od początku. Każdy je widzi i tak na dobrą sprawę to tylko wy jesteście ślepi.

— Co?? — Czuję się ogłupiała.

— O Boże. No, nie wiem, jak ci to wyjaśnić. To po prostu widać i tyle — mówi, gdy wjeżdża na posesję Shawów.

— Ale co widać?

Przysięgam, że nic nie zrozumiałam z tego, co właśnie powiedział.

Chłopak zatrzymuje samochód za range roverem Jonathana, po czym obraca się w moją stronę.

— Chase źle to wszystko zniósł.

— Co masz na myśli? — Mimowolnie zaciskam palce na materiale torby.

— Nie był sobą. Znam go długo i po prostu... — Jego wzrok ląduje na lusterku między nami, a później znów na mnie. — Nie zrań go jeszcze ty, Lizzy. To jedyne, o co proszę.

Milczymy, gdy tak patrzymy sobie w oczy. Kompletnie nie wiem, co powiedzieć. Zamurowało mnie.

— Rozumiem. Dziękuję za podwózkę. — Uśmiecham się i otwieram drzwi.

Nieco pokracznie wychodzę z samochodu.

— Nie masz za co. I tak miałem po drodze — śmieje się.

Na zewnątrz już mży, więc całe szczęście, że mnie ze sobą zabrał. Lada moment rozpada się na dobre. Nie ma opcji, że zdążyłabym przed oberwaniem chmury.

— Jeszcze raz dziękuję.

Kąciki ust Logana unoszą się.

— Do jutra, Elizo.

— Do jutra. — Macham na pożegnanie, po czym zamykam drzwi. Trochę za mocno. Krzywię się.

Widzę, jak Turner zaciska powieki na ten dźwięk, ale ostatecznie uśmiecha się tylko nerwowo.

Patrzę w prawo i dopiero teraz zauważam, że za fordem Turnera stoi samochód Chase'a. Chłopak właśnie z niego wychodzi. Kurwa.

Posyłam Loganowi ostatnie spojrzenie. Odwracam się na pięcie i ruszam w kierunku domu. Moje nogi poruszają się w zatrważająco szybkim tempie, przez co prawie się potykam. Ręce drżą mi z nerwów.

Czym tak właściwie się stresuję? Przecież to tylko Shaw. Boże.

Oplatam palcami chłodną kłamkę, wchodzę do środka. Nie wiem, czy Turner wyszedł z auta, aby porozmawiać z Chase'em, i nawet nie chcę tego wiedzieć. Wolę raczej zniknąć w swoim pokoju i najlepiej nie wychodzić z niego aż do jutra. Tak, to najlepsza opcja.

— Lizzy! — Zastygam w bezruchu, gdy przekraczam próg.

Co ona tu robi?

— Akurat o tobie wspomniałam! — mówi uradowana kobieta, podchodząc do mnie. Na jej ustach maluje się szeroki uśmiech. Nim się orientuję, jestem w jej ramionach. — Cześć, córeczko.

Przez chwilę stoję zdezorientowana.

— D-dzień dobry — dukam w końcu, oddając uścisk Theresy.

— Schudłaś, od kiedy ostatni raz cię widziałam. Nie karmią cię tutaj? Co za ludzie. Całe szczęście, że przywozłam co nieco — rzuca, gdy się od siebie odsuwamy.

Przenoszę wzrok ponad ramię Theresy i spotykam przerażone spojrzenie Josephine.

— A gdzie jest mój syne...

— Babcia? — Słyszę za plecami niski głos Chase'a. — Co babcia tu, do cholery, robi?

Theresa cmoka na jego słowa, po czym mnie wymija i najprawdopodobniej do niego podchodzi. Nie wiem. Nie wiem i wolę nie wiedzieć. Chyba zaraz zwymiotuję ze stresu.

Idę do szafki z butami i zdejmuję vansy. Przez cały czas patrzę na Jo, która stoi w przejściu do kuchni z zaplecionymi pod piersiami rękami. Nie wygląda na zadowoloną z odwiedzin matki. W moim odczuciu jest raczej zmieszana, wręcz zła, co nieczęsto można u niej zobaczyć. Zastanawiam się, skąd u niej taka reakcja.

— A ty musisz być taki niemiły, gówniarzu? — Theresa odpowiada w końcu wnukowi. — Co

wy wszyscy takiego kija w tyłkach macie? Dobrze, że przyjechałam, bo atmosfera tu tak gęsta, że można ją nożem kroić.

Poprawiam torbę na ramieniu. Jest mi zimno w stopy. W ogóle jakoś zimno tu dzisiaj.

— Dobra, idę dokończyć obiad — mówi Josephine z uniesionymi wysoko brwiami, po czym znika w kuchni.

Przymykam na moment powieki, z całych sił starając się zebrać do kupy. Oddycham głęboko, a gdy otwieram oczy, widzę, jak Chase zamyka drzwi. Stoi do mnie plecami, ale zaraz odwraca się i patrzy na mnie. Uciekam wzrokiem na babcie.

— Więc? — Chase znów zabiera głos.

Kobieta zadziera głowę, aby spojrzeć na Shawa. Jest niższa ode mnie, więc jemu nie sięga nawet do szyi.

— Po co babcia przyjechała? — Zielonooki ponawia pytanie.

— No, na pewno nie do ciebie. — Theresa przewraca oczami. — Ktoś musi przywołać was wszystkich do porządku, bo słyszałam, że niezłe cyrki tu się dzieją.

— Kto babci takiego gówna nagadał, co? — rzuca z politowaniem.

Choć na niego nie patrzę, jestem pewna, że teraz ma wykrzywioną w grymasie twarz.

— Rozmawiałam z Caroline. Mówiła, że nawaliłaś ojcu, Lizzy. Dobrze zrobiłaś. Zasłużył sobie. Sama chętnie dam mu wychowawczego, żeby się gnojkwowi przestawiło myślenie, bo chyba zbłądził. Josephine to samo. Brak słów — stwierdza z grymasem.

Nagle do moich uszu dociera trzask dochodzący z kuchni, dlatego ruszam w tamtym kierunku. Wspomniana dosłownie sekundę wcześniej Jo stoi właśnie z łopatką w ręku nieopodal zlewu. Oddycha ciężko.

— Przysięgam na Pana Boga, że jeśli mama nie zamknie zaraz jadaczki, to wyjdę z siebie i stanę obok — cedzi przez zęby blondynka, a moje usta otwierają się szeroko.

Pierwszy raz widzę Jo taką... nawet nie wiem, jak to ubrać w słowa.

— Pana Boga to ty do tego nie mieszaj, grzesznico — mówi Theresa, zupełnie ignorując stan córki.

Josephine w odpowiedzi burczy jedynie coś pod nosem, odwraca się do kuchenki i kontynuuje mieszanie. Babcia natomiast klaszcze w dłonie, więc znów na nią patrzę. Kątem oka dostrzegam, że Chase stoi oparty o framugę. Myślę, że ma niezły ubaw z całej tej sytuacji.

— No dobra. To gdzie jest reszta? — pyta Theresa z entuzjazmem.

— Natalie, Terrence i Aiden będą za godzinę, a Jon jest w pracy — mamrocze Josephine.

— A, szkoda — wzdycha, błędząc wzrokiem po pomieszczeniu.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że jest wtorek, a to oznacza, że powinnam być na wolontariacie. Pojawiłam się tam zaledwie dwa razy, a dziś jest też drugi raz, kiedy mnie nie ma. Mam nadzieję, że Michael został poinformowany o powodach mojej nieobecności. Zupełnie zapomniałam do niego zadzwonić, ale skoro się nie odzywa, to najpewniej Jonathan go uprzedził.

Wibracja w tylnej kieszeni sprawia, że wzdrygam się. Od razu sięgam po telefon i patrzę na ekran. Spinam się, gdy widzę, kto do mnie dzwoni.

— To są chyba jakieś jaja — mówię do siebie, a gdy unoszę wzrok, orientuję się, że nikt i tak nie zwraca na mnie uwagi. Chase właśnie sprzecza się o coś z Theresą, a Josephine udaje, że to ją obchodzi. — Przepraszam na chwilę — rzucam mimo wszystko i ruszam pędem w stronę schodów. W drodze na piętro przeskakuję po dwa stopnie, aby znaleźć się w pokoju przed zerwaniem połączenia.

Przysięgam, że wszechświat sobie ze mnie żartuje. Teraz jestem tego pewna.

— Halo. — Mój głos jest niemiły, ale bynajmniej nie zamierzam za to przepraszać.

Cisza.

— Halo — powtarzam nieco głośniej.

— Cześć, Lizzy.

Wzdycham przeciągle.

— Czego chcesz?

Myślę, że coś musiało się stać, skoro dwa dni temu ni stąd, ni zowąd do mnie napisał, a teraz

dzwoni. Normalnie pewnie bym nie odebrała, ale po pierwsze — miałam dobrą wymówkę, by jak najszybciej uciec od Chase'a, a po drugie — ciekawi mnie, co jest na tyle ważne, że Nate już drugi raz próbuje się ze mną skontaktować.

Znów nastaje długa cisza. Przewracam oczami. Nie mam nastroju na uprzejmości. Jestem śpiąca, zła, zraniona, a do tego wszystkiego cholernie mi zimno.

— Słuchaj, jeśli...

— Co u ciebie, Lizzy?

Zastygam w bezruchu.

No nie wierzę.

— Poważnie? Dzwonisz po tylu miesiącach, żeby zapytać, co u mnie? Jakby... Skąd w ogóle masz mój nowy numer, co? — pytam, bo przypominam sobie, że przecież zmieniłam go chwilę po wylądowaniu w Liverpoolu.

— Od Aiden — mówi wprost, przez co omal nie dławię się własną śliną.

Nie no, kurwa, przesada.

— Czego chcesz? — Tym razem mój głos jest jeszcze ostrzejszy. Odpycham się od drzwi, o które się opierałam, i ruszam w stronę okna. Ze złości robi mi się coraz cieplej.

Nie wierzę. No po prostu, kurwa, nie wierzę, że to zrobił. Co za...

— Porozmawiać. Wyjaśnić niektóre sprawy.

Po raz kolejny zamieram z telefonem przy uchu.

Chłopak, który mnie zdradził, a później rozesłał moje nagie zdjęcia, chce ze mną „porozmawiać i wyjaśnić niektóre sprawy”. Chłopak, któremu po tym wszystkim zaufałam na tyle, aby obdarzyć go uczuciem — pisze ze swoją byłą. Ten, którego traktowałam jak własnego brata — zdradza mnie na każdym kroku. A mój własny ojciec okłamuje mnie od zawsze i mam wrażenie, że to jeszcze nie koniec.

„Świat cierpi na brak mężczyzn, szczególnie tych, którzy są cokolwiek warci” — zacytowane kiedyś przez Aiden słowa Jane Austen odbijają się echem w mojej głowie. Dopiero teraz uświadamiam sobie, jak wiele mają w sobie prawdy.

— Słuchaj, Nate... — Już chcę powiedzieć chłopakowi, że nie mam najmniejszej ochoty z nim rozmawiać, gdy nagle drzwi mojego pokoju otwierają się i staje w nich Chase.

Ktoś na górze musi się nieźle bawić. To twoja sprawa, Margaret? A może ty, Dominic, niezmiennie rujnujesz ludziom życie?

— Oddzwonię. Cześć — mówię bez zastanowienia i odsuwam telefon, wciskając czerwony przycisk. Moja klatka unosi się niemiarkowo. Zły moment. — Co? — cedzę przez zęby.

Nie mam pojęcia, o co dzisiaj wszystkim chodzi, ale to są jakieś kpiny.

— Nate? — Chłopak unosi brew z krzywym uśmiechem. — Teraz przynajmniej wiem, dlaczego ignorowałaś mnie cały dzień. Stęskniona za byłym? — pyta oschle, zamykając za sobą drzwi.

Jest wkurzony. Ja też jestem. To nie skończy się dobrze.

— Pieprz się. — Odwracam wzrok w stronę okna.

Rzucam telefon na parapet, przez co po pomieszczeniu roznosi się donośny huk, ale mam to gdzieś. Aiden jest już u mnie skończony.

— Nie, dzięki. — Chłopak siada na łóżku. — Jak było z Loganem? — rzuca z kpiną.

— O co ci chodzi? — Mój głos zdecydowanie nie przypomina tego, którym mówię zazwyczaj. Teraz jest niski, chłodny i chamski jednocześnie. Rzadko go używam, bo rzadko czuję się jak tykająca bomba.

— No, nie wiem. Ty mi powiedz. — Shaw opiera się łokciami o poduszkę. Patrzy na mnie z wymuszonym uśmiechem.

— Ale co mam ci powiedzieć? Logan był miły, więc mnie podwiózł i tyle.

Nawet nie wiem, czemu się tłumaczę. Nie powinno go to obchodzić. Niech spada.

— Więc skoro jest tak miły, to może idź i się z nim prześpij, co?

— Okej, zatem ty idź do Shannon — odpowiadam bez chwili namysłu.

Nie wierzę, że powiedział coś takiego o własnym przyjacielu.

Ta rozmowa nie ma sensu.

— Po co miałbym do niej iść? — Chłopak wstaje i podchodzi do mnie. Jego brwi są ściągnięte, a twarz wyraża wściekłość w najczystszej postaci.

Oboje jesteśmy nabuzowani. Powietrze zgęstniało na tyle, że można ciąć je nożem... albo rzucić nim Shawowi między oczy.

— „Trzeba przyznać, że paluszki nadal masz sprawne. Nic się nie zmieniło. Dziękuję za dzisiaj. Z przyjemnością to powtórzę” — cytuję słowa, które wyryły się w mojej pamięci, bo miałam je przed oczami całą noc.

W pomieszczeniu nastaje grobowa cisza.

Chase zdębiał. Wygląda, jakby co najmniej ktoś uderzył go właśnie w twarz.

Nie chciałam ruszać sprawy Shannon, ale nie pozwolę, aby Chase oskarżał mnie o takie rzeczy. Poza tym nie ma prawa wtrącać się w moje sprawy, skoro sam nie jest lepszy.

— Grzebałaś mi w telefonie? — pyta w końcu z czymś na kształt obrzydzenia.

Kiedyś ktoś mi powiedział, że podczas kłótni człowiek ujawnia swoje najmroczniejsze oblicze i to właśnie wtedy możemy dostrzec, jak daleko jest w stanie się posunąć. Jest w tym ziarno prawdy. Teraz przynajmniej wiem, co Shaw o mnie myśli.

— Co? Oczywiście, że nie!

Nie sądziłam, że ma o mnie aż tak złe zdanie.

— No, na to wygląda, skoro wiesz takie rzeczy — stwierdza ostro, zaplatając ręce pod piersiami. Daje krok w moją stronę.

Czuję nieprzyjemny skurcz w sercu, ale staram się o tym nie myśleć. Zbliżam się do Shawa i zadzieram głowę. Odważnie mierzę się z mrocznym spojrzeniem. Moja szczeka zaciśnięta jest równie mocno co jego. Ta rozmowa zaszła za daleko.

— Posłuchaj mnie uważnie, dupku. Nie wiem, jak bardzo beznadziejnymi ludźmi się otaczasz, ale ja nie należę do osób, które szperają w nie swoich rzeczach. Dla mnie nieruszanie tego, co nie moje, jest świętością. Po drugie, Logan spotkał mnie po drodze. Podwiózł mnie, bo nie wiem, czy jesteś ślepy, ale pada. Wiem, jak to jest być zdradzonym, więc nigdy nie....

Chłopak chwytą moje policzki w dłonie i zamyka mi usta pocałunkiem. Stoję w szoku. Próbuje przyswoić to, co się właśnie dzieje. Ciepło jego rąk sprawia, że piecze mnie skóra. Moje nogi miękną, a oddech staje gdzieś w gardle. Nie oddaję pocałunku. Po prostu trwam w bezruchu, nie potrafiąc nawet zamknąć oczu. Trwa to kilkanaście sekund, do chwili, aż Shaw odrywa się ode mnie, a nasze spojrzenia znów się spotykają.

— Skończyłaś? — pyta spokojnie, uważnie badając moją twarz.

Pozbywam się z płuc wstrzymywanego powietrza, wciąż czując na swoich policzkach gorące ręce bruneta. Mam wrażenie, jakby w jednej chwili duża część frustracji ze mnie wyparowała. Jego wargi znów zakreśliły mi w głowie. On zawsze to robi. Zawsze zamiata niewygodne tematy pod dywan albo zamyka mi usta w ten sposób. To nie jest w porządku.

Pospiesznie wyswobadzam się z objęć bruneta i daję duży krok w tył. Chłopak nie wydaje się tym wielce zaskoczony. Wkłada dłonie do kieszeni spodni, a na jego ustach maluje się lekki uśmiešek.

— Nie, nie skończyłam — mówię nieco niepewnym głosem. — Słuchaj, Chase. Naprawdę nie zamierzam wchodzić z butami w twoje życie. Co robisz, z kim robisz... nie jest moją sprawą, więc przepraszam, że wypomniałam ci Shannon. Nie powinnam. Po prostu zirytowały mnie twoje oskarżenia dotyczące Logana, bo nigdy nie zrobiłabym takiego świństwa Zoe. Nie mam ochoty klócić się dalej z tobą i niszczyć naszej przyjaźni.

Czasem mówimy to, co właściwe, prawda?

Chase patrzy na mnie w milczeniu. Nie potrafię stwierdzić, co myśli, bo ukrył swoje emocje za maską obojętności. Widzę jedynie, że zastanawia się nad tym, co powiedziałam. Jego oczy wwiercają się w moje, jakby chciał wyczytać z nich odpowiedzi na wszystkie pytania.

— Właśnie tym dla ciebie jestem? Przyjacielem? — pyta przeraźliwie cicho, przez co po moich plecach przechodzi nieprzyjemny dreszcz.

Przełykam nerwowo ślinę.

— No... tak — odpowiadam z niemalym trudem. Mam wrażenie, że spadam w ciemną dziurę

bez dna. — Pomagasz mi walczyć z nałogiem. Zająłeś się mną po całej sprawie z Omarem, chociaż nie musiałeś. Zawsze mogłam na ciebie liczyć. Nigdy nie wyśmiałeś mojego problemu ani ciała. Jestem ci za to bardzo wdzięczna, bo zdecydowanie nie należę do łatwych osób. Ostatnimi czasy jestem wahadłem emocjonalnym, a ty mimo to przy mnie trwałeś. — Wymuszam uśmiech. — Dziękuję ci, że byłeś przy mnie cały ten czas. Nie myśl, że mam ci za złe sytuację z Shannon. To twoje życie i ja to w pełni szanuję. Kto jak kto, ale ty zasługujesz na szczęście. — Kończę swój wywód, gdy głos zaczyna mi się łamać.

— Kiedy tak cię słucham, odnoszę wrażenie, że według ciebie wszystko, co dla ciebie robię, robię z litości czy coś.

Milczę.

Reakcja bruneta jest natychmiastowa.

— Kurwa, ty serio tak myślisz — parska w niedowierzaniu.

Chłopak daje krok w przód, przez kilka sekund wgapiając się w swoje skarpetki. Myśli nad czymś, a gdy nasze spojrzenia ponownie się spotykają, przyjemna zieleń znów ogarnia jego piękne tęcza.

— Wczoraj po treningu zadzwoniła do mnie Shannon. Zepsuło jej się auto, więc zapytała, czy znam kogoś, kto mógłby pomóc. Aaron trochę się na tym zna, ja też, no to pojechaliśmy do niej. Stąd właśnie wiadomość o sprawnych paluszkach. — Prycha pod nosem. — A co do „chętnie to powtórzę”, chodziło jej o to, że specjalnie zepsuje auto, żebym do niej przyjechał. Nie mam pojęcia, co to miało na celu, bo nie raz już jej powiedziałem, że wszystko między nami jest skończone. Jeśli mi nie wierzysz, zadzwoń do Aarona. Był ze mną od początku do końca.

Słucham go uważnie.

— A co do poprzedniej kwestii... — kontynuuje, podchodząc jeszcze bliżej. Kładzie dłonie na moich ramionach i zgina kolana tak, że teraz nasze twarze są na tym samym poziomie. — Nigdy więcej nie chcę słyszeć czegoś takiego. To głupie. Jak mogłaś w ogóle tak pomyśleć? — pyta, chowając mi zbłąkany kosmyk włosów za ucho. — Boże, Parker, ty czasem naprawdę kurewsko mnie zaskakujesz swoim tokiem myślenia — mówi z politowaniem.

Przełykam gulę, która uformowała się w moim gardle.

— Myślałam, że jesteś na mnie zły za... no wiesz... i masz mnie już dość. — Uciekam wzrokiem gdzieś w głąb pokoju, przypominając sobie niedzielę.

Chase chwyta mój podbródek tak, aby zmusić mnie do spojrzenia na niego. Uśmiecha się smutno.

— Jesteśmy w tym razem, pamiętasz? — Unosi brew, powtarzając dokładnie te same słowa, które usłyszałam kilka dni temu.

...więc dlaczego jestem w tym sama?

Nie odpowiadam. Nie mam nawet szansy tego zrobić, bo chłopak prostuje się, przyciąga moje ciało do swojej gorącej klatki i mocno tuli. Na czubku głowy czuję jego podbródek, gdy delikatnie kołysze naszymi ciałami.

Chcę krzyknąć, ale nie potrafię.

Jestem w domu.

Nie mam już domu.

Rozdział 10

CHASE

Biorę szklankę z ciepłym mlekiem i upijam duży łyk. Kiedy odstawiam ją na biurko, przy którym siedzę, sięgam znowu po kredkę, żeby dokończyć kolorowanie. Spuszczam wzrok na kartkę. Dzisiaj narysowałem słońce oraz ciocię i mnie w parku. Dawno tam nie byliśmy, bo teraz jest za zimno. Nie mogę się doczekać, aż znowu będzie wiosna. Wtedy z Jojo chodzimy na plac zabaw albo gramy w piłkę na boisku. Jojo jest super!

Wypełniam żółtym kolorem koło, które narysowałem wcześniej, odkładam kredkę na biurko i przyglądam się swojemu rysunkowi. Fajny. Mam nadzieję, że cioci Jojo się spodoba. Zawsze mówi, że pięknie rysuję, więc nie chciałbym jej zawieść. Bardzo się staram, żeby nie wyjść za linię, chociaż jest to trochę trudne.

Biorę znowu mleko i piję jeszcze jeden łyk. Przyglądam się mojej pracy. Lubię rysować. Kiedyś chciałbym być rysownikiem. To byłoby fajne. Rysowałbym ciocię albo babcię Theresę. Chociaż ją mniej. Babcia Theresa jest trochę dziwna. Zawsze mówi rzeczy, których nie rozumiem. Na przykład ostatnio powiedziała cioci Jojo, że Lorraine chce zobaczyć Chase'a. Moja mamusia miała na imię Lorraine, a ja mam na imię Chase, ale przecież moja mamusia jest w niebie. Nie powinienem podsłuchiwać. Ciocia zawsze mnie upomina, gdy podsłuchuję. Mówi, że to bardzo nieładne i że nie przystoi. Nie bardzo wiem, co oznacza to drugie, ale brzmi trochę groźnie, dlatego już tego nie robię.

Odstawiam szklankę i podnoszę kartkę z rysunkiem. Zeskakuję z krzesła i ruszam w stronę drzwi. Trochę się ślizgam na podłodze przez skarpetki. To nawet zabawne. Lubię sobie czasem wyobrażać, że drewno jest lodowiskiem, a ja po nim jeżdżę. Nigdy nie byłem na lodowisku, ale widziałem kiedyś film, w którym taka dziewczyna jeździła i fajnie to wyglądało! Kiedyś na pewno pójdę na lodowisko i zabiorę ze sobą ciocię, bo babcia to pewnie nie da rady. Jest trochę stara, ale nie powiem jej tego, bo byłoby jej pewnie przykro. Kiedyś Jojo jej tak powiedziała. Zaczęła krzyczeć, że kilka siwych włosów to nic. Przestraszyłem się, gdy babcia podniosła głos. Bardzo tego nie lubię, bo chce mi się wtedy płakać.

Najciszej, jak tylko potrafię, otwieram drzwi, które i tak skrzypią. Przeciskam się przez małą szparę i na palcach podchodzę do szuflady, gdzie Jojo zawsze zostawia dla mnie taśmę i nożyczki, żebym mógł dokleić nową pracę. Odkładam wszystko na stolik, a kiedy siadam na krześle, podnoszę głowę. Patrzę na ścianę przede mną. Jest pomalowana białą farbą, ale w ogóle tego nie widać, bo cała jest przykryta kartkami. Niektóre nawet zasłaniają się, bo nie ma na nie więcej miejsca. Ciocia mówi, że to w porządku, że nadal mam sobie rysować, bo ona kocha moje prace. Zawsze tak ładnie się uśmiecha, kiedy je daje. Lubię, kiedy się uśmiecha. Ma bardzo ładne zęby i w ogóle cała jest ładna. Szkoda tylko, że ostatnio tak mało ją widzę. Ciągłe pracuje, a ja siedzę z Thomasem — jej chłopakiem. Tęsknię za tym, jak Jojo brała mnie po szkole do kawiarni, w której pracuje. Nudziłem się, ale wolałbym być z nią.

— Co robisz, gówniarzu? — Słyszę za plecami głos Thomasa, który wchodzi do kuchni.

Przełykam ślinę. Myślałem, że śpi. Wczoraj spał cały dzień, i dobrze, bo miałem spokój. Nie lubię Thomasa. Zawsze na mnie krzyczy, gdy ma zły dzień. Wtedy się jąkam, a on się ze mnie śmieje. Nie mogę nic poradzić na to, że tak jest, gdy się czegoś boję. Jojo mówi, że nie mam się czego wstydić, ale Thomas uważa inaczej. Mówi, że jestem niedojdą i że nie dziwi się, że moi rodzice woleli umrzeć, zamiast mieć takiego jąkałę. Było mi przykro, gdy to powiedział pierwszy raz, i trochę się popłakałem. Wtedy wziął zapalonego papierosa i zgasił mi go na ręce. Bardzo bolało. Chciałem krzyczeć, ale Thomas zasłonił mi usta swoją wielką ręką. Powiedział, że prawdziwy mężczyzna nie ryczy i że mam uodpornić się na takie rzeczy.

— Chcę przykleić obrazek na ścianę — wyjaśniam, spuszczając wzrok na papier.

— O kurwa! — Śmieje się i zabiera mi kartkę sprzed twarzy.

Zadzieram głowę, żeby na niego spojrzeć. Przygląda się mojej pracy z dziwnym uśmiechem. Ma

też dziwne oczy. Są prawie całe czarne. On cały jest dziwny.

— Czy to Josephine? — Thomas odwraca obrazek w moją stronę i pokazuje palcem na panią z żółtymi włosami.

— Tak — odpowiadam od razu, bo on nie lubi czekać.

Thomas nie mówi nic więcej. Odkłada papier na blat i rusza w stronę lodówki. Wyjmuje sok. Postanawiam nie patrzeć na niego dłużej. Tego też nie lubi. Powtarzał mi to bardzo często, a gdy kiedyś robiłem to za długo, to pociągnął mnie za włosy. Nie chcę, żeby znowu ciągnął mnie za włosy. To trochę boli.

Rozwijam taśmę tak, żeby starczyło mi na obrazek. Nożyczkami ucinam małe kawałki i naklejam je sobie na rękę, tak jak zawsze robi to ciocia Jojo. Później znowu zeskakuję z krzesła i z kartką podchodzę do ściany, żeby przykleić swój obrazek. Chcę przykleić go na środku, bo myślę, że jest najładniejszy ze wszystkich, jakie do tej pory zrobiłem. Babcia powiedziała mi, że powinienem używać więcej wesołych barw, a nie tylko czarnych, granatowych i szarych, bo to są smutne kolory. Ona nie wie, że używam tych kredek właśnie dlatego, że czasami jest mi smutno.

— Rysowanie jest dla bab. — Słyszę głos Thomasa, kiedy przyklejam ostatni kawałek taśmy.

Odwracam się w jego stronę. Teraz stoi oparty o stół i patrzy na mnie tymi swoimi dziwnymi oczami.

— Ciocia mówi, że chłopcy też mogą. — Podchodzę do stołu, biorę taśmę i nożyczki i szybko odkładam tam, gdzie były wcześniej.

Chcę iść do swojego pokoju, ale Thomas znowu się odzywa.

— Zapal ze mną, młody — mówi.

Otwieram szeroko oczy ze zdziwienia.

— C-co? — pytam.

Z ust Thomasa wylatuje jakiś dziwny dźwięk. Patrzę, jak odpycha się od stołu i go okrąża. Cały czas stoję blisko drzwi do swojego pokoju. Chcę tam wrócić i pobawić się żołnierzami. Nie chcę już z nim rozmawiać. Nie chcę też palić. To śmierdzi i Jojo mówi, że nie wolno, bo jestem za mały.

— Ile razy mam ci mówić, że masz się, kurwa, nie jękać, co? — Thomas nachyla się nade mną i kładzie mi dłoń na ramionach. Trzęsie mną trochę, a jego usta są mocno zaciśnięte.

Nie odpowiadam. Nie zrobię tego, bo znów będę się jękał, a on tak bardzo tego nie lubi.

— Ile razy? Odpowiadaj, gdy do ciebie mówię! — Podnosi głos, szarpie mną w przód i w tył. Chce mi się płakać. Tak bardzo nie lubię, kiedy ktoś na mnie krzyczy.

— P-przepraszam — mamrocze pod nosem.

Robi się cicho. Thomas przestaje mną trząść i przygląda mi się uważnie. Uśmiecha się w ten dziwny sposób. Zawsze, kiedy tak się uśmiecha, robi mi dziwne rzeczy.

— Zapalimy — mówi, łapie mnie za rękę i ciągnie w stronę wyjścia z kuchni.

— N-nie, p-proszę, n-nie chcę. — Próbuję zatrzymać się nogami, ale moje stopy ślizgają się po drewnie. Nie chcę palić papierosów. Ciocia Jojo będzie na mnie zła, kiedy się dowie. Ona nie lubi, kiedy ktoś pali.

Thomas przeciąga mnie przez korytarz do salonu, który jest też pokojem cioci. Jest tutaj dużo dymu i trochę śmierdzi, nie mogę powstrzymać kaszlu.

Nagle zatrzymujemy się, a on puszcza moją rękę. Kaszlę i cały czas na niego patrzę. Thomas podchodzi do stolika, na którym leży paczka papierosów. Wtedy odwracam się szybko na pięcie i wybiegam. Mam w drzwiach taki zamek. Jeśli zdążę, mogę zamknąć się w pokoju i poczekać, aż ciocia Jojo wróci do domu. Kiedyś już tak zrobiłem.

— Ty mały gnojku!

Biegnę przed siebie, ale jest to trochę trudne, bo podłoga jest śliska. Thomas idzie za mną. Słyszę jego kroki. Mówi coś, ale nie wiem, co to za słowa. Nie znam takich.

Nagle moje nogi się plączą, a ja upadam kolanami na ziemię. Mój nos też uderza o podłogę i to bardzo boli. Nagle unoszę się w powietrzu. Thomas chwyta mnie za ramiona i podnosi wysoko. Jestem do niego tyłem, więc nie widzę jego twarzy, kiedy niesie mnie z powrotem do salonu.

— Zdecydowanie wdałeś się w swojego starego — mówi i odstawia mnie na ziemię. Mocno

ściska palcami moje policzki. — Przysięgam, że gdybyś był moim bachorem, zajebałbym cię już dawno.

Milczę.

Zaczynam się trząść. Boję się. Chcę, żeby ciocia Jojo już wróciła. Przy niej Thomas jest bardzo miły i nawet trochę go wtedy lubię. Nie rozumiem, dlaczego bez niej zachowuje się inaczej. To nie jest fajne. Zawsze boli mnie brzuch, kiedy jesteśmy sami. Czasem ze strachu moczę pościel w nocy, bo śni mi się, że Thomas znowu mnie bije.

— Masz — mówi nagle i podaje mi papierosa.

Nie odpowiadam. Kręcę tylko głową i daję dwa kroki w tył. Ja naprawdę nie chcę. Chcę iść do swojego pokoju i pobawić się żołnierzykami.

— Przestań się mazać, dzieciaku, bo to kurewsko irydujące — mamrocze pod nosem, a papieros znika gdzieś za jego plecami. Ściska moją rękę. — Skoro Josephine nie wie, jak cię wychować, to ja to zrobię. Nauczę cię posłuszeństwa, bo chyba nie do końca kumas, że jesteś szczeniakiem i nie masz nic do gadania — dodaje trochę głośniejsze i ciągnie mnie za sobą w stronę okna.

Myślę o tym, co chce mi zrobić. Wtedy zauważam, że do kaloryfera jest przywiązany łańcuch. Łzy same płyną mi po policzkach.

— Nie. P-przepraszam. N-nie chcę znowu. N-nie będę. P-przepraszam — mówię nerwowo, bo już wiem, co zaraz się stanie.

Ostatnio, kiedy nie robiłem tego, co Thomas mi kazał, przywiązał mi ręce do łańcucha i musiałem tak siedzieć aż do powrotu cioci Jojo. Próbowałem się wydostać, ale nie mogłem. Bardzo bolały mnie ręce i chciało mi się siusiu. Chciałem wytrzymać, ale nie udało się. Thomas wtedy bardzo się ze mnie śmiał. Jego kolega też się śmiał.

— Prosz...

— Zamknij się, serio — odpowiada i zatrzymuje się dokładnie tam, gdzie ostatnio.

Teraz już nie puszcza mojej ręki, więc nie mogę uciec. Patrzę, jak bierze jedną część łańcucha z metalowymi kółkami i zakłada mi je na nadgarstki. Nie mówię już nic, bo wiem, że będzie jeszcze gorzej. Muszę po prostu wytrzymać, aż ciocia Jojo wróci z pracy.

— Siadaj — mówi Thomas, więc to robię. Łańcuch jest ciężki i sam pociąga mnie w dół. Czuję ciągle łzy na policzkach i chciałbym je otrzeć, ale nie mam tyle siły, żeby podnieść ręce.

Thomas zajmuje miejsce naprzeciwko mnie. Znowu ma między palcami papierosa. Patrzę, jak przykładą go do ust, a po chwili wyjmuję z kieszeni zapalniczkę i go zapala. Dym od razu dociera do mojego nosa. Nie mogę powstrzymać kaszlu, bo tak bardzo nie lubię tego zapachu.

— Ja pierdolę — mamrocze pod nosem. — Otwórz usta, młody.

— N-n... — Nie jestem w stanie dokończyć zdania, bo Thomas wpycha mi do buzi papierosa.

— Wdychaj jak powietrze — mówi do mnie.

Łzy cały czas płyną mi po policzkach, ale posłuszenie wykonuję polecenie. Nie chcę, żeby był na mnie jeszcze bardziej zły. Boli mnie gardło. Zaczynam się dusić i płakać jeszcze mocniej. Nie mogę złapać oddechu. Thomas śmieje się ze mnie, ale bierze w końcu papierosa i znowu wkłada go sobie do ust. Zaciąga się nim. Kiedy już myślę, że da mi dziś spokój, przykładą rozżarzoną końcówkę do miejsca nad moim łokciem i przyciska ją mocno do skóry.

Chcę krzyknąć, ale Thomas szybko zamyka mi usta ręką, tak jak ostatnio. Jest mi gorąco. To strasznie boli. Nie chcę, żeby bolało. Chcę, żeby ciocia Jojo wróciła już do domu.

— Żałosne — wzdycha, kiedy odsuwa papierosa i wstaje.

Patrzę na jego nogi. Unosi jedną stopę i kopie mnie w brzuch. Zamykam mocno oczy, ale nie odzywam się, bo on nigdy na to nie pozwala. Muszę być cicho.

— Naucz się wykonywać polecenia dorosłych albo za karę będziesz tak siedział codziennie — ostrzega mnie.

Otwieram znowu oczy i widzę, jak podchodzi do kanapy i siada na niej.

Nagle telefon Thomasa dzwoni. Patrzę na niego przez łzy. Bola mnie ręce, bo te łańcuchy są bardzo ciężkie. Łokieć też bardzo piecze. Chcę, żeby ciocia Jojo wróciła już do domu.

— No? Ta, jestem z nim. Daj spokój, Frank. — Śmieje się i kładzie nogi na kanapie. — Szukałem, ale nie znalazłem. Nie ma go tu. Nie wiem, jeszcze trochę. To kiedy? Okej.

W pokoju znowu robi się cicho. Thomas rozłącza się i bierze do ręki pilota, żeby zrobić głośniejszy mecz. Nie odzywa się już więcej. Nawet na mnie nie patrzy, kiedy siedzę na zimnej podłodze przykuty do kaloryfera.

Układałem żołnierzyki, które dostałem od cioci na piąte urodziny, tak żeby były w rzędzie. Chcę zrobić małą wojnę i przygotowałem już nawet fajne góry z poduszek, żeby przeciwnicy mogli się ukryć. Thomas wyszedł gdzieś, bo Jojo wróciła już z pracy. Bola mnie trochę ręce. Mam też czerwone nadgarstki, ale przed przyjściem cioci założyłem bluzę, tak jak kazał mi Thomas, więc nic nie widać. Thomas każe mi nigdy nie mówić nikomu o tym, co się dzieje, kiedy Jojo nie ma w domu. Uważa, że to dziecinne — skarżenie. No i mówi też, że jeśli jej powiem, to zrobi jej to samo co mi. Nie chcę, żeby cioci stała się krzywdą, bo bardzo kocham Jojo i nie lubię, kiedy płacze.

— Co robi najstarszy chłopiec na tej planecie? — Słyszę mój ulubiony głos.

Uśmiecham się pod nosem i patrzę na ciocię. Ma na sobie fajny niebieski sweterek i dresy. Zawsze tak się ubiera, kiedy jest w domu. Włosy ma związane w kucyk, co też bardzo lubię. Ciocia Jojo jest bardzo ładna, no i ma ładne zęby.

— Robię wojnę! — Biorę do ręki dwa żołnierzyki i unoszę je.

Ciocia Jojo śmieje się i siada obok mnie. Zawsze tak robi. Zawsze spędzamy razem czas, kiedy wraca z pracy, i to jest fajne. Ona lubi się ze mną bawić, a ja lubię być z nią. Najbardziej podoba mi się, kiedy zmienia głos, żeby pasował do żołnierzyka. Ona zawsze wybiera tego największego, bo jest starsza — ale nie stara. Babcia Theresa jest stara.

— Jak było z Thomasem? Dobrze się bawiłeś, maluchu? — pyta ciocia i bierze do ręki swoją ulubioną figurkę.

— Tak — odpowiadam tylko.

Pilnuję, żeby moje żołnierzyki Dominic i Chase stali w równej linii.

Każdej figurce dałem imię. Jest Chase — czyli ja, Dominic to mój tata, Josephine, czyli ciocia, Theresa, czyli babcia, Lorraine, czyli mamusia, Michael, czyli kolega Franka, i Terrence — kolega Jojo. Był u nas ostatnio i bardzo go polubiłem. On mnie chyba też. Bawił się ze mną żołnierzykami i dał mi taki fajny krzyżyk, ale ciocia schowała go, bo powiedziała, że jestem jeszcze za mały. Powiedział też, że znał moich rodziców i że ten krzyżyk był mojego taty. Ciocia mówi, że Terrence to nasz anioł stróż i że to dzięki niemu mamy gdzie mieszkać. Nazwałem więc jednego żołnierzyka jego imieniem, bo skoro ciocia mówi, że jest dobry, to tak jest. Ona nigdy nie kłamie.

Szkoda, że Terrence nie jest chłopakiem Jojo. Jest o wiele fajniejszy od Thomasa. Jednego żołnierzyka nazwałem też jego imieniem, ale on jest po przeciwnej stronie. Tak samo Frank, jego drugi kolega, ale jego nie lubię tak jak Michaela. Franka poznałem kilka dni temu. Właśnie wtedy, kiedy Thomas pierwszy raz przywiązał mnie do kaloryfera. On też się ze mną śmiał, dlatego jest w drużynie z Thomasem. Zawsze, gdy się bawię, to moja drużyna wygrywa, a oni przegrywają. Są głupi i niemili, ale nie powiem o tym cioci Jojo, bo nie chcę, żeby było jej przykro.

— Masz ochotę na pizzę? — mówi nagle ciocia, kiedy przyglądam się żołnierzykowi Chase'owi.

Odkładam go tak, że teraz stoi między Dominikiem i Lorraine. Ciocia nie wie, że moje figurki mają imiona, bo to taka tajemnica.

Jojo przygląda mi się uważnie. Jej ładne niebieskie oczy patrzą na moje ręce. Dopiero teraz zauważam, że odsłoniło mi się trochę nadgarstka. Szybko naciągam bluzę i uśmiecham się do niej.

— Tak — odpowiadam, a ciocia znowu na mnie patrzy.

Teraz nie uśmiecha się tak, jak na początku.

— Słońce, wszystko w porządku?

— Tak, ciociu. Chodźmy zamówić pizzę — mówię szybko i wstaję. Moje skarpetki znowu ślizgają się po podłodze jak po lodzie.

Kiedys naprawdę wezmę ciocię na lodowisko. Kiedys pokażę jej cały świat i będę zarabiał tyle pieniędzy, że nie będzie musiała już tak dużo pracować. Będzie mogła spędzać ze mną więcej czasu. Terrence'a też tam wezmę. Terrence jest fajny. Ciocia przecież powiedziała, że to nasz anioł stróż. To chyba dobrze, prawda? Anioły się nami opiekują.

Napieram na oparcie fotela i patrzę w dół, na siedzącą pode mną Lizzy. Widzę tylko jej włosy, bo stoję za nią. Nie mam pojęcia, co wyraża jej twarz, ale że bawi się nerwowo palcami, śmiało mogę stwierdzić, że się denerwuje. Ona zawsze tak robi. To taki jej tik nerwowy. Jedni zagryzają wargę, inni tupią nogą, a ona maltretuje ręce. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, jaki bałagan musi mieć teraz w głowie. Na myśl, że to wszystko z mojej winy, chce mi się rzygać. Ja pierdolę.

Kiedy do moich uszu docierają jakieś dziwne szmery, podnoszę wzrok i parskam na widok Aiden, który właśnie uderzył się nogą o stolik. Dobrze mu tak. Nadal kurewsko mnie irytuje.

— Dobrze. — Theresa wstaje w końcu ze swojego miejsca. — Skoro wszyscy już jesteśmy, myślę, że możemy zaczynać — mówi z determinacją w głosie.

Rozglądam się po pomieszczeniu i przysięgam, że to, co mam przed oczami, rozpierdala mnie zupełnie. To wygląda jak jebany zlot czarownic. Josephine ma wory pod oczami i patrzy na babkę, jakby zaraz miała ją ze skóry obdrzeć. Ta cała Natalie wydaje się raczej przestraszona obecnością swojej matki. Ojciec Lizzy jest tak spięty, że mam wrażenie, że zaraz urwie mu się guzik. Terrence nie jest wcale taki gruby, ale nosi cholernie obcisłe ubrania. Tak samo Aiden, ale ten to już, kurwa, inny poziom. Nie dość, że jego kutas nie ma pewnie czym oddychać przez te gejowskie spodnie, to jeszcze wygląda jak jebana choinka na Boże Narodzenie z tymi kłakami, kolczykami i tęczową koszulką. Nie mam oczywiście nic do gejów, ale ten jeden zajebiście mnie wkurwia.

— Niech babcia już zaczyna, bo nie mam czasu — burczę pod nosem.

Oczywiście to nieprawda. Nie mam nic innego do roboty, ale chciałbym porozmawiać z Parker o tym, co między nami zaszło. Ta sytuacja z Shannon to jedno wielkie gówno. Nie spodziewałem się, że moja była wyśle mi wiadomości z podziękowaniami. W dodatku tak dwuznacznie dobrała słowa. Mnie to nie przeszkadza, bo ja wiem, że ona taka po prostu jest, ale Lizzy zrozumiała jej wiadomości bardzo opacznie. Nie chciałem, żeby tak wyszło. Parker przeszła przez gówno. Jej pojebany były sprawił, że stała się niepewna, a ja nie chcę tego pogłębiać.

— A co ty niby masz do roboty, gówniarzu? Eliza jest tu, więc nigdzie nie musisz iść. Zamilcz i słuchaj — mówi babka, a ja nie potrafię pohamować parsknięcia, bo ta kobieta jest naprawdę niemożliwa.

No ale ma rację.

Parker wychyla się ze swojego miejsca i patrzy na mnie z dołu. Kąciki jej ust są lekko uniesione i przysięgam, że oddałbym wszystko, żeby móc patrzeć na ten uśmiech każdego dnia, do końca swojego życia.

„Nie mam ochoty kłócić się dalej z tobą i niszczyć naszej przyjaźni” — te słowa niczym jebane echo odbijają się w mojej głowie. Zabolało, nie powiem, ale chcę wyjaśnić. Chcę wiedzieć, czy naprawdę tak myśli. Brzmi desperacko, ale w jej przypadku jestem trochę takim głupcem, który potrafi błagać nawet na kolanach o cokolwiek. Dla niej zrobiłbym wszystko, i to mnie przeraża.

Kładę palec na jej nosie. Marszczy go uroczo i zamyka powieki. Kiedy spuszcza głowę, przenoszę wzrok na wszystkie czarownice w pomieszczeniu. Widzę, jak Theresa uśmiecha się w ten typowy dla niej sposób. Ona wie. Oczywiście, że nie jest ślepa. Josephine to samo. Nie zamierzam jakkolwiek tego ukrywać. Nigdy tego nie robiłem.

— Dajesz, babka — rzucam w końcu, kiedy orientuję się, że wszystkie pary oczu skierowane są na nas.

Theresa klaszcze w dłonie i staje przed telewizorem tak, żeby mieć widok na każdego z nas. Opiera dłonie na biodrach, a ja już wiem, że czeka nas niezłe kazanie. Kiedyś widziałem, jak darła się o coś na Jo i kurwa, zdążyłem pójść pół kilometra do sklepu, zrobić zakupy i wrócić, a ona nadal się wydzieriała.

— Dobrze. Myślę, że nadszedł czas, abym wzięła sprawy w swoje ręce — zaczyna hardo. — Zaczniemy od słów: „a nie mówiłam”, bo oczywiście ostrzegałam was milion razy, że tak w końcu się stanie i będziecie w czarnej dupie, ale byliście najmądrzejsi. — Przewraca oczami przy ostatnich słowach, a Jo robi dokładnie to samo.

Pojebane tak siedzieć tutaj razem. Mam na myśli Jo, Natalie i Theresę. Nadal jakoś nie dociera do mnie, że te dwie są siostrami. Są podobne, ale po prostu... No, o istnieniu tej drugiej dopiero co się

dowiedziałem, więc to chyba logiczne, że trudno mi to przyswoić.

— Niemniej pominiemy ten fakt, bo mleko się rozlało i nic tego nie zmieni. Porozmawiajmy o tym, co tu i teraz. Tak nie może być. Wiem ze swoich tajnych źródeł...

— O imieniu Caroline — mamrocze pod nosem Josephine.

— Ona przynajmniej coś robi, a nie tak jak wy żyje nadzieją, że wszystko samo się rozwiąże. Dorośnij w końcu, dziewczyno, bo głupia jak but chwilami jesteś — docina jej babcia.

Nikt nie jest tak bezpośredni jak ona. Tym razem nie jest inaczej.

W pomieszczeniu zapada cisza. Theresa nieźle się już napuszyła. Ona zawsze do wszystkiego podchodzi bardzo emocjonalnie, no i nie od dziś ma na pieńku z Jo. Prawda jest taka, że nie pamiętam jej wizyty u nas bez jakiegokolwiek sprzeczkki. Babka zawsze chciała ingerować w moje wychowanie, na co Josephine nie pozwalała. Kiedyś nawet zastanawiałem się, dlaczego trafiłem właśnie do niej, a nie do Theresy. Wiem, że babcia niejednokrotnie proponowała, że weźmie mnie do siebie, ale ciotka nigdy się na to nie godziła.

— W każdym razie... — odzywa się znowu kobieta, kiedy nikt nie odpowiada na jej słowa — ...wszyscy doskonale wiemy, że tak dalej być nie może, dlatego mam pewną propozycję. — Robi pauzę, aby dodać nutki dramatyzmu, jak to ma w zwyczaju. — Niech każdy powie, co mu leży na sercu. Takie słowne policzki. Myślę, że to najlepsza opcja. Nie ma co dusić w sobie negatywnych emocji. Wywalcie z siebie całą frustrację i po problemie. Cisza jest o wiele gorsza od krzyków, dzieci — mówi i kurwa, no muszę przyznać, że znowu ma rację. Nic tak nie wyniszcza człowieka jak milczenie, gdy w powietrzu wisi tyle słów.

Spuszczam wzrok na Lizzy. Wierci się na fotelu. Dokładnie to samo robi jej ojciec, patrząc na nią. Oboje są niespokojni. Z tego, co mi wiadomo, nie rozmawiali jeszcze o tym, co się działo.

— To może ja zacznę. — Ku mojemu zdziwieniu głos zabiera ta cała Natalie. Wcześniej nie słyszałem, żeby coś mówiła. Za każdym razem raczej trzymała się na uboczu i zauważam, że chyba nie tylko ja jestem teraz zaskoczony.

Obserwuję, jak blondynka zakłada nogę na nogę, a jej policzki robią się czerwone, kiedy uświadamia sobie, że wszyscy na nią patrzymy. Z charakteru jest zupełnym przeciwieństwem Josephine i widać to gołym okiem. Jo jest wygadana, impulsywna i zawsze pełna pozytywnej energii. Natalie należy raczej do tych wycofanych, cichych obserwatorów, którzy nie mówią wiele, ale dużo widzą.

— Tak jak mama uważam, że sprawy zaszły za daleko. Dobrze wiesz, Lizzy, że traktuję cię jak własne dziecko. Nigdy nie pozwoliłabym, aby stała ci się krzywda. Sama chciałam niejednokrotnie, abyście dowiedzieli się prawdy, bo nikt nie zasługuje na życie w kłamstwie. Przeszłaś prawdziwe piekło. Straciłaś mamę przez błędy mojego szwagra. Poświęciłaś się, wychodząc za Omara, i nigdy nawet przez chwilę nie narzekałaś. Nigdy nie mówiłaś, że ci źle, choć ja widziałam, że było, i to bardzo. Uśmiechałaś się zawsze, gdy... — Zatrzymuje się na moment, jakby zorientowała się, że mogłaby powiedzieć coś, czego nie powinna.

Spinam się. Nie podoba mi się ta przerwa.

— Nie potrafię sobie wyobrazić, co musisz czuć. Zawiedliśmy cię... was wszyscy. Nigdy sobie tego nie wybaczę. Wskoczyłaś dla nas w ogień, Elizo, a my milczeliśmy. Dużo o tym myślałam i... przepraszam. Macie pełne prawo, żeby się na nas gniewać. — Kończy swój monolog, jednak ja myślami nadal jestem przy fragmencie o uśmiechu.

Uśmiechała się, gdy... co?

Natalie wyglądała na co najmniej zmieszaną. Jej oczy otworzyły się szerzej i kobieta zaczęła chaotycznie błędzić wzrokiem po pomieszczeniu. Nie wiem, jak zareagowała Parker, bo nie widzę jej twarzy, ale z pewnością poruszę z nią ten temat, gdy już będziemy sami.

— Ja tak naprawdę nie wiem, co mógłbym powiedzieć — odzywa się nagle jej ojciec. — Jest mi z tym źle. Wiem, że nie powinienem tego tak rozegrać, ale nie cofnę czasu, więc tłumaczenie się uważam za zbędne — mówi z powagą, a jego wzrok pada na mnie.

— Ja też mam coś do powiedzenia w tej sprawie. — Teraz Aiden zabiera głos.

Siwy wstaje, jakby miał powiedzieć coś ważnego, ale kurwa, ja już wiem, że będzie łągał albo bronił siebie. Mam ochotę prychnąć, kiedy łączy swoje dłonie w jakiś dziwny sposób, próbując stworzyć

iluzję kogoś, kto nawet nie istnieje.

— Na początku chciałbym powiedzieć, że jest mi bardzo przykro, i te przeprosiny kieruję do ciebie, Lizzy, w szczególności. Wiem, że mi nie wybaczysz i nawet tego nie oczekuję, ale wiedz, że naprawdę bardzo cię kocham i nadal traktuję jak siostrę. Zrobiłem wiele głupot. Żałuję. Gdybym mógł cofnąć czas...

— Ja pierdołę, ale z ciebie zakłamany skurwysyn — cedzi przez zęby Parker.

Moje oczy otwierają się szeroko, bo po pierwsze: nie spodziewałem się, że coś powie, a po drugie: chyba pierwszy raz słyszę u niej tak mocne słowa.

— Co to w ogóle za pierdolenie, co? Wiesz, miałam taki moment, kiedy myślałam, że może faktycznie tak jest. Stwierdziłam, że każdy popełnia błędy, i chciałam nawet wyciągnąć do ciebie rękę.

Niespodziewanie wstaje z fotela i podchodzi do Aideny. Wszyscy wyglądają na zszokowanych i kurwa, ja też jestem, bo nie wiem, o co tutaj chodzi ani skąd u niej ten nagły wybuch agresji.

— Całe szczęście, że odebrałam ten telefon. Teraz wiem, że popełniłabym największy błąd swojego życia.

Jestem coraz bardziej niespokojny. Nie mam pojęcia, o czym Lizzy mówi, a ona kontynuuje:

— Nie udawaj zdziwionego, Aiden. Rusz głową i pomyśl, co takiego jeszcze spierdoliłeś w przeciągu ostatnich kilku dni.

Widzę, że Warren intensywnie nad czymś myśli. Nagle przez jego twarz przelatuje szok.

— Właśnie. Jesteś taki sam jak twój ojciec — niemal szepcze.

Prawie dławię się powietrzem, bo tego się po niej za chuja nie spodziewałem. Jestem pewien, że nawet Theresa zbiera w tym momencie swoją sztuczną szczękę z podłogi.

W pomieszczeniu nastaje głucha cisza.

Mój mózg powoli przyswaja to, co usłyszałem. Co ten debil znowu zrobił? Kurwa mać, Aiden to chodząca życiowa porażka. Przysięgam, że jeśli przez niego Lizzy znowu się napije albo już to zrobiła, to rozwalę mu łeb o ścianę, a później połamię każdy palec.

— Aiden, gówniarzu! Coś ty znowu odwalił, co? — Babka zabiera w końcu głos i teraz jest już wkurzona.

Warren patrzy na Theresę wielkimi oczami.

— Aiden... — Terrence ponagla go. Wydaje się zaniepokojony słowami córki.

Lizzy prostuje się i zaplata ręce pod piersiami, z mordem w oczach patrząc na siwego. Dokładnie to samo spojrzenie dostałem od niej trzydzieści minut temu. Jej policzki są czerwone, włosy ma w totalnym nieładzie, a usta mocno zacisnęła. Oddycha ciężko i kurwa, jestem spierdolony, że teraz o tym myślę, ale moim zdaniem wygląda naprawdę gorąco, kiedy się wkurza.

— No, dalej, Aiden.

Znowu nie odpowiada. Dziewczyna prychna.

— Wiesz, co jest w tym wszystkim najzabawniejsze? Że jebiesz coś i później nie umiesz się przyznać. A jeśli już się przyznajesz, to tylko dla świętego spokoju, a nie dlatego, że faktycznie tak czujesz. Dobrze wiesz, jakie piekło zgotował mi Nate — cedzi przez zęby, a ja dębieję. — Dobrze wiesz, co zrobił. Sam mnie ogarniałeś, kiedy... a później... I tak po prostu... Po tym wszystkim pomagasz mi do mnie dotrzeć? — szepcze łamiącym się głosem.

— Co zrobiłeś?! — Natalie akcentuje pierwsze słowo, wyrywając mnie z osłupienia.

Dopiero teraz dociera do mnie sens słów Lizzy. Aiden pomógł facetowi, który ją zdradził i rozsyłał jej zdjęcia. Temu samemu, który był jednym z powodów jej próby samobójczej. Ja, kurwa, pierdołę.

— Byłem zły i nawalony, kiedy do mnie napisał. Przepraszam. Ja naprawdę nie chciałem...

— Ty to, kurwa, serio w starego się wdałeś — mówię z obrzydzeniem, którego nawet nie próbuje ukryć. Zaciskam szczękę, z trudem powstrzymując się od podejścia i połamania mu tych jebanych palców.

Właśnie dlatego nie chcę, żeby był blisko niej. Ciągle coś pierdoli i komplikuje.

W tamtym momencie uświadomiłem sobie, że Dominic zniszczył Margaret, a jego synowie dokładnie to samo robili z jej córką.

Zaciągam się trzecim już papierosem. W uszach dudni mi cisza, która panuje w ogrodzie. Unoszę głowę i wypuszczam dym. Słaba jarzeniówka świeci mi nad głową i daje tylko niewielką poświatę na taras.

Po wyznaniu Elizy rozpętała się burza. Terrence wybuchł na wieść o tym, co zrobił Aiden, tak jak Natalie. Każde z nich było równie wkurwione i jakoś mnie to nie dziwi. Wiem, że mimo wszystko zależy im na tej dziewczynie tak samo mocno jak mi. Po tym, czego dowiedziałem się wczoraj od Franka Rumelego, jestem tego wręcz pewien.

— Jak tak dalej pójdzie, to wyzioniesz ducha od tych fajek. — Słyszę za plecami cichy, słodki śmiech, który kiedyś tak bardzo lubiłem.

Nic się nie zmienił. Cały czas jest równie przyjemny dla ucha.

— Na coś trzeba umrzeć — mówię z nutą humoru, bo w sumie śmierć jest całkiem śmieszną sprawą.

Na przykład niektórzy umierają, a kilkanaście lat później okazuje się, że siedzą sobie w psychiatryku. Inni za to mają nawet swoje nagrobki, ale pod ziemią nie ma ich ciał. Zabawne.

— Idiota — parska Jo, wkładając do ust cienkiego papierosa. Moje brwi unoszą się. — No co? Na coś trzeba umrzeć — mamrocze z fajką między wargami i odpala ją jednym pstryknięciem.

Kręcę głowę, nie potrafiąc pohamować uśmiechu. W mojej głowie pojawia się wspomnienie sprzed dwóch lat. Wtedy mieliśmy taki czas, że każdego wieczoru obowiązkowo musieliśmy zapalić razem chociażby jednego papierosa. To był pojebany moment. Dużo się działo, więc oboje wydychaliśmy swoją frustrację właśnie w tym miejscu, rozmawiając o niczym. Problemy spychaliśmy na dalszy plan. Dyskutowaliśmy o pogodzie, dniu w szkole czy filmach w kinie. Po prostu udawaliśmy, że wszystko jest w porządku. Że życie nie wali nam się na głowy. Tacy właśnie byliśmy.

Nie ukrywam, dziwi mnie to, że znów widzę ciotkę z papierosem. Nie paliła już ponad rok.

— Popaprane to wszystko — mówi. Kątem oka widzę, że patrzy w ciemność przed nami. Robię dokładnie to samo.

Mam nadzieję, że ojciec Lizzy nie gada jej jakiegoś gówna, przez które znowu będzie jej przykro. Terrence i Natalie chcieli porozmawiać z Lizzy i Aidenem, dlatego postanowiłem dać im trochę przestrzeni i wyszedłem. To ich sprawy i myślę, że powinni wyjaśnić je między sobą. Oczywiście wolałbym tam być i upewnić się, że jest okej, ale to byłoby słabe. Wiem, że Josephine myśli tak samo i właśnie dlatego jest tutaj ze mną. Babka to gumowe ucho, więc została. Nie dziwi mnie to. Cała Theresa. Ona musi wiedzieć wszystko.

— Nooo — mamrocę tylko przeciągle i znowu podnoszę głowę do góry, żeby pozbyć się dymu.

Lubię palić. Zawsze, kiedy to robię, myślę o czasach, gdy były chłopak Josephine, Thomas, wpychał mi fajki do ust, a później gasił je na skórze. Dzięki temu, będąc w jakimś pojebanym położeniu, uświadamiam sobie, że było gorzej, a i tak sobie poradziłem. Skoro jako szczeniak dałem radę, to dlaczego teraz miałyby być inaczej?

— Myślisz, że kiedyś będzie jeszcze dobrze? — pyta nagle Jo, dlatego uchylam powieki, które mimowolnie zamknąłem.

Gdy byłem jeszcze dzieciakiem, Josephine powiedziała mi, że oczy są odzwierciedleniem duszy. Nie rozumiałem tego tak naprawdę do momentu, aż poznałem Parker. Wtedy jakoś bardziej zacząłem zwracać uwagę na takie rzeczy. Fakt, że jej tęczęwki zmieniają się pod wpływem samopoczucia, jest co najmniej pojebany, ale niesamowity jednocześnie. To zadziwiające, bo nigdy wcześniej nie spotkałem się z czymś takim.

Lubię patrzeć w jej oczy. Są naprawdę ładne, ale mają w sobie coś, co mnie niepokoi. Jestem w stanie wyczytać jej uczucia poprzez barwę — tak, to prawda. Jednak mimo wszystko zawsze, kiedy w nie patrzę, są takie... nieobecne. Nie wiem, jak to opisać. To trochę tak, jakby widziało się tylko kolor i nic poza tym. Jakby to była jakaś porcelanowa lalka o hipnotyzujących oczach, ale pustym spojrzeniem. Nieżywym. Martwym po prostu.

Od chwili mojego odkrycia bardziej zacząłem zwracać na to uwagę. Rozmawiając na przykład z

Caroline czy właśnie z Josephine, obserwowałem je intensywniej. Pojebane, wiem, ale musiałem chyba się upewnić, że w ich przypadku poczuję dokładnie to samo co u Lizzy. Rzecz w tym, że nie poczułem. U nich widziałem jedynie proste emocje, które można łatwo rozczytać. Ich oczy nie były ani nie są puste. Są pełne życia. Zupełnie inne od tych, w które lubię patrzeć najbardziej.

— Nie wiem — odpowiadam w końcu i uśmiecham się do niej lekko, co odwzajemnia.

Nie zamierzam mówić, że będzie zajebiste, bo to bez sensu. Jasne, fajnie żyć nadzieją, ale ja wolę nastawić się na najgorsze, żeby później się nie zawieść.

— Jesteś najlepszym, co mi się w życiu przytrafiło, wiesz? — mówi nagle.

Widzę, jak w jej oczach zbierają się łzy.

Stoję jak wryty i przetykam ślinę, bo trochę zaskoczyła mnie tym wyznaniem. Ciotka uśmiecha się do mnie szerzej z zaciśniętymi wargami. Jej wolna ręka unosi się i ląduje w moich włosach, robiąc na głowie mały bałagan. Uważnie obserwuję każdy jej ruch. W ustach mam sucho, a wewnątrz wręcz pali się, bo za chuja nie wiem, co tak właściwie teraz czuję.

— W życiu zrobiłam wiele głupot, ale uwierz, że nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. Mam nadzieję, że kiedyś to zrozumiesz i mi wybaczysz. — Wypuszcza kolejną dawkę dymu, po czym podchodzi do popielniczki, aby zgasić niedopałek. Rzuca mi ostatnie spojrzenie i rusza w stronę drzwi.

Przez cały czas śledzę każdy jej ruch. Moja głowa paruje od myśli i uczuć, których nie potrafię rozpracować. Na początku byłem wkurwiony, bo oszukiwała mnie przez te wszystkie lata i nie wspomniała słowem o matce. Teraz, gdy wiem już więcej, widzę to zupełnie inaczej. Kurwa, tak właściwie to ja ją podziwiam, bo kiedy mnie wzięła, miała tylko osiemnaście lat. Zdawała sobie sprawę, co niesie za sobą zabranie mnie pod swoje skrzydła. Uratowała mnie, do chuja, więc jak miałbym się na nią dłużej złościć? Sam postąpiłbym dokładnie tak samo. Zszedłbym do piekła, byleby tylko ochronić tych, których kocham.

— Już ci wybaczyłem — mówię cicho, kiedy słyszę, że otwiera drzwi.

Nie patrzę na nią. Nie muszę, bo wiem, że ona robi to intensywnie. Jej wzrok aż pali moją skórę. Nie spodziewała się tego. Ja w sumie też tego nie planowałem, ale chcę, żeby wiedziała. Szczególnie teraz, bo niebawem może być już za późno.

Stoję w milczeniu. Nagle czuję za plecami tak dobrze znane mi ciepło. Upuszczam fajkę na beton i odwracam się do niej. Wtedy jej dłonie zaciskają się mocniej wokół mojej talii, a twarz znika w zagłębieniu między szyją a ramieniem. Słyszę, jak ciężko oddycha i chyba nawet szlocha. Kładę jedną rękę na jej plecach, a drugą na włosach. Zawsze lubiła, kiedy to robiłem. Mówiła mi, że głowa to jej wrażliwe miejsce i mogłaby spędzać godziny na masażach, dlatego często jej takie robiłem, gdy mieszałyśmy jeszcze sami. Mieliśmy przecież tylko siebie.

Jojo i Chase przeciwko światu.

— Dobra, koniec tych czułości, bo jeszcze się przyzwyczaisz — śmieję się pod nosem, ale prawda jest taka, że chętnie bym jeszcze sobie z nią postał. Rzecz w tym, że Lizzy dość długo rozmawia z ojcem. Muszę sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku.

— Jasne, jasne — mówi rozbawiona, ocierając łzy. — Idź. Ja zaraz przyjdę.

— Jesteś pew...

— No, idź już do niej, bo przecież nie wytrzymasz. — Gestem pokazuje mi, że sobie poradzi.

Przez chwilę jeszcze patrzę na nią, żeby upewnić się, że jest okej, po czym odwracam się na pięcie i wchodzę do środka. Pierwsze, na co zwracam uwagę, to cisza. Nie słyszę rozmów, krzyków, szmerów, niczego. Jakby nikogo nie było.

Czuję ścisk w brzuchu. W głowie pojawiają mi się najczarniejsze scenariusze. Nie było mnie zaledwie chwilę, ale w tym czasie mogło się wydarzyć absolutnie wszystko. Przecież kiedy wróciliśmy z Bangor i Parker zobaczyła swojego ojca, wybiegła z domu na kilka godzin.

Przechodzę szybko przez korytarz i wchodzę do salonu. Marszczę brwi, kiedy widzę w nim tylko babkę, Terrence'a i Natalie.

Okej, gdzie Lizzy i ten kurwiszon?

Ojciec Parker chyba wyczuł moją obecność, bo odwraca się i patrzy na mnie przez ramię. Obaj milczymy. Dziwnie mi się przygląda. On od początku dziwnie na mnie patrzy, a ja nie rozumiem

dlaczego. Ma mi za złe to, co zrobił Dominic?

— Poszła do siebie — odzywa się Natalie.

Terrence nadal nic nie mówi.

Nie odrywając jeszcze od niego wzroku, kiwam głową. Mam wrażenie, jakby chciał mi coś powiedzieć, ale może tylko tak mi się wydaje.

Bez słowa ruszam w stronę schodów, przeskakuję po dwa stopnie. Moje kroki są jedynym, co słyszę, bo ci na dole ciągle milczą.

Co się wydarzyło? Co jej powiedzieli? No i gdzie, do chuja, jest ten spierdolony pierwszy naleśnik?

Nie silę się nawet na pukanie, kiedy jestem przed drzwiami Lizzy. Ostatnio w ogóle tego nie robię, chociaż wiem, że powinienem. Cóż, gównu mnie to obchodzi. Dopiero kiedy zwróci mi uwagę, może się do tego dostosuję. Ale tylko może. Przemyślę to.

W pomieszczeniu panują egipskie ciemności. Muszę zamrugać kilka razy, żeby przyzwycząić do nich oczy. Moja ręka już odnajduje po omacku włącznik światła, kiedy nagle wzrok zatrzymuje się na siedzącej na parapecie dziewczynie.

Wycofuję się z zamiaru wciśnięcia przycisku i niemal bezszelestnie wchodzę do środka. Nawet na sekundę nie spuszczam z niej wzroku.

Podchodzę do okna. Lizzy opiera podbródek na kolanach przyciągniętych do klatki i wzdycha cicho. Siadam naprzeciwko niej w niewielkiej przestrzeni wnęki. Zginam nogę i przerzucam ją tak, że teraz znajduje się przy szybie. Druga zwisa z parapetu.

Nie wiem, co myślę. W ciągu ostatniej doby tyle się wydarzyło, że mam wrażenie, jakby miało mi rozsadzić głowę.

— Kiedy masz urodziny? — pyta cicho.

Przełykam ślinę. Okej, nie mam pojęcia, dokąd zaprowadzi nas ta rozmowa, ale niech będzie.

— Trzeciego listopada.

Widzę, jak na te dwa słowa kąciki jej ust unoszą się lekko. Nie jest to rozbawiony uśmiech. Bardziej taki przyjemny dla oka. Taki, który sprawia, że człowiekowi robi się cieplej na sercu. Wcześniej tego nie czułem. Nie — przy takich prostych gestach. Popieprzone.

— Nawet urodziny mamy blisko siebie — śmieje się pod nosem.

Nie potrafię pohamować uśmiechu, kiedy na nią patrzę.

— Fakt. — Nawet na chwilę nie spuszczam wzroku z jej twarzy.

— Między mną i Loganem naprawdę nic nie było. — Ręce dziewczyny mocniej oplatają przyciśnięte do klatki nogi. Dopiero teraz orientuję się, że włosy upięła w kok. Zwykle ma rozpuszczone albo związane w kucyk. Miła odmiana.

— Wiem.

Zdaję sobie sprawę, że to, co powiedziałem wcześniej, było chujowe. Turner to mój przyjaciel. Oczywiście, że nie posądziłbym go o coś takiego. Po prostu wkurzył mnie fakt, że to właśnie on odwiózł Lizzy do domu, a nie ja. W mojej głowie widziałem już, jak kładzie rękę na jej udo albo uśmiecha się, a ona to odwzajemnia, i zachciało mi się rzygać. Nawet nie wiem, skąd u mnie takie myśli. Ufam obojgu, ale kiedy widzę Parker w towarzystwie jakiegokolwiek faceta, skręca mnie niemiłosiernie.

„To się chyba nazywa zazdrość” — krzyczą głosy w mojej głowie, ale tym razem kompletnie nic z nimi nie robię, bo wiem, że tak właśnie jest.

Jestem zazdrosny o Parker i każdego faceta, który znajduje się w jej pobliżu. Jestem zazdrosny nie dlatego, że jej nie ufam. Ja nie ufam im. Widzę, jak na nią patrzą. Ta dziewczyna ma w sobie coś, co sprawia, że nie potrafisz przejść bez chociażby rzucenia na nią okiem. Tu już nawet nie chodzi o urodę. Jest piękna, to prawda, ale nie w tym rzecz. Gdziekolwiek ta mała blondyna się pojawia — niesie ze sobą tak kurewsko pozytywną energię, że nie sposób jej nie poczuć. Sprawia, że każdy się uśmiecha. Kiedyś nawet usłyszałem od Dominica, że jej niewyparzona gęba przysporzy jej wielu adoratorów. Miał rację. Na siłowni nikt nie potrafi na nią nie spojrzeć chociaż przez moment. Ma to coś, ale chyba nawet nie jest świadoma, jak na każdego działa. Max zwariował na jej punkcie już pierwszego dnia. Musiałem mu nieźle nagadać, żeby się odpierdolił. Aż ręka mnie świerbiła, kiedy zapytał o jej numer.

— To było pojebane. Nie powinienem tak powiedzieć. Po prostu...

— Uważasz, że jestem puszczalska? — Kończy za mnie pół żartem, pół serio.

Niby się śmieje, ale ja wiem, że zabolą ją te wszystkie słowa.

— Co? Nie. Kurwa. Nie. Ja... — Przymykam powieki, żeby zebrać myśli. — Żle to powiedziałem. Nie chciałem, żebyś odebrała to w ten sposób. Ja po prostu... nie wiem. Odjechało mi, kiedy cię z nim zobaczyłem, ale nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło... Nigdy nie pomyślałem o tobie w ten sposób.

Nie odpowiada. Patrzy na mnie, ale nie mówi nic.

Sam już nie wiem, co mam na myśli. Nie miałem w planach powiedzieć tego całego gówna — to jasne. Takie coś nigdy nie powinno się zdarzyć. Nie panowałem nad sobą, ale to nie jest wytłumaczenie.

Znowu zamykam oczy i opieram głowę o ścianę wnęki.

— Jak to jest, że najłatwiej rani się tych, na których zależy nam najbardziej? — mamrocę bardziej do siebie, jednak wiem, że mnie słyszy.

Taka prawda. Ranienie Parker przychodzi mi bez problemu. Mówię i robię rzeczy, których nie mam na myśli, a ona jest przeze mnie smutna. Oczywiście, że tego nie chcę. Nie lubię patrzeć na jej łzy, a mimo to — wywołuję je.

— Może po prostu wiemy, że oni zawsze nam wybaczą?

— Kiedyś trzeba powiedzieć „dość”.

— Masz rację. — Nasze spojrzenia spotykają się. — Ale kiedyś nie znaczy dzisiaj, nie znaczy teraz. Po prostu kiedyś.

Delikatny uśmiech maluje się na jej ustach. Nie potrafię go nie odwzajemnić. Jest piękny. Ona cała jest piękna.

Nachylam się w jej stronę. Sprawnie przeciągam ją tak, że teraz znajduje się między moimi nogami. Unoszę tę drugą, która przez cały czas zwisała luźno z parapetu, aby asekurować jej ciało. Odgarniam włosy z jej twarzy i zakładam je za ucho. Przez dłuższą chwilę patrzymy na siebie w milczeniu, a gdy w mojej głowie pojawia się wspomnienie słów Rumelego, decyzja przychodzi sama.

— Chcę poznać Lorraine — mówię, a na twarzy Lizzy maluje się szok w najczystszej postaci.

Wystarczyła iskra, aby wzniecić płomień, który zamienił Cię w popiół. Bo tym właśnie się stałaś. Popiołem, cieniem, wspomnieniem. Nie tak miało być.

ELIZABETH

Nigdy nie lubiłam być wywoływana do odpowiedzi. Fakt, że musiałam stanąć na środku klasy, mówić rzeczy, których nawet nie rozumiałam, sprawiał, że miałam ochotę zwrócić śniadanie sprzed tygodnia.

To nie tak, że jestem osobą nieśmiałą. Przeciwnie. Należę raczej do tych wygadanych dziewczyn, które nie potrafią trzymać języka za zębami. Mówię, zanim pomyślę, i robię, nim przedstawię sobie w głowie wszystkie za i przeciw. Rzecz w tym, że gdy jestem w centrum uwagi tak wielu ludzi, czuję pewnego rodzaju niepokój. Nienawidzę być oceniana, a przecież to właśnie się dzieje, gdy stajesz pod tablicą. Idziesz tam, by dostać stopień. Uczniowie również na ciebie patrzą i robią dokładnie to samo. Różnica jest tylko taka, że gdy nauczyciel czeka na odpowiedź, oni czekają na twój błąd. Zerkają bezwstydnie, marząc o tym, aby nie wyszło. Bo przecież fajnie czasem się pośmiać z czyjegoś nieszczęścia, prawda?

Unoszę wzrok znad splecionych dłoni, które leżą na moich udach. W ustach czuję suchość, a brzuch zaciska się niemiłosiernie. Mam ochotę wyrazić to grymasem, jednak powstrzymuję się. Zakładam maskę obojętności, nie chcąc ukazać jakiegokolwiek oznaki zainteresowania czy złego samopoczucia.

„Oni i tak nie zauważą mojej gry pozorów. Oni patrzą, ale nie widzą. Jak zawsze” — myślę sobie.

Odnajduję oceaniczne spojrzenie siedzącego po drugiej stronie Terrence’a Parkera. Przejeżdża właśnie ręką po wyraźnie zmęczonej twarzy. Bardzo się postarzał od chwili, gdy opuściłam Santa Monica. Jestem pewna, że to przez stres i kolejny zawał. Chciałabym podejść i go przytulić. Chciałabym

powiedzieć mu, że go kocham, że tęsknię, że jest dla mnie wszystkim, ale zamiast tego wciskam się mocniej w fotel i przelękam gulę w gardle.

Nie potrafię.

— Wszystko zaczęło się czternastego lutego tysiąc...

— Znam tę historię — przerywam Natalie. Nawet na sekundę nie odwracam wzroku od ojca. — I wiem, jak się kończy — dopowiadam chłodno chwilę później, obdarowując spojrzeniem tak dobrze znaną mi twarz.

Mam wrażenie, że nauczyłam się jej na pamięć — niebieskie oczy, pełne usta, zgrabny nos i wyraźnie zarysowana szczeka kobiety, która przez te wszystkie lata zastępowała mi matkę. Zawsze była opiekuńcza i troskliwa. Mogłam na nią liczyć, gdy było mi źle. Zmieniła kolor moich włosów w tajemnicy przed tatą, abym była szczęśliwa. Ratowała, gdy wpadałam w tarapaty w szkole. Tuliła do snu i wyjaśniała rzeczy dla mnie niezrozumiałe. Była. Tak po prostu. Dała miłość, o którą nawet nie prosiłam. Nie zdawałam sobie sprawy, co tak naprawdę kryje za zakładaną maską. Jakie potworności zasłania przez ten idealny makijaż i perfekcyjnie ułożone włosy.

W pomieszczeniu nastaje cisza. Słyszę jedynie nasze oddechy i szmery dochodzące z prawej strony. Kątem oka dostrzegam Aiden, który wierci się na swoim siedzeniu. Jest niespokojny albo po prostu nie chce tutaj być. Nie wiem. Już go nie znam i kompletnie nie potrafię rozgryźć. Myślałam, że uda nam się odbudować wszystko, co zostało zniszczone. Że odłożymy w niepamięć złość i damy sobie chociażby namiastkę tego, co mieliśmy. Nie spodziewałam się, że po tym wszystkim znów mnie zdradzi. Nie sądziłam, że tak łatwo przyjdzie mu doprowadzić do mnie Nate'a. Tylko Warren wie, jak naprawdę było. Tylko on widział mnie w najgorszych chwilach. Mimo to — nie zawahał się. Możliwe, że dla kogoś patrzącego z boku ta sprawa wygląda na błąhą. Możliwe, że ktoś, słuchając mojego monologu, pomyślałby: „Bez przesady, to tylko numer”. Ale — cholera! znam Nate'a i wiem, że na tym się nie skończy. Z jakiegoś powodu próbuje się ze mną skontaktować. Byliśmy razem i wiem, jak bardzo zdeteminowanym człowiekiem potrafi być, gdy czegoś pragnie.

Pytanie brzmi: czego chce i jak daleko się posunie?

— Nie zamierzam prosić cię na kolanach o wybaczenie. — Ojciec dołącza do rozmowy. — Wiesz, że cię kocham, córeczko. Zrobiłbym dla ciebie wszystko, ale jednocześnie nie mogę już nic zmienić i...

— Boże, Terry, jesteś debilem — wtrąca Theresa. — Jak chcesz sprawić, żeby córka spojrzała na ciebie przychylnie, skoro słuchając takich gównianych przeprosin, sama mam ochotę wyjść i już nie wracać? — mówi z grymasem niezadowolenia, patrząc oceniająco na ojca.

— Mówię, co myślę.

— W takim razie chyba nie chcę słyszeć, co mówisz, gdy nie myślisz. Wtedy zapewne zdjęłabym aparat słuchowy, bobym tego nie wytrzymała — stwierdza szczerą do bólu babcia.

— No, ale Terrence ma rację — odzywa się Aiden. — Mamy się kajać, bo spierdoliliśmy? Jakby jesteśmy tego świadomi, więc to bez sensu. Ja już się pogodziłem z tym, że Lizzy mi nie wybaczy.

— Więc wyjdź — odpowiada bez zastanowienia Theresa, a moje oczy otwierają się szerzej na te słowa. Jej głos jest chłodny i stanowczy, gdy lodowatym wzrokiem mierzy wnuka.

W pomieszczeniu nastaje grobowa cisza. Nawet na sekundę nie spuszczam spojrzenia ze zszokowanego Aiden, bo boję się, że coś przegapię. Nie spodziewałam się tego po tej kobiecie, ale myślę, że nie tylko ja. Do tej pory pani Clarke była najbardziej wyluzowaną i zdystansowaną osobą w towarzystwie. Dziwnie jest widzieć ją ze zmarszczonymi brwiami, zaciśniętymi wargami i złością tak wyraźnie wyrysowaną na twarzy.

— Nie patrz tak na mnie. Zachowujesz się jak gówniarz, więc jak gówniarza będę cię traktowała. A ty lepszy nie jesteś. — Wskazuje palcem na ojca. — Obaj jesteście zbyt dumni i nawet nie widzicie, że tracicie kogoś, kto dla was zrobił tak wiele. Jesteście niewdzięczni. Lizzy przeszła piekło przez wasze milczenie. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, co ten łotr jej robił i co musi dziać się w głowie tego biednego dziecka. — Z każdym słowem jej głos robi się coraz cichszy, a na końcu wydaje się nawet delikatnie łamać.

— Tu nie chodzi o naszą dumę. Próbowaliśmy z nią rozmawiać, ale ona nie chce mnie słuchać. —

Chłopak gestykuluje w moim kierunku.

Odnoszę wrażenie, jakby wszyscy zapomnieli o mojej obecności. Mówią na mój temat, kompletnie nie zważając, że nadal tu jestem.

Nie ukrywam, słowa Aiden'a kłują mnie w serce. Nie spodziewałam się, że tak łatwo odpuści. Byliśmy przyjaciółmi od zawsze. Wspieraliśmy się nawzajem, ratowaliśmy z opresji i spędzaliśmy godziny na dachu, rozmawiając o niczym. A gdy przyszedł moment, że coś się przydarzyło — nawet się nie wysilił, aby to naprawić. Nie mówię tu o błaganiu mnie o wybaczenie. Chciałam po prostu poczuć, że faktycznie tego żałuje. Ale im dłużej na to patrzę, tym bardziej odnoszę wrażenie, że nie przeszkadza mu obecny stan rzeczy.

Mimo wszystko jestem taką naiwniaczką, że wmawiam sobie, że jest może coś jeszcze, o czym nie wiem, i właśnie dlatego zachowuje się w ten sposób. Jestem głupcem, wiem to, ale dzięki temu lepiej znoszę tę sytuację. Nie chcę żyć z myślą, że Aiden zawsze taki był. Nie dopuszczam tego do siebie, aby nie zwariować. Muszę jakoś sobie radzić. Muszę przetrwać, choć najchętniej poddałabym się już dawno temu. Czasem myślę, że tak byłoby najlepiej.

— No, jeśli rozmawiałeś z nią w taki sposób, jak teraz, to się nie dziwię. Staram się zrozumieć każdą ze stron, bo rozumiem pobudki Aiden'a, Terrence'a i Natalie, ale nie zapominam też o tobie, córeczko. Z własnej woli wyszłaś za tego człowieka, myśląc, że ratujesz swoją rodzinę. Jesteś młoda i niewinna. Powinnaś cieszyć się życiem, a nie przemierzać każdy dzień w strachu. Powinnaś się zakochać, popełniać błędy, a nie zamartwiać mężem, którego nawet nie chciałaś. Jest mi wstyd. Tak bardzo mi wstyd za mojego zięcia, że ty sprawy sobie nie zdajesz. Dominic zasłużył na wszystko, co najgorsze. Prawda jest taka, że to nie jego rodzina ucierpiała najbardziej. Moja Lorraine oszalała, to prawda, ale to Terrence stracił żonę, a ty matkę. W obecnej sytuacji jedyne, co mogę zrobić, to pomóc wam naprawić to wszystko. Mogę powiedzieć, że choć twój ojciec nie postąpił najlepiej, nigdy nie chciał cię skrzywdzić. Jesteś jego oczkiem w głowie, a on jest najwspanialszym człowiekiem, jakiego było dane mi poznać. Robił wszystko, by wyciągnąć moją córkę z więzienia, zaopiekował się Aidenem i nigdy nie zapomniał o Chasie. To dzięki niemu mój wnuk miał dach nad głową i...

— Przestań. — Ojciec, wyraźnie niezadowolony z kierunku, w jakim zmierza rozmowa, przerywa monolog Theresy.

— Zamknij się, Terry. Ja wiem, że nie lubisz, gdy wspominam o tych rzeczach, ale Lili ma prawo wiedzieć, jak wiele zrobiłaś dla moich dzieci... Musisz wiedzieć, córeczko, że to twój ojciec kupił mieszkanie, w którym Josephine mieszkała z Chase'em. Musisz wiedzieć, że to dzięki niemu Chase mógł się edukować, rozwijać i żyć na normalnym poziomie. Josephine pracowała na okrągło, żeby odciążyć Terrence'a, ale to nigdy nie wystarczało.

Przełykam ślinę, intensywniej bawiąc się dłońmi.

— To dzięki twojemu ojcu Chase otrzymał jedynie kuratora za Allison. To on niezauważalnie uczestniczył w życiu mojego wnuka, dbając o niego, jak tylko potrafił. Zadbał o wszystkich. O Natalie, Josephine, Chase'a, Aiden'a i ciebie, zapominając o sobie. O sobie nie myślał nigdy, dokładnie tak, jak ty. Jesteście tacy sami. Ratujecie świat, nie dbając o to, co się z wami stanie, i na końcu to właśnie wy tracicie na tym najwięcej.

Nie spuszcza wzroku z kobiety, analizując wszystko, co powiedziała.

Mój ojciec nie wspominał o niczym, ale jednocześnie zajął się wszystkim. Podjął się wychowywania Aiden'a. Zajął się Chase'em. Wspierał Josephine i Natalie, ale też robił, co mógł, aby pomóc Lorraine. Gdy przeszedł swój pierwszy zawał, myślałam, że spowodowała go sytuacja z Frankiem. Byłam pewna, że ojciec wplątał się w nielegalne interesy, jednak tu nigdy nie chodziło o niego. Jego serce nie wytrzymało wszystkiego, co wziął na swoje barki. Pracował od świtu do nocy, aby zapewnić nam wszystkim byt.

— W ostatnim czasie wydarzyło się wiele. Jestem pewna, że się pogubiłaś, córeczko, i kompletnie mnie to nie dziwi. Ta sytuacja jest co najmniej popaprana, ale uważam, że warto wyjaśnić niektóre kwestie. To, co z tym zrobisz, jest tylko i wyłącznie twoją sprawą. Osobiście uważam, że za wiele było i nadal jest między wami niedopowiedzeń — stwierdza Theresa, a jej głos znów jest ciepły i życzliwy.

Sama nie wiem, co o tym myśleć. Moje życie to jeden wielki bałagan, którego nie potrafię ogarnąć. Chciałabym wrócić do normalności, wybudzić się z koszmaru, ale wiem, że to niemożliwe. Wiem, że to dzieje się naprawdę, i chyba właśnie ten fakt dołuje mnie najbardziej.

— Czy... czy mogę zadać jedno pytanie? — Po raz kolejny tego wieczoru odzywa się Natalie. Kiwam głową, zupełnie pogubiona.

Natalie należy do osób wycofanych. Nie mówi wiele. Jest raczej cichym obserwatorem, dokładnie tak, jak Chase. Mimo wszystko wiem, że ona akurat szczerze żałuje swojego milczenia. Widzę to w jej oczach. Natalie jest dobra. Ona zawsze taka była. Ma wielkie serce. Jest wyrozumiała i oddana. Wychowała mnie przecież, do cholery.

— Skąd wiesz, że to Rumeli stoją za tym wszystkim?

Ojciec marszczy brwi na te słowa.

— O czym ty mówisz? — rzuca skonsternowany.

Nie powiedziała mu. Ona zawsze milczy. Nigdy nie przekazuje informacji bez pozwolenia. Taka właśnie jest ta kobieta.

Oczyszczam gardło.

— W niedzielę widziałam się z Omarem. Powiedział mi, że Frank od początku wiedział, gdzie przebywają Chase i Josephine. To on nasłał na nich Thomasa, który namieszał w ich życiu. Zmanipulował też Blaze'a, by zrobił krzywdę Caroline, a na końcu doprowadził do wypadku Chase'a i Jona — wyjaśniam, czując na sobie spojrzenia wszystkich.

Przez twarz ojca przelatuje szok.

— Powiedział ci coś jeszcze? — pyta, a ja zastygam, gdy słyszę te słowa.

„Jest coś jeszcze” — to zdanie niczym echo odbija się w mojej głowie.

— A powinien? — odpowiadam niepewnie.

Ojciec patrzy prosto w moje oczy, wyraźnie bijąc się z myślami. Jest coś jeszcze, a on nie wie, czy może mi o tym powiedzieć. Jest coś, o czym nie wiem, i teraz mam pewność. Zerkam na Natalie, aby zbadać jej reakcję, ale ona wydaje się w tym momencie równie mocno zagubiona co ja.

— Nie. — Chrząka. — Po prostu chciałem wiedzieć.

Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa.

Ważę słowa ojca, starając się wy badać ich prawdziwość. Czy kłamie? Mam wrażenie, że jest spięty, ale może to tylko moje odczucie. Sama nie wiem. Nic nie wiem. Mam dość.

— Idę się przewietrzyć — odzywa się nagle Aiden i wstaje.

Chłopak okrąża stolik i nie patrzając na mnie, wychodzi z salonu. Chwilę później słyszę trzaśnięcie frontowych drzwi. Nastaje głucho cisza.

W mojej głowie odbywa się właśnie istna rewolucja. Mam wrażenie, że lada moment czaszka mi pęknie od nadmiaru informacji.

— Muszę odpocząć. To dla mnie za dużo — mówię dokładnie to, co mam na myśli, jednak nie wstaję. To nie tak, że chcę przerwać rozmowę. Wolałabym dowiedzieć się więcej, ale jednocześnie czuję, że nie dam już rady. Nie dziś.

— W porządku, córeczko. To jest ciężki czas. Odetchnij i przemyśl wszystko. — Theresa uśmiecha się lekko.

— W takim razie będę u siebie.

Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, zamykam się w swoim pokoju.

Jest coś jeszcze...

Zacieśniam uścisk wokół nóg, podbródkiem napierając na kolana. Wzdycham, gdy niechciane myśli znów bombardują mój umysł. Choć głowa pęka, w sercu mam pustkę. Znów nie czuję absolutnie nic i to mnie przeraża.

Nagle drzwi mojego pokoju się otwierają. Jak to jest, że potrafię stwierdzić, kim jest osoba w przejściu, skoro nawet na nią nie patrzę? Jak to jest, że czuję jego obecność nawet z takiej odległości?

Wciskam mocniej podbródek w skórę i wzdycham cicho. Drewno, po którym idzie Chase, wydaje

specyficzne odgłosy, więc mogę stwierdzić, że zmierza w moim kierunku. Nie myślę się. Niedługo potem siada naprzeciwko mnie na parapecie.

„To dzięki twojemu ojcu Chase otrzymał jedynie kuratora za Allison. To on niezauważalnie uczestniczył w życiu mojego wnuka, dbając o niego, jak tylko potrafił”. Wspomnienie słów Theresy pojawia się w mojej głowie.

— Kiedy masz urodziny?

Nie wiem, dlaczego pytam właśnie o to, ale w sumie nie mam pojęcia, kiedy się urodził, więc dlaczego nie.

— Trzeciego listopada — mówi, a ja uśmiecham się lekko na te słowa.

— Nawet urodziny mamy blisko siebie.

„To by wyjaśniało nasze charakterki” — myślę sobie.

— Fakt — odpowiada nieco pogodniejszym tonem. Cały czas czuję na sobie jego wzrok.

— Między mną i Loganem naprawdę nic nie było.

— Wiem. To było pojebane. Nie powinienem tak powiedzieć. Po prostu...

— Uważasz, że jestem puszczalska? — Kończę wypowiedź za niego, z trudem hamując śmiech.

Chcę chyba rozładować trochę napięcie, ale jednocześnie nie mogę pozbyć się odczucia, że faktycznie ma takie zdanie na mój temat.

— Co? Nie. Kurwa. Nie. Ja... Żle to powiedziałem. Nie chciałem, żebyś odebrała to w ten sposób. Ja po prostu... nie wiem. Odjechało mi, kiedy cię z nim zobaczyłem, ale nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło... Nigdy nie pomyślałem o tobie w ten sposób.

Nie odpowiadam. Nie wiem, co miałabym powiedzieć, bo w głowie mam pustkę. Mój umysł jest pieprzonym rollercoasterem. W jednej chwili panuje w nim istny harmider, aby sekundę później nie było już nic. To męczące i frustrujące w połączeniu z apatią, która ogarnęła mnie po przekroczeniu progu sypialni.

— Jak to jest, że najłatwiej rani się tych, na których zależy nam najbardziej? — mamrocze cicho, dlatego patrzę na niego.

Przyglądam mu się uważnie. Ma zamknięte oczy, jego szczęka jest zaciśnięta, a na twarzy maluje się grymas.

W tamtym momencie dotarło do mnie, że mimo użytych przez Ciebie słów nie poczułam nic... Pustka. Teraz też nic nie czuję.

— Może po prostu wiemy, że oni zawsze nam wybaczą?

Taka prawda. Raniecie osób, które kochamy najbardziej, przychodzi z niebywałą łatwością. To właśnie dlatego ojciec robił to przez lata. To dlatego Natalie i Josephine milczały. To dlatego ja niejednokrotnie oszukałam ich wszystkich. Podświadomie chyba wiedziałam, że cokolwiek by się wydarzyło — zawsze mi wybaczą.

— Kiedyś trzeba powiedzieć „dość”.

— Masz rację. Ale kiedyś nie znaczy dzisiaj, kiedyś nie znaczy teraz. Po prostu kiedyś.

Mam dość.

Między nami zapada cisza. Uśmiecham się do Chase’a, a on to odwzajemnia. Nagle nachyla się i przyciąga mnie bliżej siebie, między rozchylone nogi. Przejeżdża ręką w okolicach szczęki, palcami dotyka włosów i zakłada je za ucho.

— Chcę poznać Lorraine — mówi nagle.

Otwieram szeroko oczy, gdy dociera do mnie sens jego słów.

— Co? — pytam zdezorientowana.

Patrzę na niego w szoku. Z ust Shawa ulatuje ciche westchnienie.

— Szczerze, to sam nie wiem. Po prostu czuję, że powinienem to zrobić. Jest moją... matką, i po prostu... myślę, że... może...

— Rozumiem. — Kładę dłoń na jego policzku.

Chase odwzajemnia mój nikły uśmiech. Odsuwa palce z okolicy twarzy i łączy je ze sobą, spuszczać na nie wzrok. Przełykam ślinę, gdy gorąco rozlewa się po moim ciele. Matko.

I choć słowa już nie działały, dotyk ratował przed piekłem, którego chłód czułam na swoich

plecach.

— Mogę o coś zapytać? — odzywa się i unosi wzrok.

Kiwam głową.

— Gdy chodziliśmy na imprezy, ty... piłaś. — Ostatnie słowo wypowiada po małej pauzie, jakby nie był pewien, czy dobrze robi, ruszając ten temat. Jestem szczerze zaskoczona, że zmienił tor rozmowy, jednak nie zamierzam tego okazywać, bo ciekawi mnie, do czego zmierza. — Czy wtedy też chciałaś zapomnieć?

Zastygam w bezruchu. Patrzę na chłopaka, który bada moją reakcję. Przez chwilę lustrujemy siebie w milczeniu. Czuję dziwny ścisk w dole brzucha na myśl o wczorajszym popołudniu. On nie ma pojęcia. Nie wie, że znów przegrałam. Świadomość tego sprawia, że czuję wstyd. Spuszczam głowę i skupiam się na palcach.

— Tak i nie. — Mój głos drży, dlatego chrząkam. — Problem z alkoholem rozpoczął się w chwili, gdy w moim życiu pojawili się Rumeli. Nie potrafiłam poradzić sobie z wieloma różnymi rzeczami. To było dla mnie za wiele, i wtedy odkryłam, że butelka daje mi wybawienie. Później Nate rozesłał te zdjęcia, o których nie miałam pojęcia. To było jak gwóźdź do trumny, wpadłam w ciąg i...

— I nikt tego nie zauważył? — przerywa mi szeptem.

Przypominam sobie chwilę, w której Aiden znalazł mnie pijaną na dachu. Kiedy przyszedł do mnie, gdy siedziałam w tym cholernym barze, i oznajmił, że wie, że bywam tam codziennie. Ojciec też niejednokrotnie widział mnie zalaną. Czy wiedział, że mam problem? Czy zdawał sobie sprawę z tego, co przeżywałam?

— To, że ktoś patrzy, nie znaczy, że widzi.

Alkohol był moim cichym krzykiem, wołaniem o pomoc, której tak bardzo potrzebowałam. Choroba ojca, zamążpójście, zdjęcia... To właśnie po wypiciu whisky stanęłam przy klifie. To właśnie po pijaku chciałam skoczyć i ze sobą skończyć.

— To, że ktoś patrzy, nie znaczy, że widzi... A może po prostu nie chce widzieć? — poprawia.

— Może masz rację... W każdym razie... — Znów chrząkam, aby oczyścić gardło i dokończyć myśl. — ...gdy przyleciałam do Crosby, poczułam spokój. Czułam się wolna na uwięzi i obiecałam sobie, że nie tknę alkoholu po to, by zapomnieć. Bo prawda jest taka, że będąc tutaj, zapomniałam na trzeźwo. To było dobre. Sypiałam, jadłam... Więc odpowiadając na twoje pytanie: nie. Idąc na imprezę do Matta czy do Logana, nie chciałam zapomnieć o tym wszystkim. Wtedy chciałam się bawić i choć przez chwilę poczuć, że właśnie tak wygląda moje życie... że jest w porządku.

Podświadomie chyba wiem, że szukam wymówek, ale to jest coś, co robię od zawsze, byle tylko nie przyznać, że za każdym razem musiałam się po prostu napić i tyle. Wolę wpierać sobie, że jest inaczej. Wolę tworzyć iluzję. Tak jest lepiej.

— Czy mówiąc „tym wszystkim” i „z wieloma różnymi rzeczami”, miałaś na myśli to, o czym mówiła Natalie? — pyta.

Gubię się, nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

— To znaczy?

— Gdy byliśmy na dole, Natalie powiedziała coś w stylu, że „uśmiechałaś się zawsze, gdy...”, i nie dokończyła tej myśli.

Przypominam sobie monolog blondynki, w którym omal nie powiedziała na głos o tym, co robił mi Omar.

Przeraża mnie to, jak bardzo ten chłopak wszystko analizuje. Byłam pewna, że nawet nie zwrócił uwagi na pauzę, jaką zrobiła Natalie. Myślę, że większość raczej to zignorowała.

— Lizzy, czy Omar zrobił ci coś... bez twojej zgody?

Zamieram.

Przypominam sobie dzień, w którym jechaliśmy do Bangor i Chase zadał mi dokładnie to samo pytanie. Zna odpowiedź. Oczywiście, że zna, jednak chce, abym powiedziała ją na głos.

Oddycham głęboko. Przymykam powieki. Przed oczami przewijają mi się kolejne wspomnienia, które wolałabym wymazać z pamięci.

— Najbardziej lubił mnie dotykać na biodrach, plecach, udach — mówię cicho.

Czuję gulę w gardle. Mam ochotę zwymiotować, ale mimo to serce nie bije mocniej niż wcześniej, gdy przypominałam sobie te chwile. Teraz nic nie czuję. Nic poza dotykiem Chase'a.

— Korzystał z każdej okazji. Bardzo lubił mnie całować, ścisnąć moje pośladki i przejeżdżać palcami w okolicach bioder. Pożądał mnie. Niejednokrotnie mi o tym mówił, ale... ale nigdy nie doszło do niczego więcej. — Gdy kończę swój żaloszny wywód, otwieram oczy, aby spojrzeć na chłopaka.

Jego twarz wyraża tak wiele emocji, że nie potrafię wyłapać jednej, dominującej.

— Tutaj nie ma żadnego „ale”, Lizzy. On cię molestował. Dotykał bez twojej zgody, a ja... — Przerzywa na moment. Dostrzegam panikę w jego oczach. — To dlatego spoliczkowałam mnie, gdy po urodzinach Matta przyszedłem do kuchni i cię dotknąłem.

Nie odpowiadam.

W mojej głowie pojawia się wspomnienie tamtego poranka. Chase faktycznie zawitał na parterze i powiedział coś w stylu, że szukał mnie całą noc. To właśnie wtedy podszedł do mnie zbyt blisko, a ja uderzyłam go w twarz. Jestem w szoku, że tak sprawnie wszystko ze sobą łączy.

— Boże, jestem takim idiotą.

— Nie jesteś. Skąd mogłeś wiedzieć.

Mogłam mu tego nie mówić. Teraz będzie się tylko zadreślał.

— Nie powinienem pokazywać ci tego tak dosadnie, skoro wiedziałem, jak było z Caroline. Ja pierdołę. Nie wiem, co mi wtedy odjechało. On cię... a ja... ja... przepraszam.

Naprawdę przejął się tym, co zrobił, choć ja już dawno zapomniałam i gdyby nie on — zapewne bym sobie tego nie przypominała.

Dopiero po dłuższej chwili dociera do mnie sens jego słów.

— A czy nie mówiłeś przypadkiem, że ty nie przepraszasz? — pytam, aby rozluźnić nieco atmosferę i pomóc mu zapomnieć o poczuciu winy, którego nie powinien mieć.

Shaw lustruje przez chwilę moją twarz.

— Mam to odwołać? — Unosi brew, ale ja wiem, że w tym momencie jest również rozbawiony, bo z pewnością przypomniał sobie naszą rozmowę po koncercie Arctic Monkeys.

— Jeśli chcesz. — Wzruszam ramionami, nie potrafiąc pohamować uśmiechu.

To niesamowite, jak szybko potrafimy zmienić nasz nastrój czy tor rozmowy. Oboje jesteśmy równie popieprzeni. Nie mam zielonego pojęcia, na jakim etapie znajduje się obecnie nasza relacja, ale nie dbam o to. Chyba wolę nie wiedzieć i po prostu żyć. Być przy nim tak długo, aż wyjadę.

No właśnie...

— Tak właściwie dlaczego tego nie robisz? — Odpycham na bok niewygodne myśli.

Wiem, że przyjdzie chwila, w której się pożegnamy i każde pójdzie w swoją stronę. Wiem, że przerwiemy to wszystko, bo związek na odległość nie ma większego sensu. Wiem to, ale nie chcę o tym myśleć. Nie teraz.

Nagle czuję ciepłe palce w okolicach policzka. Delikatnie, niemal niewyczuwalnie muskają skórę i badają jej fakturę. Mimowolnie przymykam oczy.

— Kiedy byłem szczeniakiem, kurewsko się jękałem.

Dębieję. Mimo to oczy pozostawiam zamknięte, aby go nie spieszyć. Mam wrażenie, że doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak zareaguję na jego dotyk, i właśnie dlatego to zrobił. Bo nie chciał, abym patrzyła.

— Thomas strasznie tego nie lubił i zawsze, kiedy to robiłem, dawał mi jakieś pojebane kary. Historia nie ma fajerwerków. Po prostu przepraszalem go wiele razy, ale on nigdy nie słuchał, więc to słowo straciło dla mnie jakiejkolwiek znaczenie.

— Byłeś dzieckiem. — Otwieram oczy.

— Jesteś niewinną dziewczyną, która z przymusu wyszła za faceta, myśląc, że ratuje swojego ojca, podczas gdy tak naprawdę ratowała dupską dwóch skurwieli, którzy ciągle ją krzywdzą — rzuca w odpowiedzi i uśmiecha się krzywo.

— To nie to samo.

— Masz rację. Różnica między nami jest taka, że tamten mały gówniarz zasłużył na wszystko, co mu się przydarzyło. Po prostu dostał nieco wcześniej za krzywdę, jaką wyrządziła ci jego rodzina.

— Nie mów tak.

— Ale jak? — Jego głos jest cichy i spokojny. — Taka prawda. Gdyby nie Dominic Warren i jego pojebana główka, żadna z rzeczy, które cię spotkały, nie miałyby miejsca. Możliwe, że nigdy nie byłabyś z Nate'em, a Omar by cię nie tknął. Byłabyś szczęśliwą nastolatką z normalnymi problemami, a nie zniszczoną przez życie dziewczyną, która w dorosłość wejdzie jako jebana rozwó...

— Po prostu się zamknij.

— Stwierdzam fakty.

— Gadasz głupoty.

— Ale to ty nadal jesteś głupia.

— Hm, dojrzałe. Uwielbiam te twoje teksty na poziomie przedszkolaka.

Nie odpowiada. Kąciki jego ust znów się unoszą. Moje również.

Nie myśląc wiele, nachylam się w stronę chłopaka i wpijam w jego wargi. Dłoń Shawa od razu zatapia się w moich włosach i przyciąga głowę bliżej niego. Czuję, jak jego palce zaciskają się na moich kosmykach. Po chwili jego ręce lądują na moich biodrach. Unosi mnie i sadza sobie na udach.

Nasze usta z każdą chwilą poruszają się zachłannie, niemo błagając o więcej. Wyczuwam smak papierosów pomieszany z gumą miętową.

Przenoszę dłonie na jego klatkę, podczas gdy on ściska moje pośladki. Wzdrygam się, kiedy wstaje i podchodzi do łóżka, gdzie kładzie mnie na materac. Sposób, w jaki napiera na mnie, jest niczym słodka tortura. Nie potrafię przestać. Pragnę go.

— Czy przyjaciele powinni zachowywać się w ten sposób? — pyta, gdy się od siebie odrywamy.

Oddech ma ciężki. W tym świetle nie widzę jego twarzy, ale po sarkastycznym tonie śmiało mogę stwierdzić, że właśnie się uśmiecha.

— Nie wiem. Zapytaj mnie jutro — odpowiadam i znów łączę nasze usta w pocałunku.

Wiele jest jeszcze rzeczy, których nie rozumiem. W mojej głowie roi się wręcz od pytań, ale nie dbam o to. Nie dziś.

Jesteś perfekcyjnym kłamcą, dokładnie tak, jak ja. Stworzyłeś iluzję świata, w którą uwierzyłam. Dzięki Tobie byłam szczęśliwa. Przez chwilę. I właśnie za to Ci dziękuję.

Rozdział 11

ELIZABETH

— No i wtedy Aaron powiedział, że jestem w ciąży — mówi z politowaniem Monica, na co wszyscy wybuchamy śmiechem.

— Koreańczycy to jednak stan umysłu — parska Jake i bierze do ust kolejną porcję galaretki.

— Jestem Chińczykiem, frajerze — mamrocze pod nosem chłopak. — No ale hej! Przecisnęliśmy się w kolejce? Przecisnęliśmy. Więc w czym problem?

— W niczym, kochanie. W niczym. Jesteś bardzo błyskotliwy. — O'Kelly z trudem hamuje śmiech.

Lubię tę parę. Monica i Aaron są dla siebie stworzeni. Gdy patrzę na nich, pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to: „stare dobre małżeństwo”. Ta dwójka właśnie tak wygląda. Co chwilę się sprzeczą, dokuczają sobie, ale po chwili kradną buziaki, mówią, jak bardzo się kochają, no i wspierają się nawzajem, gdy jest źle. Nie znam ich długo, jednak z boku wiele można zaobserwować.

„Jeśli nie skończą przed ołtarzem, to ja przestaję wierzyć w miłość” — myślę sobie.

— Ej, ale w sumie jak to jest? — Jake znów zabiera głos, a część galaretki z jego ust ląduje na mojej twarzy, bo ten idiota strasznie się pluje.

— Poważnie, Fletcher? — burczę, ręką przecierając buzię. Kątem oka dostrzegam, że Chase przygląda mi się z kpiącym uśmieszkiem.

— Sorka, blondi — rzuca i puszcza do mnie oko. Wymachując łyżeczką na wszystkie strony, zadaje najgłupsze pytanie, jakie kiedykolwiek dane mi było słyszeć: — Czy Chinole serio mają małe kutasy?

Zoe krztusi się sokiem. Logan od razu reaguje i delikatnie klepie ją po plecach. W oczach różowowłosej pojawiają się łzy.

— A Logan mówił ostatnio, że połykasz — docina jej Jake, po czym znów patrzy na Walkera. — To jak jest z tymi, co? Zawsze mnie to zastanawiało — mówi niemalże rozmarzony.

— Chcesz zobaczyć? — proponuje uprzejmie Monica. — Ale będziesz musiał wziąć lupę czy coś.

— Proszę?!

— Wiedziałem!

Kręcę rozbawiona głową, ponownie przenosząc wzrok na Chase'a. Dopiero teraz orientuję się, że cały czas skupia uwagę na mnie.

— Mam coś na twarzy? — pytam z głupkowatym uśmiechem.

Nie odpowiada. Kąciki jego ust unoszą się wyżej, a ja czuję wręcz, jak oczy chłopaka przenoszą się w okolice moich warg.

Przełykam ślinę.

— A ty, Lizzy? — Do moich uszu znów dociera głos Jake'a.

— Ja? Co ja? — rzucam zdezorientowana.

— No, czy połykasz? — wypala prosto z mostu, a ja dębieję.

— C-co?

— Połyka. — Po raz pierwszy odzywa się Chase.

Moja mina rzędzie na te słowa.

Aha. Pieprzony Shaw.

— Hm. Ciekawe — mamrocze pod nosem Fletcher, patrząc to na mnie, to na bruneta. — Ja zawsze mam odruch wymiotny. Jak ty to robisz? — pyta wyraźnie zaintrygowany, opierając się łokciem o blat.

Rozglądam się po otaczających mnie twarzach. Temat poruszony przez Fletchera nie wydaje im

się już tak bardzo dziwaczny. Oni naprawdę czekają na moją odpowiedź. Aaron, Chase i Logan uśmiechają się jak idioci, Zoe niczym diablica, a Monica po prostu patrzy z ciekawością.

— Ja... nie wiem. Ja po prostu to robię i tyle.

— Smakuje ci?

Ja, kurwa, nie wierzę.

— Jest okej.

— Uznam to za komplement — mówi Shaw i przysięgam, że jedyne, o czym teraz marzę, to dzielenie go w łeb. Ale jest za daleko, a mi nie chce się ruszyć.

— Jaki dumny z siebie — śmieje się Logan.

Co za debile.

Fakt, że Chase nigdy nie hamuje się w rozmowach o seksie, nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. Specyficzny człowiek, ze specyficznym poczuciem humoru.

— Cześć.

Dębieję, kiedy do moich uszu dociera ten głos.

Patrzę na Zoe, która zastyga z ręką w powietrzu.

Przez chwilę zastanawiam się, czy się nie przesłyszałam, ale kiedy dostrzegam, jak bardzo spięty jest teraz Chase, wiem już, że za moimi plecami stoi on.

— Możemy pogadać? — pyta niepewnie, jednak nikt nie odpowiada.

Wszystkie pary oczu kierują się na mnie.

To ja mam podjąć decyzję?

Zerkam przez ramię z szybko bijącym sercem. Pieką mnie policzki, a dłonie drżą, gdy spotykam spojrzenie człowieka, który nie tak dawno temu nazwał mnie dziwką.

— Jasne, usiądź.

Wiedziałam, że przyjdzie moment, kiedy Matt wróci do szkoły, ale chyba nie byłam na to gotowa. Tak wiele się działo, że nie miałam nawet chwili, aby na spokojnie o tym pomyśleć.

O'Kelly okrąży stół i zajmuje miejsce obok Logana. Turner mierzy go gniewnie wzrokiem, jednak milczy. W jednej sekundzie powietrze zgęstniało zupełnie. Po uśmiechach, które jeszcze kilka minut temu gościły na twarzach wszystkich, nie ma najmniejszego śladu.

— Zaczekaj — mówi Monica, chwytając Shawa za ramię, gdy ten zamierza wstać. — Myślę, że powinieneś go wysłuchać. Zaufaj mi.

Między nami zapada grobowa cisza. Moje serce bije nierówno, dłonie zaczynają wyjątkowo intensywnie się pocić.

— Domyślam się, że nie możecie na mnie patrzeć, ale muszę wam coś wyjaśnić, zanim, kurwa, zwariuję. Liczę, że dacie mi szansę. Później możecie już nigdy się do mnie nie odezwać — zaczyna niepewnie, patrząc raz na mnie, raz na Shawa.

— Mów i spierzaj — mamrocze pod nosem brunet, mieszając słomką w napoju, który sobie zamówił.

Matt wierci się na swoim siedzeniu. Wygląda na cholernie zmieszanego i zdenerwowanego tym, że jest tutaj z nami. Jestem pewna, że wiele kosztowało go samo przyjście, a co dopiero zagadanie do nas po tym, co się wydarzyło.

— Zaczę od tego, że naprawdę bardzo was przepraszam za wszystko, co powiedziałem w tamten piątek. Tak po prostu musiało być.

Co?

— O czym ty mówisz? — pytam, mając chyba nadzieję, że nie usłyszę tego, o czym właśnie myślę.

Spojrzenia moje i Matta krzyżują się. Teraz widzę, że jego oczy są smutne i przepełnione strachem. Mam wrażenie, jakby ktoś właśnie zacisnął sznur na moim gardle, bo już wiem, co nadchodzi. Po prostu czuję to całą sobą, gdy na niego patrzę.

— Oni wszystko słyszeli. Miałem podsłuch — niemal szepcze.

— Jacy, kurwa, oni? — wtrąca się Chase.

Uwaga wszystkich skupiona jest na O'Kellym. Teraz każdy chce wiedzieć, bo to, co powiedział,

wręcz mrozi krew w żyłach.

Matt znów się wierci, gdy przenosi wzrok na bruneta.

— Oni wiedzą o tobie wszystko, Chase. — Ignoruje jego pytanie. — Znali całą historię z Allison. Znali ją, bo to dzięki nim Allison znalazła się pod twoim dachem. Przynajmniej ja tak to rozumiałem. — Przerzywa na moment, aby spojrzeć na mnie. — Nie do końca wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale kazali mi robić, co mówią, bo inaczej ucierpi na tym moja rodzina. Mieli broń. Dużo broni.

Siedzę, nie potrafiąc powiedzieć słowa.

— Jacy oni? — powtarza Chase, który z nas dwojga wydaje się tym bardziej ogarniętym w obecnej sytuacji.

Ja po prostu tępo patrzę na siedzącego przede mną Matta.

— Frank i Omar. Tak mieli na imię. — Chłopak czyści gardło, kaszląc kilkakrotnie. — Kazali mi powiedzieć całe to gówno, żeby maksymalnie cię rozproszyć.

O Boże.

— Ale po co? — docieka Shaw.

O'Kelly po raz kolejny spuszcza wzrok na blat. Jego powieki zaciskają się mocno. Naprawdę boję się tego, co ma nam do powiedzenia.

— Z tego co rozumiałem... miałeś poczuć, że nie masz już nikogo.

Mam wrażenie, jakby wszystkie kolory właśnie odpłynęły z mojej twarzy.

W głowie robię szybką analizę słów Matta. Allison — dziewczyna, która zniszczyła życie Chase'a — była częścią planu Omara i Franka. O'Kelly był marionetką w ich rękach. Miał sprawić, że Shaw zacznie tracić zaufanie do bliskich mu osób. Dzień po tej sytuacji Omar zjawił się w jego domu i wyjawiał prawdę o mnie i naszym powiązaniu. Powiedział też, że całe życie chłopaka opierało się na kłamstwie. Chase przestał wierzyć komukolwiek. Został sam. Na pewno tak się czuł. Omar i Frank ukartowali to wszystko... Ale po co?

— Chwila... Kim są Frank i Omar? — pyta skonsternowany Jake.

— Nikim, kogo musiałbyś znać. — Chase odpowiada dość niemiło i przenosi wzrok na Matta. — I mówisz mi o tym ot tak? — Jego głos przesiąknięty jest jadem.

— Z tego, co wiem, wyjechali już z miasta. Zagrozili, że doprowadzą firmę ojca do bankructwa, że Minnie też na tym ucierpi. Nie mogłem jej narażać, ale przecież nie zrobiłbym ci takiego świństwa. Przecież trzymaliśmy się razem od zawsze. Byliśmy przyjaciółmi.

Shaw patrzy na niego tępo. Wyraźnie zastanawia się nad tym, co właśnie powiedział O'Kelly.

— Dobra, zbierajmy się — rzuca stanowczo Monica, kiedy w stołówce rozbrzmiewa dzwonek. Widzę, jak bardzo zmieszana i zagubiona jest w tej sytuacji, co mnie kompletnie nie dziwi.

Jako pierwsza się od nas oddala. Postanawiam ją dogonić, gdy pospiesznie rusza w kierunku wyjścia.

— Jak ci idą przygotowania do egzaminów?

Domyślam się, że nie chce w tym momencie rozmawiać o swoim bracie. To drażliwy temat, którego najpewniej wolałaby unikać.

— Średnio. Materiału jest od groma. Uczyłam się systematycznie, ale i tak mam duże luki. — Krzywi się niezadowolona, a ja zdaję sobie sprawę, że nie widziałam, aby Chase kiedykolwiek się uczył. Chyba będę musiała z nim o tym porozmawiać.

— Nie dramatyzuj, kochanie. Lepiej zacznij się pakować. — Aaron oplata dziewczynę ramieniem i zostawia na jej policzku całusa.

— Dokąd się wybieracie?

— Jak to dokąd? Przecież w weekend jedziemy w góry. Wszyscy. Chase ci nie... — Minnie zatrzymuje się w połowie zdania i unosi brwi.

— Co??

Monica krzywi się.

— Chyba sam miał ci o tym powiedzieć, a ja się wygadałam. Jak coś, o niczym nie wiesz, okej? — pyta gorączkowo.

— Cóż... okej.

Opuszczamy stołówkę. Słyszę za plecami przekleństwa Jake'a odnośnie do „bandy rozwydrzonych małpisonów”, co spotyka się z ciętym komentarzem ze strony jakiegoś chłopaka.

— Ej, Ameryka! — krzyczy Zoe gdzieś za mną, gdy w końcu udaje mi się przedostać na korytarz.

— Co jest? — Marszczę brwi, bo macha mi przed twarzą jakimś świstkiem.

Jackson rozgląda się dookoła.

— Mam adres — niemal szepcze. Moja ręka automatycznie sięga po kartkę, jednak dziewczyna szybko chowa ją za plecami. — Nie dam ci go.

— Co? Dlaczego? — pytam oburzona.

— Nie, bo znając cię, pójdziesz tam sama. Przechowam go... dla bezpieczeństwa — stwierdza, wzruszając ramionami.

— Nie ufasz mi?

— Nie w tej kwestii. A teraz chodź. Pójdziemy tam po zajęciach, bo Chase i Logan mają trening, więc nikt się nie dowie.

— *Gweld chi yn y dosbarth nesaf** — mówi nauczyciel walijskiego w chwili, gdy w klasie rozbrzmiewa ostatni dzwonek.

— No, nareszcie — mamrocze pod nosem zrezygnowany Jake, który całe zajęcia jedynie narzekał, jak bardzo chce mu się spać. — Już nie mogę się doczekać, aż wrócę do domu i odpalę serial.

Wrzucam zeszyt i długopis do torebki, po czym zawieszam pasek na ramieniu.

— A nie byłeś przypadkiem śpiący?

— Tak, ale wkręciłem się w ten serial i kurwa, Michael Scofield jest ekstremalnie gorący, więc jak tu odmówić sobie takiej przyjemności? Jestem skłonny wypić trzy kawy, byleby skończyć oglądać sezon.

Przewracam oczami.

— A ty? Jaki masz plan na dziś? — zagaduje, gdy wychodzimy z budynku.

— Ameryka idzie ze mną na randkę — mówi Zoe, która nagle materializuje się obok mnie.

Patrzę na dziewczynę. Jackson zarzuca rękę na moje ramię i uśmiecha się promiennie. Ma już między wargami papierosa, dlatego wyciągam go i wkładam w swoje usta. Zaciągam się, nawet na sekundę nie spuszczać z niej wzroku. Kąciki ust Zoe unoszą się, kiedy wypuszczam dym wprost na jej twarz i oddaję fajkę.

— Okej, to było kurewsko gorące. Poczuję się, jakbym wam przeszkadzał — rzuca Jake, poruszając swoją koszulką w okolicach szyi. — Powiem wam tak: mimo że nie oglądam lesbijskich pornosów, to gdybyście nagrały taki z waszym udziałem, chętnie bym go obejrzał. I myślę, że nawet by mi się spodobało.

— Kto nagrywa pornosa?

Obok Fletchera pojawia się Chase, a niedługo potem dostrzegam też Logana.

— Zoe i Lizzy.

Brwi Shawa unoszą się, a na ustach jego i Turnera pojawiają się głupkowate uśmieszki. Po niemrawych humorach sprzed kilku godzin nie ma już śladu.

— Mogę robić za kamerzystę — oznajmia brunet, patrząc na mnie.

— Ja ogarnę oświetlenie — dodaje Logan.

Kręcę rozbawiona głową. Brakowało mi takiego luzu. Ostatni czas był niezwykle trudny — ciągle kłótnie, lzy, niepewność i strach. Właśnie dlatego tak chętnie chodzę do szkoły. Tutaj wszystko odchodzi w niepamięć, a my żyjemy, jakby inne rzeczy nie miały znaczenia. Rozmawiamy ze znajomymi, żartujemy, uczymy się, i to jest w porządku.

Przemierzamy dziedziniec, a kiedy znajdujemy się na parkingu, Zoe zabiera rękę z mojego ramienia i częstuje każdego papierosem. Jake użycza mi ognia. Gdy dym wypełnia moje płuca, czuję nieopisany spokój. Uwielbiam to.

— Jak chcesz, to przed treningiem mogę odwieźć cię do domu — mówi Chase, a ja wzdrygam się, bo nawet nie wiem, kiedy znalazł się za moimi plecami.

Patrzę przez ramię, po czym odwracam się na pięcie, aby być na wprost niego. Wygląda na wypoczętego i zadowolonego, co bardzo mnie cieszy. Wczoraj mieliśmy ciężki dzień.

— O nie, nie — wtrąca szybko Zoe, wypychając się między nas. — Dziś ja ją porywam.

— Doprawdy? — Chłopak przenosi wzrok z Jackson na mnie.

Wzruszam tylko ramionami. Mam nadzieję, że nie będzie dopytywał, gdzie się wybieramy, bo nie chcę go znów okłamywać.

— Tak. Będziemy robić pierwsze próby do naszego filmu pełnometrażowego.

— Jeśli chcecie, mogę wam potowarzyszyć — proponuje.

Uśmiecham się głupio. Mam wrażenie, że dziś wszyscy są sfrustrowani seksualnie.

— Uwierz, że poradzimy sobie świetnie bez ciebie. — Zoe puszcza do niego oko.

Po raz kolejny zaciągam się papierosem. Jest tak cicho i spokojnie, że dopada mnie wrażenie, jakby lada moment coś miało się wydarzyć.

Chase w końcu odpuszcza. Turner mówi coś o jakimś samochodzie, więc Shaw postanawia się wtrącić. Stoimy tak dłuższą chwilę, wypalając po trzy papierosy. Nie wiem dlaczego, ale moje płuca domagają się dzisiaj ogromnej ilości nikotyny. Ostatnio zauważyłam, że gdy nie palę dłużej niż cztery godziny, moje ręce trzęsą się niemiłosiernie. Powinnam jak najprędzej odstawić fajki, ale jednocześnie nie mogę tego zrobić, bo wtedy to już nawet telefonu w dłoni nie utrzymam.

— Dobra, na nas pora. Prawda, Ameryka? — Zoe zerka na mnie wyczekująco.

— Tak. Widzimy się w domu. — Uśmiecham się do chłopaka, co ten odwzajemnia.

Kątem oka dostrzegam, jak Logan podchodzi do Zoe i żegna się z nią buziakiem, natomiast Jake wkłada dwa palce do ust, pokazując swoje obrzydzenie.

— Chciałbyś tak, Fletcher.

— Możliwe, ale na pewno nie z nim — mówi z kwaśną miną, gdy Shaw i Turner odchodzą. — Na myśl, że robił ci... chyba zaraz się porzygam.

Co z nimi wszystkimi dzisiaj? Matko.

— To gdzie lećcie? — Chłopak nagle zmienia temat rozmowy.

Jak się okazuje, słowa o randce nie wystarczyły.

Patrzę na Jackson, która zaciska wargi, uważnie mnie obserwując. Widzę, że bije się z myślami, czy powiedzieć mu o naszym planie. Ja sama nie wiem, co zrobić. Ufam Jake'owi, ale jednocześnie boję się, że wygada się niechcący komuś, komu nie powinien. Jeśli Chase albo Logan się dowiedzą — będzie po nas.

— Idziemy spotkać się z Blaze'em — wzdycha zrezygnowana dziewczyna.

— Co, kurwa?!

Wciskam dłonie w kieszenie bluzy i spuszczam wzrok na buty. Nie wiem, czy chcę teraz na niego patrzeć.

— Lizzy potrzebuje informacji.

— Jakich, kurwa, informacji?! Lizzy, do chuja, co ty wymyśliłaś?!

Przymykam powieki, a gdy unoszę głowę, spotykam rozwścieczone spojrzenie Fletchera. Nawet w momencie, kiedy pojawił się pod domem Shawów z kserokopią mojego dowodu, nie wyglądał tak, jak teraz, i to mnie trochę przeraża.

— Podczas walki powiedział Chase'owi coś, co miało związek ze mną. Dlatego Shaw przegrał — mamrocę, obserwując, jak twarz Jake'a zmienia się diametralnie na te słowa.

— To znaczy?

— To znaczy, że muszę z nim porozmawiać i dowiedzieć się, co Chase usłyszał wtedy na ringu.

— A nie lepiej jego o to zapytać? — Marszczy brwi.

— Myślisz, że nie próbowałam? Próbowałam, ale albo mnie zbywał, albo się wydzierał.

Między nami zapada cisza.

— Idę z wami.

— Nie! — mówię równocześnie z Zoe.

— Ja akurat wiem, jak kończą się takie sytuacje z twoim udziałem. Nie ma, kurwa, takiej opcji — dopowiada Jackson.

Nie do końca wiem, co teraz ma na myśli, ale jeśli tak uważa, to zapewne tak jest.

— Poradzimy sobie. Spokojnie.

Mimo wszystko myślę, że im mniej nas będzie, tym lepiej. Nie ma co ściągać na siebie uwagi, bo wtedy nie skończy się to dla nas najlepiej.

— To chociaż was odwio...

— Jake — rzuca ostrzegawczo różowowłosa.

Przez chwilę obserwuję, jak walczą na spojrzenia. Wzrok Zoe mógłby zwalić z nóg. Wygląda na niezwykle zdeterminowaną, widzę, że nie zamierza odpuścić.

— No dobra — wzdycha w końcu chłopak. — Ale gdyby coś się działo, zadzwonicie. Od razu przyjadę, okej?

Niemal równocześnie kiwamy głowami. Jackson kończy papierosa. Niedługo potem ruszamy.

Myślę, że dziewczyna strasznie się denerwuje. To już jej piąta fajka w przeciągu piętnastu minut. Sama nie wiem, czego się spodziewać. Nie mam pojęcia, gdzie idziemy, i to irytuje mnie jeszcze bardziej. Zoe do tej pory nie zdradziła mi adresu, no ale po części ją rozumiem.

W milczeniu przemierzamy miasto. Każda z nas jest pogrążona we własnych myślach. Rozglądam się po okolicy. W tej części Crosby byłam tylko raz. Z tego, co kojarzę, jest to niewielka dzielnica robotnicza. Tutaj nie ma pojedynczych domów, ale ciągi połączonych ze sobą budynków, które wyglądają identycznie.

— Jeszcze trzy minuty — mamrocze Zoe, patrząc na nawigację w telefonie.

— Jeśli chcesz, zrobię to sama.

Różowowłosa patrzy na mnie kątem oka.

— Po moim trupie. — Uśmiecha się kpiąco. — Tak w ogóle co myślisz o tym, co powiedział Matt?

— Sama nie wiem. Na początku było mi przykro, bo bardzo go lubiałam, ale teraz... Nie sądziłam, że to wszystko tak się potoczy. Nie umiem sobie wyobrazić, co czuje Chase.

— No właśnie. Popieprzona sprawa — wzdycha.

Sięgam do torby. Wymacuję dwa małe przedmioty, wydaję je i jeden podaję Jackson. Patrzy na niego z niezrozumieniem.

— Kupiłam je po tym, jak Blaze zaatakował mnie nożem. Jeden był dla Caroline, ale zapomniała go zabrać.

Może gaz pieprzowy sprawi, że poczuje się odrobinę pewniej, skoro nie chce odpuścić.

— Boisz się? — pyta.

— Nie.

To prawda. Nie przeraża mnie spotkanie Roberta. Cokolwiek się wydarzy — będzie, co będzie. Mam wrażenie, że znów dopadł mnie stan, który osiągnęłam w Santa Monica. Wtedy, chodząc z Aidenem na imprezy, wdawałam się w bójki i wszystko było mi obojętne. Upijałam się każdej nocy, do domu wracałam z siniakami i zakrwawionym nosem, a gdy kładłam się w łóżku — uświadamiałam sobie, że nic nie czuję. Brak adrenaliny, strachu, czegokolwiek. Sytuacja z Omarem i Nate'em wyniszczyła mnie doszczętnie. W Crosby udało mi się odzyskać siebie, aby teraz znów wrócić do tego, co było kiedyś. Nie mam pojęcia, jak to wyłączyć.

— Serio? — Zoe marszczy brwi.

— Wszystko mi jedno. Byleby tobie nic się nie stało. — Wzruszam ramionami.

Jackson nie odpowiada. Czuję na sobie jej spojrzenie, jednak nie chcę się z nim mierzyć. Nie teraz.

W ciszy przemierzamy trzy przecznice, a kiedy dostrzegam ogromny szyld zawieszony na starym budynku — podświadomie wiem, że jesteśmy na miejscu.

— Obskurnie — komentuję ze śmiechem.

Okolica wygląda strasznie podejrzanie. Budynki są raczej opuszczone, tylko ten jeden przed nami wydaje się nadawać do użytku.

Dlaczego ktoś taki jak Blaze, z dobrej rodziny, miałby przebywać w takim miejscu jak to?

Posyłam Zoe ostatni, uspokajający uśmiech. Widzę, że z całych sił stara się pokazać pewność

siebie. Nie wiem, czy zdaje sobie sprawę z tego, jak marnie jej to wychodzi. Osobiście wolałabym, aby tutaj zaczekała, ale wiem, że kłótnie z nią nie mają większego sensu. Mimo strachu i tak postawi na swoim.

— Jeśli Logan i Chase się o tym dowiedzą, będzie po nas — mówi Jackson, gdy chwytam za chłodną kławkę.

— O zgrozo! — parskam na te słowa, jednak wiem, że ma rację.

Odpycham na bok myśli o Turnerze i Shawie. Wchodzę do środka, a Zoe zaraz za mną. Pomieszczenie, w którym się znajdujemy, jest przyciemnione. Ściany pokrywa szara farba, miejscami zdrapana do cegieł. Nad naszymi głowami świeci słaba, migająca co jakiś czas jarzeniówka, co daje wrażenie scenerii z jakiegoś tandetnego horroru.

— Jak w jakimś horrorze. — Jackson mówi na głos to, co chodzi mi właśnie po głowie.

— Nic, tylko czekać, aż na końcu korytarza pojawi się jakiś typ z zakrwawionym nożem — rzucam pół żartem, pół serio, bo tak na dobrą sprawę tutaj może się wydarzyć wiele, zważywszy na lokalizację i osobę, z którą mamy się spotkać. — Chodź.

Zoe nie odpowiada. Ruszamy przed siebie, słysząc jedynie odbijające się echem kroki. Im bliżej drzwi jesteśmy, tym dziwniejsze odgłosy docierają do naszych uszu. Wyłapuję siarczyste przekleństwa i krzyki. Wszystko zlewa się w mało spójną całość, więc mam już pewność, że w środku są więcej niż dwie osoby.

Nie dając sobie czasu na zawahanie się, otwieram kolejne drzwi.

Pierwszym, co rzuca mi się w oczy, jest czarny worek zwisający z sufitu. Porusza się delikatnie od ciosów stojącego naprzeciwko mężczyzny. Patrzę w prawo, mój wzrok pada na chłopaka, który podciąga się na drążku. Z jego czoła spływa pot, gdy liczy na głos kolejne uniesienia. Podążam spojrzeniem na ring za donośnym, męskim głosem. Patrzę na starszego faceta, który wydziera się prosto w twarz bijącego o łapy trenerskie blondyna. Gdzieś tam dostrzegam jeszcze innych chłopaków, niektóre twarze rozpoznaję ze szkoły, i to mnie trochę niepokoi. Czuję na sobie ich spojrzenia i myślę, że Zoe również, ponieważ chwytą moją rękę i mocno ją ściska.

„Jeśli Chase i Logan się dowiedzą, to na serio będziemy w dupie” — myślę.

— Mogę w czymś pomóc? — Obok nas materializuje się wysoki blondyn, który wyciera dłonie w ręcznik i uśmiecha się uprzejmie.

— Szukam Blaze’a Roberta — mówię pewnym siebie głosem i unoszę lekko podbródek.

Przez chwilę ja i górujący nade mną facet patrzymy sobie hardo w oczy.

— Jestem Simon.

— Claire — odpowiadam bez sekundy zawahania.

Ściskam wysuniętą w moją stronę dłoń.

— Blaze jest tam. — Mężczyzna wolną ręką wskazuje na kąt po lewej.

Korzystając z okazji, wyswobadzam rękę z jego i chowam ją w kieszeni bluzy. Czuję na sobie wzrok Simona, ale postanawiam to zignorować. Skupiam uwagę na jednym punkcie. Wszystko jest jak za mgłą, bo moje oczy widzą tylko jego.

Siedzi tam. Głowę ma opuszczoną, więc nie dostrzegam twarzy. Stuka coś w telefonie. Spływający po ciele pot i szybko poruszająca się klatka piersiowa pozwalają przypuszczać, że dopiero zszedł z maty.

— Ej, Roberts! Jakież damy cię szukają! — krzyczy blondyn, zwracając uwagę Blaze’a.

„Jakiś to ty jesteś, dupku”.

Szatyn ze zmarszczonymi brwiami unosi na nas wzrok. Nawet z tak daleka widzę zdziwienie, które pojawia się na jego twarzy, gdy nas rozpoznaje. Zdecydowanie nie spodziewał się mojej wizyty, ale nie jestem tym zaskoczona. Tylko największy idiota przyszedłby z własnej woli do człowieka, który nie tak dawno wciskał ostrze w jego szyję.

Blaze leniwie i dość niepewnie podnosi się ze swojego miejsca. Z hukiem rzuca telefon na ławkę, a kiedy rusza w naszą stronę, czuję, jak paznokcie Zoe mocno wciskają się w moją dłoń.

Oczy Roberta skierowane są wprost na mnie. Usta ma zaciśnięte w wąską linię, a napięte mięśnie poruszają się z każdym kolejnym krokiem.

— Spieprzaj, Davies — burczy pod nosem.

Posyłam ostatnie spojrzenie Simonowi — jak się okazuje — Daviesowi, który z dziwnym wyrazem twarzy odchodzi w stronę mat.

— Czego, do chuja, chcesz, co? — pyta niskim głosem, który miałam już okazję słyszeć.

Dlaczego tym razem nie robi to na mnie wrażenia?

— Musimy pogadać — odpowiadam twardo. — A mamy o czym.

Brwi Blaze'a unoszą się wysoko, gdy lustruje mnie od stóp aż po sam czubek głowy. Następnie zerka na stojącą za mną Jackson, a kiedy cwaniacki uśmiech maluje się na jego ustach, podświadomie wiem, co powie.

— Oni nie wiedzą, że tu jesteście, prawda? — Parska wyraźnie rozbawiony.

— O to się nie martw — mówię znużona, przewracając oczami.

Naprawdę nie przyszedłam tu po to, aby gadać o Chasie i Loganie. Zdaję sobie sprawę z tego, że gdy prawda wyjdzie na jaw, będziemy miały problem, ale w tej chwili jest to ostatnie, o czym myślę. Mam cel, który zamierzam zrealizować. Należę raczej do upartych osób, więc nie wyjdę stąd, dopóki nie otrzymam odpowiedzi na swoje pytania.

— Od początku wiedziałem, że masz gadane, ale dopiero teraz mam okazję przekonać się o tym na własne oczy. Jestem pod wrażeniem — stwierdza z uznaniem. — Shaw cię przeleciał, prawda? — pyta, jednak nie daje mi szansy na odpowiedź. — Oczywiście, że to zrobił. On lubi pyskate.

— Weź może idź do lustra, wygadaj się i wróć, kiedy skończysz, co? — rzucam od niechcenia, bo naprawdę zaczyna działać mi na nerwy.

Gdy wypowiadam te słowa, paznokcie Zoe jeszcze mocniej wbijają mi się w skórę. Chce mnie uciszyć, ale ja nawet o tym nie myślę. Ten skurwiel zasłużył na wszystko, co najgorsze, i nie zamierzam traktować go ulgowo. Nie mam pojęcia, skąd nagle we mnie tyle siły. Nie potrafię logicznie tego wyjaśnić.

Czy to rozmowa z ojcem i wyjaśnienie niektórych kwestii tak zadziałały? A może odczuwana wewnątrz pustka? Czy to fakt, że wszystko jest mi tak cholernie obojętne, sprawia, że stoję właśnie przed tym człowiekiem? Przecież mógłby zrobić teraz dokładnie to samo, co wcześniej, a jednak jakoś wcale nad tym nie rozmyślam. Zamiast tego stoję z uniesioną głową, zdeterminowana i gotowa do działania. Mam wrażenie, że gdyby w tym momencie mnie uderzył — oddałabym mu bez wahania. Że stara wersja mnie — ta dziewczyna, która uwielbiała wplątywać się w tarapaty i wędrować po podmiejskich spelunach — znów weszła w moje ciało. Podoba mi się to i przeraża mnie jednocześnie.

— Ideał — śmieje się nisko. — W czym zatem mogę wam pomóc, drogie panie? — Szatyn zaplątuje ręce pod piersiami i rozchyła nieznacznie nogi. Tą postawą chce zapewne pokazać swoje zainteresowanie, ale też pewnego rodzaju władzę? Dominację? Nie wiem, ale tak właśnie to odczuwam.

— Mamy sobie trochę do wyjaśnienia, nie sądzisz?

— Nie wiem, o czym mówisz. — Marszczy brwi i uśmiecha się głupio.

Po raz kolejny przewracam oczami, chcąc zaakcentować swoją irytację. Zdaję sobie sprawę z tego, że igram z ogniem, ale to jest to, co niegdyś lubiałam najbardziej. Byłam płomieniem, który przygasiły kłamstwa. Płomieniem, który po wszystkim chwyta dawkę tlenu, aby znów się rozniecić.

Byłam płomieniem, który ugasił.

— Dobra — wzdycha Roberts, odpuszczając tę bezsensowną zabawę. — Znajdźmy jakieś ustronne miejsce.

— Lizzy, nie — mówi cicho Zoe, powstrzymując mnie.

— Jeśli chcesz, możesz tutaj zostać i na mnie poczekać — odpowiadam tak, aby Blaze mnie nie słyszał.

Nie chcę, aby Jackson robiła coś wbrew sobie. Wiem, że się boi, dlatego wolałam, żeby ze mną nie szła. Oszczędziłabym jej nerwów, teraz zapewne oglądałaby jakiś serial.

— Nie ma, kurwa, takiej opcji. Nie spuszczę cię z oka nawet na sekundę — rzuca stanowczo.

Ściskam mocniej dłoń różowowłosej i razem ruszamy w kierunku metalowych drzwi. Roberts jest już daleko przed nami, dlatego musimy nieco szybciej przebierać nogami. Wchodzimy na korytarz oświetlony ledowymi żarówkami.

Nagle Blaze skręca w lewo i znika za ścianą. Nie myśląc wiele, podążam za nim. Pomieszczenie jest niewielkie. Stoją w nim dwie kanapy, stolik kawowy, tablica z przyczepionymi szpilkami karteczkami, dystrybutor z wodą — i to byłoby na tyle.

Roberts podchodzi do urządzenia, bierze plastikowy kubek i nalewa do niego przezroczystej cieczy. Zerka na nas przez ramię, a gdy widzi, jak bardzo zaciskamy swoje złączone ręce, uśmiecha się prześmiewczo. Głową wskazuje, żebyśmy zajęły miejsca na sofie.

— Nie spiesz się — mówię z sarkazmem, bo nawet sposób, w jaki przykłada kubek do ust, jest cholernie powolny i wiem, że robi to specjalnie.

— Nie zamierzam — odpowiada rozbawiony.

W końcu rozsiada się wygodnie na kanapie.

— Więc? — Zakłada jedną rękę za oparcie.

Odruchowo puszczam dłoń Zoe i przecieram swoją o uda. Przez to wszystko strasznie się spociła, bo — jakkolwiek by było — Jackson ma niezły chwyt.

— Chcę odpowiedzi.

— Najpierw zadaj pytania.

Między nami zapada niedługa cisza, podczas której mogę mu się lepiej przyjrzeć. Dopiero teraz dostrzegam, że ma bliznę w okolicach łuku brwiowego. Gdzieś na klatce są jeszcze blade siniaki. Chase też je ma, ale nie zwracam już na nie większej uwagi, bo jak to powiedział — mam nie dramatyzować. Z perspektywy czasu wspomnienie to jest całkiem zabawne w kontekście całej sytuacji, bo chłopak autentycznie wyglądał jak siedem nieszczęść, a mimo to nawet nie pisnął słówkiem, że cokolwiek go boli.

Nigdy się nie skarżyłeś — i to milczenie przerażało najbardziej.

Chrząkam cicho, aby oczyścić gardło. W głowie roi się od pytań, ale wiem, że najlepiej zadać te najistotniejsze.

— Co powiedziałeś Chase'owi na macie? — rzucam pierwsze, które przychodzi mi na myśl.

— Nie mogę powiedzieć.

— Dlaczego?

Na jego ustach maluje się lekki uśmiezek.

— Bo skoro on ci tego nie powiedział, oznacza to, że masz nie wiedzieć — wyjaśnia. Ton jego głosu nie jest chamski, przez co jestem trochę zbita z tropu. — Rozumiem go. Jestem skurwielem, ale teraz już wiem, kiedy zamknąć usta.

— Teraz? Nawróciłeś się? — kpię.

— Można tak powiedzieć.

Analizuję w głowie jego słowa.

— Skąd znasz Franka i Omara?

— Pomogli mi zatuszować dowody w sprawie Caroline.

— Ale zanim to zrobili, nakłonili cię do jej zgwałcenia — mamrocę pod nosem, mając odruch wymiotny.

— Co? O czym ty mówisz? — Chłopak marszczy brwi.

— No, Omar i Frank kazali ci to zrobić. Skrzywdzić Caroline, prawda? — mówię niepewnie, bo reakcja Blaze'a trochę mnie zaskoczyła.

— Kto ci nagadał takich głupot? — pyta ni to rozbawionym, ni to poważnym tonem.

— A tak nie było?

Jestem święcie przekonana, że podczas mojej ostatniej rozmowy z Omarem, kiedy się żegnaliśmy, potwierdził, że sytuacja z Caroline jest jego sprawą... Nie, chwila. On mi nie odpowiedział. Tylko się uśmiechnął. Gdy zapytałam „dlaczego”, zignorował to. Bez wahania odpowiedział na każde pytanie poza tym jednym.

— Nie, oczywiście, że nie. Sprawa z Caroline to coś zupełnie innego. Byłem naćpany, kiedy to zrobiłem. Wcześniej nie znałem jeszcze tych typów. W sumie to nawet chciałem się do wszystkiego przyznać, bo wiedziałem, że przegiąłem i nie mam na to żadnego usprawiedliwienia. Ale mój ojciec nie przyjmował tego do wiadomości. Prowadził interesy z Rumelimi i właśnie dzięki nim zostałem

oczyszczony z zarzutów. Odezwali się do mnie jakoś na początku lutego, żądając przysługi w zamian. Szczerze? Byłem pewien, że już o mnie zapomnieli, ale nie. Kazali mi wrócić do Crosby i namieszać. Tak się złożyło, że akurat naskoczyłaś na moją siostrę, więc miałem pretekst. — Wzrusza ramionami.

— Ale to bez sensu. Dosłownie dzień później Omar dopilnował, aby jego ludzie się tobą zajęli, prawda? Wylądowałaś wtedy w szpitalu.

Przypominam sobie dzień, w którym otrzymałam wiadomość w stylu „jesteś mi potrzebna żywa”, a następnego ranka przyszedł ten policjant i poinformował nas, że Blaze został napadnięty. Bardzo szybko połączyłam fakty i tak jak podejrzewałam — sprawcą tego zamieszania okazał się Omar. Dlaczego więc miałyby najpierw kazać Robertsowi na mnie napaść, a później go pobić?

— Miało być autentycznie.

— Kazał ci mnie zaatakować, a później pobił cię za coś, co sam polecił ci zrobić? Po co? Przecież to nielogiczne. — Mój głos podnosi się przy ostatnim zdaniu, bo rozumiem coraz mniej.

Czuję na swoim udzie ciepłą dłoń Zoe. W pierwszej chwili spinam się na jej dotyk, ale trwa to zaledwie moment. Nie patrzę na nią. Nie potrafię oderwać wzroku od siedzącego naprzeciwko mnie chłopaka, ale mam nadzieję, że Jackson wie, jak bardzo jestem wdzięczna za jej obecność i wsparcie, jakie mi daje.

— Wiesz, Elizo... — Blaze przeciera ręką twarz, przez co teraz wygląda na zmęczonego. — Nie mam zielonego pojęcia, w co wplątał się Shaw, ale nawet ja szczerze mu współczuję. Cała ta akcja z nożem była po to, żeby go rozproszyć. To oni zainicjowali naszą walkę. Wiedzieli, że po wszystkim, co zrobiłem Caroline, Chase zgodzi się na nią bez wahania. Tam też znowu chcieli jego dezorientacji. Po co? Nie mam bladego pojęcia, ale Shaw musiał przegrać, bo oni tak powiedzieli. Musiałem to zrobić. To nie są ludzie, z którymi chciałbym zadzierać.

„Dominic zamordował ojca Omara, dlatego się mszczą — i to ma sens. Ale dlaczego nie tyczy się to Aideny?” — zastanawiam się.

— I mówisz mi o tym wszystkim tak po prostu? — pytam podejrzliwie.

— Spłaciłem swój dług. Wraz z zakończeniem walki moja rola się skończyła. Nie mam nic do ukrycia.

Mam wrażenie, że zaraz głowa mi eksploduje.

— Czyli rozumiem, że nie mam szans dowiedzieć się, co mu wtedy powiedziałaś? — upewniam się jeszcze raz, licząc, że może jednak zmienił zdanie.

— Najgorszemu wrogowi nie życzę usłyszenia takiego gówna — mówi z powagą, jakiej wcześniej u niego nie widziałam.

— Okej... Myślę, że to wszystko, co chciałam wiedzieć — odzywam się po chwili ciszy, próbując przetrwać każdą z informacji, jakie otrzymałam od Roberts'a.

Nie chcę siedzieć tu ani sekundy dłużej. Milcząca Zoe wstaje równo ze mną. Blaze również. Patrzę na dziewczynę, której policzki są teraz lekko różowe. Wygląda na o wiele bardziej rozluźnioną niż w chwili, gdy tu wchodziłyśmy.

Ruszamy w kierunku drzwi, kiedy nagle zatrzymuje mnie jego głos:

— U niej wszystko w porządku?

Zastygam z ręką na klamce.

Zerkam na różowowłosą i przełykam ślinę. Doskonale wiem, o czym, a raczej o kim mówi. Oczywiście, że tak, ale nie spodziewałam się, że po tym wszystkim, co jej zrobił, odważy się w ogóle o niej wspomnieć.

— Tak, dlatego nawet nie próbuj mieszać jej w życiu — odpowiadam, nie patrząc na niego.

Trzymając się z Zoe za ręce, ruszamy w kierunku wyjścia. Nasze kroki odbijają się echem w korytarzu. Nawet nie wiem, w którym momencie jesteś już na zewnątrz i oddychamy ciężko, jakby wcześniej dopływ tlenu do naszych płuc był ograniczony.

— Ja pierdolę — mamrocze Jackson, rękami opierając się o kolana. Jest zgarbiona i czerwona na twarzy.

Delikatnie pocieram jej kark, bo na mnie wywarło to zdecydowanie mniejsze wrażenie niż na niej.

Stoimy tak w ciszy. Zoe stara się uspokoić, a ja układam sobie w głowie wszystko, co opuściło usta Blaze'a.

To, co powiedział Chase'owi, jest tak złe, że nawet on nie chce powtórzyć tego na głos. Atak nożem na plaży był zainicjowany przez Omara i Franka, tak samo jak pobicie Roberta i jego walka z Shawem. Omar i Frank nie mieli nic wspólnego z gwałtem Caroline, a mimo to Omar z jakiegoś powodu pozwolił mi wierzyć, że było inaczej. Omar i Frank przez cały czas mszczą się na Chasie, ale nigdy nie zrobili nic Aidenowi. Czy Aiden z nimi współpracuje? To byłoby co najmniej szalone, bo przecież to właśnie oni odpowiadają za śmierć naszych rodziców.

— Wynośmy się stąd. — Z zamyślenia wyrywa mnie głos Zoe.

— T-tak. Chodźmy.

Nie myśląc wiele, ruszamy w kierunku, z którego przyszliśmy.

Im szybciej stąd znikniemy, tym lepiej.

— Kurwa.

Słyszając przekleństwo Jackson, patrzę na nią i marszczę brwi. Dziewczyna zerka w ekran telefonu.

— Co jest? — pytam zdezorientowana, choć może to nie moja sprawa.

Zoe nie odrywa wzroku od wyświetlacza, dlatego spoglądam na niego.

„Co za idealne wycucie czasu” — myślę sobie.

— Nie ma opcji, że odbiorę — rzuca z niepokojem w głosie, ciągle wpatrując się w migające na urządzeniu imię Logana.

— Bardziej podejrzaną będzie, jeśli tego nie zrobisz.

— Ale co ja mam mu niby powiedzieć? — Teraz jest jeszcze bardziej spanikowana niż wcześniej.

— Cokolwiek, byle nie to, skąd wracamy.

Nie chcę, żeby kłamała. Nie chcę, żeby robiła to dla mnie, ale jeśli to, gdzie byliśmy, się wyda... No, po prostu jakoś tego nie widzę.

— Dobra, już wiem — mówi po chwili, po czym przesuwając kciukiem w prawo i przykładając urządzenie do ucha. — Halo? Tak... My właśnie... Idziemy... Nie, zaraz wracam, a co?... Jasne, możemy. — Wraz z wypowiedzeniem tych słów chyba nieświadomie uśmiecha się do siebie. To jest całkiem urocze.

Gdy się rozłącza, wypuszcza ze świstem powietrze.

— Co jest?

Zoe przez chwilę wpatruje się w ekran, jakby sama próbowała zrozumieć.

— Chce się... spotkać — wyznaje trochę zdezorientowana. — Matko, czym ja się tak stresowałam? — śmieje się i chowa aparat do tylnej kieszeni spodni.

— Czyżby randka? — Poruszam znacząco brwiami i delikatnie szturcham jej ramię, gdy skręcamy w prawo.

— Jasne — rzuca sarkastycznie, choć kąciki jej ust nawet na sekundę nie opadają.

— Jak to między wami jest, co? — pytam, chcąc na moment odepchnąć od siebie wspomnienie rozmowy z Blaze'em.

— Sama nie wiem. — Wzrusza ramionami, a jej mina rzednie. — Całujemy się, sypiamy ze sobą, chodzimy na coś na kształt randek, trzymamy się za ręce, ale tak na dobrą sprawę nigdy nie rozmawialiśmy „o nas” — wyjaśnia.

W mojej głowie pojawia się obraz pewnej dwójki...

— Więc może warto poruszyć ten temat? — proponuję.

„Jasne, dawaj takie rady innym, ale sama z nich nie korzystaj”.

— Nie sądzisz, że to on powinien... no nie wiem. Boże, dlaczego to wszystko jest takie skomplikowane? — Dziewczyna chowa twarz w dłoniach, na moment zatrzymując się w miejscu.

— Wcale że nie jest. W tym momencie to ty sobie komplikujesz. Myślę, że najlepiej usiąść, wyjaśnić niektóre kwestie i ustalić, czym, czy raczej kim, tak właściwie jesteście, bo takie życie w niewiedzy jest wykańczające.

— Ta, ty coś o tym wiesz, nie? — Parska śmiechem, kiedy znów ruszamy przed siebie. — Dajesz mi rady, a sama lepsza nie jesteś. Wy w końcu jesteście razem? Ostatnimi czasy tak to wygląda, ale teraz

to już sama nie wiem — mówi z nutą rozbawienia w głosie.

— Jestem w dokładnie takim samym położeniu co ty.

Fajnie w końcu pogadać z kimś o tym, co mi siedzi z tyłu głowy od jakiegoś czasu. Nie sądziłam, że to właśnie w Zoe znajdę powierniczkę swoich miłosnych tajemnic. Zwykle to Aiden był moim pamiętnikiem, który jak się teraz okazuje — przez cały czas otwierał się każdemu. Jestem pewna, że Warren powiedział mojemu ojcu i Natalie o niejednej rzeczy, jaką mu powierzyłam.

— Różnica między mną a tobą jest taka, że ty i Logan macie przed sobą... przyszłość. Ja natomiast za jakiś czas będę musiała wrócić do Ameryki. Związek na odległość nie ma sensu, a poza tym wczoraj w złości nazwałam Chase'a przyjacielem.

Mój powrót do domu zbliża się wielkimi krokami, więc nie wiem, czy jest jakikolwiek sens rozgrzebywania tego wszystkiego. Chase ma tu swoje życie, a ja swoje w Santa Monica. Każde z nas ma swoje plany. Ja po skończeniu liceum idę na psychologię, a on... Cholera, nawet nie wiem, a przecież lada moment pisze egzaminy. W każdym razie — będziemy tysiące kilometrów od siebie i to po prostu nie wypali.

— Dziewczyno, wy znaliście się od urodzenia! Spotkaliście się po tylu latach i nawet nie mając o tym pojęcia, i tak coś do siebie poczuliście! Ja pierdołę, to brzmi jak materiał na zajebisty film, a ty chcesz mi powiedzieć, że nie wiesz, co was łączy? I na dodatek, kurwa, powiedziałaś mu, że jest dla ciebie przyjacielem? Z tego, co wiem, przyjaciele nie śpiąją ze sobą, nie całują się ani nie zachowują tak, jak wy to robicie. Shaw ma dosłownie bzika na twoim punkcie, a ty lepsza nie jesteś. Ja rozumiem, że odległość i w ogóle, ale na Boga! Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku. Myślę, że bez problemu będziecie mogli połączyć swoją szkołę i jego karierę bokserką, jeśli oczywiście podpisze ten cholerny kontrakt. To wcale nie jest tak, że...

— Chwila. — Przerywam jej w momencie, gdy przestają rozumieć. — Chyba zgubiłam wątek. O jakiej karierze bokserkiej mówimy? — pytam zdezorientowana.

Czy właśnie w tym kierunku chce podążać Chase? Boże, nawet Zoe o tym wiedziała, a ja nie?

— No, przecież Chase dostał propozycję podpisania kontraktu, dzięki któremu może zacząć profesjonalnie walczyć... — mówi to tak, jakby była pewna, że wiem, o co chodzi. — Prawda?

Patrzę na nią w szoku.

— Skąd o tym wiesz?

— Logan mi ostatnio powiedział. Podobno odezwali się do niego po walce i Chase rozważyła propozycję — wyjaśnia cicho. — Ty nie wiedziałaś...

Mam wrażenie, jakby ktoś właśnie odebrał mi wszystkie funkcje życiowe. Niby patrzę, ale nie widzę. Niby słucham, ale nie słyszę.

Chase dostał propozycję, która może odmienić jego życie, i choć rozmawialiśmy ze sobą tak wiele razy — nie pisałam o niej słowem. Zataił przede mną ten fakt. Dlaczego?

— Boże, Lizzy. Ja nie miałam pojęcia. Byłam pewna, że...

— Nie, nie, spokojnie. Nie powiem mu o tym. Jeśli będzie chciał, sam się wygada, prawda? Może po prostu nie uważa mnie za kogoś, kto powinien o tym wiedzieć czy coś — mówię obojętnie, tłumiąc wszystkie niewygodne emocje.

To przecież nie tak, że Chase nie ma własnego życia. Nigdy niczego sobie nie obiecywaliśmy, a ja też mam przed nim wiele tajemnic, więc to w porządku. Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Cieszę się, że wyznaczyłam tę granicę. Teraz wiem, że to najlepsze wyjście. Po wszystkim Shaw zacznie swoją karierę. Będzie robił coś, co kocha, a ja wrócę do dawnego życia, skończę szkołę i pójdę na studia.

— Przestań w ogóle tak myśleć. Na pewno jest jakieś logiczne wytłumaczenie jego milczenia. Jesteś dla niego cholernie ważna i jestem pewna, że nie mówi ci o tym dlatego, że sam nie wie, co robi. Logan powiedział mi o tej propozycji zupełnym przypadkiem, więc może to nie jest aż tak ważne.

Może...

— To bez znaczenia. My i tak nie mamy żadnej przyszłości. — Wzruszam ramionami.

— Walnę ci zaraz, przysięgam. Jesteście najlepiej dobraną parą, jaką w życiu spotkałam, a ty będziesz pieprzyła mi takie gówno. Boże, najpierw walnę tobie, a później pójdę i to samo zrobię z Shawem. Oboje potrzebujecie wychowawczego.

Przewracam tylko oczami.

— Dobra, idź już, bo zaczynasz za bardzo zrzędzić — mówię pół żartem, pół serio, kiedy wychodzimy na główną drogę.

— Jasne, najlepiej urwać rozmowę i zmienić temat. — Robi głupią minę na moje słowa, po czym sięga ręką do kieszeni po telefon. — To Logan.

— Idź już — śmieję się cicho, widząc, jak drobny uśmiezek pojawia się na jej ustach.

— Poradzisz sobie?

— Tak! — Wołam rozbawiona jej zachowaniem, po czym kładę dłonie na ramionach dziewczyny, sprawnie obracam tyłem do siebie i kolanem kopię w tyłek. — No już. Twój kochaś na ciebie czeka.

— Jesteś niemożliwa. Dokończymy tę rozmowę — mamrocze pod nosem. Przesuwa palcem po ekranie i przykłada aparat do ucha. — W takim razie do jutra! Halo? Tak, już prawie jestem.

Kręcę głową z uśmiechem. Zoe zdecydowanie przepadła dla Logana. To po prostu widać.

Przez chwilę stoję i patrzę na plecy odchodzącej dziewczyny. W końcu odwracam się na pięcie.

Fajnie było w końcu gdzieś się razem wyrwać, choć cel naszego wyjścia nie należał do przyjemnych. Mimo to rozmowa z Jackson dobrze mi zrobiła. Nie miałam pojęcia, że Chase otrzymał propozycję podpisania jakiegoś kontraktu. Zaskoczyło mnie to, oczywiście, że tak, ale nie zamierzam nad tym rozmyślać. Ma swoje życie i jeśli faktycznie chciałby, abym wiedziała — powiedziałby mi o tym. Może po prostu nie jest zdecydowany? Sama nie wiem. To chyba nie moja sprawa i nie powinnam się w to wtrącać.

Skręcam w lewo, w ulicę, którą już dość dobrze znam. O ile się nie mylę, dwie przecznice dalej jest Channel Road. Początkowo Crosby sprawiło na mnie wrażenie rozległego miasteczka, ale im dłużej tu jestem, tym mniejsze się wydaje.

Gdy maszeruję chodnikiem, do mojej głowy znów napływa wspomnienie spotkania z Blaze'em. To wszystko jest ze sobą tak połączone, że nie potrafię wyjść z podziwu, jak wiele pracy i wysiłku Omar oraz Frank włożyli w uprzykrzenie życia Chase'owi. Dlaczego to robili i nadal robią? Dlaczego po cichu go rujnowali? Jestem przekonana, że pochodzenie Aideny też było im znane. To nie tak, że życzę mu wszystkiego, co najgorsze, ale do cholery — coś mi tu nie gra. Przez te wszystkie lata Warrenowi włos z głowy nie spadł. Czy mój tata go w jakiś sposób chronił? Jeśli tak, dlaczego nie zrobił tego samego z Chase'em? Dlaczego ich rozdzielił? Z każdym dniem mam coraz więcej pytań, ale prawda, jaka może się za nimi kryć, przeraża mnie tak bardzo, że nie do końca wiem, czy chcę ją poznać. Jednak pewnie i tak będę do niej dążyła. Inaczej nie byłabym sobą.

Droga do domu zajmuje mi jakieś pięć minut. Wyjmuję z kieszeni telefon i dopiero teraz orientuję się, że jest już chwilę po czwartej. Nie miałam pojęcia, że nie było nas aż tak długo.

Na podjeździe Shawów dostrzegam range rovera Jonathana i chevroleta Chase'a. Przypuszczam więc, że w środku są już wszyscy, z Theresą włącznie. Zastanawiam się, czy i dziś zostanie zaszczycona obecnością Aideny, ojca i Natalie. Mam nadzieję, że ten pierwszy sobie odpuści, ale Warren ostatnio łązi za nimi jak pies. Niby rozumiem, że nikogo tu nie zna, że mną nie bardzo rozmawia, że swoim bratem tym bardziej, ale mógłby zająć się sobą, żeby mnie nie irytować. Po tym, jak dał Nate'owi mój numer, naprawdę nie mam ochoty na jakąkolwiek rozmowę z nim.

Gdy wchodzę do środka, słyszę głośne rozmowy i śmiechy. Rzucam torbę gdzieś w kąt i zdejmuję swoje ukochane, znoszone vansy. Wchodzę do kuchni i zatrzymuję się w pół kroku. Unoszę brwi, bo widok, jaki tam zastaję, jest co najmniej szokujący.

— O, Lizzy! — mówi uradowana Theresa, wstając od stołu, przy którym siedziała z Josephine, Natalie, Jonathanem, moim ojcem i... Chase'em? — Siadaj, córeczko, dam ci obiad. — Podchodzi do kuchenki.

— N-nie dziękuję, jadłam na mieście. — Kłamię, bo w tym momencie jedzenie jest ostatnią rzeczą, o jakiej myślę.

Odnajduję wzrokiem Shawa, który patrzy na mnie przez ramię i uśmiecha się lekko. Nie wygląda na spiętego czy zdenerwowanego. Przeciwnie — jest raczej spokojny i wypoczęty. Mogłabym wręcz powiedzieć, że jest w znakomitym nastroju, a ja nie mam pojęcia, co przegapiłam.

— Zrobiłam pyszną zupę! Jesteś piękna, kruszyno, ale zdecydowanie straciłaś kilka kilogramów, od kiedy ostatni raz widziałam cię w Bangor.

— Tak właściwie to zaraz się zbieramy. — Chase niespodziewanie wtrąca się do rozmowy.

— Naprawdę? — Ja, Theresa i Josephine odzywamy się niemal jednocześnie.

Nie przypominam sobie, abyśmy mieli jakiegokolwiek plany. Prawda jest taka, że dziś niewiele rozmawialiśmy. Raczej żartowaliśmy i się przekomarzaliśmy, ale nie dyskutowaliśmy o niczym konkretnym, co mielibyśmy robić po szkole.

— Gdzie jedziecie? — docieka Theresa z chochlą w rękę. W jej głosie słyszę ekscytację, gdy patrzy to na mnie, to na Chase'a.

— Nie interesuj się za dużo, babka. Im mniej wiesz, tym lepiej śpisz — rzuca w jej kierunku brunet.

— Daruj sobie takie teksty względem głowy rodziny, gówniarzu. No, dalej, Lizzy. Pochwal się, gdzie jedziecie.

— Tak właściwie to ja...

— Niech mama przestanie — mówi ze śmiechem Jo. — Są młodzi, nie muszą się mamie ze wszystkiego spowiadać.

— Dokładnie. — Chase pstryka palcami. — A tak poza tym to babcia wzięłaby się własnym życiem zajęła, co? Gerard wieczności czekał na babkę nie będzie. — Kręci głową z udawanym zawodem.

— A idź mi stąd, zanim cię...

— Walniesz, wydziedziczysz i takie tam. Wiem, wiem — przerywa kobiecie i wstaje od stołu. — Chodź, Parker — mówi z nieokreślonym wyrazem twarzy, a gdy znajduje się krok ode mnie, chwytą moją rękę i ciągnie za sobą.

— Poczekaj, tylko założę buty. — Wrywam się z uścisku.

Gdy mam już w rękach vansy, Chase przewraca oczami i nachyla się. Jedną rękę umieszcza pod moimi nogami, drugą zostawia na plecach. Piszczę zaskoczona.

— Założysz w samochodzie — mamrocze pod nosem i dość nieporadnie otwiera drzwi.

Chłodny marmocowy wiatr ponownie tego dnia uderza w moje ciało, gdy przemierzamy niewielką odległość między domem a samochodem. Światła chevroleta zapalają się kilkakrotnie. Chase nachyla się w dość dziwny sposób, aby otworzyć mi drzwi. Równie dobrze mogłam zrobić to sama, ale postanawiam o tym nie dyskutować. Shaw sadza mnie na fotelu pasażera, po czym okrąża samochód.

Niewiele myśląc, rzucam na podłogę buty i je zakładam. Brunet odpala silnik, a kiedy się prostuję, dociera do mnie, że przez cały ten czas bacznie mnie obserwował.

— Co?

— Pasy.

Szybko chwytam je i jak zwykle przeciągam sobie przez klatkę.

— Coś jeszcze?

— Uśmiechnij się — mówi, a ja mimowolnie robię to, o co prosi. — Tak lepiej. — Patrzy na lusterka, gdy wycofuje.

— Dokąd jedziemy?

Uśmiecha się tajemniczo.

— Zobaczysz.

Postanawiam nie dociekać, bo wiem, że i tak mi nie powie.

— Jak było z Zoe? — pyta, kiedy staje na czerwonym świetle. Cały czas się uśmiecha i to mnie trochę przeraża, bo kompletnie nie rozumiem, co się dzieje.

— W porządku. Musiała już wracać, bo Logan chciał się z nią spotkać — wyjaśniam. — A twój trening i dzień? — Odbijam piłeczkę, mając nadzieję, że dowiem się, co tak wpłynęło na jego dobry humor.

Zastanie go w kuchni w towarzystwie taty, Natalie, Josephine, Jonathana i Theresy to ostatnie, czego bym się spodziewała. Zaskoczył mnie ten widok, i to bardzo, nie będę kłamała, że było inaczej.

— Trening jak trening. Rozmawiałem z twoim ojcem.

— Z moim ojcem? O czym? — Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić Chase'a rozmawiającego z

Terrence'em. Ja naprawdę mam wrażenie, jakbym pominęła co najmniej tydzień swojego życia.

— Taaa — mówi przeciągle, niespodziewanie kładąc dłoń na moim udzie. — Powiedziałem mu, że chciałbym poznać Lorraine. Na początku kwietnia lecimy do Santa Monica.

Moje oczy otwierają się szeroko. On mówił poważnie...

— Lecimy? Jak to? Przecież mamy szkołę... i w ogóle. Na ile tam lecimy? Co? — płaczę się, bo ta rewelacja ścięła mnie z nóg.

— W przyszłym tygodniu zaczyna się przerwa wielkanocna. W Anglii trwa dwa tygodnie. A my będziemy w Stanach tylko kilka dni. — Wzrusza ramionami, jakby to wszystko było tak cholernie normalne, ale w moim odczuciu kompletnie takie nie jest.

Przez chwilę patrzę jeszcze na niego w szoku. Skąd ta niespodziewana zmiana postawy? Dlaczego nagle chce poznać matkę i do tego rozmawia z moim ojcem jakby nigdy nic?

— Okej — mówię tylko, bo nie mam zielonego pojęcia, co innego miałabym powiedzieć. Zdecydowano za mnie, więc to chyba bez znaczenia, prawda?

— Jesteś zła?

— A mam powód?

— Nie wiem. Może. — Rzuca mi szybkie spojrzenie.

— Nie jestem — zapewniam go i przenoszę uwagę za okno. Dopiero teraz orientuję się, że wyjechaliśmy z miasta.

Zerkam znów na Chase'a.

— Zobaczysz — mówi tajemniczo, jakby czytał mi w myślach.

— Lizzy?!

— Zoe?!

Patrzymy na siebie w szoku.

— Co wy tu robicie? — pyta dziewczyna, kiedy staje naprzeciwko mnie.

— Powinnam chyba zapytać o to samo — śmieję się szczerze.

Przez całą drogę Shaw nie pisał słowem o tym, dokąd jedziemy. Przemierzaliśmy autostradę, ale z tego, co udało mi się wyłapać, nie jechaliśmy w kierunku Liverpoolu. Próbowałam cokolwiek z niego wyciągnąć, jednak milczał jak grób. Teraz znajdujemy się na przepełnionym samochodami parkingu, z którego niewiele widzę, bo otaczają nas najróżniejsze busy i kampery.

— Co wy kombinujecie, co? — Jackson odwraca się w kierunku Turnera. Jestem pewna, że patrzy na niego wymownie, ale jednocześnie uśmiecha się szeroko. Jej głos mówi sam za siebie.

— Chcesz zrobić coś miłego, a ta od razu posądza o najgorsze — mówi Chase gdzieś za mną.

— Ja po prostu nie wiem, czego się spodziewać po was dwóch.

Niespodziewanie czuję, jak brunet chwyta moją dłoń i splata ze sobą nasze palce. Zerkam na niego z szybko bijącym sercem.

— Chodź, mała — rzuca Logan do Zoe.

Chwyta ją za rękę, po czym gdzieś ciągnie. Jestem pewna, że w tym momencie szczerzy się jak głupia albo z całych sił stara się nie pokazać swojej ekscytacji. Tutaj nie ma nic pomiędzy.

Ruszamy za nimi.

Przeciskamy się po łące, na której zostały ustawione dziesiątki dużych samochodów. Im więcej kroków robimy, tym dziwniejsze głosy docierają do moich uszu. Próbuję przypisać je do czegośkolwiek, ale prawda jest taka, że dopóki mój wzrok nie wyłapuje ogromnej kolejki górskiej...

— No chyba nie! — mówię z uniesionymi brwiami.

Słyszę cichy pisk Jackson idącej przede mną, a chwilę później widzę, jak różowowłosa zostawia na ustach Logana długi pocałunek.

Zerkam na Chase'a i znów przyłapuję go na obserwowaniu mnie. Jest niepewny. Jego oczy błędzą po mojej twarzy, a usta są zaciśnięte. Wygląda jak wtedy, gdy zabrał mnie na plażę. Zrobił coś miłego i bardzo go to stresowało.

— Jeśli chcesz, możemy po prostu nie iść i...

— Dziękuję.

Oplatam rękami jego szyję. Muszę stanąć na palcach, żeby to zrobić. Chase chwyta mnie w tali i przyciąga do siebie, utrzymując lekko w powietrzu. Nie jest to nic nadzwyczajnego, ale podoba mi się. Lubię te wszystkie proste rzeczy, które robimy.

Kiedy odsuwamy się od siebie, od razu odnajdujemy swoje spojrzenia. Dostrzegam radosne iskierki w jego oczach. Uśmiecham się na ten widok.

— Wszystko w porządku?

— Tak, dlaczego pytasz?

Przez chwilę patrzy na mnie dziwnym wzrokiem.

— Bez powodu. — Wzrusza ramionami, jakby chciał już odpuścić temat. — Chodźmy.

Chłopak ciągnie mnie za sobą w kierunku budki, w której kasowane są bilety. Jak się okazuje, on i Logan są już przygotowani, dlatego wejście zajmuje nam zaledwie kilka sekund.

Plac wesołego miasteczka jest przeogromny. W pierwszej chwili nie jestem w stanie zauważyć wszystkiego. Dostrzegam karuzelę, kolejkę górską, diabelski młyn, zjeżdżalnię, huśtawki, strzelnicę, ogromną trampolinę oraz mnóstwo budek ze słodkościami i najróżniejszymi grami. Nawet nie wiem, w którym momencie moje usta otworzyły się szeroko na ten widok. W takim miejscu jak to byłam zaledwie raz, i to jeszcze jako dziecko, więc niewiele pamiętam. Wiem, że bardzo płakałam, gdy razem z ojcem poszliśmy na gokarty, bo z powodów, których nie rozumiem, strasznie mnie przerażały.

— Ja chcę na kolejkę! — krzyczy entuzjastycznie Zoe. Mam wrażenie, że gdyby puściły jej hamulce, w tym momencie skakałaby niczym małe dziecko.

— Więc idziemy na kolejkę — śmieje się Logan. Zauważyłam, że kiedy to robi, wygląda na jeszcze młodszego, niż jest w rzeczywistości. — A wy?

Czuję na sobie wyczekujące spojrzenie Shawa. Rozglądam się po polu.

— Na co masz ochotę?

Zatrzymuję wzrok na czymś, co niemal od razu przykuwa moją uwagę.

— Będziemy w kontakcie — rzucam tylko w ich kierunku, po czym chwytam dłoń Chase'a.

— Wiedziałem, że to wybierzesz — parska śmiechem, gdy stajemy przed drewnianą budką z ustawionymi na ścianie nagrodami.

Witam się uprzejmie ze starszym, brodatym mężczyzną i proszę o jedną próbę. Ten tłumaczy mi, że aby zgarnąć nagrodę, muszę wykonać trzy celne strzały w poruszające się obiekty. Jeśli spudłuję chociażby raz — wracam z niczym.

Biorę broń i ustawiam się tak, jak kiedyś widziałam to w filmach. Czuję się jak jakaś policjantka albo tajna agentka, co wydaje się naprawdę fajne. W momencie gdy do moich uszu dociera jakiś dziwny odgłos, trzy kartonowe postaci wysuwają się i zaczynają poruszać na najróżniejszych wysokościach. Mrużę oczy, uważnie skupiając się na swoich celach. Zaciskam wargi, a kiedy oddaję pierwszy strzał, z moich ust ulatuje siarczyste przekleństwo.

— Okej, ale przynajmniej teraz już wiemy, że jestem w tym beznadziejna — stwierdzam rozbawiona, bo nie sądziłam, że polegnę już na samym początku.

— To było do przewidzenia, Parker — droczy się Shaw, a ja rzucam mu najbardziej lodowate spojrzenie, na jakie mnie stać.

— Skoro jesteś taki mądry, to sam spróbuj — rzucam wyzywająco i zaplatam ręce pod piersiami.

— A żebyś wiedziała, że to zrobię — odpowiada z głupkowskim uśmiechem. — Zaraz ci pokażę, jak się wygrywa.

Chase wykupuje trzy następne strzały i płaci przy okazji za te pierwsze. Jest mi głupio, bo nie lubię, gdy ktoś wyklada za mnie pieniądze, ale nie wzięłam portfela. Notuję więc sobie w głowie, aby rozliczyć się z nim, kiedy wrócimy już do domu.

Shaw staje w lekkim rozkroku naprzeciwko miejsca, w którym lada moment mają pojawić się kartonowe postaci. Bierze w dłoń broń i ustawia się dokładnie tak, jak ja chwilę wcześniej. Moje usta otwierają się szeroko, bo nim się orientuję, brunet oddaje trzy celne strzały, a przed moimi oczami pojawiają się różnokolorowe światełka.

To nie trwało nawet pięciu sekund...

Aha.

— To jaką nagrodę sobie pan życzy? — pyta siwowłosa mężczyzna z uśmiechem okolonym zmarszczkami.

— To jaką nagrodę sobie pani życzy? — pyta Chase, zerkając na mnie.

Przyglądam się zawieszonym na ścianie nagrodom.

— Niech będzie... to. — Wskazuję palcem brązowego misia, który wygląda, jakby był po ciężkich przejściach. Zamiast sztucznych oczu ma guziki, ale mimo to jest cholernie uroczy.

— Jest kurewsko ohydny — komentuje Chase, kiedy odchodzimy od budki.

— Spójrz może czasem w lustro, żeby poznać prawdziwą definicję tego słowa.

— Proszę? — Brunet chwytą moją wolną dłoń i przyciąga tak, że wpadam na jego klatkę.

Unoszę wzrok, aby na niego spojrzeć. Chłopak patrzy na mnie spod wachlarza gęstych rzęs, a kąciki ust unosi w zawadiackim uśmieszku.

— Potrzebujesz aparatu słuchowego? Mam pogadać z Theresą?

— Grabisz sobie, Parker.

Przełykam ślinę, kiedy oczy chłopaka zatrzymują się dłużej na moich wargach. Chase oblizuje swoje, a gdy nasze oczy znów się spotykają, zieleń jego tęczy nie jest już tak rażąca jak wcześniej. Znam ten wzrok. Oczywiście, że tak.

— To co? Może kolejka? — Chrząkam, odsuwając się od niego na stosowną odległość.

Brew Shawa zakrzywia się na mój ruch, jednak nie komentuje tego. Kręci głową, a gdy odwracam się na pięcie, dorównuje mi kroku i zarzuca rękę przez ramię.

„Chase dostał propozycję podpisania kontraktu, dzięki któremu może zacząć profesjonalnie walczyć” — słowa Zoe niekontrolowanie pojawiają się w mojej głowie. Spoglądam na bruneta, który ze spokojem wymalowanym na twarzy idzie obok mnie.

— Jak powtórki do egzaminów?

Ściskam mocniej trzymanego w ręku misia.

— Nie wiem, jeszcze nie zacząłem — mówi rozbawiony, patrząc na mnie z góry.

— A myślałeś już o tym, gdzie chcesz dalej iść? — pytam.

Wiem, że nie powinnam tego robić. Wiem, że powinnam przemilczeć ten temat, ale chyba mała część mnie wciąż żyje głupią nadzieją, że Shaw powie mi o tej propozycji. Nie wiem, dlaczego milczy. Nie rozumiem tego. Niby to nie moja sprawa. Nie jest mi przykro, ale jednocześnie... Boże, nie potrafię nawet ubrać w słowa swoich pobudek. Po prostu wolałam chyba dowiedzieć się tego od niego, a nie od Zoe.

— Może biznes? — Wzrusza ramionami, dając mi do zrozumienia, że temat dotyczący jego przyszłości kompletnie go nie interesuje.

— Nie wyglądasz na przejętego.

— A powinienem się przejmować?

— Nie wiem... chyba... Po prostu się zastanawiałam, bo Monica ciągle gada o tych egzaminach, a ciebie nie widziałam jeszcze nigdy z książką — wypalam nieskładnie.

— Nie przywiązuję do tego większej wagi... Chodź. — Zmienia temat, gdy znajdujemy się bliżej kolejki, przy której spotykamy bladą Zoe i Turnera.

Dziewczyna zdecydowanie nie spodziewała się takich wrażeń. Wygląda, jakby lada moment miała puścić pawia. Kiedy ich mijamy, Logan mówi, że idą gdzieś odetchnąć.

— Udanej przejażdżki, Parker — mówi chwilę przed startem Chase, gdy zapinamy pasy.

— Pamiętaj, że nie masz spodni na zmianę. — Puszczam do niego oko, co chłopak kwituje prychnięciem.

Przejażdżka kolejką jest pełna wrzasków siedzących za mną i przede mną osób. Każdy drze się w niebogłose, podczas gdy ja ściskam jedynie mocniej boki. Mimo prędkości maszyny nie czuję nic szczególnego. Jestem świadoma, że nic mi się nie stanie, więc może właśnie to jest tego powodem? Nie wiem.

— Wyglądasz, jakby z ZOO cię wypuścili.

— A ty, jakby ktoś cię przeleciał.

— Zawsze ktoś przecież może to zrobić — stwierdza z idiotycznym uśmiechem na ustach.

— Debil.

Poprawiam włosy, które przez wiatr zupełnie się potargały. Z chłopakiem u boku podchodzę do stoiska z różnymi przekąskami, bo oboje zdążyliśmy już zgłodnieć. Poza tym od lunchu nic nie jadłam i burczy mi już trochę w brzuchu.

— A ty? — pyta, kiedy wciskam do ust garstkę różowej waty cukrowej.

— Co ja?

— Jaki masz plan po szkole?

Och.

— Myślałam o psychologii.

— Dlaczego właśnie ten kierunek? — Brunet odwraca się bokiem na ławce i opiera łokciem o stół za naszymi plecami. Postanawiam również zmienić nieco pozycję i w najmniej dostojny sposób krzyżuję nogi tak, że teraz znajduję się między jego udami.

— Zawsze chciałam pomagać ludziom. — Kradnę chłopakowi jedną frytkę, po czym znów odrywam kawałek waty. Kiepskie połączenie, ale później będę się tym przejmowała. — Myślę, że dobrze mieć kogoś, komu można się wygadać bez obawy, że zostanie się osądzonym. Nikt tego raczej nie lubi, prawda? Psycholog właśnie taki jest, bezstronny. Chciałabym służyć dobrą radą, być ramieniem do wypłakania, albo po prostu stać się dla kogoś przystanią, w której choć na chwilę poczuje się lepiej.

— Ale wiesz, że aby naprawiać świat, trzeba zacząć od siebie? — Jego głos jest cichy, ale nie na tyle, abym nie mogła go dosłyszeć.

Między nami zapada milczenie. Słyszę krzyki dzieci, rozmowy przechodzących obok nas ludzi, jednak wszystko to wydaje się stłumione. Na ustach bruneta maluje się lekki uśmiech, choć nie dociera on do nefrytowych tęczówek. To tak, jakby nie czuł tego, co mi ukazuje. Doskonale wiem, że nie chciał mnie urazić tymi słowami. Zdaję sobie sprawę, że po wszystkim, co się wydarzyło, nie jest ze mną najlepiej. Jestem świadoma, ile pracy nad własną głową mnie jeszcze czeka. Mimo to — jestem gotowa. Chcę zmian. Chcę uodpornić się na cierpienie i działać. Potrafię. Oczywiście, że umiem to zrobić. Niejednokrotnie wydostawałam się z gówna, więc dlaczego tym razem miałoby być inaczej?

— Wiem.

Kończymy nasze porcje w ciszy. Każde z nas jest zamknięte we własnej głowie. Czasem naprawdę chciałam wejść do jego i zobaczyć, co w niej siedzi. Czasem chciałam zadać te wszystkie dręczące mnie pytania, aby poznać odpowiedzi. Rzecz w tym, że nie tyle boję się zapytać, co po prostu boję się prawdy. Nie wiem, czy jestem gotowa na rozmowę o wyjeździe. Nie wiem, czy potrafię już normalnie rozmawiać o wszystkim... o nas.

Czasem lepiej nie pytać „dlaczego”. Czasem lepiej żyć w niewiedzy, bo „im mniej się wie, tym lepiej się śpi”, prawda? To dlatego zamilkłam.

— Co myślisz o całej tej sytuacji z Mattem? — pytam, gdy ruszamy wzdłuż ścieżki pełnej atrakcji.

— Nic. A co miałbym myśleć? — Wzrusza ramionami, rozglądając się.

— Jak to nic? Byliście przyjaciółmi. Nie sądzisz, że warto porozmawiać, wyja...

— I właśnie o tym ostatnio mówiłem. Jesteś strasznie naiwna, Parker. Wierzysz w dobro. Wybaczasz każdemu, a później każdy cię rani. Sama sobie strzelasz w kolano, bo dajesz drugą szansę.

— Uważasz, że człowiek na nią nie zasługuje? — Unoszę brwi w zaskoczeniu.

— Nie powiedziałem tego. Są osoby, którym warto ją dać. Rzecz w tym, że Matt do nich nie należy.

— Dlaczego? Przecież sam powiedział, że nie miał nic wspólnego ze sprawą z Allison.

Wiem, że jest zły. Może nawet mu przykro, ale... Cholera, mogliby chociaż pogadać.

Chase zatrzymuje się w pół kroku, dlatego ja też to robię. Chłopak patrzy na mnie bez wyrazu. Nie mogę nic wyczytać z mowy jego ciała czy wzroku.

— Po prostu wiem rzeczy, o których ty nie wiesz, a nie chce mi się już tego roztrząsać.

— Więc mi powiedz. Może wtedy zrozumieć twoje stanowisko w tej sprawie. — Opieram dłonie na biodrach.

Shaw odchyła głowę i wzdycha ciężko.

— Boże dopomóż — mamrocze pod nosem. — Czy nie możemy po prostu zmienić tematu i porozmawiać o czymś miłym?

— Na przykład o czym?

— Nie wiem, o pogodzie, kwiatkach, kurwa, o czymkolwiek. — Wyrzuca ręce w powietrze.

— Jak sobie chcesz. — Przewracam oczami.

— O, matko. Teraz brzmisz jak typowa baba — marudzi, na co parskam śmiechem.

— Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiłam — mówi rozanielona Zoe.

Jest grubo po dwudziestej. Na dworze panują ciemności, a temperatura znacznie spadła.

Czas, jaki tutaj spędziłam, był naprawdę dobry. Po zjedzeniu waty złapaliśmy Jackson i Turnera, aby wspólnie odwiedzić diabelski młyn. Następnie skorzystaliśmy z jeszcze jednej strzelnicy, na której Logan wygrał dla różowowłosej białego pluszaka. Oczywiście wyśmiał mojego. Osobiście uważam, że ten, którego trzymam, jest przeuroczy. Zdecydowanie różnił się od pozostałych, które tam wisiały, dlatego zwróciłam na niego uwagę. Inność jest cudowna.

— Ja to samo — stwierdzam z uśmiechem, gdy stoimy przy chevrolecie Chase'a.

Nim się orientuję, jestem już w objęciach Jackson, a następnie Turnera.

— Do jutra, kochani! — krzyczy Zoe, gdy się od nas oddalają.

Macham im na pożegnanie, po czym odwracam się twarzą do Shawa.

— Wskakuj.

Z misiem po pachą zajmuję miejsce pasażera. Odwracam pluszaka tak, że teraz na siebie patrzymy, i uśmiecham się pod nosem.

— W końcu możesz pogadać z kimś o podobnym ilorazie inteligencji — mówi Chase, gdy odpala silnik. — Pasy.

— Przepraszam bardzo...? — Unoszę wysoko brwi, przeciągając zabezpieczenie przez klatkę.

Brunet uśmiecha się głupio i zerka na mnie przelotnie.

— ...a więc uważasz, że jestem głupia?

— A czy kiedyś powiedziałem, że nie jesteś? Powtarzam ci to przynajmniej raz dziennie. Widzisz? Właśnie dlatego ty i to ohydne coś tak bardzo do siebie pasujecie.

— Aha.

Zaplatam ręce pod piersiami, po czym przenoszę wzrok za oko.

Chase zdażył już wyjechać z parkingu i włączyć się do niewielkiego ruchu na drodze. Poza jadącym przed nami samochodem nie ma innego źródła światła, ponieważ jesteśmy w lesie. Trochę mnie to przeraża. Nie lubię takich miejsc, szczególnie w nocy, bo to mi przypomina scenę z horroru, w której auto się psuje, a zza drzew wyskakuje facet z siekierą. W sumie nigdy nie widziałam takiego filmu, ale na pewno ktoś już stworzył podobny.

— Och, no nie obrażaj się, Parker — mówi złośliwie, wciskając mi palec w policzek.

Chcąc zaakcentować udawaną złość, całym ciałem obracam się w kierunku drzwi.

— A więc w ten sposób — mamrocze pod nosem.

Zapada cisza. Nie gra muzyka, nic nie mówimy, a jedyne, co słyhać, to warkot silnika. Ściskam mocniej pluszaka. W mojej głowie odtwarzają się te wszystkie momenty, które spędziliśmy w wesołym miasteczku. To był naprawdę dobry czas. Myślę, że mimo wszystko oboje tego potrzebowaliśmy. Taka odskocznia od rzeczywistości była nam potrzebna.

Nagle czuję na udzie ciepłą dłoń Chase'a. Moje ciało od razu reaguje na ten dotyk, jednak staram się zachować pozory normalności. Przetykam nerwowo ślinę, gdy sunie palcami w górę. Rozchyłam wargi, bo oddycha mi się nieco ciężiej. W jednej chwili w moim wnętrzu rozniecił się płomień. Piecze mnie skóra, wnętrzności, po prostu wszystko.

Nie patrzę na Shawa. Nie dam mu tej satysfakcji. Jestem pewna, że teraz uśmiecha się głupio i jest zadowolony z siebie. Co za palant.

— Parker, czy ty jesteś obrażona? — pyta niskim głosem, który od razu pobudza moje zmysły.

Palce bruneta wślizgują się niespodziewanie między moje nogi, a ja zaciskam je. Z całych sił ściskam misia, gdy podbrzusze daje o sobie znać.

— Zatrzymaj się — mówię słabo, na skraju wytrzymałości.

— Wszystko w porządku? — Tym razem słyszę, że jest zdezorientowany.

— Po prostu to zrób, proszę.

Ręka Shawa znika spomiędzy moich ud. Obserwuję, jak chłopak skręca w pierwszą napotkaną leśną drogę. Wokół jest ciemno. Lampy chevroleta są jedynym źródłem światła.

Nie myśląc już trzeźwo, odpinam pas, a pluszaka rzucam na swoje siedzenie. Patrę na Chase'a, który spogląda na mnie z niezrozumieniem. Chwytam tył jego głowy i przyciągam go do siebie, zamykając nasze usta pocałunkiem. Już od pierwszych chwil jest on pożądlivy i zachłanny. Nie potrafię zapanować nad głodem, który czuję. Silnik gaśnie.

Shaw wydaje się wyraźnie zdezorientowany moim zachowaniem, jednak nie dbam o to. Wciąż go całując, zdejmuję buty. Wciskam czerwony przycisk odbezpieczający pas, po czym niezgrabnie przechodzę nad skrzynią biegów i siadam na nim okrakiem. Wzdycha ciężko w moje usta, gdy przywieram do niego biodrami, którymi zaczynam poruszać. Jego dłonie lądują na moich pośladkach. Ściska je, przysuwając jeszcze bliżej.

Zaciskam mocniej powieki. Przyjemność rozlewa się po moim wnętrzu. Chcę więcej.

Niecierpliwymi dłońmi sunę po klatce bruneta. Gdy docieram do skraju koszulki, unoszę ją. Kiedy materiał leży już na siedzeniu obok, nasze spojrzenia spotykają się. W tym świetle niewiele widać, ale i tak udaje mi się dostrzec różowe wypieki na policzkach Shawa. Oboje oddychamy ciężko, patrząc sobie prosto w oczy.

— Zamierzasz przeprosić? — pytam ciężko.

— Nie.

Ponownie zamykam jego usta pocałunkiem. Chase chwyta mnie za włosy i pociąga je lekko. Poruszam biodrami coraz szybciej. Jego wybrzuszenie jest znacząco wyczuwalne przez materiał naszych dżinsów. Naciskam mocniej.

— Kurwa — mamrocze, gdy odrywamy się od siebie.

Obserwuję, jak odchyła głowę do tyłu i przymyka powieki. Przysięgam, że tyle mi wystarczy, aby odlecieć zupełnie.

Shaw chwyta dół mojej bluzy i pozbywa się jej razem z koszulką. Gdy moja klatka jest odsłonięta, przywiera wargami do szyi, a ja wzdycham. Choć wiem, że to już niemożliwe, robię wszystko, aby coraz mocniej napierać na jego krocze.

— Przysięgam, że jesteś aniołem z samego piekła. — Słyszę między kolejnymi muśnięciami na skórze.

Chwytam klamrę paska, sprawnie ją odbezpieczam. Rozpinam spodnie, to samo brunet robi z moimi. Czuję, jak pociąga je niecierpliwie w dół. W tej niewielkiej przestrzeni jest to cholernie ciężkie do zrobienia. Shaw odsuwa siedzenie, więc opuszczam nogi na podłogę. Moje pośladki opierają się o kierownicę. Dość pokracznie, z pomocą chłopaka, zsuwam spodnie, Chase również i teraz jedyne, co na sobie mamy, to bielizna. Nie mija chwila, a ona również znika.

Ponownie siadam na nim okrakiem.

— Jesteś zajebiście szalona, Parker.

— Powiedz mi coś, czego nie wiem, Shaw.

Uśmiecham się zawadiacko. Brunet chwyta mnie za tył głowy i wpija się w moje usta. Tym razem jest jeszcze bardziej zachłanny niż wcześniej. Nie sądziłam nawet, że to możliwe.

Zerkam kątem oka na szyby, które zupełnie zaparowały. Płonę pod dotykiem dłoni, które suną wzdłuż kręgosłupa.

Chase znów ściska moje pośladki i unosi je. Odrywamy się od siebie, odnajdując swoje spojrzenia. Jego jest dzikie, zupełnie niepodobne do normalnego, gdy zsuwam się, a on rozchyła wargi z wyraźnej przyjemności.

Nasze ciała łączą się ze sobą maksymalnie. Dociskam biodra do jego, nie potrafiąc pohamować cichego jęknięcia. Przez chwilę siedzimy w bezruchu, przyzwyczajając się do swojej bliskości.

— A więc nadal uważasz, że jestem głupia? — pytam głosem zupełnie nieprzypominającym normalnego.

Shaw uśmiecha się zawadiacko.

— Tak.

Przygryzam wnętrze policzka na to jedno słowo. Zahaczam palcami o zagłówek fotela i nieznacznie podnoszę się, po czym opadam na niego, upłynniając ruchy. Z nieopisaną satysfakcją patrzę, jak brunet łąpie kolejne dawki powietrza, z każdą chwilą oddychając coraz ciężiej. Czuję jego dłonie na pośladkach, pomagają mi w niewielkiej przestrzeni.

— Ja pierdolę — klnie siarczyście, gdy bez uprzedzenia znów przywieram do jego bioder.

Sama również nie potrafię zapanować nad swoim językiem, bo jest mi tak cholernie dobrze.

Rozdział 12

CHASE

Wychodzę z budynku i od razu wyjmuję z kieszeni paczkę papierosów. Wkładam jednego do ust, odpalam go, a kiedy dym wypełnia płuca, napięcie całego tygodnia od razu ze mnie schodzi. Całe szczęście, że już piątek. Przysięgam, że ledwie się już powstrzymałem przed powiedzeniem Parker o tym wyjeździe. Niejednokrotnie mało brakowało, żebym się wygadał. Nie rozumiem dlaczego, ale kurewsko mnie to ekscytuje. Lubię ją uszczęśliwiać i mam nadzieję, że tym razem też niespodzianka jej się spodoba.

Przemierzam dziedziniec, a kiedy docieram do samochodu, opieram się o niego i patrzę na wychodzących uczniów. Wszyscy śmieją się, rozmawiają albo palą szlugi. Gdzieś między nimi wszystkimi przeciska się niska blondynka z grymasem na twarzy. Parskam, kiedy się potyka. Z ruchu jej warg jestem w stanie wyczytać, że jest co najmniej wkurwiona. Rzuca wiązanek przekleństw do jakiegoś typa, a gdy podchodzi do mnie, wzdycha ciężko.

— Jeśli dziś kogoś nie zamorduję, to będzie sukces — mamrocze, po czym sięga do kieszeni mojej bluzy i wyjmuje z niej fajki.

Unoszę wysoko brwi.

— Jasne, nie krępuj się.

— Dzięki.

Przyglądam się jej uważnie, z trudem hamując śmiech.

— Co cię ugryzło w tyłek? — pytam, gdy ta walczy z zapalniczką.

Parker klnie pod nosem. Wrywam jej z rąk urządzenie, napieram na nie palcem, a kiedy się odpala, przysuwam je do papierosa dziewczyny. Przygląda mi się wyraźnie zaskoczona.

— Magiczne palce — mówię z lekkim uśmiechem i się odsuwam. — Więc? Co ci?

Po raz kolejny opieram się o samochód, zaciągam fajkę, nawet na sekundę nie spuszczać wzroku z blondynki. Jej szare oczy wwiercają się w moje.

— Jestem sfrustrowana.

— Mogę temu zaradzić.

Parker patrzy na mnie spode łba.

— Dobra, nieważne. — Przewraca oczami, gasi butem dopiero co napoczętego papierosa i otwiera drzwi od strony pasażera.

— Czekaj. — Chwytam ją za ramię. — Co się dzieje?

Dziewczyna odдыcha ciężko i zaciska usta w wąską linię.

— Po prostu chce mi się płakać.

Bicie mojego serca przyspiesza.

— Dlaczego? Ktoś ci coś powiedział? Matt coś zrobił? — pytam, starając się zachować spokój.

Przysięgam, że jeśli ten skurwiel O'Kelly przyczynił się do obecnego stanu Lizzy, to wyłamię mu wszystkie palce.

Nagle do oczu Parker napływają łzy. Blondynka patrzy na mnie niepewnie, po czym mocno się we mnie wtula. Stoję skołowany i jeszcze bardziej zaniepokojony. Paznokcie dziewczyny wbijają się w moje plecy.

— Dlaczego oni się zabili? — mamrocze w materiał mojej bluzy.

Zamieram.

— Kto się zabił? O czym ty mówisz?

Lizzy odsuwa się ode mnie, przeciera rękawem mokre policzki, a ja stoję w szoku.

— No, Romeo i Julia. Powinni mieć szczęśliwe zakończenie. Zasłużyli na to.

Że co?

Ja pierdolę.

— I dlatego płaczesz? — Zamykam jej twarz w objęciach swoich dłoni i palcami przejeżdżam pod oczami, gdzie rozmazał się tusz.

— Tak, bo to przykre — mówi cicho.

Widzę, że naprawdę się rozkleiła, i to bawi jeszcze bardziej.

— Lizzy?

— Co?

— Masz te dni? — naciskam na drugie słowo, bo jestem pewien, że właśnie to jest powodem.

Dziewczyna przymyka powieki i znowu wzdycha.

— Tak — burczy.

Jeszcze przez chwilę się jej przyglądam. Wygląda naprawdę uroczo w tych potarganych włosach i makijażu, z którego nie zostało zbyt wiele. Po raz kolejny zamykam ją w swoich ramionach, żeby się uspokoiła.

— Całe szczęście, że dzisiaj wyjeżdżamy — mówię po minucie czy dwóch, gdy tak stoimy w bezruchu.

Blondynka porusza się. Spuszczam wzrok. Jej głowa jest zadarta, gdy na mnie patrzy. Dostrzegam konsternację na jej twarzy.

— No, w góry — rzucam, jakby to było tak bardzo oczywiste.

Oczy Lizzy otwierają się szerzej na te słowa. Nic nie mówi. Po prostu gapi się na mnie z lekko rozchylonymi ustami. Dopiero po kilkunastu sekundach dociera chyba do niej to, co powiedziałem, bo wyrywa się z moich objęć z uniesionymi brwiami.

— I informujesz mnie o tym dopiero teraz?

Uśmiecham się głupio.

— Zapomniałem, wybacz.

Zaskoczenie na twarzy Parker zastępuje złość.

— Ty chyba sobie żartujesz, Shaw! — Wyrzuca ręce w powietrze, na co parskam śmiechem. — To ja się zastanawiam, dlaczego mi o tym nie mówisz, tworzę w głowie dziesiątki teorii spiskowych, a ty zapomniałeś?!

Wypuszczam ze świstem powietrze.

— Kto się wygadał?

— Monica mi powiedziała, bo nie wiedziała, że nie zostałam o tym poinformowana!

Przewracam oczami.

— Ale z ciebie królowa dramatu, matko. Raz na jakiś czas człowiek ma ludzki odruch, a ta narzeka. Nie musimy jechać, jeśli nie chcesz.

Dziewczyna patrzy na mnie tępo.

— Nie no, teraz to przecież nie odmówię — mówi o wiele spokojniej.

Kręcę rozbawiony głową. Ta dziewczucha jest po prostu niemożliwa.

— Wsiadaj. — Wskazuję głową na samochód. — Spakujemy się.

Parker nie protestuje. Zajmuje miejsce pasażera, a ja kierowcy. Sprawnie opuszczam parking, w międzyczasie dyskutując z nią o szczegółach wyjazdu. Ma oczywiście dziesiątki pytań, a ja chętnie odpowiadam na każde z nich. Złość mija, a zastępuje ją ekscytacja.

Lubię wywoływać uśmiech na twarzy tej dziewczyny.

— Jeśli zaraz się nie przymkniesz, to załatwię ci nowy pokój. Wśród światełek i bliskich. Trzy metry pod ziemią. — Gdy tylko wysiadam z samochodu, do moich uszu dociera głos Zoe.

Łapię spojrzenie Turnera, który wyjmuje właśnie walizki.

— Rozumiem, że podróż była udana! — krzyczę do niego i uśmiecham się głupio.

— Spierdalaj. — Wyczytuję z ruchu jego warg.

Logan zatrzaskuje bagażnik, po czym rusza w kierunku wynajętego domu.

— Coś czuję, że czeka nas długi weekend — mówi rozbawiona Lizzy, kiedy Jackson idzie za

nim i znowu się wydziera.

— Chyba zacznę już szukać innego noclegu. Trzeba być gotowym na wszystko.

Rzucam niedopałek papierosa na beton i przydeptuję go butem. Biorę nasze torby, po czym z Parker u boku wchodzę do środka, gdzie są już wszyscy.

— Ale to nie moja wina, że jesteś debilem!

— To nie moja wina, że jesteś sztywna!

— No, ja przynajmniej jestem!

Po raz kolejny parskam śmiechem, kiedy stoję w progu, a moim oczom ukazują się Monica i Aaron. Oczy dziewczyny dosłownie ciskają pioruny. Walker też jest nieźle wkurzony. Co dzisiaj z nimi wszystkimi?

— Nie wiem jak ty, ale ja się ulatniam — szepcze mi do ucha blondynka.

Wymija towarzystwo i z torbą w ręku wspina się na piętro. Nie myśląc wiele, idę za nią.

Nie miałem czasu na to, żeby się rozejrzeć, dlatego zrobię to później. Kiedy jestem już na górze, kieruję się w stronę ostatniego pokoju po prawej, bo właśnie tamte drzwi są otwarte. Z dołu wciąż słyszę wrzaski Minnie.

— Dom wariatów — mamrocze zrezygnowany.

Odkładam walizki pod ścianę, po czym podchodzę do łóżka, na którym leży już Lizzy, i opadam na nie brzuchem. Twarz dziewczyny skierowana jest w moją stronę. Nasze spojrzenia praktycznie od razu się krzyżują. Delikatny uśmiech powoli maluje się na jej ustach.

— Jestem wykończona.

— Ty jesteś wykończona? — Naciskam na pierwsze słowo. — Czy to właśnie nie ty przez ostatnie dwie godziny spałaś w samochodzie? W ogóle jakim cudem zasnąłaś tak szybko? Nie zdążyliśmy nawet wyjechać z Crosby.

— Byłam śpiąca! — broni się tym swoim piskliwym głosem.

Zauważyłem, że zawsze ma taki po przebudzeniu. I że w podróży jest niezłym śpiochem.

— Jesteś dziwna.

— Chcesz się dzisiaj znowu kłócić? Uwierz, bardzo chętnie utrę ci nosa. — Dziewczyna podnosi się na łokciach i zadziera podbródek.

— O, jaka harda. — Unoszę brwi. — Masz szczęście, że nie mam na to pieprzonej ochoty. Wolę odpoczywać niż tracić czas na głupie, nieistotne sprzeczki.

Parker zaciska usta w wąską linię. Cały czas patrzę na nią z dołu, z policzkiem przyciśniętym do poduszki. Ma czerwone policzki i potargane włosy. Lubię ją w takim pozornie beznadziejnym wydaniu.

Przez kilkanaście sekund walczymy na spojrzenia. Z każdą chwilą widzę, jak jej oczy coraz bardziej łagodnieją.

— No dobra, mnie też nie chce się kłócić — stwierdza i opada na materac. — Wypałaś się chociaż?

— Trochę mnie w nocy pokopałaś, ale dałem radę. Ostatnio strasznie się wierzisz i dużo gadasz przez sen.

— To nieprawda!

— Skąd możesz wiedzieć, skoro śpisz?

— Wiesz co... — Po raz kolejny unosi się, aby coś powiedzieć. Wyraźnie zastanawia się, jak dobrać słowa, jednak ostatecznie nie znajduje chyba odpowiednich. — A nieważne.

Śmieję się, kiedy z naburmuszoną miną znowu napiera policzkiem na poduszkę.

— Zachowujesz się jak dzieciak.

— Nikt nie pytał, Shaw — mamrocze.

— A jak się czujesz? Boli cię brzuch czy coś?

— Nieee, na szczęście wzięłam te magiczne tabletki od Josephine i wszystko przeszło.

Nie odpowiadam.

Unoszę rękę, żeby pozbyć się z jej twarzy kosmyków, które zakrywają oczy. Zaczęsuje je za ucho, cały czas obserwując zachowanie dziewczyny. Rozchyła wargi, gdy palce stykają się ze skórą. Przymyka powieki i znacząco przełyka ślinę. Mam nawet wrażenie, że oddycha trochę ciężiej.

Korzystając z chwili nieuwagi, zbliżam się i łączę nasze usta w pocałunku. Delikatnym. Spokojnym i stonowanym. Serce bije mi coraz szybciej, choć tak naprawdę nie dzieje się nic nadzwyczajnego. Robiliśmy to przecież wiele razy.

Przekręcam się na plecy. Parker nie odrywa się nawet na sekundę, kiedy siada na mnie okrakiem i mocniej napiera na moje wargi. Mimo tej siły nadal całujemy się powoli. Jedną dłoń umieszczam z tyłu jej głowy, a drugą na biodrze, które ściskam. Wzdycha w odpowiedzi. Czuję jej ciepłe palce na szczęce. Błądzi nimi, utrudniając racjonalne myślenie. Ona zawsze tak robi. Za każdym pieprzonym razem sprawia, że wariuję.

— No tak, ale...

Nagle drzwi naszej sypialni otwierają się, dlatego odrywamy się od siebie. Lizzy patrzy przez ramię na tego, kto nam przeszkodził, a ja przewracam tylko oczami.

No kurwa.

— Aha, widzę, że już wybraliście sobie pokój — mówi Zoe.

— I nawet się w nim rozgościliście. Fajnie. — Turner parska śmiechem.

— My tylko... — Parker już chce ze mnie zejść, ale szybko kładę dłonie na jej biodrach, aby ją powstrzymać.

— Uwierz, nie chcę wiedzieć, co robiliście — rzuca rozbawiona Jackson. — Myśleliśmy po prostu, że nikogo tu nie ma. Już znikamy. Bawcie się dobrze, byle nie za głośno.

Słyszę, że drzwi się zamykają. Lizzy patrzy na mnie i wzdycha ciężko. Jest jeszcze bardziej czerwona niż przed chwilą.

— Kiedy cię poznałem, miałem na ciebie wiele epitetów, ale na tej liście zdecydowanie nie było wstydlivości.

— Cicho bądź.

— Kto by pomyślał... — droczę się z nią, palcami sunąc w górę.

Wzdryga się na mój dotyk, jakby przez jej ciało przeszedł dreszcz. Uśmiecham się, po czym sprawnie przekręcam ją tak, że teraz leży na plecach. Piszczycy, ale jej pisk bardzo szybko zamienia się w śmiech.

— I jeszcze masz łaskotki, no proszę.

Blondynka wręcz wrzeszczy. Próbuje się wyrwać, ale nie daje jej możliwości ucieczki. Przyciskam jej ciało do materaca, a gdy widzę, że ma już dość — ponownie łączę nasze wargi w pocałunku. Zachłannym i pożądlwym.

— Wiesz co? Pierdol się! — Słyszę dochodzący z korytarza krzyk O'kelly.

Parker śmieje mi się w usta.

— Chyba naprawdę zacznę szukać innego zakwaterowania.

— Przynajmniej nie będzie nudno — mówi dziewczyna, po czym mnie odpycha. — A teraz spadaj, idę się ogarnąć.

— Aha? Rozumiem, że idziesz śladami koleżanek.

Lizzy patrzy na mnie przez ramię, gdy wstaje.

— Nie podpuszczaj — rzuca z powagą wymalowaną na twarzy.

Prycham w odpowiedzi. Kładę się na plecach i obserwuję, jak blondynka wyjmuje z torby jakieś ubrania i kosmetyki. Następne trzydzieści minut spędzam na przeglądaniu internetu. Nie odpisuję nikomu, bo nie mam na to pieprzonej ochoty. Wśród wiadomości widzę jedną od Aideny, więc tym bardziej nie zamierzam tego robić.

— Mam wrażenie, jakbym straciła kilka kilogramów po prysznicu.

Patrzę na Parker, która wychodzi właśnie z łazienki. Ma na sobie beżowy dres. Jej włosy są wilgotne, a policzki różowe.

— Co cię tak bawi? — pyta, rozczesując włosy.

Marszczę brwi.

— Co?

— Szczerzysz się głupio. Co jest tego powodem? Mam coś na twarzy?

Wzruszam ramionami. Prawdę powiedziawszy, nie miałem pojęcia, że to robię.

Nagle w pokoju rozlega się pukanie.

— Mogę?

— Jeśli musisz. — Przewracam oczami.

Drzwi otwierają się, a w nich staje oczywiście nie kto inny jak Turner.

— Widzę, że humor dopisuje — mówi żartobliwie i kładzie się na łóżku obok mnie.

— Jak zawsze. — Nie szczędzę sobie sarkazmu w głosie.

— Zoe pyta, czy schodzicie na dół. Zamówiła pizzę i robi właśnie gorącą czekoladę.

Podnoszę wzrok znad telefonu, żeby spojrzeć na Lizzy. Dostrzegam, jak otwiera szerzej oczy. One dosłownie błyszczą z ekscytacji. Uśmiecham się pod nosem. Nasze spojrzenia spotykają się.

— Idź, za chwilę zejdziemy.

Dziewczyna już kilka sekund później zbiega ze schodów.

— Przysięgam, że dopiero przyjechalśmy, a ja już mam dosyć. — Logan wzdycha i przeciera twarz ręką.

— Co jest? — Podchodzę do walizki i wydaję z niej ubrania na zmianę.

— Co jest?! — Unosi się, jakbym powiedział coś nie tak. — Ta pleć jest jakimś wybrykiem natury. Widziałem właśnie, co przywiozła ze sobą Zoe. Pomijając fakt, że spakowała się na miesiąc, to jeszcze ma pełno jakichś dziwnych maści, ohydnych maseczek i innych gównien. Na dodatek w naszym pokoju pachnie kadzidłami. Rozumiesz? Jebanymi kadzidłami!

Parskam śmiechem.

— To się wkopałeś, stary.

— Ciebie to bawi?

— Tak.

— A gdzie męska solidarność czy inne gówno? — pyta z wyrzutem.

— Dramatyzujesz, księżniczko. — Ruszam w kierunku łazienki.

— Jeszcze przyjdiesz z płaczem, kiedy w twoim pokoju zaczną walić kadzidłami. Zobaczysz!
— Ostatnie słowa są już zagłuszone, bo zamykam się w pomieszczeniu.

Nie myśląc wiele, pozbywam się ubrań i wchodzę pod prysznic. Gorąca woda rozluźnia spięte mięśnie. To dobre uczucie. Zawsze, gdy stoję pod jej strumieniem, zeruję myśli. To chwila, kiedy w mojej głowie nic się nie dzieje, bo skupiam się na prostych czynnościach.

Wychodzę z kabiny, a mój wzrok od razu pada na rozstawione na umywalce kosmetyki. Jeśli chodzi o niebotyczne ilości zabranych przez dziewczyny rzeczy — zgodzę się z Loganem. Zdecydowanie przesadziły. Walizka O'Kelly jest trzy razy większa od mojej. W pierwszej chwili pomyślałem, że może zostaje tu na dłużej, ale nie — przyjechała na trzy dni. Popieprzone. Nigdy tego nie zrozumie. Ja zabrałem dwa T-shirty, koszulę, bluzę, parę spodni, no i oczywiście płyn z szamponem w jednym.

Wychodzę z łazienki piętnaście minut później, ubrany w dresy. Biorę telefon, po czym schodzę na parter, gdzie są już wszyscy.

— Co one odwalają? — pytam Aarona, który z dziwnym wyrazem twarzy przygląda się Monice, Zoe, Lizzy i Caroline.

Dziewczyny siedzą w kręgu, a wokół nich unosi się dym.

— To... — Turner wskazuje na nie palcem. — To są pieprzone wiedźmy. Zapaliły te jebane kadzidła i zrobiły sobie herbaty do wróżenia.

— Że co? — Marszczę brwi, bo kompletnie nie rozumiem, o czym mówi.

— Będziemy wróżyły z fusów. Jeśli chcecie, wam też mogę powróżyć — mówi podekscytowana Car.

— Co? Od kiedy ty bawisz się w takie gówna? Ja pierdolę, czy ojciec jest świadomy tego, kogo trzymamy pod dachem?

W odpowiedzi blondynka przewraca oczami i wysuwa w moim kierunku środkowy palec.

— Jesteście tacy nudni — docina.

— Nie no, muszę to zobaczyć — drwi Logan, po czym siada na kanapie. Niedługo potem dołącza do niego Aaron, więc ja też to robię.

— Okej, wypełnijcie swoje filiżanki — instruuje Caroline, a każda z nich to robi.

— Pieprzona sekta — szepcze Walker, na co parskami śmiechem.

— Zobaczymy, czy będzie ci do śmiechu, gdy wyjdzie, że nie jesteśmy dla siebie stworzeni — mamrocze Monica.

Chrząkam, żeby powstrzymać się przed wybuchem. One naprawdę uważają, że te wróżby zadziałają i się sprawdzą!

— Po tobie, Car, mogłem się tego spodziewać. Od zawsze wiedziałem, że masz nierówno pod sufitem. Ale ty, Parker? — zwracam się bezpośrednio do dziewczyny, łapiąc z nią kontakt wzrokowy.

— To może być zabawne — mówi rozbawiona.

Posyłam jej pełne politowania spojrzenie. Lizzy wysuwa mi język i odwraca się plecami.

— Okej, teraz niech wszyscy zamilkną. — Caroline ucisza nas ręką. — Oczyszćcie umysły. Pomyślcie o przyszłości. Skupcie się na niej całkowicie. Nic innego nie może zaprzętać wam teraz głowy. „Co za paranoja” — myślę sobie.

— Dobrze. Wypijcie swoje napary, ale nie opróżniajcie filiżanek do końca. Cały czas miejcie w głowie to, na czym wam zależy w tej wróżbie.

Do moich uszu dociera ciche siorbanie. Opadam plecami na kanapę.

Nie wierzę, że to się dzieje.

— Teraz zakręćcie filiżankami trzy razy w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Powtarzajcie w myślach nurtujące was pytanie... Okej. Teraz pozbądźcie się resztek herbaty i zostawcie fusy. — Każda z nich to robi. — A teraz weźcie spodeczki, obróćcie dnem do góry i z powrotem na dół. Właśnie tak. Od kogo zaczynamy?

— Ja chcę pierwsza — wyrywa się Monica.

Caroline bierze naczynie. Przygląda się chwilę jego zawartości i unosi brwi.

— O!

— Co znaczy: o?! — O’kelly prawie wyrywa filiżankę, żeby zobaczyć.

— Nie wiem, czy Aaron chce wiedzieć — żartuje Caroline.

— Bez przesady. I tak w to nie wierzę — rzuca Walker.

— Okeeej — mówi przeciągle blondynka, po czym całą uwagę skupia na Monice. — A więc czeka cię... romans. Szalony, niedługi, ale intensywny.

W pomieszczeniu zapada chwila ciszy. Minnie patrzy tępo na Car.

— No proszę, proszę. A jednak siedzi w tobie diabliska — rzuca Zoe, a my parskami śmiechem. — Teraz ja chcę.

Jackson podaje naczynie. Nawet z daleka widać, jak bardzo ekscytuje ją to gównno. Jest dokładnie taka sama jak Parker. Chociaż nie. Ona jest o wiele gorsza, ale nie w negatywnym tego słowa znaczeniu. Chodzi mi o to, że cieszy się wszystkim jak małe dziecko, czasami gada głupoty, no i ma niewyparzony język — jak Eliza.

— Hm... W twojej wróżbie widzę łzy. Widzę też cierpienie. Spotka cię coś przykrego, ale szybko się po tym pozbierasz. Mimo ciężkich chwil ostatecznie będziesz bardzo szczęśliwa. Nie jest źle. — Caroline oddaje filiżankę. — Podaj mi swoją, Lizzy.

W pokoju po raz kolejny zapada chwila milczenia. Blondynka przygląda się zawartości, marszczy brwi i uśmiecha się głupio, gdy znów na nią patrzy.

— Co? — słyszę konsternację w głosie Parker.

— Cóż... — Chrząka. — W tej sytuacji mamy dwie opcje: albo będę ciocią, albo po moim szanownym braciszku pojawi się ktoś inny.

Unoszę brwi w zaskoczeniu.

— To znaczy?

— O Boże, tobie to trzeba wszystko rozpisywać na kartce. W ogóle nie umiesz czytać między wersami — narzeka. — Chodzi o dziecko. We wróżbie Lizzy jest dziecko.

Zamieram. Mam wrażenie, jakby ktoś odciął mi dopływ powietrza.

— O, stary! — nabija się Turner, klepiąc mnie po plecach.

— Nieśmieszne — burczę.

— Dlaczego? — Parker odwraca się twarzą do mnie. Widzę, że ona również jest bliska wybuchu śmiechu. — Wyobraź sobie...

— Nie zamierzam — od razu jej przerywam.

— Nudziarz.

— Okej, może i miałam w swojej wróżbie łyzy i cierpienie, ale wolę to od dzieci, zdecydowanie — rzuca rozbawiona Zoe. — Nie wyobrażam sobie zostać mamą tak młodo.

— A ja wręcz przeciwnie — wtrąca Monica. — Myślę, że fajnie byłoby zostać rodzicem po skończeniu dwudziestki. Jako czterdziestolatka macierzyństwo miałabym za sobą. Byłabym gorącą mamuszką.

— Aaron, wiesz co robić. — Logan szturcha Walkera.

— Mimo wszystko spasuję. Dobrze mi tak, jak jest — śmieje się Lizzy.

— To co? Powróżyć wam, chłopaki? — pyta Caroline.

— Nie ma mowy! — odpowiadamy prawie równocześnie.

Następne dwie godziny rozmawiamy i opowiadamy sobie śmieszne historie z naszego życia. W międzyczasie przyjeżdża dostawca z pizzą. Przez cały ten czas przyglądam się Parker. Odnoszę wrażenie, że coś się zmieniło. Jest jakaś dziwna, nieswoja. Nie wiem, jak to nazwać. Uśmiecha się, żartuje, ale w moim odczuciu chwilami to wymusza. Na dodatek jej oczy są cały czas szare oraz bardziej puste niż wcześniej i odległe. Jakby wewnątrz nie było nikogo.

— Więc jaki mamy plan na jutro? — Aaron uderza dłońmi o uda, ściągając uwagę wszystkich.

— Proponuję rano pojechać do Peak District, a jeśli wieczorem będziemy mieli siłę, to możemy iść do klubu. Sprawdziłam już i w Sheffield jest kilka, do których warto zajrzeć — mówi Monica.

— Świetny pomysł. W takim razie postanowione. Czy... czy będziecie mieli coś przeciwko, jeśli dołączy do nas Adam?

Łapię kontakt wzrokowy z Caroline.

Czy to nie ona ostatnio mi mówiła, że faceci są beznadziejni i że nie wie, czy coś w ogóle z tego będzie?

— No pewnie! Niech przyjedzie. Im nas więcej, tym lepiej. Jake też będzie tu jutro rano.

Patrzę na Lizzy. Ziewa przeciągle.

— Dobra, nie wiem jak was, ale mnie ten tydzień w szkole wykończył, dlatego idę spać, żeby naładować baterie na jutrzejszą wędrowkę po górach.

Wstaję równo z nią, a zaraz za nami pozostali. Każdy jednogłośnie stwierdza, że jest tak samo zmęczony. Gasimy światła na parterze i zamykamy się w swoich pokojach. Parker od razu wślizguje się pod kołdrę.

— Czy ogrzewanie jest włączone?

Podchodzę do grzejnika.

— Tak, a co?

— Zimno mi trochę.

— No, jak łąsisz bosy, to nie ma czemu się dziwić — rzucam z przekąsem.

Pozbywam się ubrań, a kiedy jestem już w samych bokserkach, kładę się obok niej. Przez chwilę oboje patrzymy w sufit, jednak ostatecznie obracamy się na bok, twarzami do siebie. Rozmowa przed snem jest już chyba dla nas tradycją.

— Dobrze spędziłam ten dzień — mówi z lekkim uśmiechem.

— Cieszę się. — Zaczesuję kosmyk jej włosów za ucho.

— Chase?

— Hm?

— Naprawdę zapomniałeś mi powiedzieć? — pyta nagle.

Zastygam z ręką w powietrzu. Usta Lizzy są lekko rozchylone, szare oczy wwiercają się w moje, a na policzkach malują się wypieki. Wiem, że się powtarzam, ale kurewsko uwielbiam patrzeć na nią w tym stanie.

Nie lubię mówić o rzeczach, które dla kogoś robię, bo nie widzę w tym sensu. To niezręczne. Oczywiście, że nie zapomniałem. Oczywiście, że przemyślałem każdy szczegół tego wyjazdu, ale czy to

ważne? To nic nie zmienia, taka prawda.

Parker patrzy na mnie cały czas. Nachylam się w jej kierunku, całuję czoło, po czym gaszę lampkę za jej plecami. Gdy wracam na swoje miejsce, oplatom ręką talię blondynki i wtulam się w nią mocno.

— Dobranoc, Parker.

— Zaraz wyzionę ducha — dyszy Lizzy, kiedy nasza wspinaczka dobiega końca.

Dziewczyna zgina się, opiera dłonie na kolanach i głęboko oddycha. Podsuwam jej pod nos butelkę wody, którą przyjmuje. Cholera, nie sądziłem, że sprawi jej to tyle trudności.

— Przysięgam, że nie czuję już nóg — mówi Caroline, równie zdyszana co Parker.

Ze zmarszczonymi brwiami patrzę po twarzach znajomych. Orientuję się, że tylko ja, Logan, Aaron i Adam się trzymamy. Dziewczyny i Jake są wyraźnie wykończeni, a to dopiero dwie godziny wędrówki.

— To co? Wracamy? — nabija się Turner, na co Jackson w odpowiedzi wysuwa środkowy palec.

— Jak chcesz, to wracaj. My się nigdzie nie wybieramy — rzuca hardo.

Jeszcze chwila i buzia zleje się z kolorem jej różowych włosów.

Patrzę na Parker, która stoi kilka metrów dalej plecami do nas. Widzę, że jej ramiona unoszą się ciężko i opadają, a to oznacza, że nadal próbuje unormować oddech. Podchodzę do niej. Nasze ramiona stykają się ze sobą, a spojrzenia krzyżują.

— Pięknie tu, prawda? — Uśmiecha się lekko, po czym przenosi wzrok na krajobraz przed nami. Ja też to robię.

Rozciągająca się w dole przestrzeń robi wrażenie, fakt. Kiedyś byłem tu z Jo, Jonathanem i Caroline. Niewiele się zmieniło.

Zadzieram głowę ku szaremu niebu. Jak nic będzie dziś padać.

— O czym myślisz? — pytam, spuściwszy spojrzenie na dziewczynę.

Ma zamknięte oczy i wygląda, jakby chwyciła słońce, którego przecież nie ma.

— Myślę o tym, jak tu cicho. O tym, że tak naprawdę nie myślę o niczym szczególnym, bo w głowie mam pustkę. Weszłam na górę, spjrzałam przed siebie i wszystko z niej uleciało. To naprawdę dobre uczucie — mówi z uśmiechem.

Kąciki moich ust unoszą się na te słowa. Słyszę śmiechy znajomych za naszymi plecami. Robią sobie chyba zdjęcia, ale jakoś nie bardzo mnie to interesuje. Moja uwaga w pełni skupiona jest na niej. Na tym, jak beztrudnie teraz wygląda. Obecny stan zdecydowanie odejmuje jej lat.

— Pasuje ci ta fryzura — rzucam bezmyślnie, bo właśnie związane w kok włosy zwróciły moją uwagę.

Parker otwiera oczy i odnajduje mój wzrok. Patrzymy na siebie w ciszy. Wygląda na speszoną. Ja też czuję się dość dziwnie, bo nie planowałem tego powiedzieć.

— Dziękuję — odpowiada w końcu, a jej uśmiech znacznie się poszerza. — Dziękuję też, że mnie tu zabrałeś. Potrzebowałam tego.

— Wiem.

Przenosimy spojrzenia na krajobraz. Oboje oddychamy głęboko.

Wiem, że Lizzy tego potrzebowała. Wiem, że ostatnie wydarzenia mocno ją przytłoczyły. Widzę to. Widzę jej szare oczy, w których nie ma ani śladu zieleni. Widzę, jak uśmiecha się tylko wtedy, kiedy ktoś patrzy. Widzę, że czasem gubi wątek przy rozmowach z innymi, bo tak bardzo jest zamyślona. Odpywa. Zamyka się we własnej głowie o wiele częściej niż kiedyś. Od momentu wejścia Omara do domu na Channel Road wszystko się zmieniło. Ona się zmieniła, choć usilnie próbuje pokazać, że jest inaczej.

Myślę, że prawda ją przygniotła. Myślę, że sobie nie radzi, ale nie umie powiedzieć tego na głos. Wkurwia mnie to, bo chciałbym jej pomóc. Chciałbym zdjąć z niej chociaż część dżwiganego ciężaru, żeby było jej lżej, ale mi na to nie pozwala. Sama się ze wszystkim mierzy. Sama próbuje sobie wszystko ułożyć i załatwić, bo taka właśnie jest Parker — dumna i niezależna.

— Ej, chodźcie! Zrobimy sobie wspólne zdjęcie! — Z zamyślenia wyrywa mnie głos Caroline. Spoglądam przez ramię na grupę znajomych, która jest już ustawiona przed obiektywem. Wszyscy patrzą na nas wyczekująco. Łapię spojrzenie Lizzy.

— Idź — mówię tylko.

— Co? — Unosi brwi. — A ty?

Mierzymy się wzrokiem. Oczy blondynki powiększają się, a wargi wykrzywiają błagalnie.

Staram się być stanowczy w swojej decyzji. Naprawdę. Ale im dłużej się na nią gapię, tym trudniej zachować tę postawę.

— Niech stracę. — Przewracam oczami.

Nie jestem fanem takich rzeczy, ale robię to dla niej.

Zawsze chodziło o Ciebie.

— Jesteśmy! — krzyczy Zoe, kiedy wchodzi do kuchni, a zaraz za nią Monica i Caroline.

Marszczę brwi.

— No, no, dziewczyny. Powiem wam, że wyglądacie obłędnie — mówi Aaron, po czym zeruje swój kieliszek.

Patrzę na Logana. Turner praktycznie rozbiera Jackson wzrokiem, co trochę rozumiem, bo dziewczyna wygląda naprawdę dobrze. Zresztą każda z nich tak wygląda.

Z zainteresowaniem przyglądam się Caroline, która wymija wszystkich, staje przy wyspie i zeruje szklankę z drinkiem. Nie kryję zdziwienia.

— Jak tak dalej pójdzie, to nawet nie dotrzesz do klubu — rzucam do wyraźnie wstawionej blondynki.

Serio, wypła już cztery szoty i sporo whisky. Jej oczy są przekrwione, a na ustach maluje się ten typowy dla niej pijacki uśmieszek. To nie tak, że chcę jej zepsuć dobrą zabawę, ale mam wrażenie, że podczas tego wyjazdu cały czas jest w stawiona. Nawet w górach nie szczędziła sobie alkoholu. Poza tym w samochodzie miała schowany ten cholerny woreczek z kokainą, który znalazła ostatnio Lizzy. Coś jest nie tak. Czuję to.

— Nie dramatyzuj, księżniczko — śmieje się, na co przewracam oczami.

— Ostrzegam, że nie zamierzam cię dziś niańczyć.

— Zachowujesz się jak ojciec.

— A ty jak Josephine, gdy się napierdoli.

Między nami nastaje chwila milczenia. Walczymy na spojrzenia z zaciśniętymi ustami. Trwa to do momentu, aż kącik ust dziewczyny unosi się lekko. Chwilę później Car zaczyna kręcić z rozbawieniem głową.

— Wyglądasz komicznie, przepraszam.

— Aha?

Caroline opanowuje śmiech i zawiesza rękę na moim ramieniu.

— Och, nie obrażaj się, braciszku. Wiesz, że cię kocham.

W odpowiedzi znów przewracam oczami.

— Poza tym myślę, że to nie mnie będziesz musiał dzisiaj pilnować.

— To znaczy?

Patrzę na blondynkę, nic nie rozumiejąc. Nasze twarze są dość blisko. Czuję zapach alkoholu, gumy do żucia i fajek.

— Gdy zobaczysz, w czym Lizzy idzie do klubu, ze strachu nie opuścisz jej na krok. — Wzdycha teatralnie.

Przyglądam się siostrze, po czym omiatam wzrokiem pomieszczenie. Są tu wszyscy: Monica, Aaron, Jake, Zoe, Logan i Adam. Brakuje tylko Parker.

— Zaraz wracam.

Szybkim krokiem mijam wstawionych znajomych i wchodzę na piętro. Na dworze jest jeszcze jasno. Rozglądam się po długim korytarzu, który do złudzenia przypomina ten w Crosby. Ogólnie cały

dom jest bardzo podobny do naszego.

Podchodzę do ostatnich drzwi po prawej i wchodzę do środka.

Zatrzymuję się w pół kroku i mimowolnie otwieram usta. Kurwa mać.

— Nie założysz tego — mówię od razu.

Spojrzenie ubranej w obcisłą czarną sukienkę dziewczyny krzyżuje się z moim w lustrze. Patrzymy na siebie w ciszy. Widzę, że jej brwi marszczą się na moje słowa.

— Dlaczego? — pyta wyraźnie zdezorientowana.

„Bo zdechnę tam z zazdrości” — myślę.

— Bo jakoś dziwnie na tobie leży — rzucam zamiast tego. — Nie masz czegoś... — Rozglądam się po pomieszczeniu, a kiedy wzrok pada na walizkę, uśmiecham się triumfalnie. — O, a ta?

Biorę do ręki czarny materiał i krzywię się nieznacznie. Kurewsko ohydny.

— Czy to nie jest przypadkiem sukienka Theresy? Tak w ogóle jakim cudem znalazła się w mojej torbie?

— Czy to ważne? Moim zdaniem jest idealna.

— Chyba na pogrzeb — mówi z przekąsem.

— Zakładaj, Parker. Już, już. — Rzucam sukienkę, której nie łapie.

Lizzy spuszcza na nią wzrok, a kiedy znów na mnie patrzy — ma prześmiewczą minę.

— Nie pójdę w tym.

— W tym też nie pójdziesz. — Przejeżdżam palcem wzdłuż jej ciała.

— Ponieważ?

— Ponieważ ci nie pasuje.

Parker odwraca się tyłem do mnie, a ja chrząkam cicho. Caroline miała rację. Kurwa, wygląda naprawdę dobrze. To chyba pierwszy raz, kiedy widzę ją w tak odważnym wydaniu. Założyła buty na wysokich obcasach zapinane przy kostkach i czarną, świecąca sukienkę. Za chuja nie wiem, co to za materiał, ale błyszczy, kiedy odbija się od niego światło. Ogólnie wygląda pięknie, ale ta długość, wycięcie na plecach i między piersiami zajeżdżają mnie przerażają.

— Cóż, mnie się podoba. — Wzrusza ramionami, przejeżdżając dłońmi po materiale.

Przymykam powieki i odliczam w myślach od dziesięciu w dół. Przecież nie mogę zabronić jej założenia tego, co lubi. W takim razie będę musiał cały czas mieć na nią oko. Zresztą na każdą z nich.

— Okej, niech będzie — wzdycham zrezygnowany.

— Dzięki, tato — rzuca pobłaźliwie, a ja tylko kręcę w rozbawieniu głową.

Podchodzę do dziewczyny, oplatom rękami jej brzuch i opieram podbródek na ramieniu. Patrzymy na siebie w odbiciu, nie mówiąc nic. Mam wrażenie, że w tym momencie każde z nas jest zamknięte w swoim świecie.

— Myślę, że dobrze nam zrobi to wyjście — mówi nagle.

Odwraca się twarzą do mnie i oblizuje wargi.

— To się okaże. — Lustruję jej ciało, a przed oczami mam już te wszystkie spojrzenia, które dziś na nią padną.

Ja pierdolę, aż mi gorzej na samą myśl o tym.

— Zbieramy się, Shaw?

— Zbieramy się, Parker.

Lizzy wymija mnie, bierze torebkę, która leżała w walizce, i wyciąga w moim kierunku dłoń. Wplątuje swoje palce między jej, kiedy schodzimy na parter.

— No w końcu — mamrocze Jake, gdy przechodzimy przez próg kuchni.

Przewracam oczami, ale nie komentuję jego słów.

— To jak? Możemy już iść? Taksówki czekają od jakichś dziesięciu minut — mówi Turner, patrząc w ekran telefonu.

Wszyscy jednogłośnie stwierdzamy, że jesteśmy gotowi. Patrzą, jak Caroline z Monicą piją po jeszcze jednym szocie. Nie ma chuja, że wytrzymają do północy.

Czekam na Parker, która zakłada jeszcze skórzaną kurtkę. Mimo wszystko podoba mi się to, jak inaczej dziś wygląda. Jej makijaż jest ostry, a włosy zaczesła do tyłu. Różni się od dziewczyny, którą

widywałem przez ostatnie tygodnie, co mnie cieszy. Może to wyjście faktycznie dobrze nam zrobi?

Dzielimy się na dwie grupy i zajmujemy miejsca w taksówkach. Wszyscy rozmawiają, śmieją się, podczas gdy ja patrzę na wyraźnie zadowoloną Lizzy. Jest zajebiście beztroska. Gdy się uśmiecha, w jej policzkach robią się głębokie dołeczki. Dawno ich nie widziałem.

— Długo jeszcze zamierzasz się tak gapić? — pyta, kiedy wysiadamy przed klubem.

— Zabronisz mi? — Unoszę wyzywająco brew.

Dziewczyna mierzy mnie wzrokiem i nachyla się.

— Uwierz, że ja też będę cię pilnowała — szepcze mi do ucha.

Otwieram szerzej oczy. Parker odsuwa się ode mnie, a gdy rusza za dziewczynami, puszcza do mnie oko.

„Czy ona czyta mi w myślach?” — zastanawiam się. To nie pierwszy raz, kiedy coś takiego się dzieje. Lizzy niejednokrotnie powiedziała na głos rzeczy, które faktycznie chodziły mi po głowie. To pojębane.

— Chyba będę za nią chodził.

— Co? — Patrzę na Logana, bo mam wrażenie, że pomiąłem jakiś wątek.

— Za Zoe. Przecież ta sukienka jest wykurwiście krótka — mówi ni to zły, ni to zadowolony.

— Jeśli to cię pocieszy, jesteśmy w tym razem — śmieję się bez humoru.

Rzucamy sobie ostatnie spojrzenia, po czym podchodzimy do dziewczyn. Na szczęście kolejka do klubu nie jest długa, więc szybko udaje nam się dostać do środka. Wejście jest bardzo podobne do tego w „The Chain”. Ciemny korytarz, a następnie zajebiście dużo neonowych światełek. Lustra, szkło, wszystko na wysokim poziomie. Zastanawiam się, gdzie Fletcher zrobił sobie tyle znajomości. Znał ochroniarza w Crosby i tego też zna. Poza tym załatwił nam darmowe wejście.

Podchodzę do Parker, która idzie przede mną. Chwytam jej dłoń, bo wiem, że zaraz wejdziemy do głównego pomieszczenia. W uszach dudni mi już muzyka. Zerkam na blondynkę i uśmiecham się do niej lekko, co odwzajemnia. Zahaczam przy okazji o jej dekolt. Nie jest za duży i właśnie to mi się podoba. Jest taki... subtelny? Nie wiem, jak to nazwać. Nie znam się na tym.

Gdy dochodzimy do parkietu, palce Lizzy zaciskają się wokół moich. Przeciskamy się między tańczącymi, cały czas trzymając się za ręce. Jake prowadzi nas do zamówionej łoży. To kolejna rzecz, o której pomyślał. Na dobrą sprawę to właśnie on zajął się organizacją wyjazdu do Sheffield.

— Chcesz coś do picia? — pytam dziewczynę, gdy zajmujemy miejsca.

— Może soku? — krzyczy mi do ucha.

Lizzy powiedziała mi, że ta impreza będzie dla niej bezalkoholowa. Cóż, nie będę ukrywał — cieszy mnie jej poważne podejście do sprawy. Ma moje pełne wsparcie i liczę, że jest tego świadoma, ale dobrze widzieć, że sama też się pilnuje. Nie ograniczam jej. Daję Parker wolną rękę, ale jednocześnie nie tracę czujności. Chyba po prostu chcę sprawdzić, jak wielkie pokłady silnej woli ma w sobie. Wszyscy wokół są już nieźle wstawieni, a ona nadal jest trzeźwa.

Razem z Loganem i Aaronem idziemy do baru. Przeciskamy się między ludźmi, czasem słyszę, jak ktoś się na mnie drze, bo go popchnąłem, ale nie dbam o to. Opieram się o blat w oczekiwaniu na obsługę.

— Wierzysz w przypadki?

Patrzę na Turnera i Walkera, którzy żywo o czymś dyskutują.

— Do ciebie mówię, Chase.

Obracam głowę w lewo, kiedy słyszę swoje imię.

Marszczę brwi.

— Co ty tutaj robisz? — pytam, nie kryjąc szoku.

— O to samo mógłbym spytać ciebie — śmieje się Herman.

Poznaliśmy się kilka tygodni temu w „The Chain”. Później też mieliśmy jeszcze okazję porozmawiać.

— Zaraz zacznę myśleć, że mnie śledzisz. Przyjechałem tu ze znajomymi, a ty?

— Biznesowo — rzuca zwięźle. — Taa, uwierz, Shaw, że mam lepsze rzeczy do roboty niż chodzenie za tobą.

Podchodzi do nas barman, więc składam zamówienie.

— Sok? Jesteś w zajebicie ekskluzywnym klubie pełnym gorących lasek, a ty wybierasz sok?

— To nie dla mnie. — Przewracam oczami.

— Przemysłałeś już naszą propozycję?

— Nie nazwałbym tego propozycją.

— Fakt — parska rozbawiony, na co uśmiecham się tylko głupio.

Płacę za alkohol i sok, po czym biorę dwie szklanki. Logan i Aaron zniknęli już w tłumie ze swoimi drinkami.

— Wrócimy do tego, gdy porozmawiam z Rumelim — odpowiadam w końcu na jego pytanie.

Herman kładzie dłoń na moim ramieniu, kiedy już mam się odwrócić.

— Wiesz, że nie masz wyjścia, Shaw.

Przez chwilę patrzymy na siebie w milczeniu. Widzę na jego twarzy coś dziwnego. Współczucie, zrezygnowanie? Ciężko mi powiedzieć.

— Wiem.

Po raz kolejny przeciskam się między spoconymi ciałami, łokciami torując sobie drogę do łoży. Nie ma chuja, że spotkaliśmy się przypadkiem. Śledzi mnie? Sprawdza?

Gdy docieram na miejsce, daję Parker sok i siadam obok niej. Zrzucam rękę za jej głowę.

— Gapisz się — mamroczę do dziewczyny i wiem, że to słyszy.

— Zabronisz mi? — rzuca wyzywająco, dlatego zerkam na nią.

Blondynka patrzy na mnie z dołu z tym uśmiechem. Wiercę się niespokojnie, bo w mojej głowie pojawia się wspomnienie nocy, którą spędziliśmy w samochodzie. Wypity już alkohol kompletnie nie pomaga w niemyśleniu o jej...

— Nie, oczywiście, że nie — chrząkam.

— To dobrze. — Dłoń Parker ląduje na moim udzie i ściska je.

Mrużę oczy.

— W co ty pogrywasz? — pytam prosto w jej usta.

— Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

— Ej, Lizzy! Idziemy na parkiet? — krzyczy siedząca naprzeciwko nas Zoe.

Spoglądam na Parker, która wstaje bez słowa, obciąża sukienkę i puszcza do mnie oko. Przeciska się tak, że mam idealny widok na jej plecy. Pozwalam sobie ścisnąć jej tyłek. Wzdryga się, patrzy na mnie przez ramię lekko zmieszana, a chwilę później zostaje pociągnięta przez Jackson w stronę tańczących ludzi.

— Tylko bądźcie na widoku! — mówię, gdy się oddalają.

Turner obchodzi stolik i siada obok mnie.

— Co tu robi Herman Vendetta? — pyta od razu.

Patrząc, czy ktokolwiek nas podsłuchuje, a kiedy upewniam się, że każdy jest zajęty sobą — wracam wzrokiem na Logana.

— Niby spotkaliśmy się przypadkiem, ale coś nie chce mi się wierzyć.

— Myślisz, że cię śledzi?

— Możliwe. Nie wiem tylko, co by to miało na celu. — Wzruszam ramionami.

Turner zeruje szklankę, wzdycha i opada plecami na kanapę.

— To zadziwiające, jak wielu ludzi ma w garści Rumeli.

— Popieprzone — mamroczę bardziej do siebie.

Przenoszę wzrok na parkiet, gdzie Lizzy tańczy z Zoe. Dziewczyny ocierają się o siebie, a na ich ustach malują się szerokie uśmiechy. To sprawia, że ja też się uśmiecham, bo widok beztroskiej Parker jest naprawdę miły dla oka.

— One nam tego nie wybaczą, Chase — mówi nagle Logan.

Nie odpowiadam.

Nie robię tego, bo wiem, że ma rację.

— Więc jaki macie plan na pozostałą część przerwy wielkanocnej? — zagaduje Theresa, gdy w świąteczny poniedziałek siadam na kanapie obok Parker.

Dziewczyna przegląda właśnie jeden z pięciu albumów, które wyciągnęła dla niej Josephine.

— Uroczo — nabija się, palcem wskazując na zdjęcie, na którym ciągnę Caroline za warkocz. — Ja na ten tydzień nie mam planów. Może w końcu nadrobię te wszystkie zaległości. — Patrzy na nią i uśmiecha się uprzejmie.

— Naprawdę chcesz poświęcić wolny czas na naukę? — Theresa się krzywi.

— Nie cały, tylko kilka dni. Za tydzień mamy przecież lecieć do Stanów. A ja wołałabym wrócić do szkoły spokojna, że wszystko mam nadrobione — stwierdza, przeczuciwszy kolejną stronę albumu. — O!

Spuszczam wzrok i przyglądam się fotografii.

— Wkurzyła mnie — rzucam rozbawiony.

— W takim razie chyba ciągle to robiła — śmieje się Lizzy, zadzierając głowę.

Nasze spojrzenia krzyżują się. Jej szare oczy wwiercają się w moje. Czuję dziwny ścisk na ten widok.

Prosząc Jo o pokazanie Lizzy tych głupich albumów, myślałem, że chociaż zdjęcia jakkolwiek na nią zadziałają. Myślałem, że może... nie wiem... sprawią, że będzie szczęśliwa? Dziś przy śniadaniu znów odleciała. Po raz kolejny była nieobecna. Wyraźnie widzę, że coś zaprzęta jej umysł. Nocami też jest jakaś niespokojna. Coś się dzieje, a ja nie mogę nic z niej wydusić. Zamknęła się na wszystko. Każdego dnia dokłada kolejną cegielkę do muru, który nas dzieli. Z każdą chwilą widzę coraz mniej, i to mnie przeraża. Niewiedza sprawia, że zaczynam wariować.

— Chwilę po zrobieniu tej fotki wpadliśmy na pomysł, żeby obciąć mi grzywkę — mówi Caroline, która ni stąd, ni zowąd pojawia się za naszymi plecami. — Ten idiota skrócił mi ją do połowy czoła! — Blondynka opiera się rękami o oparcie.

Patrzę na nią z dołu.

— Chciałaś grzywkę? To ci ją obciąłem. W czym problem? — Unoszę brwi.

— Przez ciebie wyglądałam śmiesznie i bałam się iść do szkoły!

— Teraz też tak wyglądasz, a jednak wychodzisz do ludzi.

Caroline uderza mnie w głowę, a zajęci do tej pory własną rozmową Jon, Terrence, Jo i Natalie parszczą śmiechem. Nawet Aiden wydaje się rozbawiony.

Relacja moja i Car od zawsze należała do burzliwych. Uważaliśmy siebie za rodzeństwo, więc tak też się traktowaliśmy. Ciągłe sprzeczki, dogryzanie i uprzykrzanie sobie życia z jedną zasadą — nikomu poza naszą dwójką nie wolno tego robić. Mogliśmy drzeć ze sobą koty tygodniami, ale gdy drugiemu działa się krzywda, zawsze mogliśmy na siebie liczyć.

— Czy wy kiedyś dorościecie? — pyta Josephine, której wzrok czułem na sobie przez cały ten czas.

— Ja jestem na dobrej drodze, ale dla niego... — Caroline rzuca mi wymowne spojrzenie. — Dla niego nie widzę już nadziei. Przykro mi, Jo. Wychowaliście debila.

— Fakt — mamrocze Parker.

— Aha? — Obracam się, żeby mieć na nią lepszy widok.

Dziewczyna patrzy na mnie.

— No co? Powiedziałaś coś, co nie byłoby prawdą? — pyta, wyraźnie udając zdziwienie.

Jestem pewien, że wewnętrznie się ze mnie nabija. Taka właśnie jest ta dziewczucha.

— Nie, oczywiście, że nie. — Uśmiecham się sztucznie.

Parker po raz kolejny unosi kąciki ust, jednak wyraz jej twarzy nijak ma się do pustych oczu.

— Ej, a pamiętasz, jak uciekaliśmy przed policją z tego nawiedzonego domu? — Car szturcha mnie w ramię.

— Przepraszam? Co mnie ominęło? — Jonathan nie kryje konsternacji w głosie.

Oblizuję wargi.

— Och, wielkie mi co. — Choć nie patrzę na blondynkę, jestem pewien, że przewraca oczami. — Po prostu bardzo ciekawiła nas ta posiadłość na obrzeżach Crosby. Była zaniedbana i niezamieszкана,

więc któregoś dnia razem z Monicą, Mattem i Loganem postanowiliśmy się tam przejść. Wiecie, jak w środku jest ładnie?

Przecież ona właśnie nas sprzedała.

— Wleźliście tam?! — Josephine otwiera szeroko oczy na tę rewelację.

— No, oczywiście, że tak — kontynuuję, nie tracąc entuzjazmu. — Nie zauważyliśmy tylko tej nalepki, że obiekt jest monitorowany. Trochę tam powęszyliśmy. W środku wszystko wygląda tak, jakby ktoś wyjechał w pośpiechu, bo nawet w kubku były fusy. Fascynujące miejsce. Nie udało nam się wejść na piętro, bo po kilku minutach w oknach zobaczyliśmy światła latarek. To była policja.

Theresa parska śmiechem.

— Mamę to śmieszy? — pyta zaskoczona Natalie.

— A was nie? — Babka patrzy po twarzach wszystkich. — Przecież nic im się nie stało, siedzą tutaj. Poza tym są młodzi. Fajnie, że mają takie wspomnienia. Moje prawnuki będą miały o czym słuchać.

Tym razem to Caroline się śmieje. Spoglądam na nią, jednak jej uwaga skupiona jest na Lizzy. Myślę, że wszyscy pomyśleliśmy o tym samym, bo na twarz Parker wpłynął szkarłatny rumieniec, choć tak na dobrą sprawę to przecież nic takiego.

— Co was tak bawi? — Jo obserwuje nas uważnie.

Nie odpowiadam. Nie muszę tego robić, bo wiem, że Car i tak za chwilę się wygada. Ona taka jest.

— No, bo gdy byliśmy w górach, robiliśmy wróżby z fusów i u Lizzy wyszło, że będzie miała dziecko.

Terrence krztusi się kawą, którą właśnie pije. Pospiesznie odstawia filiżankę na stół i luzuje krawat.

— Co jest, Terry? Nie chciałbyś być dziadkiem? — pyta z ekscytacją Theresa.

— Wiesz, jakoś mi się do tego nie spieszy. Ale jeśli Lizzy zdecyduje, że jest gotowa, to oczywiście to uszanuję.

— Słusznie. Powinieneś wspierać córkę. Zawsze i bez względu na wszystko — mówi babka, a ja po prostu wiem, że odnosi się to do całokształtu tego, co ostatnimi czasy się dzieje.

Patrzę na Parker. Teraz ma już czerwone policzki. Wielkimi oczami spogląda na swojego ojca. Jest wyraźnie speszona tematem rozmowy.

Nagle wstaje, z impetem zamyka album i odrzuca go na kanapę.

— Idę zapalić — mamrocze, jednak mam wrażenie, że nikt poza mną nie zwrócił na to uwagi.

Wszyscy są skupieni na rozmowie o młodych dziadkach. Cóż, nie uważam, żeby ojciec Lizzy był pierwszej młodości, ale nie zamierzam mówić tego na głos.

Gdy wychodzę na korytarz, drzwi wejściowe właśnie się zamykają. Bez większego pośpiechu zakładam buty i dołączam do Parker, nad której głową unosi się już dym. Dziewczyna stoi tyłem do mnie. Wyjmuję z kieszeni paczkę szlugów i odpalam jednego. Zerkam na blondynkę. Wygląda tak, jakby w tym momencie nie myślała o niczym, choć jestem niemal pewien, że to tylko jedna z jej wielu masek.

— Chcesz się przejść? — pyta nagle, a nasze spojrzenia krzyżują się.

— Pewnie — rzucam bez chwili namysłu.

Lizy uśmiecha się delikatnie. Rusza przed siebie, więc idę za nią. Dorównuję jej kroku, co jakiś czas między wargi wkładam papierosa. Opuszczamy posesję i skręcamy w lewo.

— Wkurzyło cię to, co powiedział twój ojciec? — zagaduję, kiedy mijamy kolejne budynki.

Dziś pogoda w Crosby jest całkiem w porządku. Ogólnie te święta były słoneczne. Dziś też świeci słońce i wydaje mi się, że temperatura przekroczyła piętnaście stopni.

— Co? Nie, oczywiście, że nie. Dlaczego miałabym się wkurzać? Przecież nie powiedział nic złego — śmieje się cicho.

— Ale? — Podświadomie wiem, że to nie wszystko.

Parker patrzy na mnie tymi swoimi szarymi oczami. Przez chwilę próbuje niemo mnie przekonać, że nie ma żadnego „ale”, jednak jasno dają jej znać, że tego nie kupuję.

W końcu wzdycha, a ja już wiem, że się poddała.

— Po prostu chodzi o to, że nie lubię, gdy uwaga skupiona jest na mnie, i tyle. — Wzrusza

ramionami.

— Przysięgam, że z dnia na dzień coraz bardziej zaskakuje mnie to, jak wielkie pokłady nieśmiałości masz w sobie — mówię dokładnie to, co mam na myśli. — Czy to nie ty nagadałaś Cindy Roberts, niejednokrotnie mnie ochrzaniłaś i uderzyłaś własnego ojca w twarz?

— To było pod wpływem impulsu.

Parskam na te słowa.

— Moja Parker jest nieśmiała — mamroczę, nie tracąc humoru.

Dziewczyna burczy coś pod nosem, jednak nie wyłapuję tego. Oplatam ręką jej ramiona i przyciągam do siebie, kiedy z tłącymi się fajkami skręcamy w kolejną ulicę.

— Jeśli nie wyjdzie mi w życiu, zamieszkać w takim domu — stwierdza, a ja podążam wzrokiem do miejsca, które wskazała głową.

Za wysoką bramą znajduje się zbudowany z cegły dom. Ma dużo okien w różnych rozmiarach i spadzisty, brązowy dach. Przypomina mi trochę ten na Channel Road.

Spoglądam na Lizzy. Nie spuściła wzroku z budynku nawet na chwilę.

— Mam rozumieć, że Crosby to dla ciebie wyjście awaryjne? — śmieję się.

Blondynka zadziera głowę i odnajduje moje oczy. Na ustach ma uśmiech, jakiego wcześniej u niej nie widziałem. Nie odpowiada na moje słowa. Nie mówi nic. Po prostu zostawia mnie z ciszą i uczuciem, *którego przy nikim więcej nie doświadczyłem.*

Rozdział 13

ELIZABETH

Podobno mówienie jest srebrem, a milczenie złotem. Od dziecka zwykłam głośno i stanowczo wyrażać swoje opinie na najróżniejsze tematy. Wśród znajomych uważana byłam za odważną, natomiast dla dorosłych stałam się „tą pyską”.

Ludzie żyją w dziwnym przekonaniu, że jeśli ktoś jest gadatliwy — mówi wszystko, co faktycznie chodzi mu po głowie. Cóż, to nieprawda. Mimo niezamykających się ust i kąśliwych uwag — przepaść między słowami a myślami może być przeogromna. Czasem mówi się, aby zagłuszyć myśli. Czasem nasze wargi poruszają się, zupełnie nie współgrając z sercem. Czasem... czasem oszukujemy sami siebie, bo przecież kłamstwo powtórzone sto razy w końcu staje się prawdą, czyż nie?

Przyglądam się stojącej naprzeciwko mnie dziewczynie, której uśmiech jest mniej wymuszony niż zwykle. Jej policzki pokrywa róż, rzęsy są podkreślone, usta potraktowane truskawkowym błyszczkiem, a włosy związane w luźny kok. Wygląda inaczej. Błyszczą jej oczy, a serce bije szybciej, bo w myślach znów pojawił się on.

To zadziwiające, że myślenie o kimś może rozbudzić w nas miliony dreszczy. To zadziwiające, że myślenie o kimś może spędzić sen z naszych powiek. To zadziwiające, że jeden człowiek może zrobić tak wielkie zamieszanie w naszym sercu i umyśle.

Chase Shaw wtargnął do mojego życia niespodziewanie. Początkowo był nieproszonym gościem, który stanął w drzwiach, zastawiając przejście. Sprawiał, że powietrze gęstniało, w klatce piersiowej wrzało — i nie miało to w sobie nic pozytywnego. Przeciwnie. Spotkanie z nim niosło za sobą pasmo negatywnych emocji. Nie potrafiłam mu nie dokuczać. Nie potrafiłam nie czuć niechęci, bo tak bardzo irytowały mnie jego postawa i uprzedzenie.

Kto by pomyślał, że kilka tygodni później będę patrzyła na tego samego człowieka z uśmiechem, czując rzeczy, których nie umiem nawet opisać słowami. Kto by pomyślał, że w tak krótkim czasie przejmie kontrolę nad moim życiem na każdej jego płaszczyźnie.

Bo choć mogłabym zapierać się rękami i nogami; choć mogłabym mówić na głos rzeczy, których nawet nie mam na myśli — siebie samej oszukać nie mogę. Nie potrafię wyprzeć się tego, że niespodziewanie coś do niego poczułam. Nie jestem w stanie spojrzeć sobie w oczy i przekonać samą siebie do tego, że mi nie zależy — bo zależy. Bardziej niż myślałam, że kiedykolwiek mogłoby mi na kimkolwiek zależeć.

Z sideł własnych myśli wrywa mnie ciche pukanie.

— Mogę? — pyta Natalie, wsunąwszy głowę przez niewielką szparę.

Poszerzam zachęcająco uśmiech.

— Jasne, wejdz.

Po raz ostatni spoglądam na swoje odbicie. Przejeżdżam dłonią po materiale czerwonej zwiewnej sukienki, którą dziś założyłam, i odwracam się na pięcie. Obserwuję, jak macocha siada na moim łóżku. W rękach trzyma jakieś kartki. Skradają na chwilę moją uwagę, jednak ostatecznie skupiam się na oczach kobiety. Niebieskich, morskich, czystych.

— Coś się stało? — Podchodzę do niej i siadam obok.

Na jej twarz z widocznymi zmarszczkami padają promienie zachodzącego słońca. Wygląda przepięknie. Ona cała jest piękna.

— Nie, nic — śmieje się cicho. — Chciałam po prostu się upewnić, że u ciebie wszystko w porządku. Mama bardzo narzeka na te zmiany czasowe i trochę źle się czuje.

— Zawsze źle znosi takie podróże?

— Bez wyjątku.

Powrót do domu był i nadal jest dla mnie dziwnym doświadczeniem. Jestem tutaj — w miejscu,

w którym się wychowałam, w pokoju, który od małości należał do mnie, a jednak czuję się tu obco. Mam wrażenie, jakby nie był to już mój dom. Nie wiem, jak to opisać, ale nie mogę się doczekać powrotu do Crosby.

— Cieszę się, że znów tu jesteś. Bez ciebie było jakoś cicho. Aiden nie miał z kim się kłócić, ojciec to samo, no a mi zabrakło towarzyszk do wieczornych rozmów — mówi Natalie.

Mój uśmiech poszerza się.

— Dopiero teraz dostrzegam te wszystkie podobieństwa między tobą i Josephine. Z nią też siedzę wieczorami i rozmawiam o wszystkim i o niczym.

— To była nasza tradycja. Poranki w weekendy i wieczory w tygodniu należały do nas. Ja, Lorraine, Jo i mama siadałyśmy przy stole w kuchni, robiłyśmy herbatę, wyciągałyśmy ciastka i dyskutowałyśmy. Czasem poruszałyśmy bezsensowne tematy, czasem podejmowałyśmy ważne decyzje, ale zawsze robiłyśmy to razem.

Wyraz twarzy Natalie zmienia się. Gołym okiem widać, że oczami wyobraźni przeniosła się do tamtych lat. Do tych czasów, kiedy wszystko było proste.

— Jaka ona była? — Podnoszę nogi na materac i krzyżuję je.

Niebawem Chase ma się spotkać ze swoją biologiczną mamą. Do niedawna był przekonany, że ona nie żyje. Nie potrafię sobie wyobrazić, co musi czuć w tym momencie. Nie rozmawiałam z nim o tym, ale z całą pewnością jeszcze dziś to zrobię.

— Masz na myśli Lorraine? — Natalie odkłada kartki na materac, po czym siada tak jak ja. — Była wspaniała. Ciepła, życzliwa, pełna współczucia. Uwielbiała cię. Aiden i Chase'a kochała ponad wszystko. Zacięcie walczyła o swoją wolność, synów, prawdę... a później oszalała.

— Więc jaka jest teraz?

Nigdy nie miałam styczności z człowiekiem, który jest chory psychicznie, więc nie do końca wiem, czego się spodziewać.

Macocho wzdycha ciężko i odchyła się, opierając na rękach.

— Inna. Jej wzrok jest taki... pusty, odległy. Nawet nie wiem, jak to opisać. Są dni, kiedy ma przeblęski, kiedy wie, kim jestem, ale trwa to chwilę. Zwykle jest zamknięta w swoim świecie. Mam wrażenie, że tak jej lepiej, że tam jest bezpieczna, i dlatego nie chce do nas wrócić — mówi cicho ze smutkiem.

— Myślisz, że pozna Chase'a?

— Nie mam pojęcia, Lizzy... Pokazywałam jej ostatnio jego aktualne zdjęcia, ale ciężko mi powiedzieć, jak zareaguje, gdy faktycznie się spotkają. Może zobaczy w nim syna? Może uzna za nieznanego? Tego nie da się przewidzieć.

I właśnie to przeraża mnie najbardziej.

Co, jeśli Lorraine uzna Chase'a za intruza? Co, jeśli negatywnie zareaguje na jego widok i to się na nim odbije? Może pokazywać wszystkim, że jest twardy. Może chronić się ogromnym murem pozorów, ale to bez znaczenia, bo ja już dawno obeszłam ten mur. Teraz stoję za jego plecami i patrzę. Widzę więcej niż wszyscy. Więcej niż on sam. Bo choć bardzo stara się być silnym — dostrzegam jego strach i wszystkie inne emocje, które nieświadomie mi pokazuje. Umiem zinterpretować jego zachowania. Każdego dnia uczę się go i wiem więcej. Każdego dnia widzę kolejną twarz Chase'a Shawa, bo tylko przy mnie pokazuje coś więcej poza złością czy obojętnością.

— Dziękuję, że po tym wszystkim zdecydowałaś się nas wysłuchać i jakoś poskładać to wszystko w całość — mówi nagle Natalie, po raz kolejny wyrrywając mnie z zamyślenia.

— Jesteśmy rodziną. — Wzruszam ramionami. Prawda jest taka, że nie wiem, co innego mogłabym powiedzieć.

To, co wydarzyło się w przeciągu ostatnich tygodni, odcisnęło piętno na każdym z nas. Życie moje i Chase'a wywróciło się do góry nogami. Myślę, że on — dokładnie tak jak ja — jest świadomy tego, że to nie koniec. Że on również postanowił odpuścić, ale mieć oczy dookoła głowy. Zaufanie jest jak lustro. Jeśli je zbijesz — nie masz szans na sklejenie go tak, aby wyglądało na nienaruszone. U nas zostało ono wręcz pokruszone.

— Co to za kartki? — Wskazuję głową na papier, który chwilę temu kobieta rzuciła na łóżko.

Natalie zerka w tamtym kierunku, a jej mina rzednie. Mam wrażenie, że przez chwilę bije się z własnymi myślami.

— Przyszłam do ciebie właśnie w tej sprawie. — Chwyta plik w palce.

Marszczę brwi.

— To znaczy?

— Można?

Zerkam na drzwi, zza których wychyla się tata.

Bicie mojego serca przyspiesza. Nie wiem dlaczego.

— Tak, tak. Jasne, wejdz. — Odruchowo przesuwam się w głąb łóżka, nawet na sekundę nie tracąc z nim kontaktu wzrokowego.

Terrence wchodzi, rozgląda się po pomieszczeniu i zatrzymuje gdzieś na jego środku.

— Coś się stało? — pytam wprost.

On akurat nie ma w zwyczaju przychodzić do mnie bez powodu. Kiedy byłam dzieckiem — owszem. Czytał mi bajki na dobranoc czy tulił do snu. Z czasem jednak ten zwyczaj zaczął zanikać. Dorosłam, więc nie chciałam być już traktowana w ten sposób. Zabawne, bo obecnie wiele bym dała, aby do tego wrócić.

Ojciec wciska ręce do kieszeni, ponownie skupiając na mnie uwagę.

— Nic szczególnego. Chase już wstał i cię szuka.

Zrywam się ze swojego miejsca.

— Gdzie jest?

— Na dole.

Zerkam na Natalie, która patrzy na mnie z uśmiechem. Wiem, że doskonale rozumie, o co chcę ją zapytać. Wiem, że nie muszę mówić tego na głos.

— Idź. Później dokończymy naszą rozmowę — rzuca ze śmiechem.

Nie czekając ani chwili dłużej, wychodzę z pokoju. W duchu klnę na siebie, bo nie założyłam nic na nogi, a płytki są cholernie zimne, jednak staram się o tym nie myśleć. Zbiegam wręcz ze schodów, omal nie potykając się o własne nogi. Kuchnia oraz salon są puste. Korytarze również świecą pustkami, dlatego idę na taras. Gdy tylko przekraczam jego próg, zatrzymuję się w pół kroku.

Jest tam.

Stoi tyłem do mnie. Ubrany w czarne obcisłe spodnie i koszulkę, pali właśnie papierosa. Jego włosy są w nieładzie, co potwierdza słowa taty o tym, że właśnie wstał.

— Jest tu tak zajebiście ciepło, że chyba zacznę sypiać nago.

Moje brwi unoszą się.

„Jakim cudem on zawsze wie, że jestem w pobliżu?”

Podchodzę do niego, pod stopami czując nagrzane drewno.

— Nie żebym miała coś przeciwko, Shaw — mówię żartobliwie.

Nasze ramiona stykają się. Czuję na sobie wzrok bruneta, dlatego również na niego patrzę. Jego oczy błędzą po moim ciele, ostatecznie zatrzymują się na oczach.

— Dobrze wiedzieć, Parker. — Wysuwa w moim kierunku paczkę fajek. Przyjmuję jedną i pozwalam chłopakowi ją odpalić. — Spałaś coś w ogóle?

Kręcę głową.

— Jakoś nie czułam takiej potrzeby. Ogarnęłam pokój, siebie, walizki, więc chociaż trochę odpoczęłam.

— Sprzątanie cię odpręża? — pyta z kpina w głosie.

— A ciebie nie? To najlepszy sposób na wyzbycie się negatywnych emocji. Od lat stosuję ten patent.

— O jakich negatywnych emocjach mówimy? Coś się stało?

— Nie. Chodzi mi o napięcie związane z lotem i takie tam.

Shaw zaciąga się papierosem. Nagle umieszcza dłonie po obu stronach mojego ciała. Odwracam się twarzą do niego, plecami napierając na barierkę. Patrzymy na siebie w milczeniu.

— Zawsze możemy zniwelować to napięcie — mówi z głupim uśmieszkiem, wydychając dym

prosto na moją twarz.

— Czy ty właśnie proponujesz mi seks na tarasie? — Cytuję słowa, które opuściły jego usta jakiś czas temu na plaży, gdy zrobiłam dokładnie to samo.

— Nie wiem. Proponuję?

Przewracam oczami.

— Jesteś idiotą. — Kręcę rozbawiona głową i odpycham go od siebie. Wkładam fajkę między wargi. — Masz ochotę zobaczyć miasto? Wieczorem zawsze dużo się dzieje.

— Możemy. I tak w sumie nie mamy nic innego do roboty. — Chłopak wzrusza ramionami.

Lustruję jego twarz, starając się wyczytać z niej cokolwiek. Niestety — jak zwykle jest ona nieodgadniona. Może później spróbuję z nim porozmawiać. W tej chwili nie chcę go męczyć pytaniami.

— W takim razie zbieraj się.

— Co? Teraz?

— No tak. — Gaszę niedopałek w popielniczce. — Lada moment będzie już ciemno. Pójdziemy coś zjeść. Skoczę tylko po torebkę.

Shaw nie odpowiada. Czuję na sobie jego wzrok, gdy przechodzę przez taras. Mijam tatę i Natalie, którzy rozmawiają o czymś w kuchni, i wspinam się na piętro. Rozglądam się po pokoju, a kiedy namierzam poszukiwany dodatek, zawieszam sobie pasek na ramieniu. Upewniwszy się, że mam ze sobą wszystko, wracam na parter.

— Gotowy? — pytam entuzjastycznie.

— No, jak widać.

— Dupek dupkiem zostanie — mamroczę pod nosem.

Żegnając się ze wszystkimi krótkim komunikatem i z chłopakiem u boku opuszczam budynek.

— Coś ty powiedziała?

Patrzę na niego, gdy dorównuje mi kroku.

— Ty naprawdę potrzebujesz już aparatu słuchowego — rzucam z politowaniem.

Brwi Chase'a unoszą się wysoko.

— Żałuję, że ostatecznie nie owinąłem twojej szyi drutem kolczastym.

— A ja, że nie wylałam na ciebie żrącego kwasu.

— Chciałaś wylać na mnie kwas?

— Oczywiście — mówię bez zawahania. — Szukałam też odpowiedniej łyżeczki do wydłubania ci oczu i miejsca na pochówek. Byłam gotowa na wszystko.

— A jednak idziesz teraz ze mną coś zjeść.

— To z grzeczności — drocę się.

Shaw oblizuje wargi, z trudem hamując uśmiech.

— Z dnia na dzień jesteś coraz bardziej bezczelna.

— Zawsze taka byłam, ale chyba już o tym zapomniałeś.

Brunet śmieje się cicho i oplata ręką moje ramiona, gdy idziemy chodnikiem.

Ulice Santa Monica tętnią życiem. Mieszkam blisko oceanu i równie niedaleko mam do głównej części miasta. Mimo wszystko — lubię to miejsce. Łączy mnie z nim wiele dobrych wspomnień. Tutaj dorosłam, ukształtowałam się. Ale dlaczego teraz czuję się tak wyobcowana?

— Na co masz ochotę? — pytam.

Rozglądam się po restauracjach, które rozciągają się wzdłuż drogi. Co chwilę mijają nas roześmiani bądź zalani nastolatki. Każdy cieszy się wieczorem, choć mamy dopiero początek tygodnia.

— Chodź. — Nagle Shaw splata nasze palce i pociąga mnie za sobą.

Przyjemne ciepło rozlewa się po moim brzuchu.

Śledzę wzrokiem chłopaka, który idzie przed siebie, nie patrząc na mnie. Zdecydowanie obrał już jakiś cel. Nie mylę się. Moje nogi praktycznie wbijają się w ziemię, kiedy dociera do mnie, dokąd nas prowadzi.

— Nie — mówię tylko.

Chase zerka na mnie przez ramię ze zmarszczonymi brwiami.

— Nie lubisz?

Zaciskam wargi i unoszę wzrok ku niebu.

— Nie można nie lubić czegoś, czego się nie próbowało — rzucam od niechcenia.

— Więc może warto spróbować?

Patrzę na niego wymownie.

— Chcesz, żebym narobiła ci wstydu? Kompletnie nie wiem, jak posługiwać się tymi cholernymi pałeczkami. — Śmieję się nerwowo.

Brunet obserwuje mnie przez chwilę w milczeniu, a na jego ustach maluje się przyjemny dla oka uśmiech.

— No to cię nauczę. Chodź.

Niechętnie wchodzę za nim do baru z sushi. Żołądek zaciska mi się w supel. Wiem, że niektórym może się to wydawać zabawne, ale wizja jedzenia pałeczkami mnie przeraża. Kiedyś próbowałam tego w domu na innej potrawie i kompletnie mi nie szło. Wielu znajomych ze szkoły zapraszało mnie na sushi, ale zawsze szukałam wymówek. Zdaję sobie sprawę, że to śmieszne, ale dla mnie takie nie jest, bo kiedyś słyszałam, jak żartowano sobie z osób, które nie potrafiły jeść w ten sposób.

Zajmuję jedno z wolnych miejsc, a Shaw idzie złożyć zamówienie. Opieram się łokciem o blat, z zaciekawieniem przyglądając się chłopakowi. Jego mięśnie pracują synchronicznie, gdy gestykułuje dłońmi. Obserwuję, jak płaci, rozgląda się, a gdy odnajduje mnie wzrokiem, podchodzi i siada naprzeciwko. Tuż pod moim nosem lądują owinięte w plastik pałeczki. Wzdycham ciężko.

— Mogę poprosić o widelec, jeśli...

— Nie — przerywam szybko. — Nie mogę przecież całe życie uciekać przed tymi drewnianymi cholerstwami, prawda?

Brunet ściska moją dłoń.

— Jestem z ciebie dumny, Parker — mówi z wyczuwalną ironią.

— Spadaj.

Shaw parska w odpowiedzi, a ja przewracam oczami. Niedługo potem kelnerka przychodzi z zamówionym zestawem. Przyglądam mu się ze zgrozą.

— Wyjmij pałeczki — instruuje chłopak, więc to robię. — Rozłóż je w ten sposób, wciśnij tu palec, a drugi niech będzie tu.

— Okej.

Ze skupieniem naśladowuję ruchy Chase'a.

— Dobrze, a teraz wystarczy chwycić sushi między pałeczki, ewentualnie wymoczyć w sosie i zjeść. — Pokazuje mi każdy z tych kroków.

„Dam radę” — myślę sobie.

Ostrożnie, niemal w zwolnionym tempie próbuję unieść leżące na talerzu jedzenie. Podejmuję trzy próby i dopiero przy tej ostatniej udaje mi się je faktycznie uchwycić. Nie bawię się z sosami, bo na ten moment jestem zbyt zestresowana, aby to zrobić. Może następnym razem.

— Widzisz? To tylko wydaje się trudne — mówi Shaw, gdy przeżuвам pierwszą porcję.

Następne idą już mniej opornie. Co jakiś czas sushi wypada mi pomiędzy pałeczek i ląduje w sosie, przez co klnę niemiłosiernie. Jednak z każdym kolejnym razem czuję się bardziej komfortowo, bo Chase się ze mnie nie nabija, ale ze spokojem tłumaczy, co robię źle.

— I co? Zginęłaś? — Ponownie oplata ręką moje ramię, kiedy wychodzimy z baru.

— Mało brakowało. — Oddycham ciężko, na co ten śmieje się pod nosem.

— Prawdziwa królowa dramatu.

Uśmiecham się do niego głupio i skupiam uwagę na mijanych przez nas miejscach. Ulicę, którą idziemy, znam już na pamięć. Bardzo często imprezowałam tu z Warrenem.

— Tutaj zgarnęła mnie policja. — Wskazuję głową na jeden z klubów. — Jakiś typ mnie zaczepił, Aiden stanął w mojej obronie, rozpetęła się bójka i wkroczyła policja. Aiden zdążył zwać. Początkowo byłam wściekła, że mnie zostawił, ale później stwierdziłam, że jest całkiem błyskotliwy. To on wyciągnął mnie z aresztu, do którego trafiłam. I to dzięki niemu ojciec o niczym się nie dowiedział.

Nadal nie wiem, jakim cudem mnie stamtąd wyciągnął.

— Byliście ze sobą zżyci, prawda? — pyta nagle chłopak.

Zerkam na niego.

— Bardzo. — Uśmiecham się mimowolnie. — Aiden był w moim życiu od zawsze, więc zajął miejsce starszego brata. Właśnie tak go traktowałam. Mimo dzielącej nas różnicy wieku wszystko robiliśmy razem. Cholera, kiedyś nawet przebrał się w sukienkę, bo potrzebowałam księżniczki do zabawy.

W mojej głowie pojawia się wspomnienie tamtego dnia. Warren zawsze spełniał moje zachcianki i marzenia. Zawsze stawał za mną murem i ratował z opresji. Nigdy mu tego nie zapomnę, choć między nami wydarzyło się tak wiele złego.

— W takim razie chyba nie zawsze był chujem — śmieje się Shaw.

— Nigdy nim nie był. Ma swoje za uszami, ale zawsze miałam w nim wsparcie. Pomagał tak, jak mógł, i jestem mu za to wdzięczna.

Zastanawiam się, co tak faktycznie czuje Chase do własnego brata. Dowiedział się o jego istnieniu po tylu latach. To musiało być dla niego szokujące i ciężkie przeżycie.

— A ty?

— Co ja?

— Co czujesz do niego? — Wypowiadam na głos swoje myśli.

— A co niby miałbym czuć? — pyta skonsternowany.

— Nie wiem. — Wzruszam ramionami. — To twój brat. Na pewno o nim myślałeś. Na pewno nie było łatwo przyzwyczać się do tego, że masz rodzeństwo. Zawsze martwisz się o wszystkich, interesujesz się uczuciami innych, ale nigdy nie mówisz o swoich.

Niemal równocześnie zatrzymujemy się w pół kroku. Dopiero teraz orientuję się, że dotarliśmy do oświetlonego żarówkami parku. To miejsce od zawsze miało swój klimat — i to też się nie zmieniło.

Patrzę na stojącego naprzeciwko mnie chłopaka. Jego twarz po raz kolejny nie wyraża nic szczególnego. Jest kamienna i nijaka. Znow zasłania się maską i myśli, że nie jestem tego świadoma.

Zaplatam ręce pod piersiami.

— No ale co miałbym ci powiedzieć?

— Nie wiem, cokolwiek, co czujesz w tej sytuacji.

— Ale ja nic nie czuję. Wisi mi to.

— Okłamujesz samego siebie.

— Ta rozmowa prowadzi donikąd, Parker.

— Przeciwnie. — Unoszę brew. — Bądź ze mną szczery.

— Mógłbym powiedzieć to samo.

— To nie to samo.

— To dokładnie to samo. Mówisz, żebym się otworzył, a sama tego nie robisz. Od naszego wyjazdu do wesołego miasteczka jesteś dziwna, inna, nawet nie wiem, jak konkretnie to opisać, ale to nie jesteś ty. Widzę, że chodzisz smutna. Mógłbym nalegać na szczerość, jednak to bez sensu. Znam cię i wiem, że tego nie chcesz, więc uszanuj moją decyzję, tak jak ja szanuję twoją.

Między nami nastaje chwila milczenia. Obserwujemy się nawzajem w ciszy. Co jakiś czas mijają nas ludzie. Nie wiem, czy na nas patrzą. Nie wiem, czy z zaciekawieniem przyglądają się naszej wymianie zdań. Nie obchodzi mnie to.

— Dobrze. W takim razie milczmy i udawajmy, że to wszystko się nie dzieje. — Wzruszam ramionami.

— Co?

— Skoro oboje nie chcemy rozmawiać o naszych uczuciach, imprezujmy, bawmy się, korzystajmy z życia. Po prostu żyjmy, jakby nic się nie wydarzyło.

— Czy ty w ogóle słyszysz, co mówisz? — Chłopak nie kryje zdziwienia.

— Oczywiście, że słyszę. Oczywiście, że jestem świadoma tego, co mówię. Ale co innego mam robić? Między nami nie ma dialogu, Chase. Rozmawiamy, jednak z tych rozmów nic nie wynika. Oboje unikamy tematu Rumelich i naszych rodzin. Ukrywasz przede mną, co powiedział ci Blaze, i nie tylko to. Nie widzę więc sensu przejmowania się czymkolwiek, skoro tak to ma wyglądać — mówię ze

spokojem, jednak nie potrafię powstrzymać nuty goryczy pobrzmiewającej w tych słowach.

Shaw nadal nie powiedział mi o kontrakcie. Gdyby nie Zoe, nie miałabym o nim pojęcia. Nadal uważam, że to jego życie, ale myślałam, że jesteśmy sobie na tyle bliscy, aby rozmawiać szczerze o takich rzeczach. Do tego słowa Roberta z ringu. Dlaczego po raz kolejny jest między nami tyle niedopowiedzeń i tajemnic?

— Nie czuję potrzeby mówienia o rzeczach, które cię nie dotyczą — stwierdza brunet.

— W porządku.

Nie widzę sensu ciągnięcia tej rozmowy.

Odwracam się na pięcie.

— Zaczekaj. — Chase chwytą mnie za ramię i zatrzymuje.

— Co znowu? — pytam niemiło. — Zrozumiałam, co powiedziałaś. Nie chcesz mówić, więc nie będę już naciskać. Uszanuję twoją decyzję. Poza tym to i tak bez znaczenia. Masz swoje życie, a mnie lada moment i tak w nim nie będzie.

Brunet prychnął pod nosem.

— A więc najpierw mnie umoralniasz, napieprzasz o tym, że nie ma między nami dialogu, a teraz robisz sceny?

— Ja robię sceny? To ty powiedziałaś, że nie czujesz potrzeby mówienia o rzeczach, które mnie nie dotyczą. Szanuję to, więc nie wiem, o co ci teraz chodzi.

— Czasami mam ochotę zakleić ci usta taśmą.

— Co cię powstrzymuje? — Unoszę brwi, a ręce opieram na biodrach.

Nasze oczy wręcz ciskają piorunami. Oboje jesteśmy nabuzowani, choć nie do końca rozumiem postawę Shawa. Nie powiedziałam przecież nic złego.

— Czy możemy... — Chłopak wzdycha i przeciera twarz ręką. — Czy możemy nie rozmawiać teraz o tym wszystkim?

— Nie musimy przecież nigdy o tym rozmawiać, bo i po co.

Chase przewraca oczami.

— Irytuje mnie twoje gadanie.

— Ty cały mnie irytujesz.

— Pieprzona panna niezależna.

— Dupek.

Gdy wypowiadałam to słowo, na usta bruneta wkłada się nikły uśmiešek. Ja również z trudem go hamuję. Shaw kręci głową. Słyszę jego cichy śmiech. Kiedy nasze oczy znów się spotykają — nefrytowe tęczówki błyszczą w świetle żarówek.

— Chodź tu, ty cholerna dziewucho.

Chłopak podchodzi i nim jestem w stanie jakkolwiek zareagować, zamyka mnie w szczelnym uścisku. Z rękami zaplecionymi pod pierśmi wtulam się w jego rozgrzaną klatkę. Czuję na plecach dotyk ciepłych dłoni. Oddycham głęboko, uspokajając się. Do moich nozdrzy dociera zapach papierosów, gumy miętowej i perfum, które kojarzą mi się tylko z nim.

— Nie miałem nic złego na myśli. Przepraszam. Nie chcę tego wyjazdu spędzić na sprzeczkach — szepcze prosto do mojego ucha.

Odsuwamy się tak, aby widzieć swoje twarze. Kąciki ust bruneta są nieznacznie uniesione. Odwzajemniam uśmiech. Przymykam powieki, gdy jego ręka styka się z moją skórą i wędruje po szczęce. Nie potrafię zapanować nad cichym westchnieniem. Czuję, jak zaczesuje mi włosy za ucho, a chwilę później pozwala mi wtulić się w otwartą dłoń. Odpywam. Tracę kontakt z rzeczywistością. Na chwilę.

— Tylko nie przyzwyczajaj się czasem do tego przepraszania — mówi.

Otwieram oczy, śmiejąc się, i spotykam rozbawione spojrzenie Shawa.

— Czyli to tylko twoja taktyka? — Unoszę brew i odsuwam się.

— Oczywiście. To wszystko jest grą pozorów, którą tworzę. Inaczej nie dostanę twojego serca w słoiku — rzuca z sarkazmem.

Ruszamy wzdłuż oświetlonej żarówkami ścieżki. Brunet po raz kolejny oplata ręką moje

ramiona.

— W takim razie trochę się objasz. Na twoim miejscu już dawno bym je zdobyła.

— Doprawdy?

— Tak. Wystarczyło się do mnie zbliżyć. Później zwabić w odpowiednie miejsce i zająć się resztą. — Wzruszam ramionami.

— No, a gdzie w tym wszystkim zabawa?

— Cóż, tego nie wzięłam pod uwagę. Nie przewidziałam, że lubisz bawić się w polowanie.

— Wtedy jest ciekawiej.

Parskam w odpowiedzi na te słowa.

— Gdyby ktoś nas usłyszał, pomyślałby, że postradaliśmy zmysły.

— Tym lepiej.

Właśnie tak to wygląda. Za każdym razem. Sprzeczymy się, aby i tak skończyć w swoich ramionach. To nie jest dobre. Tak nie powinno być i myślę, że oboje jesteśmy tego świadomi, ale mam też wrażenie, że jesteśmy zbyt słabi, aby przestać do siebie wracać.

Stukam palcami o blat, skupiając się na wybijanym rytmie. Błądzą wzrokiem po niewielkiej kawiarni, po czym zerkam na ekran telefonu. Brak powiadomień. Jest pierwsza.

Wraz ze zmianą godziny na wyświetlaczu do moich uszu dociera dźwięk dzwonka zawieszony nad drzwiami. Przenoszę uwagę w tamtą stronę. Przełykam ślinę.

Patrzy na mnie. Jego piwne oczy od razu odnalazły moje, jakby już wcześniej wiedział, gdzie będę. Dostrzegam, że zaciska szczękę. Jego klatka piersiowa unosi się szybko i opada. Mam wrażenie, że moja robi dokładnie to samo. Bo choć widzieliśmy się kilka miesięcy temu — wiele się zmieniło. My się zmieniliśmy. Przynajmniej zewnątrz.

Wydoroślał. Myślę, że chodzi teraz na siłownię. Ma chyba tatuaż na ręce. W wardze pojawił się kolczyk. Zapucił też włosy. Te piękne, czarne włosy, których niegdyś uwielbiałam dotykać. Były miękkie i gęste. Tak, zdecydowanie coś się zmieniło.

Obserwuję, jak chłopak przykładą pięść do ust i chrząka. Przez chwilę wydaje mi się, że się waha, ale ostatecznie rusza w moim kierunku.

— Cześć — mówi niepewnie.

— Cześć.

Z uwagą śledzę każdy ruch Nate'a. Chłopak zajmuje miejsce naprzeciwko mnie i patrzy mi prosto w oczy. Przeszywa mnie wzrokiem, jakby nie do końca dowierzał, że to ja. Cóż, nie tylko on się zmienił.

— Masz blond włosy. — Wskazuje palcem na pofarbowane kosmyki.

Odruchowo chowam kilka z nich za uchem.

— Tak, stwierdziłam, że warto coś zmienić. Ty za to zrobiłeś sobie piercing i tatuaże.

— Tak, ja też stwierdziłem, że warto coś zmienić. — Uśmiecha się niezręcznie.

Między nami zapada cisza. Ciężka i męcząca. Oplatam rękami kubek z parującą kawą. Oboje rozglądamy się na boki.

Czekam cierpliwie. Nie zamierzam odzywać się jako pierwsza. To nie ja nalegałam na to spotkanie. Przeciwnie. Bardzo chciałam go uniknąć, ale z jakichś powodów Nate nie chciał odpuścić. Dlatego tu przyszedłam — dla świętego spokoju.

— Słuchaj... — Musk po raz kolejny zabiera głos, więc znów na niego zerkam. Wierci się na swoim siedzeniu. — Myślę, że powinniśmy pogadać o tym wszystkim.

— To znaczy? O czym konkretnie? — Upijam łyk małej czarnej.

Czy on naprawdę chce roztrząsać coś, co jest już za nami? Jaki to ma sens? Oboje ruszyliśmy do przodu. Zamknęłam temat zdjęć, naszego związku i Bonnie. O czym więc...

— Chciałbym naprawić naszą relację.

Krztuszę się gorącą kawą.

Uderzam ręką o klatkę. Niedługo potem czuję na plecach dłonie Nate'a. Kaszlę głośno, z całą pewnością ściągając na siebie uwagę wszystkich. Do moich oczu napływają łzy, a za uszami robi się

przeraźliwie gorąco. Potrzebuję kilkunastu sekund, aby dojść do siebie.

— Przepraszam, nie chciałem...

— Chciałeś, zdecydowanie chciałeś — przerywam mu, nadal walcząc o oddech. — Ty naprawdę nie masz za grosz wycucia ani godności.

— Czasem trzeba schować ją w kieszeń.

— Szkoda, że nie kierowałeś się tymi wartościami, gdy rozsyłałeś zdjęcia.

— Wtedy nie byłem sobą. Bonnie...

— O nie, jej do tego nie mieszaj. To ty podjąłeś decyzję — kładę nacisk na drugie słowo. — Jesteś dorosły, więc zacznij brać odpowiedzialność za swoje czyny.

To nie tak, że żyję przeszłością czy rozpamiętuję wszystko, co się wydarzyło — skąd. Ale nie widzę sensu rozmawiania o tym, gdy jest już po wszystkim. Nate zniszczył mnie na każdej płaszczyźnie. Jest jednym z powodów mojej ucieczki w alkohol. Mam to za sobą. Chcę ruszyć naprzód. Dlaczego więc ciągnie mnie w tył?

— Masz rację, przepraszam — mamrocze pod nosem. — Przez ostatnie miesiące wiele myślałem. Dużo się wydarzyło, poukładałem sobie wszystko, pracowałem nad sobą, zmieniłem się.

— No okej, ale co ja mam do tego? Dla mnie cały ten bałagan jest już sprawą zamkniętą. — Wzruszam ramionami.

To prawda. Wyjazd do Crosby bardzo mi pomógł. Dzięki temu, że byłem daleko, mogłam uporządkować chaos w swojej głowie. Wraz z wejściem na pokład samolotu zamknęłam bądź przymknęłam wiele drzwi. Nathaniel Musk był w pierwszej kategorii.

Chłopak znów wierci się na swoim siedzeniu. Jego niepewność jest wyraźnie wyczuwalna.

— Chodzi o to, że gdy uporządkowałem myśli, wiele się zmieniło. Moje uczucia się zmieniły — mówi wręcz desperacko. — Beth, ja naprawdę się zmieniłem. Uwierz, że nie mogę sobie wybaczyć tego, co ci zrobiłem. Nocami nie sypiam. Widzę cię w koszmarach. Za każdym razem.

— Po prostu dopadają cię wyrzuty sumienia. — Przewracam oczami, zaskakując tym samą siebie.

Skąd we mnie ostatnio tyle obojętności?

— Z pewnością. Jestem tego świadomy. To dzięki nim uderzyłem głową o ścianę i wybudziłem się z amoku, w którym utkwiałem.

Z trudem hamuję parsknięcie śmiechem.

— Nie byłeś w żadnym amoku, człowieku. Byłeś sobą, rozumiesz? Bo taki właśnie jesteś. Teraz zżera cię poczucie winy. Wiesz, że jeśli się nie zmienisz, zniszczy cię świadomość, że niszczyłeś innych. To będzie autodestrukcja, ale ja nie będę tą, która rozbroi tykającą bombę. Nie jestem ci nic winna, więc daruj sobie te gadki. Dla mnie nasza relacja zakończyła się w chwili, gdy weszłam do twojego pokoju, a ona tam była. Zdjęcia? Przetrawiłam. Ruszyłam do przodu — mówię z nieopisanym spokojem. — To, że ty masz teraz problem ze sobą, nie jest moją sprawą, Nate.

Chłopak patrzy na mnie tępo.

— Nie wierzę, że upadłeś aż tak nisko. Nie wierzę, że po wszystkim masz czelność mówić takie rzeczy i myśleć o odbudowie czegokolwiek. Ja... ja naprawdę nie wiem, w jakim ty świecie żyjesz. — Śmieję się szczerze, bo w tym momencie to wszystko jest dla mnie jedną wielką komedią.

— Cóż, ja przynajmniej się nie sprzedaję.

Marszczę brwi, nie tracąc humoru.

— O czym ty mówisz?

Musk oblizuje usta, po czym wyjmuje z kieszeni telefon. Wcisną coś na ekranie i podsuwa mi urządzenie pod nos.

— Nie sądziłem, że lubisz starych obrzydliwych typów, Claire — mówi. — Czy nie tak do ciebie teraz mówią?

Przyglądam się zrobionej z ukrycia fotografii, która przedstawia mnie i Omara. Pamiętam dokładnie każdy szczegół tego dnia. Każdy dotyk, słowo i strach za nimi idący.

— Skąd to masz?

— Czy to ważne? — pyta. — Faktem jest, że mam tego więcej. Wiem więcej. Myślę, że prasa

chętnie zawiesiłaby oko na córce cenionego prawnika, która maskuje swoją tożsamość i wychodzi za męża, aby zapewnić obywatelstwo gangsterowi.

— Okej, i co chcesz tym osiągnąć, bo nie bardzo rozumiem?

Zachowuję neutralny ton i wyraz twarzy, aby nie dać po sobie poznać, że jakkolwiek mnie to ruszyło.

— W co ty się wplątałaś, Beth? Masz kłopoty?

Prycham pod nosem.

— Nie twój interes, Nate.

— Przeciwnie. Byliśmy razem. Coś nas łączyło i nie możesz temu zaprzeczyć. Gdy dowiedziałem się, że wyszłaś za męża... nie mogłem w to uwierzyć. Na dodatek to imię. Claire to przecież twoje drugie imię, prawda? O co w tym wszystkim chodzi?

Opadam plecami na oparcie i wzdycham ciężko.

— Nie mam obowiązku spowiadać ci się z mojego życia.

— Nie, oczywiście, że nie. Ale nie masz też innego wyjścia.

Kręcę w niedowierzaniu głową. Nie hamuję kpiącego uśmiechu.

— Nic się nie zmieniłeś — mówię z obrzydzeniem. — Szantaż jest twoją jedyną bronią. Chcesz informacji? Masz je, wiesz wszystko, więc po co ci ja?

— Chcę, abys to potwierdziła. Martwię się.

Nie odpowiadam. Patrzę na Muska, nie czując absolutnie nic.

Do moich ust pchają się dziesiątki słów, które mogłabym powiedzieć. Powstrzymuję się. Znam tego człowieka i wiem, do czego jest zdolny. Zmieniliśmy się. Oboje. On nie jest jeszcze świadomy tego, że przewidziałam już plan jego działania.

Nachylam się nad stołem.

— Najpierw wyjmij z kieszeni dyktafon. — Zniżam ton głosu, uśmiechając się lekko.

Nate mruga szybko na te słowa.

— O czym ty mówisz? — Rozgląda się na boki.

Jest zdenerwowany i dezorientowany. Nie spodziewał się tego. To jasne.

— Daruj sobie. Doskonale wiem, że nagrywasz naszą rozmowę. Widzę, jak jedna ręka ciągle łąduje w kieszeni, zerkasz co jakiś czas w tamtą stronę, spotykasz się ze mną tak nagle... Naprawdę sądzisz, że uznałam to za coś normalnego? Zbierasz informacje, których nie dostaniesz — mówię rzeczy, których w najmniejszym stopniu nie jestem pewna.

Kiedyś tata powiedział mi, że jeśli podejrzewamy kogoś o coś, warto wyłożyć karty na stół, nawet jeśli nie wiemy, czy są prawdziwe. Zawsze jest cień prawdopodobieństwa, że choć w małym stopniu zahaczmy o fakty. Pokazując swoją pewność — możemy zagonić przeciwnika w ślepy zaułek. Tę taktykę stosuję w sytuacjach podbramkowych. W chwilach, kiedy nie mam nic do stracenia. Jak teraz.

— Nie mam pojęcia, kto cię przysłał. To oczywiste, że nie doszedłeś do tego sam. Nie jesteś aż tak inteligentny.

— Ty...

— Ktokolwiek ci płaci, przekaż mu, żeby szedł do diabła.

Nie pozwalając Nate'owi na powiedzenie chociażby słowa więcej, wstaję, omal nie przewracając krzesła. Posyłam Muskowi ostatnie spojrzenie pełne pogardy. Wyjmuję z torebki portfel, zostawiam na blacie kilka banknotów, po czym pewnym krokiem opuszczam lokal.

Gorące popołudniowe powietrze od razu uderza w moją twarz. Przymykam powieki i oddycham głęboko. W mojej głowie roi się od najróżniejszych myśli. Nie jestem w stanie skupić się na jednej, dlatego spycham je wszystkie na bok i idę przed siebie.

Nie mam zielonego pojęcia, co właśnie się wydarzyło. Kompletnie tego nie rozumiem. Skąd Nate wie o wszystkim? Jak daleko sięgają jego kontakty? Jaki w rzeczywistości był cel naszego spotkania? Cholera.

Biorę do ręki telefon. Odnajduję w kontaktach numer, o którym myślałam, że nie będę go nigdy więcej używać. Wgapiam się przez chwilę w ciąg cyfr, w głowie mając istny harmider.

„Cholera, a co, jeśli to też jego sprawka? Co, jeśli to właśnie on nasłał na mnie Nate'a? Przecież

to właśnie Omar kazał Blaze'owi pociąć mi twarz”.

Zatrzymuję się w pół kroku. Zaciskam szczękę.

„Chrzanić to. I tak nie mam nic do stracenia” — myślę sobie, gdy naciskam ikonę słuchawki.

Przykładam aparat do ucha.

Pierwszy sygnał...

— No proszę. — Słyszę po drugiej stronie ten głos.

— Szybka reakcja. Rozumiem, że wyczekiwałeś — rzucam z przekąsem.

— Dniami i nocami.

Przewracam oczami.

— Potrzebuję informacji — mówię wprost.

— Ach, a już myślałem, że się stęskniłaś!

— Widzę, że humor nie opuszcza cię nawet w chwilach zagrażających życiu — zauważam.

— Są rzeczy, których nie przeskoczmy, Claire — stwierdza. — To musi być naprawdę ważne, skoro zdecydowałaś się zadzwonić.

— Tak jakby. Sprawa jest delikatna, dlatego proszę, nie reaguj gwałtownie — ostrzegam. Nie wiem, czy robię słusznie. Nie wiem, czy nie jest z tym powiązany, ale w tej sytuacji telefon do Omara to pierwsza rzecz, która przyszła mi do głowy. — Pytają o mnie... o nas.

— To znaczy? — Jestem pewna, że w tym momencie zmarszczył brwi w ten typowy dla niego sposób.

— Nate. Mówi ci coś to imię? — pytam bez ogródek.

— Nie, kompletnie nie kojarzę nikogo takiego. Powinienem go znać?

Unoszę wzrok ku niebu. Nie ma na nim najmniejszej chmury.

— Nie, nie w tym rzecz. Myślę, że wokół ciebie coś się dzieje i nawet nie jesteś tego świadomy.

— Mów jaśniej.

— Chodzi o to, że właśnie się z nim spotkałam. Wie o naszym układzie. Nie mam pojęcia, skąd ma te informacje, ale jest w pełni wtajemniczony. Nie należy do tego świata i właśnie to jest w tym wszystkim podejrzane. Muszę wiedzieć, skąd ma nasze zdjęcia i wie tak wiele.

— No, okej, ale kim w ogóle jest ten Nate?

Po raz kolejny zatrzymuję się na chodniku.

„Powinnam?” — zastanawiam się.

— Znasz każdą część mojego życia, więc tę z pewnością też. Nate to mój były chłopak.

Nie odpowiada.

— Jakimś cudem zna naszą historię. Wie też o twoim obywatelstwie.

— I skąd pomysł, że to po mojej stronie coś się dzieje? Równie dobrze ktoś od ciebie mógł mu o tym powiedzieć.

— Z mojej strony wiedzą o tym tylko tata, Aiden, Natalie i pani Smith, czyli osoby, którym ufam najbardziej. — Trochę mijam się z prawdą, ale w tym momencie jest to nieistotne. — Znam Nate'a i znam swoich bliskich. Prędzej piekło by zamarzło, niż oni powiedzieliby mu cokolwiek.

Mówiąc te słowa na głos, nie jestem ich pewna. Przecież to Warren podał Muskowi numer do mnie. Ale czy byłby zdolny do tego, aby powiedzieć mu o wszystkim? Cholera, nie myślałam o tym w ten sposób, ale... nie. Nie, to niemożliwe. Nie zrobiłby tego.

Po drugiej stronie słyszę głośne westchnienie.

— No dobrze. W takim razie spróbuję się czegoś dowiedzieć. Powiedziałaś już o tym komuś? Terrence'owi? Twojemu kochasiowi?

— Nie. Tylko tobie.

— O! Przynajmniej w tym jestem jedyny — śmieje się, na co przewracam oczami. — Dobrze, więc niech tak zostanie. Nikt ma o tym nie wiedzieć.

— W porządku, będę milczeć. Dziękuję za pomoc — mówię szczerze.

— Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć, Claire.

„No, nie jestem tego taka pewna” — myślę, choć nie wypowiadam tego na głos.

Mam tylko nadzieję, że nie pożałuję, że to właśnie do niego zadzwoniłam w pierwszej kolejności.

— Jak się czujesz? Kiedy operacja? — Zmieniam temat, bo w moim odczuciu głupio byłoby się teraz tak po prostu rozłączyć.

— Ty naprawdę nie możesz doczekać się mojej śmierci — kpi sobie. — Mam już datę. W przyszłym tygodniu. Szykuj sukienkę na potrzeb.

— Zabawne.

— Czyż nie? — Po drugiej stronie słyszę jakieś głosy. — Muszę kończyć. Dam znać, gdy czegoś się dowiem.

— Okej, jeszcze raz dziękuję.

— Będziemy w kontakcie. Cześć.

Połączenie zostaje przerwane.

Wpatruję się tępo w ekran. W głowie mam pustkę. Nie wiem, co o tym myśleć.

Przechodzę przez ulicę do zaparkowanego po drugiej stronie samochodu. Gdy zajmuję miejsce kierowcy, opadam ciężko na fotel i wzdycham. Przecieram twarz ręką. Jeśli mam być szczerą — kompletnie nie pamiętam drogi do domu. Jestem jak za mgłą, bo to wszystko wydaje się tak bardzo nierealne.

— Dzień dobry — witam się z Theresą, gdy wchodzę na taras.

Kobieta pije właśnie herbatę i czyta gazetę.

— Cześć, dziecino.

Zajmuję miejsce naprzeciwko niej.

— Szukałam cię.

— Naprawdę? Przecież mówiłam Natalie, że idę na miasto. — Wypełniam szklankę wodą z cytryną.

— Hm, w takim razie pewnie zapomniała.

— Możliwe. Gdzie wszyscy? — Rozglądam się dookoła, bo dopiero teraz orientuję się, że w domu nikogo nie spotkałam, a tutaj jest równie cicho.

— Twój ojciec jest w pracy, Aiden też, a Natalie jest z Chase'em.

Zastygam z naczyniem w powietrzu.

— Co? — Uśmiecham się głupio, bo jakoś nie potrafię sobie tego wyobrazić.

Co Chase miałby robić z Natalie?

— No, przyszła po niego, bo chodził jakiś struty, i poszli do ogrodu. Stwierdziła, że znajdzie dla niego zajęcie.

— To ciekawe. — Upijam łyk wody i wstaję. — W takim razie pójdę zobaczyć, jak im idzie.

— Zdziwisz się, kochanie.

Dosuwam krzesło do stołu, po czym schodzę po kilkustopniowych schodach prosto do zielonego, wypielęgowanego ogrodu.

Zawsze lubiłam to miejsce. Wśród otaczających nas rozgrzanych ulic oraz piaszczystych plaż stanowi cichy i spokojny azyl. Taki, w którym można się ukryć przed całym światem. Dach również do tego służy — do ucieczki. Różnica między nimi jest taka, że na dachu mogę zniknąć i nikt poza Aidenem mi nie przeszkodzi.

— Musisz uważać na korzenie — mówi Natalie do Chase'a, który stoi oparty o łopatę.

Opieram się bokiem o mur, decydując się poobserwować ich trochę z boku.

— No dobra, a co z tym? — Shaw wskazuje palcem na jakiś krzak.

Nie wiem, jak się nazywa. Kompletnie nie znam się na tych rzeczach. Nawet wszystkie kwiaty doniczkowe, które mam w pokoju, są pod opieką Natalie. Ja zwykle zapomniałam o podlewaniu, a gdy sobie przypominałam, przelewałam je i wychodziła z tego niepotrzebna awantura. Dlatego właśnie kilka miesięcy temu zakomunikowałam, że nie tknę ich już nigdy więcej.

— Ten zostaw. — Kobieta macha tylko ręką, a jej wzrok pada na mnie. — O, cześć, Lizzy!

Chase też patrzy.

— Cześć. — Odpycham się od ściany i podchodzę do nich. — Czyżby jakieś bojowe zadanie?

— śmieję się, bo zwykle właśnie tak ona i ojciec mówią, gdy chcą mnie albo Aidenę do czegoś wykorzystać.

— Tak, nie mogłam patrzeć, jak szuka dla siebie miejsca — mówi jego ciotka entuzjastycznie.

— Przyjeżdżasz na wakacje, a i tak czujesz się jak w domu — mamrocze Shaw, choć na jego ustach maluje się delikatny uśmiech.

— Przynajmniej się nie nudzisz! — broni się Natalie.

Pierwszy raz widzę, aby była taka... Nawet nie wiem, jak to nazwać, ale mam na myśli coś pozytywnego.

— Widać, że ty i Josephine jesteście siostrami. Nawet gadasz jak ona.

— Krew Theresy — rzucam rozbawiona. — Ty jesteś dokładnie taki sam.

— O nie. Tylko nie to. Ja i babka to dwa różne światy.

— Jeśli takie myślenie sprawi, że będzie ci się lepiej spało...

Chase unosi brwi, jednak nie komentuje moich słów.

— Dużo pracy jeszcze zostało?

— Przesadzimy milin i będzie wolny — mówi Natalie.

— W takim razie pomogę.

Podciągam rękawy. Shaw mierzy mnie spojrzeniem od góry do dołu, a na jego ustach znów maluje się nikły uśmiech. Chłopak odrywa w końcu ode mnie wzrok i wraca do pracy. Obserwuję, jak nogą wciska łopatę w ziemię.

— Nie jest ci gorąco? — pytam.

Brunet ubrany jest na czarno. Po czole spływa mu pot, koszulkę też ma przemoczoną. Zdecydowanie nie dobrał garderoby na ten wyjazd.

— Powiedziała ta, która założyła dzisiaj bluzę — docina.

Fakt.

Idę do Natalie, która kilka metrów dalej wykopuje dziurę łopatką. Obok leży druga, więc postanawiam się dołączyć.

— Załatwiłaś wszystko? — zagaduje, cały czas skupiając się na pracy.

— Tak, tak. Zamknęłam już wszystkie sprawy, które musiałam — rzucam zwięźle.

— To dobrze. — Kobieta przeciera przedramieniem twarz. — Chase nieźle się zaangażował.

Ogarnęliśmy ogród w godzinę. Z twoim ojcem trwałoby to pół dnia.

— W międzyczasie odbiera dziesiątki telefonów?

— Tak, właśnie.

— Wszystko jasne.

Obie śmiejemy się cicho.

Cieszę się, że Natalie nie wypytuje o to, gdzie byłam. Nigdy tego nie robi, ale ten jeden raz był dla mnie szczególnie ważny. Nie wiem tylko, co mam powiedzieć Chase'owi. Prawdę? Obiecałam Omarowi, że nie wspomnę o tej sprawie. Z drugiej strony mogę pominąć niewygodne kwestie. Nie chcę okłamywać Shawa. Cholera.

Gdy dół jest już wykopany, wyjmujemy ostrożnie pnącze i umieszczamy w nim. Przyciskam korzenie ręką, przysypuję ziemią i mocno ugniatam.

— Ładny ten...

— Milin — kończy za mnie macocha, przyglądając się roślinie. — Zobaczysz, jak się rozrośnie. To dopiero będzie piękny widok. Ogród nabierze życia.

Uśmiecham się do siebie. Mimo że znawcą nie jestem, lubię całokształt, jaki tworzą kwiaty i krzewy, o które tak dba Natalie. Mają dla niej ogromne znaczenie, dlatego wszystko jest tu tak dokładnie przemyślane.

— Jesteście wolni — mówi, otrzepując ręce z ziemi.

Robię to samo. Chase natomiast zbiera narzędzia i zanosz je do garażu.

— Jakiś plan na wieczór? — pyta chłopak, gdy wraca.

— Tak. Ale nie powiem — uprzedzam, bo widzę, że chce pociągnąć mnie za język. — Ogarnij się. Za trzydzieści minut widzimy się na dole.

Nie czekając na odpowiedź i nie dając mu szansy na sprzeciw, odwracam się na pięcie. Idę do swojego pokoju i od razu zamykam się w łazience. Pysznic zajmuje mi niecałe dziesięć minut. Rezygnuję z mycia włosów, bo robiłam to wczoraj. Nakładam na twarz kosmetyki i wkładam ubranie. Z racji tego, że wybieramy się w miejsce, w którym będzie dość chłodno, stawiam na obcisłe spodnie i bluzę. Gdy jestem już ogarnięta, wracam do sypialni. Związuję włosy w kok. W drodze do biurka mój wzrok zatrzymuje się na łóżku, na którym leży plik kartek. Wydaje mi się, że to ten sam, który miała wczoraj w ręku Natalie, ale nie przypominam sobie, abym widziała go, gdy wróciłam z Chase'em z miasta czy rano, kiedy wstałam.

Nie myśląc wiele, biorę go do ręki. Zżera mnie ciekawość. Nie będę ukrywała, że jest inaczej.

Śledzę wzrokiem pierwszą stronę.

Zamieram.

To niemożliwe.

— Droga Mleczna, którą teraz państwo widzą, to ogromna spiralna Galaktyka, której jesteśmy częścią. To taki nasz międzygwiazdny dom. Jej nazwa wzięła się od charakterystycznej smugi światła. Proszę się przyjrzeć. Rozciąga się nad waszymi głowami.

Zadzieram głowę, a uśmiech pełen ekscytacji wkrada się na moje usta.

— Słońce i jego planety leżą pomiędzy Ramieniem Perseusza i Strzelca, na Ramieniu Oriona, nieco dalej niż w połowie drogi od jej centrum. Niegdyś Drogę Mleczną nazywano Niebieską Rzeką. Galileusz jako pierwszy wskazał, że smuga ta jest w rzeczywistości koncentracją gwiazd widoczną na krawędzi dysku naszej Galaktyki oglądaną od wewnątrz. Ponadto do lat dwudziestych ubiegłego wieku astronomowie uważali, że wszystkie gwiazdy we Wszechświecie są w Drodze Mlecznej. Edwin Hubble, odkrywca gwiazdy zmienną, pulsującą cefeidę, był w stanie dokładnie zmierzyć odległości. Rozmyte plamy okazały się galaktykami. Po dziś dzień Galaktyka nie została do końca poznana, jest nieustannie badana i odkrywana — mówi siedzący naprzeciwko nas pracownik planetarium.

Zerkam na Chase'a, całkowicie skupionego na imitacji nieba nad naszymi głowami. Na jego ustach maluje się szeroki uśmiech. Wygląda niczym mały chłopiec, który cieszy się z upragnionej zabawki. Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie. Jeszcze nigdy nie widziałam, aby był tak beztrojski jak teraz.

— Jeżeli wyteżymy wzrok, to zauważymy, że niektóre gwiazdozbiory zawierają bardzo jasne gwiazdy, a inne są ledwie widoczne. Już na początku naszej ery wprowadzono system oznaczeń gwiazd pod względem ich jasności. Najjaśniejsze gwiazdy to gwiazdy pierwszej wielkości, nieco słabiej świecące to gwiazdy drugiej wielkości. Najślabiej świecące gwiazdy widoczne gołym okiem to gwiazdy szóstej wielkości. Oczywiście przez teleskopy lub dzięki fotografiom możemy obserwować gwiazdy nawet dwudziestej wielkości. Spójrzcie, drodzy państwo.

Nagle gwiazdy nad naszymi głowami zaczynają się poruszać, dając wrażenie, jakbyśmy to my się okręcali. Zaskoczona chwytam dłoń Shawa i ściskam ją mocno. Chłopak splata nasze palce. Patrząc na niego kątem oka. On również to robi. Na twarzy cały czas ma ten sam szeroki uśmiech. Odwzajemniam go.

— To, co obecnie państwo widzą, to gwiazdy leżące w odległości bilionów mil od nas. Najdalej położona od nas gwiazda widoczna gołym okiem znajduje się około dwadzieścia bilionów mil stąd. Nazywa się Daneba i należy do gwiazdozbioru Łabędzia. Można ją obserwować na niebie jesienią i zimą.

Następną godzinę spędzamy na słuchaniu o astronomii. Przydzielony nam mężczyzna jest bezspornie zakochany w swojej pracy. Opowiada o wszystkim z niebywałą pasją i zaangażowaniem. Ton jego głosu sprawia, że chce się wiedzieć więcej i więcej. Zachęca, intryguje i chociaż na chwilę pozwala zapomnieć o otaczającym nas świecie.

— Przemyślę jeszcze zostanie astronautą — mówi Chase, gdy opuszczamy salę pokazową.

Uśmiech nie znika z jego twarzy.

— Wszystko przed tobą. Zawsze możesz spróbować.

Idziemy za tłumem w kierunku wyjścia z budynku. Shaw oplata moje ramiona ręką, przyciągając

bliżej siebie. Jego entuzjazm spowodowany naszą wizytą w planetarium jest tak wyczuwalny, że nawet mi zaczyna się udzielać. Cieszę się, że trafiłam z pomysłem.

— Dziękuję.

Zadzieram głowę, aby zerknąć na bruneta.

Zatrzymujemy się na zewnątrz, nieopodal wejścia. Wyrywam się z jego uścisku, wydaję papierosy i częstuję go jednym.

— Jeszcze nigdy nie widziałam cię tak zaangażowanego. Naprawdę to lubisz.

W odpowiedzi wzrusza tylko ramionami.

Na jego twarzy widzę zmieszanie. Wydaje się zawstydzony, ale nie rozumiem, co jest tego powodem.

— Nie myślałeś o tym, aby iść w tym kierunku? — pytam i zaciągam się fajką.

— Myślałem, ale to raczej niemożliwe.

— Dlaczego?

— Po prostu. — Jasno daje do zrozumienia, że nie chce drażnić tematu.

W mojej głowie pojawia się myśl o kontrakcie. Czyżby podjął decyzję?

— Rozumiem, że nie byłeś wcześniej w takim miejscu?

— Nie. Ale ty chyba też — odpowiada, nawiązując najpewniej do moich reakcji na niespodziewane zmiany w wizualizacji.

Telefon w tylnej kieszeni spodni zaczyna wibrować, więc go wyciągam.

— Śmiejesz się, a sam pewnie nieraz się przestraszyłeś. Czuję, jak mocniej ściskasz mi rękę w niektórych momentach — docinam, zerkając na wyświetlacz.

— Ja po prostu sprawdzałem, czy jeszcze żyjesz.

— Z pewnością.

Od: Nate

Popełniłeś ogromny błąd, Lizzy.

Patrząc tępo w otrzymaną przed chwilą wiadomość. Zaciskam mocniej dłoń na telefonie. Unoszę wzrok na Chase'a.

— Wszystko w porządku? — pyta, marszcząc brwi.

Gapię się na niego, nie potrafiąc powiedzieć słowa. W jednej sekundzie odebrało mi mowę, a nogi zrobiły się ciężkie, jakby skamieniały.

— Lizzy?

Niepokój słyszalny w głosie chłopaka i ręka, która łąduje na moim ramieniu, sprawiają, że wyrywam się z tego dziwnego stanu.

Potrząsam głową.

— Tak, przepraszam. Zamyśliłam się — mówię szybko. — Wracamy? Czy wstępujemy gdzieś coś zjeść?

Brunet mierzy mnie podejrzliwym spojrzeniem. Widzę, że chce o coś zapytać, ale ostatecznie wycofuje się z tego zamiaru.

— Może coś zamówimy i obejrzymy film?

— Dobry pomysł. — Kiwam głową, zerkam ostatni raz na wyświetlacz, po czym blokuję go i wciskam telefon do tylnej kieszeni. — Chodźmy.

W ciszy idziemy do zaparkowanego niedaleko samochodu. Po raz kolejny tego dnia w głowie mam bałagan i nie potrafię złożyć myśli. To frustrujące.

Zajmuję miejsce kierowcy. Bez słowa zapinam pas, po czym odpalam silnik. Czuję na sobie wzrok Shawa, ale w tej chwili nie jestem w stanie się tym przejmować. Przed oczami mam tylko to jedno zdanie.

Nie myśląc o tym, co robię, wycofuję samochód. Jadę wolno, ponieważ po parkingu chodzą ludzie. Gdy udaje mi się z niego wydostać, włączam się do ruchu. Nie pamiętam dokładnie drogi powrotnej, ale kojarzę okolicę, więc myślę, że dam radę.

Wokół nie ma budynków. Tylko piasek i otaczające nas ciemność. Zaciskam mocniej dłoń na kierownicy, wyteżając wzrok. Mimo późnej godziny samochodów na drodze jest dość sporo. Prędkość,

z jaką jadę, nie przekracza normy. Zmieniam bieg na piąty i ponownie zamykam się we własnym świecie.

W mojej głowie pojawia się wspomnienie spotkania z Nate'em. Skąd wie o moim powiązaniu z Omarem? Jak doszedł do informacji na temat zmiany danych? Kto dał mu nasze zdjęcia? Pracuje dla kogoś?

Przypominam sobie konfrontację z Blaze'em. Mam wrażenie, jakby minęło od niej kilka miesięcy, a to zaledwie dni. Omar nie miał nic wspólnego z gwałtem Caroline. Dlaczego mnie okłamał? Dlaczego pozwolił mi wierzyć, że jest tak złym człowiekiem? Chciał, abym źle o nim myślała? Możliwe, ale dlaczego? Czy Nate jest powiązany z Rumelim albo ludźmi z jego otoczenia?

Z jakiegoś powodu Frank jest mocno skupiony na uprzykrzaniu Chase'owi życia. Z jakiegoś powodu Aiden jest w tym wszystkim nietykalny, i to w pewnym sensie mnie dobija. Nie znoszę nie wiedzieć. Prawda jest taka, że tylko Omar mógłby odpowiedzieć mi na pytanie o to. Tylko on i Frank wiedzą, dlaczego to Chase jest ich celem. Czy Warren powiedział coś Muskowi? Co, jeśli to właśnie on przekazał mu informacje i zdjęcia? Co, jeśli nigdy nie był przyjacielem?

Moje knykcie bledną od siły, z jaką naciskam na kierownicę.

— Lizzy, wszystko w porządku?

— Tak — odpowiadam niemal od razu.

Chase otrzymał propozycję, która może zmienić jego życie. Dlaczego nie pisał o tym słowem? Dlaczego przebywając obok i słuchając go, nie czuję nic poza dreszczami? Dlaczego na kolejce górskiej czy diabelskim młynie nie poczułam strachu ani adrenaliny? Dlaczego słowa Nate'a nie wywarły na mnie wrażenia? Dlaczego nie czułam nic i teraz też nie czuję, i jest to tak cholernie dobre i przerażające jednocześnie? Dlaczego jestem tak kurewsko spokojna? Dlaczego?

Włączam kierunkowskaz i zmieniam pas, aby wyminąć samochody. Z naprzeciwka widzę światła jadącego na wprost nas auta.

Wciskam mocniej pedał gazu.

— Okej, wyminęłaś ich. Wracaj na swój pas — mówi Chase, jednak jego głos jest dziwnie zagłuszony.

Zwiększam prędkość.

Reflektory coraz intensywniej świecą mi w oczy. Zaciskam usta, czując, jak ciało zaczyna drżeć od skupienia, z jakim jadę w pędzące na mnie auto.

— No dalej — mamrocze pod nosem, z każdą sekundą jadąc coraz szybciej.

— Parker, do chuja! — krzyczy Shaw, a kiedy już mam zjechać na swój pas, chwytą za kierownicę i skręca ostro w lewo. Słyszę klaksony i pisk opon. Z moich ust wydobywa się wrzask. Mercedes zjeżdża z szosy w piaszczystą drogę, a ja przenoszę stopę na hamulec i ostro go zatrzymuję. Moje ciało leci do przodu, jednak pas utrzymuje je w fotelu.

Cisza.

Ze wzrokiem wlepionym w przednią szybę oddycham płytko. Odnoszę wrażenie, jakby moje serce przestało bić, a dłonie czuć. Przed oczami mam tylko ciemną drogę, oświetloną lampami samochodu ojca. Dopiero chwyt dłoni po obu stronach szczęki i mocne szarpnięcie przywracają mnie do życia. Teraz widzę jego przerażone spojrzenie.

— Czyś ty do reszty zgłupiała? Chciałaś się zabić, dziewczyno?!

Patrzę tępo w oczy bruneta, z delikatnie uchylonymi ustami. Nawet nie wiem, czy oddycham. Wszystko jest jak za mgłą.

Dlaczego nic nie czuję?

— Parker, odezwij się! — krzyczy prosto w moją twarz Chase, a ja się wzdrygam.

Odnajduję palcami czerwony przycisk i wyswabdam się z pasów. Nie odrywając wzroku od zielonego spojrzenia, gaszę silnik, nie myśląc jednak o wyłączeniu światła. Wyrывam twarz spomiędzy dłoni bruneta, po czym pospiesznie opuszczam samochód i zatraskuję za sobą drzwi.

Łzy napływają mi do oczu. Ręce drżą, dokładnie tak jak warga. Teraz mój oddech jest urywany, tak jakby na zewnątrz brakowało świeżego powietrza. Nogi same prowadzą mnie wzdłuż piaszczystej drogi do momentu, aż płaczą się ze sobą, a ja z impetem upadam na kolana. W ostatniej chwili asekurowuję się dłońmi przed całkowitym upadkiem. Niechciane krople spływają po policzkach, a ciało wydaje się

kurczyć z każdą chwilą coraz bardziej i bardziej. Moje pośladki opadają na pięty, a ręce zatapiają się we włosach, za które ciągnę.

Krzyk. Z moich ust ulatuje zduszony, pełen bezsilności, niemy krzyk. Moja skóra parzy. Pieką mnie ręce, stopy i piersi. To boli. Tak bardzo boli.

— Lizzy! — Słyszę za plecami przerażony głos Chase'a.

Niespodziewanie chłopak z impetem upada przede mną na kolana. Czuję jego dłonie na swoich policzkach, gdy unosi moją twarz tak, abym na niego spojrziała. Nie potrafię. Zamykam mocno oczy, niczym małe dziecko, które myśli, że gdy to zrobi, potwory spod łóżka znikną.

Płaczę, ale nie wiem dlaczego. Trzęsę się, choć w moim wnętrzu panuje spokój. To tak, jakby ciało zostało oderwane od duszy. To tak, jakby tylko zewnętrzna część mnie reagowała na bodźce, podczas gdy wewnętrzna pozostaje niezmiennie niewzruszona. Jakby to, że lada moment mogliśmy zginąć, nie miało większego znaczenia.

Czy nie miało?

— Lizzy, hej, spójrz na mnie. — Drżący, ale o wiele spokojniejszy ton Chase'a ponownie tego dnia dociera do moich uszu.

Czując, jak mój oddech uspokaja się, rozchyłam nieznacznie powieki.

Shaw lustruje moją twarz, jakby próbował zrozumieć to, co się dzieje. Problem w tym, że i ja nie wiem. I ja nie rozumiem tego wszystkiego.

Myślałam, że jadąc na czołowe zderzenie, poczuję przyływ adrenaliny. Myślałam, że moje serce zabije mocniej, a we wnętrzu rozpali się płomień, ale nic takiego się nie wydarzyło.

Dopiero po czasie dotarło do mnie, co zrobiłam. Dopiero po czasie, kiedy zaczęłam myśleć trzeźwo, uświadomiłam sobie, że przeżyłeś już coś takiego, a ja naraziłam Cię na takie samo niebezpieczeństwo.

Nagle chłopak oplata moje ciało ramionami mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. Wyczuwam, jak jego klatka unosi się i opada w niemiarym rytmie.

Chcę czuć cokolwiek. Dlaczego nie czuję nic?

— Będzie dobrze. Wszystko będzie w porządku, obiecuję — powtarza niczym mantrę.

Jest mi źle. Tak bardzo źle, ale to nieważne.

Rozdział 14

CHASE

Otwieram szeroko oczy, kiedy słyszę jakiś trzask. Widzę tylko sufit, dlatego podnoszę się i patrzę na drzwi. Są trochę otwarte, a w kuchni światło jest zapalone. Ściskam mojego misia. Jest fajny, brązowy. Ma oczy z guzików i czerwoną kokardkę. Sam ją zawiązałem, bo ciocia Jojo mnie nauczyła.

Odsuwam kołdrę i schodzę z łóżka. Teraz podłoga nie jest już lodowiskiem, bo nie mam na sobie skarpetek.

Z misiem pod pachą wchodzę do kuchni, ale nikogo tu nie ma. Przecieram oczy i ziewam. Na zegarku ta mała wskazówka jest do góry i ta duża też. Nie umiem jeszcze czytać godzin. Ciocia Jojo próbowała mnie nauczyć, ale to jest straszna nuda.

Podskakuję w miejscu, kiedy znowu słyszę jakiś huk. Idę w stronę korytarza. Zimno mi w nogi. Mogłem założyć chociaż te kapcie, które babcia Theresa dała mi na święta. Są brzydkie i wyglądają jak takie dla starego dziadka, ale noszę je, żeby nie było jej przykro.

— Zamknij się, głupia suko.

Ściskam mocniej misia, kiedy poznaję głos Thomasa. Gdy szedłem spać, nie było go. Ciocia powiedziała, że już nigdy go nie będzie. Dlaczego tu jest?

Zatrzymuję się w przejściu. Jest trochę ciemno, bo tylko telewizor świeci. Widzę plecy Thomasa. Dziwnie się rusza. Widzę też jakieś nogi. Są chyba cioci Jojo. Ona coś mówi, ale dziwnie to brzmi.

Wzdrygam się, bo nagle Thomas podnosi rękę i chyba uderza ciocię Jojo. Nie wiem, nie widzę, bo jest ciemno.

— Jesteś tak samo głupia jak ten mały gówniarz.

Postępuje i cały czas dziwnie się rusza. Ściskam mocniej misia. Chcę coś powiedzieć, ale nie mogę. Czuję, jak serce mocno mi bije. To takie dziwne.

Co oni robią?

Thomas nachyla się w kierunku stołu. Coś mówi, ale nie słyszę, bo robi to bardzo cicho, no i jest włączony telewizor.

— Jojo?

Nagle widzę twarz cioci. Wychyla się zza pleców Thomasa. Chyba płacze. Tak mi się wydaje.

— Chase? Chase, k-kochanie... Chase, idź do swojego pokoju, dobrze? Proszę, idź, proszę — mówi dziwnym głosem. Nigdy takiego u niej nie słyszałem.

— Chase... — Jojo próbuje coś powiedzieć, ale Thomas mocno ją uderza.

Przełykam mocno ślinę, bo Thomas patrzy na mnie przez ramię. Teraz już się nie rusza, a ciocia nie krzyczy. Patrzę, jak Thomas daje krok w tył. Podskakuje, odwraca się i zapina rozporek. Uśmiecha się krzywo, kiedy do mnie podchodzi.

Ściskam mocniej misia. Do oczu napływają mi łzy.

— Ostrzegałem cię, gówniarzu. Jesteś kurewsko głupi i nieposłuszny. Nieposłuszni gówniarze kończą w piekle. Pamiętaj o tym.

Przez chwilę patrzymy na siebie. Thomas klepie mnie mocno po policzku i wychodzi. Słyszę, jak drzwi się zamykają. Wzdrygam się. Patrzę na ciocię, która leży na stole. Nie widzę jej twarzy, bo jest ciemno, no i leży. Nie rusza się i nie mówi. Trochę się chwieję, kiedy w końcu wchodzę do pokoju.

— Ciociu?

Jojo ma zamknięte oczy. Nie uśmiecha się. Jest smutna i trochę brudna, i leci jej krew z nosa i z głowy.

— Ciociu — mówię cicho i lekko nią potrząsam.

Nie odpowiada. Nie patrzy na mnie i nic nie mówi.

Kładę misia obok niej. Rozglądam się po pokoju. Biorę koc i przykrywam Jojo, bo się trzęsie, no

i ma na sobie tylko koszulkę. Chyba jest chora.

Idę do kuchni. Otwieram szufladę i wyjmuję z niej plastry. Takie fajne, kolorowe. Ciocia mówiła, że mogę ich użyć, kiedy będzie leciała mi krew, ale jej też mogę pożyczyć. Wracam do Jojo. Cały czas leży i się nie rusza. Chce mi się płakać. Nie lubię, gdy ciocia Jojo jest smutna.

Przyklejam plastry na miejsca, z których leci krew. Ciocia ciągle nic nie mówi. Chyba zasnęła. Potrząsam nią, ale znowu nie odpowiada. Idę na korytarz i zadzieram głowę. Przy drzwiach wisi telefon. Jestem trochę za mały, dlatego przynoszę z kuchni krzesło, żeby się na nie wspiąć. Gdy jestem chory, chodzę do lekarza. Ciocia jest chora, więc też musi iść do lekarza.

Obok telefonu jest taka kolorowa kartka. Jojo powiedziała, że to są numery alarmowe, czyli takie, żebym mógł wezwać pomoc. Wciskam cyfry, które są na kartce. Jest naprawdę ładna, taka zielona.

Słyszę, że telefon zaczyna brzęczeć.

— Sto dwanaście. Proszę określić charakter potrzebnej pomocy — mówi jakaś pani.

— Moja ciocia jest chora i leci jej krew z głowy, i nic nie mówi. Zasnęła. Czy możecie zamówić lekarza?

— Dobrze, ile masz lat?

— Sześć. Czy może ktoś przyjechać i wyleczyć moją ciocię?

— Możesz powiedzieć, co się stało?

— Obudziłem się, bo usłyszałem dziwne dźwięki, i poszedłem do pokoju. I tam był chłopak cioci Jojo, i ciocia płakała, a on ją mocno uderzył. I teraz ciocia nic nie mówi i leci jej krew, i chyba jej zimno. Przykryłem ją kocem i opatrzyłem. Czy zamówisz lekarza? Jest chyba bardzo chora.

— W porządku. Podaś mi adres, pod który mamy wysłać lekarza?

Recytuję nazwę ulicy, numer domu i mieszkania. Znam je już na pamięć. Ciocia Jojo mnie nauczyła.

— Dziękuję. Pomoc jest już w drodze. A teraz słuchaj mnie uważnie. Weź głęboki oddech.

Biorę głęboki oddech, tak jak każe pani w słuchawce.

— Dobrze, czy w domu jest ktoś jeszcze poza tobą i ciocią?

— Nie, Thomas już poszedł.

— Thomas to chłopak cioci?

— Tak. Czy lekarz przyjedzie szybko? Ciocia bardzo płakała.

— Pomoc już jedzie. Zostań ze mną na linii, dobrze? Nie rozłączaj się.

— Dobrze.

— Jak się nazywasz?

— Chase. Chase Clarke. A ty?

— Marissa. Opowiedz mi jeszcze raz, co się stało. Dobrze, Chase?

— Dobrze. Obudziłem się, bo słyszałem jakieś dziwne dźwięki. Poszedłem do pokoju i tam widziałem Thomasa. On dziwnie się ruszał i mówił dziwne rzeczy. I widziałem też nogi cioci. Ciocia Jojo trochę krzyczała, żebym poszedł do pokoju. Później Thomas uderzył ciocię i ciocia już nie krzyczała. Zasnęła. A potem podszedł do mnie i poszedł sobie. Przykryłem ciocię, bo się trzęsała, i dałem jej misia, żeby jej pilnował. Przykleiłem jej takie fajne kolorowe plastry, bo leciała jej krew z głowy i z nosa. Nie mówiła nic, dlatego zadzwoniłem na numer alarmowy.

— Jakiego misia? Opowiesz mi o nim?

— Jest brązowy. Ma oczy z guzików i fajnie się uśmiecha. Zawiązałem mu kokardkę pod brodą, bo ciocia nauczyła mnie wiązać.

— Jaki kolor ma kokarda?

— Czerwony.

— Bardzo ładny.

Nagle słyszę, jak ktoś puka do drzwi.

— Kochanie, pod drzwiami jest już pomoc. Możesz otworzyć?

— Tak.

Zeskakuję z krzesła i puszczam słuchawkę, która zaczyna bujać się na kablu. Podchodzę do drzwi. Naciskam na klamkę i je otwieram. Na korytarzu stoi dwóch wysokich panów. Mają kolorowe

ubrania.

— Dzień dobry — mówię.

Jeden z nich nachyla się do mnie.

— Dzień dobry. Jestem lekarzem. Słyszałem, że twoja ciocia jest chora.

Kiwam głową i biegnę do pokoju, gdzie cały czas leży Jojo. Pokazuję na nią palcem. W pokoju robi się jasno, bo jeden z lekarzy włączył światło. Wracam na korytarz i przykładam słuchawkę do ucha.

— Dziękuję. Przyjechał już lekarz i pomaga cioci.

— Dobrze. Teraz ci panowie zajmą się twoją ciocią i tobą. Bardzo dobrze się spisałeś, Chase.

— Dziękuję, ty też. Idę do cioci, cześć.

Wspinam się na krzesło i odkładam słuchawkę. Kiedy wracam do pokoju, jeden z lekarzy przykładą do klatki cioci słuchawki. Też takie mam, ale zabawkowe, bo ciocia mówi, że jestem za mały na prawdziwe.

— Czy ciocia jest bardzo chora?

Jeden lekarz podchodzi do mnie i uśmiecha się.

— Nie. Wszystko będzie w porządku, ale musimy zabrać ją do szpitala.

Mrugam szybko.

— D-dlaczego?

Nie chcę zostać tu sam. Boję się ciemności.

— Musimy się upewnić, że nic jej nie jest. Zrobimy kilka badań — wyjaśnia. — Mieszkaś tutaj sam z ciocią?

Kiwam głową.

— Czy opowiesz mi, co się stało?

Po raz kolejny mówię to, co powiedziałem Marissie. Lekarz marszczy brwi i czasami patrzy na drugiego lekarza.

— Jesteś bardzo dzielnym chłopcem — mówi i uśmiecha się do mnie.

Nagle do pokoju wchodzi jeszcze jeden lekarz. Ma nosze. Widziałem je kiedyś w bajce, kładli na nie rannego królika.

— Zabierzemy cię i ciocię do szpitala, dobrze? Zaopiekujemy się wami. Jak masz na imię?

— Chase, a ty? Czy mogę zabrać ze sobą mojego misia?

— Oczywiście, że możesz. Jestem Jonathan.

Opieram głowę o ścianę i oddycham ciężko. Błądzą wzrokiem po śnieżnobiałym suficie, chociaż w sumie to wyłapuję czarną plamę, jakby ktoś tam zabił komara czy coś.

„Mogliby to, kurwa, przemalować” — myślę sobie.

— Możesz, do chuja, przestać? Bo zaraz tobie załatwię kaftan — mówię ostro do tego idioty, który łązi w tę i we w tę w tych swoich gejowskich butach na obcasie. Chyba nazywają się sztyblety. Napierdalał o nich ciągle, więc chcąc nie chcąc zapamiętałem ich nazwę.

Aiden zatrzymuje się w miejscu i patrzy na mnie spode łba.

— Widzę, że żarty się ciębie trzymają. — Przewraca oczami, bo zdecydowanie nie jest mu do śmiechu.

Dobra, ten tekst był chujowy, ale już nawet nie kontroluję tego, co gadam. Ręce mi się trzęsą, a serce napierdala jak pojebane. Pierwszy raz od dawna coś, a raczej ktoś inny poza Parker wywołuje u mnie tak skrajne emocje. Za którąś z tych ścian jest moja biologiczna matka, która dostała na głowę, i nie do końca wiem, czego powinienem się spodziewać. Na dodatek nie ma tu Lizzy i to mnie wkurwia, bo z nią byłoby o wiele prościej.

— Daj mu spokój, Aiden — odzywa się siedząca obok Natalie. Dotąd przez cały czas milczała. — Wszystko w porządku, Chase? — pyta i uśmiecha się blado.

Ostatnio miałem okazję przyjrzeć się jej trochę lepiej. Wydaje się w porządku. Nie mówi wiele. Jest raczej drobnej postury. Ma tak chude ręce, że sprawiają wrażenie, jakby lada moment miały się złamać. Poza tym jest cholernie miła. Chwilami nawet mnie to irytuje, bo ile można. Najlepsze jest to,

że już dawno ją rozgryzłem. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że to, co pokazuje nam wszystkim, jest maską. Widać to gołym okiem. Ukrywa swoje cierpienia, żeby nie męczyć nimi innych. Natalie to zupełne przeciwieństwo wygadanej i pyskatej Josephine.

Rozmyślanie nad tym sprawia, że zastanawiam się, jaka była Lorraine.

— Co? Tak. Spoko — odpowiadam po chwili, bo dzisiaj wszystko dociera do mnie jakoś tak z opóźnieniem.

Tej nocy nie spałem za dużo. Cały czas myślałem o momencie, w którym znajdę się w pieprzonym zakładzie psychiatrycznym. Zastanawiałem się, co pocuję, jak przebiegnie ta wizyta. Próbowałem wyobrazić sobie najróżniejsze scenariusze, ale żaden nie wydawał się realny. Teraz, gdy siedzę już na miejscu, śmiało mogę powiedzieć, że jestem kurewsko przerażony. I żeby było śmiesznie — właśnie to mnie przeraża, bo dawno nie czułem strachu tego rodzaju.

— Musisz wiedzieć, że Lorraine może cię nie poznać. Tak naprawdę może nie poznać żadnego z nas — wyjaśnia Natalie, kiedy cały czas na nią patrzę. — Każde spotkanie przebiega inaczej. W jednej chwili może być dobrze, aby za chwilę w pomieszczeniu nastąpiło istne piekło.

— Kiedyś próbowała odgryźć sobie palec, a ciocię uderzyła w twarz — wtrąca Aiden, a ja czuję, jak w gardle robi mi się sucho.

— Po prostu wolimy, abys był świadom, co się może stać. Nie mówiliśmy o tym wcześniej, żeby cię nie denerwować — rzuca tym swoim cichym, uspokajającym głosem i uśmiecha się smutno.

Nie wiem, co o tym myśleć. Kurwa, chcę wejść do środka i mieć to za sobą. Tak naprawdę nie po to przyjechałem do Stanów, ale muszę odbębnić swoje, żeby uniknąć niewygodnych pytań Lizzy, Natalie i Theresy. Nie spodziewałem się, że to spotkanie jakkolwiek na mnie wpłynie, a jednak, kurwa, ledwie nad sobą panuję.

Nagle drzwi po prawej otwierają się. Bez namysłu wstaję. Z pomieszczenia wychodzi kobieta ubrana w biały kitel. Jej włosy są upięte w kok, a twarz w ogóle nie wyraża tego, że pracuje z psycholami. Ja nie wiem, jak, do chuja, można być tak wyluzowanym w takiej robocie.

— Lorraine jest gotowa — mówi Sara.

Przynajmniej takie imię ma napisane na plakietce. Nie wiem, kurwa, to nawet nie jest ważne, ale muszę skupić się na czymkolwiek, żebym sam zaraz nie skończył w kaftanie.

Czuję na sobie wzrok Aideny i Natalie. Ja nie patrzę na nich, bo teraz już nie dałbym rady udawać, że kompletnie mnie to wszystko nie rusza. Mam nadzieję, że nie widzą mojego zdenerwowania i niepewności. Zawsze raczej udawało mi się maskować emocje i uczucia, więc liczę, że tym razem nie jest inaczej.

Przykładam pięść do ust i chrząkam cicho.

— Chodźmy — mamroczę.

Sara odwraca się na pięcie i wraca do pomieszczenia, z którego wyszła. To właśnie tam jest Lor... moja matka. To właśnie tam siedzi kobieta, która mnie urodziła, a później przez Dominica zamknęła się w świecie szaleństwa.

Wczoraj, podczas kolacji, Natalie wyjaśniła mi, że Lorraine cierpi na tak zwaną psychozę. Widzi rzeczy, których nie ma, mówi coś zupełnie od czapy i generalnie zachowuje się niczym obłąkana. Czasem zdarza jej się przeskakiwać z jednej emocji w drugą, jakby wchodził w nią zupełnie inny człowiek. Ósrodek, do którego trafiła, jest jednym z lepszych w Ameryce. Nad jej zdrowiem czuwa mnóstwo lekarzy. Terrence o to zadbał. Problem polega na tym, że mimo wielu lat leczenia stan Lorraine ani trochę się nie poprawia. Podobno miewa chwile, kiedy wszystko ogarnia, ale bardzo szybko znowu „znika”. To jak wewnętrzna walka z samą sobą. Aiden mówił, że był świadkiem takiej sytuacji i że to wyglądało, jakby siedział w niej jakiś jebany demon.

Powolnym krokiem wchodzę za lekarzem do środka. Moje dłonie drżą jeszcze bardziej, dlatego wciskam je do kieszeni, żeby nikt tego nie zauważył. Najchętniej spierdoliłbym najdalej, jak tylko się da, ale to już niemożliwe.

Ściany pokryte są białą farbą. Widzę stojących w kątach pokoju pielęgniarki. Ręce chowają za plecami. Patrzą przed siebie. Wyglądają jak jacyś ochroniarze czy coś, ale wiem, że po prostu pilnują naszego bezpieczeństwa na wypadek ataku. Podobno w takich momentach Lorraine ma siłę, z którą

ledwie radzą sobie nawet mężczyźni.

Za plecami słyszę dźwięk zamykanych drzwi, dlatego spoglądam w tamtym kierunku. Prawda jest taka, że robię wszystko, byle tylko nie patrzeć przed siebie. Siedząca przy stole kobieta mignęła mi przed oczami, ale nie miałem odwagi zawiesić na niej dłużej wzroku. Obserwuję Aidenę i Natalie, którzy z neutralnym wyrazem twarzy weszli właśnie do sali.

Blondynka posyła mi uśmiech, ale go nie odwzajemniam. Kurwa, stop, bo zaczynam robić się pizdowaty jak Aiden. To tylko kobieta z zaburzeniami psychicznymi. Takie rzeczy się dzieją i są zupełnie normalne. Znaczący nie są, ale wiadomo, o co chodzi — po prostu się zdarzają.

Obracam głowę tak, że przed oczami mam okno. Patrzę przez nie dłuższą chwilę i tym razem decyduję się spuścić wzrok. Zamieram.

Siedzi tam. Ubrana w biały strój, z ciemnymi włosami, ze spuszczonej na stół wrokiem, nie rusza się. Nawet nie wiem, czy oddycha. To tak, jakby ktoś posadził na krześle lalkę. Odnoszę takie wrażenie do chwili, aż wzdryga się dziwnie, jakby ktoś dotknął ją bez jej zgody, choć nic takiego nie miało miejsca.

„Chciałbym, żeby Lizzy tu była” — myślę sobie. Szczerze żałuję, że kazałem jej zostać w domu, ale wiem, że tak jest lepiej. Nie powinna na to patrzeć, szczególnie gdy sama nie trzyma się najlepiej.

— Lorraine — odzywa się ta cała Sara. Kobieta staje jakiś metr od mojej matki i nachyla się w jej kierunku, nadal pozostając w stosownej odległości. — Masz gości — mówi cicho i ostrożnie, jakby jedno niewłaściwe słowo mogło spieprzyć wszystko. Cóż, pewnie tak właśnie jest.

Lorraine nie odpowiada. Nie reaguje też w żaden sposób na ten krótki komunikat, więc w pierwszej chwili myślę, że nic się nie zmieni, a ona pozostanie w takiej pozycji już do końca naszej wizyty.

Moje serce praktycznie staje w miejscu, kiedy po kilkunastu sekundach niespodziewanie podnosi wzrok i zatrzymuje go na mnie, jakby już od początku wiedziała, gdzie ma patrzeć. Ręce drżą mi zajebiście mocno. Na szczęście cały czas trzymam je w kieszeniach, inaczej na pewno każdy by zauważył, co się ze mną dzieje.

W pomieszczeniu panuje cisza, przerywana ciężkim oddechem Aidenę, którego ramię dotyka mego. Nie wiem, co robi w tym momencie. Nie wiem, gdzie patrzy ani jak może się czuć, bo całą uwagę skupiam na jej oczach. Nawet z tej odległości rażą swoją zielenią. Ich kolor jest jeszcze bardziej intensywny niż na zdjęciach, które studiowałem tak wiele razy jako dzieciak. Uwielbiałem to robić i wyobrażać sobie, że mnie przytula. Uwielbiałem wyobrażać sobie jej głos, mówiącej, że mnie kocha. To pojebane. Byłem dziwnym gówniarzem.

Z każdą sekundą oczy Lorraine wydają się coraz większe. Jej podbródek unosi się powoli, a usta rozchylają, kiedy skanuje moją twarz. Robię dokładnie to samo.

Jest chuda, nawet bardzo. Nie widzę jej ciała w całości, ale uwydatnione kości policzkowe mówią same za siebie. Ma wyraźnie zarysowaną szczękę i pełne wargi. Nadal wygląda tak, jak na fotografii. Poznałbym ją, nawet nie wiedząc, że to ona. Ciemne włosy spadają jej po obu stronach ramion, kontrastują z jej bladą skórą. Wygląda normalnie. Ma zgrabny nos i długą szyję. Tylko oczy różnią się od tych, które zapamiętałem ze zdjęć. Są puste i obłąkane.

— Dominic? — odzywa się nagle, a ja zastygam w bezruchu.

Słyszę, jak Natalie wciąga głośno powietrze. Nie umiem się ruszyć ani nic powiedzieć. Czuję się tak, jakby ktoś przykleił mnie do posadzki i odciął język. Ja pierdolę.

— Lorraine. Przyszli twoja siostra Natalie, twój syn Aiden i twój syn Chase — wyjaśnia Sara powoli i wyraźnie, jakby rozmawiała z małym dzieckiem.

Cisza. Lorraine znów pozostawia słowa kobiety bez odpowiedzi. Nie patrzy na stojącego obok mnie Warrena ani na Natalie. Nie. Jej wzrok skierowany jest wprost na mnie, a kiedy lekko obraca głowę na jeden bok, z jej ust ulatuje ciche westchnienie.

— Usiądźcie — instruuje lekarka, ręką wskazując na trzy ustawione przy stole krzesła.

Nie ruszam się. Kątem oka widzę, jak Aiden i Natalie wykonują polecenie Sary. Ja cały czas obserwuję Lorraine. Ręce nie trzęsą mi się już jak wcześniej, a serce nie zapierdala jak szalone.

— Chase. — Do moich uszu dociera stłumiony głos Natalie, przez co wzdrygam się, jakbym

wyszedł właśnie z jakiegoś transu.

Zerkam na ciotkę, która nieobecny wzrokiem patrzy na mnie i uśmiecha się lekko. Zajmuję wolne krzesło między Aidenem i Natalie, cały czas czując na sobie spojrzenie Lorraine. Jest silne i dominujące, chociaż puste, kiedy je znowu spotykam. Ta kobieta sprawia, że robię się mały. Ta kobieta jest moją matką, a ja, kurwa, tego nie czuję.

— Mamo, my...

— Jak śmiesz zjawiać się tutaj po tym wszystkim? — cedzi przez zęby Lorraine, przerywając Aidenowi.

Chwilę zajmuje mi zrozumienie przekazu tej wypowiedzi. Przez moment patrzę ze zmarszczonymi brwiami to na niego, to na nią, zastanawiając się, co takiego ten idiota zrobił, że nawet ta kobieta mówi do niego w ten sposób. Dopiero po jakiejś minucie ciszy orientuję się, że to nie do niego się zwraca, ale... do mnie.

— Co? — pytam zdezorientowany, szukając odpowiedzi u kogokolwiek, jednak Natalie i Aiden wydają się równie zdziwieni co ja.

Wracam wzrokiem na siedzącą naprzeciwko mnie Lorraine. Teraz jej twarz wykrzywia się w dziwnym grymasie.

— Masz tupet, zjawiając się tutaj — stwierdza lodowatym tonem, a mnie chłodny dreszcz przebiega wzdłuż kręgosłupa.

Nagle kobieta wstaje tak szybko, że krzesło, na którym siedziała, przewraca się. Wzdrygam się. Kątem oka widzę, jak stojący po obu stronach pomieszczenia mężczyźni dają krok w jej stronę, jednak Sara szybko powstrzymuje ich gestem dłoni, czekając chyba na rozwój wydarzeń. Lorraine wali dłonią w blat i opiera się o niego. Mrugam szybko.

— Spotkamy się w piekle, skurwielu. Przysięgam na swoje dzieci, że dopadnę i ciebie, i ją — mówi, wlepiając we mnie swoje dzikie spojrzenie.

Dopiero teraz dociera do mnie sens jej słów. Dopiero teraz rozumiem, o co jej chodzi.

Lorraine myślała, że przed nią siedzi Dominic. Była przekonana, że jestem jej mężem, który doprowadził ją do tego stanu. Że to przeze mnie jej dzieci zostały rozdzielone. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego tak bardzo mnie to uderzyło. Nie potrafię wyjaśnić wszystkiego, co było potem, bo z jakiegoś powodu to, że wzięła mnie za Dominica, mnie dobiło. Ona nigdy wcześniej nie widziała go w Aidenie. Nigdy nie widziała go w kimkolwiek, kto ją odwiedzał. Zobaczyła go właśnie we mnie.

Początkowo tego nie rozumiałem. Początkowo byłem wściekły, ale teraz to już nieważne. Lorraine miała rację. Jestem dokładnie jak on. To ja jestem Twoim Dominikiem. Różnica w Naszej historii jest taka, że ja nie pozwolę, abyś była moją Margaret.

— Powiedz szczerze. Ile razy ją przeleciałeś, co? — odzywa się ponownie, przekrzywiając głowę w prawo. W jej oczach widzę istne szaleństwo. Nie potrafię się ruszyć, powiedzieć czegokolwiek ani złożyć myśli. Pierwszy raz jestem tak rozpierdolony.

— Mówi o Margaret — mamrocze pod nosem Aiden.

Kiedy na niego patrzę, wydaje mi się, że chyba nie chciał powiedzieć tego na głos.

— Oczywiście, że mówię o tej dziwce, a o kim innym? — Lorraine wyłapuje słowa Warrena i przenosi uwagę na niego. — Jest ktoś inny? Odpowiedz! — Po raz kolejny uderza ręką w stół, podnosząc przy tym głos.

Mam wrażenie, jakby to był tylko zły sen, z którego zaraz się obudzę. Chcę otworzyć oczy, a obok mieć przytuloną do mnie Lizzy.

— N-nie, oczywiście, że...

— Kłamiesz! Wy wszyscy kłamiecie! — krzyczy, wbijając w każdego z nas swoje diabelskie spojrzenie.

Nagle Lorraine odbija się od stołu tak, że teraz stoi o własnych siłach. Ręce bezwiednie zwisają po obu stronach jej ciała, cała jest zgarbiona, głowę ma spuszczoną. Przez chwilę wpatruje się w swoje stopy, jednak nie trwa to długo. Nie podnosząc podbródka, patrzy na mnie i posyła mi jeden z najmroczniejszych uśmiechów, jaki kiedykolwiek widziały moje oczy.

— Zabiję cię. Przysięgam, że staniesz się tym, kim cały czas dla mnie byłeś. Trupem.

Nim jestem w stanie przyswoić to, co się dzieje, kobieta rusza na mnie z mordem w zielonych tęczęwkach. Zrywamy się z miejsc. Dwaj mężczyźni zatrzymują Lorraine. Każdy z nich łapie ją za jedno ramię. Z otwartymi szeroko ustami obserwuję, jak kobieta robi wszystko, aby wyrwać się z uścisku. Krzyczy, jak bardzo nas nienawidzi. Jak bardzo nienawidzi mnie, bo w jej oczach jestem Dominikiem Warrenem.

Lorraine wciąż się nie uspokaja. Nagle jeden z trzymających ją facetów wyciąga z kieszeni kitla jakąś strzykawkę. Unosi zamaszycie rękę i wbija igłę w ramię mojej matki.

— Dzięki temu będzie spokojniejsza. Kiedyś też tak miała — wyjaśnia Aiden.

Jak za machnięciem pieprzoną różdżką Lorraine opada z sił. Jeden z pielęgniarzy przemawia do niej miękki głosem. Drugi natomiast się na mnie gapi, dlatego skupiam na nim uwagę. Obserwuję go dłuższą chwilę, a w mojej głowie pojawia się pewna myśl. Postanawiam jednak odepchnąć ją na bok. Zapisuję sobie w głowie, aby zapytać o to później Aiden.

— Zanieście Lorraine do jej pokoju — instruuje Sara.

Mężczyźni bez chwili zawahania ruszają w stronę wyjścia, z ledwie stojącą na własnych nogach kobietą.

— Wygląda na to, że więcej dziś państwo nie działają. Pacjentka musi odpocząć — mówi lekarka, patrząc na nas z neutralnym wyrazem twarzy.

Dla niej ta sytuacja to coś normalnego. Widzi takie rzeczy każdego dnia.

— W porządku. Może następnym razem będzie lepiej — odpowiada Aiden.

Znowu wciskam ręce do kieszeni, żeby ukryć to, jak drżą. Nie chcę, by Aiden i Natalie zauważyli, że coś jest nie tak. Nie chcę ich litości ani pojebanych słówek, że będzie dobrze i w ogóle. Mam to gdzieś. Chcę stąd wyjść i już więcej tu nie wracać.

— Dziękujemy bardzo za zorganizowanie spotkania. — Natalie podaje Sarze dłoń i uśmiecha się ciepło.

Ja się nie odzywam. Nawet nie wiem, co miałbym powiedzieć. Moja matka, o której do niedawna myślałem, że nie żyje, przy pierwszym spotkaniu wzięła mnie za mojego zjebanego starego, przez którego matka Lizzy nie żyje. Na dodatek nazwała mnie skurwielem i chciała się na mnie rzucić. Wiem, że nie o mnie jej chodziło. Wiem, że jej choroba jest poważna, że Lorraine gubi się we własnym umyśle, ale kurwa — to chyba logiczne, że zrobiło to na mnie wrażenie, no nie? Jakby... No, nie tego się spodziewałem. Myślałem raczej o zjeździe rodzinnym, ale bez jebanych fajerwerków.

Nie chcę być tutaj nawet minuty dłużej, więc odwracam się na pięcie i wychodzę. Słyszę, że Natalie i Aiden żegnają się z lekarką, ale ja nawet o tym nie myślę. Mam to gdzieś. Muszę się napić.

— Chase! — krzyczy za mną Natalie.

Jej niskie obcasy stukają o płytki, więc nawet nie muszę patrzeć przez ramię, żeby wiedzieć, że jest blisko. Aiden też biegnie w tych swoich pierdolonych sztybletach. Nie mam jebanej ochoty z nimi gadać.

Na szczęście kiedy mnie doganiają, żadne nie wypowiada słowa. Aiden i Natalie po prostu kroczą obok, milcząc do chwili, aż opuszczamy budynek zakładu.

— Dokąd idziesz? — pyta blondynka, gdy mijam wejście na parking.

— Jedźcie. Wróćcie pieszo.

Przyspieszam kroku. Nie wiem, dokąd idę, ale muszę pobyć trochę sam, żeby przemyśleć to wszystko i złożyć jakoś do kupy.

Lorraine Warren, moja matka, pomyliła mnie ze swoim zmarłym mężem. Wykrzyczała prosto w twarz, że ja, jako Dominic Warren, zdradziłem ją z Margaret Parker, czyli matką Elizabeth. Czy tak właśnie było? Czy mój stary naprawdę miał romans z tą kobietą? Babka mówiła wtedy w Bangor, że zachowywali się jak para i niejednokrotnie byli na językach, a przecież w każdej plotce jest ziarenko prawdy, no nie?

To pojebane. Cała ta sytuacja jest spierdolona i nawet nie wiem, dlaczego o niej myślę. Powinienem zepchnąć ją na bok, bo przecież i tak przyjechałem tutaj w innym celu, a nie po to, żeby poznać się z Lorraine. Odbębniłem swoje kilka minut i powinienem mieć spokój, prawda? Chociaż, kurwa, nie będę ukrywał, że ten pielęgniarz siedzi mi w głowie. Nie powinienem się tym przejmować,

ale jednocześnie jestem cholernie ciekawy, dlatego to sprawdzę.

Kiedy mój wzrok pada na szyld otwartego już baru, od razu się do niego kieruję. Jest jakoś po czternastej, ale kurwa — no, muszę się napić, bo inaczej zwariuję. Łeb mi paruje, przysięgam.

Wchodzę do pustego lokalu. Jest w nim ciemno, tylko gdzieniegdzie zawieszono są pojedyncze żarówki. Nie rozglądam się, bo nie po to tu jestem. Po prostu podchodzę do baru i zajmuję miejsce na jednym ze stołków.

— Whisky z lodem. Jakakolwiek — mówię do barmana.

Chłopak nie odpowiada. Zaczyna chodzić w tę i w tę, stukając szkłem. Po chwili alkohol mam już przed nosem, a później jeszcze kilka następnych szklanek, które szybko zeruję.

Ten dzień jest co najmniej pojebany. Zdecydowanie nie tak wyobrażałem sobie spotkanie z Lorraine. Kurwa, tak szczerze, to nie wiem, czego się spodziewałem, no ale zdecydowanie nie tego. Ta kobieta... moja matka myśli, że jestem Dominikiem. Josephine nieraz mówiła, że jestem do niego podobny, ale kurwa, żeby aż tak? Staram się to jakoś wytłumaczyć. Natalie wyjaśniała wcześniej, że Lorraine miewa urojenia. Widzi rzeczy, których nie ma. Tylko dlaczego akurat mnie musiała wziąć za starego? Ja pierdolę.

Wyjmuję z kieszeni telefon. W głowie trochę już mi szumi, ale ignoruję to. Naciskam na zieloną ikonkę i wchodzę w konwersację z Caroline, żeby zająć myśli innym gównem. Mam wrażenie, że znam tę rozmowę już na pamięć.

Od: Caroline

Nienawidzę cię. Jesteś dokładnie taki, jak oni wszyscy.

Do: Caroline

Co ja mam teraz zrobić?

Od: Caroline

No nie wiem, na przykład powiedzieć jej?

Od: Caroline

Jeśli ty jej nie powiesz, ja to zrobię.

Od: Caroline

Przysięgam, że nigdy ci tego nie wybaczę.

Do: Caroline

To nie jest takie proste.

Od: Caroline

Oczywiście, że nie. Dla Warrenów kłamstwo to najlepsze i ulubione wyjście z każdej sytuacji. Jednak coś przeniosłeś w genach (:.

Zaciskam szczękę. Czytałem to już kilkadziesiąt razy i nadal czuję dokładnie to samo — wstręt i wkurwienie na samego siebie.

Wychodzę z konwersacji i wybieram kolejną, żeby wystukać wiadomość.

Do: Josephine

Zadzwoń jak będziesz mogła

Blokuję telefon.

— Czy to nie ty ostatnio mówiłaś, że zapijanie smutków nie jest wyjściem? — Do moich uszu dociera ten kurewsko irytujący głos.

Nie patrzę przez ramię. To bez sensu. Wiem, że tam stoi i stał będzie też za dziesięć czy trzydzieści minut. Jest natrętny i wścibski. Nie wiem, po kim to odziedziczył, ale niech spada. Nie chcę go tutaj.

Poruszam trzymaną w ręku szklanką, aby wymieszać znajdujący się w niej alkohol, po czym przechylam ją i zeruję. Czuję, jak ciecz parzy moje gardło. Lubię to uczucie, szczególnie gdy jestem wkurwiony. Jak na przykład teraz.

— To samo — mówi ten idiota, a ja kątem oka widzę, że siada obok mnie.

Wyłapuję, że na ręce ma sygnety, w których odbija się światło słabych jarzeniówek. Wygląda jak pierdolony dzieciak z bogatego osiedla. Na pewno jest tego świadomy, ale nigdy się nie przyzna. On w ogóle cały jest zakłamany. Dokładnie tak jak ja.

Przywołuję ręką chłopaka, który może być w moim wieku. Proszę o następną kolejkę. Nagle na blacie pojawia się wyprasowany, zielony banknot.

— Spierdalaj. Nic od ciebie nie chcę. A w szczególności nie forsy — rzucam ostro.

Między nami zapada cisza.

Evan — przynajmniej tak mówi mi plakietka na koszulce barmana — wypełnia sprawnie kolejną szklankę whisky i przesuwa w moją stronę. Nie wiem, która to już, ale w sumie głównie mnie to obchodzi. To bez znaczenia. Nic nie ma znaczenia. Szczególnie teraz.

— Jesteś tego pewien? — odzywa się znowu dupek obok, a ja mam ochotę chwycić pieprzoną butelkę i rozbić mu ją na głowie.

Ile można, do chuja, gadać? Nie widzi, że go tu nie chcę?

— Ostatnio w moim życiu nie ma słusznych decyzji, więc co za różnica — burczę tylko, mając nadzieję, że w końcu się przymknie i pozwoli mi w spokoju się napić.

Oczywiście nie byłby sobą, gdyby tego, kurwa, nie skomentował.

— Wiesz, że to samo powiedziała mi chwilę przed wyjazdem do Crosby, gdy tu siedzieliśmy?

Spinam się na wspomnienie o niej.

„Logiczne, że nie wiem. Skąd miałbym to, kurwa, wiedzieć, skoro mnie tu nie było?” — myślę sobie, ale ostatecznie zachowuję milczenie. Jeszcze pomyśli, że mnie to interesuje.

Zeruję kolejną szklankę, a wszystko wokół mnie zaczyna powoli wirować.

Miała rację. Wtedy człowiek naprawdę nie myśli.

— Jak nazywają się ci goście, którzy trzymali Lorraine? — rzucam niby od niechcenia, opróżniając następną dolewkę.

— To byli jej pielęgniarze. Clifford Hammond i Michael Richards. Dlaczego pytasz?

Proszę tego całego Evana o jeszcze jednego. Mój wzrok jest już trochę zamglony, a szum w głowie zakłóca myślenie. Lubię ten stan, chociaż doskonale wiem, że to nie jest wyjście. Dlatego nie robię tego często, ale teraz po prostu muszę.

— Lorraine nie miała tego wszystkiego na myśli — mówi, kiedy nie odpowiadam.

— Nie obchodzi mnie to.

Jeśli chodzi o spotkanie, sam już nie wiem, co czuję. To było pojebane i zdecydowanie nie chcę nad tym rozmyślać, bo i po co. Było, minęło. Zrobiłem swoje. Czas wrócić do rzeczywistości i zająć się tym, co ważne.

— Lizzy widziała się wczoraj z Nate'em. — Aiden podejmuje kolejną próbę rozmowy i tym razem udaje mu się zwrócić moją uwagę.

— Co? I dopiero teraz mi o tym mówisz?

Ja pierdolę, czy ten typ w ogóle myśli?

— No, a kiedy miałem to zrobić, skoro cały czas jesteś z nią?

Nie przyznam mu racji, chociaż wiem, że ją ma. Zdaję sobie sprawę, że jestem przewrażliwiony na punkcie Lizzy, ale kurwa, ostatnio mam wrażenie, że nie jest sobą, a sytuacja z samochodem jedynie to potwierdza. Kiedyś mówiła mi, że próbowała ze sobą skończyć, wczoraj prawie nas roztrzaskała. Dlatego przed wyjściem do Lorraine poprosiłem Terrence'a, aby miał na nią oko. Twierdzi, że się zamyśliła, ale ja tego nie kupuję.

— Po co się spotkali?

Czy to dlatego Lizzy jest taka dziwna?

— Nie mam pojęcia, ale niedługo się dowiem.

— Skąd w ogóle masz takie informacje?

— Wiem więcej, niż myślisz, Chase.

— Aha.

Nie wierzę, że po wszystkim, co zrobił jej były, Parker tak po prostu się z nim spotkała. Czego chciał? A może to ona chciała go zobaczyć? Chce do niego wrócić? Kurwa, nienawidzę nie wiedzieć.

— Wiesz, że pozwalając jej wyjść za Omara, wybraliśmy mniejsze zło, prawda?

Czy on nie rozumie, że chcę się w spokoju napierdolić? No, kurwa mać. Przyszedłem tutaj, żeby nie myśleć, a jest wręcz przeciwnie.

Nie zamierzam usprawiedliwiać siebie ani Aiden. Nie zasługujemy na wybaczenie, nawet go nie chcemy. Wręcz przeciwnie. Chcę tylko powiedzieć, że jesteśmy pieprzonymi egoistami, których tak ukształtowało życie. Małymi gnojkami kochającymi dziewczynę, która nie zasłużyła na to, co zrobił jej Dominic Warren, a później jego synowie. Różnica między nim a nami jest taka, że my musieliśmy to zrobić.

— O czym wczoraj gadaliście z Rumelim? — Zmieniam temat, bo naprawdę nie chcę gadać o decyzjach, które podjęto za moimi plecami.

Aiden opróżnia kolejną szklankę whisky i z impetem odstawia szkło na blat. Oddycha ciężko, a kiedy znowu na mnie patrzy, jego usta są mocno zaciśnięte.

— Chodź — mówi tylko i wstaje, więc robię to samo.

Wyjmuję portfel, rzucam na blat kilka banknotów, po czym ruszam za Warrenem.

Na dworze jest kurewsko gorąco. Nie ma co się dziwić, w końcu jesteśmy w Kalifornii, ale nie umiem się przestawić, bo całe życie mieszkałem w Wielkiej Brytanii. Dziwnie też żyć mi z myślą, że to właśnie tutaj jest mój dom. Pojebana sprawa. Przez te wszystkie lata żyłem w przekonaniu, że jestem Brytyjczykiem. Śmiać mi się chce na myśl, jakim idiotą jestem. Może gdybym kiedykolwiek to sprawdził, dociekał, prawda wyszłaby na jaw wcześniej. Rzecz w tym, że nigdy mnie to jakoś wielce nie obchodziło. Nigdy nie domagałem się swoich dokumentów i nie pytałem za wiele. Po prostu żyłem w przekonaniu, że mój stary zginął w wyniku wypadku, a matka zmarła z powodu raka. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że prawda mogłaby być zupełnie inna. Ufałem Josephine. Nie miałem powodu, żeby tego nie robić. Wychowywała mnie. Była dobra. Jej słowa były dla mnie świętością. Skąd niby miałem wiedzieć, że w rzeczywistości każde z nich było przesiąknięte kłamstwem?

— Dokąd idziemy? — pytam.

Co chwilę mijają nas jakieś samochody. Ogólnie miejsce, w którym się znajdujemy, to chyba jakieś przedmieście. W porównaniu z centrum niewiele się tutaj dzieje. Zwykle peryferia. Dokładnie tak jak w Crosby.

Aiden nie odpowiada. Skręca w lewo, więc robię to samo. Wciskam ręce do kieszeni, co jakiś czas lekko się zataczam. Idziemy w ciszy jeszcze jakieś dziesięć minut, w końcu przechodzimy przez bramę, nad którą wisi stary szyld z nazwą warsztatu. Nie mam jebanego pojęcia, co tu robimy, ale niech będzie. Nie będę kłamał — ciekawi mnie, co Aiden chce mi pokazać. Coś mi mówi, że właśnie tutaj dostanę odpowiedź na pytanie, które zadałem przed wyjściem z baru.

Warren wyjmuje pęk kluczy i otwiera metalowe drzwi. Z zewnątrz budynek jest kurewsko zaniedbany. Ściany są odrapane, a wokół panuje ogólny chaos. Po prawej stoją najróżniejsze samochody, z lewej leży jakiś złom. Jesteśmy dość daleko od ulicy, więc nie słyszę już odgłosów silników ani czegokolwiek innego. Jedynie dźwięk odbezpieczanego zamka i naszych kroków daje mi znać, że nie jestem jeszcze całkiem napierdolony i nadal kontaktuję ze światem.

Aiden wchodzi do środka jako pierwszy, a ja zaraz po nim. Wnętrze warsztatu wygląda dokładnie tak, jak każde inne. Dużo narzędzi, opon, smaru i kilka samochodów ustawionych na podnośnikach. Nic specjalnego.

— Wczoraj dostałem kolejne zlecenie.

— Jakie?

Jakiś czas temu spotkałem się z Frankiem w Crosby. Pokazał mi wtedy ten cholerny papier i odsłonił karty, o których istnieniu nie wiedziałem. Miałem taki moment, kiedy zastanawiałem się, dlaczego Aiden jest takim chujem. Nie potrafiłem zrozumieć, jak mógł tak po prostu pozwolić na tę sytuację z Omarem. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że jest równie zamieszany w to gówno, co ja. Że przez te wszystkie lata Warren pracował w ukryciu dla Rumelego po to, żeby chronić... mnie. Że siedzi w tej dziurze, robi rzeczy, których nienawidzi — dla mnie.

Teraz, kiedy znam te fakty, to wszystko jest dla mnie kurewsko logiczne. Obwiniam się za to, że w pewnym sensie rozumiem jego pobudki, bo nie wiem, czy nie zrobiłbym dokładnie tego samego. To pojebane. Jestem równie pokurwiony co on, taka prawda.

Aiden podchodzi do zabytkowego mercedesa, zachowanego w nienagannym stanie. Czarny lakier lśni, a kiedy przysuwam się bliżej, mogę przejrzeć się w masce.

Okrażam samochód i zatrzymuję się przy bagażniku, dokładnie tam, gdzie stoi teraz Warren. Siwy ma już w ręku kolejną parę kluczy. Odblokowuje automatycznie zamek, po czym otwiera klapę. Moje oczy otwierają się szeroko na widok tego, co tam leży.

Ja, kurwa, jebię.

— Ile tu masz?

— Ponad osiem kilogramów. Jakies osiem milionów euro.

— Ja pierdolę.

Wpatruję się tępo w wypełnione kokainą worki, próbując przyswoić słowa, które usłyszałem.

Osiem kurewskich kilogramów koki w bagażniku geja mechanika.

Kto by się spodziewał, prawda?

No właśnie.

Aiden, nie mówiąc słowa, podchodzi do kolejnego samochodu. Tym razem jest to volkswagen T6. Wygląda na zwykły dostawczak pokryty szarym lakierem. Nic bardziej mylnego. Kiedy Warren otwiera tylne drzwi, w oczy rzucają się czarne torby.

— Co jest w środku? — Kolejne pytanie opuszcza moje usta, nim jestem w stanie nad tym zapanować.

— Sam sobie zobacz. Ale najpierw załóż rękawiczki — rzuca obojętnie chłopak, dlatego bez chwili zastanowienia biorę od niego jedną parę i wchodzę do środka, żeby rozsunąć pierwszy lepszy suwak.

— O kurwa.

Chwilę zajmuje mi otrząśnięcie się z wrażenia, jakie wywarło na mnie to, co zobaczyłem. Kiedy dochodzę już do siebie, chwytam w dłoń leżący na wierzchu pistolet, pod którym znajduje się jeszcze kilka innych. Ostrożnie podnoszę broń i przyglądam się jej z zaciekawieniem. Pierwszy raz w całym swoim życiu trzymam w ręku coś takiego.

— Jutro mamy transport. — Słyszę za plecami głos Aideny, dlatego na niego patrzę.

Broń niezmiennie spoczywa między moimi palcami, a serce zaczyna zajebiście szybko bić. Nie wiem dlaczego. Przecież nawet nie jest naładowana.

— Jak często je masz? — pytam totalnie zajebany w akcji, bo mimo że o tym wiedziałem, nadal to do mnie nie dotarło.

— Zależy. Nie ma konkretnego odstępu czasowego. Czasem co miesiąc, czasem nawet co trzy — wyjaśnia ze stoickim spokojem, którego nie rozumiem. Może gdybym siedział w tym tyle co on, w końcu też zacząłbym tak reagować.

— I ona nic nie zauważyła? — dociekam.

Wiem, że nie muszę wypowiadać jej imienia. Wiem, że on doskonale zdaje sobie sprawę, o kim mówię.

— Nie miała powodu, żeby mnie podejrzewać. Bywała tutaj, ale prosiłem, żeby zawsze mnie uprzedzała, więc nigdy nie naszła mnie w nieodpowiedniej sytuacji. Kiedy jeździłem z transportami, mówiłem jej, że muszę zostać dłużej w pracy, i tyle. Nigdy nie dociekała, bo żyła w przekonaniu, że uwielbiam grzebać w samochodach — stwierdza, jakbyśmy właśnie rozmawiali o pogodzie, a nie o tym, że przemyca pieprzone dragi i broń dla Rumelego. — Każdy z tych samochodów jest jego. Naprawiam je, kiedy się rozpierdola, a później dbam o to, żeby transport dojechał nienaruszony.

— I po tym, jak Dominic go zdradził, on tak po prostu ci ufa?

Aiden wyjmuję z kieszeni paczkę fajek. Wychodzimy na zewnątrz.

— Uwierz, byłem zbyt zdesperowany, żeby coś wywinąć — wyjaśnia, odpalając papierosa. To samo robię ze swoim. — Wiedział, że się nie sprzeciwię, chociażby ze względu na ciebie — mówi na głos słowa, których słyszeć zdecydowanie nie chciałem.

Dlaczego wszyscy zdecydowali za mnie? Dlaczego nikt nie powiedział mi o tych papierach w chwili, gdy osiągnąłem odpowiedni wiek? Dlaczego każdy chce mnie ratować, skoro sprawa już od samego początku była przegrana? Kurwa mać.

— A jak będzie to wyglądało, gdy wyjedziesz? Dostaną to, czego chcieli, więc ty chyba nie będziesz już im potrzebny, prawda?

Zaciągam się fajką, tak jak Aiden. Przez chwilę wygląda, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią, ale ja wiem, że już ją zna. To po prostu widać.

— Umowa jest umową. Gdy skończysz szkołę, zniknę z jej życia.

Między nami po raz kolejny tego dnia zapada cisza.

Nigdy bym nie podejrzewał, że będę odpowiedzialny za tyle żyć. Nigdy przez myśl by mi nie przeszło, że nieświadomie mogę zrobić tyle zamieszania i zniszczyć tak wiele. Bo przecież to dla mnie Lorraine rozdzieliła mnie i Aiden. To przeze mnie Josephine spotkało całe to gówno z Thomasem, Caroline została zgwałcona, a Jonathan prawie zginął w wypadku. To dla mnie Elizabeth wyszła za Omara, Terrence spłacał jebane długi, a Warren pracował dla Rumelego, przemycając broń i dragi. Każda ta chujowa akcja ma swoje źródło we mnie i tylko ja mogę to przerwać.

— Niezły skurwiel z tego Dominica — mamroczę pod nosem i przydeptuję niedopałek butem.

— Powinien zdychać w męczarniach i błagać o śmierć, która by nie nadeszła — mówi Aiden, gasząc swoją fajkę.

— Gdzieżecie tak długo się podziewali, na miłość boską! — krzyczy Theresa, kiedy przekraczamy próg domu Parkerów.

Czy ona czatowała w oknie?

— W FBI się, babka, bawisz czy co? — pytam głupio i od razu idę do kuchni.

— Niech babcia swoim życiem się czasem zajmie — mówi Warren, a ja uśmiecham się złośliwie.

— Gerard pewnie już tupie nóżką — docinam jej, na co Aiden parska śmiechem.

Podchodzę do kuchennej wyspy i wypełniam jedną z ustawionych tam szklanek wodą. W drodze powrotnej zdążyliśmy trochę wytrzeźwieć, bo zdecydowaliśmy się iść pieszo. Teraz w ustach mam jebanego kaptura i muszę pozbyć się tego uczucia. W moim przypadku jest to ta mroczna część chlania, której nie znoszę, ale pojawia się za każdym razem.

— Osobno jesteście nie do zniesienia, ale razem to nic, tylko miejsca na cmentarzu sobie szukać.

— Jak chcesz, to koło zięcia ci zaklepię — żartuję sobie, bo tak na dobrą sprawę ten typ, który w papierach widnieje jako mój stary, tylko na to zasługuje. Jest żałosny nawet trzy metry pod ziemią.

— No wiesz ty co, Chase — oburza się Theresa, jednak wiem, że nie ma mi tego za złe, chociaż sama niejednokrotnie mówiła, jak bardzo go nie lubi. — Jak było u Lorraine? — zmienia temat i to wcale nie tak, że najpewniej już na wejściu chciała mnie o to zapytać.

Ona tak zawsze. Nie umie wytrzymać. Jest narwana i ma niewyparzoną gębę. Właśnie dlatego jest moją ulubienicą w tej rodzinie.

— Nijak. Normalnie — odpowiadam wymijająco.

Jestem pewien, że próbowała wypytać Natalie o przebieg spotkania. Ale w ciągu tych kilku tygodni zdążyłem zauważyć, że ta kobieta nie należy raczej do osób, które mówią za kogoś. To się ceni.

— Normalnie? Znaczy jak? — dopytuje Theresa, tupiąc przy tym nogą jak małe dziecko.

— To znaczy: „nie interesuj się, babka, bo to nie twój interes” — mówię powoli, akcentując każde słowo. — Gdzie jest Lizzy?

Dom Parkerów jest zajebiście duży. Mają ogromną kuchnię połączoną z salonem, każdy z pokoi ma swoją łazienkę i ogólnie wszystko tutaj wygląda na drogę. Wystarczy tylko spojrzeć na te długie, zakręcone schody, aby tak stwierdzić.

— Wyszła.

— Niby gdzie?

— Na plażę. — Theresa wzrusza ramionami, kompletnie nie zdając sobie sprawy z powagi sytuacji.

Ona nie ma pojęcia o problemie, z jakim zmaga się Lizzy. Tak naprawdę to nadal nie wiem, czy ktokolwiek inny jest go świadomy. Nie rozmawiałem na ten temat z Aidenem. Nie wiem, czy zdaje sobie sprawę, jak źle z nią jest, ale zdecydowanie przeprowadzę i tę konwersację, jeśli będzie taka konieczność. Choć teraz nie wiem, czy muszę, skoro i tak niebawem go tu nie będzie.

Nie mówiąc nic więcej, z impetem odstawiam kubek na blat i okrążam wyspę. Wychodzę z domu,

przechodzę przez wyłożoną kamieniem drogę i skręcam w prawo. Posiadłość Parkerów jest położona nad oceanem. Do plaży mają jakieś dwie minuty i... Okej, może za bardzo panikuję i przesadzam, ale wiem, co samotność może zrobić z Lizzy. Nie widzieliśmy się cały dzień. Lizzy była zamknięta w swojej głowie i nie mam, kurwa, zielonego pojęcia, co tam może się dziać. Ostatni czas był dla niej ciężki, walczy z czymś, czego nie potrafię pojąć. Chcę jej pomóc, ale nie wiem jak. Wariuję, gdy widzę, jaka jest zagubiona i nijaka. To nie ona. To nie jest moja Parker.

Idę przed siebie dłuższą chwilę, a kiedy nogi stykają się z piaskiem, oczy od razu padają na nią.

Ubrana w zwiewną żółtą sukienkę, biega po plaży ze Skalmarem. Jej włosy są rozpuszczone i jest to chyba pierwszy raz w życiu, kiedy widzę ją... taką. Moje serce bije mocniej, dłonie pocą się, a w ustach po raz kolejny czuję suchość. Wygląda pięknie. Ona zawsze tak wygląda, ale dziś jest inaczej. Nie wiem, jak ubrać to w słowa. Po prostu wyjątkowo. Musiała się przebrać, gdy wyszliśmy.

Ostatnie dni mogę uznać za jedno z gorszych, jakie razem przeżyliśmy. Niewiele mówiliśmy. Wiele jest jeszcze słów, które powiedzieć powinniśmy, wiem to. Powinniśmy omówić niektóre sprawy, wyjaśnić je, a zamiast tego omijamy niewygodne tematy. Oboje. Każde z nas ma swoje tajemnice. Prawda jest taka, że nie pamiętam już nawet smaku jej ust, których tak pożądliwie pragnę. Tęsknię za nią, chociaż mam ją na co dzień. Z dnia na dzień oddaliśmy się od siebie coraz bardziej i to rozpięła mnie wewnątrz, bo chociaż chcę, aby tak było — w środku czuję nieopisany ból i desperacką potrzebę dotyku. Jej dotyku.

Jej słodki głos działa kojąco na moją duszę, tak samo jej dłonie. Mam wrażenie, że tylko ich dotyk utrzymuje mnie jeszcze przy zdrowych zmysłach. Jest moim zbawieniem i przekleństwem. Prawdą i kłamstwem. Rozgrzeszeniem i grzechem samym w sobie. Sprzecznością, której potrzebuję.

Każdego dnia budzę się z myślą o niej. Ta dziewczyna przejęła kontrolę na każdej płaszczyźnie mojego życia. Nie mam pojęcia, kiedy to się stało. Nie wiem, jak poradzę sobie bez niej, ale jedno jest pewne — po niej nic już nie będzie takie samo. Nigdy nie pokocham nikogo tak, jak jej. Nie zapieram się, że tego nie zrobię w ogóle. Możliwe, że los postawi na mojej drodze kogoś dobrego, ale ja wiem, że nikt nigdy nie dorówna Lizzy. Tylko ona potrafi uspokoić mnie jednym spojrzeniem. Tylko jej dłonie wywołują dreszcze, jakich nigdy nie czułem.

Moim największym przekleństwem przez cały ten czas było to, że choć chciałem umrzeć przez Ciebie, musiałem żyć dla Ciebie.

Pamiętam dzień, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Pamiętam chaos, jaki wywołała swoją osobą. Chciałbym do tego wrócić. Chciałbym wrócić do nocy, kiedy ją poznałem. Chciałbym zmienić bieg wydarzeń, chociaż wiem, że to nie możliwe. My od początku nie mieliśmy racji bytu, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Nasze uczucie już od pierwszej chwili skazane było na niepowodzenie. Mimo to świadoma swoich sekretów Lizzy Ignęła do mnie, wiedząc, że i tak utonie. Ja natomiast usilnie zmierzałem w kierunku ognia, choć podświadomie czułem, że się spalę. Pozwoliliśmy sobie na uczucie, ignorując świat dookoła.

Teraz pozostało tylko utrzymać iluzję. Naprawić szkody, zamknąć niezłatwione sprawy, zanim upadnie jeszcze niżej. Upadnie, aby potem stać się silniejszą. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Mam nadzieję, że gdy mnie już nie będzie, ona pozbiera potłuczone kawałeczki w całość. Mam nadzieję, że znów się zakocha i pokocha do szaleństwa — mnie odkładając na półkę jak rzecz, której już się nie potrzebuje, ale ma się do niej sentyment. Mam nadzieję, że nie zapomni mnie i że z czasem zacznie wspominać z uśmiechem. Chcę, aby zaznała życia. Chcę, aby z niego korzystała i żyła jego pełnią. Zasłużyła na to jak nikt inny.

Kocham ją i mam nadzieję, że nigdy w to nie zwątpi...

Czuję wibrację w tylnej kieszeni, więc wyjmuję telefon. Przesuwam palcem w prawo i przykładam urządzenie do ucha.

— Mam pytanie — mówię od razu, nie myśląc nawet o powitaniu.

Śledzę wzrokiem blondynkę, która leży teraz na piasku, ze szczeniakiem na jej brzuchu. Nie widzi mnie. Po raz kolejny zamknęła się w swoim świecie.

— Ciebie też miło słyszeć — dogryza Josephine. — Co jest? — Słyszę dźwięk kierunkowskazu, to oznacza, że jedzie samochodem.

— Pamiętasz tego kumpla Thomasa, który często do nas przychodził? Wiesz, ten taki niski blondyn. Był u nas później kilka razy, jak już wyszłaś za Jonathana... Jak on się nazywał?

Po drugiej stronie następuje kilkusekundowa cisza.

— Po co ci to, młody?

— Powiem, jak mi odpowiesz. — Przewracam oczami, bo kurwa, czy ona musi zawsze wszystko utrudniać?

Josephine znów milknie. Słyszę szum, a po chwili ciche chrząknięcie.

— Nazywał się Michael... Richards? Tak, chyba tak. Dlaczego pytasz? — Słowa te niczym echo odbijają się w mojej głowie, bo w tym momencie moje przypuszczenie się potwierdziło.

Moja ręka opada bezwiednie wzdłuż ciała, a telefon wypada spomiędzy palców.

Michael Richards — kolega człowieka, który miał w zwyczaju robić mi pojebane rzeczy, a na końcu skrzywdził Josephine — jest pielęgniarzem Lorraine.

To oznacza, że Lorraine przez te wszystkie lata była pod okiem jednego z ludzi Rumelego.

Kurwa mać.

Rozdział 15

CHASE

Przylatując do Kalifornii, miałem tylko jeden cel — domknąć plan.

W mojej głowie pojawia się wspomnienie tamtego dnia, kiedy siedziałem z Parker na parapecie. Było to chwilę po rozmowie z jej ojcem, naszą sprzeczką o Logana, no i o Shannon. Wypaliłem wtedy, że chcę poznać Lorraine. Pamiętam, jak zaskoczona była moją decyzją. Kurwa, prawda jest taka, że ja sam też się zdziwiłem. Kompletnie tego nie przemyślałem. Dopiero po kilku godzinach uświadomiłem sobie, jak cwany jestem, i że mój plan może faktycznie wypalić.

Wtedy jeszcze nie miałem pojęcia o tym, co odkryję w zakładzie. Do głowy by mi nie przyszło, że u boku Lorraine zobaczę człowieka, który nie tak dawno temu odwiedzał mój dom.

Michaela Richardsa znam od czasów Thomasa. Były fagas Josephine przyprawiał go czasem do nas. Byli dobrymi kumplami, z tego, co kojarzę. Po tym, jak ten ćpun ją skrzywdził, Michael przyszedł do szpitala, do ciotki, chcąc pomóc. Wydawał się w porządku. Jo też go lubiła. Co prawda wtedy w jej życiu pojawił się Jonathan, ale mimo to nie urwała kontaktu z Richardsem. Odwiedzał nas niejednokrotnie w Crosby, nawet po ich ślubie.

Za chuja bym nie pomyślał, że spotkam go u boku Lorraine.

— Jesteś pewien, że to był on? — pyta Terrence, co jakiś czas zerkając na Natalie.

Ja pierdolę.

— No tak — wzdycham rozdrażniony.

Przewracam oczami, bo powiedziałem to już dwa razy.

Po raz kolejny w przeciągu dziesięciu minut zapada cisza. Przeskakuję wzrokiem między trzema osobami znajdującymi się w pomieszczeniu, badając ich reakcje.

Ojciec Lizzy wyraźnie się nad czymś zastanawia. Natalie wygląda tak, jakby zobaczyła ducha, a Aiden jak zwykle nic nie ogarnia i jest zajebany w akcji. Myślę, że jego trybiki jeszcze się nie uruchomiły. Może po naszym powrocie do Crosby dotrze do niego to, co właśnie powiedziałem.

Zdecydowanie jesteśmy braćmi, a on jest tym pierwszym, spierdolonym naleśnikiem.

— Chwila — odzywa się w końcu Terrence i odwraca na obrotowym krześle, by sięgnąć po znajdujący się za plecami segregator. Jest ich tutaj od chuja, każdy wygląda tak samo, żaden nie jest podpisany, a on i tak wie, który ma wziąć. Ja pierdolę, on jest naprawdę dziwny.

Obserwuję, jak otwiera plastik i wertuje wpięte kartki. Robi to szybko, skupiając wzrok jedynie na brzegach, więc pewnie jest tam coś zapisane. Kiedy jego brwi unoszą się, wiem, że znalazł to, czego potrzebował. Wcisną dłoń między strony i przekłada ponad połowę papierów na lewe skrzydło. W pokoju rozlega się donośny trask. Uśmiecham się głupio, bo kątem oka widzę, jak Aiden wzdryga się na ten dźwięk. Pizda.

Parker przesuwając palcem po zapisanych na papierze słowach. Mruży coś po nosem, i to mnie wkurza, bo też chcę wiedzieć, co tam jest.

— Mam! Michael Richards, czterdzieści pięć lat, rodzice nie żyją, z zawodu jest stolarzem, ale nigdy nie pracował w branży. Dorabiał jako piekarz, roznosił ulotki, był kierowcą, a później zrobił kursy niezbędne do pracy w zakładzie jak ten. Niekarany. Pracuje w zakładzie od dwa tysiące pięćdziesiątego roku — recytuje, a kiedy dociera na koniec strony, unosi na mnie wzrok. — Kurwa mać, był przy Lorraine przez ponad pięć lat, a zjawił się chwilę po tym, jak zwolniono Ivana, bo ktoś zauważył, że ten na nią krzyczy.

— O Boże. — Natalie zakrywa usta dłonią, nie kryjąc szoku.

— Chwila, chwila. Czyli chcecie mi powiedzieć, że Michael Roberts to człowiek Rumelego i najprawdopodobniej Ivan też nim był? — pyta Aiden wyraźnie pogubiony w tym wszystkim.

Ja, kurwa, jebię.

— Ty serio jakiś opóźniony jesteś, człowieku. — Marszczę brwi, bo to niemożliwe, żeby ktokolwiek był aż tak głupi. — Mówimy o tym przez cały ten czas, a ty zacząłeś to dopiero teraz?

On zdecydowanie wdał się w Dominica.

— Ja po prostu... nie wiem, kurwa, jestem w szoku. Nie trybię.

— Nie da się nie zauważyć — pry cham w odpowiedzi.

— Możesz przestać być kutasem, Chase?

Przymykam oczy, żeby się trochę uspokoić.

— No ale jak ja mam z tobą rozmawiać, co? — Obracam głowę w jego stronę i uśmiecham się sztucznie. — Od ponad dziesięciu minut napierdalamy o tym, że Michael Richards jest facetem, który kumplował się z Josephine, a potem opiekował naszą matką. Był przyjacielem Thomasa, który, jak się okazuje, wykonywał polecenia Rumelego. A to z kolei oznacza, że Michael nie przez przypadek znalazł się akurat w tym zakładzie. Czego ty jeszcze, do chuja, nie rozumiesz, co? — mówię ostro, bo naprawdę nie wiem, jak dotrzeć do tego zjeba.

Aiden patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, z mocno zaciśniętą szczęką.

— No, trzeba było tak od razu — stwierdza z wyrzutem.

„Zamilcz, zamilcz, zamilcz” — powtarzam sobie w myślach niczym mantrę, byle tylko nie wybuchnąć.

— Uspokójcie się, chłopcy. — Tym razem to Natalie zabiera głos. — Klótnie nie są wskazane, szczególnie teraz. Musimy pomyśleć, co z tym zrobić. — Jej ręce mocniej zacieśniają się pod piersiami, gdy przenikliwe spojrzenie świdruje naszą dwójkę.

Milczymy. Ma rację. To nie jest czas ani miejsce na takie rzeczy, no ale jak tu być opanowanym, skoro Aiden kompletnie nic nie rozumie? Ja nie wiem, jak można być tak bardzo nieogarniętym. Jakim cudem ten człowiek zajmuje się transportami Rumelego, skoro prostych rzeczy nie czai? W tym wszystkim zastanawiam się, czy serio jest tak bardzo spierdolony, czy może po prostu udaje albo nie chce pojąć niektórych rzeczy, bo tak mu lepiej. Tak samo zrobił w przypadku problemu Lizzy z alkoholem — zignorował go, uważając pewnie, że jest to przejściowe czy coś. Głupi chuj.

— Zdajecie sobie sprawę, co to może oznaczać, prawda? — Terrence zupełnie ignoruje naszą sprzeczkę.

— To znaczy?

Parker spuszcza wzrok na papiery, którym przygląda się dłuższą chwilę w kompletnej ciszy. Z jego ust ulatuje westchnienie, a kiedy znowu na nas patrzy, widzę zmęczenie, zrezygnowanie i pewnego rodzaju strach na jego twarzy.

— Mogę się mylić, może ponosi mnie wyobraźnia. Trzeba będzie to sprawdzić, ale... — Przerywa na moment, patrzy na każdego z nas, jakby bał się powiedzieć na głos to, co właśnie chodzi mu po głowie. — Ale co, jeśli Michael wpływa na stan Lorraine, który od lat się nie poprawia?

Zamieram.

Wgapiam się tępo w siedzącego przede mną mężczyznę, czując, jak wszystkie kolory odpływają z mojej twarzy. Mam wrażenie, że gdybym stał — upadłbym. Górne partie ciała napinają się, a usta otwierają, nawet nie wiem kiedy.

— Jak na przykład mógłby to robić? — Do moich uszu dociera stłumiony głos Natalie, choć chyba tylko ja tak to słyszę. Jestem w szoku.

— Nie wiem, jest wiele sposobów. Wystarczy dawać złe leki albo nie dawać ich w ogóle. Musiałbym się zorientować, powęszyć, popytać. Jeśli nasze przypuszczenia są słuszne, musimy podjąć natychmiastowe działanie. Michael z pewnością poznał Chase'a, więc Rumeli o wszystkim już wie. Pytanie brzmi: jakie podejmie kroki? — mówi zdecydowanym tonem, przenosząc wzrok na mnie.

Spojrzenia moje i Terrence'a krzyżują się. On wie. Oczywiście, że zna odpowiedź, ale nie może wypowiedzieć jej na głos, bo jest tu Natalie. Do mnie przysłała ona natychmiastowo. W porównaniu do Aideny potrafię dodać dwa do dwóch i zdaję sobie sprawę z tego, że teraz Lorraine nie jest im już potrzebna. Po tych wszystkich latach mają w końcu w posiadaniu coś, a raczej kogoś, kto był ich głównym celem — mnie.

— Myślisz, że będzie chciał jeszcze bardziej namieszać? — pyta żona Parkera.

— Miejmy nadzieję, że nie — mówi wymijająco.

„Jest w tym wszystkim coś, co nas łączy. Obaj, chcąc chronić kobiety, które kochamy, łżemy jak z nut” — myślę sobie.

— Spotkam się z nim. Po tym, czego dowiedzieliśmy się w ostatnim czasie, nadszedł czas na poważną rozmowę — stwierdza Terrence, po czym wstaje na nogi, a ja i Aiden razem z nim.

Warren przez cały czas milczy. Jest rozjebany zupełnie, ale jakoś mnie to nie dziwi. Gość ogólnie niewiele kuma, a taki napływ informacji pewnie rozsadza mu głowę.

Mimowolnie mój wzrok pada na Natalie. Blondynka przygląda mi się badawczo, jakby chciała wyczytać moje myśli. Czuję się niekomfortowo. Wiem, że jest dokładnie zaznajomiona z papierem, przez który rozdzielono mnie i Aiden. Wiem, że i ona próbowała mnie chronić. Ale czy domyśla się już, że wszystko skończone? Czy wie, że ten jebany świstek wszedł już w życie? Natalie nie jest głupia. Mało mówi, ale dużo widzi. Jestem pewien, że będzie rozmawiała z Terrence'em. Spróbuje wyciągnąć z niego cokolwiek. Mam jednak nadzieję, że on nic jej nie powie. Jeśli się dowie, może próbować mnie powstrzymać, chociaż nie to mnie przeraża. Bardziej boję się tego, że mogłaby donieść Josephine. Wtedy wszystko by się skomplikowało.

— Pojebana akcja — wzdycha Aiden.

— Pojebany to ty jesteś, ale jakoś nikt nie mówi tego na głos.

— Właśnie to zrobiłeś, idioto.

Fakt.

— Jak widać, przebywanie z takim debilem źle na mnie działa. — Przewracam oczami i ruszam w kierunku drzwi.

Wiem, że idzie za mną.

— Musisz być takim skurwielem, Chase? Dobrze wiesz, że jestem po twojej stronie — mówi spokojnie, ale w jego głosie wyłapuję cień urazy.

— To moja wina, że ty tak mało jarzysz? — pytam, mrużąc oczy.

— Że co? Ja pierdolę, gram na zwłokę, żeby Natalie nic nie ogarnęła. W tym momencie to ty chyba mało kumasz. Próbuję odwrócić jej uwagę od ciebie, bo ciotka nie jest głupia i widzę, że zaczyna coś podejrzewać. Nie powinna się w to mieszać, bo to nie skończy się dobrze — wyjaśnia szybko, poprawiając czapkę.

— W takim razie zajebicie wychodzi ci udawanie idioty. Masz wrodzony talent.

— Zamknij się, dobra?

Nie mówiąc nic więcej, ruszam znów wzdłuż korytarza, ale tym razem skręcam w prawo. Poprosiłem babkę, żeby zajęła czymś Lizzy. To kurewsko nie w porządku, że nie zawołaliśmy jej na tę rozmowę, jednak myślę, że nie powinniśmy obarczać Parker takimi informacjami. Mam ku temu powody.

Wczoraj, kiedy widziałem ją na plaży — nie podszedłem. Patrzyłem na nią z daleka jak jebany psychopata, bo wiedziałem, że jeśli znajdę się bliżej, ona nie będzie tak beztroska. Ostatnimi czasy Lizzy jest cholernie dziwna i to rozpierdala mnie wewnątrz. Cisza, jaka ciąży nad nami, jest wyniszczająca, a ja nie wiem, jak ją przerwać. Chciałbym pocałować jej wygadane usta albo chociaż dotknąć. Popierdolone, że potrzebuję tak niewiele, żeby poczuć spokój, ale prawda jest taka, że nawet już nie śpiam, bo jej nie ma obok.

Kiedy wchodzę na taras, pierwszym, co widzę, jest siwa głowa Theresy, która śmieje się głośno. Ta kobieta jest niemożliwa. Ona chyba nie wie, czym jest subtelna rozmowa albo przyzwoity ton głosu. Babka nadaje jak popierdolona i nie zwraca uwagi na to, że wszyscy na nią patrzą. Myślę, że lubi być w centrum uwagi.

— No i on wtedy... O, Chase! — drze się tym swoim wysokim głosem, a ja zaciskam usta, bo chwilami jest naprawdę irytujący.

Widzę, jak Lizzy prostuje się niczym struna na swoim siedzeniu, a chwilę później patrzy na mnie przez ramię. W zasadzie widzę ją dzisiaj pierwszy raz, bo cały czas siedziała w swoim pokoju. Znów ma rozpuszczone włosy i po raz kolejny założyła sukienkę, ale tym razem czerwoną w białe kwiatki. Nie nałożyła też makijażu. Wygląda naprawdę ładnie. Lubię ją w takim wydaniu, a że na jej ustach maluje

się teraz mały uśmieszek — podoba mi się to jeszcze bardziej, bo ostatnio niewiele go od niej dostawałem.

— Cześć — odzywam się jako pierwszy, ale muszę chrząknąć, żeby oczyścić gardło.

— Hej — mówi cicho, cały czas podążając za mną wzrokiem.

Podchodzę do stołu, przy którym siedzą, po czym zajmuję miejsce obok dziewczyny. Nie mam pojęcia, jak się zachowywać, ale nie zamierzam jej unikać. Chciałbym w końcu normalnie porozmawiać. Minęło tak dużo czasu, że w końcu sam skończę w kaftanie obok Lorraine, no bo ile można.

— Co robicie? — zagaduję, patrząc to na babkę, to na blondynkę.

Między naszą trójką zapada cisza. Lizzy obserwuje mnie uważnie, za to Theresa mruży oczy, walcząc ze mną na spojrzenia. Nie do końca wiem, dlaczego ani kto wygrywa, ale niech będzie.

— To ja pójdę zaparzyć sobie herbaty — wypala nagle babka.

Wstaje pospiesznie na nogi, prawie przewracając krzesło. Bierze kubek i rusza w kierunku wejścia do domu. Nim się orientuję, jesteśmy już sami.

— To było do przewidzenia, że tak zrobi — śmieje się Lizzy.

Moje oczy świdrują jej twarz. Wydaje mi się, że nałożyła jakiś krem czy inne gówno, bo tak specyficznie błyszczy. Nie pomalowała nawet rzęs. Wygląda kurewsko niewinnie i powiedziałbym nawet, że dwa lata młodziej. Teraz już nawet w Crosby nie sprzedaliby jej alkoholu.

Kąciaki moich ust unoszą się lekko, kiedy uśmiech nie znika z jej twarzy.

— Co? Jestem gdzieś brudna? — pyta rozbawiona, palcami dotykając skóry.

Kręcę głowę. Podnoszę rękę i zaczesuję kosmyk jej włosów za ucho.

— Dlaczego mnie unikasz?

Oblizuje wargi.

— Nie unikam. — Wyraźnie zmieszana odwraca ode mnie wzrok.

— I w dodatku kłamiesz.

Z ust Lizzy ulatuje ciche westchnienie. Dopiero teraz dostrzegam, jak nerwowo bawi się palcami.

Nie myśląc wiele, przesuwam krzesło tak, że teraz siedzę naprzeciwko niej. Rozsuwam nogi, chwytam bok jej fotela i przyciągam go bliżej siebie. W międzyczasie okręcam mebel. Teraz Lizzy siedzi przodem do mnie, i przysięgam, że moja skóra zaczyna kurewsko piec, gdy jej kolana dotykają wewnętrznej strony moich ud. To popierdolone, jak na mnie działa nawet w takich momentach.

— Nie pójdziesz stąd, dopóki mi tego nie wyjaśnisz — mówię wprost, bo naprawdę chcę wreszcie zakończyć te ciche dni. Męczą mnie jak cholera. Nie wiem, czy ją też, w tym momencie nawet o tym nie myślę. Jestem jebanym samolubnym skurwielem, który chce się nią jeszcze trochę nacieszyć.

Parker obraca głowę i teraz widzę jej lewy profil. Błądzi wzrokiem po drewnianym blacie, zagryza wnętrze policzka. Zauważyłem, że robi tak zawsze, kiedy się stresuje.

— Hej. — Chwytam palcami jej podbródek, żeby na mnie spojrzała.

— Ale co ja mam ci wyjaśnić?

Czuję, jak jej szczeka zaciska się co jakiś czas pod moim dotykiem. Pierwszy raz od tak dawna, kiedy patrzy na mnie tymi swoimi wielkimi oczami, dostrzegam, że jej tęczęwki są... niebieskie.

Ona jest, kurwa, smutna.

— Dlaczego jesteś smutna?

Co wywołało u niej taką emocję? Obserwowałem ją od tygodni i przez cały ten czas nie widziałem nic poza szarościami. Może za bardzo sugeruję się tymi kolorami, ale sama wspominała, że barwa jej tęczęwek zależy od jej samopoczucia.

Lizzy spuszcza wzrok, znów zaczyna nim gdzieś błądzić. Jej palce wciąż płaczą się ze sobą, dlatego zamykam chude dłonie dziewczyny w swoich.

Parker jeszcze mocniej ściska zębami wewnętrzną stronę policzka. W tym momencie wydaje się wręcz zagubiona, a kiedy nasze spojrzenia znów się spotykają, odnoszę wrażenie, jakby chciała mnie za coś przeprosić. Tyle że, kurwa, nie mam pojęcia za co.

Nagle Lizzy wyswobadza dłonie z moich rąk i z głośnym skrzypnięciem spowodowanym odsuwaniem krzesła wstaje na nogi. Przez chwilę patrzę na nią uważnie, po czym robię dokładnie to samo. Wchodzimy do domu. Nie mówi nic, więc to chyba oznacza, że powinienem za nią iść.

Bose stopy blondynki odbijają się od płytek, kiedy na palcach zmierza do schodów. Zauważyłem któregoś dnia, że Parker zawsze chodzi na palcach. To taka mała rzecz, ale zastanawia mnie dlaczego, bo ja na przykład zawsze zaczynam od pięty i...

Dobra, jestem popierdolony, nieważne.

W ciszy wspinamy się na piętro. Skupiam wzrok na plecach Lizzy, choć kilka razy niekontrolowanie spada trochę niżej. Cholera, wygląda naprawdę dobrze w tej sukience.

Parker wchodzi do swojego pokoju. Zostawia uchylone drzwi, więc idę za nią.

Rozglądam się po przestronnym pomieszczeniu — i okej, trzeba przyznać, że ma tutaj naprawdę ładnie. Łóżko, toaletka, biurko, półka po brzegi wypchana książkami, pełno zdjęć i dwie pary drzwi. Jedne są uchylone, a w środku widzę zawieszona ubrania, więc to pewnie jej garderoba.

Po szybkich oględzinach wracam wzrokiem na dziewczynę, która teraz wyjmuje z szuflady jakąś rzecz. Przez chwilę wpatruje się w coś, co trzyma w ręku. Jej ramiona unoszą się i opadają, natomiast z ust ulatuje głośne westchnienie.

— Kiedy byłem mała, dostałam od taty dziennik — odzywa się nagle i odwraca twarzą do mnie. Spuszczam wzrok na jej dłonie, w których ma jakieś kartki. — Należał do mamy — dodaje cicho.

Do czego ona zmierza?

— Margaret zapisywała w nim wszystko. Są tam wpisy odnośnie do jej samopoczucia, uczuć... — wyjaśnia powoli. Wygląda przy tym tak, jakby cały czas badała moją reakcję.

Rzecz w tym, że ja nie wiem, o co chodzi.

— Kiedyś, podczas czytania, zorientowałam się, że w dzienniku brakuje kilku kartek. Stwierdziłam, że może wyleciały albo mama je wyrwała, bo... Nie wiem, powodów mogło być wiele. — Patrzy znów na papier. Jest cholernie zestresowana i to sprawia, że ja też czuję niepokój.

— Ale tak nie było, prawda? — domyślam się, bo to jest jedyne logiczne wytłumaczenie tego, że teraz trzyma w ręku jakieś kartki.

Lizzy prawie niewidocznie kiwa głową.

— Kilka dni temu dostałam je od Natalie. Stwierdziła, że teraz, kiedy prawda wyszła już na jaw, powinnam zaznajomić się z niektórymi faktami.

— Jakimi faktami?

Okej, czyli to jednak ma jakiś związek ze mną. Inaczej przecież nie chciałyby mi tego pokazać, prawda?

Lizzy opiera się tyłkiem o szafę za nią, cały czas śledząc wzrokiem to, co znajduje się na papierze. Ja wciąż stoję w odległości jakichś dwóch metrów i czekam cierpliwie.

Parker chrząka cicho, a kiedy unosi na mnie spojrzenie, mam wrażenie, jakby w tych błękitnych tęczęwkach osadził się cały ból, jaki obecnie odczuwa.

— W tym dzienniku Margaret wylewała swoje żale, przemyślenia... po prostu to, co leżało jej na sercu. — Ignoruje moje pytanie, co jakiś czas przestępując z nogi na nogę. — Po zapoznaniu się z tym wszystkim potrzebowałam czasu, żeby ułożyć sobie jakoś w głowie... te informacje. Przepraszam.

Milczę.

Lizzy odpycha się od komody i podchodzi do mnie. Ręka, w której przez cały ten czas trzymała kartki, zawisa między naszymi ciałami.

— Myślę, że powinienesz wiedzieć — mówi cicho.

Mam wrażenie, jakby ktoś w tym jednym momencie odciął mi dopływ tlenu.

Parker patrzy na mnie tymi swoimi wielkimi oczami, a ja nie potrafię powiedzieć słowa. O czym powinienem wiedzieć? Co znajduje się na papierze? Czy jest tam wzmianka o mnie? Z pewnością. Inaczej nie chciałyby mi tego pokazać, prawda? To jedno zdanie wywołało w moim umyśle kurewskie zamieszanie i teraz już nie jestem pewien, czy chcę to zobaczyć, chociaż wiem, że to najlepsza decyzja.

Po kilkudziesięcioszekundowej ciszy odbieram w końcu kartki z rąk Lizzy, cały czas na nią patrząc. Waham się przed spojrzeniem w dół. Zapisane na nich słowa są myślami jej matki. Czego mogę się dowiedzieć? Kurwa, za chuja się tego nie spodziewałem, gdy zaczynałem z nią rozmowę na tym jebanym tarasie. Do głowy by mi nie przyszło, że chodzi o pierdolone papiery z dziennika Margaret.

— Pamiętaj, że po wszystkim ja nadal tutaj będę.

— Co? — Mój głos w tym momencie tak bardzo odbiega od normalnego, że kompletnie go nie poznaję.

Parker nie odpowiada. Zaciska usta w wąską linię, dlatego nie myśląc już więcej, spuszcza wzrok na zapisane słowa.

„17.04.1996 r.

Dziś dowiedziałam się, że Lorraine spodziewa się drugiego dziecka. Jestem pierwszą osobą, z którą podzieliła się tą informacją. Sama nie wiem, jak się z tym czuję. Cieszę się, oczywiście, ale jednocześnie mam mętlik w głowie i w sercu. Zastanawiam się, co na to wszystko Dominic...”

Przewracam kartkę na drugą stronę.

„25.04.1996 r.

Dziś, po raz pierwszy od czterech miesięcy, porozmawialiśmy. Po raz pierwszy znaleźliśmy się w jednym pomieszczeniu zupełnie sami. Po raz pierwszy widziałam jego twarz z bliska, i nie mogę powiedzieć, że nie tęskniłam — tęskniłam, bardzo. Za jego głosem, spojrzeniem, dotykiem, obecnością ogólnie. Dominic jest moją bratnią duszą. Kocham Go i cieszę się, że w końcu wyjaśniliśmy sobie niektóre kwestie. Cieszę się, że po tym wszystkim między nami znów będzie normalnie. Że cieszy się razem z nami z kolejnej ciąży Lorraine. Myślę, że w sylwestra zrobił to pod wpływem impulsu. Poczul się źle, dlatego powiedział te wszystkie słowa.

Tak. Jestem pewna, że tak właśnie było...”

Marszczę brwi. W mojej głowie pojawia się wspomnienie słów Lorraine: „Przysięgam na swoje dzieci, że dopadnę i ciebie, i ją”.

Czy Margaret i Dominic mieli romans?

„02.08.1996 r.

Od trzech godzin siedzę na dachu. Mam wrażenie, że wylałam już wszystkie łzy. Nie mam pojęcia, od czego zacząć. Jak powiedzieć Terrence’owi, że człowiek, którego szanuje i traktuje jak najlepszego przyjaciela, pocałował jego żonę... Nie chciałam tego. Nie chciałam po raz kolejny czuć dotyku jego warg na swoich. Jego usta parzyły wręcz moje. Próbowałam go odepchnąć, chciałam, aby przestał, ale był silniejszy. Próbuję zgonić to wszystko na wypity przez niego alkohol. Chcę myśleć, że właśnie to było powodem jego zachowania. Że jutro będzie żałował tego i wypowiedzianych przy tym słów.

Jak on śmie mówić mi, że wolalby mnie zamiast Lorraine? Jak może być tak okrutny i niszczyć naszą przyjaźń i małżeństwa? Niejednokrotnie powtarzałam mu, że dla mnie jest niczym brat. Nie kłamałam. Właśnie w ten sposób go traktuję...

Ale dlaczego, mimo to, niezmiennie myślę o jego ustach?”

Bicie mojego serca przyspiesza, a w ustach robi się zajełbieć sucho.

Patrzę na Lizzy, która przez cały ten czas uważnie mnie obserwuje.

Biorę głęboki oddech.

„01.01.1996

Przysięgam, że ten rok zaczęłam w najgorszy z możliwych sposobów. Chcę płakać, i krzyczeć, ponieważ jest mi tak bardzo źle na duszy.

Dzisiejszej nocy, po wypiciu kilku drinków za dużo, Dominic wziął mnie w ustronne miejsce, aby porozmawiać. Był pijany, czym staram się go za wszelką cenę usprawiedliwić. Mam nadzieję, że wyznanie mi uczuć było spowodowane jedynie alkoholem płynącym w jego żyłach.

Nie wiem, czy chcę z nim rozmawiać. Nie wiem, czy mam w sobie tyle odwagi, aby zapytać, co tak naprawdę miał wtedy na myśli”.

„10.01.1996

Nie rozmawiamy już dziesięć dni. Boli mnie serce. On naprawdę mnie kocha w TEN sposób...”

„17.02.1996

Czterdzieści osiem dni milczenia.

„14.10.1996

Terrence nigdy mi tego nie wybaczy.”

Wstrzymuję oddech.

„21.10.1996

Czas, jaki spędzam w odosobnieniu, dobrze mi robi. Dzięki temu mogę spokojnie przemyśleć wszystko, co wydarzyło się w ostatnim czasie. Nasze zbliżenie nigdy nie powinno mieć miejsca. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego to zrobiłam. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego w tej jednej chwili pragnęłam jego ust i dotyku. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego nadal czuję jego gorący oddech na swojej skórze, ale jedno jest pewne — to już nigdy się nie powtórzy. Musimy zakończyć tę farsę. Za kilka dni na świat przyjdzie jego drugi syn.

Nadal mam mętlik w głowie. Nadal nie wiem, czy powiem o wszystkim Terrence'owi. Kocham go całym sercem i zdecydowanie nie chcę stracić. Chciałabym porozmawiać z kimkolwiek, kto mógłby mi doradzić. Chciałabym wiedzieć, co zrobić, ale przecież nie pójdę do Lorraine, Natalie czy Josephine, a to one są mi najbliższe...

Nie, kurwa, nie.

„08.12.1996 r.

Dziś odwiedziła mnie Lorraine. Była tak szczęśliwa, z maleństwem na rękach. Moja potrzeba zostania matką wzrasta z każdą chwilą coraz bardziej.

Martwi mnie tylko zachowanie Dominica. Podczas jednej z wizyt Lorraine dowiedziałam się, że na początku ciąży namawiał ją do aborcji. Ta informacja mną wstrząsnęła, a teraz, kiedy przyglądam mu się uważniej i gdy widzę, z jakim obrzydzeniem patrzy na małego Chase'a, chce mi się płakać.

Po tym wszystkim, co między nami zaszło, ustaliliśmy, że zamilkniemy już na zawsze. Po prostu zdecydowaliśmy się zamknąć pewną szufladę i wrócić do swojego życia. Ja naprawdę żałuję tej chwili słabości. Moje uczucia do Terrence'a się nie zmieniły. Nadal jest mężczyzną moich snów. Nadal kocham go na zabój, ale problem polega na tym, że moje uczucia do Dominica nie osłabły.

Czy można kochać dwóch mężczyzn jednocześnie?”

Unoszę wzrok znad kartki, czując się totalnie odcięty od rzeczywistości. Parker cały czas patrzy na mnie, badając reakcję. Moje serce bije w zajebiście szybkim tempie, a nogi są jak z waty, bo kurwa, jeśli dobrze przeczytałem, mój stary przespał się z matką Lizzy.

Oni serio mieli jebany romans.

— Byłam w równie dużym szoku — mówi cicho, jakby czytała mi w myślach.

Mój wzrok błądzi po jej twarzy, szukając żartu w tym wszystkim. Chciałbym, żeby powiedziała, że to nieprawda, że nasi starzy wcale nie robili w chuja Terrence'a i Lorraine. Ale to nie nadchodzi, dlatego spuszczam głowę, z gulą w gardle kontynuując czytanie.

23.02.1997 r.

Minęły cztery miesiące, a on nadal nie wziął małego na ręce. To wszystko moja wina. To przede mną ma do Chase'a takie podejście. Wyrzuty sumienia męczą mnie każdego dnia. Nocami nie mogę spać, a dotyk Terrence'a parzy, gdy w głowie pojawia się wspomnienie JEGO dłoni. Nie potrafię nad tym zapanować. Chcę wyrzucić to uczucie ze swojego serca. To nigdy nie powinno się wydarzyć.

Mam nadzieję, że następny test wyjdzie pozytywny. Mam nadzieję, że w końcu zajdę w upragnioną ciążę z Terrence'em, a mój umysł wróci na właściwe tory. Nie chcę Go kochać.

10.02.1998 r.

Znów to zrobiłam. Choć zarzekałam się, że już nigdy więcej sobie na to nie pozwolę, znów skończyłam w JEGO ramionach. Po raz kolejny dałam się pochłonąć. I najgorsze w tym wszystkim jest to, że tęskniłam. Za jego dotykiem i pocałunkami. Za nim ogólnie. Ja naprawdę tego chciałam. Zrobiłam to świadomie i nawet przez sekundę nie pomyślałam o mężu ani córce.

Jestem złym człowiekiem. Zasluguję na potępienie.

Mój wzrok uważnie skanuje trzy ostatnie słowa. Tutaj długopis dociśnięty jest trochę mocniej, jakby Margaret chciała zaakcentować to, co ma na myśli.

Zaciskam palce na kartce, nie potrafiąc nic powiedzieć. Odtwarzam sobie wszystko, co przeczytałem, starając się jakkolwiek zebrać do kupy nowe informacje.

Jeśli dobrze zrozumiałem, mój stary był zakochany w matce Lizzy. Ona jednak kochała Terrence'a, ale jakimś jebanym cudem przespała się z Dominikiem, i do niego też coś w końcu poczuła. Wszystko to wydarzyło się, kiedy oboje mieli już swoje rodziny. Ja jebię.

— Mój ojciec znalazł ten dziennik po śmierci Margaret. To właśnie wtedy dowiedział się o ich

romansie. Gdy tamtego dnia Omar przyszedł na Channel Road i powiedział te wszystkie słowa, pomyślałam, że może faktycznie coś między nimi było, że może raz... Ale jak się okazuje, to zdarzyło się już dwa lata wcześniej. Zdarzyło się nie raz, a dwa razy, chociaż kto wie, może nawet więcej... — cichy głos Lizzy dociera do moich uszu, dlatego spoglądam na nią. — Musiałam to przetrwać — dodaje po chwili.

Dominic nigdy mnie nie chciał. Wolał pieprzyć własną przyjaciółkę, zdradzić żonę i najlepszego przyjaciela. Jakie to, kurwa, obrzydliwe.

Przypominam sobie, jak byłem z Lizzy w Bangor. Wtedy Theresa powiedziała mi, że jesteśmy jak oni. Że oni zawsze wyglądali tak, jakby ze sobą byli, i budzili kontrowersje. Czy ona wie, że faktycznie mieli romans? Czy jest świadoma, że Dominic zdradził jej córkę? Tak naprawdę sam fakt, że się powiesił po morderstwie Margaret, powinien dać wszystkim dużo do myślenia.

Dominic popełnił samobójstwo, bo jego miłość do Margaret była tak silna, że wolał umrzeć, niż żyć dalej bez niej.

— Rozumiem — odpowiadam tylko. Prawda jest taka, że nie wiem, co innego mógłbym powiedzieć. Jestem skołowany.

W przeciągu dwóch dni dowiedziałem się, że Lorraine jest pod okiem Rumelego i prawdopodobnie to on odpowiada za brak jakiegokolwiek poprawy w kwestii jej zdrowia, a następnie przeczytałem spisane myśli samej Margaret Parker, która bzykała się z moim starym. Co za jebany cyrk.

— Chase. — Głos Lizzy po raz kolejny sprowadza mnie na ziemię.

Spuszczam wzrok na trzymany w ręku papier i dopiero teraz orientuję się, że go zgmiotłem. Nawet nie wiem, kiedy to się stało.

Przełykam ślinę, po czym unoszę głowę, żeby znów spojrzeć w oczy dziewczyny. Błękit jej tęczówek jest tak rażący, że ciężko oderwać się od niego chociażby na chwilę. Smutek zdominował ją zupełnie, i kompletnie mnie to nie dziwi. Przez te wszystkie lata żyła w przekonaniu, że jej matka była kobietą idealną, aby w końcu dowiedzieć się, że zdradzała męża z moim ojcem.

Niespodziewanie Lizzy wrywa kartki z moich rąk i rzuca je gdzieś za swoje plecy. Jej chude ręce oplatają ciasno moją szyję, a podbródek wbija się w kości. Odruchowo chwytam ją w pasie, kiedy stoi przede mną na palcach. Czuję ciepło jej ciała, jej oddech na swojej skórze, która po raz kolejny płonie.

W głowie znów mam pustkę. Jak zawsze, gdy jest blisko, wszystkie zmartwienia odchodzą na bok i nie myślę o całym tym gównie.

— Pomyślałam, że możesz tego potrzebować — mamrocze mi do ucha, dlatego przyciskam ją do siebie tak mocno, jak tylko mogę.

I chociaż nie powiedziałem wtedy słowa — potrzebowałem. Kurewsko tego potrzebowałem. Teraz też potrzebuję.

Rozdział 16

CHASE

Zaciągam się papierosem i spoglądam na stojącą obok mnie dziewczynę.

Jej włosy rozwiewa wiatr, a szczęka zaciska się co jakiś czas, kiedy ze skupieniem lustruje budynek, przed którym właśnie stoimy. Szarość całkowicie wypełnia jej duże oczy, więc nie jestem w stanie stwierdzić, co może chodzić jej po głowie.

Czy naprawdę wizyta w tym miejscu jest dla niej czymś obojętnym? Czy kompletnie nie robi to na niej wrażenia? Tęczówki Parker mówią jedno, ale mowa ciała pokazuje coś zupełnie innego, dlatego nie potrafię tego rozgryźć. Chcę wiedzieć, co myśli. Chcę poznać każdą jej obawę i zmartwienie, tylko... Kurwa, jak mam to zrobić, skoro ta dziewczyna buduje wokół siebie niewidzialny mur? Skoro — mimo chwilowych przebłysków emocji — za chwilę znów znika za powłoką obojętności?

— Ładny — mówi po wielu minutach dłużej się ciszy.

Nie patrzy na mnie, więc znów przenoszę uwagę na stojący po drugiej stronie ulicy dom. Nie jest duży. Powiedziałbym raczej, że zajębiście mały w porównaniu z innymi, jakie tu widziałem. Zbudowany z jasnego drewna, z werandą, różnego rozmiaru oknami i wypielonym ogródkiem. Krótko mówiąc — typowy. Taki amerykański.

— Taa, może być — komentuję z grymasem, bo w sumie nie wiem, co innego mógłbym powiedzieć o miejscu, w którym zginęła jej matka.

Znowu na nią zerkam, ale tym razem ona też spogląda na mnie. Kąciki jej ust wykrzywają się w uśmiechu i choć wiem, że go wymusza, choć w żadnym stopniu nie dociera on do oczu — lubię na niego patrzeć. Dzięki niemu zapominam na chwilę o tym całym gównie.

— Jesteś gotowy? — pyta cicho, obserwując moją twarz.

„To chyba ja powinienem zadać ci to pytanie” — myślę sobie.

— Jest mi to kurewsko obojętne — odpowiadam.

Parker przewraca oczami w ten typowy dla niej sposób. Zauważyłem, że ostatnio robi to częściej niż zwykle, co jest całkiem zabawne.

— Idziemy?

Uśmiecham się tylko i ruszam przed siebie z dziewczyną u boku. Włosy co jakiś czas wpadają na jej twarz, jednak nie wydaje się tym przejmować. Z wciśniętymi w kieszenie dłońmi przemierza drogę, wyraźnie zamknięta w swojej głowie.

W ciszy pokonujemy wąską, kamienną ścieżkę i wchodzimy na werandę. Mój wzrok na dłuższą chwilę zatrzymuje się na drewnianych drzwiach pomalowanych białą farbą. Sięgam do tylnej kieszeni, by wyjąć pęk kluczy pożyczonych od Terrence’a.

Przez te wszystkie lata mój rodzinny dom został nienaruszony. Ojciec Lizzy stwierdził, że zachowa go na wypadek, gdybyśmy ja albo Aiden zdecydowali się w nim zamieszkać. Osobiście uważam, że Parker jest całkiem rozgarniętym człowiekiem, ale kurwa, ta myśl mnie rozbawiła. Jak, do chuja, miałbym wrócić do miejsca, w którym wydarzyło się tyle gówna? Do miejsca, w którym mieszkał taki skurwiel, nazywany przez niektórych moim ojcem?

Wyszukuję odpowiedni klucz, wciskam go do zamka i dwukrotnie przekręcam w prawo. Słyszę ten specyficzny dźwięk informujący o odblokowaniu się drzwi. Chwytam za klamkę i otwieram je. Ramię Lizzy styka się z moim, kiedy w milczeniu przygląda się długiemu korytarzowi przed nami. Na końcu znajdują się oszklone drzwi, prowadzące chyba na taras z tyłu domu.

— Ładnie — powtarza.

— Taa, może być.

Daję trzy kroki w przód, odpychając na bok wszystko, co męczy mój umysł. Prawda jest taka, że nie mam pojęcia, dlaczego tu jesteśmy, ale skoro Parker tego chciała — nie zamierzałem się kłócić.

Robię to tylko dla niej. Sam nawet bym o tym nie pomyślał. Nie przepadam za wycieczkami.

Korytarz, w którym się znajdujemy, pokrywa tapeta w kwiaty. Z prawej strony ustawione są fotel, jakaś szafka, i to by było na tyle. Na wprost nas znajdują się schody, a na obu ścianach dokładnie naprzeciwko siebie dwa wejścia do jakichś pomieszczeń. Ogólnie na pierwszy rzut oka przypomina mi to trochę nasz dom w Crosby, chociaż tamten jest zdecydowanie większy. Mówię tu raczej o ustawieniu. Zresztą nieważne.

Parker zamyka drzwi i w środku robi się o wiele ciemniej. Dziewczyna pewnym krokiem rusza przed siebie i znika w przejściu po prawej. Nie myśląc wiele, idę za nią. Tak jak podejrzewałem, jest tam kuchnia. Normalna. Taka typowa i drewniana. Są tu wyspa, stół, jakieś pierdoły i dziecięce krzesło do karmienia.

Parker obraca się wokół własnej osi z kamiennym wyrazem twarzy, a kiedy zatrzymuje swój wzrok na mnie, szarość niezmiennie dominuje w jej oczach.

Przez chwilę stoję tak i czekam, aż coś powie, ale milczy. Po prostu przygląda mi się w ciszy, wzdycha, po czym wymija mnie i idzie do kolejnego pomieszczenia, tego naprzeciwko kuchni — salonu. Zwykłego, przeciętnego pokoju dziennego ze starym telewizorem, beżową kanapą, stolikiem kawowym, kątem z zabawkami i półką z książkami. Nic specjalnego.

Nim się orientuję, Lizzy już nie ma. Do moich uszu docierają ciężkie kroki, a to oznacza, że wchodzi na piętro. Zaczynam się trochę niepokoić, bo kurwa, ona nic nie mówi. Jej twarz wiele nie wyraża, a co najważniejsze — nadal nie mam pojęcia, co tu robimy.

Wspinam się na górę. Drugi korytarz też jest podobny do tego w Crosby, z tą różnicą, że ten na końcu ma okno. Ruszam w stronę otwartych drzwi po prawej. Dostrzegam stojącą przy szafce Parker. Patrzy na coś, dlatego daję sobie chwilę, żeby obejrzeć pomieszczenie.

Należało chyba do moich starych. Na wprost drzwi jest duże łóżko, z prawej jakieś meble, a z lewej ta półka, do której podchodzę. Dopiero teraz orientuję się, że Lizzy trzyma coś w ręce. Zerkam więc przez ramię na zdjęcie, któremu się przygląda.

— Twoja mama jest naprawdę piękna — odzywa się po raz pierwszy od chwili, kiedy znaleźliśmy się w środku domu.

Wyteżam wzrok, żeby przyjrzeć się fotografii. Przedstawia Lorraine. Wygląda tutaj inaczej, młodziej, no i mniej obłąkanie niż teraz. Na jej ustach maluje się szeroki uśmiech. Siedzi na kanapie, na rękach trzyma dziecko. Obok niej jest jakiś mały gówniarz i kurwa — czy bachory mogą wyglądać gejowsko? Bo przysięgam, że Aiden wyglądał tak już wtedy.

— Warren nic się nie zmienił. Nadal wygląda jak zjeb. Nie to co ja. Wyprzystojniałem — mówię na głos to, co właśnie chodzi mi po głowie. Chcę w końcu rozładować trochę atmosferę.

Lizzy zadziera głowę, żeby na mnie spojrzeć, a na jej ustach maluje się głupi uśmieszek. Patrzy na mnie z politowaniem. Widzę, że z trudem hamuje parsknięcie śmiechem, i to mnie cieszy, bo nie chcę, aby ciągle chodziła taka poważna albo smutna.

— Jesteś niemożliwy — śmieje się cicho, wracając wzrokiem na ramkę ze zdjęciem.

Odkłada ją na miejsce, a kiedy odwraca się na pięcie, wpada na mnie. Odruchowo kładę dłonie na jej ramionach. Oddycha trochę szybciej niż wcześniej. Chyba myślała, że się odsunąłem.

Dziewczyna patrzy na mnie z dołu z wymalowaną na twarzy powagą, która już po chwili przemienia się w niewielki uśmiech.

— Nie widziałam.

— Wiem — odpowiadam równocześnie z jej stwierdzeniem, bo podejrzewałem, co opuści jej usta.

Lizzy przetyka wyraźnie ślinę, nie ruszając się z miejsca. Mimowolnie zatrzymuję wzrok na jej wargach. Kurewsko tęsknię za ich smakiem i dreszczami, jakie wywołują swoim dotykiem. Chciałbym doświadczyć tego jeszcze raz, jeszcze trochę.

„Może to i lepiej. Może dzięki temu mniej będzie cierpiała” — w mojej głowie odzywa się ta rozsądniejsza część mnie.

Unoszę rękę, palcami delikatnie zaczesuję kosmyk, który już od wejścia do domu leżał na jej twarzy. Obserwuję, jak powieki Lizzy przymykają się na to doznanie. To jest zajebiście dobre —

patrzenie na nią w tym stanie.

— Naprawdę ładnie ci w tych włosach — wypalam bez namysłu, za co mam ochotę wziąć rozbieg i przywalić łbem w ścianę, bo kurwa, serio?

— Dziękuję — mówi tym swoim słodkim głosem, który za każdym razem pobudza moje zmysły.

Nie wiem, jak długo tak stoimy, gapiąc się na siebie, ale kiedy dociera do mnie, że to przecież ja ją przytrzymuję, chrząkam i daję krok w tył. Parker posyła mi ostatni uśmiech, po czym rusza w stronę wyjścia na korytarz. Otwiera drzwi naprzeciwko.

Idę za nią.

Moje nogi poruszają się leniwie, bo naprawdę nie mam ochoty tu być, przyszedłem tu tylko dla niej. Ostatnimi czasy każdy kolejny krok, jaki stawiam, robię z myślą o tej pieprzonej dziewczynie. Wczoraj, kiedy znów leżałem sam w jednym z pokoi, w mojej głowie pojawiła się niebezpieczna myśl, którą wywołało przeczytanie kartek z dziennika Margaret.

Jeśli dobrze zrozumiałem, mój stary zakochał się w matce Lizzy do szaleństwa. Zaszło to tak daleko, że skurwiel popełnił samobójstwo, nie mogąc bez niej żyć. Wolał umrzeć, wolał osierocić dzieci i zniszczyć wszystko, co zbudował, byle tylko nie spędzić kolejnego dnia w samotności. Najgorsze w tym całym gównie jest to, że ja czuję do Lizzy dokładnie to samo.

Następny pokój, do którego wchodzę, jest przestronny. Pod oknem stoi małe, jednoosobowe łóżko. Na wprost drzwi swoje miejsce ma domek, a w nim są jakieś zabawki. Prawą ścianę zajmują meble, półki, na których ustawione są jakieś misie i książki.

— To chyba był pokoik Aideny. — Lizzy mówi na głos to, o czym właśnie pomyślałem. — Uroczy. — Zerka na mnie.

Wzruszam tylko ramionami. Jest w porządku.

Wciskam dłonie w kieszenie i zagryzam wnętrze policzka. Jeśli to pomieszczenie należy do Warrena, gdzieś tam znajduje się też moje miejsce. To, w którym zasypiałem czy coś. Przynajmniej tak mi się wydaje. Nie wiem.

Parker po raz kolejny obraca się wokół własnej osi, omiatając wszystko wzrokiem. Kiedy zatrzymuje się naprzeciwko mnie, znów uśmiecha się lekko.

Nagle podchodzi i splata palce z moimi. Na ten gest serce od razu szybciej mi bije, a w ustach robi się zajębiście sucho. Kompletnie się tego nie spodziewałem.

Dlaczego to zrobiła?

Jej dłoń zaciska się, gdy przekraczamy korytarz. Przez cały czas idę za nią, próbując jakoś ogarnąć myśli, które zaczęły szaleć jak popieprzone. Włosy Parker poruszają się delikatnie z każdym krokiem. Tylko na tym się skupiam. Na niej, na jej dotyku, na ciepłe jej skóry. Nic innego nie ma znaczenia.

Lizy podchodzi do kolejnych drzwi po lewej, a gdy orientuje się, że jest to łazienka, zamyka je. Bez słowa odwraca się, poprawia uścisk i idzie do ostatniego wejścia, które znajduje się na piętrze. Podświadomie już wiem, co tam jest. Domyślam się tego, ale za chuja nie potrafię poczuć czegokolwiek, bo ona jest blisko. Dzięki niej w moim wnętrzu panuje spokój.

Dziewczyna zaciska dłoń na klamce, wstrzymując się chwilę z otwarciem drzwi. Wzdycha cicho. Wiem, że i ona zdaje sobie sprawę, co kryje się za nimi.

Z bałaganem w głowie, ale jebanej ciszy w duszy wchodzę z nią do pokoju. Mimowolnie mocniej ściskam jej rękę. Dajemy trzy kroki w przód i rozglądamy się po ścianach.

Na wprost nas stoi kołyska. Zwykła, drewniana, z niebieskim posłaniem. Po prawej znajdują się przewijak i komoda, a z lewej zielony fotel. Na jego oparciu zawieszony jest jakiś materiał. Kurwa, nawet to jest nienaruszone. Minęło kilkanaście lat, a tutaj wszystko wygląda tak, jakby dosłownie przed chwilą ktoś z tego pokoju wyszedł. Nawet kurzu nie ma. W ogóle cały ten dom sprawia wrażenie zamieszkałego. To takie pojebane, bo przecież jego właściciel nie żyje, żona znajduje się w zakładzie psychiatrycznym, a dzieciaki rozrzucone są po świecie. Nie ma w tym nawet krzty normalności, której iluzję daje każde z tych pomieszczeń.

Lizy podchodzi do komody, gdzie ustawione zostały jakieś pierdoły. Widzę tam pustą butelkę, książkę, lampkę i ramkę ze zdjęciem. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że jest to drugie, jakie się tutaj

znajduje.

— O mamó. — Z ust Parker wydobywa się coś na kształt cichego pisku, kiedy wyswabza dłoń z uścisku i chwyta w nią drewnianą oprawę.

Przysuwa ją sobie do twarzy, a ja z uwagą obserwuję szeroki uśmiech fascynacji malujący się na jej ustach. Szczerze, nie mam jebanego pojęcia, jak długo się tak na nią gapię, ale kiedy w końcu udaje mi się otrząsnąć, spuszcza wzrok na trzymaną przez nią fotografię. Przedstawia ona trójkę dzieci. Niewielkiego, może sześciolatniego dzieciaka, siedzącego obok niego, opartego o kanapę drugiego i dziewczynkę. Na bank jest to dziewczynka, bo ma na sobie różową sukienkę. Ten mały trzyma ją między swoimi nogami i patrzy na nią z góry z uśmiechem.

To ja, zerkający na Lizzy, a obok nas siedzi Aiden, który również ją obserwuje.

— Urocze — komentuję sarkastycznie, na co Parker parska rozbawiona.

— Widzisz? Już wtedy skradłam twoją uwagę — śmieje się pod nosem, po czym patrzy na mnie.

Tężeję.

Spokojna zieleń powoli wpływa na jej tęczołki. Nie jest ona czysta. Tak naprawdę jest ledwie widoczna, bo mimo wszystko nadal dominuje tam szarość. Udaje mi się jednak zauważyć niewielkie przebarwienia.

Patrzenie na to zdjęcie ją cieszy...

— Ta, pewnie znowu chciałaś powiedzieć coś idiotycznego — stwierdzam głupio, bo wiem, że wtedy była przecież za mała. Na tej fotce ma jakieś trzy miesiące.

— Ty pewnie przewróciłeś po tym oczami — docina, a ja mimowolnie robię właśnie to, o czym powiedziała.

Po raz kolejny spuszcza wzrok na zdjęcie i przygląda mu się jeszcze chwilę. Potem odkłada je tam, gdzie znajdowało się wcześniej, i przechodzi się po pokoju, dlatego podążam za nią spojrzeniem. Zaplatam ręce pod piersiami, z uwagą obserwując jej poczynania, kiedy przygląda się wszystkiemu. Chyba nawet ten jebany materiał zawieszony na fotelu jest dla niej interesujący.

Nie wiem, jak długo zajmują jej te oględziny, ale gdy rusza w kierunku wyjścia, po raz kolejny idę za nią. W ciszy zamykamy ostatnie drzwi na piętrze i bez słowa wracamy na parter. Zatrzymuję się przy ostatnim ze stopni, gdy Parker podchodzi jeszcze do drzwi prowadzących na taras i zerka przez szkło. Mój wzrok pada na kanister ustawiony obok.

Przez cały ten czas Lizzy wygląda na cholernie zafascynowaną wszystkim, dlatego dziwię się, kiedy nagle uśmiech z jej twarzy znika, a zamiast tego dostrzegam pewnego rodzaju... niepokój? Niepewność? Sam nie wiem.

Podchodzę do przejścia między salonem a korytarzem, w którym stanęła. Ręce ma wciśnięte w kieszenie bluzy, wzrokiem po raz kolejny lustruje pomieszczenie. Obserwuję jej lewy profil, starając się zrozumieć, co wpłynęło na tak niespodziewaną zmianę nastroju.

Już mam o to zapytać, gdy nagle moje oczy zatrzymują się na punkcie, który z pewnością skradł całą jej uwagę. Czuję gulę formującą się w moim gardle.

— Wcześniej tego nie zauważyłam — mówi cicho blondynka.

Nie odpowiadam.

Po prostu patrzę na znajdujący się w suficie hak.

To tutaj.

Prawdę powiedziawszy, w momencie gdy dowiedziałem się o morderstwie Margaret i samobójstwie Dominica, nie myślałem o tym, jak to wszystko wyglądało. Najnormalniej w świecie nie czułem potrzeby odtwarzania sobie tamtego dnia. Teraz jednak stoję w tym miejscu, patrzę na jebany hak, na którym wcześniej wisiała lampa, o czym świadczą wystające nieopodal kable — oczami wyobraźni widząc zdesperowanego gościa, zawieszającego na nim sznur, żeby się powiesić. Gdzieś na podłodze leży już martwa kobieta, w której ciele tkwi kula.

Dostrzegam to wszystko tak dobrze. Widzę każdą kolejną scenę, jaka odtworzyła się tutaj prawie dwadzieścia lat temu, i zdecydowanie nie podoba mi się ten film.

„Sukinsyn powinien przeżyć i cierpieć za życia” — myślę sobie.

Donośny huk sprawia, że odrywam wzrok od sufitu i patrzę na drzwi, które właśnie się zamknęły.

Dopiero teraz dociera do mnie, że Lizzy wyszła. W jak wielkim amoku musiałem być, że nawet się nie zorientowałem?

Bez chwili namysłu ruszam w tamtym kierunku i wychodzę na zewnątrz. Rozglądam się po opustoszałej okolicy, a kiedy patrzę w dół, moje oczy zatrzymują się na siedzącej na schodach dziewczynie. Dym papierosowy unosi się nad jej głową, a włosy lekko poruszają się na wietrze. Wyjmuję z kieszeni swoją paczkę fajek i siadam obok, odpalając jedną.

Przez kilka minut zaciągamy się w ciszy, obserwując drogę, na której kompletnie nic się nie dzieje.

— Chciałam się upewnić — mówi nagle.

Nie patrzy na mnie. Wygląda, jakby przebywała w swoim własnym świecie. Jej wzrok jest odległy, oderwany od rzeczywistości.

— Nie wiem, co wydarzyło się w zakładzie, gdy byłeś u Lorraine. Nie wiem i wiedzieć nie chcę. Ostatnio dzieje się wiele. Nie nadażam już i gubię się we własnej głowie, ale musiałam sprawdzić coś, o czym myślałam od chwili, kiedy przeczytałam kartki z pamiętnika Margaret — wyznaje, po chwili przenosząc szare spojrzenie na mnie. — Myślę, że Lorraine bardzo cię kochała. Myślę, że nadal cię kocha, wiesz? — Uśmiecha się lekko, podczas gdy ja próbuję przyswoić to, co opuściło jej usta.

— W czym chciałaś się upewnić? — pytam, bo nie do końca wiem, co miała na myśli.

Chciała upewnić się, że moja matka żywiła do mnie ciepłe uczucia?

Parker zaciąga się papierosem. Spomiędzy jej warg ulatuje ciche westchnienie, kiedy całą uwagę znów przenosi na drogę.

— We wszystkim. W tym, że to wydarzyło się naprawdę. — Wzrusza ramionami i opiera się łokciami o kolana.

Szczerze? Nie mam jebanego pojęcia, co teraz powiedzieć. W głowie mam pustkę. W sercu w sumie też. Nie czuję złości, żalu, smutku, szczęścia — niczego. Moje myśli pomieszały się już zupełnie, więc nie umiem skupić się na tej jednej, konkretnej. Ale może to i lepiej?

Gaszę niedopałek fajki butem i wstaję. Wysuwam z kieszeni pęk kluczy, po czym podchodzę do drzwi i je zamykam. Kiedy schodzę ze schodów, wyciągam w kierunku dziewczyny dłoń. Widzę konsternację na jej twarzy.

— Chodź — mówię tylko.

Nie pyta. Nie docieka. Ona nigdy tego nie robi z jednego prostego powodu.

Ufałaś mi.

Po raz kolejny tego dnia wplątnę swoje palce między jej, kiedy się podnosi. Teraz znów serce bije mi szybciej, a w środku czuję przyjemne ciepło.

Przyciągam dziewczynę bliżej siebie i wychodzę z posesji, po czym skręcam w prawo. Postanawiam zostawić zaparkowany po drugiej stronie ulicy samochód i wrócić po niego później.

Gdy jechaliśmy tutaj, zobaczyłem coś, co od razu przykuło moją uwagę. Jest niedaleko, dlatego nie ma sensu jechać autem, zresztą widziałem, że nie byłoby gdzie się tam zatrzymać.

Czuję na sobie wzrok Parker, kiedy idziemy wzdłuż drogi. Moje myśli krążą wokół wszystkiego, co wydarzyło się w przeciągu tych ostatnich kilku dni, a szczególnie skupiają się na słowach, które opuściły usta Lizzy chwilę temu.

Ona naprawdę próbowała sobie wmówić, że nasi starzy nigdy nie mieli romansu, a Dominic nie popełnił samobójstwa z miłości do Margaret. Ona naprawdę chciała się upewnić, że dom, w którym spędziłem dwa lata swojego życia — istnieje. Nie potrafię sobie wyobrazić, co musi teraz czuć, skoro cały czas żyła w przekonaniu, że jej matka była kobietą idealną. Pamiętam dzień, kiedy leżeliśmy na pieprzonej ulicy w środku nocy, a ona wyznała mi, że tęskni za nią każdego dnia. Teraz już wie, że tęskniła za kimś wyimaginowanym. Terrence, Natalie i cholera wie kto jeszcze z jakiegoś powodu zataili przed nią prawdziwe oblicze tej kobiety.

Czy Parker kochał swoją żonę na tyle mocno, że mimo wszystko nadal myślał o niej dobrze? Na to wychodzi.

Skręcam w trzecią przecnicę, zwiększając tempo.

Od momentu pojawienia się przeklętej Panny Niezależnej w Crosby wiele się zmieniło. Po raz

pierwszy od zerwania z Shannon poczułem coś... cokolwiek. Nie sądziłem, że z powodów, których nie rozumiem po dziś dzień, zacznę się dla niej starać. Nie spodziewałem się, że będę w stanie kłamać, żeby zabrać ją na jebany koncert. Że przefarbuję sobie nawet cholerne włosy, byle tylko pobyc z nią trochę dłużej. Dla niej zachowywałem się jak głupiec, ale kompletnie mi to nie przeszkadzało. Tak naprawdę to nadal o to nie dbam. Dla Lizzy mogę nim być. Mogę zrobić absolutnie wszystko, byle tylko była szczęśliwa.

— Powiedz mi, że to nie jest to, o czym myślę — odzywa się nagle.

Patrzę na nią w niezrozumieniu, po czym przenoszę wzrok na znajdujący się jakieś dwieście metrów dalej budynek. Uśmiecham się głupio.

— To jest to, o czym myślisz.

Pociągam ją za dłoń, jednak dziewczyna nie rusza się z miejsca.

— Nie, ja tam nie pójdę.

— A co? Nie umiesz?

Myślałem, że każdy tego spróbował chociażby raz w życiu.

Twarz Lizzy tężeje, gdy patrzy na mnie tymi swoimi wielkimi oczami. Zdecydowanie nie jest jej do śmiechu. Wiem, że nie powinienem, ale to sprawia, że chce mi się śmiać. Mimo to powstrzymuję się.

— Och, no nie bądź pizda, Parker. Będę trzymał cię cały czas za rękę i nie puszcę nawet na sekundę — zapewniam.

Dłoń dziewczyny ściska moją. Ona sama ze zgrozą przygląda się widokowi przed nami, a kiedy znów na mnie zerka, ma zaciśniętą szczękę.

— Obiecujesz? — pyta śmiertelnie poważnie, co w tej sytuacji jest całkiem... urocze?

— Obiecuję.

Lizy patrzy przez chwilę dość niepewnie, po czym wzdycha, dając mi tym znak, że się poddaje.

Wiem, że jestem popierdolony. Wiem, że to nieodpowiedni moment na to, żeby zabierać ją na lodowisko, ale muszę pomóc jej zapomnieć w normalny sposób, bez whisky czy innego gówna. Chociaż na chwilę.

Ciągnę dziewczynę w stronę wejścia do budynku. Wokół kręci się sporo ludzi. Na dworze jest gorąco, mimo że dochodzi szósta. Dawno nie byłem w takim miejscu. Ostatnio chyba ze znajomymi, gdy Monica chciała się nauczyć jeździć.

Wchodzimy przez oszklone drzwi. W środku panuje cisza. Na recepcji siedzi tylko jakaś starsza kobieta, a przez bramki przechodzi właśnie facet z dziecakiem. Posyłam Lizzy uśmiech, po czym ruszam w kierunku biurka. Szatynka po drugiej stronie unosi automatycznie kąciki ust, co wygląda sztucznie, ale ignoruję to, bo doskonale ją rozumiem. Mnie też nie chciałoby się siedzieć w pracy do tak późnej godziny.

— Dwa wejścia poproszę — rzucam bez jakiegokolwiek przywitania.

Niedługo potem jesteśmy już w wypożyczalni łyżew, a obsługujący ją facet dopasowuje rozmiary do naszych stóp. Przez cały czas patrzę na Lizzy, która niezbyt zadowolona z mojego pomysłu siada na ławce.

— Jeśli połamię sobie nogi, to później połamię też twoje, żeby nie było mi przykro — mamrocze pod nosem niczym naburmuszone dziecko.

— Oczywiście. — Przewracam oczami, bo chwilami jest prawdziwą królową dramatu.

Kiedy mamy już łyżwy na stopach, wstaję i podchodzę do Parker, podając jej rękę. Patrzy na mnie nieufnie, ale ostatecznie decyduje się skorzystać z pomocy. Wygląda, jakby zaraz miała się rozplakać, chociaż nawet jeszcze nie weszliśmy na lodowisko.

— Ale z ciebie panikara! — Parskam śmiechem.

„Przynajmniej skupia się w końcu na czymś innym niż problemy” — myślę sobie, nie potrafiąc pohamować uśmiechu.

— Zamknij się, dupku — burczy.

Ciągle obserwuje swoje stopy. Najchętniej puściłbym jej rękę, żeby trochę ją postraszyć, ale czuję, że wtedy naprawdę zaczęłaby wyć. Wydaje mi się, że to drugi raz, kiedy widzę ją w takim stanie. Pierwszy był oczywiście tamtej nocy z myszą w roli głównej.

— Czy ty serio nigdy nie jeździłaś na łyżwach? — pytam, gdy podchodzimy do barierki, za którymi jeżdżą inni.

Parker patrzy z przerażeniem na to, co odgrywa się przed jej oczami. Otwiera nawet usta. Wygląda, jakby zobaczyła ducha czy coś.

— Nie — odpowiada, nawet na chwilę nie odrywając wzroku od lodowiska.

— Jest tego jakiś konkretny powód?

Widzę, jak jej klatka unosi się ciężko i opada. Lizzy zerka na mnie kątem oka, zamyka na chwilę oczy, a kiedy znów je otwiera, wyrażają coś na kształt wstydu.

— Jestem łajzą. Nawet na rolkach jeździć nie umiem. Kiedyś, gdy spróbowałam, skończyłam ze zdartymi kolanami i czołem — wyznaje z taką powagą, że przez chwilę robi mi się jej szkoda.

Ale tylko przez chwilę.

— W takim razie cię nauczę. — Ponownie chwytam ją za rękę.

Teraz już na nią nie patrzę. Nie ukrywam, nadal bawi mnie trochę jej podejście do sprawy, ale nie zamierzam tego pokazywać. Każdy z nas ma przecież jakieś lęki, choć nie ukrywam, jej są kurewsko zabawne.

No bo na przykład ta mysz. Mały gryzoń, który nie jest w stanie zrobić człowiekowi krzywdy. Gdy Parker go widzi, panikuje jak mało kto. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem takiej reakcji. Teraz, z perspektywy czasu, cieszę się, że to wszystko się zdarzyło. Tamtą noc zapamiętam już do końca życia. Jeszcze nigdy nie spało mi się tak dobrze jak wtedy. Jeszcze nigdy nie powiedziałem tylu słów, które faktycznie miałem na myśli. To było dobre.

Trzymając mocno obie ręce dziewczyny, idę tyłem w kierunku lodowiska. Kiedy kątem oka dostrzegam stopień, podnoszę nogę i pomagam jej wejść na taflę. W międzyczasie rozglądam się dookoła, aby ocenić, jak wiele miejsca mamy dla siebie. Ku mojej uldze nie ma tutaj dużo ludzi. Może dzięki temu Lizzy będzie czuła się nieco pewniej, bo jest mniejsze prawdopodobieństwo, że ktokolwiek na nią wpadnie.

— Obiecuj, że nie upadnę — mówi drżącym głosem, nawet na sekundę nie spuszczać wzroku ze swoich łyżew.

— Obiecuję. Daj krok w przód — instruuję i sam wykonuję jeden w tył.

Robi dokładnie to, co nakazuję, piszcząc przy tym głośno.

— To może inaczej. Ustaw nogi na zewnątrz. Musisz odpychać się tą, na której masz ciężar ciała. To nie jest takie trudne, jak się wydaje. Spróbuj, a ja obiecuję, że przez cały ten czas będę cię trzymał — zapewniam kolejny raz, bo naprawdę nie chcę, żeby niepotrzebnie się stresowała.

— No dobra — stwierdza z nieco większym przekonaniem.

W mojej głowie pojawia się pewne wspomnienie, a raczej marzenie i obietnica, którą sobie złożyłem jako dzieciak.

Kiedy byłem małym gówniarzem, zawsze udawałem w domu, że drewniana podłoga jest lodowiskiem. Lubiłem tak się bawić, to pojebane, wiem. W każdym razie pamiętam, jak któregoś dnia powiedziałem sobie, że wezmę w takie miejsce Josephine. Że nauczymy się jeździć i będziemy tam często przychodzić, czego ostatecznie po dziś dzień nie zrobiliśmy.

Nie wiem, dlaczego o tym pomyślałem, patrząc na Parker. Tak jakoś mi się przypomniało.

— Dobra, nie było tak źle.

Parskam śmiechem. To wcale nie tak, że napieprzała w tych łyżwach jak powalona, a później już nawet nie byłem jej potrzebny. Prawda jest taka, że musiałem siłą ściągnąć ją z lodowiska, bo kończył nam się czas, ale ona kompletnie tego nie rozumiała.

— A tak dramatyzowałaś — mamroczę pod nosem i zaciągam się fajką.

— No, bo skąd miałam wiedzieć, że to jest takie fajne? — rzuca z entuzjazmem.

Czas, jaki spędziliśmy w tym miejscu, był naprawdę dobry. Nie rozmawialiśmy o niczym konkretnym, do tego widziałem, że Lizzy nie myśli o tym całym gównie. Przez ostatnie dwie godziny darła się, piszczała, płakała, krzyczała i śmiała na zmianę. To był mocny rollercoaster emocjonalny dla

niej i szkoła przetrwania dla mnie. Ale nie żałuję. Tak naprawdę to nawet nie lubię łyżew. Po prostu lubię spędzać z nią czas.

— Wiesz, jak tak dalej pójdzie, to w końcu będę lepsza od ciebie — stwierdza z dumą, kiedy patrzy tak na mnie z dołu.

Wykrzywiam wargi w uśmiechu. Wygląda jak mały dzieciak, który cieszy się z lizaka. Dawno jej takiej nie widziałem. Policzki ma zaróżowione, a oczy zielone i przepełnione ekscytacją.

— No już. Chciałabyś — droczyć się z nią, nie szczedząc sobie prychnięcia.

Uderza mnie pięścią w ramię.

— Jeszcze kiedyś ci pokażę — mówi z determinacją w głosie.

— Jasne.

Dopalam papierosa, Parker to samo robi ze swoim. Kiedy znów znajdujemy się przed domem Warrenów, gasimy je na chodniku. Mój wzrok pada na budynek, który nie tak dawno odwiedziliśmy. Kątem oka widzę, że i ona na niego patrzy.

Teraz, w świetle latarni, nie wygląda już tak samo. Jest spowity mrokiem i tajemnicą. Kiedy myślę o związanej z nim historii, chce mi się rzygać. Tutaj wydarzyło się zbyt wiele zła. Okej, może i spędziłem tu z Aidenem pierwsze lata życia, pewnie były też jakieś fajne chwile, ale co z tego? Co z tego, skoro mieszkający w nim człowiek był potworem? Właśnie w tym miejscu mój stary się powiesił, a matka Lizzy została zamordowana. Ten dom tylko z pozoru wygląda normalnie. W rzeczywistości jest przesiąknięty toksycznością, zdradą i tragedią.

— Nienawidzę tego miejsca — mówię.

Wciskam rękę do tylnej kieszeni spodni. Wymacuję w niej pęk kluczy i ruszam przed siebie. Parker idzie za mną.

Sprawnie wspinam się na werandę i po omacku celuję mosiężnym gównem w zamek. Przekręcam nim w prawo. Napieram dłonią na klamkę, a nogą pcham drzwi do środka.

Kiedy byłem tutaj wcześniej, zobaczyłem coś, co przykuło moją uwagę. Jestem popierdolony — nigdy nie twierdziłem, że jest inaczej — ale mam to w głębokim poważaniu.

Nie siląc się nawet na znalezienie włącznika światła, idę w kierunku znajdujących się naprzeciwko mnie oszklonych drzwi. Przez chwilę patrzę na widoczny po drugiej stronie taras. Oświetlony jedynie księżycem, wygląda po prostu w porządku. Cały ten dom tak wygląda, ale to bez znaczenia.

Nachylam się i biorę stojący przy ścianie kanister. Odkręcam go, a kiedy przysuwam bliżej, do moich nozdrzy dociera ostry zapach benzyny. Nie ma opcji, że stała w tym miejscu przez tyle lat. Jestem prawie pewien, że ktoś postawił ją tutaj o wiele później. Że ktoś pomyślał dokładnie o tym samym co ja, ale albo zabrakło mu odwagi, albo chciał, żebyśmy mieli okazję to zobaczyć.

Aiden też chciał to zrobić.

— Co to jest? — słyszę za plecami głos przyprowadzający moje serce o szybsze bicie.

Nie odpowiadam. Odstawiam baniak na podłogę i odwracam się przodem do stojącej za mną blondynki. Nie widzę dobrze jej twarzy, ale wiem, że ciekawi ją powód, dla którego znów tutaj jesteśmy.

Sięgam znów do tylnej kieszeni. Wyjmuję z niej coś, co towarzyszyło mi od samego rana. Zdaję sobie sprawę, że nieładnie jest grzebać w czyichś rzeczach, ale prawdę mówiąc, leżało to na jej łóżku, więc nie musiałem jakoś szczególnie szperać.

Wysuwam dłoń w kierunku dziewczyny. Parker odbiera ode mnie plik papieru i spuszcza wzrok. Wiem, że ograniczona widoczność jej nie przeszkadza i że od razu rozpoznaje te kartki.

— Podrzyj je.

— C-co?

— Zniszcz. Tak po prostu. — Wzruszam ramionami, bo w moim odczuciu jest to najlepsze wyjście.

Oczy Lizzy skierowane są wprost na mnie. Wyraźnie zastanawia się nad tym, czy faktycznie to zrobić. Moim zdaniem nie ma większego sensu trzymać gówna, które i tak nie zmieni już nic w naszym życiu. Matka Elizy zdradziła Terrence'a z moim starym. Nie cofniemy się w czasie i nie zmienimy biegu wydarzeń.

Obserwuję, jak ręce blondynki obracają kilkakrotnie trzymany papier, a chwilę później słyszę ten specyficzny dźwięk darcia. Przez cały czas jej uwaga skupiona jest na mnie i trwa to do chwili, gdy wszystkie kawałki lądują na podłodze.

Uśmiecham się lekko.

Po raz kolejny w przeciągu tych kilku minut biorę odkręcony kanister i wymijam ją. Idzie za mną. W ciszy wyczekuje kolejnego ruchu. Obrusza się, gdy w nikłym świetle księżycy wychylam zbiornik przed siebie, a z jego wnętrza wylatuje spora część benzyny.

— Co ty wyprawiasz, do cholery?! — pyta wysokim głosem i jestem pewien, że teraz zakryła ręką usta.

Patrzę na nią przez ramię i unoszę kąciki ust wysoko.

— Jak to co? Palę to kurestwo — mówię z nieopisanym spokojem.

Parker nie odpowiada. Czuję na sobie jej świdrujące spojrzenie, kiedy kolejne plamy benzyny tworzą się na drewnianej podłodze. Upewniam się, że substancja znajdzie się na meblach, pieprzonym krzeselku do karmienia i ścianach. Następnie przechodzę do salonu, gdzie robię dokładnie to samo co w kuchni. Leję benzynę wszędzie, ale szczególnie skupiam się na miejscu, nad którym wisi hak. Jebany hak, na którym powiesił się mój popierdolony stary, niszcząc tym samym życie stojącej za mną dziewczyny.

Mam nadzieję, że smaży się w piekle.

Cofam się, wciąż rozlewając benzynę po podłodze. Wiem, że Lizzy jest obok. Czuję jej obecność i zapach. Używa perfum, które kojarzą mi się tylko z nią. Nie potrafię dokładnie ich opisać, ale wyłapuję na przykład cynamon. Pojebane. Nigdy nie czułem u nikogo czegoś takiego.

Wróciwszy do miejsca, w którym znajdują się podarte przez nią skrawki papieru, upewniam się, że tam substancji będzie najwięcej. Zmierzam w kierunku wyjścia, po czym rozlewam benzynę na werandzie. Chcę mieć pewność, że nic nie zostanie odratowane.

Eliza milczy. Obserwuje moje poczynania, gdy schodzę ze schodów, tym razem tworząc wąską, moką ścieżkę. Zatrzymuję się w momencie, kiedy moje stopy stykają się z chodnikiem. Unoszę wzrok na budynek przede mną, czując już tylko intensywny zapach etyliny. Rzucam baniakiem w stronę domu.

— Jesteś tego pewien? — pyta bez emocji, a ja już wiem, że ona też tego chce.

Gdyby było inaczej, zatrzymałaby mnie, prawda?

— Niczego w życiu nie byłem aż tak pewien — odpowiadam zgodnie z prawdą.

Wyjmuję z kieszeni paczkę papierosów i wysuwam ją w kierunku dziewczyny. Parker przyjmuje fajkę bez zawahania.

„Czy wszechświat już wiedział, co się dziś stanie? Bo jak nigdy zamiast zapalniczki wzięłem rano zapalki” — myślę sobie, omal nie śmiejąc się niczym szaleniec, kiedy odpalam fajki.

W ciszy patrzę na budynek przed nami, wewnątrz czując jebany spokój.

— Czyń honory, kochanie — mówię, podając jej paczkę zapalek. Zaciągam się leniwie.

Jeśli ktoś patrzyłby na nas z boku, pomyślałby zapewne, że oszaleliśmy. Cóż, możliwe, ale przynajmniej razem, no nie?

Nim się orientuję, kartonowe pudełeczko znika pomiędzy moich palców. Kątem oka patrzę na dziewczynę, która z papierosem między wargami nachyla się i odpala zapalkę. Przez cały czas skupiam się na niewielkim płomieniu. Moje serce zaczyna wybijać szybszy rytm, gdy Parker od razu rzuca go na rozlaną benzynę i w przeciągu sekundy roznieca podążający w stronę budynku ogień.

— Obiecaj mi coś — prawie szepcze, gdy oboje obserwujemy powiększający się z każdą sekundą pożar.

Rozglądam się po okolicy. Pusto.

Patrzę na dziewczynę, której twarz, oświetlona ogniem, wyraża teraz euforię w najczystszej postaci. Jej oczy błyszczą, a na ustach maluje się pieprzony uśmiech, gdy obserwuje roznoszące się po parterze płomienie. Podoba jej się to. Robimy najbardziej pojebaną z możliwych rzeczy, a ona się, kurwa, cieszy.

Nagle czuję, jak palce Lizzy po raz kolejny tego dnia wplątują się między moje. Dziewczyna obraca się twarzą do mnie. Wygląda pięknie. Jak zawsze.

— Obiecuj, że nie będziemy jak oni — mówi z powagą, choć uśmiech wciąż gości na jej ustach.

Przenoszę wzrok na płonący budynek. W mojej głowie pojawia się myśl o tym, jak wielkie tragedie miały tu miejsce. Oczami pojebanej wyobraźni widzę wiszącego w salonie Dominica i leżącą obok niego Margaret, których ciała powoli palą się między meblami. Nie ruszają się, nie krzyczą. Po prostu zamieniają się w popiół, tak jak wszystko inne wokół.

Zaciągam się papierosem.

— Będziemy gorsi — rzucam w jej kierunku najszczerzą prawdę, jaką kiedykolwiek mogłem powiedzieć.

Gdy spojrzełaś na mnie po tych słowach — z uśmiechem i oczami przepelnionymi tak wieloma emocjami — coś sobie uświadomiłem. W tamtym momencie dotarło do mnie, że zakochałem się w Tobie na nowo. Nawet nie wiedziałem, że to w ogóle możliwe.

Nagle do moich uszu dociera dźwięk syren. Zapomniałem, że w środku jest system alarmowy. Nieważne.

— Na nas już chyba pora — śmieję się.

Nieźmiennie trzymając się za ręce, w ciszy ruszamy w stronę samochodu. Każde z nas zajmuje swoje miejsce i tym razem Parker pamięta o zapięciu pasów. Jej oddech jest ciężki, włosy ma w nieładzie, a oczy zdradzają, jak wiele emocji drzemie w jej wnętrzu. Patrząc na nią, po prostu wiem, że podjąłem jedną z najlepszych decyzji.

— To trochę tak, jakby razem z dymem ulatywało całe to zło, jakie przesiąknęło te mury — mówi na głos słowa, które jeszcze nie tak dawno temu chodziły mi po głowie.

— Masz rację. — Odpalam silnik, ostatni raz spoglądam na płonący dom i odjeżdżam.

— Jak wielkie kłopoty nas czekają?

Skręcam w prawo, co jakiś czas zerkając na nią kątem oka. Nie sądziłem, że tak szybko się przyzwyczaję do jeżdżenia z kierownicą po lewej stronie, choć przyznam, że nadal jest to dla mnie dziwne.

— Nie myśl o tym.

Policja na pewno zacznie węszyć, co spowodowało pożar. Bardzo szybko stwierdzi, że to podpalenie. Mimo wszystko — nie dbam o to. Chciałbym się przejmować, ale nie potrafię.

Nie rozumiałem wtedy tego, co się ze mną działo. Wiedziałem, że to jest złe, ale jednocześnie — nie czułem nic. Czy chciałem czuć? Nie. Wtedy wszystko by się skomplikowało. W pewnym sensie podobało mi się to. Myślałem, że tak będzie lepiej. Rzecz w tym, że teraz patrzę w lustro i nie poznaję tego skurwiela, którego w nim widzę.

— Coś się zmieniło — mówię, kiedy zatrzymuję się na czerwonym świetle.

— To znaczy?

Nasze spojrzenia spotykają się, a ja zaciskam mocniej rękę na kierownicy. Kątem oka widzę, że jakaś para przechodzi właśnie przez pasy i śmieje się z czegoś. To popierdalone, ale jestem trochę zazdrosny o to, jak beztrudnie wyglądają.

— Wiele rzeczy. — Wzruszam ramionami. — Nic nie jest już takie, jakie było. Zmieniamy się i myślę, że ty też to widzisz.

Gdy sygnalizacja się zmienia, przenoszę stopę na gaz i ruszam, ponownie skupiając się na drodze.

— Widzę. Jasne, że tak — stwierdza z uniesionymi kącikami.

— Dlaczego to robisz?

— Robię co?

— Uśmiechasz się. Często tak robisz, kiedy rozmawiamy o czymś poważnym. Bawi cię to? — rzucam prosto, ale nie chamsko, bo naprawdę mnie to zastanawia.

Ostatnio wiele się skomplikowało. Lizzy tak nagle zaczęła się ode mnie odsuwać, że teraz ważę przy niej każde słowo. Nie wiem, czy jest to zamierzone, czy może nieświadomie buduje wokół siebie mur, choć intuicja podpowiada mi to drugie.

Kiedys Josephine powiedziała mi, że są takie momenty, gdy człowiek przekracza pewną granicę i nawet o tym nie wiedząc — wypiera z siebie niektóre uczucia. Wyzbywa się ich, aby więcej nie cierpieć.

Czy właśnie to zrobiła Parker? Czy właśnie dlatego jest tak kurewsko nie sobą?

Blondynka wzdycha cicho.

— Jest to dezorientujące w takich chwilach, nie sądzisz? Myślę, że łatwiej się uśmiechnąć, gdy jest źle, niż wyjaśnić, co tak naprawdę zabija nas od środka. Czasem ciężko to wytłumaczyć, czasem ktoś może nie zrozumieć albo zrozumieć nie tak, jak powinien. Czasem lepiej milczeć — stwierdza.

Zwalniam, kiedy wjeżdżamy na posiadłość Parkerów.

— Czasem warto się wygadać. Czasem warto wyrzucić z siebie całą złość i frustrację, wykrzyczeć rzeczy, które w sobie dusimy — mówię, gdy gaszę silnik. Nie myśląc wiele, chwytam palcami podbródek dziewczyny, zmuszając ją do tego, aby na mnie spojrzała. — Czasem warto pamiętać, że są ludzie, którzy chętnie wysłuchają tego, co mamy do powiedzenia.

Lizzy niezmiennie delikatnie się uśmiecha.

— Czasem tak — stwierdza cicho.

Między nami zapada milczenie, przerywane jedynie miarowymi oddechami. Nasze oczy przez cały czas skanują siebie nawzajem, a kiedy powieki blondynki przymykają się, a twarz zbliża do mojej — serce zaczyna mi bić jak jebany młot, bo doskonale wiem, co zaraz się stanie.

Powietrze gęstnieje. Czuję wargi Parker na swoich. Moje usta wręcz palą się do tego, żeby poczuć ich smak. Nie całujemy się jednak. Tkwimy w bezruchu, jakbyśmy przygotowywali się na to. Jej gorący oddech owiewa moją skórę.

— Przyjdzie moment, w którym to wszystko się skończy, a ja będę musiała tu wrócić i... Obiecuj, że zostaniesz — szepcze.

Nie odpowiadam. Po prostu wpijam się w słodkie usta blondynki najmocniej, jak tylko potrafię. Odbezpieczam pas, jedną rękę zatapiam w jej włosach. Słyszę, jak jęczy gardłowo prosto w moje wargi, gdy niekontrolowanie pociągam za nie, chcąc wyładować frustrację, jaka we mnie siedzi.

Jestem zły. Tak bardzo wkurwiony na to, że u mojego boku jest odpowiednia osoba w tak kurewsko nieodpowiednim czasie. Ale nie to rozpierdala mnie najbardziej. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że odpowiedniego czasu z Parker nigdy nie było ani nie będzie. „My” nigdy nie powinniśmy się zdarzyć. Każdy o tym wiedział, jednak nikt nas nie ostrzegł.

Nikt nam nie powiedział, że wzniecając ten płomień, wywołamy pożar, z którego nie zostanie nic poza popiołem; że zniszczymy siebie nawzajem doszczętnie.

Tamtego dnia złożyłem wiele pustych obietnic. Przepraszam.

Chwytam za klamkę i otwieram drzwi, wpuszczam stojącą obok mnie Parker. Dziewczyna posyła mi szybkie spojrzenie, uśmiecha się lekko i po raz ostatni poprawia nieznaczenie włosy.

— Jesteście. — Do moich uszu dociera głos Terrence’a. Stoi w drzwiach prowadzących do salonu.

Patrzy na nas z zaciśniętymi ustami, intensywnie nad czymś myśląc. Dopiero teraz dostrzegam mocne cienie pod jego oczami, nierównomierny oddech i to, jak dziwnie niespokojny jest.

„On już wie” — myślę.

— To dobrze — rzuca, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że tu stoimy.

— Tato, wszystko w porządku?

Mężczyzna opiera się rękami o framugę, całkowicie skupiając się na córce.

— Ja po prostu... — Jego głos jest tak daleki od tego normalnego, że ledwo go poznaję. — Byliście tam?

— Byliśmy. Nie licz, że zastaniesz tam coś innego niż popiół — odpowiada Lizzy bez wahania. — Ta suka nie zasłużyła na twoją miłość, tato. Przestań w końcu stawiać ją na piedestale i doceń Natalie, której Margaret nawet do pięt nie dorasta.

Prawie dławię się śliną, gdy dociera do mnie sens tych słów. Kurwa, Parker przekroczyła u mojego boku każdą jebaną granicę, począwszy od przełamania strachu, przez celowe podpalenie, a skończywszy na obrażaniu niezującej już matki.

„Widzimy się w piekle, aniele” — myślę sobie, z trudem hamując uśmiech, który w takich okolicznościach jest zdecydowanie nie na miejscu.

Blondynka rzuca mi ostatnie spojrzenie, po czym wspina się na piętro. Czuję na sobie wzrok Terrence’a, a kiedy na niego patrzę, gość stoi z szeroko otwartymi oczami. Nie dziwi mnie jego reakcja,

ale jednocześnie po raz kolejny nie potrafię poczuć się źle z tym, że zrobiłem coś niedozwolonego.

— Przychodzi taki moment, kiedy trzeba zamknąć niektóre sprawy, panie Parker — mówię, po czym ruszam w stronę schodów. Przeskakuję co drugi stopień.

Rozglądam się po opustoszałym korytarzu. Jest ciemno, jedynie z parteru pada poświata. Podchodzę do drzwi, za którymi najpewniej jest Parker, i pukam w nie trzykrotnie. Kiedy otrzymuję pozwolenie na wejście, przekręcam gałkę.

Lizzy z założonymi pod piersiami rękami stoi oparta o szafkę naprzeciwko mnie. Spodziewała się, że przyjdę.

Zamykam za sobą drzwi, nie tracąc z nią kontaktu wzrokowego. Patrzymy na siebie w ciszy. Nie jest ona ciężąca ani nieprzyjemna — raczej odprężająca. Daje ukojenie, pewnego rodzaju spokój.

Nagle dziewczyna odpycha się od komody, szybkim krokiem podchodzi do mnie i z całej siły wpija się usta. Odruchowo cofam się i opadam plecami na drzwi. Dłonie Parker lądują na moich policzkach. Całuje mnie szybko i zachłannie. Czuję, jak jej niecierpliwe palce dostają się pod koszulkę. Moje mięśnie napinają się w reakcji na ten niespodziewany dotyk. Blondynka kreśli paznokciami wzory, a po chwili chwyta dół T-shirtu, który mam na sobie.

Kurwa.

Nie myśląc wiele, pomagam jej z bluzą. Rękami odnajduję stanik dziewczyny i ściskam pierś. W międzyczasie obracam nas tak, że teraz to ona jest oparta plecami o drewno. Moje usta przenoszą się na jej rozgrzaną szyję, zasysają ją. Tęskniłem za tym. Za jej skórą, zapachem i dotykiem. To dlatego robię wszystko tak kurewsko chaotycznie.

Parker przesuwam dłonie na moje plecy. Słyszę jej ciężki oddech przy uchu. Zsuwam rękę z klatki na biodra, bez większego problemu rozpinam pasek, a następnie rozporek. Wolną ręką chwytam klucz znajdujący się w drzwiach i przekręcam go dwukrotnie.

Odrywam się od dziewczyny, gdy wsuwam palce pod jej bieliznę. Obserwuję, jak mimowolnie przymyka powieki i rozchyła usta.

— O Boże. — Wzdycha cicho, co już samo w sobie kurewsko mnie nakręca.

Zamykam jej wargi pocałunkiem. Kreślę niewielkie kółka w najwrażliwszych miejscach. Mam wrażenie, że znam jej ciało na wylot. Każdy centymetr, a nawet i więcej. Rzecz w tym, że ilekroć go dotykam, czuję, jakbym robił to pierwszy raz. Ona też tak reaguje. Zawsze jej ciało drży przy najmniejszym zetknięciu z moją skórą. Zawsze reaguje w sposób, który oddziałuje na mnie tak zajebiście mocno, że moja wyobraźnia trafia w sfery wcześniej mi nieznanne.

— Jesteś moim przekleństwem — dyszy prosto w moje usta.

„Jeśli ktoś jest na piętrze — czeka go ciekawy wieczór” — myślę.

Bez jakiegokolwiek ostrzeżenia wsuwam w Parker swój środkowy palec, co spotyka się z jej gardłowym uznaniem, które szybko zagłuszam ustami. Czuję, jak nogi blondynki drżą, dlatego oplątam wolną ręką jej talię. Ubranie, które ma na sobie, znacznie ogranicza moje ruchy, więc niedługo potem wysuwam się z niej. Niezmiennie całując jej wygadane wargi, podchodzę do łóżka, na które Lizzy opada plecami.

Moje dłonie błądzą po piersiach, przez brzuch, aż do tasiemki. Kiedy docierają do niej, odrywam się od dziewczyny, wstaję i pozbywam się jej spodni oraz dolnej części bielizny.

Jestem kurewsko nakręcony na to, żeby poczuła się dobrze. Chcę jej dotykać i słuchać, póki mam ku temu jeszcze okazję. Chcę nacieszyć się każdym kawałkiem jej skóry, całować ją, pieścić i po prostu posiadać. Chociaż przez jedną noc.

Podświadomie czułem, że będzie ona naszą ostatnią.

Opieram się kolanami między rozwartymi udami dziewczyny, aby ponownie posmakować jej ust. Jedną ręką podpieram ciężar ciała nad głową blondynki, a drugą błądę między obojczykami, piersiami, wzdłuż brzucha, po raz kolejny spotykam miejsce, w którym jest już tak kurewsko wilgotno.

Odrywam się od warg Lizzy w momencie, kiedy wsuwam w nią bez ostrzeżenia dwa palce. Na moją twarz wpływa uśmiech satysfakcji, gdy obserwuję, jak zaciąga się głośno powietrzem i zakrywa usta ręką. Patrzy na mnie. Jej oświetlone księżycem spojrzenie jest dzikie, a w kącikach oczu widzę łzy. Walczy z sobą, byle tylko nie wydać z siebie żadnego dźwięku.

Ja pierdolę, mógłbym tak patrzeć na nią godzinami.

Moje palce poruszają się synchronicznie, a nogi sprawnie blokują uda przed zaciśnięciem. Muskam ustami okolice szczęki, leniwie całując całą jej długość. Gdy docieram do podbródka, odchyła głowę do tyłu i zamyka powieki, więc przenoszę się na szyję, zasysając kolejne części skóry.

Kiedy zjeżdżam wargami coraz niżej, palce Parker przenoszą się na moje włosy. Im bliżej jej bioder jestem, tym bardziej się zaciskają.

Wysuwam się z niej bez jakiegokolwiek ostrzeżenia. Kładę ręce na udach, językiem dotykając najwrażliwszego punktu jej ciała. Czuję, jak wije się na to doznanie, choć prawdę powiedziawszy, nie zrobiłem jeszcze nic szczególnego. Unoszę głowę, żeby na nią spojrzeć. Wygląda tak zajebiście gorąco, że zaraz sam oszaleję. Moje spodnie i tak już niezłe uciskają, ale nie — nie mogę. Teraz chcę skupić się na niej.

Po raz kolejny przywieram językiem do miejsc, w których dotyk odczuwa najintensywniej. Przejeżdżam w tych okolicach kilkakrotnie, zataczając wzory, co wywołuje zduszony przez dłoń jęk dziewczyny. Z każdą chwilą moje ruchy są szybsze i pewniejsze, a jej uścisk we włosach mocniejszy. Przenoszę jedną rękę z uda w okolice jej wejścia, po raz kolejny wsuwam się palcem. Plecy leżącej pod mną Lizzy wyginają się w łuk. Jej ciało drży. Jestem lekko skołowany, kiedy nagle na swoich policzkach czuję jej dłonie zmuszające mnie do tego, abym wrócił na wysokość jej twarzy.

Robię to oczywiście bez wahania, spotykając się ze spojrzeniem, które rozbiera mnie zupełnie.

— Chase... — dyszy w moje usta dokładnie tak samo szybko jak ja. Dziewczyna przesuwając jedną ręką po moich włosach, zaczesując je do tyłu.

Zamykam mocno oczy, kiedy nagle czuję jej dotyk na swoim przyrodzeniu.

— Kurwa — klnę niekontrolowanie, bo przez uciskający mnie materiał wszystko jest intensywniejsze i aż, kurwa, bolesne.

Nagle Parker w jakiś pojebany sposób przewraca mnie tak, że teraz leżę na materacu, a ona siedzi okrakiem na moich biodrach. Nie pierdoli się w tańcu. Od razu przywiera ustami do mojej szyi. W międzyczasie unosi się na kolanach, palcami grzebiąc przy rozporcu, który rozpina. Jest równie niecierpliwa co ja przed chwilą. Język blondynki wędruje w dół mojej klatki, a kiedy dociera do tasiemki bokserek, schodzi ze mnie i w mgnieniu oka pozbywa się wszystkiego, ze skarpetkami włącznie.

— Co robisz? — Unoszę się na łokciach, gdy dociera do mnie, że od dłuższej chwili nie czuję jej obecności.

Na ustach dziewczyny maluje się triumfalny uśmiech, gdy z tylnej kieszeni moich spodni wyjmuje gumki.

To nie tak, że na coś liczyłem. Ale chyba warto być gotowym na każdą ewentualność, nie?

Kiedy Parker po raz kolejny się na mnie wspina, w jej oczach panuje istny huragan. Nie jestem w stanie stwierdzić, jakiego koloru są teraz jej tęczówki, ale zdecydowanie dostrzegam, ile się w nich dzieje. Moje brwi unoszą się wysoko, a usta otwierają, bo jednym ruchem otwiera paczkę i w mgnieniu oka zakłada mi prezerwatywę.

— Jakie sprawne rączki — komentuję z głupim uśmiechem.

Parker przewraca oczami i ponownie przywiera do mnie ustami. Po raz kolejny tej nocy całuje mnie mocno i łapczywie, dłońmi błędząc po klatce, twarzy i rękach, jakby dokładnie tak, jak ja, próbowała zapamiętać każdy skrawek mojego ciała.

Czując, jak dziewczyna osuwa się na mnie, otwieram oczy. Blondynka leniwie prostuje do siadu. Jej oczy są zamknięte. Wargi ma lekko rozchylone. Włosy Parker rozrzucone są na wszystkie możliwe strony, co u niej wygląda zajebiście dobrze. Moje mięśnie napinają się, kiedy umieszcza na nich swoje palce, zaczynając się poruszać. Z ust Lizzy wydostają się strzępkowe oddechy. Kładę dłonie na jej pośladkach i ściskam je lekko. Podoba mi się powolny rytm, jaki nam nadała. Podoba mi się sposób, w jaki nasze ciała ze sobą współgrają.

Ona cała mi się podoba.

Wciskam ręce do kieszeni bluzy i rozglądam się po okolicy. Ulica, którą idziemy, jest praktycznie

pusta. Nad naszymi głowami świecą lampy, co pewien czas mija nas jakiś samochód. Ogólnie dzielnica wydaje się jedną ze spokojniejszych. Nie ma tu najebanych dzieciaków ani podejrzanych typów. Sklepy też są już pozamykane i tylko monopolowe zachęcają jeszcze swoimi neonowymi sloganami do zakupów.

Naciągam mocniej kaptur, po czym obracam głowę w prawo. Aiden idzie obok mnie w milczeniu, wygląda trochę tak, jakby w tym momencie przebywał w swoim własnym świecie.

— Chcesz się wycofać, pizdeczko? — pytam prześmiewczo.

W sumie byłoby śmiesznie, gdyby stwierdził, że nie ma psychy. Prawdę mówiąc, jestem na to nastawiony. Warren już od początku krytykował mój pomysł, bo „na co ci to, skoro już po wszystkim, a ona ruszyła dalej”.

Cóż, z mojej perspektywy to tak nie wygląda. Gość załazł mi za skórę już w momencie, kiedy dowiedziałem się o jego istnieniu. Nienawidzę takich typów. Gdybym teraz spotkał Thomasa, który skrzywdził Josephine — zabiłbym gnoja. To samo stałoby się z Blaze'em, ale w tym przypadku musiałem się powstrzymać z wielu powodów.

Nate jest jednym z problemów, który pchnął Lizzy do ostateczności. Może bym zignorował jego jebany byt, ale gość znowu chce wejść z buciorami w jej życie. Nie rozmawiałem o tym z Parker, jednak nie sądzę, żeby tego chciała. Chociaż, kurwa, może się myłę? Nieważne, mam to gdzieś. Muszę się dowiedzieć, czego ten typ od niej chce. Nie mogę pozwolić, żeby Eliza znów skończyła w tym stanie. To po prostu nie może się wydarzyć. Nie pod moją nieobecność.

— Co? Nie, oczywiście, że nie — mówi po chwili Aiden, jakby dopiero co dotarło do niego moje pytanie.

Ten to ma, kurwa, zapłon.

Warren wyjmuje z kieszeni telefon, patrzy na rozświetlony ekran, a kiedy znowu go blokuje i chowa, obraca głowę w moją stronę.

— Mamy jeszcze jakieś piętnaście minut. To jest tam. — Wskazuje palcem na budynek po drugiej stronie. — Idę po fajki do sklepu, a ty tu czekaj, bo może wyjdzie wcześniej — rzuca obojętnie i nim się orientuję, rusza przed siebie do następnego monopolowego, na końcu ulicy.

Kiedy zostaję sam, opieram się plecami o ścianę zamkniętego lokalu, przy którym stoję. Przejeżdżam językiem po zębach, w głowie odtwarzając sobie wszystko to, co wydarzyło się dzisiejszego popołudnia i wieczora. Nadal nie dowierzam, że spaliliśmy ten cholerny dom.

Strony z dziennika Margaret rozpiardoliły mnie zupełnie. Za chuja nie wiem, co tak właściwie się stało, i myślę, że jeszcze tego nie przetrawiłem. Nie dziwię się, że Lizzy potrzebowała kilku dni, żeby ułożyć sobie w głowie całe to gówno. Sam obecnie jestem kurewsko rozjebany i nie mam pojęcia, jak sobie z tym poradzić.

Kiedy myślę, że już mniej więcej rozumiem to, co działo się przez te wszystkie lata, ktoś wyskakuje z rzeczami jak ta, i znowu wszystko mi się miesza. Znowu nic nie wiem.

Unoszę wzrok znad swoich butów, kiedy do moich uszu dociera donośny trzask, który roznosi się po całej ulicy. Patrzę na budynek naprzeciwko i stojącego przed drzwiami chłopaka. Ma kaptur na głowie, a z kieszeni wyjmuje chyba telefon. Przez chwilę obserwuję go z bezpiecznej odległości. Nie wiem, jak wygląda ten cały Nate, ale coś mi mówi, że to właśnie on. Aiden mówił, że ma czarne loki, dlatego uśmiecham się triumfalnie, kiedy widzę, że kilka wystaje mu spod kaptura.

Nate rusza wzdłuż chodnika. Patrzę w prawo. Warren cały czas jest w sklepie. Nie mogę na niego czekać, bo zgubię tego gnoja, dlatego odpycham się od ściany i leniwym krokiem przechodzę przez pustą ulicę. Muszę zachować dystans, przynajmniej do pewnego momentu.

W mojej głowie pojawia się obraz zapłakanej dziewczyny, która próbuje coś sobie zrobić przez zdjęcia, jakie jej były rozesłał po znajomych. Obraz pijanej dziewczyny, która nie wiedząc, jak inaczej ma poradzić sobie ze wszystkimi uczuciami, jedyną ucieczką i chwilę spokoju odnajduje w butelce. Czuję, jak serce bije mi mocniej, a ręce samoistnie zaciskają się w kieszeniach.

Nagle Nate skręca w jedną z uliczek, dlatego przyspieszam kroku. Chłopak ma głowę pochyloną nad telefonem, w którym ciągle coś stuka. Szczerze? Nawet nie wiem, kiedy znajduję się zaledwie cztery metry od niego. Nawet nie wiem, kiedy ten zjeb odwraca się w moim kierunku, bo chyba wyczuł, że ktoś

za nim idzie.

„Kiedyś chciałam ze sobą skończyć...”

— Jakiś problem? — odzywa się, ale nie jestem w stanie dostrzec jego twarzy. Stoimy między budynkami, a tutaj nie ma lamp.

Wyjmuję ręce z kieszeni i daję krok w przód. Dzięki temu, że na końcu uliczki jest już jasno, widzę, jak poprawia ręką torbę treningową, która wisi na jego ramieniu.

— Często tu bywasz? — pytam, zupełnie ignorując to, co przed chwilą powiedział.

Jestem pewien, że w tym momencie kurewsko zbiłem go z tropu.

— Taa, a bo co? — Odbija szybko piłeczkę, ale nie wydaje się wielce zaniepokojony sytuacją.

— Nic. — Daję kolejny krok w przód, kiedy ten nie rusza się z miejsca. — Po prostu zastanawiam się, czy masz jeszcze jakieś zainteresowania poza pompowaniem bicepsów. Jak na przykład, no nie wiem, bicie kobiet albo rozsyłanie ich nagich zdjęć? — mówię obojętnie, chociaż wewnątrz gotuję się z wściekłości.

— Kim ty, do kurwy, jesteś, co? — odpowiada, tym razem nieco ostrzej niż wcześniej.

Nim ten skurwiel jest w stanie powiedzieć coś jeszcze albo jakkolwiek zareagować, podchodzę do niego szybko i łapię za gardło, po czym sprawnym ruchem przesuwam jak jebaną lalkę tak, że teraz jest oparty plecami o mur. W końcu widzę jego twarz. Twarz człowieka, który tak bardzo ją skrzywdził.

— Pogadajmy.

Nate patrzy na mnie, nie ruszając się ani nie wiercąc. Nie walczy ze mną. Czy jest zaskoczony? Cóż, możliwe, ale z pewnością nie zamierza tego pokazywać. To chyba ten typ, który zgrywa cwaniaka nawet ze spluwą przy skroni.

— A mamy o czym? — wypala głupio z uśmiechem.

Przewracam oczami.

— Czego chcesz od Lizzy? — rzucam prosto, bo naprawdę nie mam jebanej ochoty na jakiegokolwiek gierki z tym gnojem.

Jego mina rzednie.

— No, patrz na mnie. — Kręcę głową, mówiąc do niego tak, jakby przede mną stał właśnie jakiś dzieciak.

— Kim ty, do chuja, jesteś? — Ponawia szorstko pytanie.

Zaciskam rękę na jego gardle. Oddech Nate’a przyspiesza. Krew w moich żyłach płynie szybciej, a serce bije mocniej. Adrenalina i wściekłość przejmują nade mną kontrolę. To nie może skończyć się dobrze.

Kiedy po raz kolejny nie odpowiadam, torba, która wisiała na jego ramieniu, spada na beton. Nate kładzie ręce na mojej klatce i odpycha mnie mocno. Spodziewałem się tego, więc szybko łapię równowagę. Uśmiecham się, kiedy widzę, jak rusza w moją stronę, i parskam, gdy robi zamach, a ja zatrzymuję jego pięść na wysokości twarzy. W tym momencie jestem za bardzo skupiony na swoim celu, żeby mnie rozproszyć.

Wciąż ściskając rękę Nate’a, przekręcam ją w swojej, przez co ten wygina się dziwnie. Pozwalam sobie użyć całej siły, jaką mam, bo w sumie dlaczego nie. Unoszę nogę i wymierzam butem cios prosto w brzuch. Nate cofa się, a jego plecy znów obijają się o mur. Słyszę, jak klnie pod nosem, kiedy osuwa się na zgiętych kolanach. Satysfakcjonujące.

— O co ci chodzi, psycholu? Nawet cię nie znam! — pyta przez zaciśnięte zęby, z trudem łapiąc kolejne oddechy.

„Niech się cieszy, że w jaja nie dostał”.

Wzdycham teatralnie, bo ogólnie cała ta sytuacja to dla mnie jedno wielkie przedstawienie.

— Zadałem ci pytanie, więc oczekuję odpowiedzi — wyjaśniam, nachylając się w jego stronę.

— No dokładnie tak, jak ja tobie. Nie odpowiem ci na nie, dopóki nie wyjaśnisz mi, kim jesteś — rzuca teraz nieco pewniej niż wcześniej.

Mimo wszystko szybko wstaje na nogi. To mnie cieszy, bo dzięki temu trochę się zabawimy.

— Jej chłopakiem — odpowiadam bez zawahania.

Zamiera.

„Gdybym mógł cofnąć płytę, żeby jeszcze raz zobaczyć jego reakcję, ostatecznie napierdalałbym replay” — myślę sobie.

— Czego od niej chcesz? Już wystarczająco zniszczyłeś jej życie. Mało ci, skurwielu? — Znów daję krok w jego stronę.

Nate prostuje się powoli i głośno wypuszcza powietrze.

— Nic ci do tego. To sprawa między mną a Beth — mówi, wracając do tonu, jakim zwracał się do mnie chwilę wcześniej.

Beth? Ja jebię.

— No chyba nie do końca, skoro tu jestem — stwierdzam znudzony, bo serio, będziemy tak stać i sobie plotkować?

— To, że jesteś jej chłopakiem, nie znaczy, że masz prawo wpierdalać się w relację między nami. Wyjechała nie tak dawno temu, a już ma faceta? Ile o niej wiesz, człowieku? Ja byłem z nią rok. Znam ją jak nikt inny. Byłem jej pierwszym we wszystkim. To ja jako pierwszy z nią spałem i...

Na samo wyobrażenie Nate'a pieprzącego Lizzy w moim wnętrzu odpala się coś, co automatycznie wyłącza mi myślenie. Daję kolejny krok w przód i wymierzam temu skurwielowi cios prosto w twarz. Tym jednak razem jest wyraźnie gotowy na taki obród wydarzeń, bo szybko reaguje, oddając uderzenie. Potrzebuję chwili, żeby zarejestrować, co się dzieje. Sprawnie łapię równowagę i popycham go na ścianę. Do moich uszu dociera donośny huk. Wydaje mi się, że uderzył w nią głową. Nie wiem, kurwa, teraz to nie jest ważne.

Chwytam Nate'a za poły bluzy i popycham z całej siły na środek alejki. Zatacza się, więc korzystam z okazji — powalam go na beton i siadam na nim okrakiem. Z mojego nosa leje się krew, która kapie wprost na jego twarz. Pięściami równomiernie objam mordę, przez którą Lizzy wylała tak wiele łez.

— Chase? — Słyszę za plecami czyjś głos, więc odruchowo patrzę przez ramię na stojącego tam Aiden.

„Co za wyczucie czasu”.

Nagle czuję uderzenie w brzuch. Nate, korzystając z okazji, zrzuca mnie z siebie, przez co teraz i ja ląduję na betonie. Nim jestem w stanie jakkolwiek zareagować, jego but z całej siły uderza w moją szczękę, a zęby wydają ten kurewsko specyficzny dźwięk. Adrenalina w moich żyłach jedynie bardziej mnie nakręca. Nie wiem, jakim cudem nie czuję bólu, ale wstaję na równe nogi, dokładnie tak jak on. Moja pięść po raz kolejny spotyka się z jego zakrwawioną mordą.

I właśnie wtedy odcięło mnie zupełnie.

Z szybko bijącym sercem łapię Nate'a za nadgarstki i wykręcam je najmocniej, jak tylko potrafię. Kiedy rozchyła usta z bólu, przenoszę dłoń na jego palce i wyginam je, gdzieś za całą tą mgłą słysząc trzask łamanych kości. Chwytam otwartą ręką tył głowy tego sukinsyna i popycham go tak, że teraz znów leży na chodniku. Jego czaszka raz po raz odbija się od betonu, a z ust Nate'a wydobywa się jęk cierpienia w najczystszej postaci.

Chcę więcej.

Mój but z całej siły uderza prosto w brzuch chłopaka, a kiedy ponownie siadam na nim okrakiem, ręce co chwilę wymierzają kolejne ciosy.

— Chase! Zabijesz go, do kurwy! — Słyszę zduszony w mojej głowie krzyk Aiden.

Nate unosi rękę, żeby jakkolwiek się osłonić. Ja jestem skupiony tylko na tym, żeby skrzywdzić go tak mocno, jak tylko potrafię. Chcę, żeby przeżywał najgorsze katusze. Chcę, żeby choć w jednej dziesiątej doświadczył piekła, w jakim przez niego skończyła Lizzy.

W pewnym momencie czuję parę rąk na swoich ramionach. Warren ciągnie mnie do siebie, co raczej marnie mu wychodzi. Klnie siarczyście, prosząc, żebym przestał, ale nie potrafię. Nie chcę przestawać, bo ten gnój zasłużył na jebaną śmierć.

Nagle Aiden rzuca się wręcz na mnie, przez co upadam na beton.

Do moich uszu dociera strzał.

Przerażony hukiem odsuwam się instynktownie w tył. Dzikim wzrokiem odnajduję Nate'a, który teraz leży już bezwiednie, a wokół jego klatki pojawia się krew. Oddycham niemiarkowo. Niewiele widzę,

bo włosy zasłoniły mi, kurwa, wszystko. Nie wiem, co się dzieje. Skąd padł strzał? Kto strzelił? Dlaczego do chuja jest tutaj tyle krwi? I czemu ten skurwiel się nie rusza?

— Już dawno powinienem był to zrobić.

Odwracam głowę w lewo, skąd dochodzi jego głos.

Przejeżdżam ręką po czole, żeby pozbyć się tych pierdolonych włosów. Po raz kolejny patrzę na nieruszającego się Nate'a, a chwilę później na idącego w naszym kierunku mężczyznę.

Facet zatrzymuje się przy leżącym niedaleko nas ciele i uśmiecha się. Kiedy kopie Nate'a lekko nogą, żeby upewnić się, czy żyje, kąciaki ust unoszą się niewyobrażalnie wysoko.

Nasze spojrzenia w końcu naprawdę się spotykają.

— Liczyłem, że spotkamy się w innych okolicznościach, ale te też nie są najgorsze. Mamy do pogadania, Shaw — mówi Omar, a przed moimi oczami pojawia się ręka.

Nadal nie ogarniając, co się dzieje, obracam głowę w kierunku Aiden'a, ale nie przyjmuję jego dłoni. O własnych siłach wstaję na nogi, podczas gdy Warren niezmiennie patrzy na Rumelego.

— W samą porę — stwierdza z uznaniem siwy i wciska ręce do kieszeni spodni.

Mój wzrok pada na kałużę krwi, która z każdą chwilą powiększa się na zimnym betonie.

Nie ma chuja, że to przeżył.

Przenoszę wzrok z zegara na siedzącego za biurkiem Terrence'a i leniwie przejeżdżam językiem po zębach. Wybiła druga. Wszyscy już śpią, choć gdy poszedłem do Elizy, przebudziła się, jakby wyczuła, że ją obserwuję. Była to chwila. Niedługo potem zasnęła.

Stukam rytmicznie palcami o podłokietnik krzesła, na którym siedzę. Cierpliwie czekam na to, co ma mi do powiedzenia jej ojciec.

— Załatwiłem, co trzeba. Nikt nie będzie was podejrzewał o podpalenie, ale lepiej będzie, jeśli wrócicie już do Crosby — informuje Parker, ale ja i tak widzę, że nie po to mnie tu wezwał.

Milczę. W mojej głowie pojawia się nagle wspomnienie martwych oczu Nate'a.

Czy informacja o jego śmierci faktycznie nie dotrze do Lizzy? Czy Omar dotrzyma słowa? Niejednokrotnie udowodnił, że jest dokładnie takim chujem, za jakiego go uważam, ale jednocześnie wiem, że zależy mu na niej, więc może...

— Chase, są sprawy, o których nikt nie wie. Nawet Natalie czy Aiden. Musisz mi coś obiecać.

„Ja pierdolę, mam dość obietnic na dziś” — myślę sobie.

To była jedyna obietnica, której dotrzymałem.

Rozdział 17

ELIZABETH

W życiu każdego człowieka pojawiają się ludzie. Najróżniejsi. Jedni są na chwilę, inni zatrzymują się w nim na dłużej, a niektórzy stają w drzwiach, nie pozwalając przejść nikomu innemu. Każda nowa relacja uczy nas czegoś bądź staje się pewnego rodzaju wyzwaniem.

Którejś nocy, gdy leżałam z Aidenem na dachu, po zapaleniu kilku jointów uruchomiła się w nas potrzeba porozmawiania o czymś trudnym.

Pamiętam, jak zapytałam go, czy uważa, że są rzeczy, których mogłam uniknąć. Był to moment, kiedy zerwałam z Nate'em, więc w moim sercu i umyśle panowała prawdziwa rewolucja. Zaczęłam zastanawiać się, dlaczego byłam aż tak ślepa, aby nie zauważyć zła, jakie wyrządza w moim życiu. W głowie pojawiła się też myśl, czy mogłam temu jakkolwiek zapobiec.

Gdy wypowiedziałam te wątpliwości na głos, Warren nie czekał długo z odpowiedzią. „Moim zdaniem wszystko dzieje się po coś. Każdy człowiek pojawia się w naszym życiu, dając pewnego rodzaju lekcję. Tutaj nie ma przypadków. Może po prostu musiałaś na niego wpaść? Może musiałaś doświadczyć tego gówna, żeby coś zrozumieć? Spójrz, teraz, gdy nie jesteście już razem, widzisz więcej. Wiesz, jak nie pozwolisz się traktować. Patrzysz na to z boku, wyciągasz wnioski, aby nie popełnić podobnego błędu. Gdybyś tego nie doznała, może nigdy byś się nie nauczyła? Może od razu wpadłabyś w coś bardziej pojebanego od tego i zatraciła się zupełnie?”

I choć wiedziałam, że ma rację — nie wzięłam sobie tych słów do serca. Raczej zepchnęłam w tył głowy, a przypomniałam sobie o nich w chwili, gdy w moim życiu pojawił się Omar. W momencie gdy wszystko przewróciło się do góry nogami, a ja zgubiłam siebie.

Wtedy Nate stał się kimś, za kogo dziękowałam. Ten chłopak uodpornił mnie, nauczył twardo stąpać po ziemi i zmienił moje postrzeganie świata. To dzięki niemu przebrnęłam przez piekło, jakie zafundował mi Rumeli. Dzięki niemu przetrwałam.

Opieram głowę o szybę i przysmykam powieki. Jest chwilę po piątej, a my niedawno wylądowaliśmy. Jestem wykończona. Nie fizycznie, ale psychicznie. Wyjazd do Stanów był dla mnie prawdziwym rollercoasterem emocjonalnym. W kilka dni poznałam kolejne rewelacje z życia Margaret Parker. Na dodatek zrobiłam rzeczy, o które nigdy bym siebie nie posądziła.

Wraz z otrzymaniem od Natalie wyrwanych z dziennika kartek moje serce zatrzymało się. Przebrnięcie przez słowa, jakie matka zapisała na papierze dwadzieścia lat temu, było dla mnie katogą. Nie płakałam. Nie uroniłam ani jednej łzy, ale moje wyobrażenie kobiety, którą wielbiłam i za którą płakałam, zniknęło zupełnie.

Margaret kochała ojca siedzącego obok mnie chłopaka, jednocześnie darząc uczuciem Terrence'a — człowieka, za którego wyszła i któremu ślubowała wierność. Oddała się Dominicowi Warrenowi, zataiła to, po czym wróciła w ramiona tego, który kochał tylko ją. Tutaj jestem skłonna użyć tak mocnych słów. Jestem pewna, że ojciec widział w niej cały swój świat. Prawda jest taka, że nawet obecną żonę stawiał w cieniu zmarłej, mimo że doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co Margaret zrobiła. Świadomy jej zdrad i uczuć do przyjaciela, niezmiennie adorował ją niczym ślepo zakochany szczeniak. To jest wręcz przerażające.

— Jesteśmy w Crosby — szepcze Chase wprost do mojego ucha.

Nie odpowiadam.

Jeśli mam być szczerą, miałam sporo wątpliwości co do powrotu do Wielkiej Brytanii. Zastanawiałam się, czy jest słuszny, gdy tak wiele się wydarzyło. Poza odkrytymi tajemnicami Margaret i spaleniem domu Warrenów wiele się zmieniło. W mojej głowie wiele się zmieniło.

Uchylam powieki, aby spojrzeć na Chase'a. Patrzy na mnie.

— Co się gapisz? — pytam cicho, z trudem hamując uśmiech.

Kątem oka zerkam na siedzącą z przodu Theresę. Kobietę zupełnie pochłonęła rozmowa z Caroline. Jestem tej ostatniej niezmiernie wdzięczna za to, że zabrała babcię Clarke na miejsce pasażera. Po tylu godzinach w samolocie nie byłabym w stanie jej słuchać. Jest cudowna, ale za dużo gada.

— Zabronisz mi? — Shaw unosi wyzywająco brew, na co tylko przewracam oczami.

Ostatnie dwa dni, które spędziłam u jego boku, były naprawdę dobre. Zupełnie zaskoczył mnie tym wypadem na łyżwy, ale cholera, nie pamiętam już, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiłam. Dzięki niemu oderwałam się od rzeczywistości i wiem, że właśnie to było jego celem.

— Nie. Od razu ci walnę — odpowiadam odważnie.

— Oho, jaka drażliwa. — Nabija się ze mnie, kładąc rękę z tyłu mojej głowy. To zadziwiające, jak bliskość bruneta na mnie działa. Jego dotyk oraz spojrzenie sprawiają, że wręcz wariuję i wrzę z gorąca.

Nie sądziłam, że tak bardzo zatęsknię za nim w czasie, gdy go unikałam, ale potrzebowałam przestrzeni. Musiałam przemyśleć niektóre sprawy, ułożyć w głowie to wszystko i dać czas również jemu na pozbieranie się po spotkaniu ze swoją matką.

Gdy rozmawialiśmy na werandzie jego rodzinnego domu, powiedziałam mu, że nie mam pojęcia, co się wydarzyło w zakładzie psychiatrycznym, ale kłamałam. Nigdy nie podsłuchiwałam, ale ten jeden raz zostałam dłużej za ścianą i zaczekałam do końca zdawanej przez Aideną relacji. Wstrząsnęło mną to. Lorraine pomyliła swojego syna z mężczyzną, który zniszczył im życie. Nie potrafię sobie wyobrazić, co musi czuć Shaw po tym wszystkim, dlatego postanowiłam udąć, że o niczym nie wiem. Tu nie chodzi o tchórzostwo. Może po prostu nie ma ochoty o tym dyskutować? Gdyby chciał, sam by przyszedł i powiedział, prawda? Wolałam na niego nie naciskać. Dokładnie tak, jak w przypadku kontraktu, o którym swoją drogą nadal mi nie powiedział.

— Jestem przed okresem, więc uważaj — mamrocę pod nosem z nutą humoru.

Chase wzdycha przeciągle i wciska się mocniej w fotel.

— Jak to jest... — Chłopak przekręca głowę. Rozmowy z przodu cichną. — Jak to jest, że baby zawsze są przed okresem, w trakcie albo po nim, więc ciągle mają jakieś wytłumaczenie — mówi głośno, zerkając na mnie wymownie.

Theresa odwraca się, aby spojrzeć na wnuka.

— Przeżyj chociaż jeden, to wtedy porozmawiamy, gówniarzu.

Siedząca przede mną Caroline parska, obserwując drogę.

— A gdzie tu poród — dodaje dziewczyna.

— Tego to nawet ja nie chciałabym jeszcze doświadczyć — rzucam ze zgrozą.

Samo wyobrażenie sobie tego momentu cholernie mnie przeraża. Jakoś nie widzę siebie na porodówce. Zapewne darłabym się w niebogłosość czy coś. Kiedyś jakaś koleżanka Natalie mi o tym opowiadała. Mówiła, że ją rozerwało, a później było szycie. Poza tym oglądałam *Zmierzch*. Ten moment, kiedy Bella rodziła, był straszny. Do teraz na samo wspomnienie tej sceny przechodzą mnie ciarki.

— Prawda jest taka, że po wszystkim nawet tego nie pamiętasz — komentuje moje słowa Caroline, a nasze spojrzenia spotykają się w lusterku.

Uśmiecha się do mnie ciepło, co odwzajemniam.

„No tak, ona coś o tym wie” — myślę sobie.

Mam nadzieję, że to, co powiedziałam, w żaden sposób na nią nie wpłynęło. Nie chciałam przywoływać złych wspomnień, a nie wiem, jak radzi sobie z takimi tematami. Nadal nie porozmawialiśmy o jej samopoczuciu po walce, nawet nie wiem, czy chce o tym dyskutować. Zwykle sama przychodziła, a ja nie chcę na nią naciskać.

— Trzymałbym cię za rękę, Parker — mówi nagle siedzący obok mnie Shaw, więc znów na niego patrzę.

Kąciki jego ust są delikatnie uniesione. W tych potarganych włosach i bluzie wygląda niewinnie. Kompletnie nie przypomina chłopaka, który rozlewał benzynę w swoim rodzinnym domu.

Chase chyba odruchowo kładzie dłoń na moim udzie, przez co bicie mojego serca znów przyspiesza. Przętykam ślinę. Zerkam w miejsce, gdzie skóra wręcz parzy przez materiał. Upewniam się, że Theresa i Caroline nie zwracają na nas uwagi, a kiedy patrzę na Shawa, na jego twarzy maluje się

lekki uśmieszek.

— Prędej zrzygałbyś się albo zemdłał — prycha Car.

Nie wiem dlaczego, ale odnoszę wrażenie, jakby między tą dwójką jest jakieś napięcie. Rozmawiają ze sobą, jednak... sama nie wiem. Może wyolbrzymiam.

— A to masz w planach zapylenie naszej Lizzy, że tak gadasz, synu? — wtrąca się babcia, nie odrywając wzroku od drogi.

— A skąd wiesz, że już tego nie zrobiłem? — odpowiada głupio, a ja zastygam w bezruchu.

No nie wierzę, że znów to robi!

Theresa po raz kolejny odwraca się i zerka na wnuka. Widzę, jak lustruje go od góry do dołu, zahaczając wzrokiem również o rękę wciąż leżącą na moim udzie.

— Mówisz, że już działa? — pyta z powagą.

— No wie babcia co!

— Nie drzyj się tak. Zadałam ci proste pytanie. — Wzrusza ramionami, ponownie zerkając na przednią szybę. — Poza tym nie wiem, czy to bezpieczne dzielić się twoimi genami. Głupi jak but jesteś, więc trochę szkoda by było brzdąca, gdyby u niego przeważały.

— Aha? Ale wiesz, babka, że we mnie jest też część twoich genów, co nie? Więc siebie też przy okazji obraziłaś.

— Sugerujesz, że jestem głupia? — Theresa znów z grymasem patrzy na Chase'a.

— Tego nie powiedziałem — stwierdza z zawadiackim uśmiechem.

„Nie powiedziałeś, ale właśnie to ci chodzi po głowie” — myślę sobie.

— No to lepiej zamilcz, zanim osobiście cię wykastruję. Chociaż to nie taki głupi pomysł. Dzięki temu zapobiegłabym katastrofie.

— Weź idź może z Gerardem sobie...

— A ta co tutaj, kurwa, robi? — przerywa nagle Caroline.

Jak na zawołanie wszyscy patrzymy za szybę. Właśnie wjeżdżamy na posesję Shawów, gdzie obok samochodu Jonathana zaparkowany jest jakiś jeep. Marszczę brwi, nie rozumiejąc słów blondynki. Zerkam na Chase'a, który nagle spowaźniał. Tylko Theresa, dokładnie tak jak ja, nie wie chyba, o co chodzi.

Car parkuje za range roverem i odpina pas. Opuszcza pojazd i od razu kieruje się do domu. Ja również wysiadam, a zaraz za mną pozostali. Stojący obok brunet posyła mi spojrzenie, po czym szybkim krokiem rusza za dziewczyną. Zauważam coś dziwnego w jego twarzy, jednak nie potrafię dokładnie opisać tej emocji.

— Nad naszą rodziną wisi jakaś klątwa — mówi dziwnym głosem Theresa. — Chodź, dziecko. Zobaczymy, co tym razem się dzieje — rzuca wyraźnie zrezygnowana, łapiąc mnie za łokieć. Teraz jestem zmuszona iść tam razem z nią.

Powinam? Theresa wydaje się nawet o tym nie myśleć, no ale to ona. Zauważyłam, że ta kobieta musi wiedzieć absolutnie wszystko, bo inaczej nie wytrzyma. Ja — nie do końca.

Ciągnięta wręcz przez babcię Clarke, przebieram szybko nogami. Zasłaniam twarz ręką, bo trochę kropi. Przez niecałe dwa tygodnie naszej nieobecności sporo się zmieniło. Na drzewach zaczynają pojawiać się zielone liście, dookoła widać wiosnę.

— Gównno mnie to obchodzi. — Gdy tylko wchodzę do środka, do moich uszu dociera głos Caroline.

— Nie pyskuj, gówniario — odpowiada ktoś, kogo nie miałam okazji wcześniej słyszeć. — Jak ty możesz jej pozwalać tak się do mnie odnosić, Jon? Naprawdę nie powinnam była pozwolić ci tu zostać. Pobyt z tą ladacznicą źle na ciebie wpłynął.

— Jeszcze jedno słowo na temat Josephine, a osobiście wyprowadzę panią z tego domu — odzywa się Chase. Jest wkurzony. Od razu to wyłapuję.

Nie zdjąwszy nawet butów, wbrew własnej woli wchodzę do kuchni.

Moje nogi trzęsą się, a w gardle tworzy się gęśl, czego kompletnie nie rozumiem. Niezmiennie czuję dłoń babci Clarke, która w chwili przekroczenia progu mocniej ściska moją rękę.

Oparta o blat Josephine patrzy na mnie. Gołym okiem widać, że jest tykającą bombą. Jonathan

krąży po kuchni sfrustrowany, Caroline stoi nieopodal mnie, a zaraz za nią Chase. Chłopak trzyma ręce na ramionach dziewczyny, delikatnie pocierając, jakby chciał jej pomóc się rozluźnić. Po drugiej stronie wyspy stoi jakaś kobieta.

Jest wysoka. Na oko ma jakieś sto osiemdziesiąt centymetrów. Jest ubrana w czarny dopasowany garnitur, ma idealnie zakręcone blond włosy i makijaż wykonany tak starannie, że z tej odległości wszystko wydaje się zrobione od linijki. Przywdziewa na twarz wymuszony uśmiech i bezwstydnie lustruje mnie od stóp aż po czubek głowy.

— Dzień dobry — mówię, czując na sobie spojrzenia wszystkich.

— Dzień dobry. Nazywam się Amanda Shaw. Jestem matką Caroline, a ty to...? — Unosi brew, zwracając się do mnie z wyższością.

Okej, nie wiem, o co chodzi, ale już mi się nie podoba jej ton. Dlatego zadzieram podbródek i patrzę na nią równie oceniająco.

— Elizabeth Parker — rzucam chłodno.

Wiem, że to nie jest w porządku — takie odgórne szufladkowanie ludzi. Mimo wszystko mam tendencje do zwracania uwagi na pierwsze wrażenie. Na jego podstawie w przeciągu kilku sekund dostosowuję się do rozmówcy. Zakładam podobną maskę. To dlatego pierwszego dnia w Crosby dogryzłam Chase'owi, a w przypadku pozostałych zachowałam się w porządku. Oko za oko, ząb za ząb.

— I jesteś...

— Nie twój pieprzony interes — cedzi przez zęby Caroline.

— Za kogo ty się uważasz, co? — pyta ze złością Amanda. — Uwierz, nie przyjechałabym do tej dziury, gdybym nie została zmuszona. Nie opłacam twoich studiów po to, żeby teraz mieli cię wyrzucić. — Głos matki Caroline z każdą chwilą jest coraz donośniejszy.

Patrzę szeroko otwartymi oczami na dziewczynę.

Co się dzieje? Dlaczego nic mi o tym nie mówiła?

Josephine prycha.

— Od kiedy interesuje cię to, co się ze mną dzieje, co? Poza tym ochłapy, jakie mi dajesz, ledwie starczą na opłacenie mieszkania, a co dopiero uczelni, więc daruj sobie tę szopkę. Nie mam zamiaru ci się tłumaczyć. Nikomu z was. To moja sprawa. — Caroline zaplata ręce pod piersiami.

Jonathan przeciera twarz dłońmi. Przez cały czas milczy. Wygląda tragicznie, jakby nie spał kilka dni. Co się działo w Crosby, kiedy nas tu nie było? Matko.

— Caroline. — Jo wyraźnie oczekuje wyjaśnień.

— Nie patrzcie tak na mnie — mówi dziewczyna z wyrzutem. — To moje życie. Jestem dorosła i sama zdecyduję, co zrobię dalej — stwierdza pewnie i potrząsa ramionami, przez co dłonie Chase'a od razu z nich znikają.

W pomieszczeniu zapada grobowa cisza. Wszyscy skupiamy uwagę na dziewczynie. Nawet Theresa milczy. Obserwuje wszystko, próbując chyba zrozumieć. Z tego, co wiem, nie ma bliższej relacji z Caroline, więc to pewnie dlatego.

— Cóż, skoro jesteś taka mądra, to proszę bardzo. Z mojej strony nie licz na pomoc. Nie dostaniesz nawet jednego funta. Odcinam cię od wszystkiego. Zasmakuj sobie dorosłości — rzuca chłodno Amanda, po czym patrzy na Jonathana. — To, co ty zrobisz, jest twoją sprawą. Ja cegiełki do jej bezstresowego życia narkomanki dokładała nie będę. Dałeś jej za dużo swobody. Gdyby była ze mną...

Narkomanki?

— Nie kończ, bo dobrze wiesz, że już to przerabialiśmy. — Jon grozi byłej żonie palcem.

Jej usta zaciskają się w cienką linię.

— W takim razie nie mamy już o czym rozmawiać. — Rusza w stronę wyjścia. — Ale radzę ci ją przycisnąć, bo znowu przylezie z brzuchem. Pamiętaj, że stało się to, gdy była z tobą — mówi, mierzy mnie po raz ostatni od stóp do głów, po czym znika gdzieś za moimi plecami.

Jonathan rusza za nią, po chwili słychać donośne trzaśnięcie drzwi w korytarzu.

Caroline spogląda na rozsypaną emocjonalnie Josephine. Wzdrygam się, gdy dziewczyna odwraca się na pięcie, zderza się — w moim odczuciu celowo — z ramieniem Chase'a i wychodzi z

pomieszczenia. Jej stopy odbijają się głośno od drewna, kiedy wspina się na piętro.

Zerkam na Shawa.

— Idź do niej — mówi cicho chłopak.

— A ty? — pytam skonsternowana.

Myślę, że nie jestem odpowiednią osobą. Znam Caroline o wiele krócej niż on. Jestem pewna, że to nie mnie chce się wyplakać czy wyzalić. Shawa zna od lat. Ja pojawiłam się w jej życiu niespodziewanie, a lada moment już mnie w nim nie będzie. Nie sądzę, abym była właściwym rozmówcą w tak delikatnej sprawie.

Chase przewraca oczami.

— Zaufaj mi, Parker. Po prostu do niej idź — nakazuje głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Przygryzam wewnętrzną stronę policzka. Przez chwilę walczę z brunetem na spojrzenia, ale gdy widzę, że nie zamierza zmienić zdania, wzdycham tylko i bez słowa wychodzę na korytarz.

Moje kroki, w porównaniu z tymi Caroline, są ciche, niemal niesłyszalne. Nie wiem, czy chcę, aby wiedziała, że ktoś idzie na piętro. Mój żołądek ściska się ze stresu, bo nie mam pojęcia, co się dzieje. Wątpię, aby to mnie chciała zobaczyć.

Od czasu walki Shawa mój kontakt z nią się rozluźnił. Caroline bywała w Crosby, ale nieczęsto, no i nie miałyśmy czasu, aby pogadać. Prawda jest taka, że w chwili, gdy Omar wszedł do tego domu, wszystko stanęło na głowie, i to utrzymuje się po dziś dzień.

Na drżących nogach podchodzę do drzwi, za którymi najpewniej się ukryła. Przez kilkadziesiąt sekund wpatruję się w nie tępo, próbując ułożyć w głowie to, co chciałabym powiedzieć. Kiedy orientuję się, że nic z tego nie będzie, pukam i cierpliwie czekam na pozwolenie, które nie nadchodzi.

— Cholera.

Wiem, że to nie w porządku, ale chwytam za klamkę i bez zgody Car wchodzę do środka. Na dworze jest już szarawo, więc pomieszczenie spowija mrok. Mój wzrok od razu wyłapuje siedzącą na łóżku Caroline, która ze spuszczoną głową skubie pościel.

— Jesteś teraz ostatnią osobą, z którą... Och, to ty.

„Dlaczego mam wrażenie, że spodziewała się Chase’a? I dlaczego nie rozumiem powodu, dla którego miałyby nie mieć ochoty z nim rozmawiać?”

Zamykam za sobą drzwi i podchodzę do dziewczyny. Skoro jeszcze mnie nie wyrzuciła, to już tego nie robi, prawda?

Siadam na skraju łóżka, zginając nogę. Prawą ręką opieram się o materac i skupiam się na wyraźnie zadumanej Caroline. Jej brwi są ściągnięte, kości policzkowe uwydatniają się co jakiś czas, gdy zaciska szczękę, a włosy zakrywają znaczną część twarzy.

— Kiedy miałam pięć lat, zdradziła ojca, bo ten zapieprzał po szesnastu godzinach w szpitalu, żeby zapewnić nam godne życie — mówi cicho. — Kiedy miałam dwanaście lat, zapomniała odebrać mnie ze szkoły. Miałyśmy spędzić razem weekend, ale wyleciało jej to z głowy, bo była na paznokciach. Nie przyszła też na rozdanie dyplomów, bo była na wyjeździe z koleżankami. A kiedy wyszła ta akcja z Blaze’em, powiedziała mi, że pewnie go sprowokowałam, czaisz? — Śmieje się chłodno. — Jak zatem ktoś taki może mnie umoralniać w jakiegokolwiek kwestii?

Nawet na moment nie spuszczam z niej wzroku. Próbuję wyłapać każdą emocję, ale nie potrafię, bo jest ich tak wiele. Mimo spokojnego tonu głosu w oczach dziewczyny panuje istny huragan, a ja nie mam pojęcia, co go spowodowało.

— Kiedy nie było mnie jeszcze na świecie, Margaret zdradzała Terrence’a z ojcem Chase’a. Kochała dwóch facetów i nie mogła zdecydować się na jednego.

— Te matki kompletnie nam nie wyszły.

— Ale chociaż ojców mamy fajnych. — Uśmiecham się słabo.

Przenoszę dłoń na palce blondynki, które niezmiennie bawią się materiałem pościeli. Ściskam je, chcąc w ten sposób dodać jej odrobinę otuchy.

— Co się dzieje? — pytam cicho.

Między nami zapada chwilowe milczenie. Niebieskie tęczęwki Caroline błędzą po mojej twarzy, jakby próbowała coś wy badać.

— Nie wiem. Mam po prostu gorszy czas — stwierdza obojętnie, odwracając wzrok.

— A czym jest on spowodowany?

Wyczuwam, jak dłonie dziewczyny zaciskają się pod moim dotykiem.

Amanda mówiła coś o wydaleniu ze szkoły i narkotykach. Czy Caroline bierze? Ma jakieś problemy? Cholera, mam nadzieję, że nie.

— Dlaczego przemilczałaś spotkanie z Blaze'em?

Zamieram.

— C-co? — Omal nie dławię się własną śliną.

Skąd ona to wie?

Dziewczyna oblizuje usta, wyswobadzając dłoń. Teraz to ona ściska w swoich palcach moje, kiedy staram się wyrównać oddech.

Nie odpowiada, tylko patrzy na mnie, ale ja już znam odpowiedź. Już wiem, co spowodowało jej stan.

Nie ma opcji, że powiedział jej o tym Chase. Gdyby chłopak wiedział o mojej rozmowie z Robertsem, nie ukrywałby tego, tylko z pewnością przyszedłby to wyjaśnić. Nie ma też możliwości, że dowiedziała się tego od kogokolwiek innego, no chyba że ma znajomych w klubie. Przychodzi mi do głowy tylko jedna osoba, która mogła jej powiedzieć o moim spotkaniu z Blaze'em.

— Ty się z nim widziałaś — mówię.

Blondynka ściska mi mocniej rękę, a przez moje ciało przechodzi potężny dreszcz.

Nie, nie, nie. Tylko nie to.

— Dlaczego? — pytam delikatnie.

Widzę łzy w oczach dziewczyny, kiedy tak na mnie patrzy. Wygląda, jakby lada moment miała się rozpląkać niczym małe dziecko. Ja czuję w tym momencie dokładnie to samo. Nie spodziewałam się tego. Nie byłam na to gotowa i nie wiem, czy jestem, aby usłyszeć, co ma mi do powiedzenia.

— Lizzy... wszystko do mnie wróciło.

To jedno zdanie odbija się niczym echo w mojej głowie.

— Ja... ja wiem, że masz masę swoich problemów, dlatego nie chciałam cię tym zadręczać, ale też nie potrafiłam porozmawiać o tym z kimkolwiek innym. Ja po prostu... bałam się, że nikt oprócz ciebie mnie nie zrozumie. Przeszłaś tyle... Przepraszam. Nie powinnam cię teraz tym wszystkim zadręczać, ale... ja już nie wiem, co robić. Kompletnie sobie nie radzę z tym, co dzieje się w mojej głowie. — Wargi dziewczyny drży, a po policzkach spływają już pierwsze krople.

Nie myśląc nawet sekundy, pozbywam się butów, po czym zamykam dziewczynę w szczelnym uścisku. Właśnie wtedy hamulce puszczają, maska założona na parterze opada, a Caroline Shaw siedzi przede mną zupełnie naga. Pełna żalu, złości i smutku, który przez cały czas w niej siedział. Wtula się we mnie mocno. Jej szloch roznosi się po pomieszczeniu, choć i tak jego większość tłumi moje ciało.

— Gdy... gdy zobaczyłam go wtedy na ringu, coś we mnie pękło. Tak jakbym cofnęła się do tych okropnych dni. Widziałam go pierwszy raz od lat i wiesz... wiesz, co poczułam? — Odsuwa się ode mnie tak, że teraz nasze twarze dzielą centymetry. — Poczułam przerażenie. Sparaliżowało mnie, chociaż za wszelką cenę próbowałam to wyprzeć. Myślałam, że mi się udało. Działo się tak wiele. Chciałam skupić się na Chasie, bo to wszystko było przeze mnie. Ale nie potrafiłam. Kiedy wróciłam do Manchesteru... kiedy zostałam sama z tym wszystkim, mój umysł zaczął wariować.

— Co masz na myśli?

Jesteśmy okropni. Tak bardzo zajęliśmy się swoimi problemami, że zapomnieliśmy o Caroline, która potrzebowała wsparcia. Została zgwałcona, zaszła w ciążę, musiała uporać się ze śmiercią dwójki dzieci, a kiedy to wszystko znów do niej wróciło — nie było nas przy niej.

— To głupie. Teraz, gdy na to patrzę, czuję zażenowanie. Nie wiem, co sobie myślałam w tamtym momencie, ale było mi tak bardzo źle. Tak bardzo przykro... — wyznaje wyraźnie zawstydzona.

— Nie ocenię cię.

— Wiem.

Przez kolejne sekundy patrzymy na siebie w milczeniu. Wzrok Caroline wyraża desperacką potrzebę zrozumienia. Dostanie je. Nie oceniła mnie, gdy dowiedziała się o Omarze. Wspierała, gdy

opowiedziałam o wszystkim, co zrobili mi on i Nate. Otrzymałam od niej więcej empatii niż od własnej rodziny. Tylko przy niej, Chasie i Zoe poczułam, że mogę zdjąć z siebie maskę. Tylko ludziom, których znałam za ledwie moment, pokazałam się naga. Mój ojciec czy Natalie nigdy nie widzieli tak wiele. Aiden — owszem, ale on, choć patrzył, nigdy nie widział tego, co powinien.

Blondynka przymyka powieki i bierze głęboki wdech, jakby zbierała w sobie siły. Dlatego jeszcze bardziej się stresuję — bo nie mam zielonego pojęcia, czego się spodziewać.

Nagle dziewczyna chwyta dół swojej koszulki i powoli przesuwa ją sobie przez głowę.

— O mój Boże. — Zakrywam ręką usta, kiedy moim oczom ukazują się pocięte żyłką piersi.

— Teraz chce mi się śmiać, bo wygląda to trochę żałośnie. Przepraszam, że musisz na to patrzeć, ale chyba chciałam to komuś pokazać. Chyba chciałam...

— Wiem.

Chciała poczuć zrozumienie w swoim cierpieniu.

Przełykam gulę, która uformowała się w gardle.

— Dlaczego właśnie to miejsce?

Jest tak źle. Tak bardzo źle...

— Widziałam się z nim kilka dni temu. Niezamknięte sprawy nie dawały mi spokoju. — Ignoruje pytanie i poprawia się na swoim miejscu.

— Zamknęłaś je?

Caroline w przeciągu kilku minut przeszła ze złości przez szloch do żalu, a teraz wydaje się przerażająco nieobecna. Nie do końca wiem, jak powinnam się zachować.

— Zamknęłam. Definitywnie. — Uśmiecha się słabo. — Nie sądziłam, że będę tak silna. Że stanę przed nim z wysoko uniesioną głową. Bałam się, ale postanowiłam chociaż udawać. Przypomniałam sobie ciebie, to wszystko, co mi opowiadałaś. Wiedziałam, że muszę sobie poradzić i tyle, bo inaczej nigdy nie ruszę do przodu.

— A co ze szkołą? Dlaczego chcą cię wydalić?

— Kiedy wróciłam na uczelnię, naćpałam się i poszłam tak na zajęcia. To było głupie.

— Ale jednorazowe, prawda? — upewniam się.

— Tak, oczywiście. Więcej nie tknę tego gówna. To był impuls.

Między nami nastaje chwilowa cisza. Staram się ułożyć w głowie wszystko, co właśnie usłyszałam.

— Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś.

— Dziękuję, że jesteś. Mam nadzieję, że cokolwiek się wydarzy, nadal będziesz.

Marszczę brwi.

— To znaczy? — pytam, bo zabrzmiało to dość dziwnie.

Caroline wzrusza ramionami, a kąciki jej ust unoszą się.

— Nic konkretnego. Ostatnio po prostu myślałam o tym, że przecież lada moment kończy się rok szkolny.

Racja. Marzec minął mi bardzo szybko.

— Myślałaś już o tym, co będzie... no wiesz, po skończeniu szkoły?

Przełykam nerwowo ślinę.

Od momentu mojego przyjazdu do Crosby wiele się zmieniło. Chase kompletnie nie przypomina tego chłopaka, którego poznałam w styczniu. Odkryłam prawdę o Margaret, o ojcu Shawa. Dowiedziałam się, że Aiden ma brata, a moja opiekunka jest siostrą Natalie. Wszystko w rzeczywistości okazało się inne, niż myślałam. Nic nie przypomina już początków. Nic nie jest takie jak kiedyś. Chwilami myślę, że lepiej by się stało, gdybym nigdy nie poznała prawdy. Gdybym zrobiła swoje, przetrwała małżeństwo z Omarem w niewiedzy, żyjąc tak, jak każda nastolatka.

— Nic — mówię, starając się nie brzmieć jak przejęta jej pytaniem. — Wrócę do domu. Kiedyś w końcu trzeba, no nie? — Śmieję się, Caroline też, ale prawda jest taka, że obie to wymuszamy.

— A co z nim?

Mimowolnie wstrzymuję oddech.

Nie musi wypowiadać imienia. Doskonale wiem, że chodzi o Chase'a.

Odchylam się nieznacznie, oddycham głęboko i przejeżdżam palcami po włosach.

— Dużo o tym ostatnio myślałam. Nie mogę tu zostać, to rozumiałe. Moje miejsce jest w Stanach. Przede mną jeszcze jeden rok, a on... on ma pewnie jakieś plany, studia czy coś — odpowiadam, omijając kwestię kontraktu. Nie wiem, czy Caroline została wtajemniczona w ten temat, i chyba nie chcę wiedzieć, aby nie czuć się jeszcze gorzej. — Myślę, że oboje od początku byliśmy świadomi tego, że ta relacja nie ma racji bytu. Poza tym między nami strasznie się skomplikowało.

— To znaczy?

— To znaczy, że nie jest tak, jak wcześniej. Wiele się zmieniło. Odsunęliśmy się od siebie i wydaje mi się, że tak jest lepiej.

— Wiesz, w samochodzie nie wyglądało mi na to, że się od siebie oddaliliście. Przynajmniej to właśnie wywnioskowałam z tej rozmowy o porodzie — rzuca z uniesionymi brwiami.

Zaciskam usta.

W moim odczuciu jest inaczej. Coś się zmieniło, ale nie potrafię jednoznacznie tego nazwać. Natłok wszystkich wydarzeń sprawił, że zamknęliśmy się na siebie. Mam wrażenie, jakby tych rozmów było mniej. Wcześniej potrafiliśmy leżeć w łóżku i dyskutować całą noc. Teraz każde z nas sypia osobno. Mimo tej chwili słabości dzień przed wyjazdem nic nie ruszyło do przodu. To tak, jakbyśmy potrzebowali bliskości. Jakbyśmy udawali, że między nami jest w porządku.

— Czasem lepiej zostawić niektóre rzeczy takie, jakie są, bo można narobić jeszcze większego bałaganu.

— I jak? — Słyszę za plecami ten doskonale znany mi głos, gdy zamykam drzwi do pokoju Caroline.

Zerkam przez ramię na Chase'a. Przez cały czas siedział na podłodze i czekał?

— Zasnęła — mówię cicho i zaplatam ręce pod piersiami. — Długo tu jesteś? — rzucam niby obojętnie, choć tak naprawdę muszę po prostu wybadać, ile ewentualnie mógł usłyszeć.

— Nie wiem, jakieś dziesięć minut? Może dwadzieścia. — Wzrusza ramionami, wsuwając ręce do kieszeni spodni.

Kamień spada mi z serca. Mam nadzieję, że nie widzi, jak bardzo mi ulżyło.

— Jak się trzyma? — szepcze.

Twarz Shawa wyraża spokój i opanowanie, ale wiem, że to tylko pozory.

— W porządku. Pogadałyśmy. Myślę, że jest lepiej. — Uśmiecham się lekko.

— To dobrze.

Wiem, że chciałby wiedzieć, o co chodzi, i poznać powody stanu Caroline. Wiem, że chciałby pomóc, ale nie mogę mu powiedzieć. Z jakiegoś powodu tylko mi zdecydowała się zwierzyć, a ja to szanuję. Nie zamierzam rozpowiadać o jej sekretach. To nie byłoby w porządku.

— Masz ochotę na kawę?

— Co?

Marszczę brwi w niezrozumieniu.

— Kawę. W kawiarni. No wiesz... — Wierci się niespokojnie.

Czy on się stresuje?

— Jasne, możemy iść — mówię niepewnie, czując dziwny skurcz w dole brzucha.

Nie wiem, jak odebrać to zaproszenie, jest co najmniej nietypowe. Okej — byliśmy kilka razy coś zjeść, zabrał mnie na plażę, ale nigdy wcześniej nie zaproponował mi kawy.

Shaw odwraca się na pięcie i razem idziemy na parter. Jestem trochę zmęczona lotem, ale ignoruję to. Odeśpię jutro. Do powrotu do szkoły został jeden dzień.

— Gdzie są wszyscy? — pytam, rozglądając się na boki.

Chase zakłada buty. Ja założyłam swoje chwilę przed opuszczeniem pokoju Caroline.

— Josephine i Jonathan pojechali do Liverpoolu, a babka poszła spać, bo była zmęczona.

Nie odpowiadam.

Wychodzimy z domu. W ciszy zajmujemy swoje miejsca. Od tamtego okropnego dnia, kiedy

zasiadłam za kierownicą i omal nas nie zabiłam, pamiętam o pasach. Widzę, że Chase'owi to nie umyka, bo w chwili odpalenia silnika kątem oka zerka na zapięcie i uśmiecha się nieznacznie.

— Ledwo wróciliśmy i już jakieś problemy — mówi z humorem, choć wiem, że to tylko ma mieć taki wydźwięk.

— Przynajmniej nie ma nudy, nie? — rzucam z udawanym rozbawieniem.

— Taa.

Shaw opuszcza posesję i włącza się do ruchu. Skupia się na drodze, co jakiś czas zmienia bieg, dostosowując prędkość do warunków. Obserwuję bruneta, podziwiając jego lewy profil. Zauważam, że szczęka zarysowana jest bardziej niż zwykle, kości policzkowe co jakiś czas mocniej się uwydatniają, a nos dziwnie się marszczy.

— Nacieszyłaś oko, Parker?

Ten chłopak ma tak podzielną uwagę, że czasem mnie to przeraża.

— Daj mi jeszcze chwilę, dupku — mówię z sarkazmem.

Kącik ust Chase'a unosi się w tym typowym dla niego zawadiackim uśmiešku.

— Ja na serio dam ci swoje pieprzone zdjęcie, żebyś poprawiła je sobie w ramkę.

— Przyda się, gdy już wyjadę. — Przenoszę wzrok za okno.

W samochodzie zapada cisza. Spodziewałam się tego. Moje słowa nie były przypadkowe. Chciałabym w końcu zacząć temat, którego usilnie unikamy. Gdy spróbowałam go poruszyć ostatnim razem, zamknął mi usta pocałunkiem. Rzecz w tym, że ja chcę rozmawiać. Chcę wiedzieć, jak on to wszystko widzi.

Dziesięć minut później parkujemy pod niewielką kawiarnią na obrzeżach miasta, nie zamieniwszy ze sobą ani słowa. Nie byłam wcześniej w tej części Crosby.

Słyszac za sobą dźwięk blokowanych drzwi chevroleta, powolnym krokiem ruszam w stronę wejścia do lokalu. Chwilę potem dołącza do mnie Chase, który dokładnie tak jak w domu otwiera dla mnie drzwi.

— Proszę — mówi tylko, podając mi kartę.

— Dziękuję.

Otwieram menu i skupiam się na nim całkowicie. Wybranie czegoś dla siebie zajmuje mi kilka minut. Decyduję się zamówić latte i jakieś ciastko, Chase natomiast stawia na czarną kawę oraz szarlotkę.

Cała ta sytuacja sprawia, że czuję się naprawdę dziwnie. To miłe, że Shaw zabrał mnie w takie miejsce, ale wyjścia tego typu nie są w naszym stylu. Zwykle wychodziliśmy do znajomych albo jedliśmy coś w samochodzie i tyle.

— A więc powrót do domu, tak? — zagaduje, gdy kelnerka odchodzi, przyjąwszy zamówienie.

— Co? — Odrywam wzrok od szyby, w którą się zapatrzyłam, bo odnoszę wrażenie, że coś przegapiłam.

— Santa Monica. Kiedy planujesz wrócić?

Wzrok chłopaka skupiony jest w stu procentach na mnie. Napięcie, jakie się przez to tworzy, sprawia, że nie jestem w stanie tego znieść. Nie potrafię wyjaśnić dlaczego, ale po kilkunastu sekundach patrzenia w nefryt jego oczu muszę omieść wzrokiem pomieszczenie, aby odetchnąć. Dopiero teraz dostrzegam, że ściany pokryte są brudną zielenią oraz czerwienią, a cały lokal urządzony jest w starym stylu. Gdziekolwiek stoją dębowe meble i wiszą obrazy. To mnie uspokaja. Lubię takie miejsca.

Oczyszczam gardło.

— Pewnie po skończeniu roku — mówię w końcu, ponownie na niego patrząc.

Bawi się palcami, które leżą na stole pomiędzy nami. Przez chwilę im się przygląda, a gdy unosi wzrok, uśmiecha się lekko.

— Rozumiem. Co dalej? — Z jego ust wypływa kolejne pytanie.

— To znaczy? — Poprawiam się na siedzeniu, zaplatając ręce dokładnie tak, jak on to zrobił chwilę wcześniej.

— To znaczy: co planujesz po powrocie? Jak widzisz to wszystko? Jak widzisz swoją przyszłość?

— Och.

Nie spodziewałam się, że ostatecznie sam podejmie tę rozmowę.

— Cóż... — Chrząkam, znów wierząc się na krześle. — Muszę skończyć ostatnią klasę i zacząć myśleć o studiach. — Wzruszam ramionami, czując dziwny ucisk w sercu.

Przyglądamy się sobie nawzajem w milczeniu, jakbyśmy próbowali w ten sposób odczytać swoje myśli.

— Planujesz iść na terapię?

— Jaką terapię?

— Dla alkoholików.

Serce zaczyna wybijać nierówny rytm, a za uszami robi się cholernie gorąco.

— Nie wiem, może — odpowiadam, uciekając wzrokiem.

— Hej. — Reaguje niemal automatycznie, chwytając palcami mój podbródek tak, abym na niego spojrziała. — Dla jasności. Nie miałem na celu cię urazić. Po prostu pytam. Chcę wiedzieć, czy zamierzasz z tym walczyć. Myślę, że jesteś świadoma tego problemu bardziej niż ktokolwiek kiedykolwiek mógłby być. To dobrze. Nie masz się czego wstydzić. Nie pozwalam ci, jasne? — Unosi brew.

Nie odpowiadam. Kiwam jedynie głową, dając tym samym znak, że wszystko zrozumiałam.

— Obiecuj, że gdy wrócisz do domu, zapiszesz się na terapię.

Ale ja nie chcę wracać.

— Obiecuję.

Chase uśmiecha się nieznacznie na te słowa, a dłoń, która dotąd trzymała mój podbródek, znika. Brunet ponownie opada na swoje krzesło i w tym momencie obok nas pojawia się kelnerka z zamówieniami. Oboje jej dziękujemy, a gdy zostajemy sami, bierzemy się do jedzenia.

— Co będzie z nami, gdy już wyjadę? — pytam, zanim znów się wycofam.

Ręka Shawa zastyga w powietrzu z kawałkiem ciasta nadzianego na widelec. Jego wzrok zatrzymuje się w jednym punkcie.

— To znaczy? — odzywa się po dłuższym milczeniu.

— To znaczy: jak będzie wyglądała nasza relacja? — Mój głos drży. Skupiam uwagę na latte i upijam łyk. Dopiero teraz orientuję się, jak bardzo trzęsie mi się ręka. — Wiesz, czy będziemy utrzymywali jakiś kontakt... czy coś.

Ostatnimi czasy rozmawianie wychodziło nam słabo, ale to i tak nic w porównaniu z tym, co dzieje się teraz. Nie jestem gotowa na taką wymianę zdań, jednak muszę wiedzieć, na co powinnam się przygotować. To chore, wiem, ale potrzebuję czasu. Co, jeśli powie, że po wszystkim nie chce mnie już znać i urwie kontakt? Nie potrafię przewidzieć, jak na to zareaguję. Nie wiem, jak wiele czasu będę potrzebowała na zaakceptowanie tego. Chcę postąpić słusznie, wrócić do swojego życia, ale jednocześnie nie chciałabym go tracić. Chciałabym, aby został.

Chciałam, abyś został...

— A jak ty to widzisz?

Cholera.

— Nie wiem, myślę, że moglibyśmy mieć jakąś relację — mówię z gულą, która niespodziewanie uformowała się w gardle. — Jakkolwiek by było, nasze rodziny są w pewnym sensie połączone, prawda? — Silę się na uśmiech.

— Prawda — odpowiada wyraźnie nieobecny.

Wtedy umykało mojej uwadze to, że ciągle unikałeś odpowiedzi. Nie przyszło mi do głowy, że kryje się za tym coś więcej.

— No proszę, proszę.

Niespodziewanie do moich uszu dociera męski głos, dlatego zadzieram głowę. Obok naszego stolika materializuje się jakiś chłopak. Zamieram.

Znacie to uczucie, kiedy przed oczami widzicie całe swoje życie, bo dociera do was, że lada moment będzie kurewsko źle? Cóż, było miło. Czas wybrać sukienkę do trumny.

— Simon? Ty w takim miejscu? — parska Shaw, gdy wstaje.

Wita się z blondynem. Uśmiecha się. Oni się, kurwa, znają. Nie, nie, nie. Proszę, nie.

— Tak, czasem trzeba, bo moja pani nie dałaby mi żyć.

Nie poznaj mnie. Proszę, nie poznaj.

— O, cześć, Claire — rzuca entuzjastycznie.

Moje powieki zaciskają się mocno, a na twarzy maluje grymas, którego nie próbuję nawet ukryć.

— Nie spodziewałem się was razem. Kto by pomyślał. Świat jest cholernie mały.

Po dłuższej chwili milczenia wymuszam uniesienie kącików ust.

— Cześć, Simon.

Wszechświat jest popieprzony, a nade mną wisi jakieś fatum. Dlaczego zawsze mam takiego pecha? Nie rozumiem. Po prostu, kurwa, nie rozumiem.

— To wy się znacie? — pyta wyraźnie skonsternowany Shaw, zerkając to na mnie, to na blondyna.

Zaciskam mocniej palce wokół kubka. Gorące naczynie wręcz parzy mi dłonie, ale w tym momencie to nieważne, bo mentalnie kopię już sobie grób.

— Tak, poznaliśmy się kilka tygodni temu, kiedy przyszła do Blaze'a — wyjaśnia uprzejmie Simon, zupełnie nieświadomy tego, że właśnie mnie sprzedał.

— Do Blaze'a — powtarza po nim Chase. — Ach, racja. Zapomniałem już o tym — wypala nagle, a ja dębieję.

Jest źle. Bardzo źle.

— Załatwiłaś wszystko? Po twojej wizycie Roberts był jakiś nieswój. Jak nie on. Chyba nieźle mu nagadałaś.

— Co? — Unoszę głowę, bo dopiero po chwili orientuję się, że te słowa skierowane były do mnie. — Tak, tak — odpowiadam pospiesznie z nadzieją, że chłopak zostanie tu jak najdłużej.

— Dobra, nie będę wam przeszkadzał. Wracam do mojej pani. Jeśli będziecie mieli ochotę, możecie się dosiąść. Siedzimy tam. — Chłopak wskazuje gdzieś palcem, jednak w odróżnieniu od Chase'a nie podążam za nim wzrokiem, ale ponownie skupiam się na swoich palcach.

— Dzięki. Zaraz się zbieramy. Bawcie się dobrze, stary — mówi Shaw, a niedługo potem słyszę to specyficzne klaśnięcie, gdy ich dłonie się ze sobą stykają.

— Wy też. W takim razie do zobaczenia. Na razie, Claire.

— Cześć — mamroczę pod nosem i posyłam mu ostatni, wyćwiczony uśmiech.

Kątem oka widzę, że Chase zajmuje swoje miejsce.

Między nami nastaje cisza. Mimo panującego wokół hałasu nic do mnie nie dociera. Mój oddech jest ciężki, dłonie drżą, a serce łomocze tak mocno, że nie zdziwiłabym się, gdyby nawet siedzący naprzeciwko mnie chłopak słyszał, jak bije.

— Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć? — pyta chłodno.

Mój brzuch zaciska się w supeł.

Milczę. Zagryzam zębami wnętrze policzka. Nienawidzę, gdy ktokolwiek zwraca się do mnie takim tonem, ale kiedy on to robi — podchodzę do tego jeszcze bardziej emocjonalnie niż zwykle.

— Spójrz na mnie — nakazuje ostro, więc to robię. Przez chwilę mierzymy się spojrzeniami. — Nie zamierzałaś.

Czuję, jak do oczu napływają mi łzy. Mała kropelka spływa mi po policzku, dlatego szybko ją ocieram. Nie lubię wyć. Nie lubię pokazywać swoich słabości i w tym momencie szczerze żałuję, że apatia, jaka towarzyszyła mi jeszcze kilka tygodni temu, się nie utrzymała. Wtedy byłoby o wiele prościej.

— Coś ty sobie myślała, dziewczyno? — cedzi przez zęby, nachylając się.

Zaciskam szczękę. Patrzę w tęczówki, które z każdą sekundą stają się coraz bardziej odległe i nieznane.

— Jak widać, każdy ma swoje sekrety.

— Daruj sobie — prycha pod nosem i opada na krzesło. — Jesteś tak kurewsko zakłamana — mamrocze.

Mimo że po policzku spływa mi kolejna łza, to jedno zdanie sprawia, że robi mi się goręcej. Co za hipokryta.

— Przyganiał kociół garnkowi. — Śmieję się bez humoru.

— Sugerujesz, że jestem zakłamany?

— A nie jesteś? Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć o kontrakcie, co?

Chłopak zamiera.

— No właśnie. Więc nie waz się mówić o zakłamaniu — mówię wściekła.

— A to mam ci się ze wszystkiego spowiadać? — parska z kpina, patrząc mi prosto w oczy.

— A ja mam to robić? — Opieram się rękami o blat i odpycham od niego, aby wstać. — Ty masz swoje życie, a ja swoje, więc się nie wcinaj w to, co ciebie nie dotyczy.

Ruszam w stronę wyjścia.

Na zewnątrz w moją twarz uderza chłodne kwietniowe powietrze. Rozglądam się dookoła. Nie znam tej okolicy, nie wzięłam też telefonu, ale z pewnością nie będę siedziała z Chase'em. Zaplatam ręce pod piersiami i idę przed siebie.

Dookoła jest pusto. Wokół lokalu nikt się nie kręci, a na drodze nie ma ani jednego samochodu. Niewiele się dzieje. Gdyby nie latarnie uliczne ustawione w kilkumetrowej odległości, miejsce to byłoby niczym wyjęte z horroru.

Przebieram nogami, chcąc znaleźć się jak najdalej od restauracji. Nie patrzę za siebie. Nie mam pieprzonej ochoty na rozmowę. Okej, coś tam zataiłam, ale on nie jest lepszy. Zrobił dokładnie to samo i skoro uważa, że nie musiał mi o tym mówić, dlaczego ja miałabym to robić? Każde z nas ma swoje tajemnice. Nie wyciągnęłabym sprawy kontraktu, gdyby na mnie nie naskoczył. Jest równie zakłamany co ja, a jednak mnie poucza. To nie jest w porządku.

— Elizabeth. — Słyszę za plecami jego głos. — Parker, do kurwy, przestań zachowywać się jak małe dziecko.

Chłopak pociąga mnie za ramię, zmuszając do obrotu.

— Co?!

— Po co tam byłaś?

— Dlaczego nie powiedziałeś mi o kontrakcie?

— To moja sprawa.

— To moja sprawa.

Patrzemy na siebie, a nasze oczy ciskają wręcz piorunami. Oboje jesteśmy nabuzowani. Każde z nas ma w sobie pokłady różnorodnych emocji, w większości ciężkich i niezrozumiałych. To nie skończy się dobrze.

— Zdajesz sobie sprawę, że ten typ zgwałcił moją siostrę i tobie też mogła stać się krzywda? Czy ty w ogóle myślisz?!

— Nie poszłam sama, tylko z Zoe.

Brwi Chase'a unoszą się wysoko.

— Wy obie jesteście, kurwa, jebnięte!

Odruchowo daję krok w tył.

— Ja pierdolę, po co tam polazłyście? Pytam po raz ostatni i radzę ci odpowiedzieć, bo nie ręczę za siebie.

— I co zrobisz? Uderzysz mnie?

Shaw zastyga na moment w bezruchu.

— C-co? Co? — Wzrok chłopaka błądzi po mojej twarzy, jakby próbował się upewnić, czy się nie przesłyszał. — Nie jestem twoim toksycznym byłym, żeby cię lać! Ja jebię, Parker, czy ty czasem słuchasz, co gadasz?!

— Może i nim nie jesteś, ale chwilami właśnie tak się zachowujesz. Robisz problem, że nie mówię ci o wszystkim, jednak sam masz swoje tajemnice. To się nazywa hipokryzja, Chase.

— Moje tajemnice nijak mają się do twoich. To nie ja łączę do podejrzanych miejsc i narażam się na niebezpieczeństwo. Byłaś tam z Zoe, ale wokół was kręciło się pewnie wielu typków. Jeśli poznałaś Simona, to najpewniej poszłyście na siłownię. Zdajesz sobie sprawę, że poza Robertsem ćwiczą tam faceci z przeszłością? Tacy, którzy nie siedzieli za kradzież czy podpalenie, ale za molestowanie, znęcanie i inne popierdolone rzeczy? Co, jeśli któryś z nich by was zaczepił? Co było tak ważne, że obie wykazałyście się takim, kurwa, idiotyzmem, co? Boże, czasem jesteś tak samo głupia jak... — Przerzywa

w połowie zdania.

Oczy Chase'a otwierają się szeroko. Wygląda, jakby obudził się z jakiegoś transu.

— Jak kto? Jak Margaret? Ty naprawdę masz klapki na oczach!

— Więc mi je zdejmij!

— Zrobiłam to, bo mi na tobie zależy, ty pieprzony egoisto!

Shaw zastyga w bezruchu.

Może to, co zrobiłam, było nieodpowiedzialne. Może mogło mi się coś stać, ale nie dbam o to. Bo choć bardzo się starałam, choć próbowałam wyprzeć się uczuć — prawda jest taka, że zależy mi na tym chłopaku bardziej niż na samej sobie.

W Naszej historii byłam Margaret Parker. Lgnęłam do Ciebie niczym ćma do płomienia, w pełni świadoma tego, że na końcu zostanie ze mnie popiół.

— Lizzy, ja...

Miałeś rację. Moje tajemnice nijak się miały do Twoich. Twoje zniszczyły Nas doszczętnie.

— Zabierz mnie do domu. Jestem zmęczona.

Nadchodził początek końca.

Rozdział 18

ELIZABETH

Palce zastygają w bezruchu. Wzrok zatrzymuje się w jednym konkretnym punkcie, a powietrze tężeje. Czuję się tak, jakby w jednym momencie ktoś odciął mi do niego jakikolwiek dopływ. W głowie wszystko mi się miesza, za uszami robi się gorąco, a gula z każdą chwilą powiększa się coraz bardziej i bardziej.

— Co? — pytam dziwnie nieobecna.

Chłopak zaciska wargi. Przez chwilę myślałam, że sobie żartuje, ale gdy nie widzę chociażby przebłysku rozbawienia — coś we mnie umiera.

Mówił poważnie...

— Rozmawiałem z nią ostatnio, ale potrzebowałem czasu, żeby podjąć decyzję. Wiem, że nie mamy teraz najlepszego kontaktu, ale mimo wszystko chciałem powiedzieć ci to osobiście. — Jego głos przedziera się przez głośnik laptopa, jednak w tym momencie wydaje się bardziej zgłuszony niż normalnie.

Nie odpowiadam. Patrzę tępo w ekran, nie potrafiąc wypowiedzieć najmniejszego słowa, bo informacja o wyjeździe Aiden z Kalifornii jest ostatnim, czego bym się spodziewała.

— Theresa jest już stara. Potrzebuje pomocy. Josephine nie może rzucić pracy, a mnie tu nic nie trzyma. Nie mam żadnych planów, więc dlaczego miałbym jej nie pomóc, prawda? — Uśmiecha się delikatnie, czego nie odwzajemniam.

Nie mogę. Nie umiem. Nie chcę.

— Rozumiem. Planujesz jeszcze wrócić czy przenosisz się na stałe? — pytam drżącym głosem.

Między mną a Warrenem bywało różnie. Podczas mojej wizyty w Santa Monica mieliśmy okazję porozmawiać i wyjaśnić niektóre kwestie. Nie należę do osób, które długo chowają urazę, dlatego postanowiłam puścić w niepamięć wszystkie kłamstwa i niedopowiedzenia. Sama też nie byłam święta. Nie ukrywam — sekrety Aiden zabolowały mnie najbardziej ze wszystkich, ponieważ był mi najbliższy. Ale gdy siedziałam ostatnio na dachu, a on przyszedł z paczką fajek, wróciły wspomnienia tych wszystkich wieczorów, które na nim spędziliśmy. Jakże mogłabym o nich zapomnieć? Jakże mogłabym nie poczuć nic, skoro traktowałam go jak brata? Nie wiem, jak wielkim skurwielem trzeba być, aby nie przejąć się utratą przyjaciela.

Przyjaciela, który teraz miał mnie opuścić.

— To jest wyjazd bezterminowy — rzuca lekko, jednak unikając kontaktu wzrokowego, zdradza mi, że nie czuje się najlepiej, przekazując tę informację.

— Rozumiem — powtarzam po raz kolejny, bo nie jestem w stanie wydusić z siebie nic innego.

Aiden podjął decyzję o wyjeździe do Bangor, aby wesprzeć Theresę. To oznacza, że po powrocie do Stanów zostanę zupełnie sama. Mam jeszcze ojca i Natalie — tak, to prawda, jednak oni mają swoje życie. Chce mi się płakać.

— Wiem, że wyskakuję z tym nagle, bo wcześniej nawet o tym nie rozmawialiśmy, ale sam jeszcze nie wiedziałem, co zrobić. — Warren wzrusza ramionami i przeczesuje palcami włosy. Zawsze tak robi, gdy jest sfrustrowany.

— Przestań, nie musisz mi się tłumaczyć. Twoja babcia cię potrzebuje i doskonale to rozumiem — mówię, po czym unoszę wzrok nad laptop. — Wiesz co, muszę już kończyć, bo ktoś dobija się do moich drzwi. Dokończymy później, okej? — Uśmiecham się słabo.

— Jasne, będziemy w kontakcie. — Odwzajemnia to, ale widzę, że zdaje sobie sprawę z mojego kłamstwa.

Rzecz w tym, że nie potrafię inaczej.

Nie siląc się nawet na jakąkolwiek odpowiedź, zatraskuję komputer. Skupiam wzrok na ścianie,

w którą wgapiam się bez celu. Wargą zaczyna mi drżeć, a do oczu napływają łzy. Ściskam kurczowo pościel i odchylam się do tyłu, aż opadam plecami na miękki materac.

Aiden wyjeżdża. Zostawia mnie. Będę sama. Zupełnie sama.

Po policzku spływa łza, a zaraz po niej następna i następna. Mój oddech przyspiesza, a już chwilę później leżę skulona na łóżku, nie potrafiąc pohamować cichego szlochu.

Słowa, jakie wypowiedzieliśmy wtedy z Chase'em przed kawiarnią, niczym echo odbijają się w mojej głowie. Nie jestem już na niego zła — nic z tych rzeczy. Jest mi raczej przykro, bo naprawdę nie lubię, kiedy się kłócimy. Nie postąpiłam najlepiej, zatajając przed nim rozmowę z Blaze'em. Miał rację, coś mogło nam się stać, a przecież wtedy nie było go w pobliżu. Wtedy byliśmy zdane na siebie i nie wiadomo, jak by to się skończyło, gdyby ktoś nas zaczepił. Z drugiej strony on również nie jest ze mną szczerzy, choć nie wiem, czy sprawę kontraktu mogę równać z moim kłamstwem. Niemniej jest mi z tym źle i mam nadzieję, że niebawem wszystko sobie wyjaśnimy.

Myśłami wracam do Aidena. Jest jeszcze wiele rzeczy, których nie wiem. Jestem pewna, że odkryję więcej tajemnic. Nadal nie wiem, dlaczego Warren nigdy nie był celem Franka i tylko Chase'owi za wszystko się dostaje. To musi mieć drugie dno.

Nie potrafię już się na niego złościć. Chciałabym, ale moje uczucia do niego niekontrolowanie się ociepliły, choć tak na dobrą sprawę nic się nie wydarzyło. Czy to kwestia tęsknoty? Możliwe. W końcu ten chłopak był ze mną od małości. Dorastaliśmy razem i robiliśmy najróżniejsze głupoty. Jak więc miałabym ot tak zapomnieć? Początkowo faktycznie byłam wściekła. Emocje wzięły górę, ale to chyba nic dziwnego, prawda? W końcu nie codziennie dowiadujesz się, że całe twoje życie było kłamstwem. Może to źle, że próbuję wytłumaczyć Aidena, ale gdy patrzę na to wszystko z perspektywy czasu — nie wiem, co bym zrobiła na jego miejscu. Cała ta sytuacja jest popieprzona, a on był tylko niewinnym dzieciakiem, którego ojciec się powiesił, a matka skończyła w zakładzie psychiatrycznym.

Obracam głowę w prawo, kiedy do moich uszu dociera cicha wibracja. Pociągam nosem i przecieram ręką policzki. Wyglądam zapewne fatalnie, ale nie dbam o to. Chwytam w dłoń telefon i przesuвам na wprost twarzy. Marszczę brwi. Szczypią mnie trochę oczy od płaczu, dlatego potrzebuję chwili, aby przyzwyczaić się do jasności i przeczytać nadesłaną wiadomość.

Od: zimmysuk

wszystko będzie dobrze mała

Jest mi tak bardzo źle.

— Na następnych zajęciach odświeżymy sobie *Romea i Julię*. To wszystko na dziś — mówi profesor Higgins w momencie, gdy w pomieszczeniu rozbrzmiewa dzwonek na przerwę.

Składam notatki oraz przybory i leniwie wciskam je do torebki. Mój wzrok pada na Norę. Dziewczyna uśmiecha się uprzejmie, więc wymuszenie to odwzajemniam. Jak to jest, że ona zawsze ma humor? Jak to jest, że jeszcze ani razu nie widziałam jej naburmuszonej czy smutnej? To dość dziwne, i chyba po prostu czuję pewnego rodzaju zazdrość. Ostatnio nie mam siły nawet udawać, że jest w porządku.

Zawieszam pasek torby na ramieniu i wychodzę z sali. Korytarz przepełniony jest uczniami, a donośne głosy sprawiają, że odczuwam ból z tyłu głowy. Od wczorajszego wieczora towarzyszy mi on niezmiennie. Myślę, że to przez łzy. Zawsze, gdy płaczę, później źle się czuję. Nie sądziłam, że ten stan utrzyma się aż do teraz.

Dziś, gdy obudziłam się z oczyszczoną głową, jest mi nieco lepiej. Nie oswoiłam się jeszcze z wiadomością o wyjeździe Aidena i znów nie zamieniłam z Chase'em słowa, ale jest lepiej. Ogólnie mam wrażenie, że Shaw nie jest przejęty. Gdy jechaliśmy do szkoły, miał neutralny wyraz twarzy, wyglądał na wypoczętego i niezainteresowanego moją obecnością. Trochę zakłuło mnie przez to serce, ale może powinnam obrać jego taktykę? A może to nie jest żadna taktyka i Chase po prostu nie chce ze mną gadać, albo nie czuje takiej potrzeby? Bardzo możliwe.

Przeciskam się między spoconymi ciałami, chcąc dostać się do szafki.

— Hej, Lizzy! — Do moich uszu dociera jakiś stłumiony krzyk. Rozglądam się dookoła, próbując

wybadać, skąd pochodzi. — Tutaj! — Słyszę ponownie, a mój wzrok wyłapuje machającego w moim kierunku Matta. — Hej — mówi zdyszany, kiedy staje obok.

— Cześć, co tam? — zagaduję, wrzucając książki do szafki.

Nie będą mi potrzebne. Przede mną tylko jedna lekcja, na którą nie muszę mieć materiałów.

— W porządku, a u ciebie? — pyta z uprzejmym uśmiechem.

Dlaczego wszyscy są dziś tak bardzo szczęśliwi? To irytujące, kiedy nie mam humoru.

— Też, jakoś leci. — Wzruszam ramionami i zatrząskuję drzwiczki, skupiając uwagę w stu procentach na nim.

Moje stosunki z O'kellym również się ociepliły. W odróżnieniu od Chase'a postanowiłam wyjaśnić z nim wszystko. Spotkaliśmy się i pogadaliśmy jak dorośli. Mam żal, nigdy nie zapomnę tego, co powiedział, ale jednocześnie nie chcę wyjeżdżać z Crosby skłócona z kimkolwiek.

— Wiesz, chciałbym poruszyć z tobą pewną kwestię — mówi, kiedy niemal równocześnie ruszamy w kierunku stołówki.

— To znaczy?

Zerkam na niego kątem oka. Drapie się po karku.

— Chodzi o bal. Mieliśmy iść razem, ale teraz nie wiem, czy to w ogóle aktualne po... tym wszystkim. I chciałbym ci powiedzieć, że myślałem o zaproszeniu Charlotte... jeśli to nasze jest... nieaktualne. — Zupełnie gubi się w słowach.

Och.

— No co ty. Zaproś ją. Ja i tak chciałam ci powiedzieć, że się nie wybieram.

— A to dlaczego?

Pcham drzwi prowadzące na stołówkę. Jak zwykle jest zatłoczona, dlatego potrzebuję chwili, aby odnaleźć znajomych, żywo dyskutujących przy stoliku.

— Za dużo się działo. Nie mam do tego głowy — stwierdzam zgodnie z prawdą, po czym podchodzę do przyjaciół. — Cześć wszystkim — witam się i zajmuję jedno z wolnych miejsc, między Zoe a Jakiem.

Odpowiadając, wszyscy patrzą na mnie, a następnie się na dosiadającego się Matta. Przez chwilę panuje dziwna cisza, ale w końcu każdy wraca do rozmowy.

— No i pomyśleliśmy, że fajnie byłoby zrobić romantyczny klimat. Wiecie, dużo czerwieni i złota — rzuca Monica, zajądając się budyniem.

Przenoszę wzrok na siedzącego po drugiej stronie Chase'a, który stuka coś w telefonie. Co jakiś czas marszczy nos. Jego brwi są ściągnięte, a wargi zaciśnięte. Wygląda na wkurzonego albo głęboko zamyślnego. Nie potrafię tego jednoznacznie stwierdzić. Kiedy podnosi głowę, odwracam swoją w lewo, udając, że cały czas patrzyłam na Jackson. Dopiero teraz orientuję się, jak nieswojo dziewczyna wygląda.

— Wszystko w porządku? — pytam cicho.

Różowowłosa wpatruje się w złączone palce. Mija kilkadziesiąt sekund, zanim wzdyga się, jakby dopiero teraz dotarło do niej to, co powiedziałam.

— C-co? Tak, tak.

— Jesteś pewna? — Unoszę brew.

Zoe przełyka wyraźnie ślinę, mierzając się z moim spojrzeniem. Mimo nałożonej warstwy makijażu i tak widzę, że płakała. Z daleka nie rzuca się to w oczy, ale siedzę zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od niej.

— Tak, jest okej. — Jackson wymusza uśmiech, po czym ponownie skupia się na swoich palcach.

Gdybym tylko wiedziała, co nadchodzi...

Zamykam drzwi swojego pokoju i wzdygam cicho. Rozglądam się po opustoszałym korytarzu, a kiedy nie słyszę nic, ruszam w kierunku schodów. Moje stopy odbijają się cicho od drewna, podczas gdy wzrok skupiony już jest na celu.

Caroline wyszła jakąś godzinę temu do Adama. Postanowiła zostać tu na tydzień, aby trochę

odpocząć. Cieszy mnie ten fakt. Fajnie jest mieć z kim pogadać, choć nie ukrywam — obie omijamy temat Chase'a. Nie mam ochoty o nim mówić i widzę, że ona również. Między nimi jest dziwne napięcie. Nie spędzają w swoim towarzystwie wiele czasu, nie rozmawiają. Od razu idzie wyczuć, że coś jest nie tak.

Kiedy docieram na parter, patrzę na oświetlony słabą żarówką salon. Siedząca w fotelu kobieta upija właśnie wino z kieliszka. „Dosłownie czyta w moich myślach” — myślę sobie, po czym wchodzę do kuchni i z jednej z szafek wyjmuję drugie naczynie. Widziałam, że butelka stoi na stoliku kawowym, a tylko to jest mi teraz potrzebne. Muszę odetchnąć.

— Cześć — mówię, gdy przechodzę przez próg.

— O, cześć, Lizzy — odpowiada z uśmiechem Josephine, a po chwili z jej ust ulatuje ciche parsknięcie. — Widzę, że się przygotowałaś.

— Trzeba się wyzerować. — Oplatom palcami szyjkę butelki. Podrzucam ją w powietrzu, aby chwycić jak należy, po czym wypełniam kieliszek czerwonym trunkiem i zajmuję miejsce na kanapie. — Co słysząc?

— Wszystko w porządku. Miałam tylko ciężki dzień w pracy, dlatego muszę się wyluzować. Jak w szkole?

Josephine wiedziała już wtedy. Ta świadomość zabija mnie od środka. Byliśmy zbyt zajęci sobą, aby zauważyć...

— Dobrze, choć ciężko znów wejść w rytm po przerwie świątecznej.

Między nami zapada chwila ciszy. Każda z nas wydaje się zamknięta we własnej głowie. Cóż, ja z pewnością jestem, i to nie od dziś. Mam wrażenie, jakbym wraz z przylotem do Wielkiej Brytanii trafiła do innej czasoprzestrzeni. Wszystko znów się skomplikowało, a ja nie wiem, jak to przełknąć. Boli mnie trochę serce. Z wielu powodów. To dość dobijające.

— A jak się trzymasz, Lizzy? Po tym wszystkim?

Poprawiam się na swoim miejscu.

— W porządku. — Chrząkam, a kiedy dostrzegam uniesioną brew Josephine, wzdycham. — Jakos?

Prawda jest taka, że nie wiem, jak się czuję. Nadal próbuję ułożyć sobie wszystko w głowie. Moja matka kochała dwóch mężczyzn jednocześnie, zdradzając tym samym swojego męża. Oszukała Terrence'a, zatajając fakt, że oddała się swojemu przyjacielowi, potem zaszła w ciążę, a po urodzeniu mnie znów zdradziła męża. Przez osiemnaście lat byłam święcie przekonana o jej wspaniałości. Wielbiłam kobietę, która tak naprawdę nigdy nie istniała. Była jedynie moim wyobrażeniem, które wykreowałam przez ślepo zakochanego w niej ojca.

Margaret nie zasłużyła na jego miłość.

— Ostatnio dużo się dzieje.

— Świat stanął na głowie, a ja już powoli nie wyrabiam. Mam wrażenie, że to tylko koszmar, z którego niebawem się wybudzę — mamrocę i ponownie upijam łyk wina.

— Nie masz pojęcia, ile bym dała, aby tak właśnie było. — Josephine zeruje swój kieliszek. — Chcesz jeszcze?

— Chętnie.

Nie dbam już o to wszystko. Chcę się napić, żeby nie zwariować. Czuję się cholernie przytłoczona. Wszystko mi się miesza. Po raz kolejny para niewidzialnych rąk ściska moje gardło i przyciska mnie do ziemi. Wszystko się pali, a mnie piecze skóra. Już nie płaczę. Nie przeżywam. Wewnętrznie jestem nieżywa. Zupełnie wyprana. Martwa.

Jo wypełnia szkła. Lubię nasze rozmowy. Bardzo za nimi tęskniłam. Od momentu przejścia Omara przez próg tego domu nie miałyśmy wielu okazji do dyskusji. Zbyt wiele się działo i dopiero teraz zrobiło się na tyle spokojnie i mało emocjonalnie, aby usiąść i zamienić parę zdań. Nic nie jest już takie jak wcześniej, ale to miłe, że są rzeczy, które udało nam się odbudować.

— Jak Theresa zniosła podróż do Bangor? Narzekała? — pytam, próbując odejść od uciążliwych tematów.

— Nic mi nie mów. Paplała całą drogę. Okropne babsko.

Wczorajszego wieczoru babcia Clarke wróciła do swojego domu. Mimo że chwilami miałam jej dość, zrobiło mi się przykro, bo naprawdę ją lubię. To właśnie ona wniosła światło w mury tego budynku, kiedy spowił go mrok. Była takim promyczkiem i hamulcem dla nas wszystkich. W końcu właśnie dzięki niej dowiedziałam się tego wszystkiego. To ona doprowadziła do mojej rozmowy z ojcem i Natalie. Zrobiła wiele dobrego. Nigdy jej tego nie zapomnę.

— Tak właściwie... — Przetykam wino. — ...dlaczego tak bardzo jej nie lubisz? Oczywiście jeśli nie chcesz, nie mów. — Wzruszam ramionami.

Już od pierwszego dnia można było wyczuć pewne napięcie między nimi. Generalnie wymiany ich zdań z mojej perspektywy były całkiem śmieszne, ale jednak gdy je obserwowałam, czułam, że coś ewidentnie nie gra. Ani razu nie słyszałam, aby Theresa mówiła przychylnie na temat Josephine. Ciągle ją krytykowała i wytykała jej błędy.

— Ja i mama mamy bardzo odmienne poglądy — śmieje się cicho. — Ona jest tą głęboko wierzącą babunią, która w kościele siedzi w pierwszej ławce, ale w rzeczywistości tkwi w niej diabeł. Ja natomiast nie mam żadnej maski i jestem sobą. Ona stawiała zawsze na rodzinę, moje wykształcenie, a ja na imprezowanie. Miałyśmy inny pomysł na moje życie. Chciała, abym poszła na studia i wyszła dobrze za męża, ale ja nie zamierzałam się dostosowywać.

W mojej głowie pojawia się obraz nastoletniej Josephine Clarke, która imprezuje i wygląda jak taka typowa, zbuntowana dziewczyna. Wydaje się to całkiem zabawne, bo wychowała dwójkę dzieci. Co prawda nie są jej biologicznymi, ale wzięła za nie odpowiedzialność. Szczególnie za Chase'a.

— Poza tym kiedy wzięłam młodego, Theresa próbowała mi go odebrać. Długo z nią o to walczyłam. Uważałam, że skoro Lorraine nie kazała dawać go matce, miała ku temu powody. Wzięłam sobie do serca jej słowa i właśnie to wywołało między nami mocny konflikt. Nie pierwszy, swoją drogą. My ciągle się kłóciłyśmy. Teraz to nic — mówi rozbawiona. — Ta kobieta nie ufała mi na tyle, że przeprowadziła się nawet do Wielkiej Brytanii, żeby mnie doglądać. Uważała, że jestem zbyt głupia i nieodpowiedzialna, aby wychowywać Chase'a. Ciągle mnie krytykowała, narzucała coś i trwało to do momentu, aż poznałam Jonathana. Wtedy odpuściła, bo zobaczyła, że mam u swego boku kogoś odpowiedniego i dobrego dla malca.

— Wiesz, wbrew temu, co mówisz, jesteście do siebie cholernie podobne. I nie mówię tu o wyglądzie zewnętrznym, ale o sposobie bycia i waszych tekstach. Nie możecie nawet zaprzeczyć, że łączą was więzy krwi. Wystarczy spędzić z wami kilka minut, aby to dostrzec, i do tego...

— Wróciłem! — przerywa mi donośny głos Jona, który wchodzi właśnie do domu, akcentując to trzaśnięciem drzwiami.

— Oho, jest i mój wybawiciel. — Josephine spogląda na korytarz.

Ja również zerkam przez ramię.

— O, cześć, dziewczyno — mówi zdyszany mężczyzna, patrząc na nas z lekkim uśmiechem. Zdejmuje płaszcz i znika za ścianą. — Co słyhać? — zagaduje, ponownie pojawiając się we framudze. Tym razem pokracznie pozbywa się butów, co jakiś czas klnąc pod nosem na to, jak mocno je zawiązał.

— Nic nowego, poza tym, że odpoczywamy psychicznie po wyjeździe matki — oznajmia blondynka i upija kolejny łyk wina.

— No, już bez przesady. Theresa nie jest taka zła — śmieje się, po czym podchodzi do Josephine, zostawia na jej wargach szybkiego całusa i zerka na mnie.

— Tak, nie jest zła dla ciebie, bo cię lubi — komentuje z przekąsem kobieta.

Jonathan przewraca oczami, nie spuszczaając ze mnie wzroku.

— Lizzy, czy pamiętasz Michaela? — pyta.

Daje trzy kroki w tył, po czym siada na oparciu fotela.

— Tego prowadzącego terapię dla uzależnionych? No tak, pamiętam. — Upijam łyk wina, orientując się, że właśnie opróżniłam kolejny kieliszek.

Patrzę na Jo, której szkło również jest puste. Jon milczy, więc nalewam sobie trunku.

— Proszę — mówi, gdy mam już wrócić na swoje miejsce.

Spoglądam na jego dłoń.

— Co to jest? — Marszczę brwi w konsternacji.

Dostrzegam jakąś kopertę i książkę, które odbieram.

Skupiam się na okładce i orientuję się, że jest to egzemplarz *Małego Księcia*.

— Jeden z pacjentów mu to przekazał. Nazywał się Mark. Zmarł dziś rano we śnie.

Zamieram. Siedzę na kanapie, tępo wpatrując się w mężczyznę przede mną.

Śmierć wokół mnie roznosiła się niczym plaga. W krótkim czasie z mojego życia zniknęło tak wiele osób, że poczułam się przez nią osaczona. Miałam wrażenie, że torowała sobie do mnie drogę. Kto by pomyślał, że w końcu jej się uda. Że w końcu zwycięży.

— Lizzy, wszystko w porządku? — pyta wyraźnie zatroskana Josephine.

Nie odpowiadam. Kiwam tylko głową i odstawiam kieliszek na stół. Wgapiam się w kopertę, na której z każdą sekundą pojawia się coraz więcej kroperek.

Nie myśląc wiele, zrywam się z miejsca i wychodzę z salonu. Ściskam mocniej papier oraz książkę. Wspinając się po schodach, słyszę, jak drzwi wejściowe się otwierają. Zerkam przez ramię, aby spotkać hipnotyzujące spojrzenie zielonych oczu.

Wstrzymuję oddech. Nie wiem, jak długo trwa nasz kontakt wzrokowy, ale widzę niepokój na jego twarzy, gdy tak na mnie patrzy. Moja warga drży, łzy spływają po policzkach. Odwracam się i mijając po dwa stopnie, wchodzę na górę. Zamykam się w swoim pokoju. Przekręcam klucz w drzwiach na korytarz, a następnie podchodzę do tych łazienkowych i robię z nimi dokładnie to samo. Muszę pobyć sama.

Trzęsącymi się dłońmi rozdieram kopertę. Wiedziałam, że kiedyś ten dzień nadejdzie, ale nie spodziewałam się listu. Nie potrafię wyjaśnić tego, co teraz czuję.

Wyjmuję białą, idealnie zgiętą, w pełni zapisaną koślawymi literami kartkę. Rozsiadam się na podłodze, przysuwam kolana do brody i przysuwam papier do twarzy. Z szybko bijącym sercem zaczynam czytać.

Uszanowanko,

jeśli to czytasz, z całą pewnością jestem już po drugiej stronie. Wiem, że pożegnaliśmy się ostatnim razem, jednak nie mogłem powstrzymać się przed skreśleniem jeszcze kilku zdań do pięknookiego dziecka, które z niewytłumaczalnych powodów zajęło miejsce w moim sercu.

Szczerze? Nie spodziewałem się, że czekanie na śmierć może być takie nudne. Przyszedł moment, w którym zacząłem narzekać na to, że żyję. Moja ukochana córka Daisy zbesztła mnie, a następnie wybuchnęła płaczem. Synowie również. Nie chciałem doprowadzić ich do łez, jednak co mogę poradzić na moje beznadziejne poczucie humoru? Jestem tylko starcem, który zniszczył sobie życie dla butelki. Człowiekiem, który zrujnował dzieciństwo własnym dzieciom, bo sam nie potrafił się podnieść po śmierci żony.

Piszę do ciebie, Elizo, ponieważ śniłaś mi się zeszłej nocy. Uznałem to za znak. Za pewnego rodzaju szansę na to, aby jeszcze coś zrobić na tym świecie.

Przyjście tamtego dnia na terapię było najlepszą decyzją mojego życia. Nie masz pojęcia, jak bardzo moje serce raduje się na myśl o tobie. Widzieliśmy się tylko kilka razy, a ja śmiało nazywam cię swoim przyjacielem. Nie miałem ich w życiu wielu. Większość odwróciła się ode mnie, gdy się stoczyłem. Duża część nadal patrzy na mnie z obrzydzeniem, jednak ty nigdy tego nie robiłaś. W twoich oczach zawsze widziałem dobro i zrozumienie, mnóstwo empatii, ale też cierpienie.

Nie znam cię. Nie wiem, jak wygląda twoje życie, ale jeśli oczy są odzwierciedleniem naszych dusz — przesłaś przez prawdziwe piekło. Doświadczyłaś rzeczy, których nawet nie dopuszczam do siebie, bo w moim wyobrażeniu są tak potworne. A jednak, mimo mroku, widziałem też iskrę. Mimo załamania dostrzegłem nadzieję. Nie masz pojęcia, jak wiele siły rozbudziłaś we mnie podczas przemowy tamtego dnia, gdy pierwszy raz przysłaś na spotkanie. Nie masz pojęcia, o ile mocniej zabiło moje serce, gdy zjawiłaś się w szpitalu.

To dzięki tobie otworzyłem się pierwszy raz na terapii. Nigdy w życiu nie poczułem, że mogę zostać tak bardzo zrozumiany. Po usłyszeniu twojej historii zrozumiałem, że nie ja jeden zabiłem. Nie ja jeden zgubiłem drogę do domu. Czy ty już odnalazłaś swoją? Mam nadzieję, że tak.

Elizo, chcę, abyś wiedziała, że kibicuję ci całym sobą. Zaslugujesz na szczęście. Zaslugujesz na miłość w każdej postaci, dlatego proszę cię o jedno — nie poddawaj się. Walcz. Zrób to dla siebie, bo

jesteś kimś niezwykle wartościowym. Jeśli będzie źle — wróc do tego listu. Pamiętaj, że mimo śmierci — uratowałaś mnie. Ty i moja córka Daisy stałyście się światełkami w tunelu.

Nie masz pojęcia, jak bardzo ubolewam nad tym, że nie poznałem cię wcześniej. Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałbym, abyś przyszła do mnie na herbatę. Już nie będziemy mieli takiej możliwości. Nie w tym życiu. Mam nadzieję, że dalej też coś jest. Dzięki temu nadrobimy stracone chwile.

Tymczasem ciesz się każdą godziną. Kochaj, płacz i czuj. Żyj pełną piersią, ale nie zapominaj o jednym.

Choćby było bardzo źle, choćby niebo spadło na twoją głowę, pamiętaj, że miłość zawsze zwycięża. To ona jest siłą. To ona wszystko przetrwa i wybaczy, bo taka właśnie jest. Trochę naiwna i ciężka, ale nie ukrywajmy — bez niej życie nie ma sensu.

To nie jest pożegnanie. Jeszcze się zobaczymy,

Mark Goodwin

PS Właśnie uświadomiłem sobie, że umrę, nie znając twojego nazwiska! Dramat! Jeśli jest coś dalej — znajdę cię i zapytam o to w pierwszej kolejności! Koniecznie!

Mark Goodwin. Nazywał się Mark Goodwin.

Przymykam powieki i odchylam głowę na materac. Łzy niezmiennie spływają po moich policzkach. Pociągam nosem. Jest mi przykro. Tak bardzo przykro, że odszedł. Był dobry. Bardzo dobry, tylko troszkę się pogubił. Miłość do żony go zniszczyła. Nie potrafił bez niej funkcjonować, przez co spadł na samo dno, od którego w końcu jednak się odbił.

Uśmiecham się, przypominając sobie ostatnie linijki. Nawet chwilę przed śmiercią zachował humor. Mam nadzieję, że nie cierpiał. Mam nadzieję, że ten sen był dobry, a on w końcu dołączył do swojej żony. Mam nadzieję, że teraz jest szczęśliwy przy kobiecie, którą kocha.

Zerkam na leżący na podłodze egzemplarz *Małego Księcia*. Dłuższą chwilę wpatruję się w okładkę, po czym biorę do ręki książkę, wciskam palec między przypadkowe strony i otwieram ją.

— A oto moja tajemnica. Jest bardzo prosta: dobrze widzi się tylko sercem. To, co najważniejsze, jest niewidzialne dla oczu.

— To, co najważniejsze, jest niewidzialne dla oczu — powtórzył Mały Książę, aby dobrze sobie zapamiętać.

— To czas, który poświęciłeś twojej róży, czyni ją tak ważną.

— To czas, który poświęciłem mojej róży... — powtórzył Mały Książę, aby dobrze sobie zapamiętać.

— Ludzie zapomnieli o tej prawdzie — powiedział lis — ale tobie nie wolno zapomnieć. Stajesz się na zawsze odpowiedzialny za to, co oswoiłeś. Jesteś odpowiedzialny za swoją różę...

— Jestem odpowiedzialny za moją różę — powtórzył Mały Książę, aby dobrze sobie zapamiętać.

Ze skupieniem czytam kolejne zdania. Chwytam w palce krzyżyk i bawię się nim. W mojej głowie pojawia się wspomnienie tego dnia, kiedy Chase zabrał mnie na koncert Arctic Monkeys. Dnia, kiedy leżeliśmy w jego łóżku i rozmawialiśmy do późna. Tej chwili, gdy przyszedł do mnie po trzech dniach i postawił na nogi.

Chase Shaw już w pierwszej chwili rozniecił we mnie płomień, który za wszelką cenę próbowałam ugasić. Choć starałam się sobie wmówić, że nic do niego nie czuję — wieczorem i tak kończyłam w jego ramionach.

Myślę, że ostatnie wydarzenia go przygniotły. Myślę, że i ja się pogubiłam, ale wiem jedno. Tęsknię za nim. Cholernie. Widuję go, słyszę jego głos, ale co z tego, skoro nie mogę go dotknąć czy z nim porozmawiać? Fizycznie dzieli nas niewielka odległość, jednak pod każdym innym względem między nami jest przepaść. Ciemna dziura bez dna.

„Czy właśnie tak ma to teraz wyglądać? Mamy się ignorować i udawać, że to wszystko się nie wydarzyło?” — zastanawiam się.

Odkładam książkę na ziemię, po czym wstaję. Rękawem bluzy przecieram policzki, po których niezmiennie płyną łzy. Serce bije mi szybciej, oddech mam urywany.

To była chwila. Impuls. Nawet nie wiem, w którym momencie stałam już przy drzwiach

prowadzących do łazienki.

Otwieram je i zamieram.

Stoi przede mną. Patrzy na mnie. Nefryt jego oczu wwierca się w moją twarz. Nogi mam ciężkie. Chcę się ruszyć, ale nie potrafię. Chcę coś powiedzieć, ale mam wrażenie, jakby ucięto mi język.

Przeżalenie. To jedyne, co widzę w zielonych tęczęwkach chłopaka. Jest wręcz namacalne. Pierwszy raz dostrzegam je tak wyraźnie. Pierwszy raz Chase Shaw zdjął przede mną wszystkie maski i w tym momencie mam wrażenie, że stoi przede mną sześciolatek. Ten sam, który siedział przykuty do grzejnika. Ten sam, który ratował swoją ciocię, jak tylko wtedy potrafił.

Nagle Chase daje duży krok i zamyka mnie w swoich ramionach. Tak po prostu. Jakby było to czymś normalnym i naturalnym w obecnej sytuacji. Nie wyrywam się, gdy dłonie chłopaka błędzą po moich plecach. Nie opieram się, kiedy przyciska mnie do siebie mocniej. Nie robię nic, bo bardzo chciałam tu być. Chciałam znów poczuć jego ciepło i nie myśleć.

I choć nie powiedzieliśmy słowa, choć po naszym małym załamaniu każde z nas poszło do siebie — zasnęłam z myślą, że jesteś obok. Że tak długo, jak długo mam Cię blisko, nic mi nie grozi.

Teraz nie śpiam. Teraz czuję tylko strach.

— Trzy telefony w dwa dni? To twój rekord.

— Bardzo śmieszne.

— Dzwonię, bo chcę ci o czymś powiedzieć. Pamiętasz, jak doktor Charboneau mówiła, że po roku można ustalić personalia dawcy serca?

— Postanowiłeś skorzystać z tej opcji?

— Już skorzystałem. Wczoraj przesłali mi dane. Zaczekasz chwilę? W chwili śmierci miał trzydzieści dziewięć lat i pochodził z Saint Olivia. Może go znałaś? Dawson Cole...[3]

— Ja pierdołę, oglądałam to już siódmy raz, ale uderza tak samo mocno — mówi zapłakana Zoe, przecierając ręką mokre policzki.

— Nic mi nie mów. — Robię dokładnie to, co ona.

Dziś razem z Jackson postanowiłyśmy zrobić sobie maraton. Już wcześniej zauważyłam, że różowowłosa chodzi jakaś przygaszona, więc stwierdziłam, że zaproszę ją do siebie, aby się rozerwała. Kto jak kto, ale akurat ona zwykła promienieć i zarażać ludzi pozytywną energią. Nawet Jake zauważył, że coś nie gra. Próbował oczywiście wyciągnąć z niej cokolwiek, jednak bezskutecznie.

— Z jednej strony świetnie byłoby przeżyć taką miłość, ale z drugiej to zakończenie jest tak bolesne, że nie wiem, czybym się pozbierała. Gdybym kochała kogoś dwadzieścia lat, i dwadzieścia lat na niego czekała, jak miałabym zaraz znów żyć bez tej osoby? — rzuca wyraźnie zamyślona.

— Jeśli dałabyś radę żyć tak przez dwadzieścia lat, to dlaczego miałabyś nie dać rady przeżyć w ten sposób kolejnych dwudziestu? — Wciskam do ust porcję popcornu, który udało mi się wymacać ręką.

— No, niby masz rację — stwierdza cicho.

Zerkam na dziewczynę kątem oka. Jej wzrok niezmiennie skupiony jest na laptopie. Wygląda, jakby zamknęła się we własnym świecie. Nie po raz pierwszy w tym tygodniu.

— Dobra, koniec tego. — Zrezygnowana przerywam ciszę i podnoszę się, bo jej stan naprawdę zaczyna mnie przerażać. — Mów, co się dzieje — wypalam wprost.

Jackson marszczy brwi, przenosząc na mnie uwagę.

— To znaczy?

Odpowiadam grymasem. Chcę jasno dać jej do zrozumienia, że wiem, iż doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co mam na myśli.

— Nie chcę o tym gadać — mamrocze pod nosem.

Widzę, że zaczyna nerwowo bawić się palcami.

— Coś się dzieje w domu? Masz jakieś problemy? — dociekam mimo to.

Ignorowałam jej stan dwa dni, a że nie chcę, aby skończyło się tak, jak w przypadku Caroline — wolę zareagować.

— Chodzi o Logana, prawda? — Kolejne pytanie opuszcza mojej usta, gdy widzę, że dwa pierwsze zdania na nic się zdały.

Zoe spina się i chrząka cicho, wzrokiem błędząc po pomieszczeniu.

— Między nami jest... ciężko — wyznaje lekko zachwianym głosem.

— W sensie? Stało się coś konkretnego?

Jackson przymyka na moment oczy, a niedługo potem po jej policzku spływa łza.

— Cholera — mamrocze pod nosem i bierze do ręki wibrujący nieopodal telefon. — Halo? — mówi z lekką chrypą do osoby po drugiej stronie. — Co? Okej, już patrzę.

Zoe rozłącza się i trzęsącymi się dłońmi stuka w ekran. Ja niezmiennie ją obserwuję. Cierpliwie czekam na jakąkolwiek reakcję z jej strony. Nagle dziewczyna zamiera.

— Co się stało? — wyduszam z siebie po dłuższej ciszy, kiedy różowowłosa w końcu unosi głowę z szeroko otwartymi oczami i rozchylonymi ustami. — Cholera, Zoe, co jest? Przerażasz mnie.

Jackson wydaje się błędzić myślami daleko poza tym pokojem. Nie patrzy na mnie. Gdy jej ręka opada na materac, postanawiam mało subtelnie spojrzeć na wyświetlacz.

— Co to jest? — Patrzę na odwróconą do góry nogami fotografię.

— Jake... On... — szepcze zupełnie nieobecna, przesuwając telefon w moją stronę.

Bez chwili namysłu chwytam go i przysuwam tak, aby przyjrzeć się wiadomościom nadesłanym przez Fletchera.

Od: Jake

Zatkało mnie.

Od: Jake

załącznik

Wciskam podeślane przez chłopaka zdjęcie, aby je powiększyć. Przedstawia roześmianych ludzi w barze: jakaś szatynka siedzi na kolanach wytatuowanego chłopaka, po drugiej stronie stołu dziewczyna z rudymi włosami oplata ręką ramię bruneta. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to Ginny, Logan, Shannon i Chase.

Znacie to uczucie, gdy nagle cały świat zatrzymuje się dla was w miejscu? Kiedy nagle nie widzicie, nie słyszycie... nie czujecie? Kiedy oddycha się ciężiej? Kiedy nogi robią się wiotkie, serce łomocze, a dłonie drżą tak, że wszystko z nich wypada?

Podnoszę wzrok na Zoe. Po jej policzkach spływają kolejne łzy. Trzęsie się, choć jest naprawdę gorąco. Ja natomiast patrzę na nią tępo. Nie wiem, co powiedzieć. Odebrało mi mowę. To zdjęcie jednoznacznie pokazuje, że ta cała Ginny siedzi na kolanach Turnera. Dlaczego Ginny siedzi na kolanach Turnera?

— Chciałam właśnie powiedzieć, że widziałam ostatnio, jak Logan wymienia z Ginny dwuznaczne wiadomości — mówi i ciężko wzdycha.

Wtedy zobaczyłam, że w oczach Zoe coś umarło. Tamtego dnia moje serce rozsypało się na miliony kawałeczków, choć myślałam, że już dawno nie było co zbierać. Myliłam się. Sklepiłeś potłuczony odłamki i sam ponownie rozbiłeś je o beton. Tak po prostu. Jakby to wszystko, co mieliśmy, nie miało znaczenia. Czy naprawdę nie miało znaczenia?

Zaciągam się papierosem z nadzieją, że wydobędę tym z siebie całe buzujące we mnie napięcie. Cóż — nie. Błędzę wzrokiem między zaparkowanymi samochodami, przez kamienną ścieżkę, aż po soczyście zieloną trawę. Pamiętam, jak przyjechałam tutaj i pierwszego dnia pomyślałam że pewnie jest sztuczna, a później właśnie taka się okazała. Nie wiem, dlaczego teraz o tym myślę. Chyba muszę na chwilę odetchnąć, bo ostatnie trzy godziny były koszmarnie.

Ogarnięcie Zoe po tym, co zobaczyła, stało się dla mnie nie lada wyzwaniem. Pierwszy raz widziałam kogoś w tak wielkim szoku. Wyglądała jak sparaliżowana. Przez dziesięć minut nie odezwała się do mnie słowem, cały czas patrzyła tylko w jakiś punkt. To wręcz zmroziło mi krew w żyłach. Byłam tak zajęta stanem Jackson, że nawet nie przyszło mi do głowy, by rozmyślać o prawej stronie zdjęcia. O tej części fotografii, która przedstawiała Chase'a z Shannon.

Byli blisko. Bardzo blisko. Zbyt blisko.

Tak naprawdę wszystko do mnie dotarło, gdy razem z Caroline odwoziłam Jackson do domu. Potrzebowałam jej pomocy, bo sama nie byłabym w stanie prowadzić samochodu. Oczywiście blondynka próbowała wyciągnąć ze mnie cokolwiek, ale ja kompletnie nie potrafiłam jej tego wyjaśnić. Poprosiłam więc o kilka godzin dla siebie, aby jakoś poskładać wszystko do kupy.

Czy złożyłam? Oczywiście, że nie. Stoję tutaj cholera wie, jak długo, wypalam siódmego papierosa, a moje płuca domagają się więcej, bo tylko w ten sposób nie czuję tego dziwnego uścisku. Tego bólu idącego z każdą myślą o tym przeklętym chłopaku, Loganie i zapłakanej Zoe.

Odruchowo zasłaniam ręką oczy, kiedy oślepia je reflektor. Mam wrażenie, jakby serce na moment mi się zatrzymało, gdy słyszę tak dobrze znany mi dźwięk silnika chevroleta. Wrócił.

Podświadomie chyba na Ciebie czekałam, wiesz?

Gdy przyzwyczajam się do jasności, ponownie wciskam między wargi fajkę i zaciągam się mocniej niż dotychczas. Dobrze, że kupiłam dwie paczki na zapas. No i całe szczęście, że ogarnęłam swój nieszczęsny makijaż, bo ostatnie, czego bym chciała, to żeby ten dupek zobaczył mnie w tak złym stanie, w jakim byłam jeszcze godzinę temu.

Upuszczam fajkę i przydeptuję ją butem, z kieszeni wyjmując kolejną, gdy silnik gaśnie. Sprawnie podpalam tytoń, niecierpliwie tupiąc nogą. Staram się skupić na wszystkim, byle tylko nie patrzeć w prawo. Drżą mi ręce, więc cieszę się, że jest ciemno, bo dzięki temu nie jest to tak widoczne.

Słyszę jego kroki. Shaw porusza się leniwie. Nie spieszy się. Mam ochotę prychnąć, kiedy do moich uszu dociera pstryknięcie zapalniczki.

— Cześć, Parker — mówi neutralnie i w ogóle nie tak, jakbyśmy nie gadali ze sobą cztery jebane dni.

Nie odpowiadam. Wsuwam między wargi filtr, drugą dłoń wciskam do kieszeni bluzy. Jest już późno, więc wiatr zrobił się chłodniejszy. Pogoda nad morzem bywa czasem cholernie dziwna i bardzo zmienna.

— Długo jeszcze będziesz udawała wielce obrażoną? Może od razu przejdźmy do tego momentu, gdy godzimy się seksem, co? — pyta z kpiną.

— Proszę? — Moje brwi unoszą się wysoko na te słowa.

Obracam głowę, aby na niego spojrzeć. Chłopak uśmiecha się głupio z papierosem w ustach. Wydaje się wyraźnie zadowolony z tego, co właśnie powiedział, ale nie na tym się skupiam. Mimo ograniczonej widoczności nawet stąd widzę jego powiększone i zaczerwienione źrenice oraz dziwny niepokój, jaki wyraża mowa ciała.

On jest, kurwa, naćpany.

— Powiedziałem coś, co nie byłoby prawdą? — Śmieje się pod nosem. — Zawsze tak jest. Zawsze, gdy się kłócimy, ty i tak wracasz. Dlaczego by po prostu nie przyspieszyć procesu i nie przejść do tego, co przyjemne?

Bez namysłu wysuwam z kieszeni dłoń i wymierzam brunetowi policzek. Jego twarz oczywiście nawet nie drgnie. Najpewniej spodziewał się takiej reakcji, a może nawet jej oczekiwał?

— Jesteś skończonym idiotą — mówię z obrzydzeniem.

Naprawdę nie mam zielonego pojęcia, o co mu chodzi, ale niech spada. Nie powiem — zdjęcie, które zobaczyłam, bardzo mnie dotknęło, jednak w tym momencie nawet nie myślę o płaczu. Shaw wziął jakieś gówno, a teraz gada głupoty, których później będzie żałował. Wiem, że nie ma sensu z nim dyskutować, ale chyba *chciałam żebyś mnie dobił. Chciałam Cię znienawidzić, aby łatwiej było mi odejść.*

— Daj spokój, Parker — rzuca przeciągle. Upuszcza fajkę, zbliża się do mnie i zarzuca mi rękę na ramię. Zadzieram głowę do góry, aby na niego spojrzeć. — Jakoś Margaret nie była tak oporna, żeby wskoczyć mojemu staremu do łóżka.

Ręka z papierosem zastyga tuż przy moich ustach. Gdy otrząsam się z chwilowego odrętwienia, fajka wypada z moich rąk, a ja odpycham od siebie bruneta tak, że z trudem łapie równowagę.

— Nienawidzę cię — cedzę przez zęby.

— Ach. — Cmoka zupełnie nieprzejęty moim tonem.

Co się z nim stało? Gdzie jest mój Chase?

— Wyluzuj, żartowałem tylko. — Ponownie się do mnie zbliża.

Nie ruszam się. Nie potrafię, bo mój mózg na moment odłączył się od ciała.

Nagle czuję dłonie Shawa na swojej skórze. Jego palce błądzą po mojej twarzy, podczas gdy ja patrzę w jego czarne oczy. Serce łomocze mi tak mocno, że dokładnie słyszę jego bicie. Nie wierzę w to, co się dzieje. Mam wrażenie, jakby to był tylko zły sen, z którego zaraz się obudzę.

— Warrenowie są twoim przekleństwem — mówi cicho.

Teraz już nie jest mu do śmiechu. Nagle jego humor zmienił się diametralnie. Moja szczęka zaciska się pod jego dotykiem, wbijam paznokcie w dłonie.

— Zdążyłam zauważyć — rzucam oschle.

— Parker.

— Co?

Niespodziewanie Chase wpija się mocno w moje usta. Jego dłonie przytrzymują policzki. Kiedy dociera to do mnie, chcę się odsunąć, jednak Shaw jest szybszy i robi to pierwszy.

Oddech bruneta jest urywany. Patrzy na mnie z góry, wciąż dotykając palcami mojej twarzy.

— Zależy mi. Nie zapominaj o tym i nigdy w to nie wątp.

Chwilę później nie czuję już jego obecności. W zupełnym szoku obserwuję, jak znika za drzwiami.

[3] *Dla ciebie wszystko* — amerykański melodramat z 2014 roku w reżyserii Michaela Hoffmana.

Rozdział 19

ELIZABETH

Patrzę tępo w lustro, próbując poznać dziewczynę, którą w nim widzę. Jej oczy są mętne, usta spierzchnięte, a twarz sucha i blada. Wygląda, jakby ktoś wyssał z niej życie, i prawda jest taka, że właśnie tak się teraz czuję.

Wczorajsza wymiana zdań z Chase'em nie powinna się zdarzyć. Poza tym kompletnie nic z niej nie rozumiałam. Mówił to wszystko przez narkotyki czy faktycznie tak myślał?

Spuszczam wzrok na leżący na umywalce telefon, który właśnie zaczyna wibrować. Mrużę powieki, aby dojrzeć, kto dzwoni. Imię wyświetlającej się na ekranie osoby wprawia mnie w konsternację i coś, czego nie umiem opisać słowami, ale mam wrażenie, jakby każda zjedzona w tym tygodniu rzecz podeszła mi właśnie do gardła.

Nie zastanawiając się długo, chwytam urządzenie do ręki i palcem przesuwam zieloną ikonkę w prawo. Przękam cicho ślinę.

— Zapewne jestem teraz ostatnią osobą, od której połączenia się spodziewałaś, prawda? — Niski głos przedziera się przez głośnik.

— Tak. Szczerze, to myślałam, że zadzwoni Frank z informacją o twojej śmierci — rzucam z sarkazmem, co oczywiście ten wyłapuje i śmieje się cicho.

— W takim razie daj sobie jeszcze kilka godzin. Kto wie? Może naprawdę zostaniesz wdową? — mówi rozbawiony, choć szczerze wątpię, aby wizja nieprzeżycia operacji w rzeczywistości była dla niego czymś zabawnym.

Wydaje mi się, że robi dobrą minę do złej gry. Rak mózgu nie jest byle czym. To jeden z najgorszych nowotworów, jaki może zaatakować człowieka. Czaszka Omara zostanie otwarta. Ma szansę na przeżycie — oczywiście że tak, ale jest również ryzyko. Coś może pójść nie tak.

— Brzmi kusząco. — Kontynuuję tę grę, choć właściwie sama nie wiem, czego tak naprawdę bym chciała.

Omar i Frank Rumeli namieszcili w naszym życiu jak nikt inny. Wyrządzili wiele zła, skrzywdzili Chase'a, Lorraine, Josephine, a jednak nie wiem, czy po tym wszystkim potrafię być aż tak bez serca, by życzyć im tego, co najgorsze. Wiem, że powinnam. Wiem, że jeśli Omar przeżyje, czeka mnie jeszcze kilka lat trwania u jego boku w roli żony. Rzecz w tym, że jednocześnie widzę w nim człowieka. Takiego, jak każdy z nas.

„Kiedyś moja naiwność mnie zabije” — myślę sobie.

— Słuchaj... — wzdycha mężczyzna po drugiej stronie, zmieniając nastrój rozmowy. — Jest coś, o czym musisz wiedzieć. — Słyszę, jak zaciąga się papierosem.

— To znaczy? — Przyciskam mocniej telefon do ucha, marszcząc brwi.

Mój wzrok zatrzymuje się na oczach stojącej naprzeciwko mnie dziewczyny. Wpatruję się w nie dłuższą chwilę. W oczekiwaniu na odpowiedź próbuję znaleźć w nich cokolwiek z tego, co widziałam kiedyś. Ale to zniknęło. Nic już nie ma. Coś tam w środku umarło i nawet ja sama to dostrzegam.

— Jeśli nie przeżyję operacji, możesz znaleźć się w niebezpieczeństwie — mówi z powagą, a ja staję jak wryta.

Moje mięśnie napinają się, a szczęka zaciska mocno. Próbuję przyswoić to, co właśnie powiedział. Nie wiem, czy mówi poważnie. Boże, on nie mówi poważnie, prawda?

— Bądź czujna, Claire.

— Masz jakieś problemy?

Słyszę, jak Omar wypuszcza z płuc dym i oddycha głęboko.

— Powiedzmy, że zadarłem z niewłaściwymi ludźmi, którzy teraz polują na mnie i każdą osobę ze mną powiązaną — wyjaśnia. — Właśnie dlatego nie chciałem, abyś przyjęła moje nazwisko. Komu

przyjdzie do głowy, że Claire Parker może być żoną Rumelego, skoro nic ich nie łączy, prawda? Jak widzisz, nie jestem chujem i czasem myślę o twoim dobru.

— Mam dać ci za to order czy coś? Gdy mnie ciągałeś po bankietach i molestowałeś, jakoś nie myślałeś o utrzymaniu naszego małżeństwa w tajemnicy — wypominam mu.

— Pomyślałaś kiedyś, że może po prostu chciałem spędzać z tobą jak najwięcej czasu? Może przy tobie zapomniałem o wszystkim i byłem szczęśliwy?

Nie odpowiadam.

Omar chrząka.

— Wystarczy, żebyś na siebie uważała. Zanim komuś coś powiesz, przemyśl to trzy razy, dobrze?

— W takim razie życzę ci, abyś dożył setki, bo nie mam ochoty użerać się z twoimi kumplami — mamroczę pod nosem i odwracam się tyłem do lustra, aby oprzeć się poślądkiem o umywalkę.

Jest mi trochę zimno w nogi, bo od wielu minut stoję na lodowatych płytkach. Spuszczam na nie wzrok i przyglądam się pomalowanym na czarno paznokciom. Przydałoby się w końcu zmienić kolor.

— Tak, fajnie by było. Będę kończył. Przede mną może ostatnia kolacja — rzuca z humorem.

Zaciskam wargi, czując dziwny uścisk w sercu. „Możliwe, że jest to nasza ostatnia rozmowa. Możliwe, że słyszę go ostatni raz” — ta myśl przewija się w mojej głowie.

— Wiesz, mężem na medal to ty nie jesteś, ale do najgorszych też nie należysz... pod niektórymi względami — wypalam z grymasem. Nie wiem, czy mogłabym powiedzieć coś lepszego, zważywszy na wszystko, co mi zrobił. Myślę jednak, że w takiej sytuacji mogę powiedzieć mu coś miłego, prawda?

— Spójrzmy prawdzie w oczy, jestem chujowym mężem.

Ne odpowiadam. Przynajmniej jest tego świadomy.

— Moje uczucia do ciebie były i nadal są w pełni szczerze, chociaż nie do końca to wszystko zaplanowałem. Do widzenia, Elizo. — Wypowiada trzy ostatnie słowa, po czym rozłącza się.

Przymykam powieki. Ręka z telefonem opada wzdłuż ciała. Przez dłuższą chwilę stoję w bezruchu, próbując ułożyć w głowie wszystko, co opuściło usta Omara — męża, którego mieć nie chciałam.

Istnieje prawdopodobieństwo, że nie przeżyje operacji, że jeszcze dzisiejszego wieczoru wszystko się zakończy, ale tym samym może mi zagrażać niebezpieczeństwo. Świadomość tego, z jakimi ludźmi mógł zdrzeć ten człowiek, sprawia, że mi słabo. Teraz już nawet nie chcę dopuścić do siebie myśli, że coś może pójść nie tak. Nie chcę, aby coś poszło nie tak. Nie chcę po raz kolejny przechodzić przez jakieś gówno. Wiem, że to egoistyczne podejście, ale jestem już zmęczona. Chciałabym w końcu zaznać spokoju. *Miałam przecież tylko dziewiętnaście lat...*

Odpycham się w końcu od zlewu. Odwracam się do lustra, aby ogarnąć twarz. Nakładam na skórę sporą warstwę korektora oraz podkładu. Brwi wypełniam cieniem, rzęsy wydłużam bardziej niż zwykle, a policzki traktuję różem. Muszę tchnąć w siebie trochę życia, bo nie spałam całą noc. Ostatnie godziny aż do świtu spędziłam na dachu, wypalając kolejne fajki. Została mi w sumie jedna. Zachowałam ją tak na wszelki wypadek, gdyby nagle naszła mnie ogromna potrzeba.

Myję dokładnie zęby, układam włosy i ubieram się w dzinsy oraz bluzę. Dziś nie mam ochoty na nic więcej. Przed oczami dwoi mi się i troi. Najchętniej poszłabym spać, bo dopiero teraz czuję znużenie, no ale nie mogę. Nie mam zamiaru nikomu się tłumaczyć, dlaczego po raz kolejny nie ma mnie w szkole. Poza tym muszę w niej być, aby wspierać Zoe. Pisałam z nią aż do trzeciej nad ranem. Próbowałam wyjaśnić jej, że skoro Logan tak robi, nie jest jej wart.

Zdjęcie, które wczorajszego wieczoru przesłał nam Jake, kompletnie mnie zaskoczyło. W tym wszystkim nie myślę już nawet o Chasie, bo po wczorajszym przedstawieniu mam go serdecznie dość. Ale Turner? Dałabym sobie rękę uciąć, że miał do Zoe słabość. Ona sama opowiadała mi o dniach, które spędzali razem. Kurwa, ten chłopak zabrał ją do wesołego miasteczka, spali ze sobą i generalnie zachowywali się jak para, gdy nikt nie patrzy... no właśnie. Gdy nikt nie patrzył.

Czy właśnie o to w tym wszystkim chodziło? Chciał się nią zabawić? A co ciekawsze — czy Chase chciał tego samego, skoro zachowywaliśmy się podobnie?

W pełni przygotowana na zajęcia opuszczam łazienkę, a następnie swój pokój, z którego biorę jeszcze torebkę. Upewniam się, że mam ze sobą telefon oraz klucze, po czym otwieram drzwi i omal nie

wpadam na idącego właśnie w stronę schodów Shawa.

Przez dłuższą chwilę patrzę w tors stojącego przede mną chłopaka, nie wiedząc, czy mam siłę, aby się z nim zmierzyć.

— Cześć, Parker — mówi nagle brunet i ponownie rusza przed siebie.

Nim się orientuję, schodzi na parter.

Drżącymi dłońmi wkładam papierosa między usta, obserwując dziewczynę przede mną. Jej różowe włosy związane są w wysoki kucyk. Makijaż ma tak starannie wykonany, że wygląda jak modelka z tych wszystkich magazynów.

„Cóż, niektóre osoby przy złamanym sercu popadają w rozpacz, a inne stają się lepszą wersją siebie” — myślę.

Podziwiam Zoe za to, że była dziś w stanie wstać z łóżka, ogarnąć się, przyjść do szkoły i spojrzeć na Turnera, jakby nic się nie stało. Zdaję sobie sprawę, że wewnątrz jest w krytycznym stanie, ale nie chcę ruszać tematu chłopaka do momentu, aż nie znajdziemy się daleko od ciekawskich par oczu. Tutaj każdy szuka powodów do plotkowania. Tutaj każdy łaknie sensacji, a ja nie zamierzam im jej dać. Nie kosztem mojej przyjaciółki.

— Przysięgam, że jeśli ten chuj Edan znowu weźmie mnie do odpowiedzi, to zapytam go wprost, czy ma ze mną jakiś problem — mamrocze pod nosem Jake, wciskając ręce do kieszeni spodni. — Nie wiem, no ale wciąż mam przeczucie, że jest gejem. Widziałyście, jak on na mnie patrzy? — pyta z pewnego rodzaju fascynacją w głosie.

Cieszę się, że posłuchał mojej prośby i nie mówi o wczorajszym zdjęciu. Myślę, że obie musimy najpierw ułożyć sobie w głowie to, co widziałyśmy, aby móc podjąć jakiegokolwiek działanie w tej sprawie.

— Niby jak? — parska Zoe i zaciąga się fajką.

— No, tak gejowsko, jakby chciał mnie przelecieć — stwierdza pewny swego.

Patrzę na Jackson, ona na mnie. Uśmiecha się pod nosem, dokładnie tak jak ja.

— Chciałabym wiedzieć, jak wygląda gejowskie spojrzenie — śmieję się szczerze, bo chwilami Fletcher naprawdę mnie zadziwia.

— Ach, nie zrozumiecie, wy heteroseksualne nudziary. — Macha ręką zrezygnowany.

— A kto ci powiedział, że taka jest nasza orientacja? — rzucam lekko z papierosem między wargami. Ręką oplatom ramię Zoe.

Patrzę na nią spod przymrużonych powiek. Obserwuję, jak leniwie oblizuje wargi.

— Kurwa, przestańcie, bo nawet mnie to rozprasza — mówi głosem pełnym frustracji.

Odsuwam się od różowowłosej z kpiną wymalowaną na twarzy.

— Cześć, dziewczyny. Cześć, Jake.

Na dźwięk głosu, którego Zoe z pewnością nie chciała dziś słyszeć, niemal równocześnie wszyscy odwracamy głowy w kierunku, z którego doszedł. Ogarnia mnie wrażenie, jakbym miała zaraz wypluć serce. W sensie: nie wiem, czy jest taka, możliwość, ale gdyby była, to pewnie tak by się stało.

— Cześć, zdrajco. — Jako pierwszy odzywa się Jake, dlatego patrzę na niego z szeroko otwartymi oczami.

Logan marszczy brwi na to przywitanie i parska. Wydaje się zupełnie nieprzejęty słowami Fletchera, jakby uznał je za żart. Odpala papierosa, a następnie wciska rękę w kieszeń bluzy i zaciąga się mocno. Kątem oka widzę również Zoe. Dziewczyna nie patrzy na Turnera. Uniosła głowę wysoko, kierując wzrok na jakiś punkt, którego nie potrafię zlokalizować.

— Możemy pogadać? — Logan zwraca się do Jackson.

Zerkam na Jake'a, który spina się, ale nie reaguje. Ja również nie jestem pozytywnie nastawiona do Turnera, ale to Zoe musi zdecydować, czy chce z nim cokolwiek wyjaśnić — o ile oczywiście w ogóle o to chodzi. Wydaje się, że chłopak nie wie o obecności Fletchera w restauracji. Mam wrażenie, że w jego odczuciu nic wielkiego się nie wydarzyło. Jego twarz wyraża spokój i niezainteresowanie.

Jake ma rację. Zdrajca z niego.

— Jasne — rzuca obojętnie Jackson. Upuszcza fajkę na beton, po czym podchodzi do chłopaka.

— Mów. — Wzrusza ramionami i zaplata ręce pod piersiami.

— A czy możemy na osobności? — Logan przechodzi wzrokiem ze mnie na blondyna, a następnie na nią.

— Nie mam przed nimi nic do ukrycia. I tak powiem im o wszystkim. Oszczędzisz mi czasu. Nie krępuj się — stwierdza prosto. — Chcesz pogadać o tych wiadomościach, które wymieniałaś z Ginny? A może znaleźć jakieś marne wytłumaczenie na to, że wczoraj wieczorem siedziała na twoich kolanach? A może podyskutujemy o tym kontrakcie Chase'a? — Kolejne słowa coraz szybciej opuszczają jej usta. — Wiesz, ty i ten idiota... Obaj jesteście siebie warci. Żałuję każdej sekundy zmarnowanej na ciebie — mówi bez emocji.

Przez mój kręgosłup przebiega nieprzyjemny dreszcz.

Logan patrzy na dziewczynę z lekko rozchylonymi ustami. Zdecydowanie nie spodziewał się takiej reakcji z jej strony. Czy on naprawdę myślał, że to się nie sypnie?

— Idź już — cedzi Zoe przez zęby.

Turner przetyka głośno ślinę, a kiedy postawa dziewczyny się nie zmienia, posyła mi ostatnie spojrzenie. Odwraca się na pięcie i odchodzi. Obserwujemy go do momentu, aż znika z parkingu.

— No, no — cmoka wyraźnie zadowolony Jake, kiedy zostajemy sami. — Nieźle mu pocisnęłaś.

Zoe odwraca się do nas twarzą. Po jej policzkach spływają pierwsze łzy i nim się orientuję, dziewczyna znajduje się już w moich ramionach, płacząc niczym małe dziecko.

— Przypuśćmy, że jesteś żonaty, że kochasz żonę, ale zaplatałaś się w romans z inną kobietą.

— Wybacz, ale ja tego stanowczo nie rozumiem, tak jak na przykład nie rozumiałbym, jak mógłbym teraz, najedzony, przechodząc obok piekarni, ukraść rogalą.

Unoszę wzrok znad czytanej po raz kolejny *Anny Kareniny*, nie potrafiąc powstrzymać prychnięcia. Książkę Lwa Tołstoja miałam w ręku niejednokrotnie, ale dopiero teraz dociera do mnie, jak bardzo fragmentami przypomina ona moje życie, historię Dominica oraz Margaret i wiele innych sytuacji.

Po powrocie ze szkoły potrzebowałam chwili, aby oczyścić umysł, dlatego padło na lekturę. Stan Jackson po spotkaniu z Loganem był fatalny i serce mi się łamało, gdy na nią patrzyłam. Czułam wcześniej, że dziewczyna dusi w sobie te wszystkie negatywne emocje. Czułam, że granica między jej przeraźliwą ciszą a płaczem jest bardzo cienka. Przekroczyła ją. Niestety.

Cały czas próbuję ułożyć sobie to wszystko w głowie, jednak nie potrafię. Byłam pewna, że między tą dwójką jest w porządku. Logan wydawał się nie widzieć świata poza Zoe. Okej — nie znam go dobrze, ale podobno z boku widzi się więcej, prawda? Co zatem się z nim stało? Co stało się z Chase'em? Obaj zachowują się tak kurewsko dziwnie, że powoli zaczynam wariować. W mojej głowie pojawia się nawet myśl, że może najnormalniej w świecie się nami znudzili i teraz chcą, abyśmy jak najszybciej się odczepili, bo już skupili swoją uwagę na nowych zdobyczach? Początkowo sądziłam, że to głupie, ale teraz ma sens.

Shaw zakodował już sobie w głowie to, że wyjadę. Dlaczego więc miałby marnować na mnie czas, prawda?

Zamykam książkę i zdejmuję okulary. Możliwe, że Omar leży już na stole operacyjnym. Możliwe, że jest już otwarty, i możliwe, że niebawem dostanę telefon odnośnie do jego stanu. Poprosiłam ojca, aby zadzwonił, gdy dowie się czegoś nowego. Mimo wszystko strasznie się stresuję. Słowa Rumelego wywarły na mnie niemałe wrażenie, to chyba logiczne. Nie codziennie dowiadujesz się, że twoje bezpieczeństwo może zależeć od życia kogoś, kogo nienawidzisz.

— Lizzy. — Głos Caroline przedziera się przez drzwi, które nagle otwierają się bez ostrzeżenia.

Podnoszę się do siadu i marszczę brwi. Blondynka stoi w przejściu, oddychając ciężko. Wygląda, jakby zaraz miała w coś uderzyć. Jej włosy są w nieładzie, a oczy pełne czegoś, czego nie umiem nawet wyrazić słowami.

— Zbieraj się! — mówi ostro, szokując mnie swoim tonem.

— Co się stało?

Dziewczyna zaciska szczękę, podchodzi do mojej szafy i otwiera ją. Przez chwilę patrzy na zawieszane ubrania, po czym zdejmuje z wieszaka jedną z bluz i rzuca mi ją prosto w twarz.

— Jedziemy. Mam, kurwa, dość tego cyrku — rzuca rozdrażniona, opierając ręce na biodrach.

Patrzę na nią tępo. Nie potrafię powiedzieć słowa. Potrzebuję czasu, aby to wszystko do mnie dotarło, a gdy już tak się dzieje, ubieram się pospiesznie. Za cholere nie wiem, o co chodzi, ale raczej nie jest to nic miłego, skoro Caroline wygląda... tak.

— Mogę się dowiedzieć, co się dzieje? — pytam, gdy wręcz biegnę za nią w stronę schodów.

Blondynka szybko z nich schodzi. Wyjmuje z szafki swoją parę butów, a mnie rzuca pod nogi vansy. Zakładam je w ciszy. Serce bije mi jak szalone, głowa mocno pulsuje, a przed oczami mam mroczki. Nie podoba mi się to. Nienawidzę nie wiedzieć, a słowa Car dodatkowo mnie zaniepokoiły.

Dziewczyna zakłada dzinsową kurtę, a kiedy chwyta za klamkę i otwiera drzwi, patrzy na mnie przez ramię.

— Możesz mi powiedzieć, jak to jest, że wszyscy w tym jebanym domu tylko kłamią? To już jest, kurwa, nudne. — Ton jej głosu jest niespokojny i delikatnie podniesiony.

— O czym ty mówisz? — Prawie dławię się własną śliną, próbując zrozumieć jej słowa.

— Chase powiedział ci prawdę?

— Jaką prawdę? — Moje oczy otwierają się szerzej, bo teraz nie wiem już nic.

— No to właśnie o tym mówię. Chodź.

Wskazuje głową na samochód. Idę za nią.

Dziewczyna zajmuje miejsce kierowcy. Siadam po lewej stronie. Zapinam pas, ze zgrozą przyglądając się, jak Caroline z piskiem opon opuszcza podjazd. Dopiero teraz zauważam, że jej ręce i wargi drżą. Nie wygląda jednak na zaniepokojoną czy przestraszoną, raczej na wściekłą. To sprawia, że nie wiem, czy powinnam się odezwać.

— Obiecałam sobie, że nie będę się w to wszystko wtrącać, ale się nie da. Za długo z tym zwleka. Miał ci powiedzieć już dawno temu, a zamiast tego użala się nad sobą, ćpa i chleje jak popierdolony. — Skręca mocno w prawo.

— Powiedzieć co? — pytam drżącym głosem, odruchowo łapiąc się uchwytu przy drzwiach.

Blondynka rzuca mi szybkie spojrzenie.

— Są rzeczy, o których nie wiesz, ale to nie ja jestem od tego, aby przedstawić ci te fakty. Dowiedziałam się o tym chwilę przed waszym wyjazdem do Stanów. Chase się napierdolił i wygadał. Miał ci wszystko wyjaśnić, ale widzę, że nadal tego nie zrobił. Teraz dostałam wiadomość od Logana, żeby po niego przyjechała, bo właśnie pobił jakiegoś przypadkowego typa w barze. Jest naćpany. Jeśli przyjedzie policja, może mieć problemy, bo przecież miał już kuratora — wyjaśnia, coraz bardziej zwiększając prędkość.

— Jesteśmy w terenie zabudowanym. Zwolnij. Ktoś ci wyskoczy na drogę i będą jeszcze większe problemy — upominam ją.

— Przepraszam. Targa mną zbyt wiele emocji. Ale prawda jest taka, że nic takiego nie miałyby miejsca, gdyby ten idiota postawił na szczerłość — mamrocze pod nosem.

Przełykam cicho ślinę, wzrok skupiając na widokach za oknem. O czym Shaw powinien mi powiedzieć? Czego jeszcze nie wiem? Matko. Chce mi się wymiotować na samą myśl o tym, bo mam już dość tajemnic, a jak się okazuje — to nie koniec. Co gorsza — to właśnie człowiek, któremu zaufałam bezgranicznie, jest wobec mnie nieszczerzy. Wiem, że sama wiele rzeczy zataiłam, niejednokrotnie skłamałam, ale dziwnie teraz być po drugiej stronie.

Niecałe pięć minut później samochód Caroline gwałtownie hamuje przy barze pod miastem. Okolica wygląda na opuszczoną. Wokół znajduje się kilka budynków. Są stare i nie mają okien. Tak naprawdę tylko ta jedna knajpa przyciąga uwagę. Nad drzwiami wiszą jakieś neonowe napisy, jednak nie potrafię ich rozczytać, ponieważ kilka liter nie świeci.

Zapinam bluzę i ruszam za Car, która szybkim krokiem idzie w stronę lokalu. Doganiam ją, ciężko przy tym oddychając. Nie mam zielonego pojęcia, czego się spodziewać. Nie wiem, co tam zastaniemy. Przeraża mnie wizja tego, co się stanie, gdy znajdę się wewnątrz.

— Kocham go, ale są rzeczy, których nie toleruję — stwierdza Caroline przed wejściem. —

Szczerze mówiąc, nie wiem, jak na to zareagujesz, nie wiem, czy dotknie cię to tak bardzo jak mnie, jednak myślę, że musisz poznać prawdę i tyle. Albo zaraz wyzna ci ją po dobroci, albo sama go do tego zmuszę. — Determinacja w jej głosie jest tak słyszalna, że poziom mojego stresu wkracza na zupełnie inny poziom. Ciało i wnętrze mi płoną. Dłoń dziewczyny dotyka klamki. Drzwi otwierają się, wchodzimy do środka. Wszystko, co działo się w przeciągu ostatnich kilkunastu minut, było dla mnie tak nierealne, że teraz odnoszę wrażenie, jakbym znalazła się w zupełnie innej czasoprzestrzeni. Teraz wszystko spowolniło.

Rozglądam się po lokalu. Jest niewielki. Kilka stolików z krzesłami, bar i jakieś stare plakaty czy obrazy. Jedyną rzeczą, która mi tutaj nie pasuje, jest szkło. Ogromne ilości rozbitych butelek, rozlanego alkoholu i krwi. Mnóstwo krwi, a między tym wszystkim siedzący na stołku Chase z Loganem.

Wstrzymuję oddech. Plecy bruneta poruszają się ciężko w górę i w dół. Nawet z tej odległości słyszę jego oddech. Turner mówi coś do niego, jednak ten nie odpowiada. Głowę ma spuszczoną, milczy niczym grób.

Caroline chrząka głośno.

Pierwszy odwraca się Turner. Jego oczy są przekrwione, a z nosa leje się krew, która kapie na bluzę. Włosy ma w zupełnym nieładzie. Jego dzikie spojrzenie spoczywa na mnie. Wydaje się zszokowany tym, że to właśnie ja stoję obok Caroline. Dostrzegam, jak szturcha Shawa. Chase patrzy na niego, więc teraz widzę jego prawy profil. Ma zmarszczone brwi, siniaka na policzku i przysięgam, że omal nie upadam, gdy okręca się i od razu odnajduje mój wzrok, jakby doskonale wiedział, gdzie jestem.

— Co ona tu robi? — pyta niskim głosem, przenosząc spojrzenie na swoją siostrę.

Z ust dziewczyny wydobywa się coś na kształt prychnięcia. Niczym zakłęta patrzę, jak podchodzi do Shawa pewnym krokiem. Gdy znajduje się jakieś trzy stopy od niego, wymierza mu siarczysty policzek, mówiąc coś, czego niestety nie udaje mi się wyłapać.

Przyglądam się Chase'owi. Jego biała koszulka pokryta jest krwią, wargę ma rozciętą. Jest po prostu w oplakany stan. Mimo to mojej uwadze nie umykają jego pełen kpiny uśmiech i zamglone spojrzenie. Jest naćpany i chyba nawet pijany. Co jest tak cholernie złe, że chłopak doprowadza się do takiego stanu? Z czym sobie nie radzi? Co przede mną ukrywa? Te pytania bombardują moją głowę.

— Rozumiem, że w dupie masz to, jak skończysz. Szczerze? Ja już też. Możesz nawet zgnić za kratkami, ale nie trafisz tam do momentu, dopóki nie powiesz Lizzy prawdy — mówi głośniejszym głosem Caroline, wskazując na mnie palcem.

Donośny trzask sprawia, że patrzę w lewo.

— Przyjechały panie po nich? — pyta umięśniony szatyn, okrążając bar. — Nazywam się Sam. Jestem menadżerem — rzuca szybko i rzeczowo, a niedługo potem ściska rękę dziewczyny.

— Caroline Shaw. Tak. Już ich stąd zabieramy. Dziękujemy, że nie zadzwonił pan na policję. Obiecuję, że zwrócę każdy grosz — wyjaśnia ze stoickim spokojem, naciągając na twarz przepraszający uśmiech.

Facet sięga pod ladę po jakąś kartkę, którą jej podaje.

— Proszę zapisać mi swój numer. Gdy ustalę straty, odezwę się. — Podaje jej długopis. — Bójki nie są u nas czymś zadziwiającym, ale rzucanie w kogoś alkoholem i łamanie palców to zdecydowanie nowość. — Śmieje się nisko, przenosząc uwagę na Logana. — Miałeś szczęście, że to ja byłem na zmianie. Inaczej psiarnia zabrałaby twojego kumpla już dawno temu. Z Carlem nie byłoby tak łatwo.

— Wiem — burczy pod nosem szatyn i wstaje.

— Jeszcze raz bardzo panu dziękuję i przepraszam. Weź go, zanim to ja jemu połamię palce — mówi do Turnera, po czym odwraca się na pięcie i podchodzi do mnie. — Idziemy, Lizzy.

Na dworze jest już ciemno. Naciągam na głowę kaptur, kiedy Caroline zatrzymuje się przy murze z prawej strony budynku i wysuwa w moim kierunku paczkę fajek. Jej dłonie drżą, niecierpliwie tupie nogą. Przyjmuję jednego. W mojej głowie panuje istny bałagan, ale to przecież nic nowego. Mam tego serdecznie dość. Ciągłe coś się dzieje, ciągle coś jest nie tak. Cały ten wyjazd do Crosby to jedno wielkie nieporozumienie.

— Masz — mamrocze dziewczyna, wciskając mi w rękę zapalniczkę.

Drzwi lokalu otwierają się w chwili, gdy zaciągam się papierosem. Logan idzie za chwiejącym

się Shawem, asekurując go przed upadkiem. Kładzie dłonie na jego ramionach, aby skierować bruneta w odpowiednią stronę. Głowa chłopaka jest cały czas spuszczone.

„Kim jesteś?” — zastanawiam się, patrząc na tego człowieka.

Łapię kontakt wzrokowy z Turnerem. Wydaje się zmęczony, wycieńczony wręcz. Jego oczy są napuchnięte, jakby płakał. Ja już naprawdę nic nie rozumiem i teraz nawet nie wiem, czy w ogóle chcę zrozumieć.

— Uwierz, Chase, mam gdzieś to, jak się teraz czujesz. Ćpanie i chłanie po to, żeby sobie ulżyć, to nie wyjdzie, zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? — pyta ostro Caroline, wypuszczając spomiędzy warg dym papierosowy. — Mam dość tego wszystkiego. Lizzy stała się cieniem samej siebie, a ty robisz jakieś gówna. Nie wmawiaj mi, że to normalne, że to ty, bo ja cię znam i wiem, że nie radzisz sobie z bałaganem, który zrobiłeś. Teraz to i tak już bez znaczenia. Eliza wie, że masz jej coś do powiedzenia, i oto moment, w którym jej to powiesz.

Między nami nastaje cisza. Długie, męczące milczenie, podczas którego ja i Chase nie spuszczaemy z siebie wzroku. Oboje z uwagą obserwujemy siebie nawzajem. Tym razem na ustach chłopaka nie maluje się ten cwaniacki uśmieszek. Teraz jest poważny. Bez wyrazu. Jego tęczy są niemal niewidoczne. Nie sądzę, aby był w stanie wyznać cokolwiek na haju, ale...

— Wiedziałem od początku — mówi nagle.

Upuszczam skończonego papierosa, czując nagle dziwny ścisk w klatce.

Shaw klnie pod nosem, daje krok w przód, a jego spojrzenie przez cały czas jest skupione tylko na mnie. Kątem oka widzę, że Caroline przygląda mu się z morderem w oczach, natomiast Logan stoi ze spuszczonej głową, opierając się o mur. Co chwilę zaciąga się fajką. On również wie, co zaraz nastąpi. Teraz już rozumiem, jak czuł się Chase, gdy w drzwiach na Channel Road stanął Omar.

— W momencie, kiedy wszedłem do kuchni trzydziestego stycznia, wiedziałem już, że jesteś córką kobiety, która bzyknęła się z moim starym — wyznaje bez cienia jakiegokolwiek emocji na twarzy.

— C-co?

— Josephine wyznała mi wszystko przed twoim przyjazdem. Wiedziałem o Claire, Omarze, Margaret, Dominicu... Myślisz, że dlaczego zabrałem cię na ten koncert akurat czternastego lutego? Czy to nie wtedy zginęła twoja matka? Czy to nie było tak, że zawsze źle znosiłaś ten dzień? — Wcisną rękę do kieszeni spodni. — Myślisz, że dlaczego po tym całym „odkryciu prawdy” nie oczekiwałem wyjaśnień? Nie oczekiwałem ich, bo znałem każdy szczegół.

— To wszystko było kłamstwem. Iluzją, w którą uwierzyliśmy — mówi cicho Caroline.

Chase patrzy na mnie tępo. Tak, jakby wyłączył wszystkie uczucia. Jakby w środku nie było już nikogo.

— Twój ojciec wysłał cię tutaj, żebyś nie męczyła się z Omarem. Wybrał właśnie to miejsce, bo znał Josephine i wiedział, że nie stanie ci się krzywda. Nie był jednak na tyle głupi, żeby nie pomyśleć, że prawda może w końcu wyjść na jaw. Wiedział, co go czeka, dlatego postanowił cię do tego przygotować i... — Brunet odwraca ode mnie wzrok i patrzy gdzieś w dal.

— I?

— I sprawić, że w całym tym szaleństwie nie będziesz sama. Że będziesz miała komu się wypłakać. Spodziewał się, że źle na to zareagujesz. A kto może lepiej zrozumieć oszukanego człowieka jak nie drugi oszukany człowiek, prawda? — Znów skupia uwagę na mnie.

Jego twarz ani drgnie. Stoi przede mną, ale mimo to wydaje się zamknięty we własnym świecie. Nie wiem, czy to kwestia narkotyków, alkoholu, czy może sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, ale w tym momencie w najmniejszym stopniu nie przypomina człowieka, którego znałam.

— Więc to wszystko...

— Myślisz, że kto powiedział mi o twoim problemie? Aiden mnie uprzedził, abym miał na ciebie oko. Nasze kłótnie? Ustawione. Wszystko tylko po to, żebyś nie czuła się osamotniona w całym tym gównie — wyjaśnia.

Kątem oka widzę, jak Caroline podchodzi do Logana i szturcha go w ramię.

— Czyli wszystko, co mówiłeś... — Po moim policzku spływa łza, a zaraz po niej następna, i następna.

Między nami po raz kolejny zapada cisza. Chase patrzy prosto w moje oczy.

— To były impulsy. Widziałem, że jest z tobą źle, i chciałem, żebyś... Przepraszam, Parker.

Mark miał rację. Miłość jest naiwna. Jestem naiwna.

Czując wibrację w tylnej kieszeni, wydaję telefon, wciąż mierząc się ze spojrzeniem Chase'a. Nie myśląc nawet o tym, by sprawdzić, kto dzwoni, przesuwam palcem w prawo i przykładam urządzenie do ucha.

— Lizzy? — Głos Aideny rozbrzmiewa po drugiej stronie słuchawki.

Nie odpowiadam.

— Dostaliśmy telefon. Omar nie przeżył operacji.

Obserwuję falujące przede mną morze, czując niewyobrażalny spokój. Przykładam szyjkę butelki do spierzchniętych warg i biorę kilka dużych łyków. Pali mnie gardło, ale to jest przyjemne uczucie. Lubię, gdy tak się dzieje. Uwielbiam ten wewnętrzny ból, który mi przy tym towarzyszy. Jest o wiele bardziej znośny od na przykład bólu serca.

Cóż za żalosne porównanie.

— Alkohol nie jest wyjściem. — Słyszę za plecami niski głos, który niegdyś mnie uspokajał, a teraz na jego dźwięk mam ochotę wymiotować.

— Jesteś ostatnią osobą, która ma przyzwolenie na prawienie mi kazań — odpowiadam bez emocji.

Stojący za mną chłopak wzdycha. Kątem oka widzę, że siada obok mnie, łokciami opiera się o kolana. Nie wygląda już tak źle jak wcześniej. Jego włosy są ogarnięte, na twarzy nie ma krwi, a koszulka została zmieniona. Wiadomość o śmierci Omara chyba na niego mocno wpłynęła, bo nagle otrzeźwiał.

Czy spodziewałam się tego? Oczywiście, że nie. Do samego końca żyłam głupią nadzieją, że może z tego wyjdzie. Że jednak przeżyje.

Chciałabym poczuć cokolwiek, ale nie potrafię. Dziś wydarzyło się wiele. Zbyt wiele, a obojętność po raz kolejny uderzyła we mnie zniemacka. Dokładnie tak, jak kilka tygodni wcześniej.

Oficjalnie jestem dziewiętnastoletnią wdową po mężu, którego nie kochałam.

— Nie wszystko było udawane — mówi Chase, wyrывая mi pomiędzy palców butelkę. Już mam zacząć się o nią kłócić, kiedy nagle przykładą szyjkę do ust i upija kilka dużych łyków.

Czasem lepiej nie pytać: „Dlaczego?”. Czasem lepiej żyć w niewiedzy, bo „im mniej się wie, tym lepiej się śpi”, prawda?

— To już bez znaczenia — rzucam od niechcienia.

Ostatnie dni, jakie spędziłam w obecności Chase'a, były dla mnie katorgą. Tygodnie w sumie też. Gdzieś w tym wszystkim bywały dobre momenty, ale trwały zaledwie chwilę. Podświadomie byłam chyba gotowa na to, że coś się zepsuje. Nigdy nie pomyślałabym o czymś takim, ale może właśnie dlatego zareagowałam z takim spokojem? Może właśnie dlatego siedzę teraz z nim na plaży i piję pieprzoną whisky, jakby nic złego się nie wydarzyło? Może w sumie nic do niego nie czuję? Może ubzdurałam to sobie, bo był dla mnie dobry?

— Przysięgam, że mój ojciec wymyślił najbardziej popieprzony plan na świecie. A ty jesteś bardziej głupi, niż myślałam, bo się na niego zgodziłeś.

— Wiem.

Milczący obserwator, usilnie chroniący wszystkie kobiety na tym świecie...

Na myśl o tym, że najprawdopodobniej brzydził się moim ciałem, gdy ze sobą sypialiśmy, i mówił te wszystkie miłe rzeczy, abym czuła się dobrze, chce mi się jeszcze bardziej rzygać. Terrence Parker jest najbardziej popierdolonym człowiekiem na tej planecie, ale w sumie — dlaczego miałoby mnie to dziwić? Przecież kochał swoją żonę, która go zdradzała i się do tego przyznała. Wziął na siebie długi kochanka swojej żony i je, kurwa, słać.

Ach, słodka naiwność.

— Co zamierzasz z tym wszystkim zrobić?

— Jutro lecę do domu. — Wzruszam ramionami.

— Wrócisz? — niemal szepcze.

Obracam głowę, aby na niego spojrzeć. Trudno mi stwierdzić, co w tym momencie wyraża jego twarz, bo procenty już zaczynają na mnie działać. Teraz wszystko jest za mgłą. Teraz jest w porządku. Właśnie dlatego tak kocham ten stan.

— Nie mam już po co. — Uśmiecham się lekko. — Ale wiesz... mimo wszystko dziękuję ci za to, że pojawiłeś się w moim życiu. Dzięki tobie wiele zrozumiałam. Kiedyś Aiden powiedział mi, że wszystko dzieje się po coś. Każdy człowiek pojawia się w naszym życiu, daje pewnego rodzaju lekcję. Z czasem, gdy spojrzę na to z boku, zobaczę więcej. Wyciągnę wnioski, aby nie popełnić podobnego błędu.

— O jakim błędzie mówimy?

— O zakochaniu. Już nie chcę. Wystarczy jak na jedno życie — mówię cicho.

Chase zastyga na te słowa. Wyraźnie nie spodziewał się takiego wyznania. Cóż, ja w sumie też nie planowałam tego powiedzieć, ale teraz to bez znaczenia. Myślę, że od dawna widział, jak wiele do niego czuję. Myślę, że był tego świadomy, ale to nieważne.

— Miałaś rację. Jestem tak samo głupia jak Margaret. — Odwracam od niego wzrok, ponownie skupiając się na wodzie. — Mam do ciebie prośbę.

Upijam trzy duże łyki alkoholu, orientując się, że lada moment butelka będzie pusta.

— Jaką? — Jego głos kompletnie nie przypomina normalnego.

Jestem popieprzona. Kurewsko popieprzona, zdesperowana i nawalona, ale mam to gdzieś. Niczym się nie przejmuję, bo i po co. Jest już po wszystkim. Wyjadę stąd, pochowam Omara i wrócę do życia, które wiodłam wcześniej, z drobnymi zmianami — bez Aidena, Chase'a, ale z bagażem doświadczeń, łez i cierpienia.

Nasze spojrzenia spotykają się.

— Skłam dla mnie. Ostatni raz — mówię w pełni świadoma tego, że się katuję.

— To znaczy?

— Powiedz, że mnie kochasz.

Cisza. Po raz kolejny nastaje między nami pełne napięcia milczenie. Shaw patrzy na mnie w szoku, jakby powoli docierało do niego to, co powiedziałam. Widzę, jak zaczyna kręcić głową, gdy wargi zmiernają do tego, by odpowiedzieć.

— Nie, Parker. Nie kocham cię. Przestań. — Odwraca ode mnie wzrok.

— Proszę — powtarzam niczym największy głupiec, bo nim właśnie jestem.

Ale czy ma to teraz jakiegokolwiek znaczenie?

Z ust Chase'a wydobywa się kolejne westchnienie. Zerka na mnie. Jego wzrok błądzi po mojej twarzy, w końcu zatrzymuje się na wargach. To na nie patrzy najdłużej, a potem po prostu wpija się w nie, zupełnie mnie tym szokując.

Jego usta są miękkie i ciepłe, inne od moich — spierzchniętych i zimnych. Poruszają się wolno, ale pewnie. Czuję jego dłoń na swojej twarzy. Niedługo potem dołącza następna. Hamulce puszczają. Łzy wypływają, a ja zaczynam się trząść, nie potrafię nad tym zapanować. Chcę tu zostać. Nie chcę tego kończyć. Chcę czuć jego usta jeszcze chwilę.

Nie odsuwaj się, proszę.

— Przepraszam, Parker.

Byliśmy tylko dziećmi zagubionymi w świecie, do którego wkraczaliśmy. Uczyliśmy się życia, próbowaliśmy czuć, upadaliśmy, podnosiliśmy się, z każdą próbą stawaliśmy się silniejsi. Właśnie dlatego jesteśmy teraz w tym miejscu... Właśnie dlatego TY jesteś teraz w tym miejscu.

Jestem z Ciebie dumna, Chase. Jest mi źle. Tak bardzo źle, ale to nieważne.

Jesteś perfekcyjnym kłamcą, dokładnie tak jak ja. Stworzyłeś iluzję świata, w którą uwierzyłam. Dzięki Tobie byłam szczęśliwa. Przez chwilę. I właśnie za to Ci dziękuję.

Rozdział 20

ELIZABETH

Lilie zawsze kojarzyły mi się z niewinnością. Z czymś czystym i nieskalanym. Lubiłam niegdys te kwiaty.

Pamiętam dzień, w którym Omar nazwał mnie swoją lilią. Uważał, że jestem jak ona — piękna, niewinna i delikatna. Czy taka właśnie jestem? Cóż, jeśli już — myślę, że raczej byłam. Odkąd mężczyźni zaczęli pojawiać się w moim życiu, zaczęły nawarstwiać się również problemy. Każdy z nich odcisnął piętno na moim sercu; bawił się nim, jakby było ono tanią zabawką.

Teraz nie jestem już czysta i niewinna. Teraz więdnę. Teraz ową lilię pokrywa krew. Ma ją na swoich płatkach. Teraz nie jest już piękna. Nadaje się tylko do wyrzucenia.

Zagryzam wnętrze policzka, przeskakując spojrzeniem po twarzach wpatrujących się we mnie z szokiem przyjaciół. Serce nie bije już tak mocno jak wczoraj, nogi nie drżą, ręce są ciepłe, a w oczach nie ma łez. Nie czuję nic. Po raz kolejny pustka przejęła nade mną kontrolę.

— Kiedy? — Jako pierwsza ciszę przerywa Zoe.

Jej głos drży delikatnie. Wydaje mi się, że dopiero teraz dotarło do niej to, co powiedziałam.

— O siódmej piętnaście — mówię z gulą, która uformowała się w gardle.

— Że co?! — Zszokowana Monica upuszcza tłącego się jeszcze papierosa. — Żartujesz, prawda? Dlaczego tak szybko?

Z moich ust ulatuje ciche westchnienie. Wciskam dłonie do kieszeni dzinsów, próbując jakoś ułożyć sobie w głowie wszystko, co chcę powiedzieć. Rzecz w tym, że od jakiegoś czasu przychodzi mi to z niemalym trudem. Nie potrafię uporządkować bałaganu, jaki zagościł w moim wnętrzu. Zupełnie pogubiłam się we własnym umyśle. To irytujące.

— Muszę wspierać ojca. Śmierć kuzyna bardzo nim wstrząsnęła. — Wzruszam ramionami, nie wiedząc, co innego mogłabym zrobić.

Krzyżuję spojrzenie z Zoe, która jako jedyna wie, kim naprawdę był Omar. Ona jako jedyna została wtajemniczona w cały bałagan zwany moim życiem.

Chciałabym, aby było mi przykro, naprawdę, ale nie jest. Nie czuję kompletnie nic w związku z wyjazdem. Dzisiejszej nocy nie zmrużyłam oka, byłam zajęta pakowaniem. Pomagała mi przy tym Caroline. Dużo rozmawialiśmy, sprawnie omijając temat Rumelego i Shawa — dwóch facetów, którzy tak znakomicie namieszali mi w życiu.

Shaw najnormalniej w świecie stał się częścią chorego planu mojego ojca i Aidena. Nie zdziwię się, jeśli Josephine i Natalie również o tym wiedziały. Po raz kolejny zostałam oszukana przez bliskie mi osoby. Po raz kolejny jakiś chłopak zabawił się moimi uczuciami, a ja byłam zbyt zaślepiona, aby to dostrzec.

Nie żałuję niczego, co się wydarzyło. Nie żałuję żadnej chwili, pocałunku czy słowa. Z mojej strony było to w pełni szczere, bo naprawdę poczułam rzeczy, których nie zaplanowałam. Jestem na siebie zła tylko o to, że znów okazałam się naiwną idiotką. Znów dałam się oszukać, zwieść, pochłonąć czemuś. Znów pomyślałam sobie, że może faktycznie jestem czegoś warta. Że jednak da się mnie pokochać.

Cóż, byłam w błędzie.

— Więc już nie wracasz? — Charlotte opiera się o maskę samochodu Matta.

— Nie. Rok skończę w swojej starej szkole.

Między nami zapada cisza. Wszyscy mi się przyglądają i widzę, że jest im naprawdę przykro, albo przynajmniej sprawiają takie wrażenie. Nie wiem. Teraz już nie mam pojęcia, komu powinnam

ufać. Co, jeśli oni nie mogą doczekać się mojego wyjazdu? Chase świetnie kłamał miesiącami. Dlaczego więc moi przyjaciele mieliby tego nie robić? Może też są częścią planu? Jeśli tak, wolę już wyjechać w nieświadomości.

— Chodź tutaj, mała — mamrocze Aaron, rozkładając ramiona. Kąciki jego ust unoszą się lekko.

Nim jestem w stanie przemyśleć wszystkie za i przeciw, odwzajemniam uśmiech i ruszam w jego kierunku, aby chwilę później zostać zamkniętą w szczelnym uścisku. Niedługo potem czuję za sobą obecność innych. To miłe. Nawet jeśli nie jest szczerze.

— Obiecuj, że będziemy utrzymywały kontakt — szepcze Zoe wprost do mojego ucha.

— Obiecuję.

Wciskam przycisk odblokowujący automatyczną rączkę. Zaciskam mocniej palce wokół plastiku. Mam wrażenie, jakby lada moment wszystko, co zjadłam, miało mi się cofnąć do gardła.

Pożegnania zdecydowanie są czymś, czego nienawidzę całą sobą. Nieważne, czy chodzi tu o nowo poznaną osobę, czy kogoś, kogo znałam całe życie. Każde „do widzenia” w moim odczuciu jest zakończeniem jakiegoś etapu. Czasem w ten sposób dochodzi się do końca rozmowy, a innym razem — relacji.

Teraz kończę pewien krótki rozdział w swoim życiu. Bardzo bolesny epizod z dodatkiem miłych wspomnień.

Wraz z wejściem na pokład samolotu wszystko się zmieni. W dokumentach nie będę już Claire Parker. Wrócę do starego imienia. Pożegnaj się z Aidenem, pójdę do dawnej szkoły, znów spotkam starych znajomych... I choć każda z tych rzeczy przyniesie mi pozory normalności — nic z tego nawet w małej części owej normalności przypominało już nie będzie.

Unoszę wzrok znad walizki i od razu spotykam spojrzenie, które tak bardzo uwielbiałam. Spojrzenie niesamowitych, oceanicznych oczu Josephine Shaw. Kobiety o wielkim sercu, ale zakłamaney duszy. Kogoś, komu powierzałam swoje troski i przemyślenia. Kogoś, z kim przesiedziałam niejedną wieczór, popijając różnorakie herbaty sprowadzane z każdego zakątka świata. Kogoś, kogo znam, ale nie poznaję.

— Możliwe, że o czymś zapomniałam — odzywam się w końcu, nakładając na twarz wyćwiczony uśmiech.

— Odeślemy, jeśli tylko coś się znajdzie. Najważniejsze, aby był paszport, prawda? — odpowiada ze łzami w oczach.

Widzę je, oczywiście, że tak. Josephine wygląda niczym małe dziecko, które lada moment wybuchnie płaczem.

— Tak. Mam w torebce — mówię dziwnie drżącym głosem, za co besztam się w myślach.

Nie chcę, aby ktokolwiek pomyślał, że jakkolwiek mnie to rusza.

Nie rusza. Mam to gdzieś.

— Daj znać, gdy wylądujesz, dobrze? — prosi kolejny raz.

— Oczywiście. — Formuję wargi w wąską linię, mocniej skupiając się na palcach oplatających rączkę.

Josephine kiwa niewyraźnie głową, nawet na sekundę nie spuszczając ze mnie wzroku. Czuję na sobie również wzrok Jonathana i Caroline. Każde z nich przygląda mi się nieustannie, wręcz piecze mnie od tego skóra.

— Nieee no. Nie mogę dłużej w ten sposób — mamrocze pod nosem kobieta.

Podchodzi i nim jestem w stanie zarejestrować, co się dzieje, oplata mnie ramionami. Kolejne krople spływają po jej policzkach.

— Przepraszam. Tak bardzo cię przepraszam, kochanie — mówi cicho, gdy stoję jak sparaliżowana, nie potrafiąc oddać gestu.

— Jest okej — rzucam obojętnie, z całych sił próbując zwalczyć nieprzyjemny ścisk w dole brzucha.

Kobieta wydaje się wyczuwać moją niechęć do dotyku, ponieważ chwilę później odsuwa się ode

mnie. Jej makijaż jest rozmazany. Wygląda na zupełnie rozdartą. „Szkoda, że nikt nie pomyślał o konsekwencjach, zanim zagrałi w tę niebezpieczną grę. Każdy z nich widział, co się dzieje między nami. Każdy widział, że przepadam dla niego. Mimo to pozwolili mi to poczuć, choć już na samym początku doskonale znali zakończenie tej historii” — myślę sobie.

Przenoszę wzrok na Caroline. Jej oczy są czerwone od łez, które wylała, gdy byliśmy jeszcze na piętrze. Jako jedyna była w tym wszystkim szczerą. Jako jedyna, tak samo jak ja, o niczym nie wiedziała. Nie musiała się tłumaczyć. Widziałam to.

Można być znakomitym kłamcą. Można mówić różne rzeczy, ale gdy targa człowiekiem tak wiele emocji — jak było to w przypadku Caroline Shaw — trudno je ukryć.

— Na mnie już pora — mówię z lekkim uśmiechem i patrzę na Jonathana.

Zdecydowaliśmy, że to on odwiezie mnie na lotnisko. Nie chcę, aby Jo czy Car mi towarzyszyły. Nie chcę płaczu czy kolejnych przeprosin. Nie chcę słów, które teraz i tak nie mają już znaczenia.

— Oczywiście. — Jon bierze w ręce pozostałe walizki. — Włożę je do samochodu. Pożegnajcie się i ruszamy.

Chwilę później znika za drzwiami.

W pomieszczeniu, nie po raz pierwszy dzisiejszego popołudnia, zapada cisza. Kąciki moich ust ponownie się unoszą, kiedy patrzę na Car. Dziewczyna odwzajemnia to. Podchodzę do niej, oddaję ostatni uścisk, to samo robiąc z Josephine. Następnie znów oplatam palcami plastikową rączkę.

— Dbajcie o siebie — mówię cicho, po czym odwracam się na pięcie i opuszczam budynek, nie patrząc już więcej na ich twarze.

Zamykając te drzwi, zamknęłam też usta.

Na zewnątrz po raz ostatni sięgam do torebki, aby upewnić się, że mam ze sobą dokumenty. Chłodny nadmorski wiatr owiewa moje ciało, przez co wzdrygam się nieznacznie, choć mam na sobie naprawdę ciepły dres. Zdecydowałam, że to najlepsza opcja na tak długą podróż.

Warkot silnika sprawia, że zastygam z portfelem w ręku. Zaciskam wargi, przygryzając niekontrolowanie wewnętrzną stronę policzka. Z trudem powstrzymuję prychnięcie, gdy myślę, jakie mam „szczęście”.

„Miałam nadzieję, że nie będę musiała już na niego patrzeć”.

Przymykam powieki, biorę głęboki oddech, a kiedy czuję, że jestem gotowa, nakładam na twarz najlepiej wyćwiczoną przeze mnie maskę — tę o nazwie „obojętność”. Bo właśnie ją teraz czuję. Nic innego.

Samochód gaśnie, a niedługo potem słyszę dźwięk zatraskiwanych drzwi. Chwytam ponownie rączkę, przekręcam głowę w lewo, a mój wzrok pada na idącego w stronę domu Chase’a. Wygląda normalnie, jak zawsze. Ma na sobie czarne spodnie, koszulkę z krótkimi rękawami i bluzę. Na jego ramieniu wisi torba treningowa, a włosy są wilgotne. To oznacza, że wraca z siłowni.

„Albo od Shannon” — ta myśl niekontrolowanie wkrada się do mojego umysłu.

Shaw przez cały czas, od momentu opuszczenia pojazdu, skupia wzrok na mnie, dlatego nie ruszam się z miejsca. Głupio tak uciec bez pożegnania. Logiczne, że nie mogłam go nie zauważyć czy nie usłyszeć. Poza tym nie zamierzam chować się przed nim, bo to po prostu dziecinne i tyle.

W pewnym momencie nasze spojrzenia spotykają się po raz pierwszy tego dnia. Czuję lekki ścisk w sercu, jednak bardzo szybko wypieram to, skupiając myśli na tym, co jest tu i teraz — na walizce, wylocie, dłoniach — po prostu na wszystkim poza moim ogólnym samopoczuciem.

Brunet zatrzymuje się jakieś dwa metry ode mnie, obie dłonie wciskając w kieszenie bluzy. Patrzymy na siebie w milczeniu, bez jakichkolwiek emocji. Wydaje mi się, że stojący przede mną chłopak wyprał je z siebie zupełnie. Ja zrobiłam to w pełni wczorajszej nocy na plaży.

— Cześć — odzywa się w końcu.

— Cześć.

Shaw oblizuje wargi, bez jakichkolwiek skrupułów lustrując mnie od stóp aż po sam czubek głowy. Widzę, jak jeden z kącików jego ust unosi się, kiedy znów wraca spojrzeniem do moich oczu.

— Wracasz w tym, w czym przyjechałaś — śmieje się cicho.

Marszczę brwi.

— Co?

— Mówię o dresie. Przyjechałaś w nim do Crosby.

— Och, no tak. — Prawdę mówiąc, nawet już tego nie pamiętam, ale niech będzie.

Chrząkam cicho, kiedy słyszę, jak Jonathan odpala samochód. Zerkam kątem oka na siedzącego za kierownicą mężczyznę, który stuka coś w telefonie. Przenoszę uwagę na Chase'a, przywołując na twarz niewielki, trochę niezręczny uśmiech.

— Słuchaj...

— Chciałabym... — mówimy równocześnie.

— Panie mają pierwszeństwo. — Wskazuje na mnie ręką.

— Zacznij. — Kiwam głową.

Shaw przewraca oczami, jak to ma w zwyczaju, i parska pod nosem. Zaciskam mocniej palce, nie bardzo wiedząc, czego powinnam się spodziewać.

— Wiesz, strasznie mi głupio, że to wszystko tak wyszło.

Widzę, jak jego szczeka napina się, gdy zamyka usta.

— W porządku. — Wzruszam ramionami, bo nie wiem, co innego w takiej sytuacji mogłabym powiedzieć czy zrobić. — Każde z nas miało jakieś tajemnice, więc teraz jesteśmy kwita, prawda? — Unoszę brew, spychając na bok odruch wymiotny idący za każdym kolejnym słowem. Uczucia powoli zaczynają się przedzierać, dlatego czas na ewakuację.

— Fakt.

— A poza tym już od samego początku byliśmy skazani na niepowodzenie, więc może i lepiej, że to wszystko tak się skończyło? Przynajmniej unikniemy słabych, łzawych pożegnań, no nie? Strasznie ich nie lubię — stwierdzam ze śmiechem.

— A co ty chciałaś mi powiedzieć? — Zmienia sprawnie temat, naciskając na trzecie słowo.

Zagryzam wewnątrz policzka, tym razem z taką siłą, że aż krzywię się z bólu, jaki sama sobie zadaję.

— Tylko tyle, że w pokoju zostawiłam ten krzyżyk należący do twojego ojca. Myślę, że to ty powinieneś go mieć. — Mój głos drży, gdy wypowiadam drugie zdanie.

Teraz już żadne z nas się nie uśmiecha, niczego nie wymusza ani nie okazuje. Nasze maski znów są nijakie, bez wyrazu, bez jakiegokolwiek uczucia. Właśnie takie, jakie powinny być od mojego pierwszego dnia w Crosby.

— W porządku. W takim razie oddam ci tw...

— Nie — przerywam mu w chwili, gdy jego palce sięgają do karku. — Ja go nie chcę z powrotem. Możesz go wyrzucić czy coś. Zrób z nim, co uważasz za stosowne, ale mi go nie dawaj.

Widzę, jak wzrok Shawa wędruje na łokieć, gdzie niekontrolowanie położyłam swoją dłoń. Przez chwilę przygląda jej się, a kiedy wraca spojrzeniem na moją twarz, dopiero dociera do mnie, że go dotknęłam. Odsuwam się pospiesznie.

Chase nie odpowiada.

— Na mnie już chyba pora. — Zaciskam wargi, wskazując na samochód.

— Jasne, rozumiem.

Mimo to żadne z nas nie rusza się z miejsca.

— Odzywaj się czasem. Wiesz, co u ciebie i w ogóle.

— Jasne.

Moje nogi i ręce zaczynają się trząść. W gardle znów tworzy się gęstwa, ale tym razem nie jestem w stanie jej powstrzymać. Czuję, że łzy lada moment napłyną mi do oczu. Jestem na granicy obojętności i wpadnięcia w rozpacz. Ta granica jest cienka, niemal niewidoczna, a ja kroczę nią chwiejnie. Wystarczy jeden nieodpowiedni ruch, abym wpadła w przepaść nicości bądź niewyobrażalnego smutku. Tutaj nie ma nic pomiędzy.

Prawda jest taka, że już wtedy wiedzieliśmy, że rozmawiamy ze sobą ostatni raz. Byliśmy świadomi, że żadne z Nas nie odważy się podnieść słuchawki. Zbyt wiele się wydarzyło, aby zachowywać pozory normalności. Zbyt wiele nocy spędziliśmy u swojego boku, zbyt wiele nic nieznaczących pocałunków mi ofiarowałaś, by teraz rozmawiać niczym starzy, dobrzy przyjaciele. Nigdy nimi nie

byliśmy. Czym tak właściwie byliśmy?

— Muszę już iść. Na razie. — Unoszę otwartą dłoń w jego kierunku, macham nieznacznie, po czym posyłam ostatni uśmiech i ciągnąc walizkę, ruszam w stronę auta.

— Do widzenia, Parker. — Słyszę jeszcze za plecami jego głos.

Zwalniam, ale się nie zatrzymuję.

Zamykam oczy, jakbym w ten sposób chciała jakoś zapisać te słowa, a raczej ich wydźwięk.

Nie odwróciłam się. Ale ty patrzyłeś. Wiem to. Czulałam na sobie Twoje spojrzenie aż do końca.

Upijam łyk jakiejś gównianej whisky, której nazwy nawet nie potrafię wymówić, unosząc wzrok ku niebu. Brak chociażby jednej chmury daje mi możliwość podziwiania gwiazd i księżyca w pełni. Dzięki temu na zewnątrz jest całkiem jasno. Temperatura spadła poniżej dziesięciu stopni, ale to nie szkodzi. I tak tego nie czuję.

— Kto by pomyślał, że w wieku dziewiętnastu lat zostanę wdową, no nie? — rzucam prześmiewczo.

Tak na dobrą sprawę tylko ironizowanie mi zostało. Moje życie to jebany cyrk na kółkach.

Szkło zostaje wyrwane z moich dłoni, jednak nie reaguję, bo już chwilę później do moich uszu dociera ten specyficzny dźwięk przełykania, a następnie głośne westchnienie. Myślę, że oboje tego potrzebowaliśmy.

— Kto by pomyślał, że tak bardzo spieprzę życie własnemu dziecku, no nie? — mówi siedzący obok mnie ojciec.

Opieram łokcie o kolana, czując ból w pośladkach. Zawsze tak mam, gdy za długo siedzę na dachu. Dziś spędziłam tu praktycznie cały dzień. W sumie to jestem tu od powrotu.

— Jeśli jakkolwiek cię to pocieszy, Margaret i tak wygrała to starcie. — Uśmiecham się słabo, zerkając na niego kątem oka.

Kąciki ust Terrence'a unoszą się.

— Faktycznie, pocieszające — stwierdza z sarkazmem.

Od momentu przekroczenia progu tego domu nie powiedziałam nawet słowa o tym, co wydarzyło się w Crosby. Nie wiem, czy chcę mówić. Nie wiem, czy mam teraz siłę, aby to roztrząsać.

Czy to w ogóle ma jakiegokolwiek znaczenie? Czy to cokolwiek zmieni? Ojciec, Aiden i Natalie oszukali mnie nie po raz pierwszy. Cały czas to robią. Po co więc tracić energię? To trochę takie błędne koło. Jeśli z każdym kłamstwem będę rozpętywała wojnę, wiedząc, że i tak na końcu do nich wrócę i wybaczę wszystko — nigdy z niego nie wyjdę. Dlatego wolę milczeć. Wybaczyć w głowie, ale nie zapomnieć. Już nie.

— Nie winię cię za to całe gówno, naprawdę. — Wzruszam ramionami, jakby to wszystko było tak bardzo proste. — Może gdyby nie Dominic Warren, to wszystko by się nigdy nie wydarzyło. Może żonka byłaby ci wierna, może wiedlibyśmy teraz spokojne życie. A może byłoby jeszcze gorzej, niż jest? Kto wie. Najwyraźniej tak musiało być — wyrzucam z obojętnością.

— Może...

Wymacuję ręką butelkę, którą ojciec oparł o dachówkę, oplatom palcami i przysuwam do warg, aby upić kilka łyków.

W mojej głowie pojawia się myśl o przyszłości. W jednej chwili straciłam męża i chłopaka, którego darzyłam uczuciem. Zostałam sama i nie wiem, co dalej. Wcześniej nie zastanawiałam się na tym, „co by było, gdyby”, ale to „gdyby” właśnie nastąpiło.

— Tato? — odzywam się po dłuższej chwili, nie odrywając wzroku od rozgwieżdżonego nieba.

— Tak?

Kątem oka widzę, że i on patrzy na to, co nad nami.

Przełykam ślinę.

— Jestem bardzo zmęczona, wiesz?

Nie odpowiada. Zamykam oczy. Nagle czuję na ramieniu dłoń Terrence'a. Przyciąga mnie do siebie, a niedługo potem leżę z głową na jego udach i płaczę tak, jak nie robiłam tego nigdy wcześniej.

Nie przy nim.

Nasuwam na nos okulary przeciwsłoneczne, kiedy przechodzę przez ulicę. Kaplica jest otwarta. Na zewnątrz stoi kilka osób, jednak nie rozpoznaję żadnej z twarzy. Mijam dwóch rostrych mężczyzn, a kiedy jestem już w środku, wykonuję znak krzyża. Nie chciałam tu przychodzić, ale jednocześnie jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mi, abym jednak się pojawiła.

Staję za jednym z filarów znajdujących się w tylnej części świątyni.

Jest tam. Ustawiona pod samym ołtarzem.

Przełykam ślinę.

Wiem, że to głupie, ale mimo wszystko nie dopuszczałam do siebie myśli, że Omar nie żyje. Nie rozumiem dlaczego. Prawda jest taka, że go nienawidziłam. Niejednokrotnie wyklinałam go w myślach, marzyłam o tym, aby nie przeżył operacji, a teraz czuję coś, czego nie potrafię nazwać.

Nie jest to raczej smutek ani tęsknota. Bardziej żal albo złość, bo odszedł i zostawił mnie z tym całym syfem.

Czy jestem bezpieczna? Czy osoby, którym zaszedł pod skórę, odkryją jego powiązanie ze mną? Mam nadzieję, że nie. Mam nadzieję, że to koniec.

— Wiemy, że wskutek ludzkiej skłonności do złego wszyscy popełniamy grzechy. Przed Najświętszym Bogiem nikt nie jest bez winy. Dlatego chcemy złożyć za naszego zmarłego brata Omara ofiarę eucharystyczną jako zadośćuczynienie za jego grzechy. Będziemy prosili Boga, aby go oczyścił...

Prycham pod nosem. Komu humor dopisywał na tyle, aby urządzić mu pogrzeb w kościele? Przecież ten człowiek nie był nawet wierzący. Wiem to, bo niejednokrotnie mi to powtarzał. Nie zdziwiłabym się, gdyby to przedstawienie było jego ostatnią wolą przed śmiercią. On nigdy nie należał do normalnych.

Rozglądam się po kościele, wzrokiem omiatając wypełnione po brzegi ławki. Wszyscy ubrani są niezwykle elegancko. Czy Omar naprawdę miał aż tylu znajomych? Jeśli tak, to jestem szczerze zaskoczona, że ktokolwiek był w stanie wytrzymać z nim w relacji innej niż wymuszona.

Gdy przyglądam się tym wszystkim ludziom, w mojej głowie pojawia się wspomnienie dnia, kiedy siedzieliśmy na plaży. Nie wiem, dlaczego właśnie teraz o tym myślę. Może dlatego, że jest to jedyny moment, w którym między nami było względnie normalnie?

Chciałabym czuć ulgę w związku z tym, co widzę. W końcu sama życzyłam mu śmierci. Dlaczego więc zamiast tego mam wrażenie, że to nie koniec? Że jego odejście jest początkiem czegoś o wiele gorszego?

— Pożegnajmy zmarłego Omara. Przez całe życie pracował i cierpiał z Chrystusem, służył swojej rodzinie i bliźnim, którzy potrzebowali pomocy. Wiemy, że dobre czyny idą za nim przed tron Boży. Dlatego z ufnością polecamy go miłosierdziu Bożemu w cichej modlitwie.

„Co za cyrk” — myślę.

Ostatni raz zerkam na trumnę. Jego zdjęcie ustawione jest tak, że odnoszę wrażenie, jakby patrzył właśnie na mnie. Do moich uszu docierają kolejne słowa kapłana o tym, jak dobrym człowiekiem był Omar. Kręcę głową. Niedorzeczne.

Wyszłam, nie oglądając się już więcej za siebie.

Przysuwam do ust szklankę wypełnioną whisky i opróżniam ją jednym haustem. Mój wzrok po raz kolejny tego wieczoru pada na widok za oknem, napawam się jego pięknem.

„Może mieszkanie w ścisłym centrum nie byłoby takie złe?” — myślę sobie, patrząc w dół, gdzie wszystko jest tak cholernie małe.

— Imponujące — mówię w końcu, odwracając się przodem do siedzącego po drugiej stronie biurka mężczyzny.

Człowieka, od którego to wszystko się zaczęło.

— Nieprawdaż? — Unosi brew, jednak tym razem nie towarzyszy temu ten typowy dla niego

uśmieszek przepelniony kpina.

W tym momencie wygląda raczej na zmęczonego, może nawet smutnego, kto wie. Cienie pod jego oczami są bardziej wyraźne niż zazwyczaj, a on sam wydaje się blady mimo ciemnego odcienia skóry. Myślę, że płakał, bo jego spojówki są czerwone. Cóż, nie ma się co dziwić. Pochował właśnie jedyne go członka rodziny. Jediną osobę, z którą łączyły go więzy krwi.

— O czym chciałeś ze mną porozmawiać? — Ruszam w jego kierunku.

Moje obcasy ze stukotem odbijają się od idealnie wypolerowanej podłogi do momentu, aż staję naprzeciwko niego. Frank wskazuje ręką, abym zajęła jeden z wolnych foteli.

— Zanim wyjadę, musimy zamknąć kilka spraw. — Chwyta w dłoń jeden z dokumentów leżących na biurku.

— Wyjeżdżasz? Dokąd? Dlaczego? — Marszczę brwi, nie kryjąc zdziwienia.

Mężczyzna upija łyk alkoholu. Mocniej ściskam swoją pustą szklankę. Po raz kolejny czuję suchość w gardle. Znam ten rodzaj głodu.

— W przypadku śmierci którejkolwiek ze stron umowa staje się nieważna, a dług ulega cofnięciu. — Czyta na głos zapisane na papierze słowa, które razem tworzą coś, co podpisałam wiele miesięcy temu. Treść tego gówna znam już na pamięć. Wertowałam je zbyt wiele razy, aby w końcu się go nie nauczyć.

— Nie sądzisz, że to bez sensu? Od lat ściągałeś z mojego ojca pieniądze, które spłacał za Dominica. Prawda jest taka, że jeszcze wiele zostało i...

— Chodziło mi tylko o życie, Claire. Nigdy nie zależało mi na pieniądzach. Swoją drogą Terrence i tak nadpłacił. Wiedziałem, że kiedyś może mi się przydać, dlatego trzymałem go blisko siebie. Nie spodziewałem się, że jego córka okaże się bardziej użyteczna. Dzięki tobie Omar otrzymał szansę, której nikt mu nie dawał bez papierów. Dobrze wiesz, jak miały się sprawy. Dobrze wiesz, że tylko jeden lekarz zgodził się go operować. Ślub z tobą był przepustką nie tylko do legalnego życia, ale też do życia samego w sobie.

Zamieram.

— Więc jak długo ojciec spłacał coś, czego nie było? — pytam prawie bezgłośnie.

— Z moich obliczeń wynika, że... niecałe dziewiętnaście lat. — Uśmiecha się lekko, z pewnego rodzaju satysfakcją. — Kochanek twojej matki zamordował mojego brata, więc chyba należało mi się jakieś odszkodowanie. Nie sądzisz? — Prostuje się na fotelu, łokcie opierając o poręczę po obu stronach.

— Więc ten dług to fikcja? Dominic Warren nigdy się u ciebie nie zadłużył?

Nie odpowiada. Na jego ustach maluje się uśmiech pełen kpiny.

Wypełniam szklankę alkoholem i ją zeruję. To dla mnie za wiele.

— Życie to jedna wielka gra, Claire. Trzeba mieć na nie plan. Trzeba wiedzieć, kiedy odpuścić, a kiedy wykorzystać karty, którymi się dysponuje. Twój ojciec to dobry człowiek, ale trochę głupi i naiwny.

Teraz rozumiem jeszcze mniej.

— A co zrobiłeś z lekarzami, którzy nie uratowali Omara?

— Zająłem się nimi.

— Zabiłeś ich?

— Im mniej wiesz, tym lepiej śpisz, Claire.

W pomieszczeniu na chwilę zapada cisza. Szumi mi w głowie, dlatego potrzebuję trochę więcej czasu na przyswojenie niektórych rzeczy i złożenie tego, co chcę powiedzieć.

— Dlaczego tak bardzo mściłeś się na synach Dominica? Dlaczego wyrządziłeś tyle krzywd ludziom, którzy nie mieli z jego sprawkami nic wspólnego? — Kolejne pytanie opuszcza moje usta.

Jeśli mamy zamknąć sprawy i już więcej się nie zobaczyć, muszę w końcu poznać odpowiedzi. A skoro mam ku temu okazję, nie zamierzam jej zaprzepaścić. Prawda jest taka, że tylko Frank może rozwiać wszelkie moje wątpliwości, przedstawić fakty i pokazać, co chodzi mu po głowie. Nie wiem do końca, czy tego chcę, ale skoro tu jestem, muszę wyciągnąć z niego jak najwięcej informacji. Tak na wszelki wypadek.

— Powiedzmy, że... — Mężczyzna wychyla się ze swojego miejsca i bierze w dłoń butelkę

whisky, aby napęłnić moją szklankę. — ...nudziłem się.

— Nie wierzę w to.

— I słusznie.

Ze skupieniem obserwuję, jak alkohol wypełnia naczynie. Nawilżam językiem usta, czując już smak whisky na wargach. Omal nie przewracam ramki znajdującej się nieopodal, gdy pospiesznie sięgam po szkło. Widzę, jak kąciki ust Rumelego po raz kolejny tego wieczoru unoszą się nieznacznie, gdy na mnie patrzy.

— Poza tym... — Chrząka, poprawiając się na fotelu. — Myślę, że nie powinnaś przejmować się mordercami.

Moja ręka zastyga w momencie, kiedy dociera do mnie sens jego słów.

— Co? O czym ty mówisz?

Frank odchyła głowę do tyłu. Słyszę jego cichy śmiech, ale na szczęście nie trzyma mnie długo w niepewności. Wychyla się ze swojego fotela, otwiera jedną z szuflad, po czym rzuca na biurko jakieś kartki. Przesuwają się po śliskim blacie i zatrzymują przy krawędzi. Dopiero po chwili dociera do mnie, że są to...

— Pewnie nawet nie wiesz, że twój były chłopak wacha już kwiatki od spodu. Te zdjęcia są z dnia, a nawet godziny śmierci Nate'a. Poznajesz te twarze?

Wysiadam z taksówki i zamykam oczy. Ciepły majowy wiatr owiewa moją twarz. Uśmiecham się mimowolnie.

Gdy do moich uszu dociera dźwięk jakiegoś klaksonu, rozglądam się dookoła. Centrum o tej porze dnia jak zawsze tętni życiem. Na lekko chwiejnych nogach idę w kierunku szklanych drzwi, które już od początku były moim celem. Muszę zamrugać kilka razy, kiedy obraz robi się zamazany. Cholera.

Wchodzę do kancelarii. Już na wejściu zostaję przywitana przez panią Hammond, która od lat zajmuje stanowisko sekretarki. Podchodzę do niej.

— Cześć, Kimberly — mówię powoli, starając się nie bełkotać.

— Dzień dobry, Lizzy. — Kąciki jej ust unoszą się. — Twój ojciec ma właśnie spotkanie.

Błądzą wzrokiem po korytarzu, a gdy czuję, że zataczam się do tyłu, chwytam się blatu. Nie uchodzi to uwadze kobiety, jednak nie komentuje tego.

— Wiesz... dasz mi wody z cytryną?

Pani Hammond od razu wstaje i wzdycha.

— Oczywiście, kochanie. Usiądź, zaraz wrócę. — Wskazuje ręką kanapę, na której siadam.

Przejeżdżam językiem po zębach. Spuszczam wzrok na palce, którymi zaczynam się bawić. Na szczęście nie myślę o niczym. Wypiłam za dużo, żeby to robić. Teraz mój umysł jest czysty i nie jest mi przykro. Teraz jest w porządku.

— Proszę.

Nagle na stoliku przede mną pojawia się niewielka taca, na której znajdują się szklanka i jakaś tabletki.

Marszczę brwi, po czym zerkam na Kimberly.

— Dobrze ci robi, Lizzy. — Uśmiecha się słabo.

Nie odwzajemniam tego. Spuszczam wzrok. Sekretarka wzdycha, a chwilę później słyszę stukot jej obcasów.

Wgapiam się tępo w wodę przede mną. Nie mam pojęcia, jak długo jestem zamyślona, ale gdy już wyrwyam się z tego stanu, wypijam ją jednym haustem. Lekarstwo zostawiam. Nie chcę go, bo nawet nie wiem, co to jest.

— Oczywiście, że tak. — Głos ojca dochodzący z drugiego końca korytarza sprawia, że patrzę w tamtym kierunku.

Ubrany w dopasowany garnitur Terrence Parker wychodzi właśnie ze swojego gabinetu u boku jakiegoś mężczyzny. Na moje oko jest kilka lat starszy ode mnie. Jego czarne włosy zaczesane są do tyłu, a biała koszula idealnie leży na wyraźnie umięśnionym torsie. Chrząkam, gdy nasze spojrzenia się

krzyżują.

— O! Co za miła niespodzianka — mówi tata.

Ze zgrozą obserwuję, jak obaj ruszają w moim kierunku. Cholera. Mam nadzieję, że nie wyczują ode mnie alkoholu.

Wstaję i wymuszam uśmiech. Znika, kiedy nieznajomy podchodzi bliżej.

— Córeczko, poznaj Marcusa, jednego z moich najlepszych prawników. Marcusie, to moja córka Elizabeth.

Brunet wysuwa dłoń, którą ściskam. Moje mięśnie napinają się pod wpływem jego dotyku, podczas gdy oczy cały czas skanują zieleni tęczy przed mną. Nefryt, który wręcz hipnotyzuje.

„Wszystkie światy musi sobie ze mnie żartować” — myślę.

— Bardzo mi miło w końcu panią poznać. Pan Parker wiele o pani mówił.

— Eliza. Doprawdy? — Unoszę brew i zerkam na ojca. Wzrusza ramionami.

— Tak. Słyszałem, że planuje pani... Elizo, studiować psychologię. Ciekawy kierunek. Jeśli będziesz potrzebowała porozmawiać z kimś z branży, daj znać. Mam kilku znajomych, którzy od lat pracują w zawodzie — mówi lekko.

— Dziękuję. To bardzo miłe z twojej strony. — Staram się unikać jego oczu, pod których spojrzeniem czuję się dość niekomfortowo.

— Będę się zbierał, mam spotkanie. Dziękuję za rady, panie Parker. Zadzwoń po rozprawie. Do widzenia, Elizabeth. — Kłania się, po czym odchodzi.

Nim jestem w stanie zarejestrować, co się dzieje, Marcus znika za szklanymi drzwiami.

Zdecydowanie przegięłam z whisky.

— Lizzy. — Głos ojca sprowadza mnie na ziemię.

Patrzę na niego. Ma zaciśnięte usta, a jego twarz wyraża zaniepokojenie. Nic nie mówi. Wskazuje głową, abym poszła za nim do gabinetu, więc to robię. Zwalniam, gdy podłoga wydaje się nierówna. Wchodzę do rozległego pomieszczenia, dziękuję tacie za przytrzymanie drzwi i siadam na fotelu. Terrence zajmuje miejsce za biurkiem naprzeciwko mnie. Układa jakieś papiery, odsuwa je na bok, po czym splata palce i kładzie je na blacie.

— Zapisalem cię na terapię.

Moje oczy otwierają się szerzej na te słowa. Milczę.

— Nie mogę już na to dłużej patrzeć. Od momentu twojego powrotu z Crosby jest jeszcze gorzej niż przed wyjazdem. Wiem, jak ci ciężko. Wiem, że sobie nie radzisz, i wiem, że niejednokrotnie spieprzyłem jako ojciec. Nie liczę, że zapomnisz o wszystkim, co zrobiłem, ale chcę, abyś była świadoma tego, że masz moje wsparcie. Moje i Natalie. Nie chcemy cię stracić i na pewno nie pozwolimy, abyś zatraciła się w alkoholu.

Mrugam szybko, kiedy pod powiekami czuję łzy. Lustruję twarz ojca. Z każdą sekundą łagodnieje coraz bardziej. Przełykam gulę, która utworzyła się w gardle, podchodzę do niego, siadam mu na kolanach i wtulam się mocno. Myślę, że z początku jest zaskoczony moją reakcją, bo dopiero po dłuższej chwili czuję na plecach jego ciepłe dłonie. Suną po nich, uspokajając szloch. Nawet nie wiem, w którym momencie zaczęłam płakać.

— Kocham cię, Lizzy — mówi cicho.

Bicie mojego serca przyspiesza. Nie mam pojęcia, jak długo jestem w jego ramionach. Dla mnie czas się zatrzymał, a nawet cofnął. Teraz jestem tą, która w czasie burzy przychodziła do pokoju ojca, bo bała się piorunów. Teraz znów mam na sobie tiulową sukienkę i jestem księżniczką. Teraz jestem dzieckiem. Niczego nieświadomą Lizzy, która miała swój świat.

Gdy nieco spokojniejsza odsuwam się od Terrence'a, śmieję się pod nosem, bo tusz odcisnął się na jego marynarce. Ignoruje to. Przeczesuje ręką włosy, które opadły mi na twarz, i całuje czoło. Jak kiedyś. Jak wtedy, gdy wszystko było proste.

— Tato.

— Hm?

W mojej głowie niekontrolowanie pojawia się pewna myśl. Nie chciałam jej dopuszczać. Nie chciałam wracać do rzeczywistości. Chciałam zostać jeszcze w tamtym świecie. Na chwilę.

Biorę głęboki oddech.

— Czy... zrobiłeś to? — pytam niepewnie.

Nasze spojrzenia krzyżują się. Nie muszę mówić o tym głośno. Ojciec doskonale wie, co mam na myśli.

— Tak. Sprawa Nate'a jest zamknięta. Stał się przypadkową ofiarą postrzału.

— Winni?

— Uliczni gangsterzy. Już wcześniej byli zawieszani. Akurat tego dnia byli w pobliżu. Znalezione u nich broń, z której strzelano do Muska.

„Jak wiele razy ten człowiek musiał złamać prawo i przysięgę, aby uratować bliskich?” — zastanawiam się.

— Jeszcze jedną — mówię, gdy odstawiam szklankę na blat przede mną.

Opieram się łokciami o bar, z trudem utrzymując spojrzenie na stojącym przede mną facecie.

— Nie ma opcji. Nie sprzedam więcej — stwierdza, przecierając kufel jakąś szmatką.

— Musi mnie pan obsłużyć. Mam pieniądze. — Prostuję się na swoim siedzeniu i unoszę odważnie podbródek.

— Tu nie chodzi o forszę. Proszę wyjść, zanim zadzwonię na policję — rzuca ostro.

Przejeżdżam językiem po zębach, uśmiechając się głupio.

— To ty sprzedałeś alkohol nieletniej, więc nie ja musiałabym się... — Zaczynam swój wywód, jednak gdy widzę, jak po raz kolejny gromi mnie wzrokiem, przewracam oczami. — Dobra, dobra. Już wychodzę — śmieję się pod nosem.

Biorę torebkę, po czym chwiejnym krokiem ruszam w stronę wyjścia z baru. Wydaje mi się, że jest trzecim, który odwiedziłam w przeciągu ostatniej godziny. Jeśli mam być szczerą, nie wiem tak dokładnie, ile wypiałam. Straciłam rachubę. Znowu przegrałam.

Gdy wychodzę na zewnątrz, zaplatam ręce pod piersiami. Dochodzi północ, więc miasto tętni życiem. Uśmiecham się na widok przechodzącej obok mnie pary, która skrada sobie całusy. Sięgam do zawieszanej na ramieniu torby i wyjmuję wódkę. Zwinęłam ją z barku ojca. Ma tak dużo tego alkoholu, że pewnie nawet nie zauważy zniknięcia jednej butelki.

Rozglądam się dookoła, a mój wzrok pada na przejście między budynkami. Potykając się o własne nogi, przechodzę przez ulicę, aby chwilę później zniknąć w ciemnościach. W dłoni niezmiennie ściskam trunek. Moje gardło aż piecze, domagając się kolejnej dawki, dlatego nie chcąc dręczyć się ani minuty dłużej, odkręcam butelkę i wypijam kilka dużych łyków. Piecze mnie przelyk, a w klatce piersiowej robi się przeraźliwie gorąco.

Uwielbiam to uczucie.

Spuszczam wzrok na buty i przyglądam im się chwilę. Trwa to sekundy, minuty albo godziny. Nie wiem. Nie dbam o to, ale gdy ponownie łączę się ze światem żywych, chowam butelkę i wychodzę z ciemnej alejki, zmierzając w lewo.

I właśnie wtedy to się dzieje.

Do mojej głowy zaczynają napływać wspomnienia. Znow widzę jego twarz. Tęczówki w odcieniu nefrytu, pełne usta, wyraźnie zarysowaną szczękę i ciało. To piękne ciało, którego dotykałam. Te szorstkie palce, którymi sprawiał, że odpływałam.

Wstrzymuję oddech.

W popłochu obracam się dookoła własnej osi, aby zrozumieć, co się dzieje. Teraz wszystko wiruje. Wpadam na jakiegoś mężczyznę. Choć może jest to kobieta? Nie wiem. Nic nie widzę. Tylko jego. Jest wszędzie.

Przymykam mocno powieki, jak wtedy, gdy byłam jeszcze dzieckiem bojącym się potworów, które skrywały się pod moim łóżkiem.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo tak stoję. Nie wiem, ile czasu mija, zanim znow otwieram oczy, które — jak się teraz orientuję — zasłoniłam dłońmi. Gdy to robię, wokół mnie jest pusto. Nie ma już tłumu, który — jak mi się wydawało — widziałam. Oddycha się nieco lżej niż przed chwilą. Teraz

jest lepiej.

Biorę głęboki oddech, po czym ruszam przed siebie, w dłoni niezmiennie ściskając torebkę. Co jakiś czas wpadam na ściany bądź oszklone wystawy sklepowe. W międzyczasie wyjmuję butelkę. Po raz kolejny ją odkręcam. Tym razem nie myślę już o tym, co będzie, gdy złapie mnie policja.

Przykładałam szyjkę do warg, przechylałam szkło. Nie mam pojęcia, ile łyków później się zatrzymuję. To jest tak kurewsko dobre. Dzięki temu nie myślę. Tak jest lepiej.

Chcąc wrzucić wódkę z powrotem do torby, wyłapuję wzrokiem telefon. Widzę, jak się świeci. Ktoś właśnie do mnie dzwoni. Nie wiem, kim jest ta osoba. Nie widzę. Wszystko jest rozmazane. Wszystko mi jedno.

Obiecałeś, że będziesz trzymał mnie za rękę. Obiecałeś, że nie upadnę. Obiecałeś, że będziesz. Obiecałeś, że nie będziemy jak oni. Dlaczego jesteśmy jak oni? Dlaczego nie dotrzymałeś żadnej z obietnic? Dlaczego kończę jak Margaret?

Stworzyłeś iluzję świata, w którą uwierzyłam. Bawiło Cię to? Dobrze się bawiłeś? Czy teraz uśmiechasz się, gdy znów stoję nad przepaścią? Chciałabym Cię nienawidzić. Tak bardzo tego pragnę. Pozwól mi Cię znienawidzić.

W moich uszach odbija się tylko stukot obcasów, które niezmiennie mam na nogach. Skręcam w lewo i orientuję się, że jestem na swojej ulicy. Dotarłam do domu i nawet nie wiem, kiedy to się stało. Ze spuszczoną głową idę przed siebie. Czuję, jak z każdą chwilą moje powieki opadają coraz bardziej i bardziej. W moim wnętrzu panuje pustka, której nigdy wcześniej nie doświadczyłam.

Zniszczyłeś Nas doszczętnie. Twoje kłamstwa zniszczyły Nas doszczętnie. Tak bardzo żałuję, że tamtego wieczoru w łazience odwzajemniłam pocałunek. Tak bardzo żałuję, że wypowiedziałam na głos uczucia, których nie wyznałam wcześniej żadnemu innemu mężczyźnie. Tak bardzo żałuję. Tak bardzo chcę już nie myśleć. Tak bardzo chcę zapomnieć.

Unoszę wzrok, kiedy dostrzegam pod stopami kolory. Przez chwilę myślę, że mam jakieś zwidy. Mrużę oczy. Orientuję się, że niebieskie i czerwone barwy faktycznie na mnie padają, odbijają się od twarzy. Torebka wypada mi z rąk, a usta otwierają się szeroko.

Ruszam biegiem w kierunku domu. W międzyczasie zrzucam buty, które lądują gdzieś na chodniku. Serce bije mi jak oszalałe, a oddech uwiązł już gdzieś w gardle.

Przebiegam przez kamienną drogę, nie czując bólu. Przebieram szybko nogami, przemierzając odległość do budynku. Drzwi są otwarte. Widzę kilku lekarzy. Słyszę płacz. Wszystko mi się miesza.

Nagle do moich uszu dociera krzyk. Jeden z tych wyjętych prosto z horroru. Dopiero po chwili orientuję się, że to ja go wydałam.

Patrzę na leżącego na podłodze ojca. Jego głowa spoczywa na udach Natalie.

Macocha mówi coś do mnie. Nic nie słyszę.

Nie daję już rady. Nie chcę Cię kochać. Wybacz mi, Chase.

Twoja Claire.

EPILOG

Stojący na wzgórzu chłopak zaciąga się papierosem. Od dwudziestu minut obserwuje z daleka odbywający się właśnie pogrzeb Terrence'a Parkera. Zjechali się wszyscy. Tak naprawdę tylko jego tam brakuje.

„Wszechświat ewidentnie sobie ze mnie żartuje. Czy gość nie mógł poczekać chwilę z zawałem, żeby jego córka zdążyła dojść do siebie po wszystkim, co ja i jej przeklęty mąż jej zafundowaliśmy?” — myśli sobie, nawet na sekundę nie spuszczać wzroku ze stojącej do niego tyłem blondynki.

Nie widział jeszcze jej twarzy, ale Josephine mówiła mu, że trzyma się zadziwiająco dobrze. Nie płacze i z każdym rozmawia normalnie, jakby śmierć ojca nie wywarła na niej żadnego wrażenia. Jakby tak po prostu musiało być i tyle.

Szczęka bruneta napina się, gdy w głowie pojawia się myśl o tym, jak zaprzątnięty umysł w tym momencie musi mieć dziewczyna. Chciałby jej pomóc. Chciałby złagodzić jej ból, być przy niej, ale nie może. Nie, gdy zna już prawdę i trzyma w ręku ten cholerny papier — powód całego zamieszania.

Chase rozkłada zgniecioną kartkę, którą przez cały czas trzymał w tylnej kieszeni spodni. Mimo że zna jej treść na pamięć — i tak na nią patrzy. I tak po raz kolejny katuje się zapisanymi słowami, przypieczętowanymi podpisem jego ojca. Człowieka, przez którego musi posprzątać bałagan sprzed lat.

I tak Dominic go nienawidził. I tak nie chciał, aby przyszedł na świat. Jaka więc różnica, co się z nim stanie, prawda?

Po śmierci ojca Chase Warren został wysłany na drugi koniec świata, do swojej ciotki. Zadaniem Josephine Clarke było uchronienie małego chłopca. Miała nie pozwolić im do niego dotrzeć. On natomiast miał nigdy nie poznać prawdy. Miał wieść spokojne życie i nie przejmować się jutrem. Był jeszcze mały. Skąd osiemnastoletnia Jo mogła wtedy wiedzieć, że Frank zna miejsce ich pobytu? Kto mógł przypuszczać, że ten człowiek zawsze będzie o trzy kroki przed nimi? Że wciąż będzie testował i przygotowywał chłopaka do chwili, w której miał dołączyć do jego mrocznego świata?

Do uszu Chase'a docierają dzwony kaplicy znajdującej się nieopodal. Wybiła dwunasta. Dziś na dworze jest wyjątkowo gorąco. Temperatura w Santa Monica zrobiła się jeszcze wyższa niż kilka tygodni temu, kiedy był tu z nią. Kiedy wydarzyło się tak wiele, ale wszystko jakoś się jeszcze trzymało. Teraz nic już nie zostało.

Wyspa się zatopiła, a mosty spłonęły dokładnie tak, jak ich serca. Tym razem nie był to żar miłości. Tym razem pozostały z nich tylko popioły.

Kto by pomyślał, że ta mała, wtedy jeszcze czarnowłosa dziewczyna o oczach zielonych niczym szmaragdy, niebieskich jak najczystszy w świecie ocean, przeraźliwie szarych, zobojętniałych i nijakich jednocześnie tak bardzo zawróci mu w głowie. Już pierwszego dnia sprawiła, że nieświadomie zerkał na nią, gdy nie patrzyła. Do dziś nie wie, dlaczego zabrał ją wtedy na ten przeklęty koncert. To był impuls. Nie planował tego. Tak naprawdę on nigdy niczego przy niej nie obmyślał. Bo przy niej wszystko wychodziło naturalnie. Przy niej czuł, że żyje.

Nagle do uszu chłopaka dociera donośne trzaśnięcie gdzieś za plecami. Nie odwraca się. Nie chce stracić jej z oczu nawet na sekundę. Chce patrzeć na nią jeszcze przez chwilę. To są jego ostatnie minuty. Jego własne pożegnanie.

Po raz kolejny wkłada między wargi papierosa. Zaciąga się mocno, a jedna z dłoni wędruje do kieszeni czarnych spodni. Palce wyszukują krzyżyki należące do Dominica i Margaret.

Czuje gulę w gardle na wspomnienie momentu, w którym Lizzy oddała mu jego krzyżyk. Cieszył się, że to zrobiła. Podświadomie wiedział, że zwróci pamiętkę, więc nie będzie musiał jej podmieniać. Jednocześnie chciał krzyczeć z bezsilności. Ale nie mógł. Musiał milczeć. Musiał udawać, że to go nie rusza, podczas gdy wewnątrz umierał. Była to powolna śmierć, gdy tak stał i patrzył, jak dziewczyna odchodzi. Musiała odejść. Musiał jej na to pozwolić, aby była bezpieczna. Aby znów zaczęła żyć bez strachu o to, co będzie jutro.

— Kto by pomyślał, że przed wyjazdem zaliczę jeszcze pogrzeb teścia — mówi mężczyzna za

nim, niedługo potem stając obok, aby przyjrzeć się zjeżdżającej do grobu trumnie.

— Módl się lepiej, żeby jej nie ruszyli — cedzi przez zęby Chase do niego.

Do człowieka, który przecież nie żyje.

— Frank mówi, że wszyscy to łyknęli. Nie mają powodu do wątpliwości — mamrocze pod nosem, wciąż obserwując ceremonię.

Chase wie, że tak naprawdę wzrok tego gnoja skupiony jest tylko na niej. Tamten też ją kocha. Tamten też czuje wiele — i to go wkurwia. Sprawia, że wariuje, bo przecież ona jest tylko jego... albo raczej była.

— Jeden z moich ludzi będzie ją obserwował.

— Jeśli włos z głowy jej spadnie...

— Mamy tyle samo do stracenia, Shaw — przerywa mu ponuro.

Gdy wszyscy się rozchodzą, Chase upuszcza piątego papierosa i przydeptuje go butem. Jego wzrok po raz ostatni odnajduje dziewczynę. Josephine ją obejmuje, ona jednak nie oddaje tego uścisku. Po prostu stoi ze zwisającymi po obu stronach rękami.

— Pora na nas — mówi Omar.

Chłopak odwraca się, nie patrząc już więcej za siebie.

Podziękowania

W tym momencie mogłabym napisać długą i nużącą notkę, ale nie widzę w tym sensu. Chciałabym podziękować mojej mamie, Annie, która zainspirowała mnie do wykreowania tak silnych i walecznych kobiet, oraz ojczymowi, Darkowi, dzięki któremu zawsze wracam na właściwą drogę.

Gdy mosty się spaliły, a wyspa zatonała — wyciągnęliście do mnie dłonie, które pomogły mi się utrzymać na powierzchni. Dziękuję.